Mieczysław Trzeciak

ZIEMIA UTRACONA

I ROZMYŚLANIA

Mieczysław TRZECIAK

Ziemia utracona i rozmyślania

Lwów–Warszawa 2005

Tom XXIV
Biblioteka Sycyńska
Monograficzna seria wydawnicza, ukazuje się od 2000 r.
Redaktor naukowy: **prof. dr hab. Henryk Bednarczyk**

Ziemia utracona i rozmyślania

Mieczysław Trzeciak

© Copyright by Mieczysław Trzeciak, Warszawa 2005

ISBN 83-60132-04-6

Projekt okładki: Andrzej Kirsz

Redaktor prowadzący: Marcin Olifirowicz
Opracowanie wydawnicze: Andrzej Kirsz, Joanna Fundowicz

Wydawnictwo Instytutu Technologii Eksploatacji – PIB
ul. K. Pułaskiego 6/10, 26-600 Radom, tel. centr. 364-42-41, fax 3644765
e-mail: instytut@itee.radom.pl http://www.itee.radom.pl

1479

Od autora

We wsi Dziesiętniki na Białorusi jest **cmentarz z okresu I wojny światowej,** którego broni wystylizowany orzeł niemiecki, osadzony na potężnym cokole. Przy odrobinie wysiłku wykruszysz dłonią mchy na jednym z licznych grobów i **z tablicy wyłoni ci się polskie nazwisko i imię pochowanego tu żołnierza.** Bez trudu zrozumiesz, że zginął w obronie niemieckiej Rzeszy. Być może nie wiedział, że w okopach strzela do swojego rodaka przyodzianego tym razem w mundur rosyjski czy austriacki. Później przyszła **II wojna światowa i znowu popłynęła strumieniami polska krew.** Jakby tego było mało, **spłynęła też falą w komunizmie,** w czasie masowych zbrodni i wyniszczania Polaków na okupowanych terenach. W małej wsi Bogdanowo, nieopodal Dziesiętników, także spotkasz żołnierski grób. Należy do Pawła Padresa, syna Janiny i Franciszka. To świeża mogiła,wszak **Paweł poległ niedawno w wojnie afgańskiej.** Opowiadano mi, że gdy przysypywano go ziemią, wydawało się, że wraz z jego matką umrze całe Bogdanowo.

Między obu tymi grobami jest wiele wspólnego. **Symbolizują holokaust naszego narodu** dzielącego coraz bardziej losy amerykańskich Indian. Najwyraźniej widać to na dawnych *Kresach Wschodnich przyłączonych do Białorusi, Litwy i Ukrainy.* Niewielkie już skupiska Polaków, odłączonych od swoich korzeni, kultury, języka i Ojczyzny przypominają rezerwaty dla Indian lub w najlepszym przypadku getta dla grup społeczno-zawodowych. Wyjście z takiego rezerwatu na prostą czy na zwykłe szczeble hierarchicznej drabiny społecznej jest coraz trudniejsze. **Świat zewnętrzny dźwiga poprzeczkę wzwyż i pokonać ją mogą już tylko nieliczni.**

Większość, mimo że czasami jest pod osłoną Kościoła, prób nie podejmuje i broni się polskością słabnącymi siłami. Na cmentarzach ludności kołchozowej Franek, Jadzia, Kazik z matki Janiny i Bolesława ma coraz mniej lat. **Indianizacja zbiera obfite tu żniwo, także w postaci Indopolów,** tj. uprzywilejowanych przebierańców polskości, pełniących niekiedy agenturalną rolę. **Ten proces występuje i na Białorusi,** choć w łagodniejszej niż gdzie indziej formie. Bez szczypty ironii i czarnego humoru, wędrówka po tych ziemiach byłaby niestety nie do zniesienia, pomimo że każda podróż jest z natury ciekawa i przynosi stale coś nowego. Tu, na dawnych Kresach, wciska się jednak do serca obolałą egzotyką.

Przyjazd małolata

Ajednak małolat z Polesia przyjechał na Wołyń. Bardzo mi na tym zależało, wszak przyobiecał, że pojedziemy do miejsca, którego wspomnienie mroziło w żyłach krew. Ale gdy stanął w drzwiach mojego pokoju był jakiś dziwny. Z jednej strony dumny jak Amstrong po wylądowaniu na księżycu, z drugiej widać było jakieś zaniepokojenie. Ręce trzymał w kieszeniach u spodni i sądził, że to mu dodaje dorosłości. Twarz ta sama, przyjazna, jednak nieskora do powitań. **Stwarzał inny nastrój niż ten, który zapamiętałem z pikniku na Polesiu.** Sokoli wzrok przeleciał po całym pokoju w jakiejś pilnej potrzebie. Tylko przez moment zatrzymał się na panoramie miasta docierającej przez uchylone okno.

Sądziłem że to stary, górujący nad miastem zamek w Łucku i katedra ściągnęły jego uwagę[1]. Z wysokiego piętra hotelu ten widok robił rzeczywiście wrażenie bajkowej scenerii, niespotykanej na poleskich błotach. Okazało się jednak, że nie to stymulowało jego zachowania. Odmienne od dawnych i coraz bardziej mi nie zrozumiałe. To był inny już małolat. Raczej tylko z nazwy. **Faktycznie wydoroślał i szpanował muskułami wyrobionymi w castingu muzyki hip-hopowej.** Intensywnie musiał uprawiać modny na Polesiu breakdance.

Rys. 1. Małolat z Polesia w grafice moich studentów

Muskularne ramiona pooznaczał rozmazanymi tatuażami, choć ogólnie jawił się schludny, zadbany i nad czymś myślący. Przypuszczałem, że coś przede mną ukrywa. Podałem mu dłoń i wszcząłem rozmowę. Zaczął nerwowo spacerować po pokoju i w międzyczasie przesunął pod łóżko moje buty z wystającymi skarpetkami. Fotela zajmować nie chciał. Jakby na przekór zachętom, podszedł do drzwi i mocno na korytarz zapukał. **W drzwiach ukazała się Luba. Mieszkanka jego serca. Zaczęło się wszystko rozjaśniać.**

Boć to przecież z jej powodu cierpiał przy ognisku i odtwarzał bez końca piosenkę Grażyny Świtały: Ta nasza noc pod gwiazdami, ta nasza dal, dal i dal, te nasze dni z nadziejami ...To była dla niego właśnie ta noc. Wymarzona i niepowtarzalna. A sprawczynią jej była właśnie Luba. Stali teraz przede mną, przytuleni do siebie, jakby chcieli usłyszeć komplement, że tak wspaniale się dobrali. Również ubiorem. Ona w krótkiej spódniczce ukazującej nie kończące się nogi, do tego zgrabne i pięknie opalone. Na szyi zawieszony tajemniczy amulet, wskazujący jak strzała nieco roznegliżowany brzuszek. **Piękną, klasycznej urody twarz, ozdabiało kilka kolorowych cekinów, maleńkich, ale silnie błyszczących. Włosy w artystycznym nieładzie, zachodziły częściowo na lewy policzek** tak, jakby chciały być pieszczone i na nowo układane.

---

[1] Łuck, Fotoałbom, Kijv, Mistectwo, 1978.

Rys. 2. Luba z Wołynia, ma dodany kwiat we włosach

U małolata też były w artystycznym nieładzie i sympatyczne, choć badylowate i za mocno chyba czymś nasmarowane. Spodnie młodzieżowe, jeansowe, luźne, z rozporkiem do kolan. Z kieszeni wychodził łańcuch z fikuśnym nożem przypominającym harcerską finkę. Zacząłem teraz doceniać wpływ na niego ukochanej dziewczyny. Przy ognisku jej malec był inny, daleki od tej formy, którą teraz prezentował. **Odnosiłem wrażenie, że był wtedy nazbyt dziecinny i trochę niezrównoważony.** Miał nawet niedomyte włosy, zaniedbaną garderobę i chwilami zbyt frywolne zachowania. Szpanował moim magnetofonem i tworzył gesty przypominające taniec niekoniecznie dostosowany do rytmu odtwarzanej melodii, a raczej zniekształcony rodzaj hip-hopa i udziwnionego sportu.

Mimo wszystko **jakoś się to podobało, tym bardziej, że odtwarzana piosenka jest wyjątkowo udana, nastrojowa, w świetnym wykonaniu.** Ale on nie przypuszczał chyba, że mi się naraża, wszak kasetę z tym nagraniem wykorzystywałem niejako na deser. Nastroju mojego nie umiał odczytać i to mnie właśnie wtedy denerwowało. Ale to wtedy[2]. Na błotach Polesia! A teraz, w hotelowym pokoju sytuacja była inna i wyparła niepotrzebne wspomnienia.

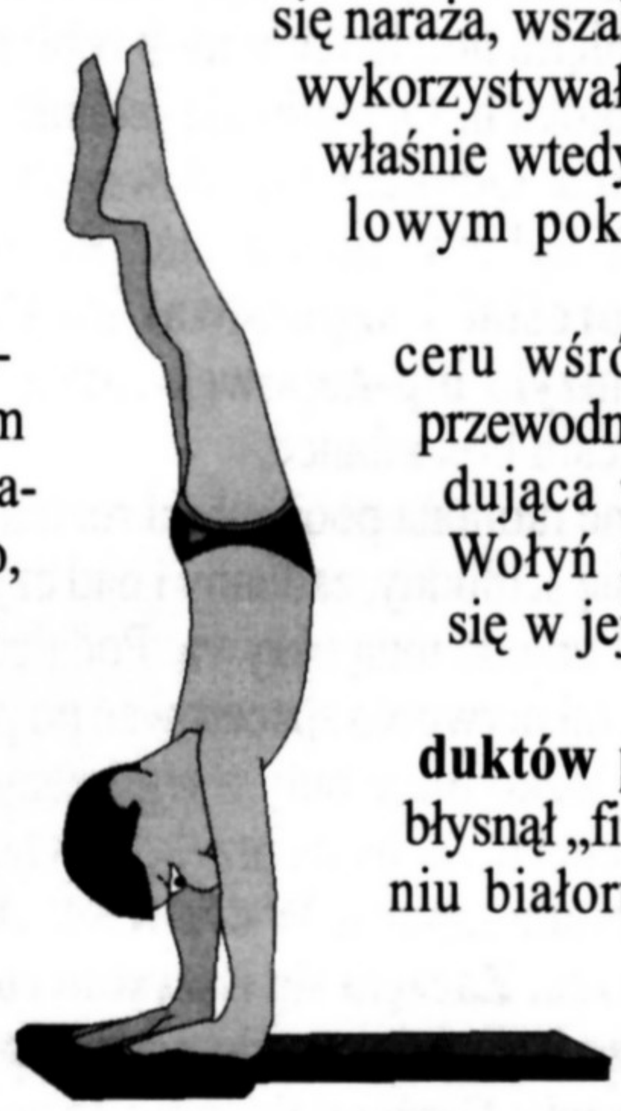

Liczył się nieznośny upał wypychający nas do spadrzew. **Napraszał się jakikolwiek park.** Samozwańczym ceru wśród zielonych automatycznie Luba, tu pod Łuckiem urodzona i wysia- przewodnikiem stała się szkołach przez wiele lat. W przeciwieństwie do niego, dująca w tutejszych dobrze. On okazywał się raczej zazdrosny, wsłuchując Wołyń znała bardzo i nie gardząc też moimi książkowymi wiadomościami. się w jej każde słowo

Pozbieraliśmy klamoty i z zapasem niezłych pro- duktów powędrowali w stronę zielonych obszarów grodu. Tu małolat za- błysnął „finką" sprawnie organizując posiłek, wzmocniony ku mojemu zaskocze- niu białoruską „garieł- ką" wyciągniętą z torebki partnerki. Nie nadużywałem w prak- tyce tego trunku. Ani Luba. Małolat jednak nasze sła- bości jakoś nadrabiał i może pod wpływem tego, **sam wrócił do poleskiego ogniska.** Miałem więc okazję do wyjaśnienia pio- senkarskie- go szpanu.

– Co ty się tak wtedy popisywałeś moją kasetą? Chyba chciałeś ją wykończyć? Czy co...

– Luba wie – skwitował wpatrując się w jej oczy. Wydawało się, że odczytuje teraz całą Arkadię miłości obiecaną mu tu na Ukrainie. Przez moment kojarzył mi Cisława Zorzę w miłości do Zoryny w Rusałkach J.B. Zalewskiego (Fit, fit, fit, fit, przepióreczko! /Przepióreczko piękna, hoża! /Nie uciekniesz nam do zboża...).

Nastała dłuższa cisza i Luba nie przyzwalała wzrokiem na wyjaśnianie sprawy. Jednak po chwili (chyba pod wpływem opróżnionej butelki) małolat sprzeniewierzył się dziewczynie i zaczął popisowo wyjaśniać.

---

[2] Mieczysław Trzeciak, Kresy minione i rozmyślania, Przeprawa za jezioro, Mińsk-Warszawa, 2004, s. 320–323.

– Wiecie, Luba ma nie tylko komórkę ale i dobry namiot. Tyle, że trochę przyciasny. Trudno w nim pomieścić kilka osób i trzeba było się przytulać. Wytworzyła się ciasnota i hałas. **Poszliśmy z nią na zewnątrz, aby być sami.** Tam urządziła spanko na kocu i mieliśmy nad sobą piękną gwieździstą noc.

– Przecież ty na brzuchu sy-

– Nie przerywajcie – warkcowe dni na Polesiu – ciągnął i ciężkie zamieniają się na **kie one ciepłe i rozluźniają-** **Śmiało można hip-hop upra-** pytajcie fachowców; pełnia sza tak, jak w czasie tych dzie". – Mów w Sankt Pe- – geografii się nie uczyłeś?

– Co za geografia? Po pro-

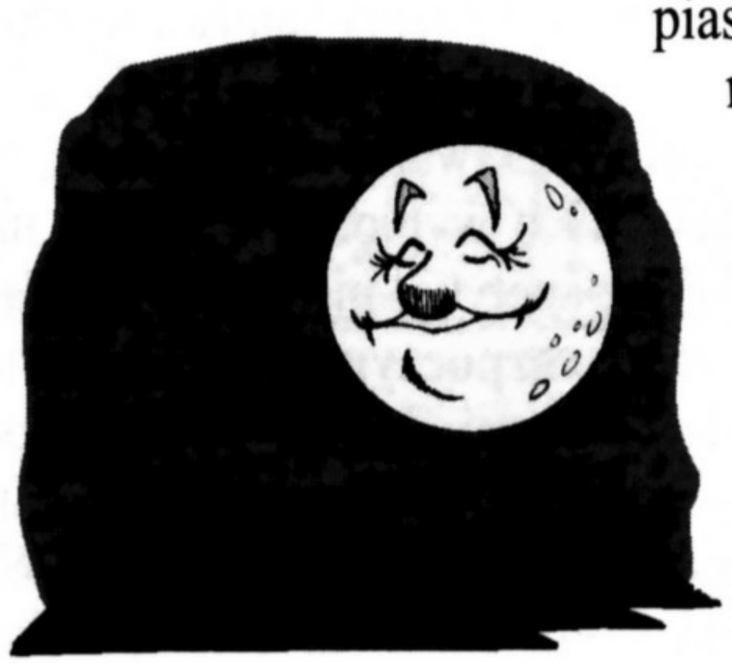

piasz – wtrąciłem dwuznacznie.

nął rozeźlony. Na szczęście lip- swoje wspomnienia – parne przecudowne noce. **Wiecie ja- ce, a przede wszystkim jasne? wiać, a i w karty zagrać.** Za- księżyca jest wtedy najjaśniej- „białych nocy w Leningra- tersburgu – poprawiła go Luba Pamięć nawala...

stu noc była gorąca, a ty jesz- cze bardziej. – Przyłożyliśmy się koło namiotu w poczuciu prawdziwego szczęścia. Zazdrosny gang namiotowy wyskoczył nie widzieć kiedy i wszczął z nami awanturę o wodę, której nie zabraliśmy. Ja otrzymałem kilka kopów (jeden prawdziwy), a Luba niemałe klapy po dyskretnościach opalenizny. **To ich chyba ucieszyło, wszak zaspokoili jakieś kompleksy i porachunki z nami. Z parnej nocy raczej wynikające.** Mimo wszystko do rana bez wody wytrwaliśmy i na dniu sytuacja wróciła do normy. O rany! Ileż wspomnień i opowieści z tej nocy powstało – kończył małolat wynurzenie, zadowolony że oczyścił sumienie i zaspokoił moją ciekawość.

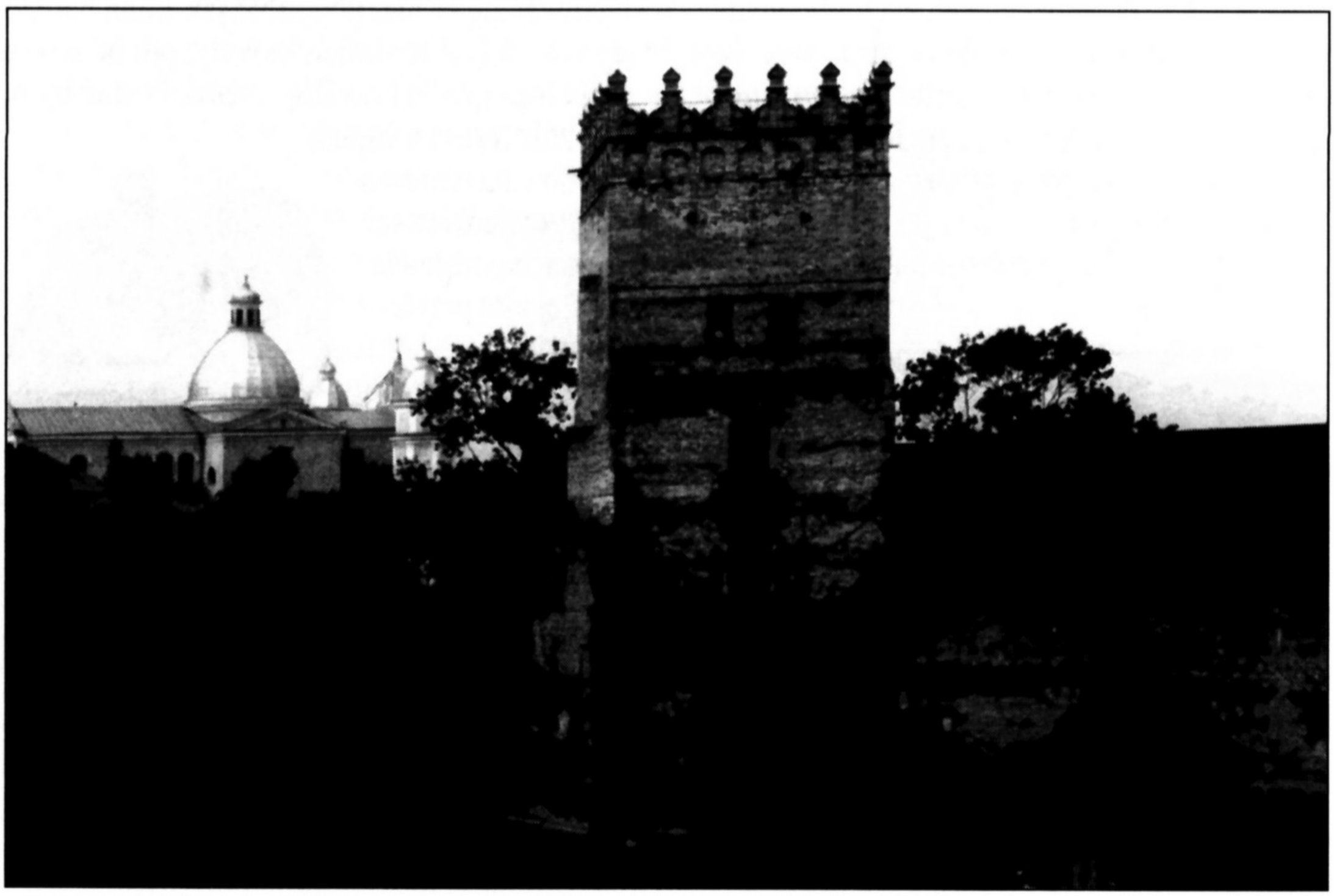

Rys. 3. Panorama Łucka

Luba nie była tym wyznaniom przychylna. Były zbyt frywolne i nader popisowe, z tymi demonstrowanymi kopami i klapami. Ponieważ Luba wiedziała, że mam apetyt na publikowanie „prawdy i tylko prawdy" o kresach, zaczęła się dopominać, abym to wszystko prezentował w książce anonimowo. Niestety, zbyt szybko chyba zgodziłem się na ten warunek, choć równocześnie zastrzegłem, że gdyby doszło do II wydania książki, to zrobione zdjęcia w całej okazałości zaprezentuję.

– Uzgodnimy to na Krymie – nieoczekiwanie dorzuciła.

Sądziła zapewne, że po kilku dniach wybiorę się z nimi nad morze, do Odessy. Wyraźnie przeceniała, jak się domyślałem, moje apetyty i pieniądze. **Nastawiłem się bowiem tylko na wędrówki po minionych kresach, które rozpoczynał Wołyń.** Paplałem o nim, co tylko wiedziałem i szukałem konfrontacji z jej wiadomościami. Zaczęły do mnie docierać i jej rodzinne wiadomości, jakby z wielu pokoleń, bowiem Luba zapoznała mnie ze swoją rodziną chętnie i w domowej atmosferze spędziłem dwa długie wieczory. Nie wiedzieć kiedy. Wszak spraw i problemów na Wołyniu nie brakowało[3]. Podobnie jak atmosfery szczerości i przyjaźni.

Dziewczyna jak malina

Małolat był na Wołyniu po raz pierwszy. Wszystko jawiło mu się nieznane i obce. Nie wiedział nawet, gdzie ten Wołyń się zaczyna i gdzie kończy. Sądził zapewne, że to jakaś abstrakcyjna kraina, taka jak Szwajcaria Kaszubska poznana z moich bałwochwalczych opowiadań. Wsłuchiwał się w nie, podobnie jak Luba bardzo pragnąca ją odwiedzić. **Póki co dopowiedziała, że jej Wołyń jest też pagórkowaty, jak ta wasza Szwajcaria, atrakcyjny, mający naturalne oznaczenia topografią i rzeźbą terenu. Widać było, że Luba jest osobą dobrze zorientowaną, o szerokich zainteresowaniach i chętnie rozszerzającą wiedzę zdobytą w szkole.** Imponowała tym swojemu partnerowi usiłującemu jej dorównać, choć prawdę powiedziawszy to chyba najbardziej imponowała mu ustami. To raczej na ich podstawie posłużył się ksywką „Malina" – całując w tym momencie jej usta przylepione niczym do słodkiego owocu, pełnego słodkości i smaku.

Luba do tych pieszczot już się przyzwyczaiła i nie zwracając na nie uwagi zaczęła mnie informować, że jej **Wołyń ciągnie się między wyżyną Podolską a niziną Poleską.** W skutek takiego sąsiedztwa obie te krainy wzajemnie się przenikają i tu spotykamy krajobrazy nadzwyczaj różnorodne i urozmaicone. Te szkolne wiadomości uzupełniła pięknem, które wyróżnia w szczególności szerokie **wyżyny Lubaru, Białogródki i jary krzemienieckie oraz wyniosłe zamczyska rozsiane po całej zachodniej Ukrainie, czyli dawnych waszych kresowych ziemiach** – dodała dla mojej przyjemności. Małolatowi scharakteryzowała **uroki bagnisk Styru i Suchodu.** Te, pamiętne z wielkiej wojny. Wynikało stąd, że nudzić tu się nie można mimo, że brakuje nadmorskich plaż ciągnących, tradycyjnie jak Mickiewicza, w stronę morza. Któż nie pamięta jego ***Sonetów Krymskich...,*** w których z dala błyszczy Dniestr.

---

[3] Władysław Filar, „Burza" na Wołyniu, Oficyna Wydawnicza Rytm, Warszawa, 1997.

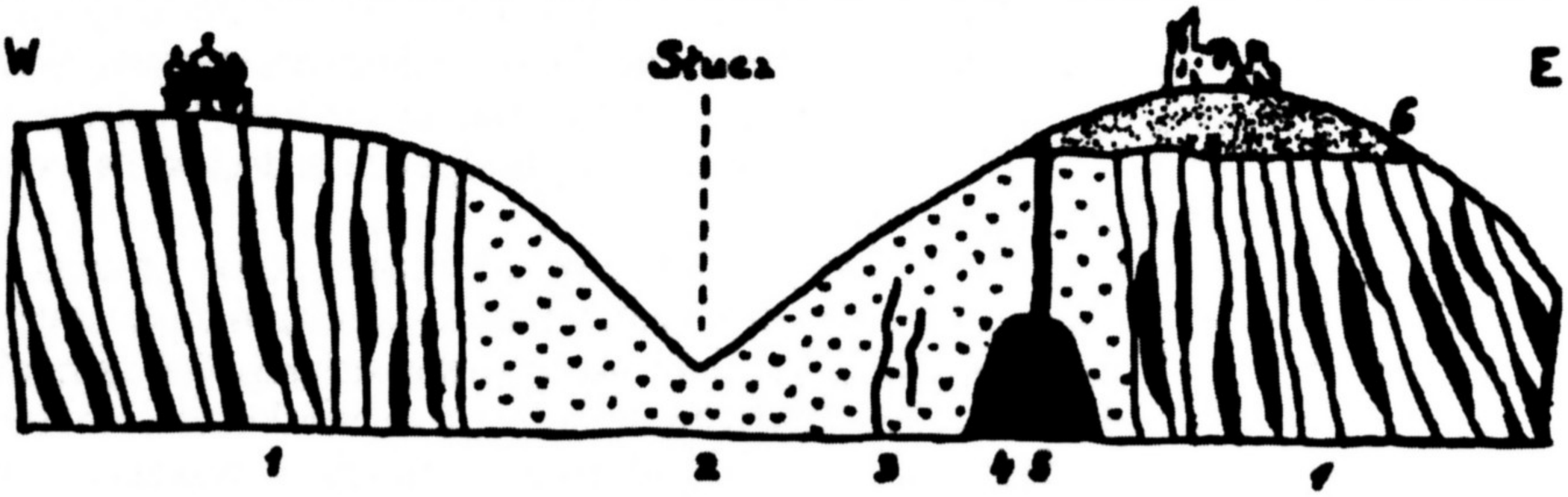

Przekrój geologiczny przez dolinę Słuczy pod Hubkowem: 1 – łupki krystaliczne, 2 – gnejsy, 3 – żyły pegmatytu czerwonego, 4 – granit, 5 – żyła pegmatytu szarego, 6 – less

Rys. 4. Geologia Wołynia (S. Lencewicz)

– Będziemy jechać przez Dniestr – cieszy się Małolat na moje wspomnienie tej rzeki. Jakie tam muszą być ryby...

– Pewno, bo tam czysta woda i mułu nie ma, jak u was na błotach, uzupełnia go nieco gniewnie Luba. **–Tam jest przede wszystkim cisza** – wsparłem Lubę czegoś dociekającą. – Skąd wiecie? dopytywał. – Z opisów Mickiewicza. Dużo słyszał i dużo wiedział. Podziwiał te stepy:

...jak cicho! – słyszę ciągnące żurawie,/ Słyszę, kędy się motyl kołysa na trawie, /Kędy wąż śliską piersią dotyka się zioła.../Jedźmy nikt nas nie woła!

– Nas znajomi wołają na Krymie – przerywa Małolat. – A tu? – No cicho jest. – Sądziłem, że usłyszysz w tej ciszy głos zbrodni wołyńskich. Na Polesiu o tym mówiliśmy. Ale ty wszystko zapomniałeś. Chyba sam zostanę i jeszcze mocniej ją usłyszę. Ta zieloność Wołynia na pewno mi w tym dopomoże. **Przez moment ta zieloność wdarła się do naszych oczu.**

Wyobraźnia podsuwała widoki płynących tu rzek (rzeczywiście piaszczystych, a nie błotnistych, jak na Polesiu), **dopełniających piękna głoszonego w opisach literackich i historycznych Mickiewicza, Słowackiego, Sienkiewicza i wielu innych literackich sław.** Całości tego piękna posklejać oczywiście nie mogłem. Ani na podstawie tych opisów, ani opowiadań Luby, ani tym bardziej własnych wędrowniczych doświadczeń. Jawiło się zbyt wiele nieznanych mi rzeczy. **Największe luki odnajdywałem na pograniczu szkolnej geografii i historii.** Zaczynały się one tak gdzieś od XV i XVI w., a ściślej od dzieła Macieja Miechowita niezwykle ongiś popularnego

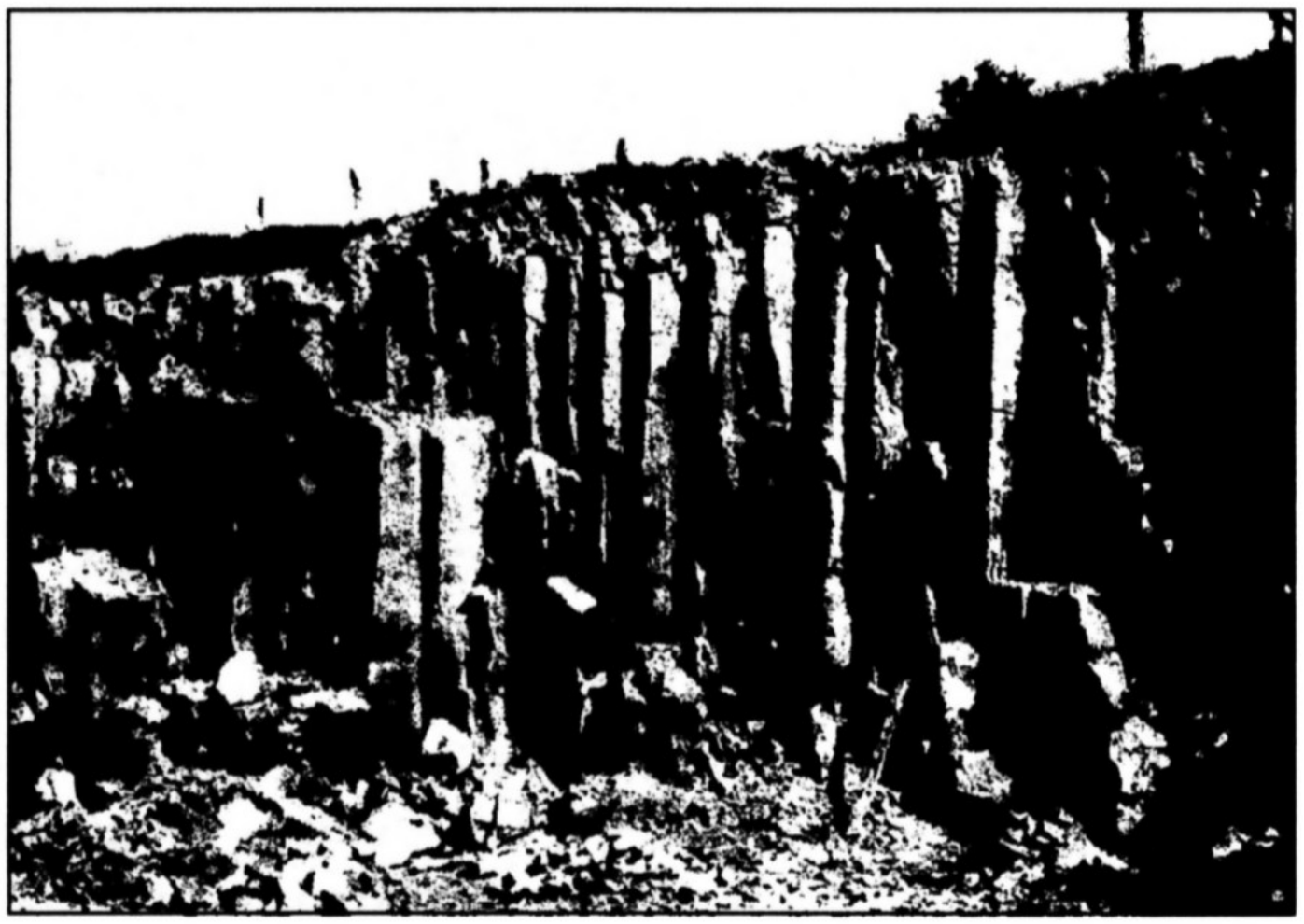

Rys. 5. Bazalty w Berestowcu (S. Lencewicz)

i tłumaczonego na 10 wydań łacińskich, 4 włoskie, 2 polskie i 1 niemieckie[4]. Teraz dzieło to miało dla mnie na nowo wielki sens zmuszający do refleksji nad rzeczami minionymi i wnioskami stąd płynącymi. Dowodziło, że historię trzeba ciągle na nowo studiować, by rozumieć współczesność bardziej skomplikowaną, od tej, która odeszła z wiatrem. Tym bardziej, że **tu dochodziła współczesność ukraińska, z każdym dniem narastająca.**

Dodajmy w dwóch aspektach: teoretycznym i praktycznym. Ale dodajmy też, że ten drugi jest niezwykle dokuczliwy. Przeszedłem już w tej materii wcale niemało doświadczeń, które nauczyły mnie logicznego myślenia i działania. Także sposobów unikania wielorakich zagrożeń, nierzadko złodziejsko-bandyckich, tryskających z historycznych korzeni. Świadom tych doświadczeń zaplanowałem trudne wędrówki do zakamarków powszechnie nawet omijanych, by naocznie „skonfrontować teorię z praktyką". **Organizowane wyjazdy miały objąć tereny rozciągające się daleko na wschód, tj. tereny kresowe z okresu przedrozbiorowego, sięgające niemal do Kijowa.** W zanadrzu, miałem też chęć powiedzieć dzień dobry Stolicy. Wyznaczona droga prowadziła **przez**

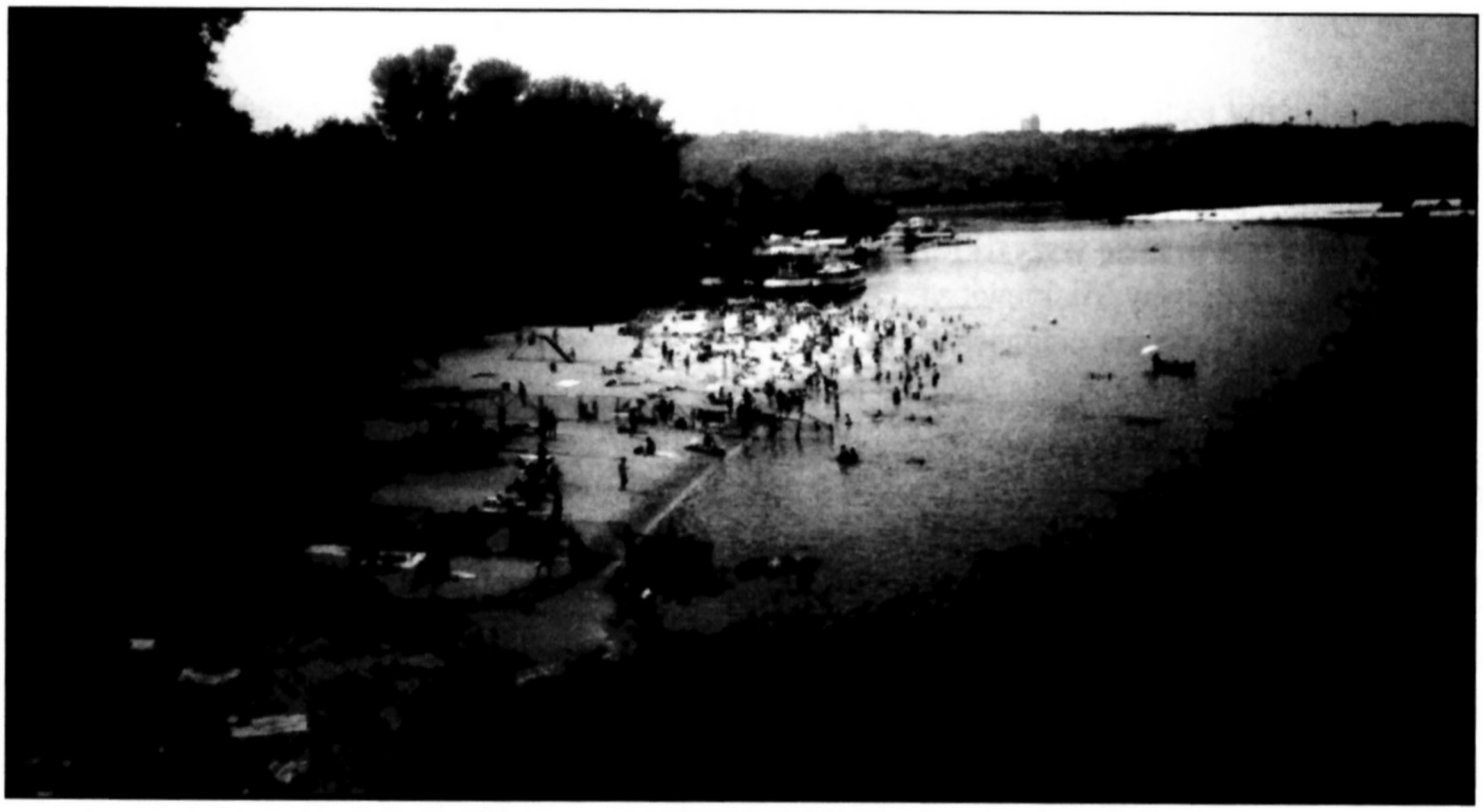

Rys. 6. Plaża nad Styrem

Łuck, Równe, Żytomierz i Koziatyń (miasto dawnych, przedrozbiorowych Kresów Polskich na wschodzie, niezbyt odległe już od stołecznego centrum), punktu przesiadkowego do dawnych południowo-wschodnich województw naszych ziem. **Stanowiły one kiedyś zwarty z Wołyniem region, którego znaczenie w gospodarce i kulturze II Rzeczypospolitej było nie do przecenienia.** Teraz, ze studiów i wyjazdów dowiadywałem się, że Wołyń serwuje mi co krok jakieś niespodzianki i ciągle powtarza za niezapominajką, która woła skromnie „nie zapomnij o mnie". Za pamięć, odwzajemnia się obrazami piękna.

Uroki wołyńskie to przede wszystkim niepowtarzalna rzeźba terenu pełna uskoków widocznych w miejscach, gdzie masyw krystaliczny styka się z płytą kredową. Przykładem może

---

[4] Por. St. Lencewicz, Wielka geografia powszechna, Polska, Warszawa, 1937, s. 4.

być całe zapadlisko wdzierające się klinem w okolice Równego. Cały ten klin idzie na wschód i północ, wzdłuż rzeki Słuczy. Drugi jego brzeg biegnie w okolice Równego, a trzeci otwiera się szeroko na Polesie. Kryje się za tym głębokie pęknięcie skorupy ziemskiej, z którego wylały się lawy wytwarzające w wyniku ostygnięcia bazalty i inne tego typu skały, występujące w całej wołyńskiej okolicy. Wspomnijmy, że to nie tylko turystyczna atrakcja, lecz wspaniały materiał dla różnego rodzaju kamieniołomów. **Badacze doliny Horynia i Słuczy mają pełne możliwości pracy i popisu.** Śledząc ten geograficzny casus widać, że cała Wyżyna Wołyńska obniża się w kierunku północy, spadając nierównomiernie, wielkimi progami i tworząc szereg garbów oraz atrakcyjnych dolin.

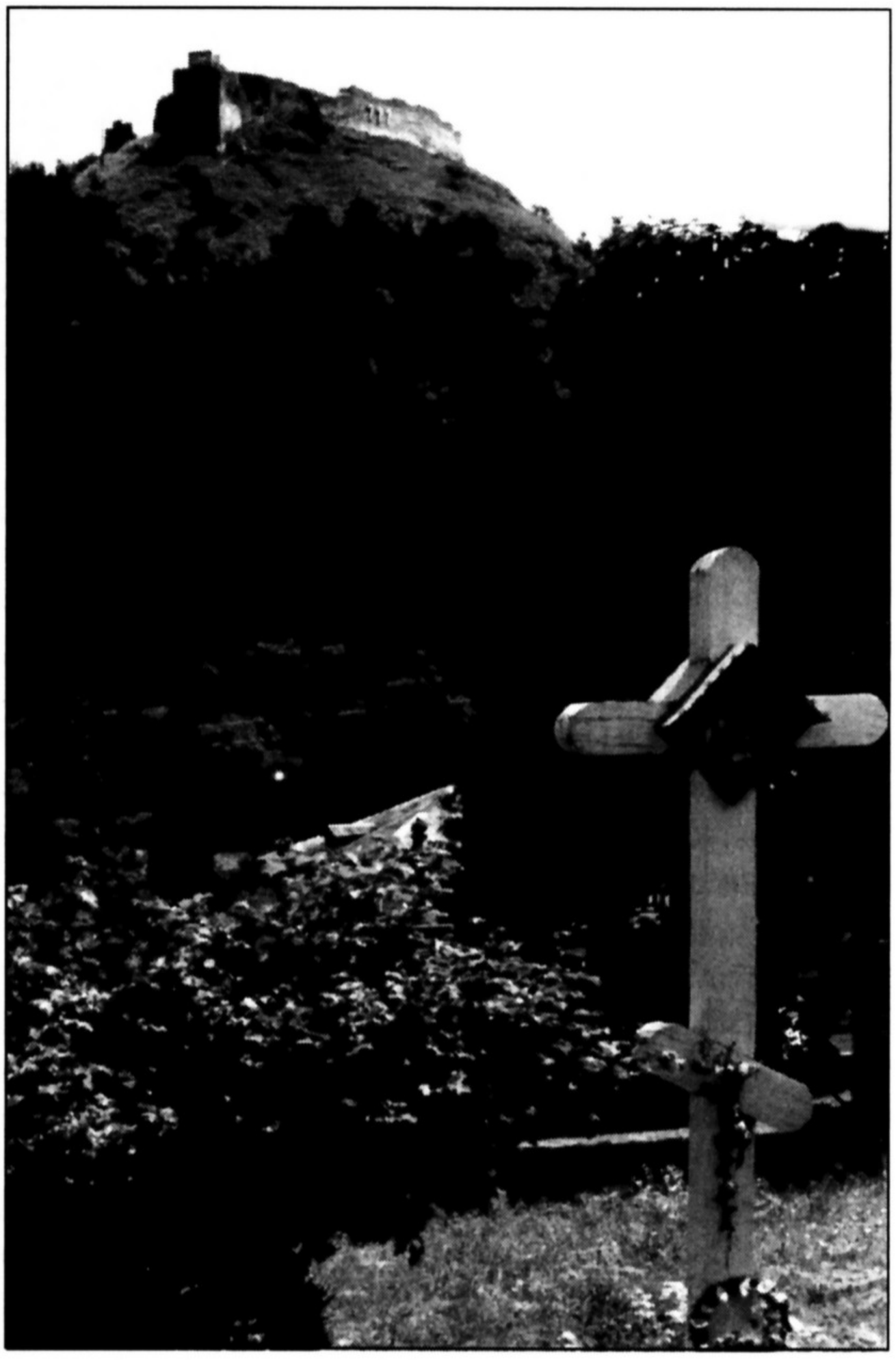

Rys. 7. Góra królowej Bony w Krzemieńcu

W podręczniku Stanisława Lencewicza, drobiazgowo tę krainę opisującym, **czytamy, że to właśnie z tego powodu ma ona naturalne oznaczenia wyróżniające ją od sąsiedniej Wyżyny Podolskiej i Niziny Poleskiej. Czytamy tam, że:**

„Przejście od Podola ...do Wołynia zaznacza się progiem znanym pod nazwą krawędzi podolskiej. Próg ten zaznacza linię najwyższych wzniesień nie tylko Wołynia, ale i całej płyty Czarnomorskiej... przylegające od północy obszary, ...robią wrażenie pasma górskiego. Pomimo silnego rozczłonkowania przez energicznie działającą tu erozję, krawędź zachowała jeszcze jednolitość przebiegu i ciągnie się linią, choć pozębioną...

Zachodnia część krawędzi, zwana Gołogórami i Woroniakami, stanowi w zasadzie dział wodny pomiędzy Bugiem i Styrem z jednej strony a dopływami Dniestru... W rzeczywistości jednak, ten dział wodny odsunięty jest nieco na południe, bo Bug i Styr źródliskami swoimi wdarły się już na Wyżynę Podolską. W jeszcze większym stopniu uczyniła to Ikwa, a Horyń z górnymi dopływami...wdarł się już tak daleko, że odciął wschodnią część krawędzi od południa, nadając jej wygląd gór Krzemienieckich[5].

[5] Znanych z przygód Zagłoby, bohatera książki *Ogniem i mieczem* H. Sienkiewicza. Dodajmy pisanej w czasie zaborów „Ku pokrzepieniu serc".

Rys. 8. Skały krystaliczne pod Kleckowem (S. Lencewicz)

„Góry" Krzemienieckie są właściwie wydłużoną ...połacią głęboko rozczłonkowanej płyty. Erozja postępowała tu tak szybko, że poodcinała liczne góry-świadki; jedne z nich połączone są jeszcze z płytą główną, jak góra Bony w Krzemieńcu, drugie znajdują się w odosobnieniu i świadczą o dawnym zasięgu wyżyny, jak góra Buża (366 m), leżąca po drugiej stronie Ikwy. Urozmaicenie gór Krzemienieckich podnosi ta okoliczność, że warstwy piaskowców trzeciorzędowych są jakby dachem, chroniącym od spłukania zalegające pod niemi miękkie pokłady kredowe, w częściach zaś rozciętych już przez erozję, bryły tych piaskowców sterczą na wierzchołkach w postaci malowniczych skalic. Góry Krzemienieckie obniżają się ku wschodowi, a następnie krawędź wyżyny załamuje się i biegnie ...na Szepetówkę, predysponowana tu widocznie jakąś linią tektoniczną; na wschodnim Wołyniu daje się zauważyć tylko dlatego, że zbiega się z północną granicą jednolitego obszaru lessowego. Powstanie krawędzi podolskiej da się wytłumaczyć po prostu energiczną erozją rzeczną... której może współdziałała predyspozycja tektoniczna głębszego paleozoikum. Krawędź podolska uwydatnia się, rzecz prosta, dzięki temu, że u jej stóp rozłożyła się nizina, a powstanie tej niziny wyjaśnia zarazem wytworzenie się jej brzeżnej krawędzi.

Nizina, leżąca u podstawy krawędzi podolskiej, zbudowana jest z kredy, pokrywającej stare zapadlisko paleozoiczne. Składa się ona z kilku kotlin, z których wybiegają ku północy rzeki: Bug, Styr i Ikwa. Sama nizina ciągnie się pasem równoleżnikowym, ale rzeki wychodzą z niej na północ przełomami. Na źródłowiskach Bugu rozszerza się ona znacznie, tworząc tzw. kotlinę górnego Bugu, nad górną Ikwą, zaś bagnista kotlina przybiera charakter o tyle poleski, że nazywają ją „Małem Polesiem", podobnie jak i następną – Ostrogską, leżącą przeważnie już za granicą.

Kotliny te leżą w poziomie 200–220 m, a dna, drenujących je głównych dolin rzecznych zeszły już do poziomu 190 m., tj. do wysokości niziny poleskiej, na jej zetknięciu się z wyżyną Wołyńską. Powstały one jeszcze w pliocenie i początkowo miały kształt gruszkowatych, wielkich zbiorników strumiennych, później rozszerzały się stopniowo i łączyły z sąsiednimi, w podobny sposób, jak to widać na górnej Stubli i Uściu. W ten sposób kotlina Ikwy połączyła się w jedną stronę z kotliną Styru i Bugu, a w drugą, przez Ponorę i Zbytenkę – z kotliną Ostrogską. Dziś pomiędzy poszczególnymi kotlinami wznoszą się przegrody działów wodnych..., co znów jest spowodowane najnowszą erozją rzek głównych; w epoce lodowcowej działy wodne pomiędzy nimi były o tyle niskie, że płynęły tędy na wschód wody roztopowe lodowca, który wtargnął do kotliny Bugu. Osadzone w tym czasie piaski dały podstawę do wytworzenia się z nich wydm i w ogóle krajobrazów poleskich. Od północy, kotliny obrzeżone są znów wyniosłym wzniesieniem. Zaczyna się ono nad Bugiem..."[6].

Mimo charakterystycznych cech wołyńskiej ziemi niełatwo było nawet tak znakomitemu geografowi ustalić jej granice. **Była ona raczej symbolem budowanej tu od wieków polskości. Do-**

[6] Stanisław Lencewicz, Wielka geografia...op. cit., s. 335–336.

dajmy w walkach prowadzonych ogniem i mieczem. Wcale tego Ma-
łolat nie rozumiał ani nie czuł. Upodabniał się raczej do Józefa z Wier-
nej Rzeki Żeromskiego. Józef przedłożył przecież uczucia nad wszel-
ki racjonalizm i wycofał się z walk powstań- czych na rzecz uczuć do
mamy[7]. Ale i dziś Wołyń, jak dawniej gra- nic nie ma. **Co jednak gor-**
sze, nie ma też i pamięci, o czym nietrud- no się przekonać.

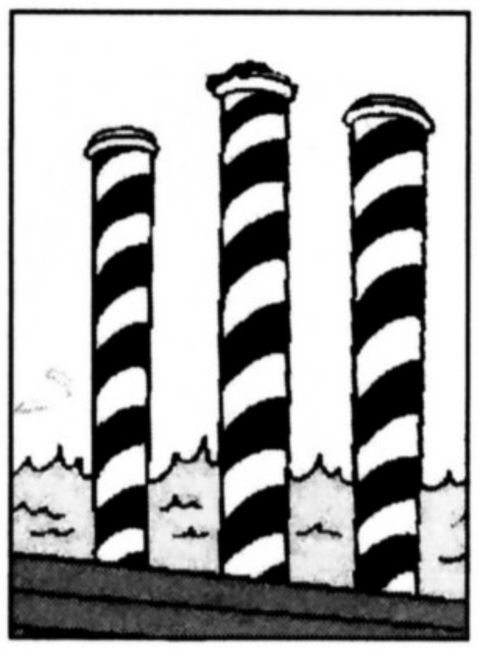

Luba co nieco w tej materii była już zo- rientowana, natomiast Mało-
lat tkwił w niej jak młody niedoświadczo- ny bawół przeceniający
swoje możliwości. Widocznie rzeczywiście uważał, że świat tutaj na
Lubie się zaczyna i kończy. Tak było prze- cież w miłości budującej siły
jego ciała i ducha i tak narastały oczekiwa- nia uzgodnione w planach
na Polesiu. **Mieliśmy przecież robić wspólne, wypady do miejsc znanych, ale i do tych nieznanych, jakby ukrytych na wołyńskiej ziemi, a godnych wydobycia z okrutnego zapomnienia.** Wołyń z dziewczyną-Maliną rysował mu się przynajmniej na krótko jako ziemia wolna, dla niego tym razem dopiero do zdobycia.

Pola bez miedzy i gruszy

Moje wołyńskie problemy związane były z tradycją polską. To ona w historii tej ziemi niosła kulturę i cywilizację. Nie była do tej ziemi przylepiona, lecz z niej wynikała, tworząc nieprzebrane zasoby materialnych i duchowych skarbów, po wiązanych z chrystusowym krzyżem. **Tej cywilizacji wymazać się nie da, mimo najbrutalniejszych na nią ataków. Odnajdujemy ją wszędzie.** W zamkach, kościołach, architekturze, miastach i wsiach, nawet w zaoranych ugorach i cmentarzach. Najgłębiej chyba tkwi w naszych sercach. Małolat tego rzecz jasna nie rozumiał. Próbowałem mu coś klarować i nawet odczuł potrzebę wyjazdu do takiego zaoranego ugoru, maskującego te wymordowane wsie. A jednak Krym i wakacje nad morzem tak go absorbowały, że szanse na spełnienie naszych planów stawały się coraz mniejsze.

Mimo że tym razem chodziło o tereny stąd nieodległe, przygraniczne, niebezpieczne raczej w poruszaniu się samotnej, starszej osoby, co on chyba wydawał się rozumieć. Wiedział, że te właśnie tereny stanowiły duchowy prolog mojej całej wędrówki kresowej. **Pominięcie ich nie wchodziło w** rachubę, wszak sądziłem, że bohaterowie ich i po śmierci (chyba w szczególności) wybaczyć by mi tego nie mogli. Wielka historia zaczynała się więc tu, zaraz za granicą obecnej Polski, utrwalona w książce *Wołyński Testament* opracowanej przez Leona Popka, Tomasza Trusiuka, Pawła i Zenona Wira. Zgromadzone w niej dokumenty i opisy **dotyczą masowego mordu o charakterze ludobójczym, jakiego dopuszczono się we wsiach Ostrówki i Wola Ostrowiecka w dawnym powiecie lubomelskim, leżącym przy obecnej granicy z Polską.**

---

[7] W powieści tej znajdzie Czytelnik i inne przykłady uczuć panujących nad rozumem. Oficer rosyjski Wiesnicyn nie chce ranić swojej Salomei, wypuszcza powstańca na wolność. Również Rudecki widząc zniszczenie swojego gospodarstwa po powrocie z więzienia, umiera pod wpływem smutku.

Rys. 9. Fragment okładki Wołyński Testament

Rys. 10. Czesław Fotek zamordowany we wsi Ostrówki

W tych wsiach, w ciągu zaledwie paru godzin Ukraińcy pod wodzą UPA wymordowali ponad 1000 bezbronnych i niewinnych osób. Majątek po ofiarach zrabowano, a resztę, w tym zabudowę, spalono. Po wsiach na których obecnie rozciągają się kołchozowe pola nie zostało śladu. Z ocalałych wspomnień tej tragedii przytoczymy fragment pomieszczony w wyżej wspomnianej pracy[8].

„Gdy do wsi weszli Ukraińcy, pytano ich, co się dzieje. Ci odpowiedzieli, że wszystko będzie powiedziane na zebraniu....

Gdy na placu szkolnym i w szkole zebrało się dużo ludzi, oddzielono kobiety i dzieci, które popędzono do kościoła. Przestraszonych i zdezorientowanych Polaków uspokajano, mówiąc cały czas o zebraniu, na którym miały zapaść ważne decyzje wiążące się ze wspólną walką z Niemcami...

W czasie, gdy Polacy oczekiwali na rzekome zebranie, kopano już w kilku miejscach doły, do których wrzucono później ciała pomordowanych.

Mężczyzn i chłopców wyprowadzono dziesiątkami do zabudowań Trusiuka i Suszka. Wcześniej Ukraińcy zarządzili pod karą śmierci oddanie broni, zegarków i złota. Przybyły też posiłki w postaci dwóch dużych oddziałów uzbrojonych w moździerze i karabiny maszynowe. Ludzie przed śmiercią modlili się i śpiewali pieśni religijne. Nie wszyst-

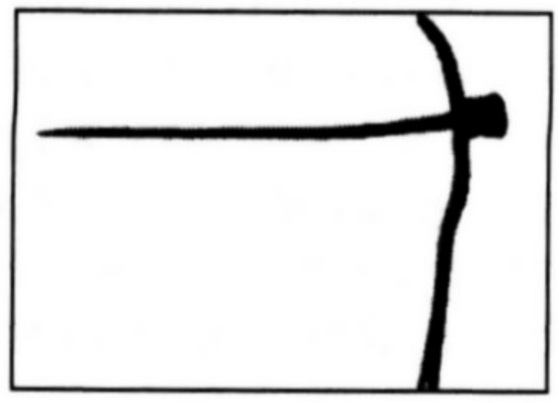

Rys. 11. Widły przygotowane do zabijania. Złamane u nasady i porzucone do dołu wraz z ofiarami

[8] *Wołyński Testament*, opracowali: Leon Popek, Tomasz Trusiuk, Paweł Wira, Zenon Wira, Towarzystwo Przyjaciół Krzemieńca i Ziemi Wołyńsko-Podolskiej, Lublin, 1997, s. 35–40.

kich złapanych doprowadzono do szkoły. Były wypadki, że mordowano Polaków w obejściach, a ciała pozostawiano lub wrzucano do studni.

W stercie słomy został zauważony ksiądz Dobrzański. Zaprowadzono go do okólnika Trusiuka i tam zamordowano wraz z grupą około 70 mężczyzn i kilku kobiet z dziećmi. Z tego miejsca śmierci ocalały tylko 2 osoby... Równolegle z mordowaniem Polaków zorganizowane grupy Ukraińców z sąsiednich wiosek rabowały mienie pozostałe po zabitych. Zabierano rzeczy znajdujące się w domach oraz inwentarz żywy. Zdarzało się, że w trakcie rabunku odkrywano schowanych ludzi, których na miejscu mordowano.

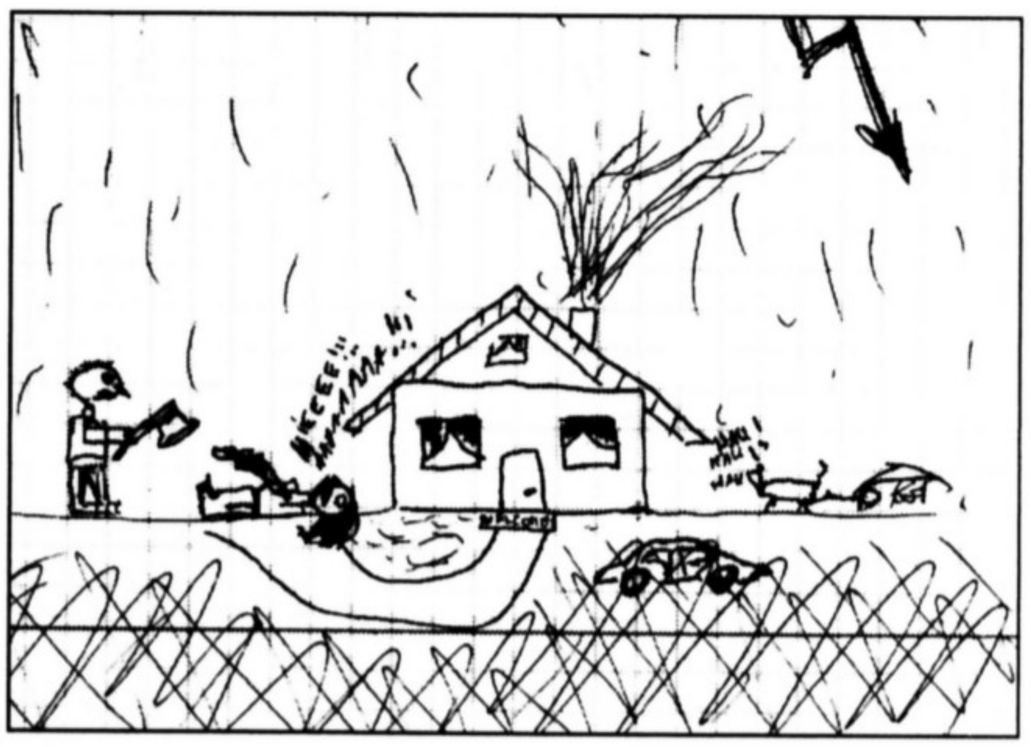

Rys. 12. Cierpienie i śmierć

W zabudowaniach Suszków w Ostrówkach zamordowano przy użyciu siekier, wideł i kołków około 100 osób. Dla zatarcia śladów zbrodni zabudowania podpalono[9]*. Gdy wymordowano wszystkich mężczyzn, zaczęto w wielkim pośpiechu wypędzać z kościoła kobiety i dzieci. Było w nim około 300 osób. Zbliżało się południe. W kościele rozbrzmiewał płacz, prośby, błagania i modlitwy do Boga o ocalenie. W chwili wyprowadzania wszyscy śpiewali „Pod Twoją obronę"... Tych, którzy nie mieli już sił, zabijano po drodze...*

Rys. 13. Wymordowane rodziny Bednarzów i Uszaruków

Kobiety i dzieci z kościoła w Ostrówkach zostały zapędzone pod ukraińską wieś Sokół, gdzie kazano wszystkim kłaść się na ściernisku i zabijano następnie strzałami z broni palnej i pchnięciami bagnetów. Przed egzekucją przyjechał na koniu Ukrainiec, który dowodził oddziałem UPA. Odczytał wszystkim zebranym wyrok śmierci. Niektóre kobiety rozpoznawały wśród oprawców znajomych z pobliskich wiosek".

Po zakończeniu egzekucji między leżące ciała wrzucono granaty. Sprawdzano także, czy wszyscy zginęli, a dostrzeżonych rannych dobijano. Obrabowano też niektóre zwłoki z cenniejszej odzieży...

W Woli Ostrowieckiej mordowanie Polaków przebiegało podobnie jak w Ostrówkach.... Wszystkich mieszkańców wsi i przyległych kolonii informowano, że w szkole odbędzie się zebranie, na którym miano rzekomo omawiać szczegóły wspólnej walki Ukraińców i Polaków z Niemcami...

Gdy Polacy wypełnili szkołę i sąsiadujący z nią plac, otoczył ich kordon uzbrojonych Ukraińców. Grupę około 40 kobiet i dzieci, która nie mogła zmieścić się w szkole, zaprowadzono do pobliskiej stodoły Jeziorków – „Witów".

---

[9] Jeszcze tego samego dnia z dołu wydobyto ciężko rannego starszego mężczyznę i 14-letniego Bolesława Ulewicza. Oni zmarli w szpitalu w Lubomlu.

INSTYTUT TECHNOLOGII EKSPLOATACJI
BIBLIOTEKA
w Radomiu

Niektórzy rozpoznawali wśród bandytów sąsiadów z Sokoła, Połap czy Przekurki. Kilku mężczyzn (w tym Łukasz Jesionek i „Martyn") nawoływało do zorganizowania obrony lub wspólnej ucieczki, za co zostali na oczach zebranych zastrzeleni. Mimo tragicznej sytuacji i świadomości, że Ukraińcy zamierzają wszystkich wymordować, Polacy wzajemnie uspokajali się i sprawiali wrażenie pogodzonych z losem...

Rys. 14. Część kości z mogiły w Ostrówkach

Podczas gdy Ukraińcy wyłapywali i mordowali mieszkańców Woli Ostrowieckiej, w zabudowaniach wsi inna grupa – w tym kobiety i dziewczęta ukraińskie z Hupał, Połap, Przekurki i Sokoła rabowała mienie Polaków. W trakcie grabieży znajdowano ukrytych mieszkańców, których natychmiast zabijano, a ciała wrzucano do studni. Wszyscy napastnicy dla wzajemnego rozpoznania mieli podwinięty prawy rękaw ubrania.

Około godziny 10 Ukraińcy zaczęli wyprowadzać po 5–l0 mężczyzn z budynku i placu szkolnego do odległej o około 50 metrów stodoły Strażyca na rzekome badania lekarskie. Na miejscu polecono Polakom oddać broń, złoto i zegarki. Następnie kazano wszystkim rozebrać się do bielizny i przejść na tok. Tam mordowano uderzeniami siekier, maczug, drewnianych kołków w głowę i przebijano widłami. Ciała układano następnie warstwami w wykopanym wcześniej za stodołą dole.

W ten sposób zamordowano około 250 osób – głównie mężczyzn. Z miejsca kaźni udało się uciec tylko jednej osobie – Władysławowi Soroce.

Po zabiciu wszystkich mężczyzn, do stodoły zaczęto doprowadzać kobiety z dziećmi. Kilka kobiet i dziewcząt próbowało uciekać, ale były powstrzymywane przez inne. W jednej z sal lekcyjnych było zgromadzonych około 50 kobiet z dziećmi. Prosiły Ukraińców o darowanie życia przynajmniej dzieciom. W odpowiedzi usłyszały, że wszyscy Polacy zostaną zabici.

Gdy zapełnił się dół u Strażyca, Ukraińcy zamknęli szkołę, obłożyli ściany budynku słomą, obleli benzyną i podpalili. Dodatkowo wrzucili do wnętrza granaty. W tym czasie w szkole znajdo-

Rys. 15. Ustawianie krzyża na ekshumowanej mogile w Ostrówkach

wało się około l50–200 osób. Większość zginęła od eksplodujących granatów, wiele spłonęło żywcem. Niektórzy próbowali uciekać przez okna, ale te były obstawione przez napastników, którzy strzelali do wyskakujących. ...

Po wymordowaniu mieszkańców Ostrówek i Woli Ostrowieckiej kilkuosobowe grupy Ukraińców przeczesywały wsie i okoliczne pola, głośno nawołując po polsku do wychodzenia z kryjówek. Ci, którzy nie podejrzewając podstępu wyszli, byli natychmiast zabijani. Ukrytych ludzi wskazywały także Ukrainki, które rabowały mienie pozostałe po zabitych.

Po południu nad Ostrówkami i Wolą Ostrowiecką krążył niemiecki samolot rozpoznawczy. Prawdopodobnie wykonywał zdjęcia miejsc zbrodni. ...

Odnotowano nieliczne przypadki udzielania przez Ukraińców – z narażeniem własnego życia – pomocy uciekinierom z Ostrówek i Woli Ostrowieckiej...

W święto Narodzenia Najświętszej Marii Panny – 8 września 1943 r. Ukraińcy z Równego (wśród których był Wasyl Szygar) podpalili kościół w Ostrówkach i pozostałe domostwa w obu wsiach).

W 1943 r. w Ostrówkach mieszkały co najmniej 664 osoby – 121 rodzin. Z tej liczby zginęło co najmniej 469 osób, tj. 70%. W liczbie tej było na pewno 145 mężczyzn, 125 kobiet i 179 dzieci (do lat 16). W tym samym czasie liczba mieszkańców Woli Ostrowickiej wynosiła co najmniej 866 osób – 197 rodzin. Podczas rzezi zginęły co najmniej 572 osoby, tj. 66%. W liczbie tej było na pewno 161 mężczyzn, 185 kobiet i 158 dzieci. Łącznie w obu wsiach nacjonaliści ukraińscy zamordowali co najmniej 1041 osób...

Sposób i okoliczności przeprowadzenia mordu wskazują, że jego celem było fizyczne wyniszczenie całej ludności Ostrówek i Woli Ostrowieckiej – w tym także dzieci, kobiet i starców...

Znane są dokładne miejsca śmierci i zarazem pochówku większości ofiar. W Ostrówkach: zabudowania Trusiuka – co najmniej 80 osób (głównie mężczyźni, mogiła ekshumowana w sierpniu

Rys. 16. Pielgrzymka do miejsca zbrodni (z laską p. Helena Popek)

1992 r.), zabudowania Suszka – około 100 osób, kuźnia Bałandy – około l5 osób, tzw. „księżowski wygon" – około 5 osób. W Woli Ostrowieckiej: zabudowania Strażyca – co najmniej 243 osoby (głównie mężczyźni, mogiła ekshumowana w sierpniu 1992 r.), stodoła Jesionków „Witie" – około 30 osób (głównie kobiety i dzieci), szkoła – około 200 osób (kobiety i dzieci). Pod wsią Sokół zamordowano i pogrzebano około 300 osób, głównie kobiet i dzieci (około 260 z Ostrówek i około 40 z Woli Ostrowieckiej). W dniu poprzedzającym rzeź Ukraińcy zamordowali w Sokole 3 osoby, a w Przekurce 1. Około 60 osób zginęło na polach otaczających obie wsie, we własnych zabudowaniach i koło cmentarza w Ostrówkach.

Zachowane dokumenty i relacje świadków pozwalają bezsprzecznie stwierdzić, że mordu na mieszkańcach Ostrówek i Woli Ostrowieckiej dokonał kureń lubomelski UPA dowodzony przez „Łysoho" i przybyła z okolic Lwowa sotnia (kureń?) UPA „Zirka" pod dowództwem „Worona" .... Do pomocy zmobilizowano kilka tysięcy ludności ukraińskiej, m.in. z następujących wsi: Hołowno, Hupały, Piszcz, Połapy, Przekurka, Pulemice, Rogowe Smolary, Równo, Sokół, Szack, Terebejki, Wiszniów, Zabuże...Wśród oprawców rozpoznawano często dobrych znajomych i sąsiadów z ukraińskich wiosek. Byli to m.in.: Alosza Basiuk z Sokoła, Chałchun, Hryć Helkowicz z Wiszniowa, Iwan Klekociuk z Równa, Sergiej Łopatko, Machońko z Hupał, Maśluk z Wilczego Przewozu, Nahum (lub Naum) z Kolonii Pasieka koło Kokorawca, Iwan Paciuk i jego syn z Terebejek, Wasyl Szygar z Równego, Iwan i Hryć – synowie popa prawosławnego z Wiszniowa"[11].

Rys. 17. Uroczystości pogrzebowe z udziałem władz państwowych Ukrainy[10]

Wymordowanie mieszkańców obu wsi umożliwiło ludności ukraińskiej zrabowanie pozostawionego po ofiarach majątku z zabudowaniami włącznie, które stopniowo były rozbierane i roz-

---

[10] Zdjęcia 9, 10, 11, 13, 14, 15, 16, 17 pochodzą z cytowanej książki.

[11] Wołyński Testament, opracowali: Leon Popek, Tomasz Trusiuk, Paweł Wira, Zenon Wira, Towarzystwo Przyjaciół Krzemieńca i Ziemi Wołyńsko-Podolskiej, Lublin, 1997, s. 35–40.

kradane, przewożone i na nowo montowane, a częściowo palone. **Zostawała już „czysta" Ukraina. Że aż strach!** Garstka jedynie ocalałych mieszkańców uciekła przez granice ciernistych krzewów i zapór na zachód, do Polski. Często z okaleczonym ciałem i duszą na ramieniu. Tą, która nigdy nie zaznała spokoju. **Dzisiejsze przygranicze ma inną niż tamto mapę.** Próbuję ją rozczytać i określić plamę niewinnej krwi. Wymownej jak kamienie, które wydarto z tej ziemi na wybrukowanej przez te wsie drodze. Wiem, że zostały wykorzystane do utwardzenia traktu między późniejszym Starowojtowem a Rownem. **To jeszcze jedno perfekcyjne zatarcie śladów tamtych wsi.**

Dodajmy, że kołchoz miejscowy wchłonął niebawem tradycyjne polskie poletka poprzecinane miedzami, na których rozsiadały się typowe dla krajobrazu polskiego grusze. Ileż to wzmianek o nich odnajdujemy w literaturze naszych wielkich pisarzy, że wspomnimy: **Mickiewicza** (...na nich z rzadka ciche grusze siedzą) czy **Sienkiewicza** (...niecka ulęgałek, ...a rodzić będzie jak grusza ulęgałki).

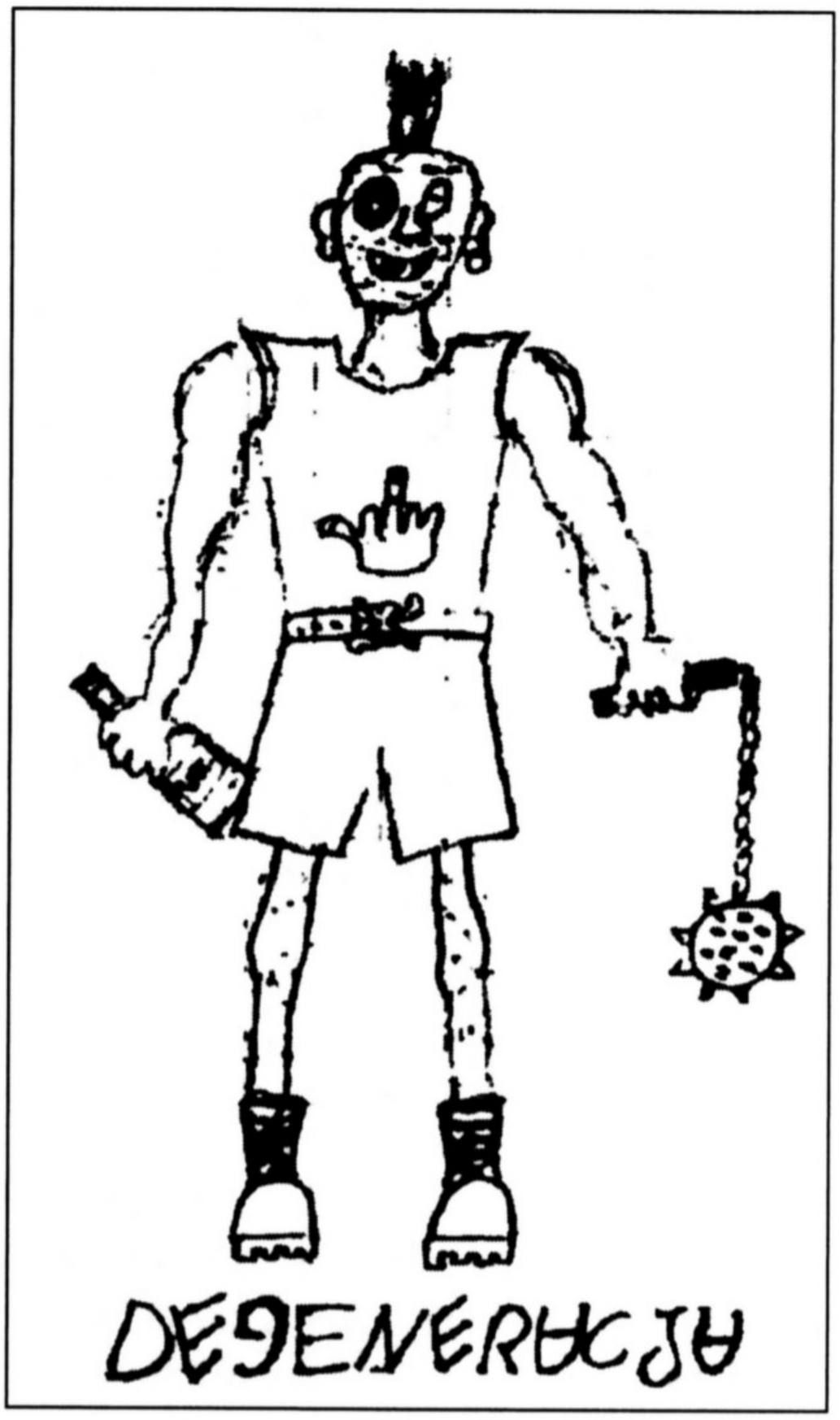

Rys. 18. Rezun czyhający na ofiarę

Sienkiewicz ustami Zagłoby dopowiada ten codzienny pejzaż gruszy sąsiedzkiej: „...bo trzeba waszmościom wiedzieć, że oni mają ten proces z Jaworskimi o gruszę, co na miedzy stoi i w połowie nad Jawroskimi gruntami, a w połowie nad naszymi ma gałęzie. Owóż jak ją Jaworscy trzęsą, to i nasze gruszki opadają, a dużo idzie na miedzę. Oni tedy powiadają, że te, co na miedzy leżą to ich, a my... – ale ty nam opowiadaj o Bohumie, a nie o gruszach"[12].

Przyznam się Czytelnikowi, że i ja temat gruszy wprowadziłem dla odpoczynku ducha. **Nie wierzę bowiem, aby można było tak makabryczne zbrodnie przyjmować normalnie, bez odpoczynku.** W takim momencie świadomość i organizm, całe człowieczeństwo jest bezsilne i odmawia posłuszeństwa. Trzeba więc zostawić kropki ... by zebrać siły na odpoczynek i przywrócić mechanizmy pamięci. Już dla uczczenia ofiar, wszak sprawiedliwość i wyrównywanie krzywd wchodzić w rachubę nie może. Jest za późno.

[12] Henryk Sienkiewicz, Ogniem i mieczem, Wydawnictwo GREG, Kraków, 2003, s. 434.

Szlaki okrucieństwa

Okres powojenny nie sprzyjał oczywiście wydobywaniu wielkich zbrodni na jaw. Strach, tortury (**szczególnie te w czasach bermanowszczyzny**)[13], ucinanie najmniejszych prób ujawniania tragedii naszego narodu, zrobiły swoje. Do wielkich wyjątków należeli ci, którzy ten strach potrafili przełamać. Do dziś nie umiemy ich docenić. Więc nie pochlebiajmy sobie jako naród. Nic nowego w tej materii. Przecież już Dmowski zauważył że: „...potomkowie walecznej i miłującej wolność szlachty polskiej pozwalali się w czasie konfederacji barskiej pędzić jak barany przez całą niby wolną jeszcze Polskę"[14]. W setkach pomordowanych ofiar, o których tu mówimy, **trudno zatem nie zauważyć łatwowierności i dziecięcej wiary w każdego człowieka, choćby to była tylko skóra przez diabła noszona.** Przecież kilku mężczyzn (w tym **Łukasz Jesionek i „Martyn"**) nawoływało do samoobrony lub ucieczki, ale ich wezwania nie podjęto. Mimo bezpośredniego widma morderczej śmierci.

Po tym doświadczeniu raz jeszcze nawoływać trzeba do wnikliwego, bardzo wnikliwego przestudiowania książki Dmowskiego. **Dziękuję w tym miejscu moim studentom, którzy złożyli tyle wspaniałych recenzji cenionych przeze mnie wyżej niż wszystkie moje dyplomy i opracowania.** Z jakimż zrozumieniem przyjęli informacje, że w 50 rocznicę tych mordów, za którymi stali organizatorzy z UPA, popłynęły z Bazyliki Św. Brygidy w Gdańsku w eter **słowa wygłoszonej homilii** podczas mszy świętej. Usłyszeliśmy wówczas od **Ks. Jankowskiego** m.in. „Przebaczyć, nie znaczy – zapomnieć. Byłoby to nieludzkie i podłe, tak wobec zmarłych, jak i tych nielicznych jeszcze żyjących. Zapomnieć, to znaczy zbeszcześcić tę ofiarę i uznać katów za bezkarnych i rozgrzeszonych. Niech ta nie zakrzepła jeszcze krew będzie świadectwem zaniesionym do stóp Przedwiecznego, aby ulitował się i odpuścił winę tym, którzy się tej zbrodni dopuścili. Ci nią napiętnowani, mają, szansę oczyścić się z tej zmazy tylko przez ogłoszenie całej prawdy wolnej od przemilczeń, przeinaczeń i manipulacji. A ci, co zginęli, niech pozostaną na zawsze w naszej pamięci"[15].

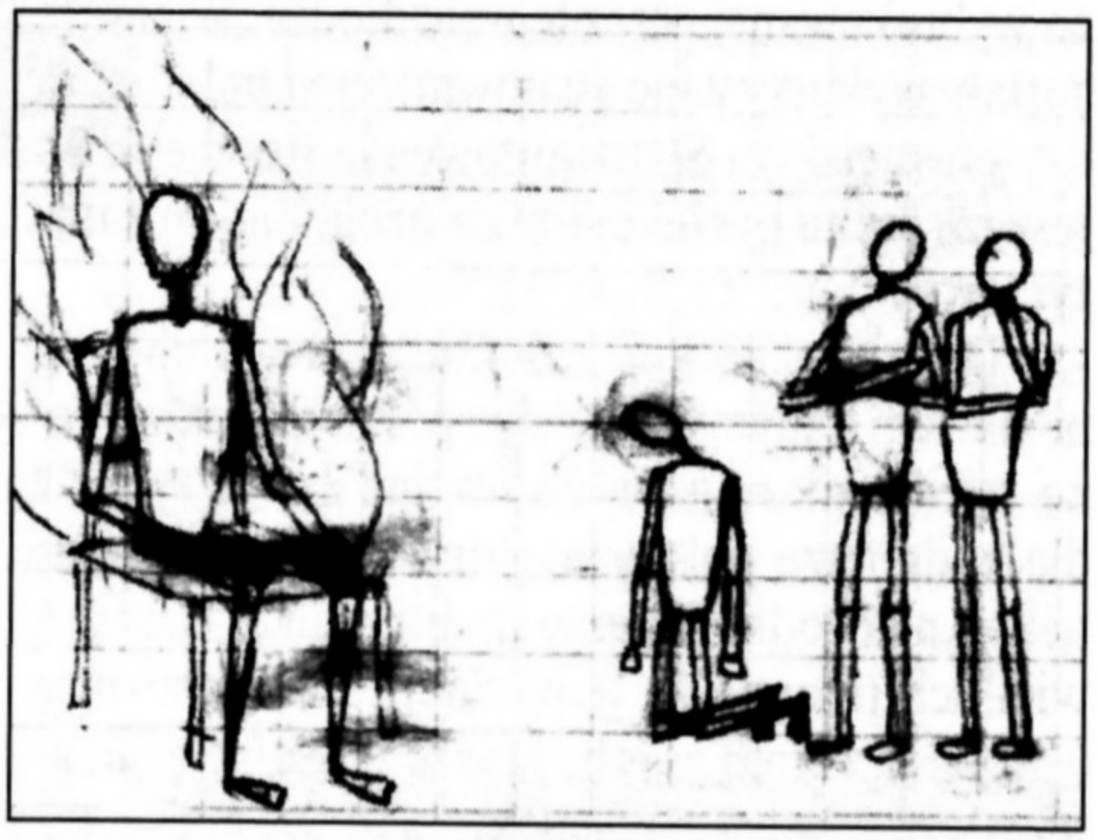

Rys. 19. Z okresu Bermanowszyzny

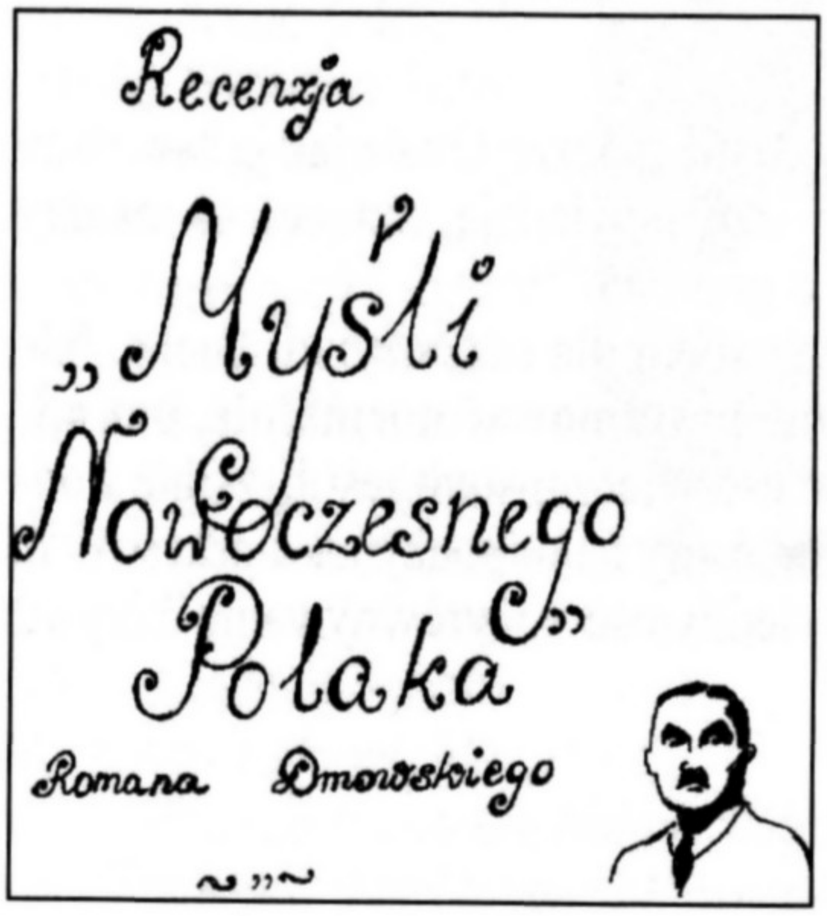

Rys. 20. Aktualne i dziś

Warto dodać, że słowa te poprzedziła **częściowa ekshumacja ofiar rzezi. Częściowa, bo odkryto zaledwie**

[13] Por. Jakub Berman (brat słynnego Adolfa Abrahama, członka Poalej Syjon-Lewicy) szef Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego osławionego niewyobrażalnymi zbrodniami na Polakach.

[14] Roman Dmowski, Myśli nowoczesnego Polaka, ZP „Grunwald", Warszawa, 1983, s. 32.

[15] Por. Wołyński Testament, op. cit. s. 41.

dwie zbiorowe mogiły obejmujące 324 osoby, pomordowane w dn. 30 sierpnia 1943 r. i ukryte w odkopanych dołach. W samej tylko Woli Ostrowieckiej wydobyto szczątki 243 osób, w tym 120 mężczyzn, 37 kobiet, 20 osób poniżej 20 r. życia (w tym 19 dzieci). Niestety z braku funduszów i środków wstrzymano prace pod Sokołem, gdzie była największa zbiorowa mogiła i pominięto

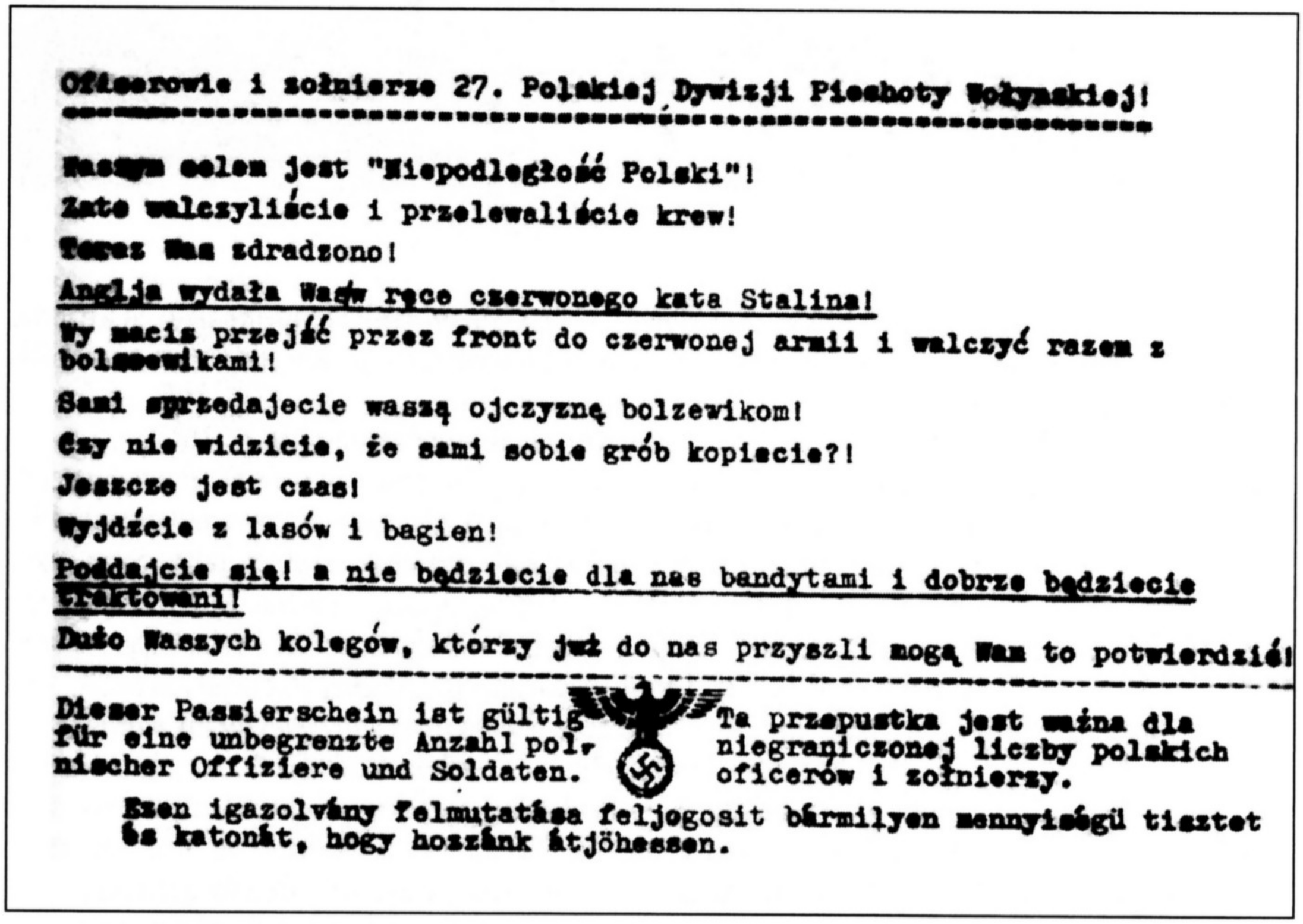
Offizierowie i soldaty 27. Polskiej Dywizji Piechoty Wołyńskiej!

Waszym celem jest "Niepodległość Polski"!
Zato walczyliście i przelewaliście krew!
Teraz Was zdradzono!
Anglja wydała Was w ręce czerwonego kata Stalina!
Wy macie przejść przez front do czerwonej armii i walczyć razem z bolszewikami!
Sami sprzedajecie waszą ojczyznę bolzewikom!
Czy nie widzicie, że sami sobie grób kopiecie?!
Jeszcze jest czas!
Wyjdźcie z lasów i bagien!
Poddajcie się! a nie będziecie dla nas bandytami i dobrze będziecie traktowani!
Dużo Waszych kolegów, którzy już do nas przyszli mogą Wam to potwierdzić!

Dieser Passierschein ist gültig für eine unbegrenzte Anzahl polnischer Offiziere und Soldaten.

Ta przepustka jest ważna dla niegraniczonej liczby polskich oficerów i żołnierzy.

Ezen igazolvány felmutatása feljogosit bármilyen mennyiségü tisztet és katonát, hogy hozzánk átjöhessen.

Rys. 21. Ulotka niemiecka do partyzantów Wołynia

inne, mniejsze, nie mówiąc już o dołach, rozsianych po całym terenie, w których oprawcy przysypywali swoje ofiary ad hoc. Oczywiście **ekshumowane szczątki przewiezione zostały na dawny cmentarz rzymskokatolicki** i tam w ramach uroczystości żałobnych pochowane. Dodajmy przy udziale rodzin osób pomordowanych. **Usunięto wtedy przykrycie zwłok, by rodziny po raz ostatni mogły pożegnać się ze swoimi najbliższymi.**

Rozliczne szczątki pozostałych ofiar nadal gromadzi wołyńska ziemia, której zabrakło pamięci do otoczenia ich ludzką godnością i czcią. Dodajmy, że nie odosobniony to przypadek na dawnych ziemiach kresowych. Wielokrotnie spotykałem tu wysypiska białych kwiatów znaczących polskie ofiary, które ta ziemia pochłonęła. Te bowiem charakterystyczne kwiatki rosnące – jak wiem – tylko na ludzkich kościach wyraziście oznaczają po jakimś czasie zapomniane mogiły. **Na Polesiu spotkałem ich moc, m.in. tuż przy oznakowanych grobach żołnierskich.** Znajomi twierdzą, że spotykali je często w lasach Wołynia, gdzie działała partyzantka polska mająca przeciw sobie trzech potężnych wrogów. **Nie ukrywam, że szukam naukowego potwierdzenia biologicznego związku między tymi właśnie kwiatami a szkieletami ludzkimi i byłbym mile zaskoczony, gdyby się okazało, że już tego dokonano.** Póki co, nie będąc znawcą osiągnięć biologii, pozostawiam je w pamięci na równi z tymi, o których głoszą słowa Konarskiego,

Rys. 22. Kwiaty obok mogił żołnierskich

tj. o makach czerwonych na ziemi włoskiej, pod Monte Cassino. **Tu, na Wołyniu często białego kwiecia, symbolu dla mnie wiekuistej chwały, należnej niewinnym ofiarom szowinizmu, złożonym naszej Ojczyźnie: Gloria Victis.**

Mówił o tym Prezydent Ukrainy Leonid Krawczuk, stwierdzając m.in.:

„Nie ukrywamy i nie przemilczamy. W czasie drugiej wojny światowej ukraińscy szowiniści zabili około pół miliona Polaków na Kresach Wschodnich przedwrześniowej Polski. Również przez kilka lat po wojnie płonęły polskie wsie i ginęli ludzie. Szowinizm ukraiński to wrzód na zdrowym ciele ukraińskiego narodu, to wyrzut naszego sumienia względem narodu polskiego”[16]. Święta prawda! Wsłuchując się w te słowa wzmocniłem się w postanowieniu odwiedzenia ważniejszych miejsc wołyńskiej apokalipsy, by potwierdzić trafność maksymy ***Non omnis moriar.***

Rys. 23. Luba przed podróżą

Niestety pierwsza próba, na której mi zależało, utknęła w trudnościach nie do pokonania. Nic dziwnego, że do Małolata poczułem pewien żal z tego powodu, iż tak łatwo pokrzyżował moje plany[17]. Odniosłem wrażenie, że tworzymy duet, który połączył przypadek, ale dzieli niemal wszystko. Cóż z moich teorii, skoro Małolat znów zapowiadał aktywne włączenie się do dalszych etapów mojej podróży, a ja, zbyt łatwowierny, alternatywy na to nie miałem i znowu mu zawierzyłem. Mimo, że do wszelakich podróży podchodził beztrosko, jakby turystycznie. W tym wypadku o turystykę wcale nie chodziło. Raczej o cmentarz, który miałem dokładnie przestudiować. **Wszak to przecież miejsce nie tylko dla umarłych, ale i szkoła dla żywych. Tu człowiek uczy się pokory, historii, społeczeństwa, ludzkości. I to jest miejsce zasługujące na najwyższy szacunek.** Także małolata.

Po rozmowach z Lubą, stęsknioną morza, zorientowałem się, że nie to miejsce interesuje moich młodych towarzyszy i w wołyńskim Łucku zostanę już sam. Długo na to nie trzeba było czekać. **Gdy na uzgodniony moment Luba zjawiła się wraz z Małolatem usłyszałem, że są całkowicie przygotowani do wyjazdu na upragniony Krym.** Zaprezentowała też serię zdjęć przygodowych z poprzedniego wyjazdu nad Morze Czarne. Zacząłem przywoływać te widoki i nastrój, kiedy to

---

16 Por. Rzeź niewinnych, w Wołyński Testament, op. cit., s. 25.

17 Studenci moi często bronili Małolata. Znali go z opowiadań i poprzedniej książki, do której sporządzili moc grafiki, częściowo tu zamieszczanej.

nad brzegami ciepłych jego fal organizowaliśmy wspaniałe konkursy studenckiej piosenki o Kresach[18]. Rzecz jasna wykluczałem teraz moje towarzystwo w tej podróży i nawet nie wiedziałem jak przekonująco to uzasadnić. Zależało mi nadal, abym z poleskich planów nie rezygnował. Stanowczo przekonywałem: **Małolat, ty przeżyłeś cudowną noc pod gwiazdami, a znasz przecież fragmenty nocy naszych chłopców i dziewcząt z tych wsi przygranicznych, gdzie mieliśmy jechać! Tak łatwo można o nich zapomnieć?**

Nic nie wskazywało na to, że Małolat spożyje mój pokarm. W ogóle nie rozumiał teraz moich uwag. Opanowało mnie milczenie i zacząłem się wpatrywać w górujący nad miastem zamek.

To był symbol jakichś wielkich wydarzeń na Wołyniu i głęboko zamyśliłem się nad jego dziejami. Gdy Luba prowadziła nas do jakiegoś skweru, traciłem stopniowo ten zamek z oczu i miałem do niej pretensje o to, że idziemy ukosem, przycinając jego widok. Po chwili skręciliśmy nieco w boczne uliczki i znaleźliśmy się na skraju jakiegoś dużego zieleńca. W głębi kosiarze bezlitośnie znęcali się nad trawą długimi, ostrymi kosami. Część trawy już wykosili, jednak duży teren ciągle pozostawał nietknięty i przyciągał moją uwagę. Chciałoby się, aby nań kosiarze w ogóle nie wchodzili, wszak rąbali trawę wraz z kwiatami, których było tu mnóstwo i to w różnych kolorach. Najwięcej fioletowych i czerwonych, poprzetykanych także bielą. **Wyzwalał się dziwny nastrój, jakiego przed tym nigdy nie przeżywałem.** Świadom faktu, że za chwilę trzeba się będzie pożegnać z Lubą i Małolatem, zdenerwowałem się na odgłos telefonu Luby. Coś krzykliwie wyjaśniała, Małolat próbował się do rozmowy włączyć i suma sumarum usłyszałem od niego: – jedziemy, zabiorą nas samochodem po drodze. Nie wnikałem kto i co. Wszystko było jasne. Postanowiłem teraz nieco odpocząć i po pożegnaniu zacząłem studiować zebrane ze sobą materiały badawcze. Wiedziałem, że od tej chwili muszę na zamku i w terenie radzić sobie sam.

Rys. 24. Wspomnienie studenckiej piosenki znad Morza Czarnego

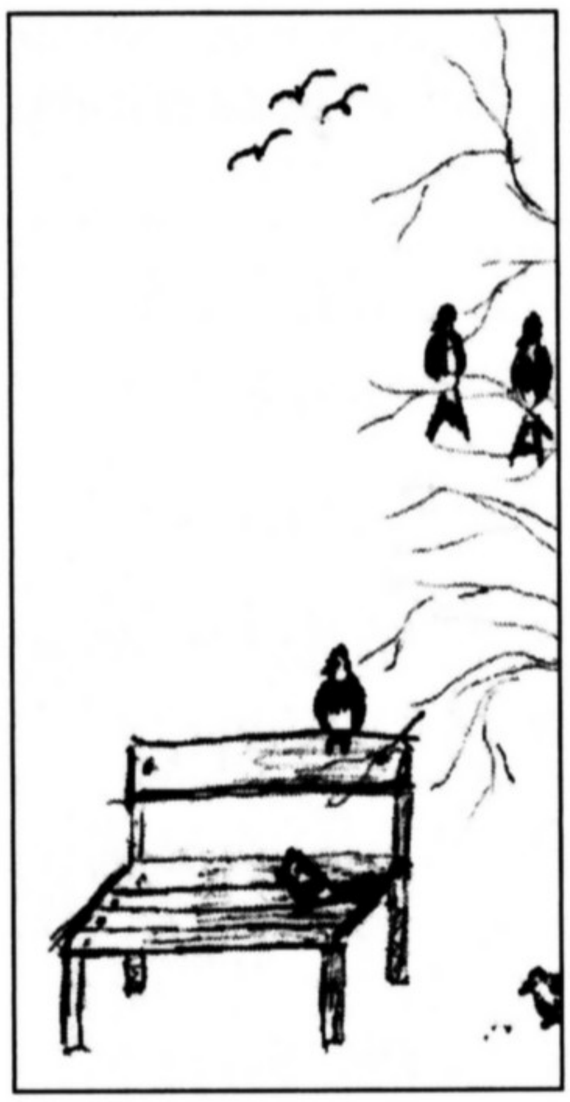

Rys. 25. Ta wygodna ławka była już zajęta

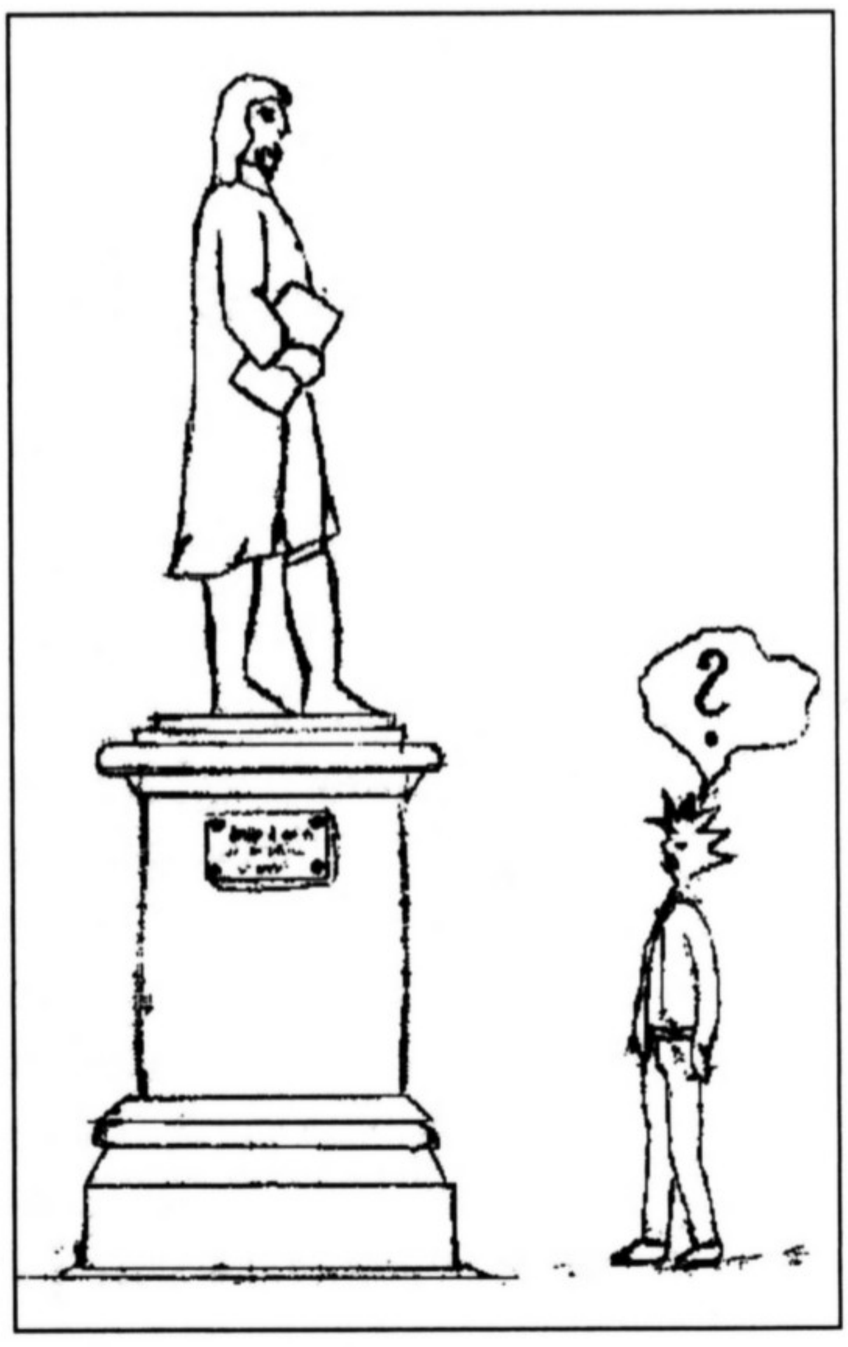

Rys. 26. Rzeźbili cudowne pomniki

[18] Por. M. Trzeciak, Upiory studenckiej jesieni, Wydawnictwo Spółdzielcze, Warszawa, 1988, roz. I i II.

Poczułem się nieco osłabiony i skorzystałem z rozklekotanej ławki, na której zacząłem rewidować zbyt obszerne plany. Smutno mi było. **Pożegnałem przecież dobrych przyjaciół, zrezygnowałem z ważnego wyjazdu i jakby tego wszystkiego było mało, kosiarze niszczyli na moich oczach jakieś piękno kryjące w sobie cząstkę wielkich tajemnic.** Robili to przy tym tak, jakby chcieli ranić moją duszę.

Przypominali mi tekst piosenki włoskiej o kaczuszce, jak rozpaczała, gdy kosiarze skosili już trawy na łące i szło tylko ku gorszemu. Kosiarze po chwili przerwali roboty i przystąpili do biesiadowania. Towarzyszyła im starsza pani z tobołkiem wypełnionym jakimiś produktami i napojami, którymi się chętnie częstowano. **Uświadomiłem sobie, że ta pani na pewno jest „tutejsza" i może odkryć (jeśli tylko zechce) wiele tajemnic tej ziemi.** Gdy tylko zakończył się posiłek i mogłem z nią rozpocząć rozmowę, zaczepnie spytałem:

– Cóż tu taki brak ławek. Przecież to wielki park!

– Jaki tam park – proszę pana, to nie wie pan, że **to był do niedawna polski cmentarz. Tak jak i ten przy ulicy kate-**

dralnej... Tam, co to zachowano te dwa ukraińskie groby. Tu, jak wykoszą więcej trawy, w tym miejscu gdzie te duże kwiaty, to będzie widać jedynie tablicę. Przeczyta pan. Ona nie jest duża, ale i o nią szła wielka bitwa. Niczym o fundamenty i rzeźby grobowe. Wie pan, te pomniki i posągi cmentarne, które bezlitośnie niszczono. **Wie pan jakie one były piękne? Łuck słynął z ich artyzmu. Pokazali dużo wspaniałych ludzi. Ale też i dużo wspaniałych rzeźbiarzy tu mieszkało. Pracowali tylko na cmentarzu. Już za cara mieli cież zakaz wznoszenia przepomników na mieście...** Więc tu się przenieśli! To nic pan o tym wszystkim nie wie?

– Nic a nic – odparłem na wszelki wypadek.

– I o tej walce o krzyże...To było znane i nie wiem, kto wy i co tu robicie, skoro nawet o tym nie macie pojęcia! **Przecież pan szedł nad rzeką, przy tym jeziorku. I coś już chyba widział...**

Niespodziewanie ustawiono mi mózg na baczność i domyśliłem się, że ziemia uznana przeze mnie za park, z wielkim Leninem pośrodku, to dawny katolicki cmentarz. Zacząłem się domyślać przebiegu i charakteru walki. **Ale rodaków już tu nie było, a umarli bronić się nie mogli. Chciałem tylko dociec, czy jakikolwiek fragment cmentarza lub jego zabytków został przed zagładą ocalony.** To przecież był wielki cmentarz – jak pamiętam teraz z dawnej mapy.

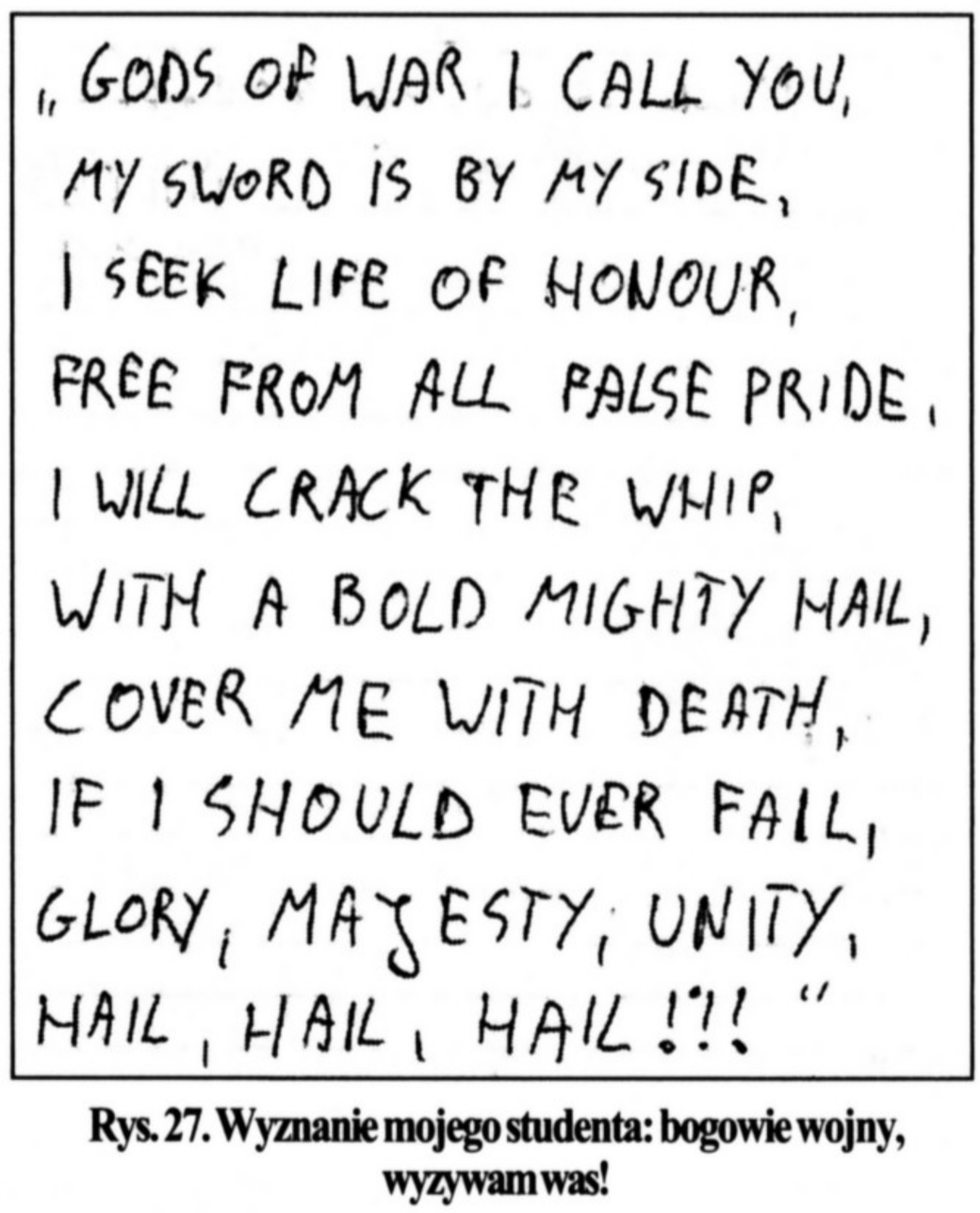

Rys. 27. Wyznanie mojego studenta: bogowie wojny, wyzywam was!

Ogrom historii ludzkich serc, żywych i martwych, godnych wszelakiej o nich pamięci.

Niebawem dowiedziałem się, że pewną jego cząstkę uratowano. Podobno kamienne fundamenty grobów brali ludziska do swoich domów, a niektóre pomniki wrzucali do wód Styru i Głuszcza oraz ich rozlewisk. W nadziei chyba, że w wodzie doczekają się lepszych czasów i do jakichś celów zostaną wykorzystane. Zacząłem śledzić te szlaki okrucieństwa rozjaśniać i w miarę możliwości poznawać całą sprawę.

Bazar jakich wiele

W takiej scenerii powieść sama się pisze. Idę do góry świecącej zamkiem i katedrą, traktując to jako zwykły spacer. Z miejsca mojego pobytu to daleko i trzeba przechodzić przez rozległy bazar. I tu właśnie miast spaceru powieść się zaczęła. **Przy centralnym placu, drobni handlarze porozkładali najrozmaitsze eksponaty i zbiory zachęcając do ich kupowania.** Było dużo szkła kolorowego, butów i odzieży, drobiazgów i staroci dawno wycofanych z praktycznego użycia, nieco ukraińskich i rosyjskich książek, ot takich, jakich po domach ciągle jeszcze pełno. Przeciskałem się wśród tego tłumnego zbiorowiska w pośpiechu, aby jak najszybciej dotrzeć do katedry i tuż przy niej ulokowanego rozległego zamczyska. **Nie dopiąłem celu.**

Na jednym ze stoisk spostrzegam przepięknie wymalowaną katedrę, więc nawiązuję z właścicielem krótką rozmowę. Dobrze trafiłem. Malarz chętnie rozprawia o jej historii sięgającej XVII w., mówi jak ją rozbudowano w XVIII wieku i nawiązuje do zniszczeń, jakie przyniósł wiek XX, w tym bolesny okres stalinizmu. Te ostatnie informacje stara się też uzupełniać jego sąsiad, specjalizujący się w malarstwie krajobrazów Wołynia, do których zaliczał przede wszystkim otoczenie Łucka. **Jeden z tych obrazów ukazuje oczko wodne wśród szuwarów i przyciąga mój wzrok.** Zauważa to sprzedawca i zaczynam pertraktować cenę. Moja propozycja nie bardzo mu się podoba.

– Przyjdźcie jutro na brzeg tej wody, gdzie ta dziwna willa. Ja będę malował ten krajobraz, to spokojnie porozmawiamy. Wykańczam ostatni pejzaż z katedrą i fragmentem zamku. Wezmę się za krajobrazy Wołynia, może sobie coś upatrzycie.

Nie chciałem już dłużej przebywać na zatłoczonym bazarku i opuszczałem stoisko malarza z prawdziwym przekonaniem, że **akwarele są dobre i trudno będzie dokonać wyboru, tym bardziej,** że portfelik mam skromniutki, wszak wszelakie sponsorowanie nie zawsze skutecznie mnie omijało, a pensji nie chwatajet. Wychodzę wprost na katedrę, gdy tymczasem mocno starszy już pan oferuje mi zrobienie pamiątkowego zdjęcia. Miał wokół siebie wiele dowodów swoich fotograficznych umiejętności. Starych i nowych. Te pierwsze zainteresowały mnie najbardziej. Nie wiedząc jeszcze, jaki materiał mam okazję kupić umówiłem się z nim na jutro w nadziei, że oba zakupy przemyślę uwzględniając szybko topniejące zaskórniaki.

Rys. 28. „Jezioro" łuckie w grafice studenckiej

Nazajutrz, stosunkowo wcześnie udałem się w niedokończoną podróż do zamku i katedry. Na mieście było spokojnie, choć w centrum widać było te same co wczoraj tłumy ludzi zgromadzonych na bazarze. Oferują jak zwykle różne rzeczy do wyboru do koloru. Bezwiednie znów się zatrzymuję. Przy jednym ze stanowisk, chyba całkiem dzikich, rozłożył swoje eksponaty jakiś starszy pan, wykształcony i bardzo inteligentny, co szybko wyszło na jaw. **Były przy nim głównie książki i trochę obrazów.** On sam przedstawił się jako emerytowany księgarz. Kontakt z nim nawiązał się sam, w wyniku mojego szperania w zbiorach. O rozmowę przy tym aż się prosiło.

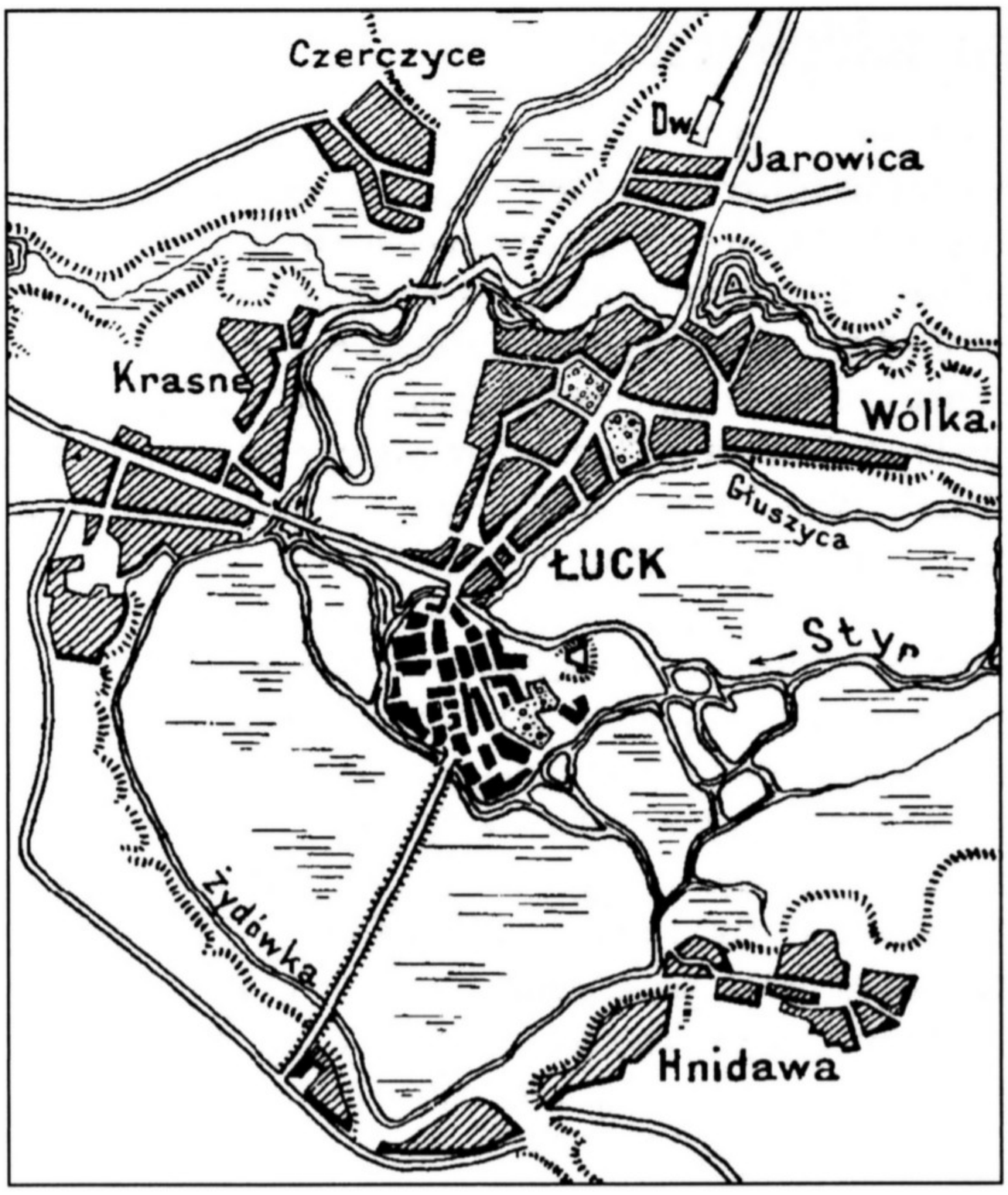

Rys. 29. Przedwojenny plan Łucka

Początkowo niezbyt mi się udawała, głównie ze względów finansowych, które nie pozwalały na angażowanie się w najciekawsze eksponaty. Jakby w zamian poczęstowałem go dobrym papierosem i powstała serdeczna atmosfera. Odtąd rozmowa toczyła się normalnie, a ja próbowałem dopiąć swego. **Najpierw przyczepiłem się do historii miasta, prezentowanej tu w leżącej książce: *Wielka Encyklopedia Ilustrowana,*** r. 1911[19].

„Łuck: miasto powiatowe w guberni wołyńskiej, nad rz. Styrem i Głuszczem, pod 50° 44' 4.2" szerokości północnej i 42° 59' długości wschodniej. Stacja kolei południowo-zachodniej, o 60 wiorst od granicy Galicyjskiej, przystań rzeczna, w r. 1904 – 20 232 mieszkańców (1072 mężczyzn i 9506 kobiet; 60% starozakonnych, 30% prawosławnych, 6% katolików i 4% innych wyznań). Razem 1904 domów ..."[20].

Zastanawiam się nad treścią tej encyklopedii i teraz dopiero stwierdzam, że w chwili obecnej informacje w niej zawarte najzupełniej w świecie mnie irytują. **Jakże odległe są od bieżących obserwacji i ważnych obecnie problemów.** Przeglądam ją jeszcze raz i konfrontuję z kserokopią materiałów przywiezionych ze sobą. Zatrzymuję się na planach i opisach miasta utrwalonych w geografii ***Lencewicza* z 1937 r.** Konsultuję je z księgarzem. Chętnie służy objaśnieniami i sam sobie robi frajdę z faktu, że jeszcze tyle rzeczy minionych przechował w pamięci.

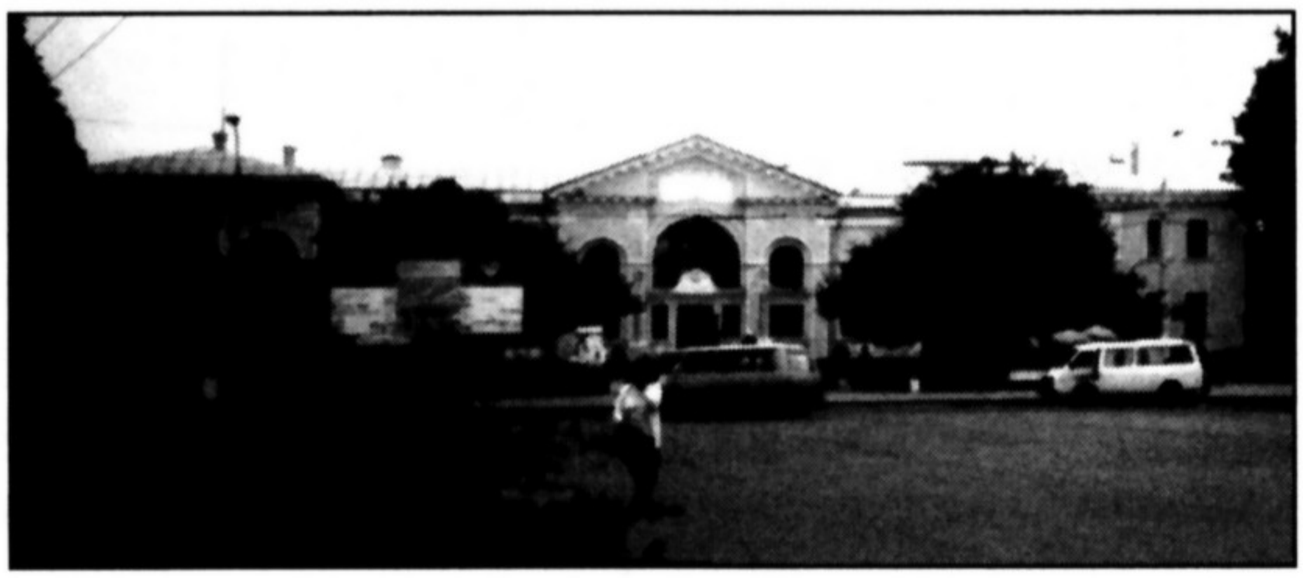

Rys. 30. Dworzec kolejowy w Łucku

Widzę, że jest przyjazny klientom i chętny do przekazania wiedzy troskliwie w swoim długim życiu zdobywanej. Gdy dowiedział się, że jestem z Warszawy ochoczo przekształcił się dla mnie w alfę i omegę w sprawach całego Łucka i Wołynia. Najpierw zaktualizował mój skserowany plan, a następnie jął objaśniać co ważniejsze fragmenty miasta.

---

19 Wielka Encyklopedia Powszechna, Ilustrowana, Drukarnia Gazety Handlowej, Warszawa 1911.

20 Jak wyżej, s. 74.

Rys. 31. Grób ukraiński na starym cmentarzu

Rys. 32. Anioł pilnujący dzieci

– Ot, tego cmentarza „przy katedrze" (nazewnictwo zdezaktualizowane) już tu nie ma. Ten drugi, późniejszy, też już rozwalili. U was to jest nie do pomyślenia, a u nas **jechał radziecki czołg i usuwał wszystko, co ponad ziemię wystawało.** Choć bywało, że ktoś coś przed tym wyszabrował. **O, po tym pierwszym cmentarzu, to zobaczycie jedynie dwa ukraińskie groby.** Są pod takim dużym drzewem. Przepraszam, to znaczy jeden, bo drugi jest nieco dalej. Ale to są skromne groby. Te piękne, polskie dawno już zniknęły, na zawsze. I nic nie można o nich powiedzieć.

Znajomy ma jakieś zdjęcia – dodaje, ale on już stary i nie da się z nim dojść do ładu. Chyba, że przez jakiegoś księdza, bo on Polak, kiedyś nawet bogaty i chce do Polski wyjechać. Ja widziałem tylko dwa, bo z nim ciężko się rozmawia. **Na jednym był grobowiec dzieci. Paroletniej dziewczynki i jej młodszego braciszka, takich ujmujących dzieciaków.** Słuchajcie, cóż to za wspaniały artysta ten grobowiec rzeźbił!

Postacie tych dzieci w kamieniu, jak żywe. Dziewczynka w geście opiekuńczym otula ramiona braciszka, a on we wzajemności uśmiecha się przez łzy. Musiał być doświadczony ten rzeźbiarz, bo rzeźbił nie tyle rękami, co sercem. Wiecie, w życiu często tak bywa, **że płacząc w chwilach tragicznych, już ostatecznych, równocześnie człowiek się śmieje i płacze. Czasem to swoisty szał,** ale u tego chłopca śmiech przez łzy to wyraz mądrości, zrozumienia wszystkiego, co go na tej ziemi spotkało i zarazem wielkiego zobojętnienia na to wszystko. **Złapać chcą jeszcze odrobinę miłości. To ich specjalność.** Ja sam wiem, że **dzieci w chwilach tragicznych są bardzo uczuciowe i mądre.** Tylko nie wiem, skąd się to bierze. Boże drogi a ten anioł potężny nad nimi! Toż to arcydzieło, do Watykanu by się nadawało. Na pewno wszyscy by go tam podziwiali!

Rys. 33. Zbliżenie grobu, jw.

Rys. 34. Ostatni dar synowi...

Ja wiecie księgarz, na fotografice się nie znam, ale to zdjęcie to na całe życie zapamiętałem i to nie tylko dlatego, że tyle wzruszeń wywołuje. Po prostu żal, że swołocz i taki pomnik zniszczyła, bo ja by dzisiaj sam go fotografował, w różnych porach i sezonach, gdziekolwiek na świecie by on stał. **Ja mam dzieci i wnuczki, ja wiem co ono symbolizuje, jakie morze łez, poprzedzone oceanem szczęścia.** Bo takie dzieci dla rodziny to przecież szczęście. Skarb, którego nie można było nie cenić. Jakaż pustka musiała w rodzinie powstać po śmierci tych dzieciaków... i po zniszczeniu ich grobu!

Ten człowiek miał więcej takich zdjęć, tylko że one wszystkie robione były przy zbyt małej ostrości no i wyszły za mało kontrastowo. Pogody chyba nie było, a i cmentarz ma duże z natury zaciemnienie drzewami – wyjawiał emocje stary księgarz. Wyczucie artyzmu kontynuował, to on miał, choć aparaty wtedy były wiecie jakie... Ach, dzisiaj to i ja by pokazał, co można było z cmentarzy uratować. Słuchajcie, przyjrzyjcie się jak będziecie mieli okazję robocie tego faceta. Tam chyba nie ma żadnego retuszu. **Wszystko naturalne. A i ujęcia z właściwym wyczuciem tematu. Jak w książkach.**

Dalej, księgarz przywoływał konsekwentnie **wspomnienia dotyczące alei i grobowców cmentarnych w Łucku, które uważał za stracone dzieła sztuki, godne fachowej opieki.** Chętnie podtrzymywałem ten temat.

– O, patrzcie, jest tu na planie ten cmentarz, co o nim mówiłem. Tam jeszcze te dwa groby zobaczycie. Na ten wielki możecie nie chodzić, bo tam na pewno niczego nie ma. Stoi tylko ogromny posąg Lenina i wkoło, to jest na całym tym dawnym cmentarzu, trawniki z dróżkami, aleje spacerowe i w ogóle jakiś teren rekreacyjny, ale on u mnie serca nie ma i chodzić tam nie lubię. **Dalej stamtąd przejdziecie nad rzekę i zobaczycie te przecudowne zarośla i szuwary. Jedna z dróg ma jeszcze fragment bruku. To była dobrze wybrukowana uliczka cmentarna,** ale ślady po niej niewielkie – kontynuował życzliwie księgarz.

Podążyłem tą trasą mając ogromne zaufanie do uzyskanych informacji. Księgarz wskazał mi też na wiele interesujących adresów jak np. antykwariatu (gdzie nabyłem kserokopie książki o Łucku wydanej w latach dwudziestych), **informował również o jakimś domu „dziwadle"** jak sobie to przetłumaczyłem, ale z jakichś powodów (widocznie znał jego właściciela) nie chciał o nim bliżej opowiadać, by nie chlapnąć, jak to się mówi, nic

Rys. 35. Dzieło żałobne łuckiego rzeźbiarza

Rys. 36. Anioł przy grobie

niepotrzebnego. Namawiał jedynie do dokładnej obserwacji terenu, który miałem zwiedzać. Obserwacji i porównań scenerii ze starym planem z 1937 r. Mimo zmian, dzięki tym objaśnieniom, sprawy, które mnie frapowały, zacząłem sobie cokolwiek rozjaśniać.

Korzystając z planu, rozpoznałem pobliski starodrzew po prawej stronie głównej ulicy, gdzie kiedyś był najstarszy zapewne cmentarz i gdzie bez trudu odnalazłem dwa ukraińskie groby. Na jednej z ławek wyryto nożem **„swoboda Ukrainy".** Przesiedziałem na sąsiedniej ławce sporo czasu, rozmyślając nad treścią tych słów w dobie obecnej. Wskazywała, że wolność temu krajowi musi dziś wypracować młodzież – konstatowałem, może i ta, co na razie wydrapuje zaledwie nurtujące ją hasła. To nie prosta sprawa. **Ale musi wszakże dojść do głosu, by się odezwała nowa historia i współczesność.** Mimo że w Łucku o jedno i drugie ciągle trudno. Nie wiem nawet, czy nie trudniej niż w innych miastach.

Rys. 37. Uczniowi Państwowego Gimnazjum Łuckiego

Po zebraniu sił miałem przejść na wielkie tereny zielone, zwane teraz Placem Wolności, od którego – jak informował księgarz, **warto przejść na rozlewiska rzeki Styr.** W centrum placu widać było znaną mi już postać ogromnego Lenina, stojącego na bardzo wysokim cokole. Nie było rady. Trzeba było koło niej przejść.

Głos dziki i postać plugawa

Wychodząc „z placu Lenina" czuło się pewne zaniepokojenie. Dolatywały nawet narastające wrzaski, wśród których górował gruby głos wciskany do mikrofonu. Trochę się tym wystraszyłem, wszak przypominały mi nasze polskie wiece i wydarzenia uliczne siejące jak te „Radom 76" spustoszenie sklepów i pełno wszelakich nieszczęść. Odczułem dziwną trwogę i nadmiernie zmęczony wycofałem się z dalszej wędrówki. Po powrocie do hotelu postanowiłem wyprowadzić się z centrum i zamieszkać u znajomych, do czego mnie zresztą zachęcali. To była dobra decyzja po wyjeździe Luby i Małolata.

Nowa kwatera była ładna i wygodna. Składała się z czterech pokoi i rozległych zakamarków. Gospodarze ulokowali mnie w przytulnym pokoiku córki, spędzającej wakacje w ciepłych stronach Abchazji. W sąsiednim pokoju urzędował natomiast krzepki młodzian, ich dwudziestoparoletni syn. Chyba pod namową rodziców starannie się mną zaopiekował i mogłem dzięki temu spokojnie już buszo-

wać po mieście i okolicy, tym bardziej, że miał chyba nadmiar czasu i chętnie mi w wędrówkach towarzyszył. **Był z pochodzenia Rosjaninem od dawna tu mieszkającym i znającym Łuck dość dobrze.**

Nawet o starym, zniszczonym cmentarzu miał sporo wiadomości, ale pogłębiać ich nie chciał i chodzić w tę stronę też nie.

– Tam nic nie ma – twierdził. To raczej na bazarze coś czy ktoś może was spotkać – zakładał jakąś pułapkę na mnie.

– Co ty opowiadasz? Na bazarze cmentarz? – zapytałem zdezorientowany.

– Nie cmentarz, ale jakieś pamiątki na pewno... **Wiele już tam widziałem, a i na zdjęciach jednego faceta z bazaru jakieś piękne rzeźby obserwowałem.** Był kiedyś fotografem i zachował dużo ciekawych zdjęć z tego cmentarza.

– Naprawdę? – coś zaczęło do mojej łepetyny docierać. To można by do niego jakoś dotrzeć? Mnie to bardzo interesuje. Może je odsprzeda, chociaż kilka, na pamiątkę?

Rys. 38. Na dawnym łuckim cmentarzu

Rys. 39. Mogiła Haliny Borowskiej z 1933 r.

Misza się uśmiechał. Wiedział, że sprawa staje na nogach i **to sprzedającemu zależy na transakcji bardziej niż mnie.** Chętnie też na zakupy się ze mną wybrał.

Stary, do nieprzytomności zaniedbany dom w dzikim ogrodzie, zamknięty był na cztery spusty i fotografa nie było. Odnaleźliśmy go na bazarku bardzo blisko stąd ulokowanym. **Ucieszył się z naszego spotkania, bo stoisko miał beznadziejne i domyślałem się, że starowina przymierał już głodem.** Po polsku mówił jeszcze bardzo dobrze. Zrobiłem w najbliższym kiosku zakupy różnorakich wiktuałów, a mój opiekun chętnie zainteresował się alkoholami i wyruszyliśmy w stronę bazaru. **W międzyczasie fotograf pozbierał wszelakie klamoty i poszliśmy do jego domu na skróty,** gdzieś po tyłach podzamcza. Po drodze napotkałem gruzińskich handlarzy i zaopatrzyłem się w soczyste arbuzy. Były zaskakująco tanie, tak jak ukraiński fryzjer.

Gdy właściciel domu pozrywał skoble (zawieszane raczej dla parady), weszliśmy do obszernego ganku ozdobionego pięknymi kolorowymi szybkami. Ogromnie się tym wzruszyłem bo przypomniały mi domek mojej ciotki (O rany, jak ja już dawno takiego wspaniałego interioru nie widziałem a o ciotce tak straszliwie zapomniałem. Pokój jej duszy!). Mój opiekun grzebał w międzyczasie w książkach. Z ganku, wchodziło się wąskimi drzwiami

Rys. 40. Grobowy anioł stróż

na korytarz zasypany węglem, drzewem i rupieciami. Skończył się kolorowy świat krużganku. **Zalatywały myszy, szczury, przebijały się gdzieś do piwnicy i pakamery na korytarzu, w której straszyło wybite okno służące do robienia przeciągu, gdy tylko otwierało się drzwi do najbliższego pokoju.**

– To moja kuchnia – odezwał się fotograf, gdy przekroczyliśmy próg. Ja tu mam taką skrzynię na zdjęcia i rodzinne pamiątki, bo jak silny deszcz jesienią, to mi wszystko zalewa. Popatrzcie co was w niej zainteresuje. Tam jest jeszcze pugilarus mojej mamy, taki jak dawniej nosili, ale jego to trzymam na pamiątkę i sprzedawać bym nie chciał.

Bałem się czegokolwiek dotykać, bo we wszystkim czuło się jakąś tragiczną historię. Spadkobierca przygotowywał w międzyczasie z trudem gościnny posiłek. Czepiłem się dla przyzwoitości owoców, bo nic mi nie smakowało i zacząłem symbolicznie siąpić wódkę przez nas przyniesioną. Gospodarz po pewnej chwili wyraźnie się ożywił i wyszedł do przyległego pokoju.

Nie mogłem wytrzymać wydobywającego się stamtąd zapachu. Gospodarz zakręcał zwoje poobrywanego papieru. Ucieszyłem się, gdy podniósł napełnione pudełko pełne staroci. **Najwięcej było obrazków i zdjęć, niekiedy nader poniszczonych. Zapytałem o cenę tych zdjęć hurtem i bez dyskusji wręczyłem właścicielowi żądaną kwotę.** Gdy już wychodziłem z domu zdecydowałem się na drobną korektę w moim targu z uwagi na jaskrawą biedę w tym domu. Wróciłem się więc i zostawiłem uradowanemu staruszkowi dodatkową kwotę pieniędzy

Rys. 41. Ukraińskie groby na starym cmentarzu

pod pretekstem, aby kogoś wynajął do uporządkowania staroci, bo my jeszcze tu wrócimy. Był bardzo szczęśliwy i przyobiecał, że sam to należycie zrobi, tylko w przyszłym tygodniu.

Po kilku dniach spotkaliśmy go jeszcze na bazarze. Był bardziej wypoczęty i kontaktowy. **Gdy zapytałem o to zdjęcie z dziećmi – szczegółów już nie pamiętał.** Powtórzył tylko, że trzy z nich są z Beresteczka, a reszta to łuckie. Wołyńskie mi się udały – podkreślał, chyba lepsza pogoda wtedy była. Zresztą z Beresteczka są najbardziej poniszczone, bo przewoziłem je w małym koszyku pod mąką i kartoflami – wspominał jakieś czasy, więc możecie ich nie brać. Panie, kontrola była wtedy ogromna. Szczególnie na artykuły spożywcze! **Cokolwiek większy bagaż, to od razu rekwirowano wszystko.** Te słowa wymusiły w nas milczenie i o nic więcej już nie dopytywałem. O zdjęcia dbałem od tej pory co najmniej tak, jak o jedyny dokument na granicy wiedząc, że nikt już takich nie zrobi.

Wychodząc z tego domu, znów usłyszałem jakieś krzyki. Przez tubę nadawał coś krzykliwy bardzo facet. Byłem już śmielszy w towarzystwie nowego gospodarza i udaliśmy się w stronę tych wrzasków podekscytowani.

Doszliśmy do tłumu i stałem się przedmiotem zainteresowania. Pierwszy dryblas z brzegu, chcący zapewne wykazać się czujnością przed UNO-wcami, prowodyrami tej sytuacji, coś wykrzyknął jakby dodatkowo i sam mnie niespodziewanie zaczepił. Oświadczyłem, że nie rozumiem po ukraińsku i wtedy się zaczęło.

– Wy z Polski? – pytał jakby dla formalności – przyjechali coś tu penetrować... Chyba w Żydolandzie wam nudno i ciasno? – ironizował. A nasze ziemie...

– Ależ mnie nie o wasze ziemie, a o nasze cmentarze chodzi – wykształtusiłem przerażony z bólem serca, nie mogąc zmusić się do myślenia. ...**Gdybym mógł upamiętnić te groby** i ziemię, która do nich należy, to cel przyjazdu byłby z głowy i wasze obawy... – dążyłem uparcie coś wyjaśniać. **Przeczytajcie sobie Norwida „Planeta łez...”** nerwowo coś jeszcze kontynuowałem, nim dotarła do mnie myśl, że napastnik nie godzien jest tego, abym przed nim zdawał sprawozdanie i za chwilę się rozpłakał. Wprost przeciwnie, potrzebny byłby Zagłoba da-

ВОЛИНСЬКА ОБЛАСНА ОРГАНІЗАЦІЯ УНА-УНСО ЗАКЛИКАЄ:

НЕ ДОПУСТИМО ХРЕСТОВОГО ПОХОДУ МОСКОВСЬКОЇ ЦЕРКВИ ТЕРИТОРІЄЮ УКРАЇНИ!

НЕ ДАМО МОСКВІ ДЕСТАБІЛІЗУВАТИ СИТУАЦІЮ В СУСПІЛЬСТВІ ТА ПОСИЛИТИ МІЖКОНФЕСІЙНІ ЧВАРИ!

НЕ ДАМО СТВОРИТИ ПРЕЦЕДЕНТ ПРОНИКНЕННЯ В УКРАЇНУ "П'ЯТОЇ КОЛОНИ" ПІД ВИГЛЯДОМ РЕЛІГІЙНИХ СПІЛЬНОТ ТА ОКРЕМИХ ПРЕДСТАВНИКІВ ЧУЖИХ РЕЛІГІЙ!

НЕ ДАМО ПРИНИЗИТИ ГІДНІСТЬ УКРАЇНЦІВ В ОЧАХ ЦІЛОГО СВІТУ!

Цей хрестовий хід – "русский плевок" в обличчя нашої неньки-України, всіх її синів і дочок, спрямований на знищення всього українського.

УНА-УНСО оголошує мобілізацію УКРАЇНЦІВ,

щоб не допустити чужинську орду глумитися над нашою землею, державою, над нашою вірою.

Запис добровольців та збір підписів до Президента про заборону цього ходу проводиться за адресою:

м.Луцьк, вул. Ярощука, 10
тел. (03322) 2-70-95

Rys. 42. Ulotka organizacji UNO

Rys. 43. Awantura

jący sobie w takich sytuacjach znakomitą radę: – Precz, capy, psy niewierne! Niewolnicy! Swynojady! – krzyczał z wściekłością w obecności Tuhaj-beja – pijanice, bydlęta nieczyste! Gady plugawe!...[21].

W miarę, jak odzyskiwałem zdolność do myślenia i wdawałem się w narastający konflikt **wokół nas powiększała się grupka osób zaskoczonych awanturniczą atmosferą.** Nadciągało coraz więcej przypadkowych osób. Zaczynali gwałtownie dyskutować wyraźnie atakując mojego przeciwnika. Do mnie dolatywały jedynie fragmenty tej zażartej dyskusji. Parę słów zdążyłem zapamiętać:

– Wy ich proście, żeby teraz te ziemie wzięli, nawet na kolanach i tak nie wezmą, mają swoją bidę i kłopoty. **Jeszcze tu by musieli zasiłki płacić i ładować grosz. A szkoły budować, szpitale (bolnice), co u nich się przelewa...a miejsca pracy, rolnictwo rozwalone podnosić do normalności...**

– Z głodem naszym wojować – dorzucał ktoś inny.

– U nich jest go więcej jak u nas – odpierał mój przeciwnik.

– Dlatego nie chcemy... – próbowałem jeszcze nerwowo coś wtrącać.

– Nie denerwujcie się – przerwał gwałtownie naszą kłótnię jeden z uważnych obserwatorów zaskakującego dla mnie wydarzenia – on z tej grupy, co tu stoją.

Nie kojarzyłem jeszcze do końca tłumu wrzeszczącego w głębi placu. Adwersarz rozogniony próbował nadal coś mi na siłę udowadniać, ale był już otoczony swoimi przeciwnikami i musiał teraz z nimi, a nie ze mną zaciętą polemikę prowadzić. Z daleka, wszystko wyglądało jeszcze bardziej groźnie i widać było, że dochodzi do rękoczynów. Zafrapowany tym przykrym incydentem skierowałem się w stronę ludzi stojących niedaleko z powiewającym sztandarem, którego nigdy jeszcze przed tym nie widziałem.

Cofnąłem się w stronę większego spokoju i z bezpiecznej odległości zrobiłem dyskretnie zdjęcie. Schowałem aparat i zbliżyłem się znów do młodzieży skandującej rytmicznie swoje hasła.

Niezbyt je rozumiałem. Podszedłem więc do jednego z uczestników wiecu i drżącym głosem zapytałem o co chodzi. Uczestnik nie wprowadzony w sprawy zorientowawszy się że nie jestem tutejszy, odparł z wyraźną nie-

Rys. 44. Ucieczka spod sztandaru UNO

[21] H. Sienkiewicz, Ogniem i mieczem, op. cit. s. 102.

chęcią: – **„to nie dla was”,** a drugi dorzucił w moją stronę, że „to dzień naszej młodzieży, samoistnej Ukrainy” i wręczył mi jedną z ulotek, których pełno trzymał w ręku. **„To UNO” i banderowcy** dorzucił ktoś, wtrącając jeszcze inną nazwę, której nie umiałem zidetyfikować. Bandera, UPA i banderowcy to symbol wszelakich tragedii, od których uciekałem jak od najstraszliwszego ognia. Zawsze i wszędzie. Nic dziwnego, że odchodząc słyszałem ciągle w uszach szum – „nie dla was, nie dla was, nie dla was”...A dziki głos banderowca i ta plugawa postać towarzyszyły mi długo w późniejszych wędrówkach po Łucku i całym Wołyniu. Rodziły przerażenie i przestrzegały przed podobnym spotkaniem.

Rzeka pełna niepokojów

Chciałem bliżej poznać miejscowe rzeki, tj. Styr i jej dopływ Głuszec. Przechodziłem znów przez Plac Wolności, zwany do niedawna placem Lenina. Było to miejsce dla mnie nie do zniesienia, bo nie wyobrażałem sobie, że można budować wolność na grobach i szczątkach ludzkich z całkowitym pogwałceniem ich ludzkiej godności. **To uczucie wzmacniało spotkanie z UNO-wskim działaczem.** Jeszcze głębiej zrozumiałem zniszczenie polskiego cmentarza i miejsca po nim pozbawionego jakichkolwiek symboli i oznaczeń. **W świetle bezprecedensowej awantury rozumiałem procesy zagłady naszych rodaków i wszelkie niszczenie po nich pamięci.**

potrafią rozśmieszyć czytelnika, wprowadzając go w dobry nastrój, który powoduje, że chce się czytać tę opowieść jeszcze... i jeszcze bardziej.

Zaskakujące jest dla mnie to, że ludzie których pan spotkał są, bardzo mili i z dużą uwagą poświęcają panu czas służąc pay tym pomocą i gościnnością. Nie sądziłam, że w tak okrutnym świecie można jeszcze spotkać w tak krótkim czasie tak wielu sympatycznych ludzi.

Rys. 45. Fragment studenckiej recenzji tej książki

Na Placu Wolności poruszałem się ścieżkami prowadzącymi do ślepych zaułków całego terenu. **Tak się jakoś ta wolność tutaj układała.** Przy jednym z nich spotkałem znajomą kobietę towarzyszącą kosiarzom, którzy już wykosili wszelką trawę. Sądziłem, że mieszka tu w pobliżu i natychmiast wszczałem z nią rozmowę:

– O, zobaczcie, usłyszałem przyjazny mi głos. **Pod koniec tej ścieżki ustawili tę skromną tabliczkę informującą, że na tym terenie był kiedyś cmentarz.** Zacząłem się w nią wpatrywać, ale studiowanie jej nie było łatwe, gdyż była niemal zrównana z ziemią i prawie niewidoczna wśród zarastającej trawy. Miała też niektóre litery wyraźnie uszkodzone, jednak wystarczająco upewniała o prawdziwości zasłyszanych poprzednio informacjach, przypominających hiobową inwazję na cmentarz.

Teraz dochodziły nowe objaśnienia Karoliny (czyli Kati – jak sama mi się przedstawiła), której jak na zamówienie odblokowały się wszelakie opory w rozmowie. Okazało się, że była dobrze zorientowana w historii i współczesności miasta. Słuchając jej słów zacząłem dla uspokojenia oczyszczać trawę zasłaniającą odnalezioną tablicę, aby można było ją sfotografować.

Uporządkowaliśmy ją już razem, jednak wyblakłe litery nie pozwalały utrwalić treści napisów. **Musiałem więc zadowolić się drobnym odświeżeniem tego miejsca i objaśnieniami pani Kati, która jęła szeroko wiązać sprawy cmentarza z udziwnionym domem nad wodą.** Fragmenty opowiadań o „domu dziwadle" już do mnie dotarły, więc bez namowy udałem się pośpiesznie do tych podmiejskich wód. Nie znałem jeszcze jeziorka, o którym wspominał zapoznany księgarz, położonego, jak mówił, za miastem, tuż na zakolu rzek.

Wyczuwałem to miejsce idąc za jakąś sympatyczną babcią z kozami. **Gdy stanąłem już nad brzegiem, zarośniętym szuwarami i spojrzałem na knieje wielkiego Wołynia, wody wydawały się być skromne, jakby nieadekwatne do rozległego horyzontu tych ziem i spraw.** Najbliższa, połączona ze Styrem miała charakter raczej sadzawki, w której pluskały dość często jakieś srebrzyste rybki. Nastrój zachęcał do rozważań i obserwacji. **Czułem, że pożeram wzrokiem całe uroki Wołynia i mogę w pogoni za spokojem zapuścić się w szuwary i knieje daleko już od miasta uciekające.** Dodatkowo, oddalały je ode mnie promienie rażącego słońca. Z tego miejsca znałem jeszcze wygodny środek transportowy do domu i dość pewnie się czułem. Doszedłem do jakiegoś starego dębu i odwróciłem się w stronę miasta. **Tuż przede mną stał dom „dziwadło", o którym niechętnie wspomniał księgarz. Dom miał nietypowe otoczenie (rozległe podwórze) i kształty. Były do niego poprzylepiane jakieś postacie i niespotykane „dekoracje".** Z dala stwarzało to wszystko chimeryczny nastrój.

Rys. 46. Zapewne mieszkają w pobliżu

Szybko do niego podszedłem. Najbliższa przy nim woda, także niczym nie przypominała jeziora (nawet przez lato wyschniętego), lecz co najwyżej sadzawkę nieregularnych kształtów, jakby w rozległych szuwarach ukrytą. Zamyśliłem się nad tym i zacząłem wątpić w nadmiar domysłów wynikających ze zdobytych informacji. **A przecież czas i przyroda wydziwiają cuda. A może**

dawniej było tu wszystko inaczej? W lecie przecież wody na Wołyniu nie są te same. Rzeczywiście gwałtownie wysychają, pozostawiając szuwary i błota. Mogło więc lato zostawić jedynie pełno mułu i ślad połączeń z rzeką. Więc cogito ergo sum! Może jest drugie miejsce, bardziej pasujące do moich wyobrażeń, a może i to tamto? – kołaczą myśli do mózgownicy. Ważne, że naprzeciw tej wody stała niezwykła willa, jeszcze nie dokończona, ale z rozległym placem budowlanym.

Podwórze zawalone było wielkimi kamieniami i płytami, na których ustawiono wiele posągów i rzeźb w jakimś wielkim nieładzie. Wyraźniej rysowały się w ścianach i na sufitach wybudowanego już domu. Przerażający obraz ujrzałem teraz w otworach okiennych, skąd wpatrywały się we mnie postacie chimeryczne, jakby pragnące wydostać się z głębi, z której wydobyć się nie mają prawa. Są tym murem okrutnie zniewolone. Ze strachem na ramieniu podszedłem do najbliższej płyty wystającej z podwórza na drogę i chodnik. **Płyta była kamienna i mocno podrapana tak, jak by celowo ktoś poniszczył na niej rysunki i napisy.** Zadziałała znów wyobraźnia w pełni i bałem się własnych myśli. Chciałem od kogokolwiek jakiejkolwiek pomocy. Nadaremnie!

Rys. 47. Rozległe podwórze

W posesji bowiem śladu żywej duszy nie było. Tylko z piętra dolatywał szelest ciężkiego papieru (zapewne z worka po cemencie) szarpanego wyjącym wiatrem. Zacząłem ten szum bliżej rozpoznawać, wszak doszukiwałem się w nim wydłużonego dźwięku szszszszsz przechodzącego w niski, jękliwy pogłos samogłoski uuuuu... Starając się zmienić nastrój próbowałem to i owo fotografować, ale aparat był tym razem za ciężki na moje ręce, a eksponaty na siłę między sobą wciśnięte, nie chciały ukazywać żadnych osobowości. Jedynie na wysokim piętrze panował wśród nich jaki taki porządek. Niestety, były zbyt wysoko i próby wdrapania się na wysokie rumowisko nie wchodziły w rachubę a z dołu możliwości fotografowania nie stwarzały. **Więc koszmar. Tym razem świata prawdziwego, a nie wirtualnego.**

Rys. 48. Fantazyjne ogrodzenie

Trwałem w nim aż do nadejścia pierwszego człowieka. Sądziłem, że to właściciel posiadłości i wyszedłem mu naprzeciw. Odpowiedział „zdrastwujcie" i z torbą klamotów usiłował mnie ominąć. Nie dałem za wygraną i grzecznie zapytałem, gdzie mogę spotkać gospodarza tej posiadłości. – **Pojęcia nie mam, od-**

parł czym prędzej. Zestarzał się już przy tej budowie i najczęściej siedzi teraz w Kijowie. Tam też podobno taki straszny dom z chimerami od dawna istnieje. On tam ma wielu znajomych, artystów – dorzucił nieśmiało. Bo on panie rzeźbi i od dawna z tego żyje. Ile on już posprzedawał takich eksponatów. Ale ja myślę, że z nim się chyba nie nagadacie, bo „u niego nie ma wszystkich w domu" – jak to u artystów, dorzucił żartobliwie. U was też chyba tak mówią – prawda?

Nie dochodziłem prawdy i nawet się jej obawiałem. Poczułem się głęboko samotny i bezradny. Wszystko mnie denerwowało i przerażało. **Nawet wtedy, gdy dowiedziałem się, że Mykoła – jak go nazywano, był podobno czynnym jeszcze rzeźbiarzem korzystającym obficie z rozwalonego tu materiału.** Zacząłem porządkować swoje przeżycia i żałować, że odjechali moi młodzi przyjaciele.

Gdy z ruin tej willi zaszczekał jakiś piesek, jak później stwierdziłem przybłęda, zacząłem niedwuznacznie stąd uciekać. Otwartą drogę zamknęła rzeka. Tym razem pełna dla mnie niepokojów. Po kilku chwilach piesek wydobył się z rumowiska i zaczął mi przyjaźnie towarzyszyć. Rozszyfrowałem już niektóre ścieżki i szedłem w stronę postoju taksówek. Odczułem dokuczliwie skutki upału i zacząłem gromadzić siły, które chciałem wykorzystać do ponownego tu przyjścia. Miałem nadzieję, że tym razem gospodarz ożywi skansen i wproszę się w gościnne jego łaski.

Dom z chimerami

Długo nie wytrzymałem. Do domu „dziwadła" poleciałem nazajutrz z samego rana. Podchodząc bliżej odczułem wcale nie mniejszą niż wczoraj grozę. Rzucało się w oczy jednak więcej szczegółów. Krużganki i ściany wylepione były niespotykanymi na co dzień widokami. **Cała konstrukcja była kamienno-chimeryczna.** Na dachu, przy balkonach i oknach sterczały poprzylepiane fragmenty jakichś posągów i rzeźb o ludzkich kształtach. Wokół domu totalne pobojowisko figur i przeróżnych fragmentów ludzkich postaci, często z twarzami o skamieniałej, grobowej minie. **Nie rzadko same głowy, czy ręce wśród rupieci i desek, przywalone do ziemi, ukryte jakby przed okiem intruza.** To rzeczywiście jakiś koszmar na ziemi, pomyślałem i zacząłem znów poszukiwać jakiejkolwiek żywej duszy.

Rys. 49. Fragment fundamentów

Panowała jednak nieubłagana cisza, zatykająca dech w piersi. Nadal nikogo tu nie było. Udałem się do najbliższego sąsiedztwa, ale tam niechętnie ktoś informował, że na właściciela nie ma co czekać, bo jego tu przeważnie nie ma. Jeśli się wam podoba – usłyszałem, to możecie wszystko to obejrzeć z zewnątrz, bo w środku to on trzyma różne figury i rzeźby i raczej nikogo tam nie wpuszcza. Skorzystałem z okazji, oparłem się o mur i wykonałem kilka zdjęć. **Mury i ściany wybudowane były z kamieni jako żywo przypominają-**

cych fragmenty cmentarnych grobowców. Niektóre rzeźby były jakby wyraźnie niedokończone lub wymagające renowacji. **Smutek i przerażenie wyzierały z każdego kąta. Choć z drugiej strony widać było, że były przedmiotem dalszej obróbki i poprawek.**

W zamyśleniu, skierowałem wzrok na drugą stronę drogi wśród błot. To były jakieś dzikie tereny Wołynia. **Widać było wzniesienia i spady, łąki z wodnymi prześwitami i zarośla przepełnione samosiejkami brzóz, krzewów i traw.** W oczach rysowała się rzeczywiście dal i dal, a w uszach panowała stepowa cisza z symbolem ukraińskiej dumki: „dzwoń, dzwoń, dzwoń dzwoneczku, mój stepowy skowroneczku". W takim nastroju zauważyłem sylwetkę człowieka, zmierzającą z wolna w moim kierunku. **Nieoczekiwany i bardzo nietypowy to był widok.** Tworzyło go jeszcze jaskrawe słońce, dodając coraz więcej szczegółów.

Zbliżający się człowiek był w krótkich spodniach, bez butów i koszuli. Lewe ramię obciążył koszykiem zwisającym na kiju, zdradzając rosnące zainteresowanie moją osobą, podobnie jak ja nim. **Robił wrażenie, że czegoś ode mnie potrzebuje.** – Może papierosa macie? – wykształsił na powitanie. Sięgnąłem do klamotów, obserwując z niepokojem rozwój dalszej sytuacji. Groza ustępowała i Rybak – jak sobie go określiłem, stawał się coraz bardziej zagadkowy. **Jego smukłą, raczej wychudzoną posturę uzupełniały długie ręce, jakby doklejone do szkieletu.** Zwracały jednak uwagę muskuły zachowane zapewne z czasów, gdy ćwiczył jakiś sport lub ciężko pracował.

Twarz była frapująca. Klasycznej urody, z wielkimi przenikliwymi oczami, przysłanianymi bogatą czupryną spadających włosów.

Rys. 50. Na placu budowy

– Co to wszystko takie cmentarne i straszne – zagadnąłem wreszcie śmiało, by przerwać nastrój spotkania z Drakulą. Ten zorientowawszy się o mojej nie tutejszości odłożył wędkę z koszykiem i odrzekł:

– A bo to i z cmentarza może być. **Jechali wtedy sobaki czołgiem i wszystko łamali, niszczyli, jak kto chciał, to i mógł nabrać wiele kamieni i rozmaitych elementów.** O tut, w tym rozlewisku to też jeszcze pełno było do niedawna rupieci. Lepiej tam nie łaźcie. Wiele ludzi podobne u siebie przechowywało, a potem to stroili domy i dacze. **To raczej silny materiał budowlany.** Ale ja by się tam panie bał mieszkać w takich grobach, **bo mnie się od dawna koszmary śnią.** To gdzieś od czasu jak mojego brata psy tu rozszarpały. Panie tu za rzeką to i do dziś jeszcze pełno dzikich psów i różnych gadów. Nasz Wołyń to nie stolica! A i w samej rzece nie lubię, jak gady pływają. One się wśród kamieni ukrywają. O widzi pan to coś okrągłe, w tej wodzie? To ten zakorniec (zaskroniec), czy jak wy go tam po polsku nazywacie. Po temu to i ryb tu za bardzo łapać nie lubię, **ale tu w tym miejscu o większą wodę trudno, taka jest latem, jaka jest** – kończył swoje rozważania człowiek jak zjawa. – Jesienią się poprawia, a na wiosnę rozpacz tu zagląda. Taki pootop!

Musiałem zapalić papierosa. Raz ze zdenerwowania, wszak w zasadzie nie palę, a po wtóre dlatego, że bardzo chciałem przedłużyć tę rozmowę. **Rybak zachęcony fajką do rozmowy, nie ustawał w dalszych opowieściach.** Na koniec zaoferował pomoc w sfotografowaniu mnie na tym „cmentarnym pobojowisku", jak określił wskazywany teren, składowisko form i budowlanych

Rys. 51. Wybudowany fragment

elementów. Do środka tego składu wchodzić nie chciałem, wszak nie przywykłem do buszowania po czyimś terenie bez jego właściciela. **Rybak jednak nalegał, bo uważał, że gdyby właściciel był, to chętnie by mnie gościł.**

– A w ogóle, to jeśli nie chcecie wśród tych postaci chodzić, to stańcie tu na ulicy tak, aby widno było na „kamienne napisy od fundamentów" a ja was sfotografuję. Ja się nauczył fotografować od tego, co to przy bazarze mieszka i sam dużo fotografował. Ostatnio nawet moje zdjęcie od niego zdobyłem. Na nim głowa, twarz i włosy te same. Tylko koszulę miałem wtedy ładną nie tak jak teraz golizną świecę, bo to taaki dzisiaj upał. **Te blizny na ciele to podrapania.** Niech pan się mnie nie boi. Pan wie, jakie patyki jeżdżą po mojej skórze, gdy przeciskam się do rzeki wśród tych zarośli! Najlepsze ryby łapię w największych zakamarkach... trudno dla ludzi dostępnych. Raz byłem sobie nawet oko o taki złamany patyk wybił. Udało się. Pobolało i przestało. **Widzę wszystko jak Drabkula w nocy. Nawet tak mnie tu niektórzy nazywają.** Ale to dlatego, że w tych chaszczach bezludnych to mnie tylko spotykają – kończył Rybak opowieść, sięgając chętnie po podstawianego mu papierosa.

Nastała chwila ciszy, po czym dorzucił niespodziewanie: – ot tut, gdzie ten kamień z wody wystaje – (wskazywał na nurtującą mnie wodę), to było kiedyś głęboko i jakieś kamienne dno. Było po nim bardzo niewygodnie chodzić. **Ale w zamian łapało się piękne ryby.**

Chyba po waszemu wiuny?

Interesowało mnie to „kamienne dno", bo dorzucało jakieś tropy do zasłyszanych informacji, w które uwierzyć nie chciałem.

Rys. 52. Budowa trwa

Kto się sparzył, na zimne dmucha i choć miałem ograniczony oczywiście zakres weryfikacji ponurych informacji dokładanych mi ad hoc, niektóre z nich **potwierdzały opinię Kati, że wiele elementów z dawnego cmentarza jeszcze można by odnaleźć. Choć nie wiem czy akurat w tym miejscu. Sam zresztą nie wiem, dlaczego argumenty na rzecz tej hipotezy coraz chętniej odrzucałem. Przy jej pomocy** tworzył się zbyt ponury obraz tragicznych wydarzeń na wołyńskiej ziemi, uzupełniany hiobowymi aspektami losów naszych rodaków.

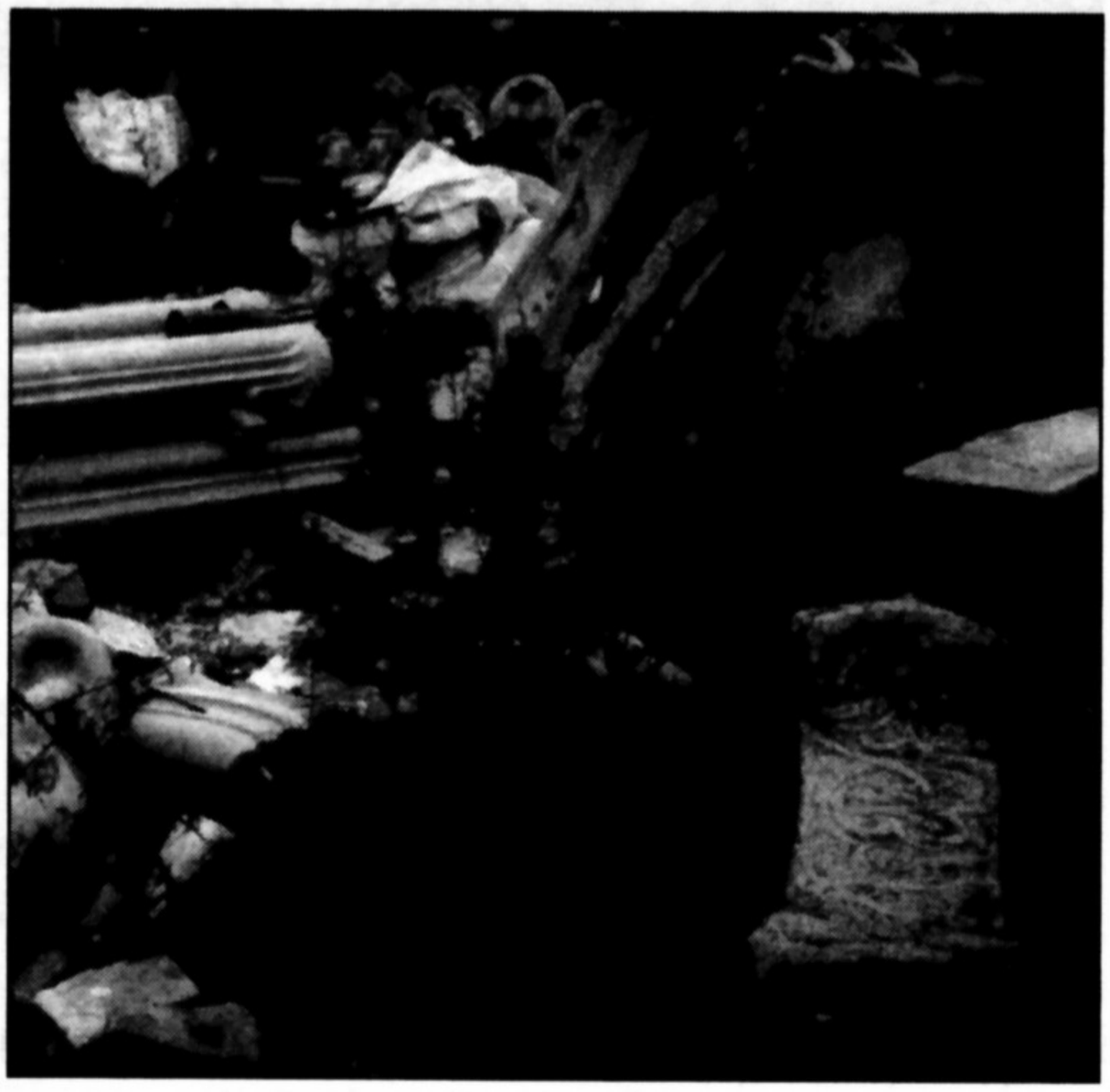

Rys. 53. Elementy budowlane

Po powrocie do domu nastąpiło pewne rozluźnienie i zwierzyłem się gospodarzom z frapujących mnie przeżyć. Początkowo odczułem, że potraktowali mnie tak, jakbym w moich badaniach czy obserwacjach „rzucał się z motyką na księżyc". **Byli Rosjanami i niewiele interesowały ich dzieje samego miasta.** Do Mykoły (właściciela posiadłości) porównywać mnie nie chcieli, bo uważali, że „jemu wygodnie jest udawać głupka". Ja natomiast w ich oczach takowym byłem, wszak z nieznanych powodów podejmowałem się roli,

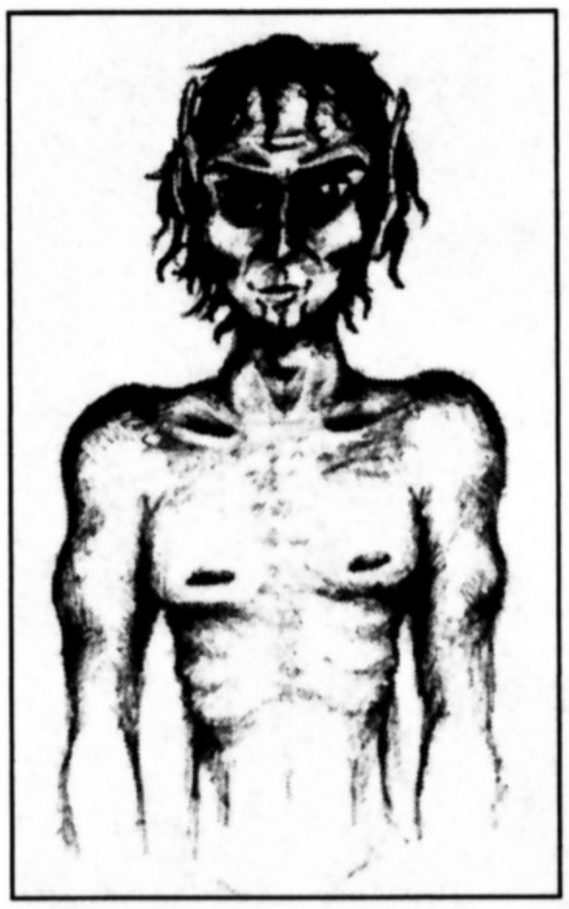

Rys. 54. Przybysz znad rzeki Styr

w której bardzo chętnie pojawia się na Wołyniu Drakula przyjeżdżający tu – jak twierdzili – na występy z nieodległej Transylwanii.

Podobno jedna z kawiarń cały program humorystyczny na ten **temat skleciła. Z tym, że bohaterami nie jest on, Drakula, lecz przepiękne ukraińskie dziewczyny.** Rozrywka w kawiarni na 100. To tak mimo woli gospodarze wzmiankowali cień bohatera, którego symbolem był dla mnie człowiek-zjawa spotkany nad wodą. – Wiecie, jaki on tu znany? – dorzuciła gospodyni z humorem, wyraźnie nie lubiąca mojego ponuractwa. Gospodarze akcentowali, że **Wołyń jest równie piękny, co i straszny.** Musicie uważać! na jedno i drugie, bardzo starannie – przestrzegali. Miast strachu, odczuwałem jednak bezgraniczną ich życzliwość. A tego mi tu chyba najbardziej brakowało. Więc **dlatego uwagi pod moim adresem wcale mnie nie denerwowały.** Przytaczam je w nadziei, że w całej tej sprawie musi się odezwać czas, który przynajmniej w części obroni moje intencje mimo, że nie najlepiej chyba zrealizowane.

Zamek i katedra

Po wyjeździe małolata wszystko chyba nader poważnie przeżywałem. Nie rozumiał tego Misza, mój obecny towarzysz wędrówek, i traktował moje przeżycia raczej z przymrużeniem oka. Miewał zapewne mocniejsze. Mykołę i jego posiadłość znał wystarczająco i od razu dorzucił, że tam jest nieprzyjemnie, bezludzie, brudna, mułowata woda i chodzić tam nie ma po co. Wynikało stąd, że on lubi miejsca gwarne, handlowe (sam zajmował się wielorakim już handlem), jak bazary, kina i kawiarnie. Takie właśnie krzykliwe miejsce tworzyła jakaś przed nami wycieczka. **Rozprawiali o zamku i zorientowaliśmy się, że idą do niego z przewodnikiem. Nieśmiało podążyliśmy za nią.**

Sam zamek to wyniosła i rozległa budowla, widoczna z daleka. Pięknie zresztą usytuowana. **Wewnątrz pusta i doszczętnie wyniszczona.** Ach Boże! – westchnąłem, idealne miejsce na zgromadzenie cmentarnych pamiątek, jeśli już musieliście ten cmentarz rozwalać. Mój opiekun zachował milczenie i dodał tylko, że on do polityki się nie miesza. Choć z drugiej strony faktycznie szkoda, że tyle ładnych grobowców zniszczono – potwierdzał. A i cmentarne eksponaty też by tu nie pasowały – czym prędzej dorzucił. I tak tu pełno ponurości. Starych i nowych. **Domyśliłem się, że mój kompan zna jakieś makabry z okresu budowy socjalizmu z zamkiem związane, o których częściowo usłyszeliśmy tu od przewodniczki oprowadzającej wycieczkę.**

Takie sytuacje to nie nowość, wszak wszystkie z reguły zamki przekształcano w czasach stalinizmu w miejsca tortur i więzień. Ciekawe, czy tu na Ukrainie znajdzie się jakiś wyjątek. **Podróż wykaże.** Póki co, odnotowałem w pamięci, że rozkazy z Kremla płynące wydawali osobiście Beria, przed nim Jagoda, Świerdłow (ten sam, który własnoręcznie zamordował rodzinę carską, w tym oczywiście dzieci), Dzierżyński itd. Mam już pojęcie w sprawach całego systemu zbrodni, ale tych na zamku łuckim nie znam. Całokształt ich mnie na tyle przeraża (do czego przyczyniła się sceneria ponurego zamczyska), że nie mam już siły zgłębiać serwowanych wycieczce tajemnic. **Są nader ponure i nie chcę się narażać moim studentom.**

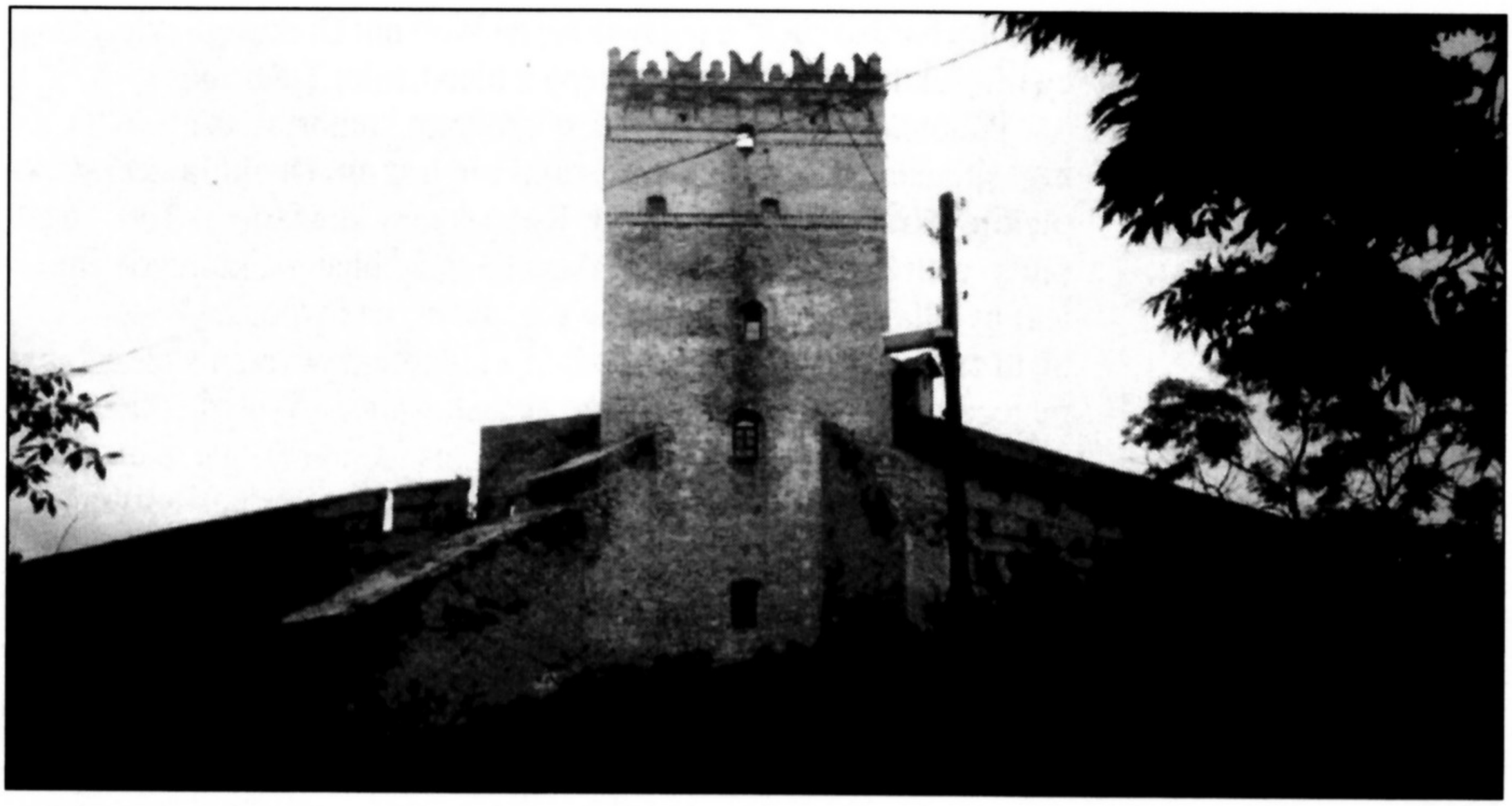

Rys. 55. Południowe skrzydło zamku

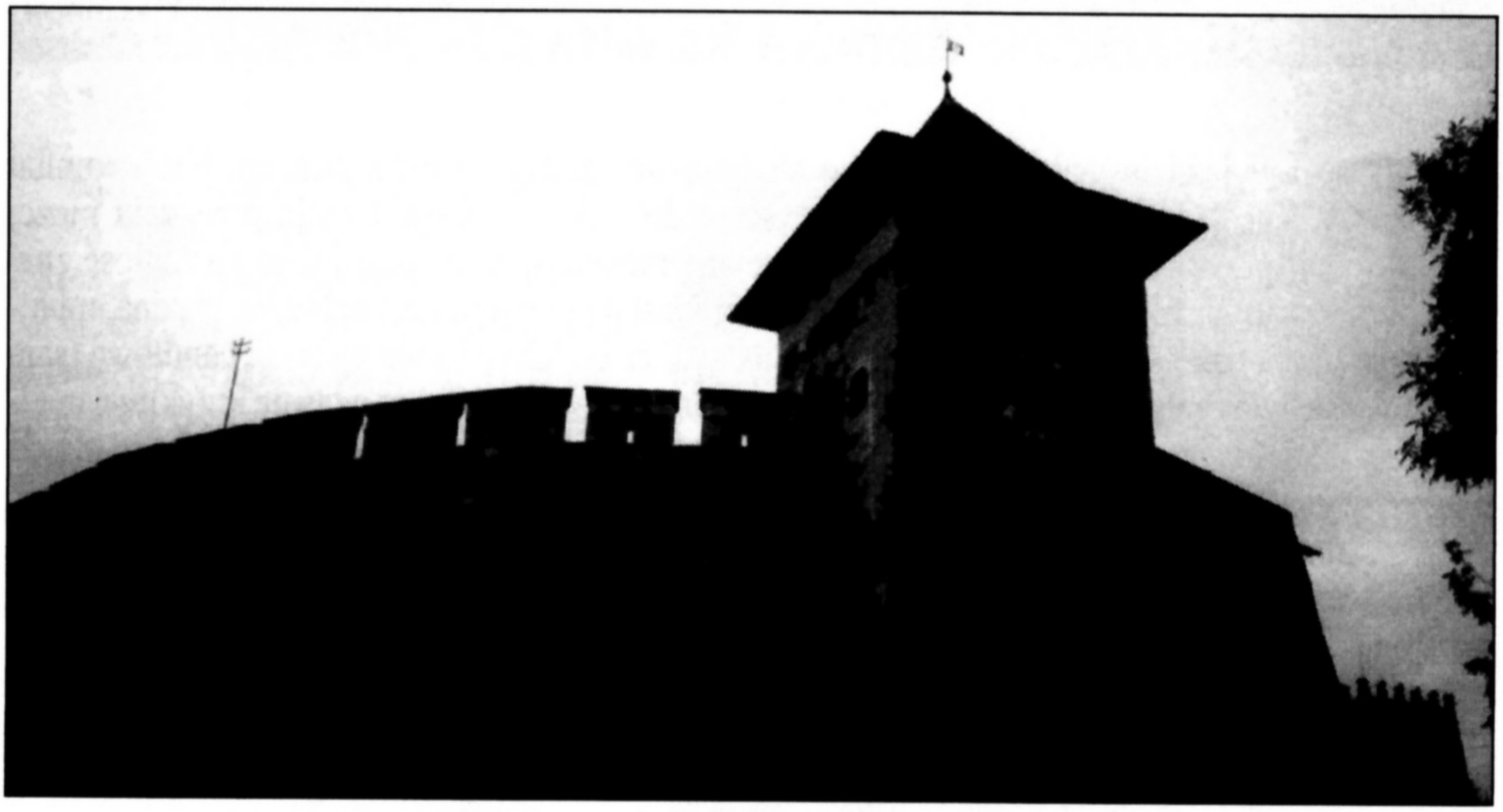

Rys. 56. Północne skrzydło zamku

Dzieliłem się z nimi materiałami przygotowanymi do tego wyjazdu, wiele z nich recenzowali i ostrzegali, abym nie zamienił całej sprawy **„w zastygłą lawę anakondy"** – jak napisał jeden z nich. Byłaby to książka wtedy nie do przeczytania. Wstępnych recenzji zebrałem kilkaset. Natomiast najrozmaitszych rysunków oddawanych po wykładach niewspółmiernie więcej. Na przekór ponuractwu, z reguły rysunki te są pogodne (w tym wiele zamków i kościołów) i żal, że tak mało tu wykorzystywane. **Ale chodziło w nich o to, aby treść tej książki była odprężająca, a nie tylko apokaliptyczna.** To nic wesołego pana tam już nie spotkało? – dopytywał jeden z nich. Owszem i to nawet w tym zamku.

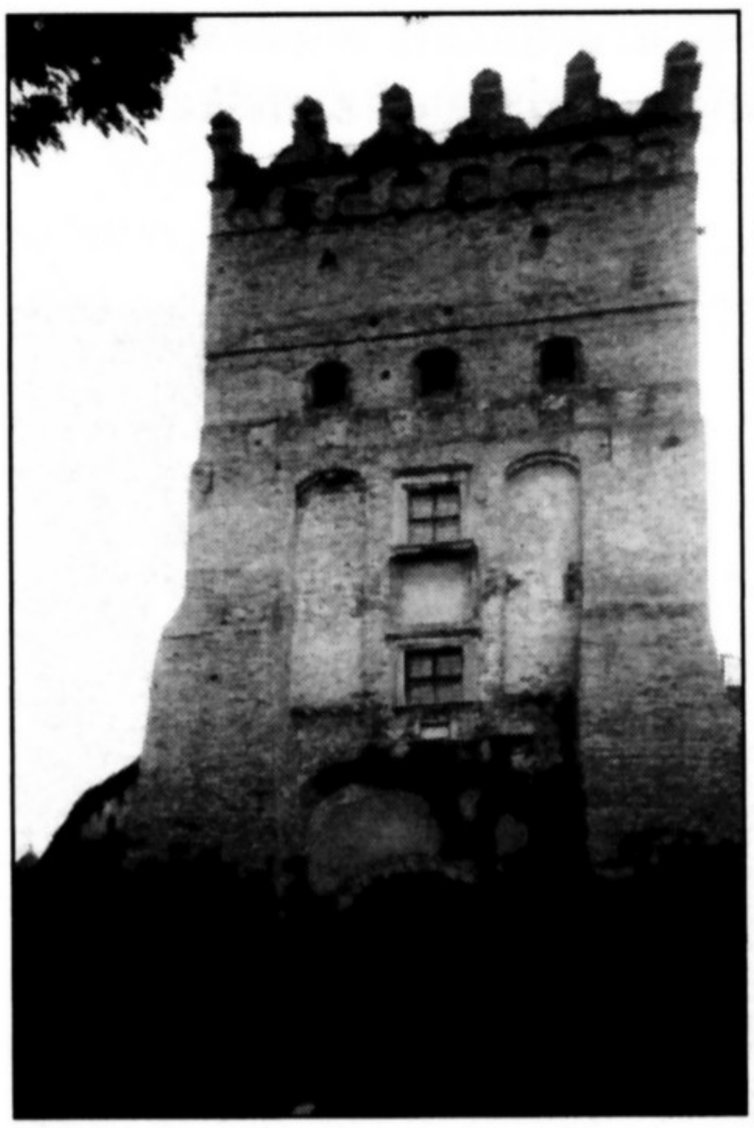

Rys. 57. Wjazd do zamku

Śledzimy z Miszą piąte przez dziesiąte rozmowy wycieczkowiczów i Misza wtrąca się do jednego z nich:

– Wy z Rosji?

– Nie, my weterani. **Kiedyś wiecie było nie do pomyślenia** (zaciągał już zniekształconym językiem ukraińskim), **aby właził tu kto choczet i nie choczet. A teraz włazj. To znaczy, że jest do pomyslenija.**

Mimo woli parsknąłem śmiechem i odtworzyłem sobie drogę życiową „weterana". Wyglądał jak żywcem wyjęty ze służby więziennej okresu stalinowskiego. Ale Misza o tym jakoś nie myślał i dopiero w kawiarni zrozumiał mój śmiech. To chyba zasługa piwa, a nie moja.

Tu w zamku śmiech w ogóle nie pasował do nastroju. Tym bardziej, że i przewodniczka wycieczki coraz bardziej o makabrach rozprawiała, choć starała się je prezentować w złagodzonej formie. Wyraziłem więc chęć rezygnacji z dalszego łażenia po zakamarkach upokorzonej budowli i Misza poszedł do supermarketu po zakupy. **Rozstaliśmy się przy katedrze.**

Rys. 58. Przy wejściu na dziedziniec

Wchodząc w szerokie drzwi katedry spostrzegam, że robi się już późno. W drugiej ławce od końca widzę jakąś staruszkę pogrążoną w modlitwie i niezgrabnie przewracającą kartki z obrazkami w książeczce do nabożeństwa. Usiadłem tuż za nią, koło puszki oznaczonej „Na odbudowę

kościoła" i próbowałem zapomnieć o mijającym już dniu. **Pamięć uruchomiła mimo woli całe opisy walki, latami toczonej o uratowanie i odbudowę tej świątyni, związanej z wielką i małą historią Polski.**

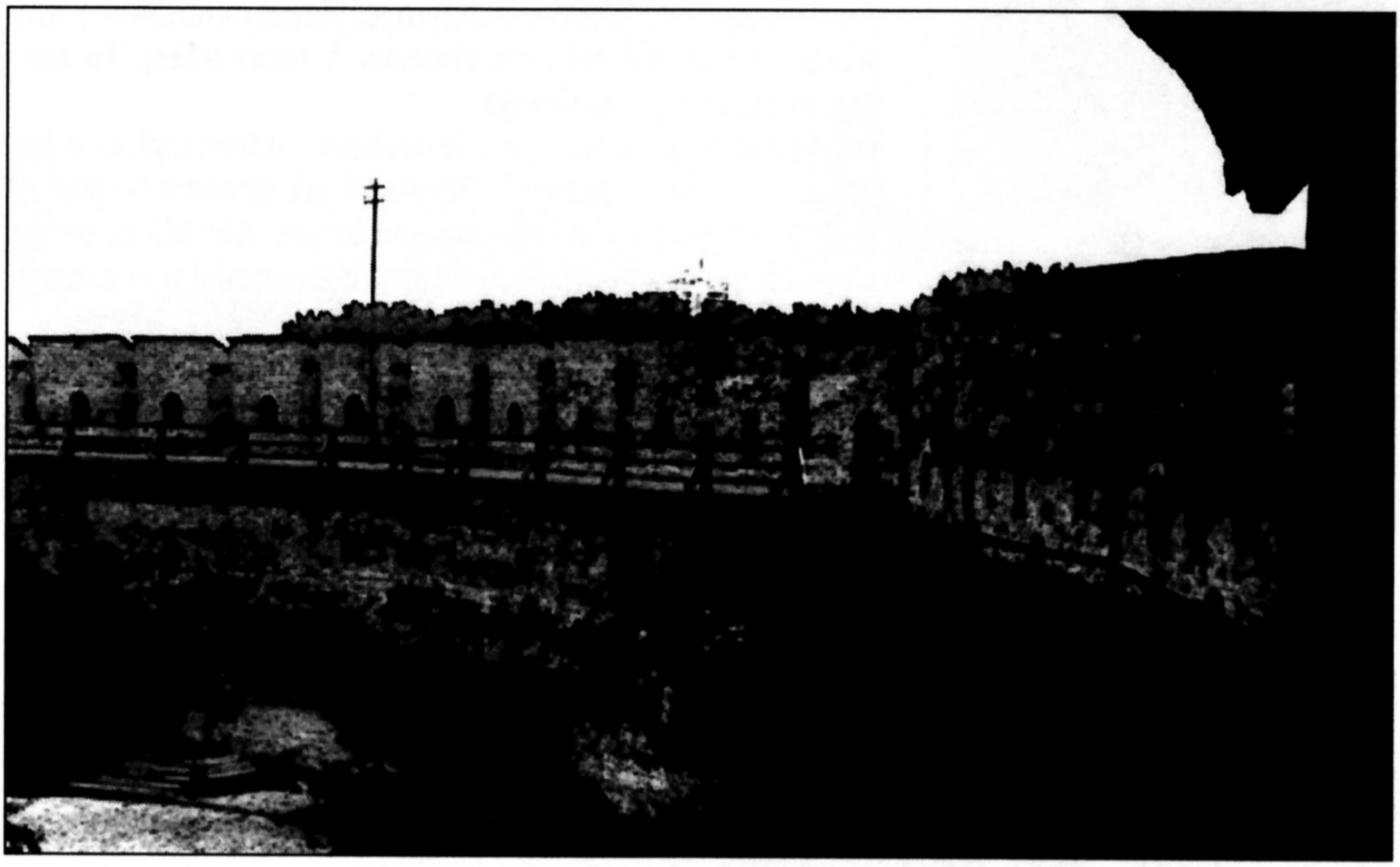

Rys. 59. Giną ślady przeszłości

Z małą, to znaczy taką, o jakiej opowiada pani Józia, jedna z wielu bohaterek książki **Teresy Siedlar-Kołyszko z Londynu.** W książce zamieszczono m.in. fragmenty jej opowiadań o sytuacji Polaków w Łucku, o ich walce o przetrwanie i kościół.

„Walczyliśmy o kościół nasz dużo lat. ...i nic nie wychodziło. Stawiali nam różne przeszkody – jeśli do komitetu należał ktoś, kto pracował, od razu dawali znać do roboty i skutki były bardzo ciężkie!

Jeśli ktoś był w dwudziestce, a pracował na jakimś stanowisku, to od razu jego zwalniali. Bardzo było ciężko, ludzie bali się.

– Gdzie modliliście się?

– Zbieraliśmy się w mieszkaniu u znajomych, ksiądz przyjeżdżał cichaczem, żeby władze nie wiedziały, a sąsiedzi nieżyczliwi nie donieśli, bo od razu by i księdza i nas wszystkich zabrali.

– Nigdy was nie nakryli?

– Tam, gdzieśmy się zbierali – wtrąca pani Józia – mieszkali bezbożni komuniści, co mówili, że najlepiej by było rzucić bombę w miejsce naszych zbiórek, żeby nas, Polaków pozabijało. Ksiądz z Krzemieńca przyjeżdżał. Pewnego razu, a było to u pani Poleszczukowej, gdzie przyszło chyba z 50 osób. Ksiądz już skończył mszę świętą, już nawet się przebrał, kiedy przyszło czterech i chcieli nam zabrać księdza. Zaczęliśmy prosić i płakać, a oni krzyczeli na nas, wrzeszczeli po prostu. Powiedziałam: „Nie krzyczcie, nie zabierajcie!". Podeszłam do niego i pocałowałam jego brudną, splamioną cudzą krzywdą rękę! ....Robi się cicho i tylko szloch starej kobiety miesza się ze szmerem fal tuż obok płynącego Styru.

– Prosiłam, żeby nam nie zabierali księdza i wtedy go nie zabrali. Później księdza wezwali i powiedzieli, żeby już więcej nie jechał do nas, bo go zaaresztują. Więc potem on do nas już nie przyjeżdżał ...Stawialiśmy radio pośrodku i słuchali mszy świętej przez radio z Warszawy. Modliliśmy się wspólnie do świętej Tereski, do Matki Boskiej, do Pana Jezusa, do Wszystkich Świętych, żeby nam dali kościół. To trwało dużo lat. Pisaliśmy do Kijowa, do Moskwy, do władz miejskich, ale nikt nam nie odpowiadał.

– Kiedy się odmieniło?

– Odmieniło się dopiero w tym roku, 13 września 1990 nas wezwali do rady miejskiej, bo myśmy wcześniej złożyli podanie, żeby nam pozwolili odprawić mszę świętą na schodach przed naszą katedrą świętych Piotra i Pawła. Tam teraz jest muzeum ateizmu, a łucka katedra podobno była jednym z najpiękniejszych kościołów w Polsce. Na komisji nam odmówili. Wtedy powiedzieliśmy, że chociaż nam zabraniają, to my i tak tę mszę świętą przygotujemy. 21 września ponownie nas wezwali do Komitetu Wojewódzkiego i powiedzieli, żebyśmy nie robili mszy przed katedrą i zaproponowali kapliczkę z boku katedry. Obiecali też, że dadzą nam w przyszłości kapliczkę na byłym cmentarzu polskim i że pod koniec 1991 roku oddadzą nam całą katedrę.

Rys. 60. Fragment starego miasta

Oj Boże, jedyny Boże, doczekaliśmy w końcu tego kościoła, a jak my czekali ... – Matka Boża Częstochowska nam pomogła. Tak się zawsze gorąco modliliśmy i wreszcie mamy kapliczkę w katedrze polskiej. Jak wróciłam z Sybiru, to ksiądz ostatni raz odprawiał, ale już na cmentarzu, ile to już lat minęło? Potem już nic nie było. A i Polaków nie było, bo ich powywozili, pomordowali, a ci, co byli, to bali się przyznawać, że są Polakami. Strasznie się robiło na świecie, wokół nas to wszyscy się bali.

– Co się teraz dzieje w katedrze?

– Jest muzeum, nie wiadomo czego, ale i występy tam były i kino.

– Pani katedrę pamięta sprzed wojny?

– Pamiętam, dobrze pamiętam, bo ja w niej brałam ślub. Była bardzo śliczna, mnie się zdaje na całą Polskę była sławna. Bardzo ładna była nasza katedra. A teraz nic w niej nie ma, wszystko porozbierali, powywozili. Mówią, że oddadzą kiedyś, ale kto ich wie, czy to w ogóle jeszcze wierzyć można komu?

– Niech pani nie płacze – pociesza ją pan Zieliński, który mógłby być jej synem, a z którym razem o tę katedrę walczyli. – Już jedną nogą jesteśmy w katedrze, teraz trzeba się starać, żeby obie nogi mogły w niej stanąć, żeby cała katedra była nasza. Apelujemy do wszystkich Polaków, na całym świecie, żeby nam pomogli. W niedługim czasie będę w Polsce, zajdę do Prymasa i jego będę prosić o pomoc w odzyskaniu katedry. Nasi ludzie ciągle się jeszcze boją, nie wierzą, że idą

Rys. 61. Odbudowana katedra

inne czasy. Po tym, co się tu działo i po stalinizmie oni ciągle są przestraszeni. Tylko parę ludzi było odważnych – z panią Józią, bo ona najodważniejsza była, szła wszędzie...."[22].

Dodajmy tu, że Pani Józia zesłana była na Syberię do Archangielskiej obłasti, gorod Mołotow, **a po powrocie do rodzinnego Łucka przez długie lata ukrywała się przed banderowcami i szpiclami spod sztandaru UNO**[23]. Gospodarz, który ją ukrywał został ostrzeżony na wszelki wypadek pytaniem, czy tu są Lachy? (Pogardliwe oznaczenie Polaków). **Kiedy oświadczył, że nie ma, banderowcy stanowczo zagrozili, że jeśli jutro wieczorem przyjdą a będą, to on i oni zostaną zabici.**

Czytając tę książkę nie przewidywałem, że los będzie dla mnie tak łaskawy i tę świątynię będę mógł odwiedzić. Ale tutaj powieści się nie pisze. Tutaj miejsce zajmuje modlitwa, dla Lacha najpiękniejsza rozmowa, jaką może prowadzić człowiek. I prosić o opiekę w dalszych wędrówkach po utraconej ziemi.

---

[22] Ibidem, s. 26–27.

[23] Spójrzcie na zdjęcie 44. To Misza ucieka spod tego sztandaru.

Łuckie memorandum

Katedra łucka ma za mało światła. Z trudem dostrzegasz stacje Drogi Krzyżowej. Dopiero Krzyż z umierającym Chrystusem koncentruje Twoją uwagę. **Widzisz wtedy cierpienie. To największe. Za ludzi. Za cały świat.** Przerywasz na chwilę modlitwę i pytasz: Panie Jezu! Twoje cierpienie i męki niczego tych współczesnych łotrów nie nauczyły? Przecież lecieli z widłami jak diabeł do niewinnych ludzi: kobiet i mężczyzn, starców i dzieci, na dniu i w nocy, a Ty znowu cierpiałeś. Pamiętasz Czesława Fotka? I te widły trójzębne wrzucone po tym do dołu? Ty wiesz, że jestem zmęczony i słaby i innych ofiar tu nie wspomnę. **Jest ich zbyt wiele i ja nie mogę tak jak Ty ogarnąć rozmiaru ich cierpień. Uczą mnie jedynie rozumieć Twój Krzyż.** Ten tu, i ten podarowany mi przez Ojca Świętego w Watykanie noszony przy sercu. Dopomóż mi pozbierać myśli i pobłogosław w dalszej wędrówce po tej strasznej ziemi. Tyle w tym Łucku obolałych serc na zawsze zakopanych i nie licznych jeszcze bijących, gdy wspominają widlarzy, siekierowców, łomiarzy i innych zdziczałych oprawców. Tych spod znaku szatana, groźnych nawet samym wspomnieniem.

A naszym niedobitkom dziękuję przed Twoim obliczem za to, że zechcieli podzielić się ze mną swoją pamięcią (**in memoriam iustus est**), która ostrzega. Wsłuchuję się w nią nieustannie w murach tej świątyni, wszak przemawia do mnie i do wszystkich pokoleń moich rodaków, którym zaoszczędziłeś obcinania języka i wydłubywania oczu przez bandyckich rezunów. Póki życie trwa kocham to memorandum łuckie za to, że nie gubi tej wielkiej prawdy. Dopiero się przecież zaczęło (po pięćdziesięciu latach antypolskiej cenzury), a już wielce zbliżyło nas do tej Prawdy, bez której coraz trudniej żyć. Niech jej nowi świadkowie, dopuszczani do głosu wzmocnią dowody okropności odnajdywane na stronicach książki ***Okrutna przestroga***, z którą miałem szczęście szczegółowo się zapoznać. Oświetla mi Wołyń i częściowo ją tu cytuję. **Modlę się więc do Ciebie o to, by Świadkowie ci wytrwali do końca w prawdzie i nauczali jej wiernie wszędzie tam, gdzie jej jeszcze nie ma**[24]. Ich zaś proszę o wybaczenie dokonania skrótów w przytoczonych wypowiedziach.

Rys. 62. Przed starą cerkiewką w Łucku

– „Gdy kościół został spalony ...ksiądz ... przeniósł się do Brodów 19 sierpnia 1943 r.... (Mam dowód zameldowania). Jestem również w posiadaniu listu ks. Biskupa Szelążka do brata, pisanego w Łucku 19.10.1943 r. Oto kilka wyjątków: „Najdroższy Księże Proboszczu. Nie można sądzić, że mam żal do Księdza Proboszcza z powodu wyjazdu... Znałem poprzednie tragiczne Twoje przeżycia. Nie znałem zaś niesłychanych niebezpieczeństw, które przeszedłeś w ostatnich czasach. Przeżywamy ustawicznie najstraszniejsze rzeczy ze strony Ukraińców. Jestem w tej chwili pod wrażeniem zamordowania przez Ukraińców 6 osób pod Łuckiem, spośród moich znajomych. Morder-

[24] Jerzy Dębski, Leon Popek, Okrutna przestroga, Lublin, 1977.

stwo dokonane zostało z niesłychanym pastwieniem się nad tymi ofiarami. Popełnione zostało wczoraj. (–) Ksiądz Władysław Jach, s. 20–21.

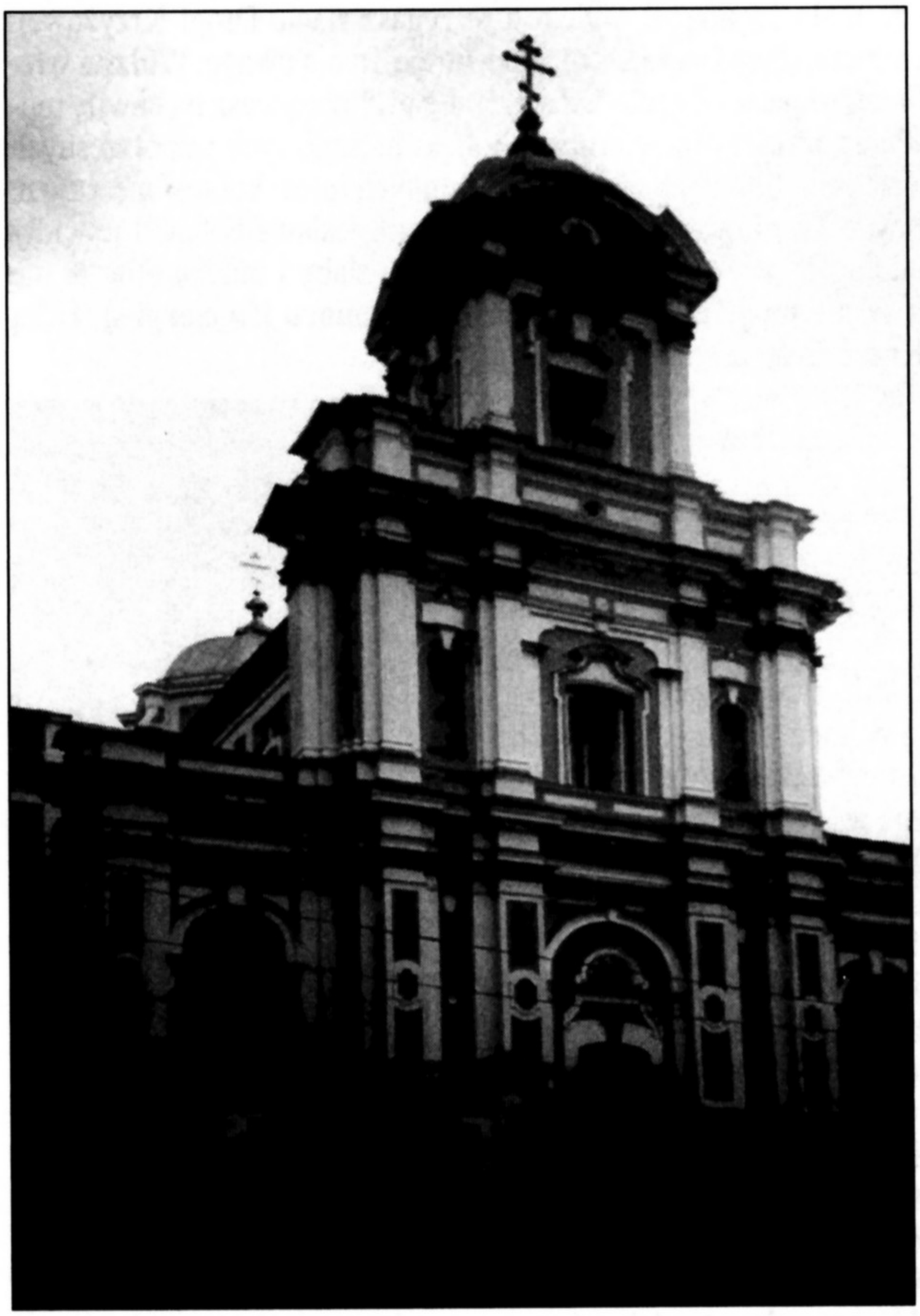

Rys. 63. Nowa cerkiew po remoncie

– Wilkowski Jan, lat ok. 55, mieszkaniec Kundziwoli koło Boremla. W kwietniu 1944 r. wyjechał z Łucka wozem zaprzęgniętym w parę koni. Zamordowany przez banderowców, s. 22.

– Z chorą matką w nadziei odnalezienia rodziny udaliśmy się do Łucka. Po tułaniu się tam przez miesiąc – spaliśmy na klatkach schodowych – uciekliśmy do Włodzimierza... Następnie pod osłoną nocy przedostaliśmy się do Uściługa, gdzie w szkole był punkt zbiorczy uchodźców. W lutym 1944 roku przeszliśmy rzekę Bug, s. 40.

– W poniedziałek rano opuściłem Jachimówkę... Idąc nad rzeką Turią dotarłem do Zaturzec...Było tutaj już kilka tysięcy uchodźców, a między nimi dużo chorych, a wszyscy głodni, s. 42.

– Ponieważ w pierwszym pogromie nie udało się banderowcom „wyrizaty Lachiw szczo do nohi", puszczali takie pogłoski..., że wszyscy uciekinierzy mogą śmiało, bez obawy, wracać na żniwa, że więcej napadów nie będzie. Wróciłam...Odkopałam więc co wartościowsze rzeczy i żywność, załadowałam na wóz... Ale w okolicy ukraińskiej wsi Chobułtów, pod lasem przy szosie, wyszli naprzeciw „przyjaciele"...

Zaczęli nas wypytywać, skąd, dokąd, co wieziecie...kazali mi mówić po ukraińsku...Ale w tym momencie dwie małe dziewczynki mojej siostry zalamentowały: „Mamusiu, bulbowcy nas pozabijają". Wtedy dowodzący Ukrainiec zawołał: „Ach, to wy proklatyje Laszki, zara my z wamy rozprawym sia". Lecz wtedy nagle na szosie wynikła strzelanina. Właśnie nadjechał sowiecki samochód...Rezuny bronili się i cofnęli do lasu, zabierając nasz wóz..., s. 45.

– Po 20 dniach odwiedziła mnie mama. Następnego dnia lekarz oznajmił, że nogę trzeba obciąć, bo się nie goi. Tego samego dnia przyszedł jeszcze do szpitala pan Harasym i oświadczył, że

Rys. 64. W Beresteczku na dawnym cmentarzu

rodzice moi i rodzeństwo nie żyją, zostali zamordowani. Wiadomość ta całkiem mnie dobiła. Lekarz w Kowlu zdecydował odwieźć mnie do szpitala w Łucku, s. 104.

– Wieś Przeparów ze słynnym lasem, w którym dokonano napadu na Polaków, jadących z Sienkiewiczówki do Łucka w maju 1943 r. Zginęło tam kilkanaście osób. Za Jezioranami Polskimi były Jeziorany Szlacheckie i Jeziorany Czeskie. Zginęło tam kilkanaście rodzin polskich. Za Jezioranami leżała wieś Nieświcz, gdzie zamordowano pp. Mazurkiewiczów, wiążąc ich drutem kolczastym i wrzucając do studni, s. 215.

– Na drugi dzień chłopiec spotkał mojego ojca, który przyjechał po żywność i opowiedział mu o zamordowaniu rodziny szwagra (7 osób) oraz babci i cioci. Ojciec zawrócił, zabrał ranną Kazię i zawiózł do szpitala w Łucku. Po tygodniu przyjechał jeszcze raz z Niemcami, aby żąć zboże. Wtedy odkrył, że ciała zabitych zostały wrzucone do studni. Wykopał przy niej dół, w którym pogrzebał wydobyte ofiary zbrodni, s. 217.

– Mój ojciec był gajowym koło Porycka. W styczniu 1940 r. miał być wywieziony na Sybir. Dzięki pomocy Ukraińca Konrada wraz z całą rodziną i częścią dobytku uciekł nocą do swojego ojca w Leonówce, pow. Łuck, s. 218.

– W styczniu 1944 r. ten człowiek w zaawansowanym wieku (prawdopodobnie) został wyłowiony ze Styru, był bez głowy. Podobne skrytobójcze mordy miały miejsce już w końcu grudnia 1943 r. w całym powiecie łuckim, s. 219.

– 3 marca 1943 r. zabili naszych kuzynów: Franciszka Hulka, 36 lat, (została żona i 3 córeczki) oraz Józefa Zapotockiego. ...Po tym nieoczekiwanym morderstwie nie spaliśmy w domu, gdyż noce były najstraszniejsze. Układaliśmy się do snu w rowach albo w stertach, później w zbożach, gdy podrosły i było cieplej, s. 224.

– Dnia 15 lipca 1943 r. o godzinie 13 Polacy zauważyli uzbrojonych banderowców, którzy strzelali do uciekających ludzi...rzuciliśmy się do ucieczki...pracowaliśmy po gospodarzach, a w noce trzymaliśmy warty, aby nie zaskoczyli nas banderowcy. Trwało to aż do roku 1944, s. 225.

Rys. 65. I to cmentarz w Beresteczku

– Władysław nie mógł nas trzymać w domu, dlatego umieścił naszą rodzinę w suszarni chmielu pod podłogą. Aby zamaskować drzwiczki włazowe, poustawiał na nich różne narzędzia rolni-

cze. Piwniczka była mała, niska, mogliśmy jedynie siedzieć. Władysław przynosił nam wieczorem jedzenie i zabierał nieczystości. Było nas tam czworo... Mieliśmy umówiony znak – położoną cegłę w lufcie. Kiedy była niebezpieczna sytuacja, nasz gospodarz tą cegłą poruszał.

Wtedy wiedzieliśmy, że musimy siedzieć bardzo cicho. Wieczorem opowiadał nam o wszystkim, s. 226.

– Przesiedzieliśmy w życie 3 tygodnie, dopóki Czech nie poinformował nas, że bulbowcy konno przeczesują pola.

Wówczas wieczorem zebrano nas około 10 osób i kazano iść nocą polami do Łucka – około 18 km. Co to była za okropna noc! Kluczyliśmy po polach, na każdy szmer padaliśmy nieruchomo..., s. 227.

– Podróż była pełna niebezpieczeństw. W każdym momencie mogli nas zaatakować nacjonaliści ukraińscy. Oni jednak nie spodziewali się, że Polacy odważą się jechać drogą, s. 228

Stronice cytowanej tu książki dowodzą, że **50 lat milczenia wokół zbrodni ludobójstwa na Kresach Wschodnich II Rzeczypospolitej stworzyło wielkie spustoszenie w dziejach naszego narodu** i nie można zakładać, że dziś potrafimy je odrobić. Rąk jednak załamywać nie możemy. Nie zrobi za nas tego IPN. Przeciwnie, musimy uruchomić proces, długotrwały i intensywny. Adekwatny do tego, jaki latami rozgrywał się na tych ziemiach broczących krwią i niesłychanym cierpieniem naszych rodaków, oddających za nie życie.

Ta wołyńska dal i dal

Nie wiem jak kto, ale ja w Łucku czułem się bardzo źle. Poznałem tu wiele przykrych historii, a i współczesność wydawała się być coraz gorsza. **Rosnące zaniedbania miasta, brak szacunku (delikatnie mówiąc) dla jego historii i zabytków, krańcowa złośliwość w tępieniu śladów polskości** i ta potworna awantura na ulicy, która mogła mnie przywieść do najgorszego. Nieudana próba zwiedzenia zamku łuckiego niewyobrażalnie zresztą zniszczonego i wiele, wiele innych rzeczy wywoływało rosnący niepokój i wprost wypychało mnie z tego miasta.

Postanowiłem więc z dalszego pobytu na Ukrainie zrezygnować. Wymazałem pamięć jak klawiszem z komputera **„Usuń”** i pojechałem na dworzec załatwiać bilety. Klawisz rzeczywiście zadziałał. Byłem zupełnie pusty i wpisywałem do pamięci inną już tematykę. Przy kasie (tu bilety sprzedaje się bardzo długo) nieoczekiwanie poznałem księdza z Wrocławia. Zapytał co tu porabiam, powiedziałem, że prowadzę badania i piszę książkę o dawnych kresach II Rzeczypospolitej.

Zaczął coś wypytywać, ale stwierdziłem, że niczego tak do końca wyjaśnić nie mogę. Czuję się tu jak Andrzej Radek z *Syzyfowych prac* Żeromskiego. Tamten szczęśliwie napotkał Marcina Borowicza, a ja pozostaję tu sam do końca i wypada mi przerwać te syzyfowe prace i wracać z niczym do domu. Zaczął przed tym przestrzegać. Czuję, że macie czyste sumienie i wszystko, co zrobicie, nie pójdzie na marne, **bo to są ostatnie już chwile uratowania pamięci o minionych dziejach polskości tych ziem.** Niech pan zajrzy do rocznika statystycznego – uzasadniał, ilu tych ludzi, świadków minionych dziejów, w przyśpieszonym tempie wymiera. Łapać trzeba każdą chwilę. Ona już nie wróci. Podbudowało mnie to ogromnie i zacząłem od nowa rozmyślać nad swoją rolą. Komputerowcy wiedzą, że **w tej** sytuacji trzeba było odgrzebać zbiór „Ratuj”. Ukazał się Łuck na nowo. Ten, który stolicował Wołyniowi i otoczony był jak twierdza sześcioma innymi powiatami. Zajmował 4767 km^2 i był w czołówce województwa wołyńskiego. Widać to na poniższym wykresie.

Do wyobraźni zaczęła przemawiać cała panorama Wołynia, obejmująca najbardziej na wschód wysunięte ongiś tereny Rzeczypospolitej. Droga do ich odwiedzin prowadziła przez **(Łuck), Równe, Żytomierz, Berdyczów i Koziatyń.** Koziatyń należał jeszcze do przedrozbiorowych Kresów Wschodnich RP i był niezbyt już odległy od stołecznego Kijowa. **Zatem wołyńskie kresy to szmat przestrzeni i problemów w skali, do jakiej nie przywykłem,** a która stanowiła jakby „Boży palec, który zaświtał nade mną”[25] określając imperatyw mojej dalszej wę-

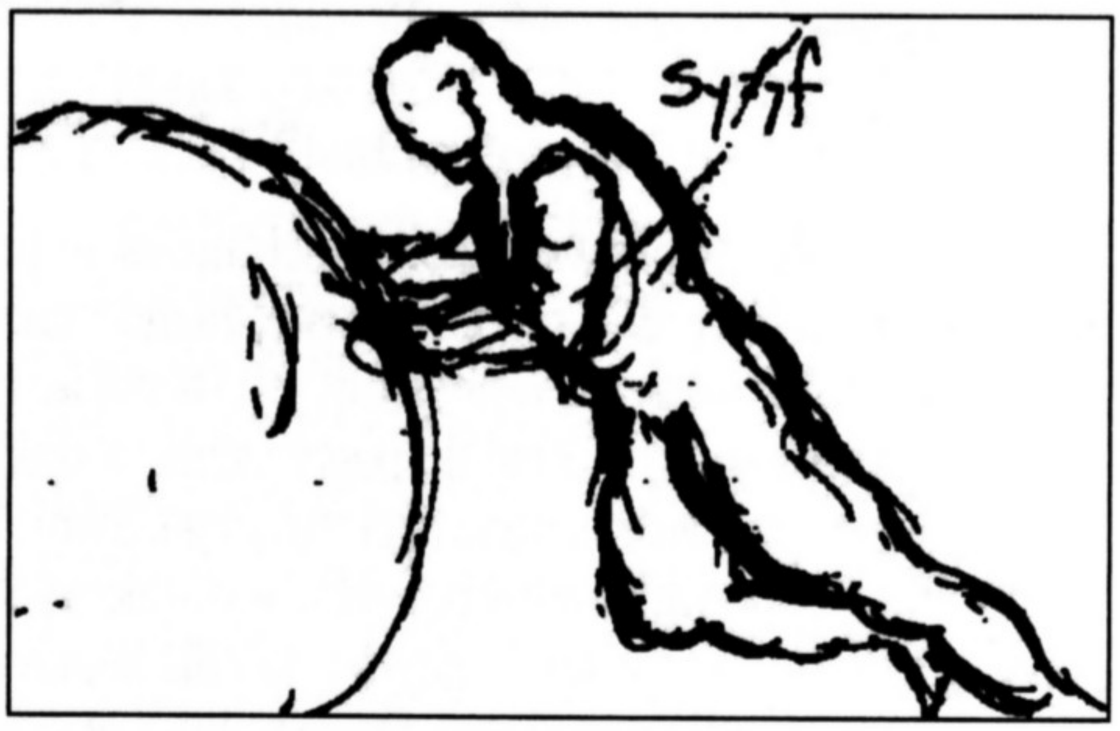

Rys. 66. Syzyfowe prace

[25] Cyprian Kamil Norwid, Klaskaniem mając obrzękłe prawice...PW II, 17.

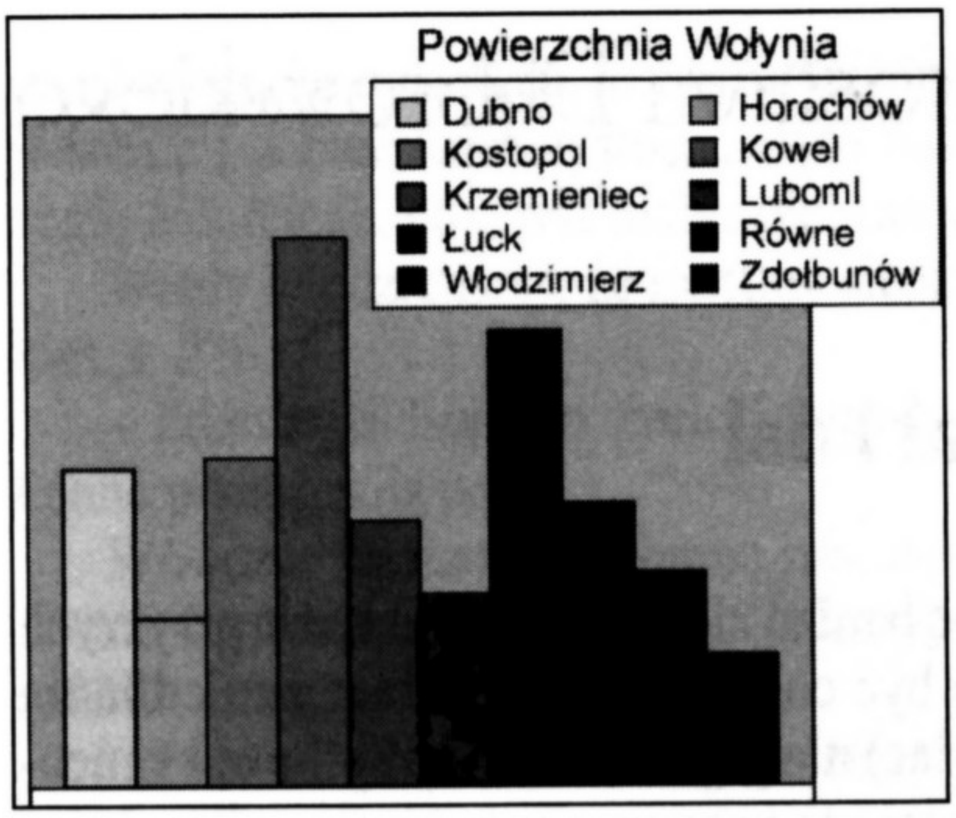

Rys. 67. Powierzchnia wołyńskich powiatów

drówki. Pamiętam, że w podobnej sytuacji cytowany tu Norwid zdobył się na dramatyczne rozwiązanie problemu: – „Czemu? Dlaczego? W przesytu Niedzielę/ Przyszedłem witać i żegnać tak wiele? .../ Nic nie uniósłszy na sercu, prócz szaty -/ Pytać was nie raczę: katy!"

Chyba dobrze rozumiem trudnego Norwida, wszak pytać można osobę równorzędną sobie. A tu, ci co mogli by udzielać mi informacji o problemach mnie nurtujących, przyjęli status uniemożliwiający jakiekolwiek porozumienie i więź kata z ofiarą jest tylko abstrakcją. Domyślam się, że i **dla mnie „katy" zaludniające ten upiorny świat rozpadu i mroku, nic wędrowcy samotnemu zaoferować nie mogą.** Ma on przecież obowiązek wobec ofiar, których chce być głosem. Bo im ten głos odebrano. **A wraz z tym i wszelką ludzką godność.** Niezbędne jest więc samozaparcie takich jak ja, bez względu na narodowość, przywracające w długotrwałym procesie dochodzenia prawdy, szacunek i godność pokonanym. Trzeba więc wędrować po tej głębi i dali Wołynia. Choć to wędrowanie staje się tu coraz trudniejsze.

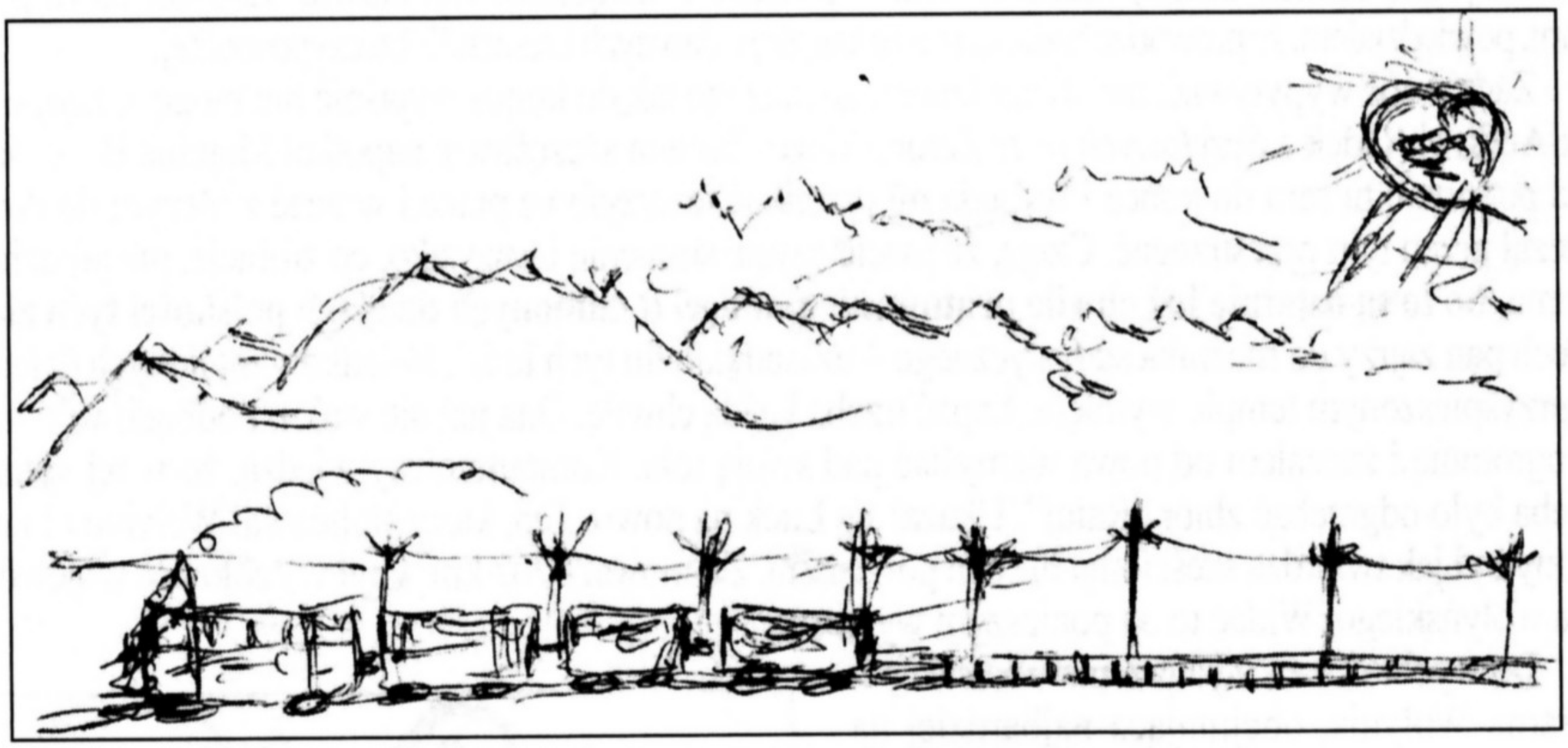

Rys. 68. Ta wołyńska dal i dal

Bramą, którą w pierwszej kolejności musiałem przejść po drodze do rozległej problematyki wielkiego Wołynia, stawało się teraz miasto **Równe, zaznaczone jak brama całej płyty Czarnomorskiej. Dodajmy zaznaczone tak z uwagi na topografię, jak i historię. Tę ostatnią trudną i długowieczną. Skonfrontowanie jej z rzeczywistością** było nie do pogardzenia, wszak odbijały się tu jak w soczewce całe dzieje Wołynia, w tym z okresu najbardziej mnie interesującego. Swoje apetyty tym razem zawężałem. Chodziło mi o pewien zarys spraw, podporządkowany potrzebie wyjaśnienia określonej rzeczywistości, wszak każda charakterystyka sporządzana być musi w konkretnym celu i dla konkretnych potrzeb. **Jej encyklopedyczne ujęcia są eklektyczne, nudne i mało przydatne.** Przypominają płotki wyciągane w IPN, jakby dla osłony bandytów.

Przecież przez tyle, tyle lat nie usłyszałem z ust dyr. L. Kieresa słowa potępienia Jakuba Bermana i jego gangu mordującego w najbardziej wyrafinowany sposób niewinnych Polaków. A bezpośrednio po śmierci naszego Papieża Jana Pawła, gdy rozpoczęto te nadzwyczajne funeralia smutku, wystąpił z bezprecedensowym oskarże-

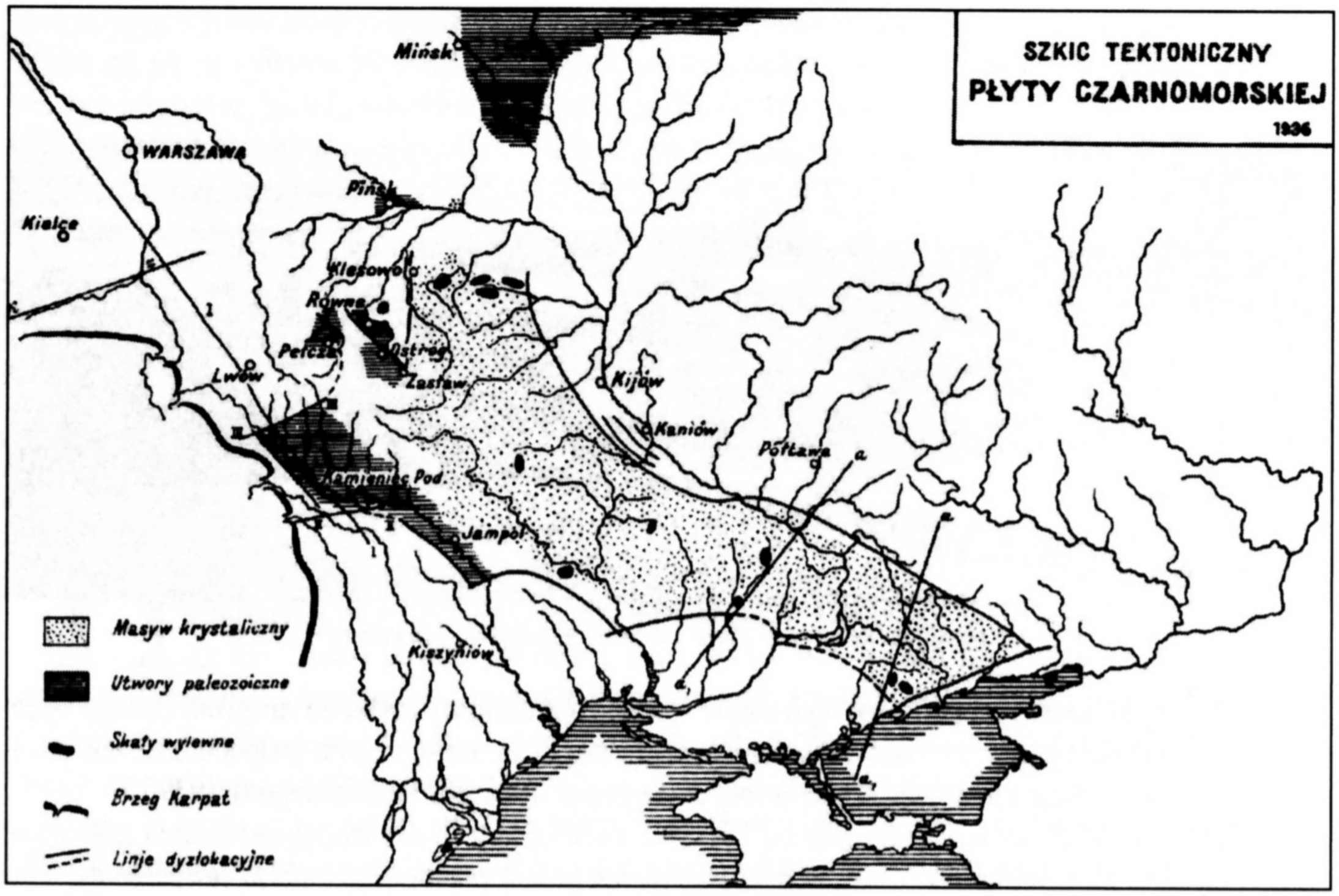

Rys. 69. Równe bramą do wjazdu na płytę Czarnomorską

niem najbliższego otoczenia Papieża, wieszając wszelkie podłości na jednym z zakonników pracujących z napływającą do Wiecznego Miasta ludnością. Ad rem. **W encyklopedii zawsze też pełno szczegółów przysłaniających niekiedy istotę sprawy.** Toteż na swoje potrzeby sięgnąłem właśnie na wstępie do dziejów najnowszych, związanych z odrodzeniem Polski po okresie długoletniej niewoli.

Rozbieranie Polski przez sąsiadów, aż do jej całkowitej zagłady, dokonywało się etapami i Równe, Żytomierz i Koziatyń to obszar w swoim czasie stanowiący ważny węzeł łączący całą ziemię wołyńską z polską macierzą. Ten rodzaj zadumy, pozwalający spojrzeć na tę ziemię z lotu ptaka, pozwalał wyodrębnić Wołyń jako krainę rozległej Polski, ślicznie wkomponowaną w jej historyczno-geograficzne terytorium. Granice tego terytorium stanowiły obszary Karpat i Niżu sięgające aż po brzegi Bałtyku. W takim spojrzeniu granice obszaru były bardzo naturalne. **Ukazywały tereny bezkresnej walki opisanej genialnie przez Sienkiewicza w *Ogniem i Mieczem*.** Trzeba więc było widzieć dwie mapy równocześnie: geograficzną i historyczno-polityczną. **Na obu Wołyń był wspaniały. Tkwił w naturalnym ciągu topograficznym ukazującym jakby niekończącą się dal i bronił się wojskami podległymi naszym władcom.** Nic dziwnego, że bez Trylogii Sienkiewicza zwiedzać tych ziem nie można. Niczego nie zrozumiesz.

Przy bliższym spojrzeniu widać było, że Wołyń to skupiska wód i dorzeczy wodnych, związanych z pokaźniejszymi załamaniami spadku terenu, występującymi szczególnie wyraźnie w północnej części naszego kraju. Na fizycznej mapie Polski Wołyń upiększał i wzbogacał jej frapujący obraz, tworząc wyrazistą część całości, szczególnie w jego podgórskich fragmentach. Te ostatnie znaczyły Beskidy, z podziałem na Wschodnie, Środkowe i Zachodnie. Kierując się od nich w stronę dalekiego morza, w dół, widzimy Wyżynę Lubelską wraz z Roztoczem, a obok niej właśnie **Wyżynę Wołyńską, stanowiącą tradycyjny przedmiot zainteresowań naszych geografów i historyków.**

Rys. 70. Nowosiółki znane z Trylogii i działań współczesnych rezunów (S. L.)

W okresie II Rzeczypospolitej Wołyń ciągle w walce podniesiony został do rangi odrębnego województwa. Popłynęła wtedy szerokim strumieniem wołyńska literatura społeczno-gospodarcza i naukowa. Przytoczmy tu fragment tej drugiej, opracowanej przez geografa **Józefa Wolińskiego w 1939 r.**

„Na Północ od Podola. a na wschód od Wyżyny Lubelskiej leży Wołyń, którego zachodnia tylko część należy do Polski. Południowa jego część, wyższa, pokryta jest lessem, północna zaś, niższa, jest zalesiona, przy czym przeważają bory sosnowe. Przez Wołyń płyną prawe dopływy Prypeci, umożliwiające spław drzewa. W południowej części Wołynia rozwija się rolnictwo i przemysł rolny; uprawia się zboża, buraki cukrowe, tytoń i chmiel; sady dostarczają wielkiej ilości owoców. Słabo uprzemysłowiony Wołyń posiada jedynie kilka cukrowni; w okolicach Korca i Klesowa znajdują się złoża granitu, gnejsu i glinki porcelanowej (słynna porcelana korzecka). Ludności polskiej jest zaledwie 17%, resztę stanowią Rusini – Ukraińcy i Żydzi. Znajdują się tutaj także dość liczne, doskonale zagospodarowane kolonie rolnicze czeskie i niemieckie. Z miast wymienić należy: Łuck (35 600 mieszk.) – miasto wojewódzkie; większe od poprzedniego Równe (41 900 mieszk.); Dubno – centrum handlu chmielem; Ostróg – siedziba kuratorium szkolnego; Włodzimierz – jedno z najstarszych miast; wreszcie Krzemieniec – siedziba Liceum, założonego z pocz. XIX stulecia przez Tadeusza Czackiego”[26].

Rys. 71. Na Wołyniu

Ale podkreślmy w tym miejscu z bólem, że ten właśnie Wołyń, wbudowany poprzez dzieje w polskie umysły i serca, doznał niespotykanego ludobójstwa, morza łez i polskiej krwi, a jak by tego było mało, również odłączenia od Macierzy i planowego niszczenia wszystkiego i wszystkich, co z Polską się wiązało i o niej na tych ziemiach zaświadczyć mogło. Rzeczowe dowody tego nietrudno odnaleźć i dziś. Z tym, że coraz szybciej dochodzą nowe i nowe działania wyniszczające polskość tej ziemi, skądinąd nie do wyniszczenia. **Przy minimum dobrej woli, nawet krótki pobyt na Wołyniu wystarczy w pełni do potwierdzenia tej tezy.**

---

26 Józef Woliński, Zarys geografii Polski przystosowany do gimnazjów i liceów, Lwów, 1939, s. 35.

Mimo że żyjących świadków ważnych wydarzeń z ostatniej historii jest już bardzo mało, to jednak zarówno cała historia, jak i współczesność nadal o polskości tej ziemi wyraźnie świadczy. Trzeba tylko chcieć i umieć te dowody odnajdywać, jak też i rozumieć, w tym również i to (a może głównie to), co dokumentują nam rodacy zza grobu, okryci chwałą osiągnięć tej ziemi. Głosi im ona tę chwałę sama, ukazując prawdę o tamtym Wołyniu w jego materialnej i duchowej spuściźnie, która nie poddaje się przemijaniu.

Tożsamość pilnie poszukiwana

Historia Wołynia jawi się jako wielki ciąg walki cywilizacyjnej płynącej z wzorów chrześcijańskich, opartych na miłości i wartościach dobra człowieka. I tych materialnych, i tych duchowych. **Trudno więc nie nawiązywać do tego faktu i uważać, że nie mamy prawa oświetlać tych wydarzeń, wszak to przecież nasza, polska metryka i korzenie.** Obejmują one tych, których niewinnie na tej ziemi pomordowano, jak i tych, którym udało się uciec z zasięgu kosy czy wideł. To były tragedie i nieszczęścia na skalę nieznaną w Europie. To one właśnie nie pozwalają tracić ogólnego obrazu tych ziem, a przede wszystkim ludzi, którzy wnieśli wielki wkład do rozwoju i zagospodarowania kresowych ziem. **Stanowi to, jak sądzę, szerszą sprawę cywilizacyjną, wykraczającą poza nasz tylko interes i tożsamość.** Co prawda Wołyń w pierwszym rzędzie odgrywał szczególnie ważną rolę w rozwoju naszej gospodarki, a szczególnie gospodarki Kresów Wschodnich, ale jego dorobek jest także dorobkiem innych, ogólnoludzkim, całego człowieczeństwa. Staraliśmy się bowiem zajmować gospodarką traktowaną jako część ogólnoludzkiej kultury. A wiadomo, że zgranie tych rzeczy nie jest i nie było proste i łatwe. Przy odrobinie dobrej woli bez trudu można jednak dostrzec znaczące osiągnięcia w wydobywaniu się z gospodarki prymitywnej, ku wznoszącej się do zapewnienia dobrobytu. **Mamy więc prawo szczycić się nimi wespół z obecnymi mieszkańcami tych ziem.**

Ale dlatego niepokoić musi fakt niszczenia tego dorobku, niezależnie z jakich przyczyn byłoby prowadzone. **A o tym, że zaciera się pamięć o tym dorobku, a co gorsza o zbrodniach i tragediach, które dotknęły ludzi ten dorobek tworzących, nie trzeba nikogo przekonywać.** Bez trudu wykazać można rozliczne dowody na to, **że niszczy się wszelkie pamiątki dźwiganej tu przez wieki kultury i cywilizacji**. Podkreślmy z trudem torującej drogę rozwoju społeczno-gospodarczego tych ziem, usiłujących wyrwać się z ogromnego zacofania i nędzy. Interesujące, że w trudzie tym odnalazła się właśnie nauka i szeroko pojęta kultura.

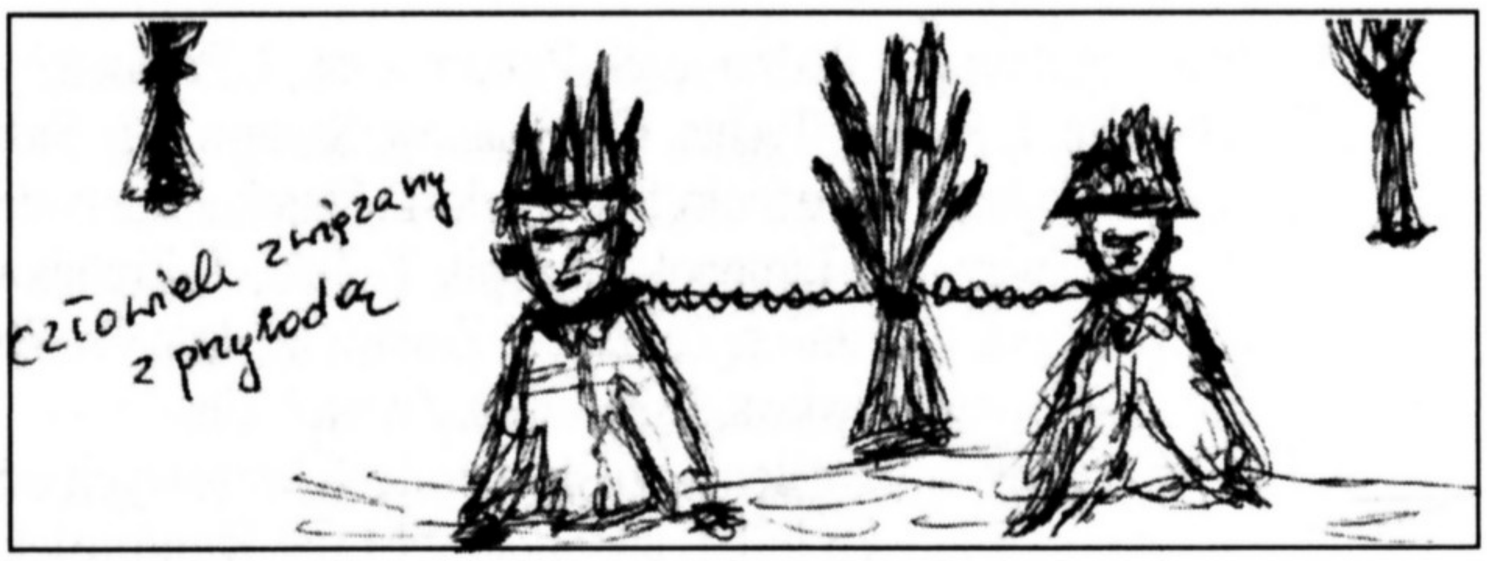

Rys.72. I czyńcie sobie ziemię poddaną

Przecież wybudowana opera lwowska dorównująca wiedeńskiej czy uniwersytet lwowski, a także inne uczelnie, jak Politechnika Lwowska, to duma Polski i całej Europy. Sporządzić tu można całe zestawy tego typu osiągnięć dźwigających ziemie te na wyżyny znakomitych przykładów i sukcesów. Kierując się taką myślą można przytoczyć **niekończące się dowody dzieł sztuki i zabytków, jak choćby słynnych kresowych zamków** (niemal doszczętnie ostatnio zrujnowanych) znajdujących się m.in. na tych właśnie terenach.

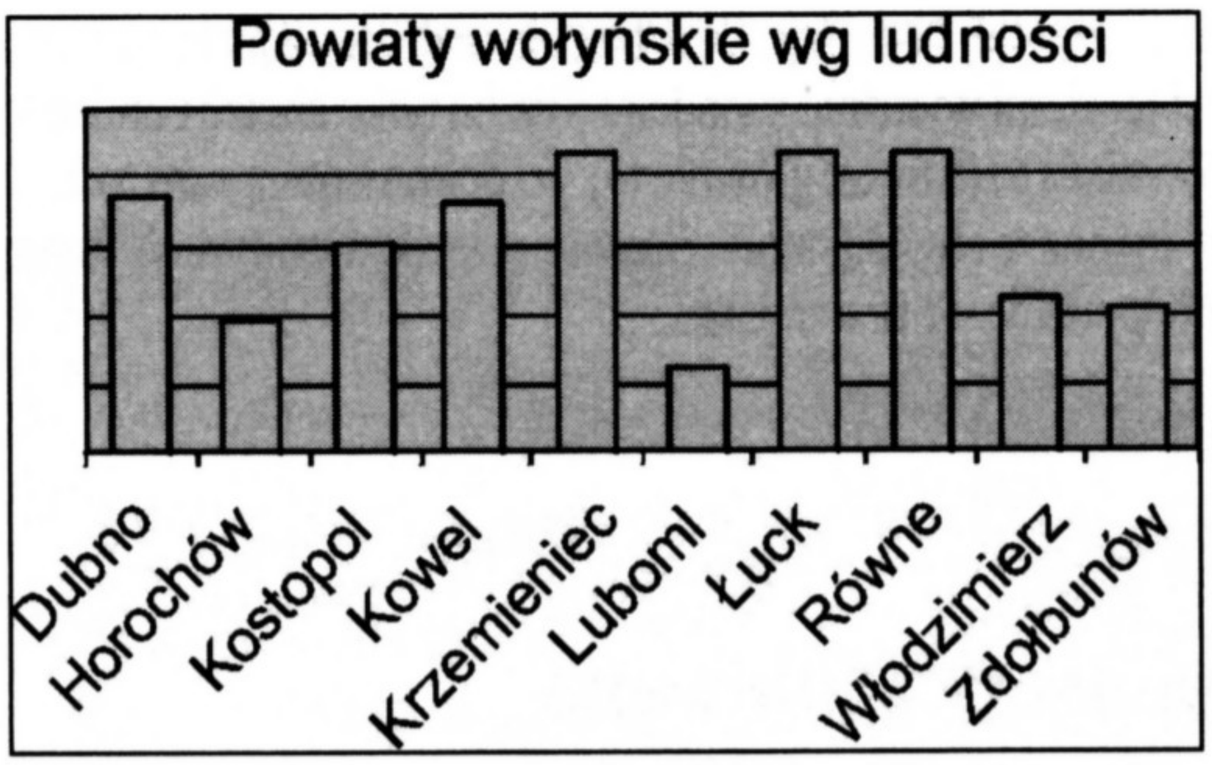

Rys. 73. Ludność Wołynia wg powiatów

Oto ich przykładowy rejestr (w którym uwzględniono nazwę zamku, o ile jest inna, oraz aktualny obwód administracyjny), spośród których jeden, w Łucku, odwiedziliśmy na wstępie. **Spróbujemy niektóre z nich przynajmniej wspomnieć.** A jeśli uda się, to i odwiedzić. Ślady przecież po tych wspaniałościach musiały jakieś pozostać, nawet (najczęściej) w szczątkowej formie.

Brody – Lwów L(wowska), Brzeżany, Bereżany, Tarnopol T(arnopolska), Buczacz, T, Budzanów, Budaniw, T, Chicin Chotyn, Czerniowce Cz(erniowska), Czarnokozińce, Czernokozinci, Chmielnicki, Ch(mielnicka), Czernelica, Iwanofrankowski, I(wawnofrankowska), Cerwonogród, Czerwonograd, T, Czortków, Czortkiw, T, Dobromil, Dobromył, L, Dubno, Równe R(owieńska), Halicz, Hałysz, Iwanofrankowsk-Stanisławów, I, Janów Dolina, Dolina, T Jazłowiec, Jazłowieć, T Kamieniec Podolski, Kamienicć Podilskij, Ch, Klewań, R Korzec, Koreć, R Krzemieniec, Kremeneć, T Krzywcze, Kriwcze, T, Kudryńce, Kudrynci, T, Lwów, Lviv, L, Łuck, Łućk, Ł(ucka), Międzybórz, Medżibiż, Ch, Mikulińce, Mikulincy, T, Nowomalin, Nowomałyn, R, Okopy św. Trójcy, Okopy, T, Olesko, Oleśko, L, Ołyka, Ł, Ostróg, Ostrog, Ł, Paniowce, Paniwci, Ch, Piatniczany, L, Pniów (piękne ruiny), I, Podhorce, Podhircy, L, Podzamczek, Pidzamoczak, T, Pomorzany, Pomoriany, T, Potok Złoty, Złotoj Potek, T, Rakowiec, I, Rychty, Tychta, Ch, Satanów, Sataniw, Ch, Sidorów, Sidoriw, T, Skała Podolska, Skała Podilska, T, Skałat, T, Stare Sioło, Stare Sieło, L, Starokonstantynów, Starokonstantiniw, Ch, Sutkowce, Sutkiwcy, Ch, Świrz, L, Tarnopol, Tarnopil, T, Toki, T, Trembowla, T, Wiśniowice, Wisznieweć, T, Wysuczka, Wysiczka, T, Załoźce, Załoźci, T, Zasław, Izasław, Ch, Zbaraż, T, Zińków, Zińkiw, Ch, Złoczów, Złocziw L, Żółkiew, Żowkwa, L, Żwaniec, Żwaneć, Ch.

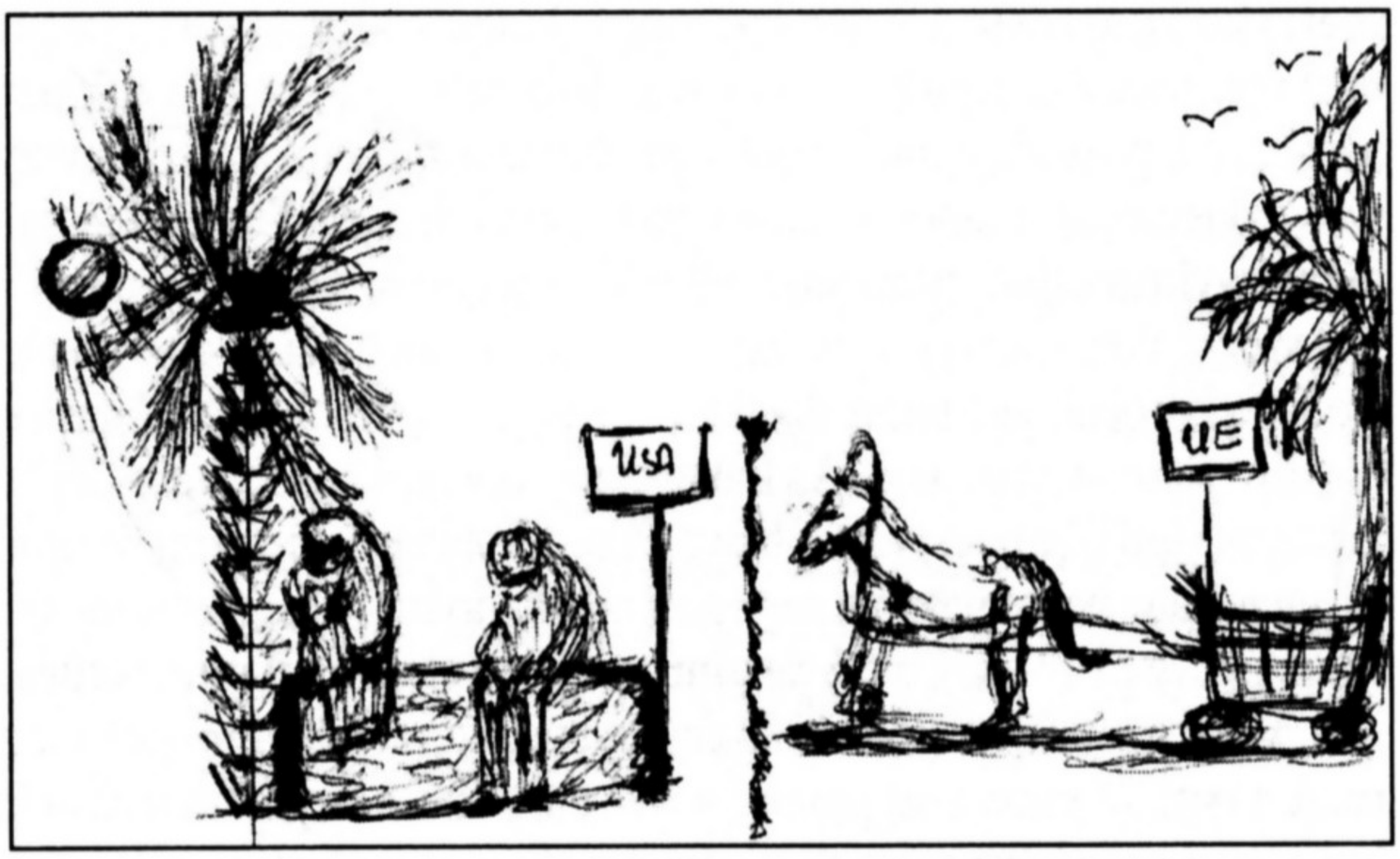

Rys. 74. Studencki komentarz procesów integracyjnych

Godne jest jednak podkreślenia, że na ziemiach kresowych odnajdujemy także nie zagubione w świecie nazwiska wielkich ludzi, jak choćby **Marii Konopnickiej, Jarosława Dąbrowskiego, Juliusza Słowackiego, Jarosława Iwaszkiewicza** i wielu, wielu innych. Wyniosła je historia. Dodajmy też, że dzięki takim ludziom, w historii tych ziem, w tym i w okresach najnowszych (jak w czasach II Rzeczypospolitej), Kresy Wschodnie nie były intelektualną pustką. Stanowiły obraz działalności kontynuatorskiej i modernizacyjnej uruchomionych tu tendencji.

Ich rozwój rozpatrywać trzeba na tle całokształtu kultury i oświaty w Polsce. To ważne podkreślenie, bowiem **w kraju, który po wyzwoleniu stanowił nadal ziemie centralnej Europy,**

Rys. 75. Głód na Ukrainie[27]

nym i kulturalnym. Nigdy w Europie tych nowości nie brakowało. **Nawet po kataklizmie wywołanym I wojną światową, kiedy to całej Europie przypadło przeżywać wielki wstrząs i kryzysy.**

Wojna zburzyła jak wiadomo cały dotychczasowy porządek i układ sił europejskich. Oznajmiły to strzały z Aureoli zwiastujące Rewolucję Październikową i powstanie komunistycznego państwa u wschodnich granic naszego kraju. **Do największej potęgi urastały teraz Stany Zjednoczone Ameryki Północnej.** Przyśpieszony bieg wydarzeń stawiał zupełnie nowe wyzwanie przed nauką i kulturą, która w tradycyjnej formie nie miała szans dalszego rozwoju.

Rys. 76. Głód i ubóstwo

Rys. 77. Śmierć głodowa

W okresie pospolitego niepokoju i fermentu zaczęto pilnie poszukiwać twórczych rozwiązań negujących to, co było, i nastawionych na **„futuryzm",** a więc tworzenie przyszłości w oparciu o negację niemal wszystkiego co ukształtowały wieki. Z cokołów leciały, jak grzyby po deszczu największe pomniki. Tak osób, jak i całych dziedzin życia społecznego. Ta swoista rewolucja przypominająca znaną w latach 60. naszego stulecia chińską rewolucję „hunwejbinów" nie ominęła też kresowych ziem i pozostawiła na nich wielkie ślady. Ucierpiały wszystkie dziedziny życia społecznego, od nauki począwszy, a na stosunku do pracy i własności skończywszy. Co więcej, może nawet nauce najwięcej się dostało. Odczuwał to dotkliwie cały kraj. **Z krytyką powstałej sytuacji w szerszej, europejskiej skali, wystąpił wówczas wielki filozof francuski Henryk Bergson (1859–1941).**

---

[27] Gołod 1921–1923 rokiw w Ukraini, Zbirnik dokumentiw i materialiw, dot. także zdjęć 75,76, 77, 78. Akademia Nauk Ukrainy, Kijów 1993.

Rys. 78. Widmo śmierci głodowej wśród dzieci

W swoim dziele ***Ewolucja Twórcza*** wykazał, że podstawową rolę w procesie poznawczym człowieka odgrywa **nie rozum, lecz intuicja i instynkt życiowy.** (Ten, który po latach prowadził nas znów do Europy.) W miejsce praw uchwytnych rozumem wstawił irracjonalny pęd życiowy „e'lan vital", który człowiek potrafi intuicyjnie wyczuć i wyrazić. Te idee miały ogromne znaczenie w kulturze europejskiej całego międzywojnia i przyczyniły się do powstania wielu nowych tendencji i kierunków w literaturze, malarstwie, rzeźbie, muzyce itd. **Na zasadzie naczyń połączonych rodzące się nowe kierunki i orientacje w Europie stwarzały także w naszym kraju nadzieje na wielkie przemiany społeczne. Wymagały jednak czasu.**

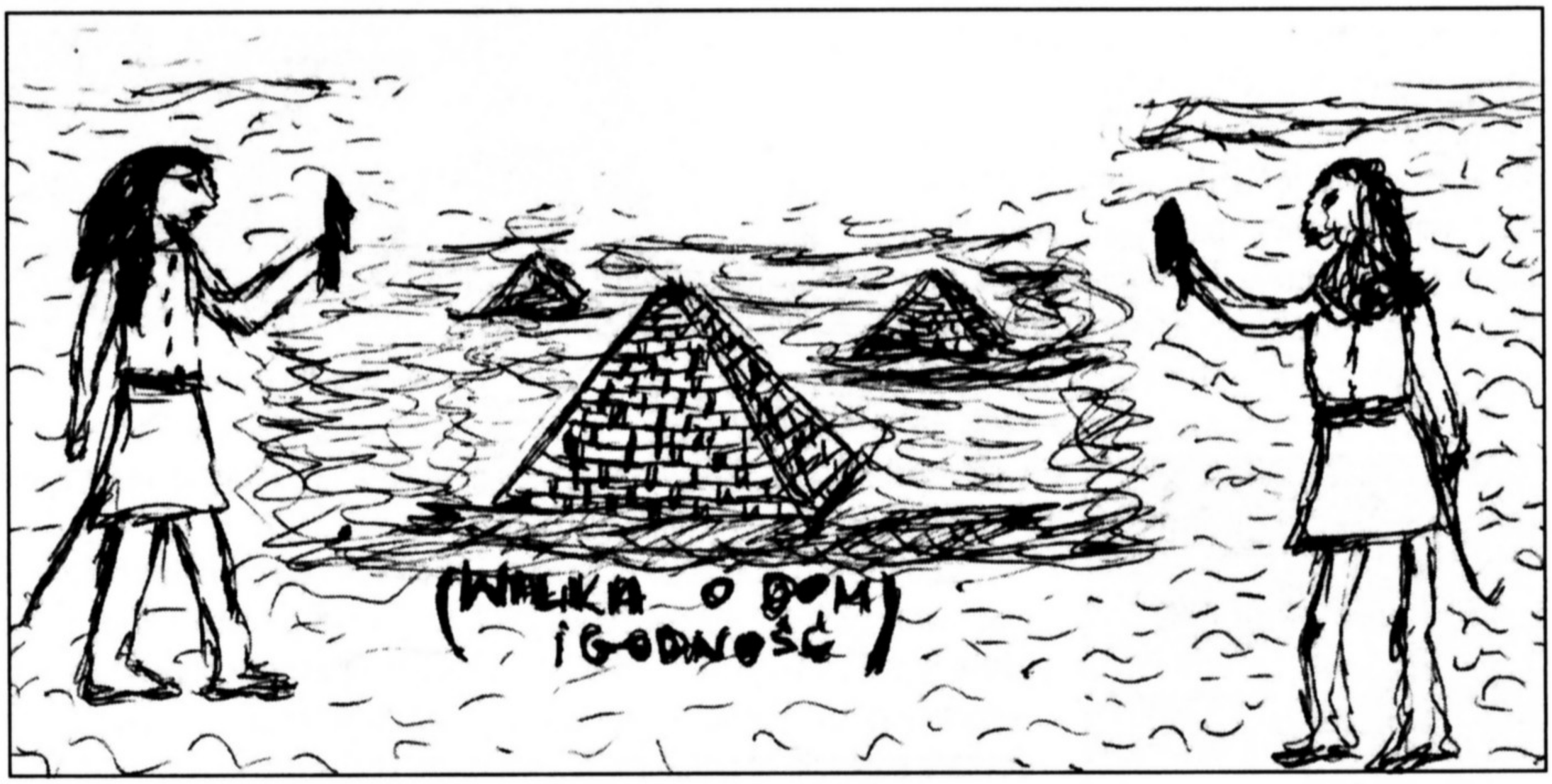

Rys. 79. Co godne i nie godne rozstrzyga intuicja człowieka

Podstawę tych nadziei tworzył ciężki los ludności pracującej i bezrobotnej, żyjącej m.in. właśnie tu, na Kresach Wschodnich, w niesłychanej niekiedy nędzy i poszukującej nowych rozwiązań. Z drugiej strony, w warunkach ogromnych kontrastów społecznych właśnie tu, w dworach magnackich i szlacheckich (na „popularnych" Kresach), kwitło najbogatsze życie kulturalne, którego pozazdrościć by mogły najbardziej rozwinięte kraje. **Często zresztą obficie korzystające z wielkiego dorobku tej elitarnej kultury, współżyjącej z europejską na zasadzie wzajemnego uwarunkowania.** Tuż za Kresami jawiła się coraz wyraźniej kultura Wschodu, podbudowana jeszcze większymi chyba kontrastami i szalejącym głodem. Dziesiątkował on tamtejszą ludność, czego przykładem może być ludność ukraińska (zwana wtedy często Rusinami). Szacuje się, że z głodu

jawiącego się już w latach 1921–1923, zmarło ponad 8 milionów tej ludności. Wcale nie mniejsze nieszczęście wynikło z ogólnego niedożywienia. Zaznaczmy jednak, że widmo śmierci głodowej, chorób i ułomności stąd płynących nie znane było w zasadzie na naszych ziemiach kresowych. Przeciwnie. **Patrzono na te ziemie zazdrosnym okiem jak na krainę chleba, mleka i miodu**[28], **choć oczywiście taką nie była.**

Zabrakło autobusu do Równego

Jak to biedactwo się tu uchowało – zastanawiałem się na stacji autobusowej w Łucku. Stary był to już mężczyzna. **Siedział przy swoich pudełkach i walizce, wygrzebując resztki owoców i skruszonego chleba.** Poczęstowałem go niezłą kanapką i usłyszałem szczere po polsku dziękuję. To wy Polak? – zapytałem natychmiast. Coś mu w gardle utkwiło i wyszeptał...z mamy, i jął porządkować wokół siebie klamoty. Ojciec Ukrainiec, ale zginął na froncie – próbował wzmocnić głos i zagłuszyć warkot autobusu. To nie do Równego – wtrącił odprowadzający mnie Misza. Zapowiedzieli opóźnienie i może dłuższe.

Rys. 80. Na dworcu autobusowym

Chyba Misza wykrakał najgorsze, bo autobus nie nadjeżdżał, a na informacji wyjaśniali, że będzie zastępczy. I stało się. **Ale niezły zastępczak podjechał na puste stanowisko.** Gdyby nie Misza (dla mnie siłacz nad siłacze) na pewno bym nie zdołał do niego wejść. A jeśli nawet to bez bagaży. Misza zostawał w Łucku.

Za miastem ruch w obie strony duży, mimo to kierowca dzielnie przyciska pedały. Mam prawo jazdy już od kilkudziesięciu lat, ale nigdy bym tak odważnie opóźnienia nie nadrabiał. I trochę się tego obawiałem. Zacząłem nawet być przesądny, gdy z pobliskiego jaru wyszła na pobocza stara kobieta obładowana jakimiś tobołami. **Może cyganka – próbowałem fantazjować, a może czarownica Horpyna tym razem z kierowcą, jak z Bohunem zaprzyjaźniona** – napada mnie sienkiewiczowska retrospekcja. Rzeczywiście, kierowca się jakby uspokaja i zaczyna zgłaszać przezorne ostrzeżenia do konduktora.

– Nie wiem czy do Równego dojedziemy, powątpiewa.

Kolejna dolina i jar. W autobusie niespokojnie i coraz głośniej. Kierowca urządza dziki przystanek, wychodzi i dokonuje przeglądu autobusu. Wraca zaniepokojony konduktor. Łapię jego poszczególne słowa i domyślam się, że niedopompowane jest tylne koło. Boże! Mam jeszcze butelkę coca coli, jakżebym chętnie wlał ją do koła, byle by tylko do Równego dojechać.

– Jest! **Bawię się nieco później widokiem miasta, a następnie budynkiem z napisem Riwne.** Wyskakuję jak bomba z autobusu i ktoś mi podaje z litości walizkę. Jest niezwykle grzeczny. Też wysiada i nie ma zamiaru już wracać. Ale on tu mieszka, a ja zdecydowałem się na przerwę w podróży. Nadużywam grzeczności i siadamy na chwilę w przydworcowym parku, obserwując prace przy wymianie koła.

---

[28] Którym zachwycał się imć pan Zagłoba.

Super jest ten Grzeczniś. Nie dość, że życzliwy, to jeszcze pełen fachowych informacji, których na wołowej skórze by nie spisał. **Ot życiowy poczciwina, miejscowy nauczyciel.** Z kuratorium łuckiego wracający. Zna obszerną książkę o Równym, napisaną tuż przed wojną w 1937 r.[29]. Ale nie jest nią zachwycony. To poprawna legenda – twierdzi. **Nic tam o kłopotach i szarości dnia codziennego nie ma.** A ojciec opowiadał, jakie tu jawiły się problemy.

W opiniach się jednak różnimy, wszak to tylko przewodnik i dobrze, że opracowany mądrze, przejrzyście, pioniersko – osądzam. **Można dzięki temu coś skonfrontować, porównać.** Śledzę go potem

Rys. 81. Dyrektor przedwojennej szkoły w Równem Józef Krzemień z żoną Marią

Rys. 82. Dworzec w Równem

ty galimatias. Dochodzą do tego jeszcze sprawy behawioralne dnia codziennego. Ale i na tym gruncie nic nie zbliżało mnie do jakiejkolwiek logiki wyjaśniającej pojmowanie masowych zbrodni na wołyńskiej ziemi. Dodajmy w okresie tamtym, tak trudnym, kiedy naród nasz walczył z faszyzmem niemieckim **„Za wolność waszą i naszą".**

Niesamowity koszmar znów mnie prześladuje**. I przywołuję myśli Ojca Świętego Jana Pawła II,** który już podczas pierwszej pielgrzymki do Polski mówił m.in.:

„I dlatego też dla całego naszego pokolenia tak straszliwym wstrząsem była ostatnia wojna światowa... Nie możemy zapomnieć

uważnie i zastanawiałem się, czy wykrywanie tajemnic to domena tylko uczonych z różnych dziedzin, czy przymioty każdego człowieka, a jeśli tak, to w jakim zakresie Bóg pozwala człowiekowi do tych tajemnic sięgać.

Na Wołyniu ginęli w wiadomym okresie tak uczeni (**jak np. profesorowie z Równego, do którego dotarłem**), jak i rolnicy, czy robotnicy z nieodległej stąd cukrowni. Co z tej historii współcześni zrozumieli i rozumieją... W głowie mojej jawi się całkowi-

Rys. 83. Naprawa autobusu

---

[29] Ilustrowany przewodnik po mieście Równem, pod reakcją Tadeusza Górnickiego, Równe, 1937. Polecam rozszerzone wznowienie przez Towarzystwo Krzemieńca i Ziemi Podolskiej, Lublin, 1999. Super!

Rys. 84. Wymiana koła

ofiary życia tylu Polaków i Polek...„za wolność naszą i waszą". Odnosimy się z szacunkiem i wdzięcznością do każdej pomocy, jakiej wtedy doznaliśmy od innych. Z goryczą myślimy o zawodach, których nam nie oszczędzono[30].

Nie umknął w tej myśli nóż w plecy zadany nam wtedy, 17 września 1939 r. i jego konsekwencje w postaci bestialskich mordów wykonanych przez rezunów. Papieskie słowa przypomniałem sobie nieoczykiwanie i jąłem je szczegółowo teraz rozważać. Zacząłem więc w pośpiechu układać scenariusz dodatkowych badań wykorzystujących zasłyszane i upamiętnione w publikacjach fakty. Wiele z nich odnosiłem do nieodległej wsi, w której urodził się i wychował mój szwagier. Z opowiadań jego matki i jego osobiście znałem liczne wydarzenia i szczegóły z życia całej okolicy. Chciałem je teraz gwałtownie porządkować, w oparciu o to, co widzę i słyszę. Pamiętam, śe mam w rezerwie kilka zanotowanych adresów, które planowałem wykorzystać.

Nazajutrz, już przy pierwszej próbie okazało się, że to niemożliwe. Po prostu zmienił się plan miasta i całej uliczki już nie ma. **Stoją jakieś nowe domy z dumą pokazywane przez współpasażera autobusu i widać, że miasto się unowocześnia, rozbudowuje.** Męczące jest jedynie dla przybysza, który nie znając pułapek policyjnych, płacić może zbyt wiele mandatów. **Co któraś tu uliczka jest częściowo dla ruchu zamknięta, przebudowywana, wymaga objazdu** – przeklinanego przez taksówkarza obwożącego mnie po starym mieście[31]. Co za pech! Przekleństwo i mnie ciśnie się na usta. Na stacji autobusowej toaleta była zamknięta, a tu na mieście nigdzie takiej nie uświadczysz.

Rys. 85. Studencki protest na warunki małych miast

– Drobną możecie załatwić tu, nad rzeką, podpowiada taksówkarz. Korzystam z jego rady i wyskakuję w stronę rzeki. Dobre sobie, stwierdzam po chwili, gdy taksówka odjeżdża. **Przecież wszystkie dokumenty w podręcznej walizce zostawiłem!**

Nawet aparat fotograficzny. Co gorsze obserwuję wóz policyjny i zerkającego podejrzanie milicjanta w moją stronę. Domyślam się wreszcie, że absolutnie kierowca nie miał prawa tu się zatrzymywać i unika kary. Widzę jak w bezpiecznym zakolu ustawia się i czeka na mnie.

Jestem uszczęśliwiony, choć nadal pod okiem podejrzliwego milicjanta. I teraz cała Białoruś mi się przypomina. **Tam też w małych miasteczkach były kłopoty z toaletami. A raczej z ich całkowitym brakiem.** Studenci moje pretensje poważnie potraktowali i, o dziwo, złożyli wiele najrozmaitszych protestów uznając, że wypowiadają się także i o naszych małych miasteczkach. Na rysunkach dopisywali, że wszędzie dobra toaleta nie jest zła, bo jest dobra.

Przyobiecałem im, że w książce kilka z tych rysunków załączę. W Równem to przyrzeczenie nabrało wartości i jeden z takich rysunków załączam, czując się zwolniony z przytaczania następnych. Nie wnoszą przecież nic nowego do znanych problemów małych miast. Samo życie!

---

30 W pielgrzymce do ojczystej ziemi, Jan Paweł II w Polsce, 2 czerwca – 10 czerwca 1979, Editions du Dialogue, Paryż, 1980, s. 26.

31 Czynny jest dawny kościółek garnizonowy.

Aspiracje przeciętnego miasta

Zanim wyjechałem z Równego nawiązałem jeszcze trochę nieśmiałych kontaktów, które prowadzić miały na rodzinne szlaki. W wyniku tego poznałem robotnika, który pochodził ze wsi mojego szwagra i pracował w tamtejszym kołchozie. Nie chciałem tam jechać, by uniknąć przykrych emocji i wiele sobie obiecywałem po tym spotkaniu. Losza zapewne wbrew swoim intencjom, zawiódł wszelkie moje oczekiwania. Raz z powodu wieku, który poczynił ogromne spustoszenie w jego umyśle, a po wtóre z powodu ciężkiej, niezrozumiałej dla mnie wymowy. **Połykał końcówki nawet ukraińskich słów, a po polsku powtarzał co chwilę „Boże mój? Boże!"** nie bacząc na okoliczność, w jakiej przyszło nam obecnie rozmawiać.

Częstowałem go na przemian cukierkami i papierosami, których nazwy starał się usilnie poznać i jakoś je zapamiętać. Chwilami nie docierał do niego fakt, że jestem z Polski i bardzo go potrzebuję. **Od ośmiu już lat mieszkał w Równem.** Domyślałem się, że zdezerterował z kołchozu na rzecz bliżej nie znanych warunków miejskich. Po nieudanych próbach odtworzenia sytuacji na tej dawnej wsi próbował nadrobić miną i zaczął opowiadać o samym mieście z zachwytem, jakby to był nad Eufratem Rzym.

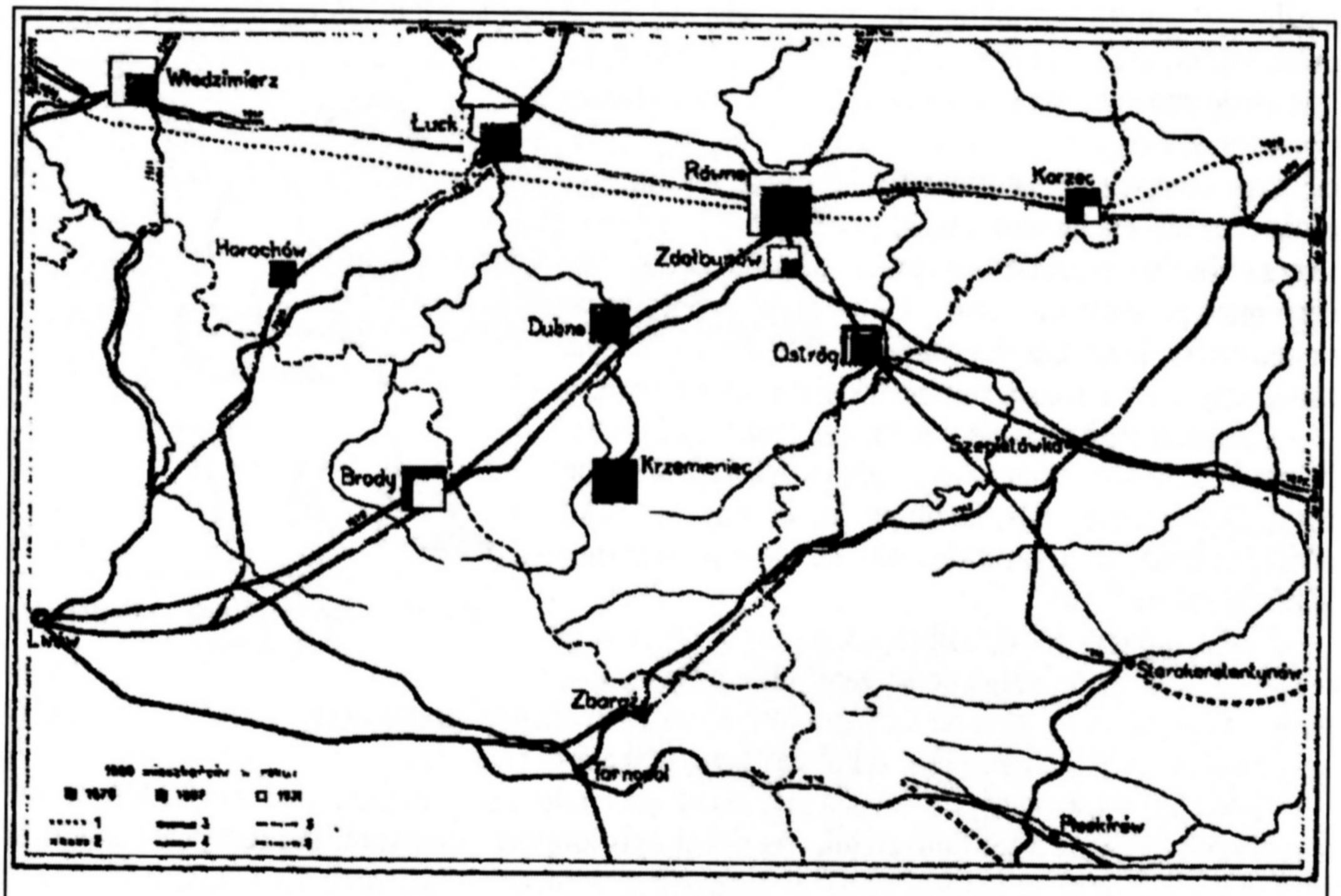

Permanencja szlaków komunikacyjnych, wzrost i upadek miast na zachodnim Wołyniu. Skala 1:2.000.000.

1 — Szlak wyprawy Bolesława Chrobrego. 2 — Czarny Szlak. 3 — Trakty z XVII wieku. 4 — Kolcje żelazne; cyfry oznaczają daty budowy; rok 1917 oznacza koleje wybudowane w czasie wojny. 5 — Dawna granica pomiędzy Rosją i Austrją, a obecnie granica województwa. 6 — Dzisiejsza granica państwa.

Rys. 86. Permanencja szlaków komunikacyjnych[32]

32 Stanisław Lencewicz, Polska, op. cit., s. 348.

Rys. 87. Kościół w Klewaniu k. Równego, gdzie zorganizowano obronę przed banderowcami[33]

„Głównym celem nacjonalistów było wymordowanie wszystkich Polaków. Śpiewali swoje piosenki, z których tylko urywki pozostały w mojej pamięci. Na przykład „My wszystkich Polaków zetrzemy na proch". Ciągle też powtarzali: „Coć na jedną godzinę samoistną Ukrainę". Strach pozostał we mnie do dzisiaj. Na słowo „Ukrainiec" dostaję gęsiej skórki...

Była noc sylwestrowa 1944 r. Kobiety z dziećmi zebrały się w wyznaczonych mieszkaniach, a mężczyźni poszli na wartę. Wszyscy mieli nadzieję, że może jakoś przetrwamy do świtu. Okazało się, że Ukraińcy dobrze przygotowali się na tę noc. Było ich bardzo dużo i wszyscy mieli białe płaszcze, żeby upodobnić się do śniegu. Uzbrojeni byli w siekiery i różne narzędzia rolnicze. W ukryciu czekali do zmierzchu i dopiero wtedy ruszyli

Owszem może ładne, może czyste, ale dla mnie to **przeciętne, takie jakich na Wołyniu wiele, tyle że nad ładną rzeką...** – O, chwycił się teraz tej „ładności" i niezrozumiale dodał: jakie oni mają zamiary, plany, tam już coś budują...przekonywał, jakby znał wszystkie aspiracje Równego. Może one były i wielkie, ale mnie już nie interesowały i nie podtrzymywałem tego tematu. **Więc zaczął z innej beczki. O okupacji i tragediach po wojnie.** Okazało się, że i tu miał bardzo płytką wiedzę. Czułem, że o wojennych tragediach w Równem wiedziałem już znacznie więcej niż on. Między innymi z relacji zamieszczonych w cytowanej książce ***Okrutna przestroga.*** Coś mu nawet próbowałem streszczać, ale to się zupełnie i mnie nie udawało. A dotyczyło właśnie samego Równego. Wspominałem bowiem (chyba nieudolnie) **relacje Teresy Borkowskiej:**

Rys. 88. Obraz Matki Boskiej Klewańskiej, której parafianie zawdzięczają ocalenie od banderowców[34]

Jan Dębski, Leon Popek, Okrutna przestroga, op. cit., s. 418.

Jw., s. 418.

do ataku. Polacy zorientowali się, że nie dadzą rady i zrezygnowali z walki. Ktoś z obrońców wpadł do naszego mieszkania i krzyknął: „Uciekajcie, bo ich jest bardzo dużo i nie poradzimy sobie".

Uciekali wszyscy. Każdy w tym, w czym stał. Ja byłam w drewniakach, bez pończoch. Narzuciłam na plecy koc, a do boku przyciskałam ręką siekierę, która miała służyć do obrony.

W drodze zmienialiśmy się. Ja oddawałam siekierę, a nosiłam młodszą siostrę. Musieliśmy dotrzeć do najbliższego przystanku kolejowego, to znaczy do Klewania, oddalonego od nas o 7 kilometrów. Było wówczas bardzo zimno i ogromnie dużo śniegu.

W lesie słyszałam nawoływania i gwizdy Ukraińców. Polacy cały czas trzymali się razem, ale w drodze kilka rodzin odpadło.

Minęliśmy zamordowanego księgowego fabryki razem z jego całą rodziną.

Siedząc w lesie, każdy miał jeszcze nadzieję, że z nadejściem świtu wróci do swego domu. Stało się jednak inaczej. W nocy ujrzeliśmy ogromną łunę i ogień. To właśnie płonęło nasze osiedle. Rozpacz ludzka nie miała granic. Ogień pożerał dorobek całego życia. Ukraińcy czekali, aż spopieli się wszystko. Kto nie zdążył uciec spalił się żywcem. Już świtało, gdy dotarliśmy do Klewania. Tam spotkaliśmy innych, którzy uciekli. Jeden człowiek miał spalone całe plecy. Jego córka zginęła w płomieniach...."[35].

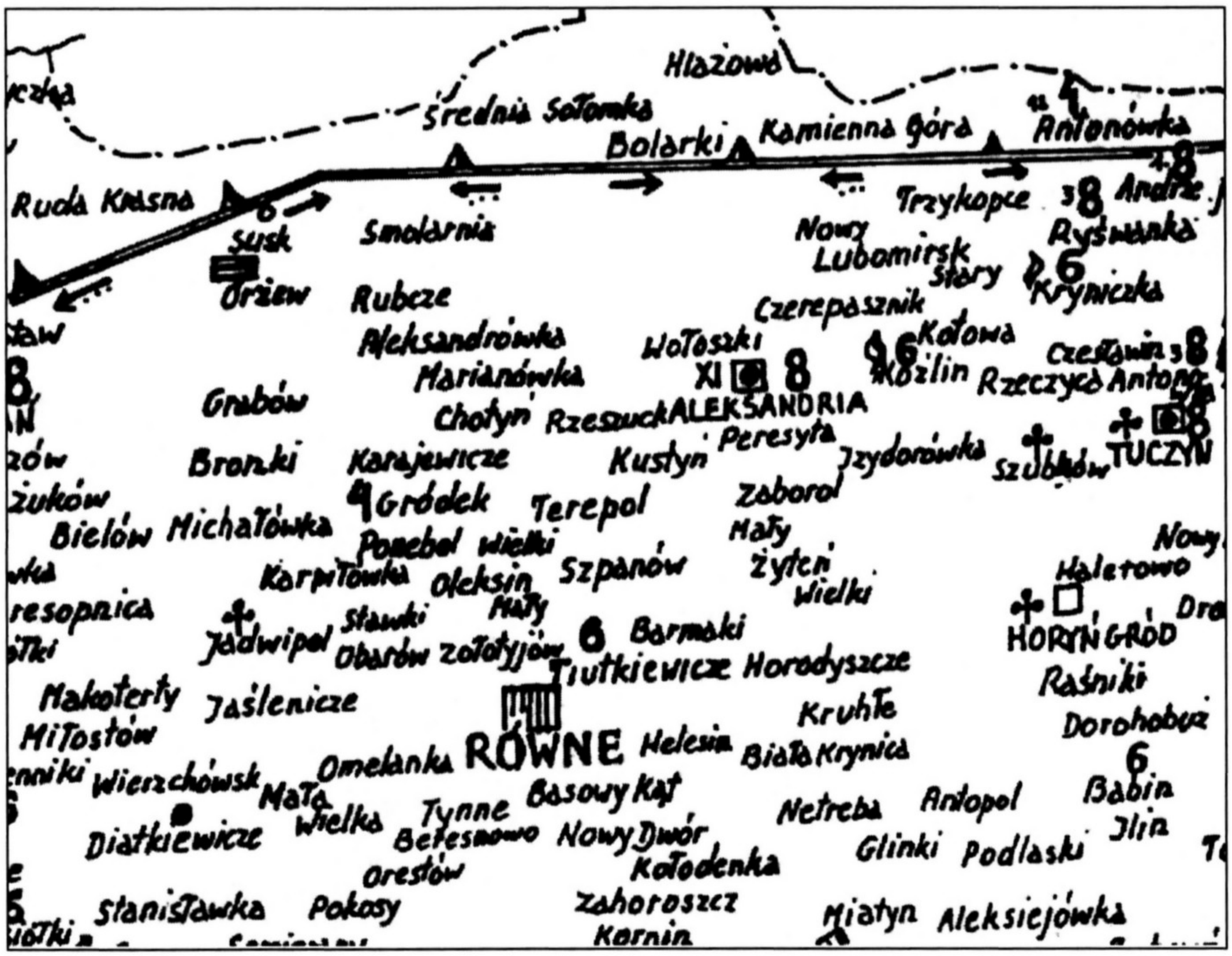

Rys. 89. Wycinek mapy mordów banderowskich w pow. równieńskim

---

35 Jak wyżej, s. 247.

W innej relacji Ryszarda Majera, byłego mieszkańca Równego, czytamy m.in.:

...W sierpniu 1943 r. na głównej ulicy Równego Niemcy rozłożyli dziesiątki ciał straszliwie pomordowanych dzieci, kobiet i mężczyzn. Byli to mieszkańcy niewielkiego miasteczka ALEKSANDRIA, leżącego wśród lasów nad rzeką Horyń w odległości około 18 km od Równego. Bojąc się najazdu ze strony UPA mieszkańcy Aleksandrii zorganizowali na wozach wspólną ucieczkę do Równego. 4 km przed miastem, we wsi Bamki, w jarze wpadli w zasadzkę. Masakra była straszliwa. Mordowano siekierami, widłami, nożami. Widok ciał pomordowanych utrwalił się w mojej pamięci do końca życia...

...We wsi MOCZULANKA...latem 1943 r. zostali zabici siekierami przez UPA: moja ciocia Zofia Koperek, wujek Jan Koperek i matka Maria Koperek, lat ponad 80.

...13 stycznia 1944 r. zostałem aresztowany przez Niemców na ulicy Równego...spotkałem młodego chłopca, byłego mieszkańca osady JANOWA DOLINA, słynnej z kopalni bazaltów w powiecie Kostopol. Osada ta została całkowicie spalona i zniszczona przez UPA wiosną 1943 r.

Kilka lat temu byłem dwa razy w Równem. Spełniłem prośbę mego ojca, który prosił, abym podziękował osobie, która nas ostrzegła przed bandą UPA.

Chodząc ulicami miasta, wciąż miałem przed oczami widok pomordowanych mieszkańców miasteczka Aleksandria, leżących w pełni słońca na głównej ulicy Równego. Tego widoku zapomnieć nie można i nie wolno!.[36].

Takich relacji z Równego i Wołynia znałem już wiele i stwierdziłem, że od Loszy niczego nowego nie wydobędę. **Zdałem sobie w pełni sprawę ze stanu jego zdrowia i z uczuciem nieokreślonej winy, uciekłem od zainspirowanych tematów.** Usiłowałem na własną rękę jako tako poznać samo miasto. To dobry sposób na zwiedzanie, bo przynajmniej nikt nie przeszkadza przeżywać tego, co się chce i jak się chce. Miejskich aspiracji przeżywać nie chciałem, wszak nic nie wskazywało na to, że praktycznie obejmują one dbałość o prawdę i historię miasta, z której winna wyrastać przyszłość. Może lepsza od teraźniejszości przykrywającej wołyńską Odyseję.

Królują dawne ponurości

Rzeka w Równem Uście, płynie przez sam środek miasta, przecinając główną jego ulicę, zwaną Soborna (dawniej 3 Maja). **Przy tej ulicy i właśnie nad rzeką, znajdują się pozostałości dawnego kościoła Narodzenia NMP i św. Antoniego.** W środku było wiele tablic, napisów i emblematów polskości. Zaraz spod kościoła można przejść do ul. Szkilnej, stanowiącej główną ulicę dawnej dzielnicy żydowskiej utrzymującej wiele zabytkowej architektury, w tym dwie bożnice. **Imponująca jest Synagoga Wielka, niestety po wojnie także przekształcana. Były w niej różnorakie magazyny, sklepy, sala sportowa „Awangard" itp.** Zwraca też uwagę Synagoga Mała, starannie wyremontowana i miejmy nadzieję, że powróci do pierwotnego przeznaczenia, jako że w mieście aktywnie działa gmina żydowska, co nietrudno zauważyć w miejscowej prasie.

W pobliżu ul. Szewczenki i Prospektu Myru, w niewielkiej enklawie starej zabudowy, znajduje się **greckokatolicka cerkiew Zaśnięcia Matki Boskiej (Uspeńska cerkwa) z 1756 r.** Ciekawostką w niej jest tzw. **„łańcuch zasad moralnych", do którego ongiś przykuwano pokutników.** W pięknym budynku dawnego gimnazjum męskiego mieści się obecnie Muzeum Krajoznawcze, w którym niestety

---

[36] Jw., s. 245–246.

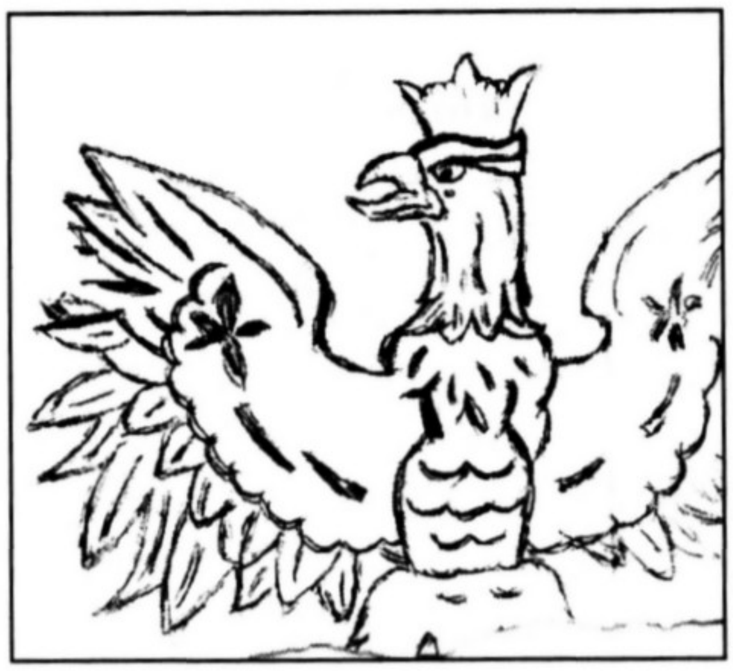

Rys. 90. Godło w grafice studenckiej

brak dowodów martyrologii Polaków w mieście i okolicy. Wiele miejsca (chyba zbyt wiele) poświęcono długiej historii miasta, wzmiankowanego w dokumentach historycznych już w 1282 r.

Szeroko też potraktowano lata okupacji niemieckiej, bowiem tu mieściła się siedziba Komisariatu Rzeszy „Ukraina". **Rozstrzelano w tym czasie ponad 100 000 osób, w tym żydowskich mieszkańców Równego i okolicy, a także jeńców wojennych.** Całe miasto zwiedzić można z powodzeniem jednego dnia, jeśli pominąć blokowiska, przeciętne, wszędzie spotykane. Wycieczka po mieście zajęła mi kilka godzin. Nazajutrz zdzwoniłem się z zapoznanym taksówkarzem i ten przywiózł mnie na dworzec.

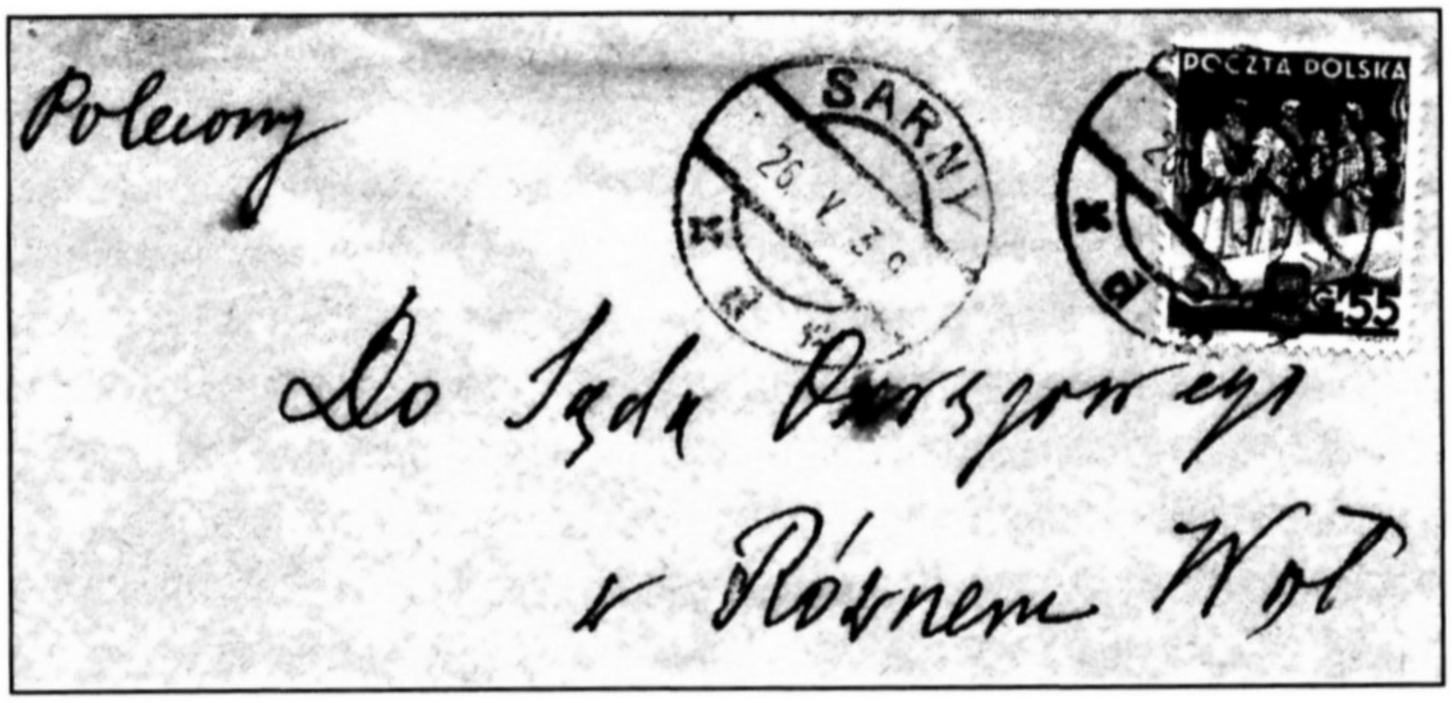

Rys. 91. Pisze Wł. Mierzwa z 13. płk Artylerii, bat. 4

Był energiczny i życzliwy. Niemal natychmiast znalazł się w moim pokoju i ułatwił przygotowania do podróży, odwożąc na dworzec. Tutaj pomógł w zakupie biletu do Żytomierza (a to trudna sprawa) i wygospodarował sporo czasu na rozmowę. Dotyczyła tematów dawnego Wołynia. **Do omawiania problemów miasta obaj czuliśmy wyraźną niechęć. Trzeba by chyba sięgać do silnej sotni rezunów, której członkowie wędrowali aż do Ostrówki i Woli Ostrowieckiej na rzezie Polaków.** Taksówkarz bez oporu potwierdził mój pogląd, że Równe to miasto, którego już nie ma, a to które jest to inne, nudne i jakby wymierające (bardzo mało młodych ludzi). I jeśli w ogóle różni się czymś od innych wołyńskich miast, to raczej w sensie negatywnym niż pozytywnym.

Niewiele też kontrastuje z całym Wołyniem, z którym przypadło mi się już żegnać, a który zachował wiele dawnych uroków i jeszcze trochę zabytków. Dawniej były to ziemie bogate i urodzajne. Obecnie raczej wyjałowione i nieciekawe, choć stanowią pewien rezerwuar zasobów naturalnych, w tym również turystycznych. **Nie wszystko przecież udało się zniszczyć. Zostało jeszcze trochę ruin (nawet zamkowych) po dawnej architekturze i zasobów ekologicznych.** Doszły także współczesne osiągnięcia wymagające rzetelnej analizy. W tym i historycznej, przynajmniej z perspektywy najnowszej, kilkudziesięciu ostatnich lat. O których nie trzeba przecież zapominać.

Przed wojną, w 1921 r. całe województwo wołyńskie (po przyłączeniu pow. Sarny) liczyło 1 569 559 mieszkańców, z czego 12,2% to mieszkańcy miast. Zdecydowana większość z nich, bo 81% trudniło się rolnictwem, leśnictwem i hodowlą. Przemysłem zajmowało się 7,2%, handlem i komunikacją 6,9%, a w wolnych zawodach i służbie publicznej pracowało 1,9%. Dodajmy, że na grunty orne przypadało ok. 50% ziem często niezwykle urodzajnych, na lasy ok. 21% , na łąki, pastwiska i ogrody 20,3%. Miast było 31, powiatów – 10, gmin wiejskich – 95. Nie trzeba dodawać,

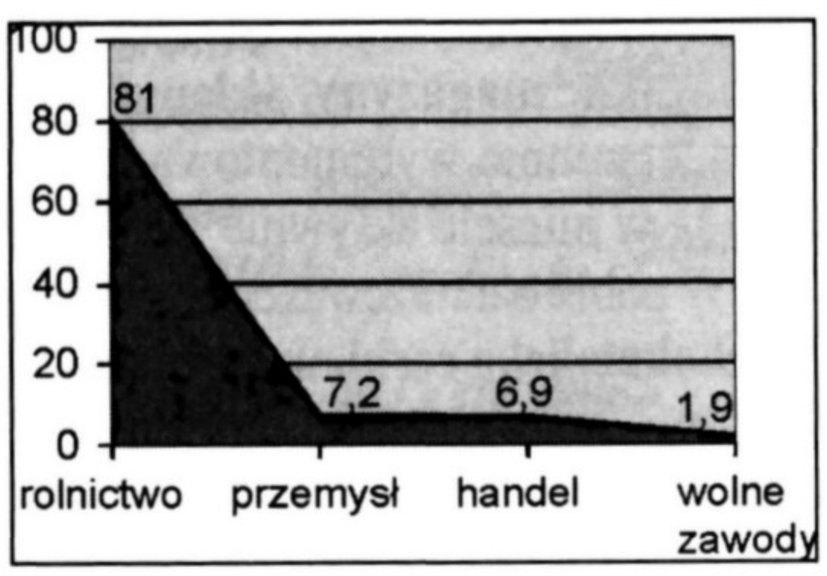

Rys. 92. Wykres struktury zatrudnienia na Wołyniu międzywojennym

Rys. 93. Papież Pius XI (Tęcza nr 35 z

że w rolnictwie, jak i w całej gospodarce II RP województwo to odgrywało bardzo ważną rolę. Od strony wschodniej sąsiadowało ono z ZSRR, a od południowej z grupą województw południowych. **W dużym stopniu ciążyło ku ośrodkom kultury tej grupy** województw, których stolicą cywilizacyjną stawał się coraz bardziej Lwów.

– Ale, ale... przerwał jakby nerwowo taksówkarz. Mówimy o kulturze a ja wziąłem ze sobą od sąsiadki jakieś polskie książki i nuty. Weźcie – powiada, co dacie, to będzie zadowolona.

Z ciekawością przeglądam zawartość gazetowego zawiniątka. Kilka tomów małego formatu ***Ogniem i mieczem***, ale brak trzeciego, więc niekompletne. Odrzucam. Zaczyna się coś większego formatu: kilka egzemplarzy ***Tęczy, Morza***, ***Rycerza Niepokalanej*** i nuty. W ***Tęczy*** same wspaniałości: Szkoła Orląt – **Janusza Meissnera**, Doktor Paweł – **Zygmunta Kisielewskiego**, Uśmiech zza płotu – **Gustawa Morcinka** i te przecudowne, kolorowe, rysunki. To w 1929 r. mieliśmy już takie wydawnictwo i tu na Kresach dostępne? Muszę je gdzieś upchać. Ale zaczynają się nuty. Stare dekoracyjne wydania, z tekstami niemieckimi, z popularnej serii: Muzykalische Volksbibliothek. Teraz polskie: Tango z Angoli, Leliwy – Kto cię zrozumie... i oto, oto, coś podobnego!... ulubiony w mojej rodzinie – **Stary Cygan.**

Rys. 94. W. H. Sierakowski, Opiekun Kresów (Tęcza nr 35)

Boże, ile to już lat minęło, jak cudownie śpiewała to moja mama i jak sympatycznie fałszował starszy brat. Przez to nie chcieli go zresztą posłać do szkoły muzycznej. A ja chodziłem. Widocznie uznali, że trochę mniej fałszowałem. **Ale mieszkałem wtedy w Jeleniej Górze razem z rodziną szwagra Kazika z wioski nieopodal Równego.** Siostra jego, Helena, czarnooka, wysoka, sympatyczna dziewczyna (jak ta przebrana przez Zagłobę za pachołka) o jakichś piosenkach mówiła i nawet usiłowała mnie uczyć Czaru Polesia. Nigdy się tego zresztą nie nauczyłem. Ale teraz łezka się w oku kręci i nuty *Starego Cygana* przywołują ten inny świat. Cudowny, minionny, melancholijny, zapamiętany z gimnazjalnych lat. **Szkoda, że już wszyscy z rodziny nie żyją i nuty zalegać będą na fortepianie.** Ale przecież to jest ich właściwe miejsce. Więc wciskam do walizki czym prędzej.

Stary Cygan

Hen, w ciemnym borze mieszka nieboże,
Cygan staruszek od wielu już lat.
Smętne piosneczki z jego skrzypeczki
Niegdyś płynęły... Dziś nie chce ich świat.
Znów przyszła wiosna wonna, radosna
I słodko w gałązkach zaćwierkał znów ptak.
W sercu Cygana znów krwią broczy rana,
Więc szepce cicho do żony swej tak:

Gdzie są me skrzypki lipowe?
Serce drży we mnie jak liść.
Hen, tam do miasta gwarnego
Muszę dziś jeszcze iść.
Zagrać chcę jeszcze raz w życiu
Tę starą piosenkę swą,
Jam Cygan z dziada pradziada
I żyłem tylko nią:

Jam pieśnią żył i umrę z nią.
Więc idzie stary przez pola, jary,
Choć starość ciąży na plecach jak garb.
Pot zeń się leje, idzie, kuleje
I mocno ściska skrzypeczki, swój skarb.
Już jest nareszcie w wyśnionym mieście,
Do sali wspaniałej się zbliża a drży:
Serce mu wali, bo niegdyś w tej sali
Jego piosenek słuchano i gry.
Przepraszam, mości panowie,
Czy mnie pamięta kto z was?
Grałem tu niegdyś, przed laty,
Pieśnią słodziłem czas.
Zagrać chcę jeszcze raz w życiu
Tę starą piosenkę swą,
Jam Cygan z dziada pradziada
I żyłem tylko nią:
Jam pieśnią żył i umrę z nią.

Wtem ktoś wyskoczył z śmiechem ochoczym
„Mości panowie, ten oszust z nas kpi!
Włóczęgo! Fora z pańskiego dwora!
Piccolo! Hejże, otwieraj no drzwi!".
Na rozkaz pana kelner Cygana
Za drzwi wyrzucił, uderzył go w kark.
Znalazła potem trupa pod płotem
Stara Cyganka i łkała śród skarg:
„Już on nie zagra wam nigdy,
O ludzie bez serc i dusz,
Zmilkły już jego skrzypeczki,
Zmilkły na zawsze już".
Jest w ciemnym lesie grób cichy,
Śród leśnych kwiatów się skrył,
Leży w nim Cygan staruszek,
Który dla pieśni żył...
I dla niej zmarł, jak dla niej żył.

W atmosferze tych wspomnień nurtuje mnie tylko do kogo te nuty należały. Do Heleny na pewno nie. **Uciekła z Równego z duszą na ramieniu.** Do mojego szwagrostwa tym bardziej nie. **Szwagier był partyzantem i przyjechał do Jeleniej Góry z frontem, w mundurze żołnierskim.** Więc kto z tutejszych Polaków zbierał taką literaturę? I takie cudowne, ludzkie pieśni. Odezwij się bracie, jeśli umknąłeś rezunowi spod zasięgu wideł. I tu już nie wracaj. Ja też już wyjeżdżam, dalej na wschód, gdzie mniej chyba było etnicznych czystek i pozostała raczej normalna Ukraina. **Mam tam zresztą wielu serdecznych przyjaciół.**

Niech zostanie tu ten ich czysty Wołyń z naszą polską krwią. Bo ona z tego wszystkiego jest najczystsza. Po tych rzeziach i przesiedleniach „Lachów" cały Wołyń jest taaki czysty i dla nich chlubny, bo przecież najbar-

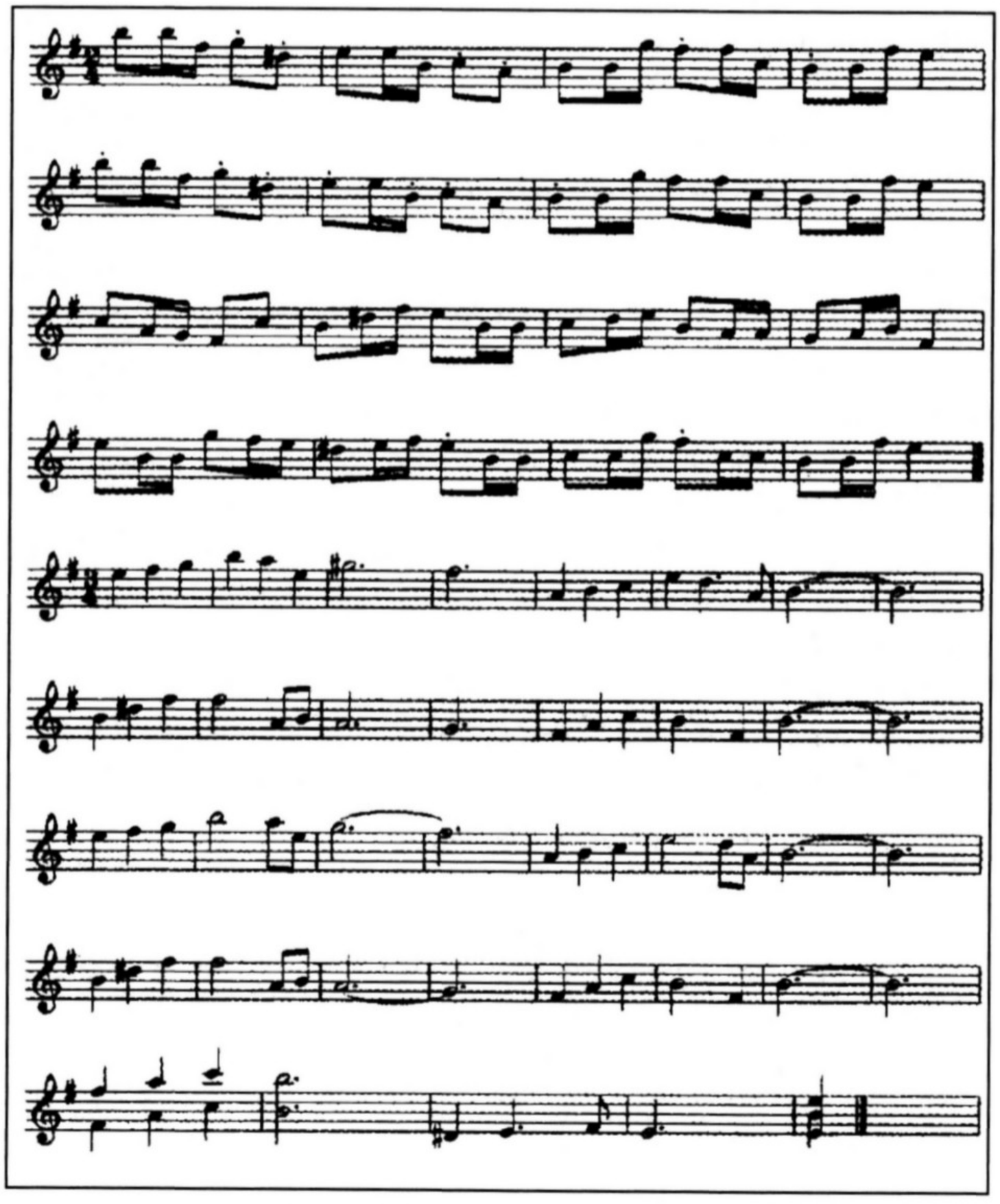

Rys. 95. Muzyka Starego Cygana

Rys. 96. Triumf Cerery (Tęcza nr 30, z 1929 r.)

dziej jednolity narodowo. Okopali się od nas przepaścią nie do zasypania. **Więc nie próbuję nawet jej zasypywać, bo to jest tylko w mocy Boga.** Jestem tak bezsilny, że nie mogę tym razem mocy tej pojąć. Wiem tylko, że 95% mieszkańców Wołynia to Ukraińcy. W obwodzie równieńskim – 93,3%. W tej sytuacji zaczynam rozumieć troskę o ukrywanie historii i zamazywanie prawdy oraz totalne niszczenie wielu wspaniałych zabytków. **Przykładem tego niech będzie sam kościół parafialny Najświętszej Marii Panny tak okrutnie po wojnie niszczony.** Doszczętnie też zdewastowany i ograbiony w późnych już latach powojennych, tj. w r. 1958. Rozebrano wówczas nawet dwie wieże (neogotyckie) z fasady głównej. Co gorsza, takie działania nadal trwały, o czym świadczy fakt zniszczenia w 1968 r. cmentarza przy ul. Peresopnyckiej i zniszczenie w nocy z 16 na 17 listopada 1996 r. 32 nagrobków na cmentarzu przy ul. Dubieńskiej. Na pocieszenie wspomnieć trzeba, że czynny wreszcie jest dawny kościółek garnizonowy, a na ul. Szkilnej Synagoga Wielka (Wełyka Synahoha). Miejmy nadzieję, że w planowanej pielgrzymce do Berdyczowa pojawi się więcej oznak normalności i uspokojenia. Taksówkarz żegnał mnie słowami: Daj Boh!

A tu ci raków dostatek

Wołyń nie łatwo jest opuszczać. Jest taki, jaki jest, a chciałoby się, aby był inny, bogaty, przyjazny, piękny i na odjezdne zobaczyć ten ostatni. Albo ten z Trylogii Sienkiewicza ukształtowany w dzieciństwie. **Więc szkoda Wołynia opuszczać.** Czuje się jego niedosyt. Jak w głodnym żołądku. Boć przed podróżą najadać się nie wolno. Wiedział o tym Zagłoba uświadamiając Helenę, że gdy **„w brzuchu pusto, w głowie groch z kapustą"** i szybko dodawał: **„chcesz nie podrwić głową, jedz pieczeń wołową".** Szkoda, że go tu nie ma. Losza go przecież nie zastąpi. Jest taki bez refleksji, zmęczony, zagubiony i nie ma żadnej chęci do nawiązywania towarzystwa. **Widać jakieś celowe hamowanie myśli.** Nawet to nie ten biedak z łuckiego dworca, choć nieco go przypomina. Ciekawe, kogo w Żytomierzu napotkam. Tak już jestem zmęczony wołyńską Odyseją. Ale jechać trzeba. Na pewno do innych stron, do innych ludzi, **z dala od tego Wołynia, może będzie lepiej.**

Niespodziewanie wracam do ***Ogniem i mieczem***. Niech Sienkiewicz dopowiada:

...Panie!
Pofolguj męce i łzom żałośliwym,
Bądź mnie, grzesznemu, ojcem miłościwym,
Usłysz wołanie!
Wskażże mi drogę, o Panie nad Pany,
Bom jako pątnik na pustyń bezdrożu
Lub jak wśród fali na niezmiernym morzu
Korab zbłąkany (*Ogniem i mieczem*, roz. IV).

Rys. 97. Losza po przyjeździe do Równego

I dojeżdżam do Żytomierza szczęśliwie. Franek, mocno starszy już pan, czeka przy drzwiach autobusu. – A wy gdzie...zagaduje dowcipnie. – Do Żytomierza, panie! A potem ku Czerkasom – odpowiadam dalej po Sienkiewiczowsku. Widać, że kojarzy ten fragment z Zagłobą przemycającym ślicznego pachołka (z ukrytą sukienką) wśród wojsk znienawidzonego Bohuna[37]. Z powitań wynika, że **w poczekalni dworcowej mogę sobie pozwolić na przedłużenie miłego nastroju** i zapytać nieco naiwnie:

– To wyście od Żytomierza panie?

– A no można tak i skazaty. Bolje czem siemdziesiat liet żywu zdzieś. Haa! Żywu, nie żywu, sam uże nie znaju kak eto skazaty!

– A czemu my tak po lokalnemu, jakby polskowo nie znali, roześmiałem się mimo woli.

Rys. 98. Franek (z laską) na Kongresie Polaków w Kijowie[38]

37 Por. roz. XIX Ogniem i mieczem.

38 Foto i nast. Franciszek Brzeziński.

– Bo to wy tak *Ogniem i mieczem* zaczęli. Widocznie nowości filmowe wam w głowie. **A u nas o tej adaptacji zaledwie małe wzmianki puszczają.** Mnie do kina pod górkę i tylko na cmentarz blisko. Prawdę mówiąc niczym się już nie przejmuję.

Franciszek sprowadził mnie na ziemię. Znał się na ludziach i ich potrzebach. Tu, na żytomierskiej ziemi był urodzony i wychowany. **Dodajmy – chodząca encyklopedia rzeczy minionych i współczesnych z zakresu stosunków polsko-ukraińskich.** Bez zwłoki więc zapraszam go do najbliższej kawiarenki.

Wszędzie dworcowy nastrój. Pełno autobusów, ludzi, ruchu. Jakieś wyrostki chcą dźwigać walizkę. – Damy radę odprawia ich Franek i wstępujemy do baru na kawę. Mam już niezły humor i Franek to zauważa. Dostrzega w tym rolę Żytomierza i subtelnie jest z tego zadowolony. **Daje upust myślom i twierdzi, że z dwojga złego dobrze raczej trafił po wyjściu z obozu na Majdanku.** Jako młodzian siedział tam wśród Żydów, niekiedy bogatych i proponowali mu po wojnie wyjazd do Kanady, ale zbyt ciekawy był losów rodziny i Żytomierza. **„Wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma"** – przypomina sobie odpowiedź, jakiej im udzielił. – A teraz? – wtrącam się niedyplomatycznie.

– Chyba bym się zastanowił – odpowiada. Wy nie wiecie, cośmy tu po wojnie przeżywali i radzę porzucić nadmiar humoru, bo zobaczycie, co jeszcze nadal przeżywamy.

Do stolika podchodzi dwoje biednych dzieci. Uprzedzam Franka, aby nie protestował, bo to mi Polskę przypomina. Będziecie jej tu mieli więcej, tylko świątecznej – kontynuuje, bo szykuje się w niedzielę wiele wydarzeń. Dla nas bardzo ważnych, np. otwarcie nowo wybudowanego Domu Polskiego i odsłonięcie tablicy pamiątkowej poświęconej pamięci Jarosława Dąbrowskiego. **A póki co zobaczycie, jaką mamy fajną rzekę i raków ci tu dostatek, łódki, lasy z grzybami i spotkania polskie wśród przyjaciół.** Wszystko trzeba zobaczyć i przeżyć. Do lasu i na łódki nie pójdę, bo już jestem za stary. Ale syn ma trochę czasu i chętnie będzie wam towarzyszył. Liczy na waszą pomoc z języka angielskiego, bo odczuwa głód praktyki. Jedzenia to mamy w bród. I alkoholu też, choć on go w ogóle nie pije. **Dobrali się z tą jego dziewczyną. To moje szczęście na stare lata.** Ale co ja będę mówił, sami zobaczycie jacy oni fajni.

– No więc od czego zaczniemy? – zapytałem.

– Zostawię was w tej kawiarence, przygotuję jakieś lokum, wypoczniecie, a potem już pracy nam nie zabraknie. Wziąłbym was od razu do siebie, ale wiecie, u mnie bardak, bo mamy ciasne mieszkanie. Duży pokój zajmuje syn z żoną i nawstawiali pełno gratów. Mamy już dogadane, że część z tego pójdzie do piwnicy – z rozwagą wyjaśniał Franek.

Rys. 99. Franek wśród weteranów II wojny światowej

– Panie Franciszku! Umieram z pragnienia, musimy się napić jakiejś wody, usiłowałem odwieść jego uwagę od kłopotów, którymi świeżo mnie poczęstował.

Chętnie podjął ten temat i nie czekając na kelnera doniósł dwie butelki z napojami. **W międzyczasie już przy stole znaleźli się jacyś nieznani mi goście.** Ich rozmowa zaczęła się przeplatać z naszą. Co ciekawe – z naszej nieprzyjaźnie odbierano słowo „pan". Przy pierwszej sposobności jakiś podpijaczony wyrostek odezwał się do nas znienacka: **„szo wy pany biez stakana?".** Sprowokowało mnie to jedynie do postawienia małej gorzałki, która pozwalała na odrzucenie „panów" do lamusa i uczcić miłe spotkanie z Frankiem.

Franek niebawem pośpieszył do domu, a mnie zaproponowano przypadkowo lokum nieopodal dworca. Bałem się zawierania tego typu znajomości i wszedłem z ciekawości do hotelu „Żytomir". Hotel był całkowicie pusty, ale ceny tu **dla zagranicznych** przeokropne. Trzeba więc było zrezygnować z hotelarskich wygód. Wychodząc w towarzystwie jakiejś starszej pani, nim zmieszałem się z tłumem, otrzymałem od niej propozycję skorzystania z nieodległej stancji, po niesłychanie niskiej cenie. Lokum było rzeczywiście blisko hotelu, więc udałem się na jego oględziny.

I pokrzepienie serc

Był to lokal samodzielny i mimo wielu niepokojów opłaciłem kilkudniowy pobyt. Zostawiwszy bagaże udałem się na spotkanie z Frankiem. Przyjechał z synem Olkiem podenerwowany, wszak nie zdołali jeszcze wszystkiego przygotować, ale na wieczór jak twierdził „wsio budziet charaszo". Opowiedziałem mu o zdobytej kwaterze i z trudem zgodził się na jednodniowy w niej pobyt. Nalegał przy tym, aby osobiście mógł dokonać przeglądu. Na wstępie zaśmiał się z bazarowych rysunków na ścianach i dwuznacznie pokręcił głową. Przestraszona tym gestem lokatorka kategorycznie zażądała, aby lokal używany był tylko prze ze mnie. To uzgodnienie nam odpowiadało i mogłem rozlokować swoje bagaże wśród rzeczywiście nie najciekawszych dekoracji. **Nazajutrz Franek przyszedł z tłumokiem książek, broszur i różnych pisemek.**

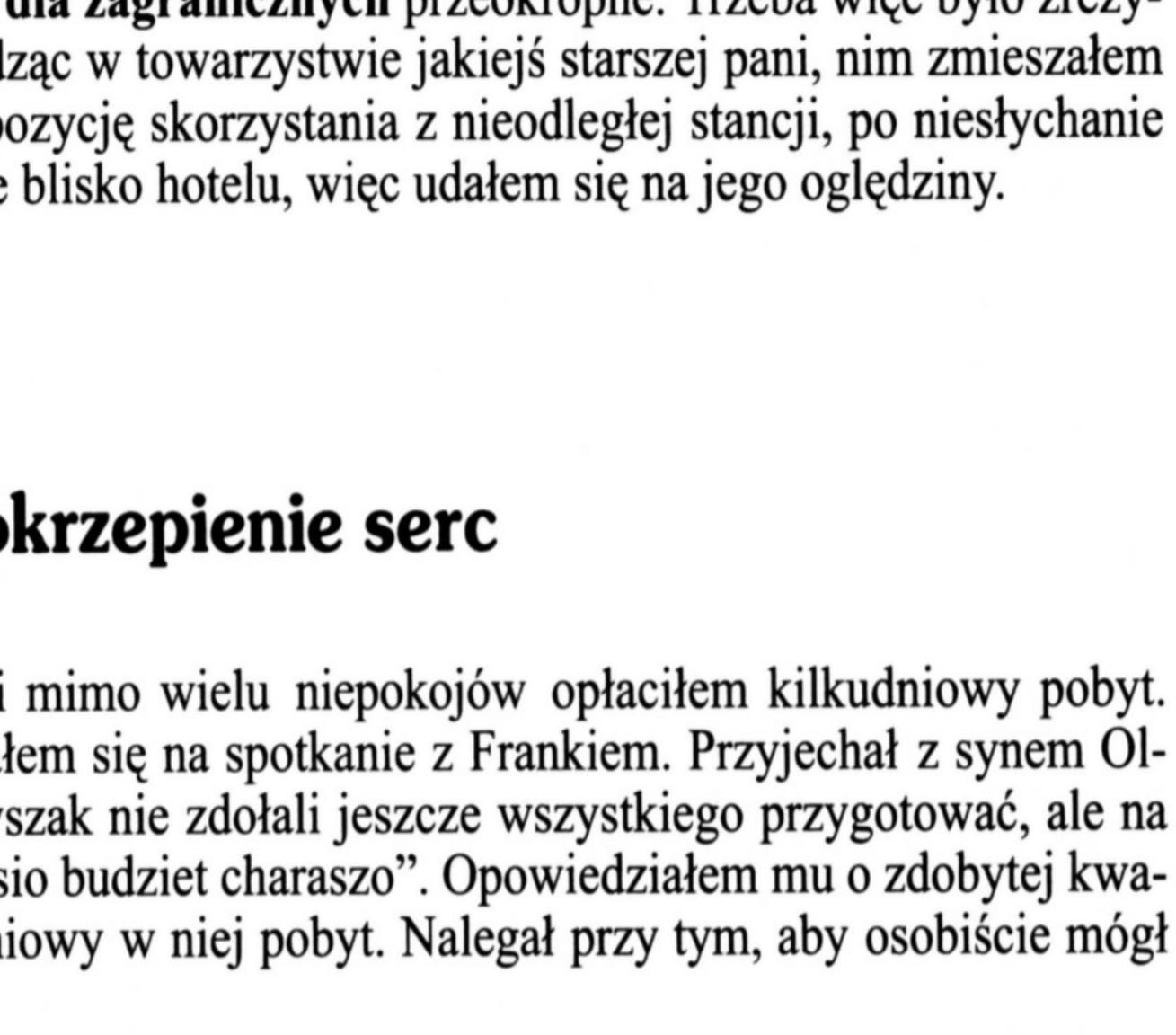

Rys. 100. Dekoracje pokoju do wynajęcia

Rys. 101. Autor z dziećmi Franka

– Większość dostałem w prezencie to i wam mogę oddać – oświadczył. Patrzcie:

– ***Ks. Józef Anczarski,*** **Kronikarskie zapisy z lat cierpień i grozy w Małopolsce Wschodniej,** 1939–1946, Biblioteka Historyczna Metropolii Lwowskiej Obrządku Łacińskiego w Krakowie, Seria A, Źródła i Materiały, Tom 3, Lwów – Kraków, 1998. Ucieszyła mnie ta książka. Słyszałem o niej już wiele, ale nie miałem możliwości jej przeczytania. Tu w Żytomierzu, przystani mojej podróży, nabiera wartości na wagę złota. Kontrolnie zaglądam do wstępu i do fragmentu: **Wołyń – „ziemia zbrodni".** Zgadzam się z tym i choć oddech płuca zapiera, odwracam kilka stronic. We wstępie napisano, że mimo upływu czasu, badania nad Kresami są niezwykle skromne. *Zarówno ze względu na niełatwy dostęp do źródeł, jak i z uwagi na pragnienie uniknięcia jakichkolwiek tematów mogących drażnić naszych wschodnich sąsiadów, z którymi pragniemy mieć nowe, przyjazne stosunki.*

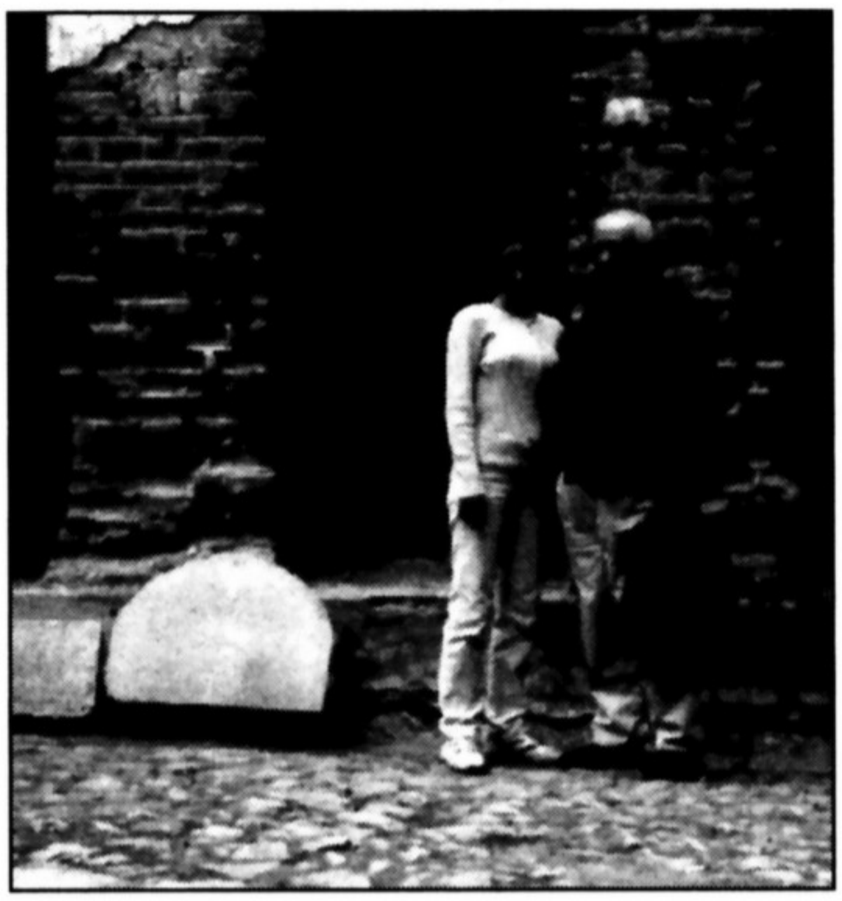

Rys. 102. Autor z Wiki (synową Franka) na żytomierskim cmentarzu

Rozmawiam o tym z Frankiem, gdy ten w pewnym momencie przerywa poirytowany i pyta dlaczego nie zwróciłem uwagi na coś ważnego... Nieśmiało wtrącam, że coś zapamiętałem, ale to chyba **paskudztwo Jerzego Putramenta opublikowane w Kijowie 14 września 1940 r.**

W wierszu tym Putrament wykrzykuje:

„...*Ciesz się Ukraino.*

Już obcy pan nie będzie przewodzić twym synom"[39]. Franciszek wyraźnie się wykrzywia. **Nie chce słuchać o Putramencie. Chce coś na pokrzepienie serc. Nawiązuje do elegii o ukochanym Lwowie.** Wyjaśnia, że nie jedzie tam tylko dlatego, że chce go zapamiętać takim, jakim kiedyś był. Miał już niejedno zaproszenie, ale nie skorzystał i do śmierci tej decyzji nie zmieni. Czytamy treść ulubionej przez niego elegii (dodajmy nieznanego autora) i powtarzamy fragment o batiarach:

...Mój Lwowie, gdy gdzieś posłyszę dźwięki
Lwowskiej gwary, na chwilę znika smutku
Z czoła cień. Tak z Łyczakowska mówiły
Batiary. Słodszą ta mowa od anielskich pień.
Lwowie. Tak wielka tęsknota mnie spala,
Że poza Tobą przestał istnieć świat.
Czarownych wspomnień wciąż powraca fala.
Bez Ciebie jakby mi ktoś serce skradł.

Teraz Franek udowadnia, że choć Lwów nie mieścił się w granicach przedwojennego Wołynia, stanowił jego wspaniałą, duchową stolicę. Końcówkę elegii zamienił szybko na Łuck, by nie utracić wołyńskiego wątku. Nawiązuje do znanych mu sytuacji i przeżyć, jakby żywcem wyjętych z tekstów ks. Anczarskiego[40]. Byliście w Łucku, na Wołyniu. Wróćcie się do Lwowa – napomina. Tak drogą okrężną. Żadne tam Czerkasy. Tu macie ich przedsmak. Żytomierz to już nie Wołyń. To zawsze było co innego: Dąbrowskiego ziemia. I intonuje ku pokrzepieniu serc początek Mazurka Dąbrowskiego: Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy...

ŁWOW.

WIELKI FESTYN NA CEL DOBROCZYNNY

w Ogrodzie pojezuickim, w Niedzielę dnia 10go Lipca 1842

na dochód pogorzelców Rzeszowa.

Jak już zapewne wiadomo, ukropny pożar wybuchły w nocy z dnia 26go na 27my z m., zamienił w perzynę wielką część miasta obwodowego Rzeszowa, zamieszkałą najuiceej przez rzemieślników i osoby zarobkowoci oddane.

Przeszło sto piedziesiąt domów wraz z przyległemi zabudowaniami poszło na łup ognia, a wynikła z tąd szkoda dochodzi zapewne 300,000 złr. m. k.

Ale, jeżeli wyrażona tu w liczbach strata całego miesnia jest wielka, nieszczęście to w swoich moralnych skutkach staje się tem większe, a nawet niewypowiedziane gdy do 3000 ludzi pozbawionych przytułku, pożywienia i sposobu dalsze, o losu, oddaje się ostatniej rozpaczy.

P[illegible] tedy prędkiej i bojaźliwej pomocy koniecznie potrzeba.

J[illegible] ten i ów szlachetnych serc jmieniu ludzkości stara się osobnemi ofiarami uiłże nędzy zawsze przyszłe na [illegible] na taki ogrom nieszczęścia po-

Rys. 103. Fragment starego plakatu lwowskiego

W domu Franka już wiedziałem, że Pan Bóg prowadził mnie dobrymi ścieżkami. Szybko ustępowały wszelakie napięcia. Do pokoju w nocy zaglądał czasami piesek, jakby chciał potwier-

---

[39] Ks. Józef Anczarski, Kronikarskie zapisy z lat cierpień i grozy w Małopolsce Wschodniej, 1939–1946, s. 130.

[40] Op. cit., s. 304–307.

Rys. 104. Autor z Olkiem na grobie wybitnego kaznodziei

dzić, że wszystko jest w porządku i mogę spać spokojnie. Towarzyszył nam potem na spacerach i bardzo przy nim wypoczywałem. Tylko raz nam zleciał do Teterewy z łodzi i omal biedak nie zatonął w ostrym nurcie rzeki. Raczej z jego własnej winy. Wyskoczył nieoczekiwanie za kanapką, która wpadła przez moje niechlujstwo do wody. Wygramolił się zresztą bez niej. Ale to była przykra niespodzianka i w świetle innych, których niemało mnie tu spotkało, starałem się o tym zapomnieć. Tym bardziej, że jawiło się i wiele miłych. Głównie w przyjaznym domu i jego otoczeniu zrodzonych.

Na szczęście mimo podeszłego wieku, Franek cieszył się jeszcze wcale niezłym zdrowiem, a przewodnikiem po żytomierskich sprawach był wprost wymarzonym. **Nawet na cmentarzu odkrywał liczne tajemnice, znane już tylko umarłym. Dziwiłem się, jak mógł godzić tyle rzeczy minionych z bieżącymi,** choć skłonny byłem przyznać, że minione ułatwiają mu obracanie się we współczesności. Nawet tej zahaczającej o niedawno minioną zgrozę.

Ciekaw byłem i jednej i drugiej, a głównie tego, czy da się ułożyć z tego jakąkolwiek logikę dziejów tak, by z nagromadzonych doświadczeń wypracować skromne, doraźne przynajmniej wnioski. Franek twierdził, że tak, bo na działce on zbiera zarówno obeschłe liście, jak i wszelkie paskudztwo po to, by utworzyć niezbędny w uprawie kompost, bez którego działka zamieniła by się szybko w zagon badylstwa. Tak już kiedyś było, gdy „słali go na Syberię i działka w paskudztwo się zmieniła". Z tym, że gnój też nie jest wieczny i należy się go pozbyć. Im szybciej, tym lepiej. Więc nie czy, a jak!

Tylko dla kogo ten koniak

Nadeszły polskie dni. Żytomierz był do nich dobrze przygotowany. Imponował już okazały budynek pachnący świeżością, a zwany Domem Polskim. Już w sobotę zaczęło zjeżdżać do niego pełno gości. Z dalszej i bliższej okolicy, choć główne uroczystości odbyć się miały w niedzielę, następnego dnia. **Swój przyjazd zapowiedziała ważna i liczna delegacja z Warszawy.** Odwiedziłem uliczkę, przy której stał udekorowany polskimi emblematami budynek, w którym urodził się i wychowywał **Jarosław Dąbrowski.** Było tu schludnie i przyjemnie. Taką atmosferę czuło się i na mieście. Dzięki moim gospodarzom zdążyłem już je nieźle poznać. Nawet i niektórych mieszkańców, a szczególnie tych, co raki przy rynku sprzedawali.

Byli to ludzie młodzi i chętnie służyli pomocą w rozpoznawaniu Żytomierza, jakkolwiek raków łapać nie proponowali. Jeden z nich przekonująco pokazał całą pogryzioną dłoń: – patrz pan, jakie to gady..., a ja jestem już uodporniony, bo do piwa one smakują znakomicie i coś można na nich zarobić. Odpłacam się im handlem za to, że mnie tak pogryzły.

Z tą zakąską do piwa to miał faktycznie rację. Super! Żałowałem później, że tego zestawu nie było na przyjęciu w Polskim Domu. Po uroczystościach w Katedrze i poświęceniu tablicy pamiątkowej, cała niedziela niosła pełno radości. **Wymieszane towarzystwo z różnych stron, rozbawione, stęsknione zwykłej ludzkiej życzliwości bawiło się wzajemnie i dbało o innych.** W czasie przyjęcia stanął przede mną jeden z członków chóru (z rodziny ukraińsko-polskiej) występującego w katedrze i podsłuchałem jego dialog z kelnerem wydającym szampan: – Trzy porcje proszę – Dla kogo? – Dla Włodka, Tani i mnie – Kto to Wołodzia? – Mój ojciec, Tania to siostra, a ja, to ja. A że ich tu nie ma, to nie szkodzi. **Może jeszcze dojadą, bo daleko, na Zadnieprzu mieszkamy.**

Rys. 105. Dom Polski w Żytomierzu

Parsknąłem mimo woli śmiechem i pozazdrościłem szampańskiego humoru, którego mi od dawna brakowało. **W dobrym nastroju długo po tym fakcie opowiadał mi o swojej polskiej wsi, która gdzieś nad Dnieprem, we wschodniej Ukrainie przetrwała.** W Żytomierzu był już dwukrotnie i zdążył dość dobrze to miasto poznać. Stwierdził też, że chętnie będzie tu zaglądał, już choćby z uwagi na ten polski dom. To chyba tak, jak mój rodzinny – dorzucił wzruszony.

Cieszyła taka wypowiedź. Ja przyjeżdżając do Żytomierza nie miałem pojęcia o atmosferze tu panującej i wiozłem z sobą całą tragedię wołyńskiej rzezi na Polakach. **Wiedziałem jedynie, że im dalej od Polski, tym mniejsze było okrucieństwo wobec naszych rodaków.** W rozmowach tu prowadzonych znajdowało to potwierdzenie. Powszechnie uważano, że Ukraina Wschodnia była w większym stopniu wolna od tego rachityzmu i już w Żytomierzu słyszało się charakterystyczne powiedzenie **„Idioty z zachodniej Ukrainy".** Oczywiście zdarzały się i tu, na Wschodzie przejawy antypolskiego szowinizmu, nawet i bardzo skrajne, **Sodoma – Gomora. Jak na Wołyniu!** Jednak już nie w masowym zakresie.

Rys. 106. Przed inauguracją uroczystości w Domu Polskim w Żytomierzu

Co więcej, spotykało się też i sytuacje przeciwstawne, szczególnie wśród młodzieży, która dość często i szczerze manifestowała postawy życzliwości i przyjaźni wobec Polaków. Przetrwały one aż do naszych dni i to wcale nierzadko spotykane. Osobiście je bardzo głęboko przeżywałem.

Pytając np. przechodniów na ulicy o jakiś adres czy komunikacyjne połączenia w Żytomierzu, z reguły automatycznie włączał się do rozmowy jakiś młody człowiek oferując, że chce mi towarzyszyć w podróży, jeśli tylko zechcę. Później ujawniał, że rozpoznał we mnie podróżnego z Polski. **To zresztą bardzo ciekawe tu zjawisko i zadziwiające, jak można tak od pierwszego wra-**

żenia kogoś rozpoznać i nie robić pomyłek. Na miejskim bazarku byłem mile zaskoczony, gdy sprzedawcy raków przynieśli nawet biały obrus na stół, jak tylko zorientowali się, że chcę do książki zrobić pamiątkowe zdjęcie. Takich sympatycznych przykładów nie ma co wyliczać, bo i te sytuację tutejszą należycie charakteryzują.

Jednak obiektywnie zauważyć muszę, że bywało i odwrotnie. W jednym przypadku zaskoczony zostałem niesamowicie. Zaobserwowałem bowiem że bardzo podejrzanie zachowuje się wobec mnie dwóch mężczyzn, których spotkałem w okolicy starego cmentarza. To nawet łagodnie tu powiedziane, wszak agresywnością zmusili mnie do tego, abym wsiadł do pierwszej lepszej taksówki i z wielką ulgą wysiadł w centrum miasta. Co prawda myślę, że w podobnej sytuacji zachował bym się tak samo w Polsce, ale tu zaskoczony byłem całkowicie. Tym bardziej, że tzw. „Polski Cmentarz" w Żytomierzu był dla mnie niezwykle cennym miejscem, na którym koncentrowałem uwagę zapominając, że w ogóle może tu być niebezpiecznie. **Bardzo zresztą chciałem przebywać na nim dłużej i w samotności.** Z wielką więc przykrością zrezygnowałem z tego zamiaru widząc, że obaj osobnicy zdradzają nadmiar antypatii i za mną podstępnie podążają. Widzą zresztą, że się ich obawiam. Musieli zrobić na mnie makabryczne wrażenie, wszak gdy wskoczyłem do nadjeżdżającej taksówki nie miałem nawet siły zatrzasnąć za sobą drzwi. Zauważył to kierowca i zdumiony zapytał: – co wy tu sam łazicie? Tu nie Wersal, czasem bardzo niebezpiecznie! Przez szybę patrzyłem, jak po mojej ucieczce zawiedzeni Podejrznicy wycofują się z cmentarnej bramy. Rozpoznanie więc tym razem było całkowicie prawdziwe. **Bergson miał rację stawiając wyczucie ponad rozumem.**

Rys. 107. Jego Ekscelencja Ordynariusz Żytomierski

Rys. 108. Poławiacze raków w wodach w Teterewie

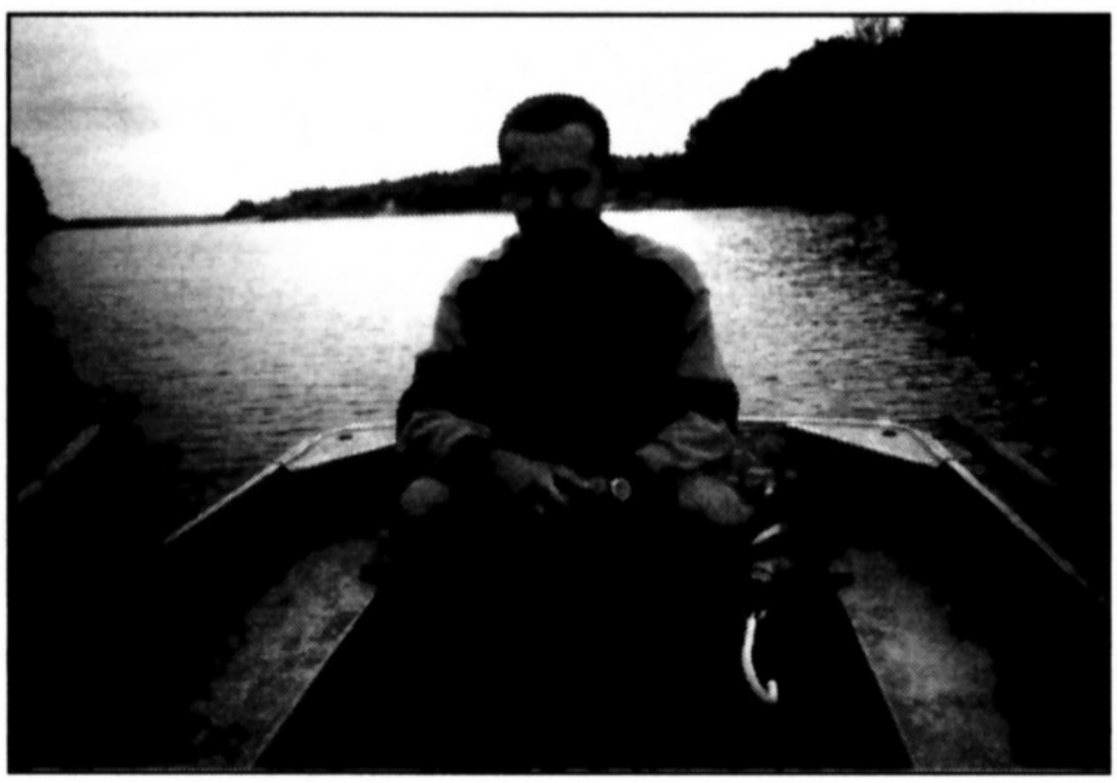

Rys. 109. Olek jest stałym bywalcem łódek

Żałowałem tego wszystkiego, wszak losy tego cmentarza wiązały się również z falą zbrodni na naszych rodakach, jaka przetoczyła się przez cały Wołyń i tu także docierała. Świadczyć może o tym niezwykle przykry wypadek, o którym słyszałem od kilku już osób. **Dotyczył on ś.p. księdza Andrzeja Fedukowicza,** którego grób znajdował się właśnie na tym cmentarzu. Ponieważ coś już na ten temat wiedziałem, chciałem zgłębić te wiadomo-

Rys. 110. Na żytomierskim cmentarzu

ści. Zwróciłem się więc w tej sprawie do Franciszka. Zrelacjonował swoją wiedzę mniej więcej tak:

Mimo wszystko jak jadę na ten cmentarz to najpierw odwiedzam grób właśnie ks. Andrzeja Fedukowicza. Jest on zaledwie symboliczny, z brzozowym krzyżem, ale ile on tu na tej ziemi znaczy, to ja nie mam siły ani sposobów do wypowiedzenia tego. **Wie pan, ja całą tę makabrę znam – jak to się mówi – od podszewki.** Mógłby ją panu opowiedzieć także żyjący jeszcze w Warszawie **pan Szałacki z Berdyczowa.** Ja tylko wspomnę, że ks. Fedukowicz był przez wiele lat naszym bardzo szanowanym proboszczem i widział cierpienia swoich parafian na co dzień.

Sam z tego powodu bardzo cierpiał. Nie mógł oczywiście bezczynnie im się przyglądać i robił co mógł. **Co więcej, możliwości swoje i ludzkie dawno przekroczył, był po prostu świętym.** Stawał przede wszystkim bohatersko w obronie życia człowieka i godnej jego śmierci, w taki sam sposób jak św. Maksymilian Kolbe. Mnie osobiście tak bliski, wszak przechodziłem katusze w obozie na Majdanku. Z czystym sumieniem stwierdzam, że ks. Fedukowicz nie obawiał się najsurowszych nawet wyroków, a już nade wszystko własnych cierpień i śmierci. **Gdy dochodziło już do całkowitej niemal zagłady naszych rodaków, poprosił oprawców, aby dopełnili zbrodni do końca.** Widocznie trzymali go na im tylko znaną okoliczność i on nie czekając na nią miał przed śmiercią takie oto przemówienie:

Rys. 111. Cześć pamięci Jarosława Dąbrowskiego

„Drodzy moi parafianie! Zawsze prosiliście mnie o jakąś przysługę. Starałem się do końca wasze prośby spełniać na ile tylko mogłem. Niewiele mi się udawało osiągnąć. Mimo to zasłużyłem u was na to, abyście jedyną, ale i ostatnią prośbę moją wy spełnili. Gdy przyjdzie mi umierać w cierpieniu okrutnym, podobnym do tego, jakie spotkało was i waszych najbliższych, pozwólcie mi umrzeć. Oby żadna dłoń nie próbowała ratować mnie przed śmiercią, jakiej sam świadomie się poddaję, nie mogąc już dłużej znosić piekła na tej nieludzkiej ziemi".

Rys. 112. Oficjalna delegacja uroczystości J. Dąbrowskiego

Po tych słowach spalił się żywcem wśród jęku, łez i jeszcze jednego cierpienia swoich parafian. Pan sobie wyobraża, z jakim bólem serca nikt nie próbował go ratować! Za życia tym razem uznano go za świętego i aż strach pomyśleć, że do tej pory nic o tej prawdziwej świętości się nie słyszy. A ja jestem przekonany, że kierowała nim jakaś wielka tajemnica Boża i nieznana maluczkim prawdziwa świętość.

W ciszy, po tym fragmencie wspomnień, syn Franciszka szepnął mi do ucha „tata jest już zmęczony" i dał mi znak, abym oderwał go od tych bolesnych przeżyć. Przerwałem więc rozmowę wskazując na zegarek, że czas na odpoczynek i mocno spóźniony obiad. Franek zauważył moją trwogę i podporządkował się prośbie. **Nie miałem później śmiałości do wszczynania z nim podobnych rozmów.** A szkoda, bo traciłem okazję ważnych relacji świadka niezwykłych wydarzeń. Tych z pogranicza Nieba i Ziemi. Ludzkiej świętości!

Rozmowy niedokończone

Pobyt w Żytomierzu zachęcał do dalszych podróży i obserwacji. Miałem jednak uczucie, że z wieloma osobami zbyt szybko skończyły się rozmowy, a z Franciszkiem zostały wręcz przerwane, niedokończone. Nie chciałem już przywoływać tych konkretnych scen makabry stojącej w jego oczach jak na zamówienie. Nawiązałem więc do ogólniejszych spraw prezentowanych w książkach i stosownej literaturze. Franciszek poczuł się w swoim żywiole. Zaczął przytaczać (cytowane już w I rozdz.) badania i wnioski prezentowane i opracowane w książce **„Okrutna przestroga" poświęconej tym, którzy spoczywają w nieznanych mogiłach na całym Wołyniu.** Niezwykle cenna to pozycja, rejestrująca wspomnienia cudem uratowanych ludzi, wydana po 50 latach starannych badań i zarazem milczenia w tej sprawie. **Godzi się przypomnieć, że dzieło**

traktuje o masowych zbrodniach dokonywanych zarówno na inteligencji i ludziach zamożnych, jak i na tych, co „orzą i sieją", rolnikach i robotnikach[41]. Zbrodniach ludobójstwa.

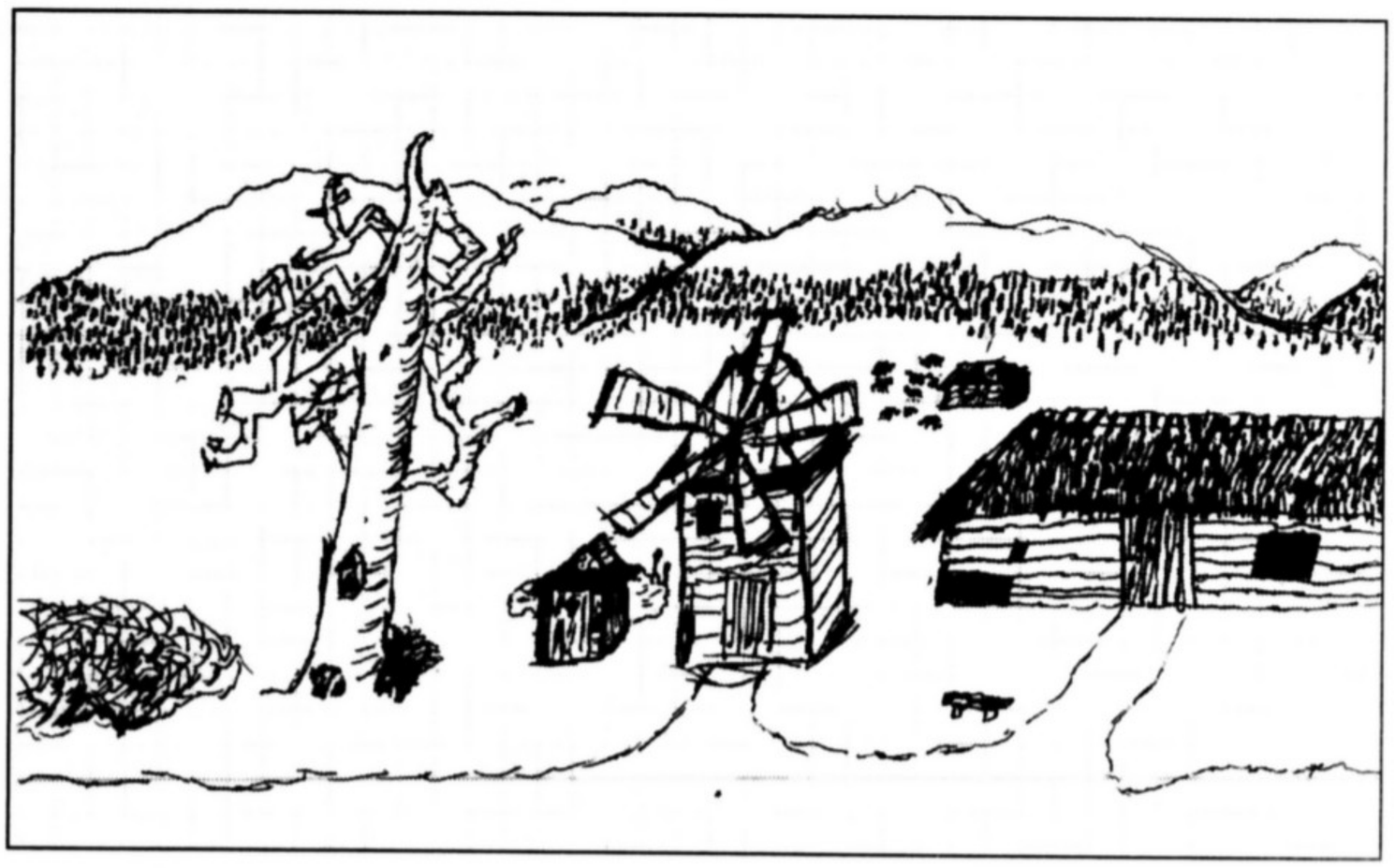

Rys. 113. Etap cywilizacyjny Kresów

Po kilku przykładach z tego dzieła zaczerpniętych byliśmy zgodni co do tego, że tak długie, kilkudziesięcioletnie milczenie o rezunach poczyniło niesamowicie dużo szkód w umysłach narodu polskiego, trudnych dziś do naprawienia tym bardziej, że zaległości narastają. Zresztą obecnie, jeśli nawet pojawi się w polskich masmediach jakaś o nich wzmianka, to zwykle w okrojonej formie, niekiedy dalekiej od prawdy i mająca szkodliwy, antypolski charakter[42].

Korzystne to jest dla ukraińskich szowinistów, mających ciągle na sumieniu życie dziesiątek tysięcy wołyńskich Polaków. Dodajmy, że autorzy książki ten problem doskonale pokazują. Czytamy tam, że pogrobowcy dawnych szowinistów ukraińskich: „Opierając się na naszej nieznajomości tamtych czasów, często nawet na złej woli polskich władz, uznali za właściwe przerzucić ciężar własnej odpowiedzialności na swe ofiary. Czynią to nawet historycy, mieniący się obiektywnymi badaczami przeszłości[43], jak na przykład Mikołaj Siwicki i inni. Zbrodnie swych ojców i dziadów starają się zmniejszyć do minimum, a w najgorszym razie podzielić je równo między obie narodowości – Polaków i Ukraińców. Stanowisko takie tłumaczą naiwnie brakiem dokumentów, pozwalających na bezstronne rzekomo stwierdzenie, jak było naprawdę"[44].

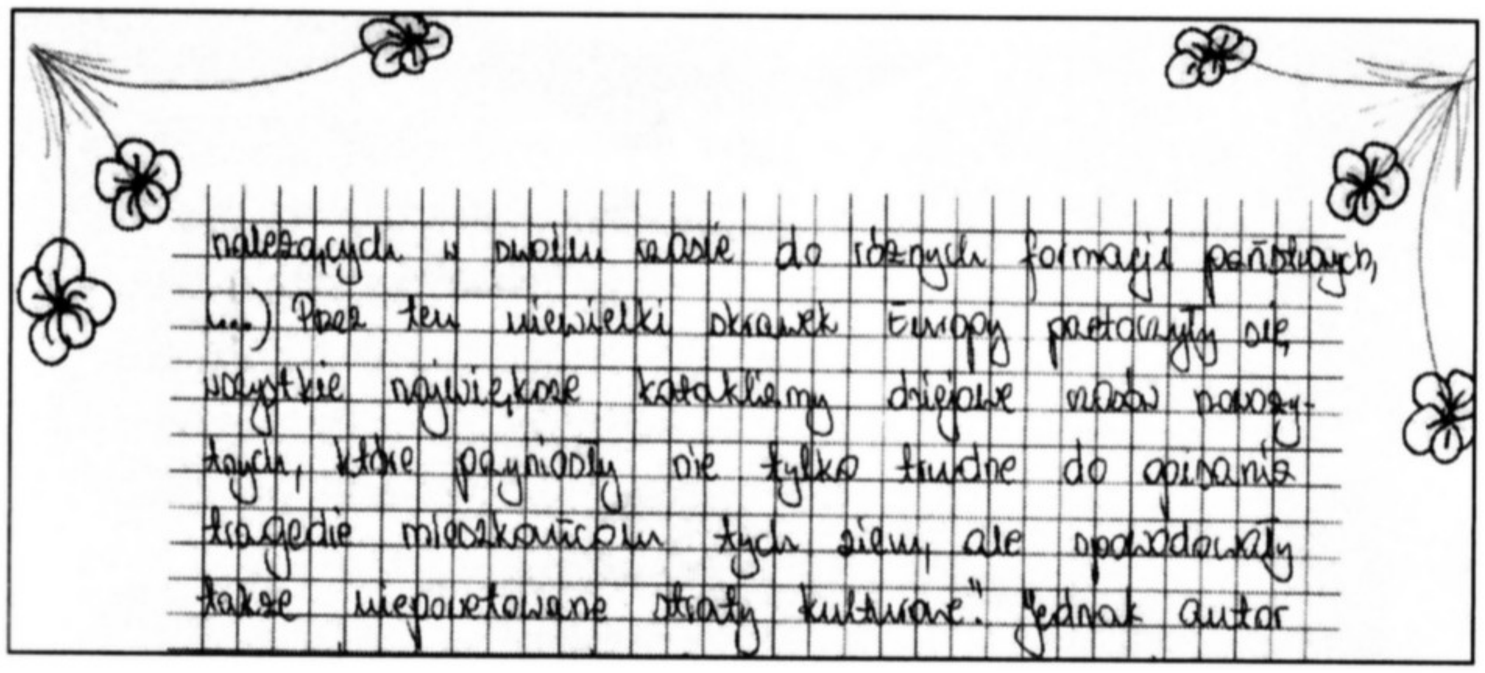
należących w dwóch sobie do różnych formacji państwowych, (...) Poza tem niewielki skrawek Europy przeżywały one wszystkie największe katastrofy dziejowe naszej nowożytnych, które pozostały nie tylko trudne do opisania tragedie mieszkańcom tych ziem, ale opłakiwały także niepowetowane straty kulturowe". Jednak autor

Rys. 114. Fragment studenckiej recenzji

Dobrze więc, że książka ta zadaje kłam tego rodzaju twierdzeniom i staje się jaskrawym dowodem okrucieństwa OUN-UPA na naszych wschodnich terenach w latach wojennego ludobójstwa. Oddaje wreszcie głos tym, co trzeba. Mówią przecież ci, co dzięki Opatrzności Bożej uszli cudem od kuli, noża czy siekiery. Często zresztą ze śladami rozpoczętej zbrodni. Dodajmy, że są wśród nich i ci, zbrodnią oznakowani, których sami ludobójcy uznali już za martwych, wbrew tej Opatrzności. Leżeli najczęściej

---

41 Jerzy Dębski, Leon Popek, Okrutna przestroga, Lubloin, 1997, s. 428.

42 Do nielicznych wyjątków, miłych mojemu sercu należy np. praca zbiorowa H. Kamińskiego i Szcz. Siekiery: Ludobójstwo dokonane przez nacjonalistów ukraińskich na Polakach w woj. tarnopolskim, 1939–1956, Norton, Wrocław, 2004.

43 Por. Myroslaw Kalba, Nachtigal, Ukraiński Batalion 1941 r., Detroit-Lwów, l995.

44 H. Kamiński i Szcz. Siekiera, op. cit., s. 9.

Rys. 115. Skromne krzyże tu, w Żytomierzu, nie poniszczone

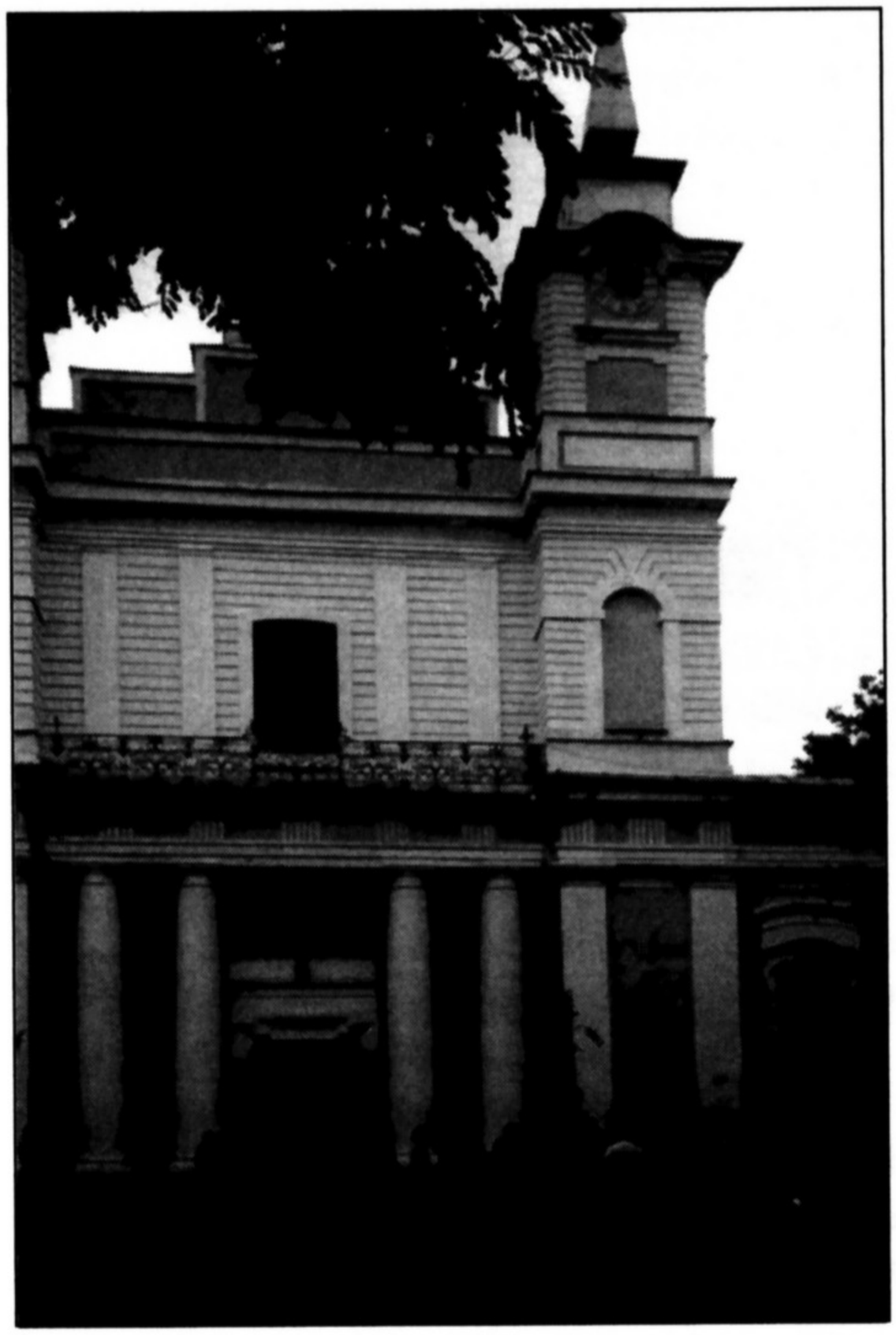

Rys. 116. Fragment katedry żytomierskiej

w kałużach krwi na polu, w lesie, czy we własnych domach wśród pomordowanych rodzin. **Trzeba było mieć nadludzkie siły, by nie wydobyć krzyku rozpaczy i nadziei przeżycia w miejscu swojego ukrycia.**

Zadziwiające, że z wielu wypowiedzi przebija jakaś powściągliwość w słowach, jakby paraliżowanych dziś jeszcze lękiem przed tym, co przeżywali i oglądali własnymi oczyma. Wszak to, czego doświadczali, było sposobem totalnego rozprawiania się banderowców z Polakami, zamieszkującymi te ziemie. **Sposobu, którego normalny człowiek, a nie degenerat, nie jest w stanie wymyślić.** Patrzyli z bliska na morze płomieni, ogarniających polskie wsie z ginącymi w nich mieszkańcami, niejednokrotnie pełnymi rodzinami. Dlatego książka „Okrutna przestroga" nawet w najtwardszym czytelniku wywołuje wstrząs psychiczny swym autentyzmem w kreśleniu upiornych wprost obrazów z tych ziem. Relacje to przede wszystkim szczere, stanowiące przestrogę dla nas i przyszłych pokoleń.

„Wśród różnych refleksji, jakie budzi lektura niniejszej książki, jedna przewija się szczególnie mocno: jaki naród pragnęli mieć w przyszłej wolnej Ukrainie zwolennicy Bandery i wykonawcy jego poleceń? Naród zbrodniarzy. Bo przecież każdy młody mężczyzna, który odmawiał zabijania Polaków, ginął. Choćby był najlepszym człowiekiem. Jeśli miało się chęć zyskać uznanie w oczach przywódców, należało mordować. Miarą zasług i bohaterstwa była liczba uśmierconych „Lachów". Najlepiej, jeśli wśród ciężkich mąk i długiego konania. I wszystko to

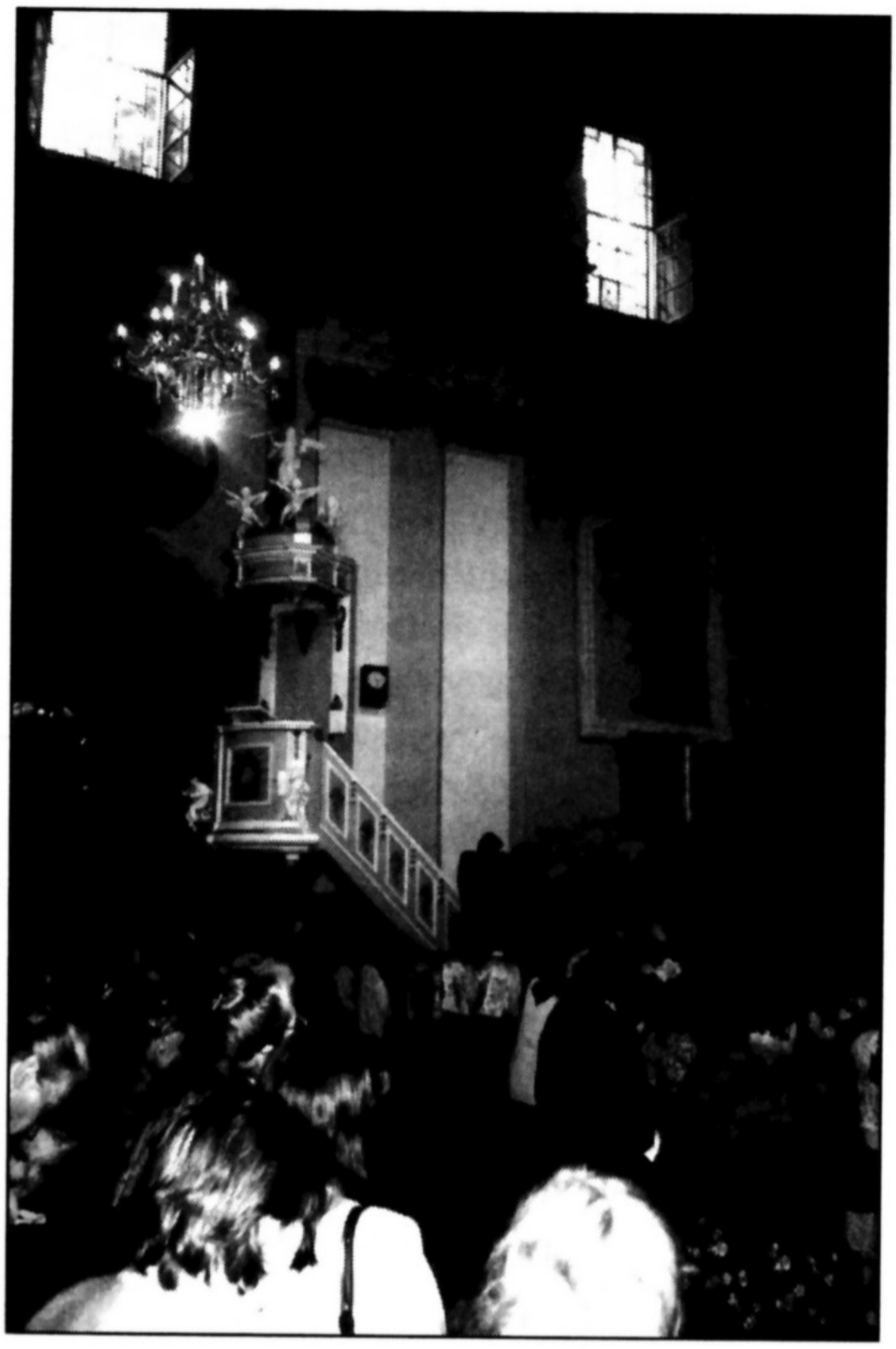

Rys. 117. Modlitwa w Katedrze

jemnych stosunków ukraińsko-polskich. Ale zgodził się też, że najpierw musi nastąpić coś w rodzaju rozliczenia polsko-niemieckiego. **Przecież państwo niemieckie potępiło jednoznacznie zbrodnie SS i gestapo, podobnie jak Rosja zbrodnie w Katyniu, Miednoje, czy na Łubiance.**

Bez podobnej postawy państwa ukraińskiego podpisywanie z nim aktów o przyjaźni pozostanie tylko pustym papierem. Aby tak się nie stało, prawda o ukraińskim ludobójstwie na Polakach zamieszkałych na Kresach i po lewej stronie Bugu musi być wypowiedziana. I to nie po to, by żądać odwetu ani sądów czy okrutnych wyroków, choć w praworządnym państwie takowe nikogo nie dziwią. **Chodzi o to, że w przeciwnym wypadku popełnione zbrodnie mogą kłaść trwały cień na przyszłości naszych stosunków z Ukraińcami.** Tego typu rany czas pozornie tylko

w połowie XX wieku, gdy walił się w gruzy jeden ustrój zbrodniczy, a drugi, komunistyczny, tylko pozornie rósł w siłę. Pierwsze pęknięcia na jego rzekomej potędze były już zauważalne. I w tym czasie owładnęła szalonymi głowami idea: „Przez wyniszczenie Lachów do wolnej Ukrainy". Przez śmierć niewinnych niemowląt, starców, kobiet i dzieci! Ludzi spokojnie orzących ojczysty zagon, bo takich zginęło najwięcej"[45].

Treść pomieszczona w książce Frankiem ciągle wstrząsała. Skłonny byłem osłabiać jego cierpienia i stwierdziłem, że byli też i inni Ukraińcy, o których wspomina też autor tego wstępu. **Stwierdza bowiem, że wielu autorów tych wspomnień zawdzięcza swoje ocalenie Ukraińcom, którzy często ich ukrywali, transportowali do szpitali, kryjówek itp. W obliczu tak masowych zbrodni, trzeba i o tych wyjątkach pamiętać.** Takiego pocieszenia Franek oczekiwał. Uzupełnił nawet, że na takich właśnie ludziach można budować nadzieje na przyszłe układanie wza-

Rys. 118. Fragment nawy głównej

[45] Tamże, s. 9.

goi i złą przysługę robią ci, co udają, że tych ran i cierpień nie było. Osobiście, nieswojo nawet przeżywałem niektóre imprezy związane z otwarciem Domu Polskiego w Żytomierzu.

Sądziłem, że była okazja powiedzenia czegoś więcej w tej sprawie. Było przecież szerokie grono, zjechała duża grupa oficjałów z Polski, młodzież. Same uroczystości miały głęboki sens i były okazałe. Spotykało się tu wiele ciekawych i ważnych osób. Samego Franka spotkałem przed Katedrą, przez niego ofiarnie kiedyś bronioną. Na placu przykościelnym było rojno już od ponad 1,5 godziny. Część osób przyjechała bezpośrednio z Polski, telewizja uruchamiała sprzęt, starsze kobiety dekorowały wnętrze katedry i trasę, którą miał przebywać orszak biskupi. Franek był wyraźnie wzruszony.

– Czym Pan się tak denerwuje? – zapytałem.

– Nadmiarem łez, bo za chwilę wybuchnę spazmatycznym płaczem, a bardzo bym nie chciał. O tu, na tym zboczu wtedy stałem. Jechał czołg z rozpędem i chciał ostatecznie rozwalić fragment katedralnego muru. **Nagle zobaczył, że przed nim leżą krzyżem kobiety zdecydowanie do tego nie dopuszczające, gotowe na śmierć. Zrobiłem wtedy z ukrycia zdjęcie, to co panu pokazywałem w domu.** Nie jest fachowe, ale dla mnie najcenniejszy talizman w szafce. Mam do pana pełno życzliwości, ale gdyby mnie pan o nie prosił nie wiem jak, to i tak nie oddałbym go za żadną cenę. Po prostu są rzeczy, którymi handlować nie wolno. Sumienie nie pozwala.

Po tym osobistym jego wyznaniu dopełnił się mój obraz Żytomierza. Na tyle nawet, że zapragnąłem zagubić go na jakiś czas w pamięci, tak jak i cały Wołyń. Miałem nadzieję, że stanie się tak po drodze do Kijowa, prowadzącej przez Koziatyń. Tu już Kresów II Rzeczypospolitej nie było, choć pozostawały rozmowy nadal niedokończone.

Echo dawnego Podola

Dalej, na wschód od Żytomierza rozciągało się Podole. **To historyczna kraina, do której Polacy mają wiele sentymentów.** Poprzecinana jest głębokimi jarami tworzącymi falistą wyżynę niepowtarzalnych krajobrazów i urody. **To w takim terenie Zagłoba czuł się najlepiej, gdy ukrywał piękną Helenę przebraną za pachołka.** Jeszcze wczoraj „...kładła się do snu pod spokojnym dachem rodzinnym, dzisiaj jest w stepie, na koniu, w męskich szatach, bez domu i bez przytułku. Za nią straszliwy watażka godzący na jej cześć, na jej miłość; przed nią pożar buntu chłopskiego, wojna domowa, wszystkie jej zasadzki, trwogi i okropności.

– Ratujże Ty mnie, Boże wielki a miłosierny, ratuj sierotę, ratuj nieszczęsną, ratuj zabłąkaną! Bądź wola Twoja, ale stań się miłosierdzie Twoje!...

Step szumiał słodko, z kwiatów wychodziły zapachy silne i upajające, czerwone głowy bodiaków, purpurowe kistki roztocza, białe perły mikołajków i pióra bylicy pochylały się ku niej, jakby w tym kozaczku przebranym, o długich warkoczach, mlecznej twarzy i kraśnych ustach rozpoznawały siostrę-dziewczynę. Chyliły się tedy ku niej, jakby chciały mówić: „Nie płacz, krasnodiwo, my także na opiece bożej!". Jakoż uspokojenie przychodziło do niej od stepu coraz większe. Zacierały się obrazy mordu i pogoni w umyśle, a natomiast ogarniała ją jakaś niemoc, ale słodka, sen począł kleić i jej powieki, konie szły wolno – ruch ją kołysał. Usnęła"[46].

---

[46] Henryk Sienkiewicz, Ogniem i mieczem, Rozdział XIX.

Zaraz potem, Zagłoba rozgrywał nie mało ważną bitwę:

– „Ha, łotry złodzieje, łajdaki...szpiegi, bij, zabijaj!... wrzeszczał, przeklinał, poruszał całe piekło, wzywał wszystkich nieszczęść, klęsk, chorób – groził wszelkimi rodzajami mąk i śmierci...Zdejmij przyodziewek, capie, a nie, to cię tu potnę na sztuki...Kniaziówna, widząc na co się zanosi, oddaliła się śpiesznie, aby swej skromności widokiem nagich członków nie obrazić, a za nią goniły jeszcze przekleństwa Zagłoby”[47].

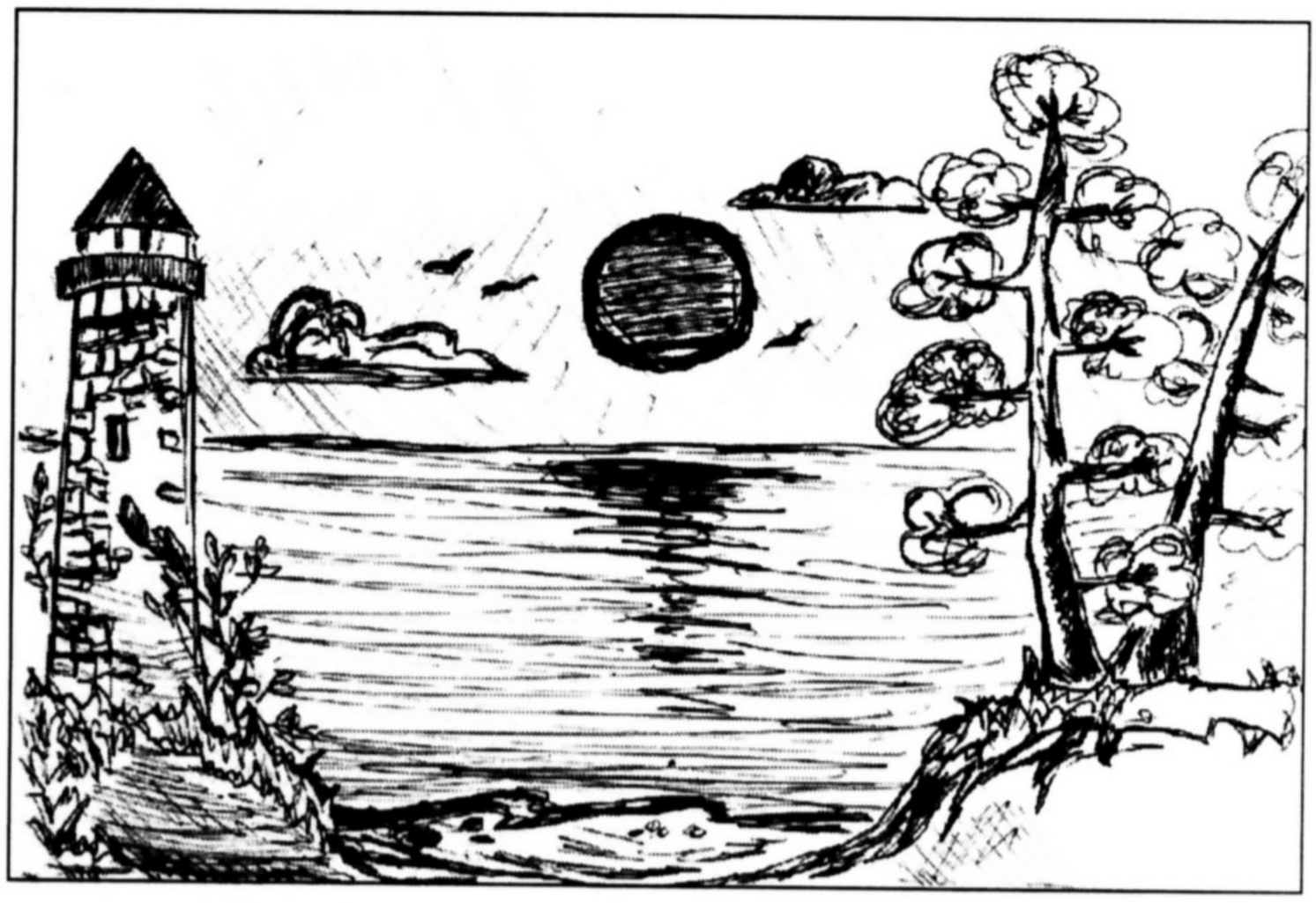

Rys. 119. Piękno w studenckich grafikach

Rzeczywiście, chyba żaden woźny w najwyższym Trybunale nie nakrzyczał się tak, jak Zagłoba w tej scenie. **Przydałby się tu i wtedy, by obnażyć oprawcę z widłami znęcającego się nad niewinnym wołyńskim rodakiem.** Ogromnie panu Zagłobie zazdrościłem, bo ja opuszczając Wołyń nie widziałem siebie w takiej scenie i całą nienawiść do łotrów trzaskających siekierami w naszych wołyńskich rodaków, próbowałem w modlitwę zamienić.

Rys. 120. Na trakcie wodnym do Berdyczowa

Boże nieskończenie miłosierny,
Ojcze najczulszy dla dusz,
W szczególności tych najsłabszych
Tych najbiedniejszych
I tych poranionych...[48].

Skupienie nie przychodziło, wskutek nieustannych ataków pamięci. **Potrzebowałem innej ciszy i spokoju ducha.** Tego z podziemi naszego uniwersyteckiego kościoła Ojców Karmelitów Bosych. Niestety oddalałem się od niego i czułem, że Podole, z którym tyle nadziei wiązałem, nie gwarantowało tego spokoju. **Było jakieś rozległe, rozproszone, nie dające się nad nim zapanować.** Obejmowało region słynący z urodzajnych czarnoziemów ukazywanych w nadziei o „spichlerzu Europy” z historycznym Kamieńcem Podolskim i Naddniestrzem. A tu, najbliżej mnie z Winnicą nad Bohemem, równie pełną zrujnowanych, ale wciąż jeszcze zabytków. Pamiętającą tamte czasy Korony, silnej twierdzy chroniącej te ziemie przed Turkami. Ziemię tworzącą wówczas województwo podolskie, ze stolicą w Kamieńcu Podolskim**. Więc gdzie nie spojrzysz, dawną Polskę widzisz.** Tu, ten cudowny, przede wszystkim dawny, ośrodek kultu maryjnego w Berdyczowie nad Hniłopiatem, dopływem rzeki Teterew, w której tyle sił odzyskiwałem. Hniłopiat będzie chyba równie gościnny. Gościł przecież tak wiele pielgrzymek do klasztoru ongiś ściągających. Trzeba tam dotrzeć.

---

[47] Tamże, jw.

[48] Por. Modlitwa św. Joanny do Jezusa („Niedziela” nr 39, z 26 września 2004).

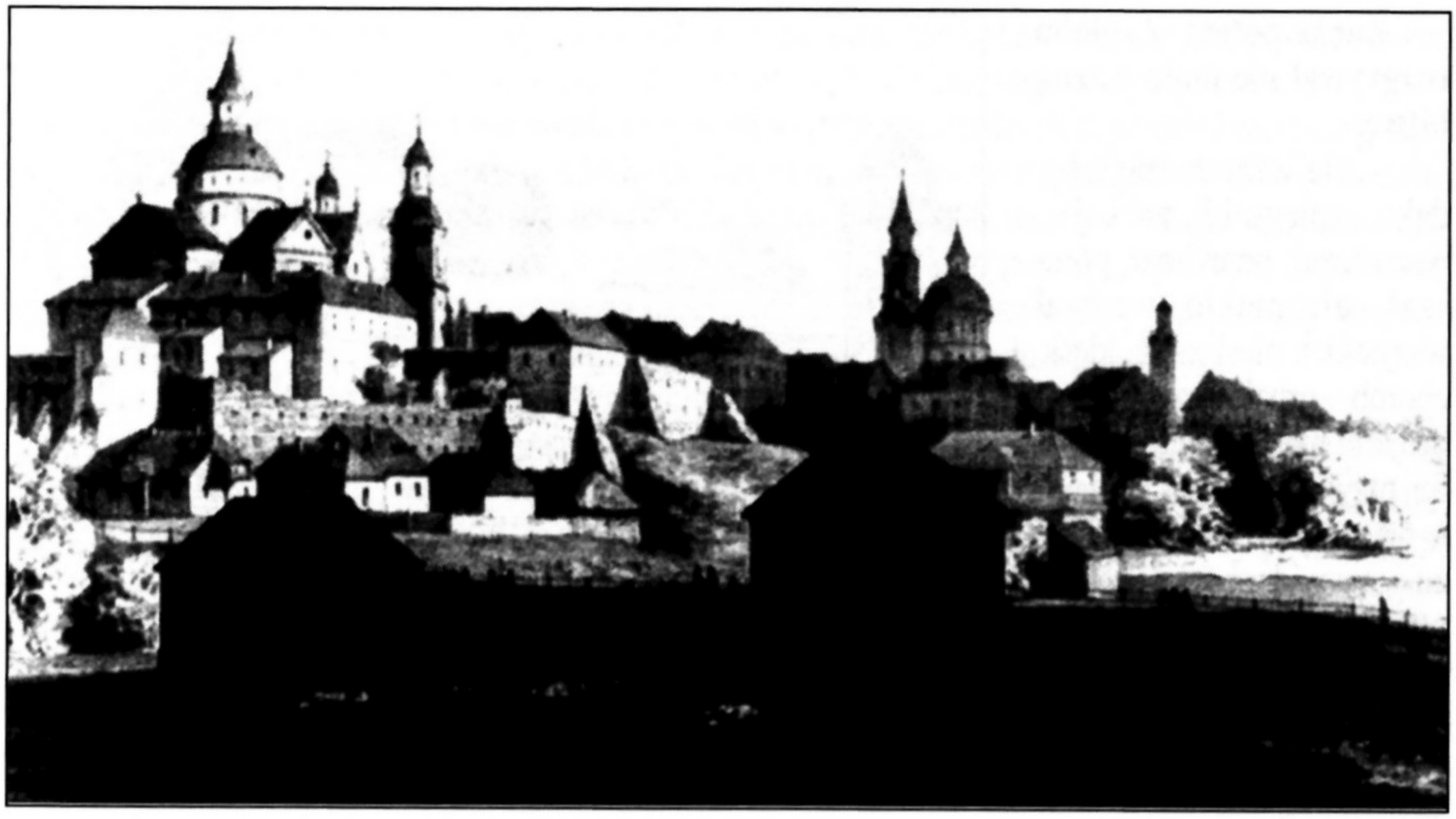

Rys. 121. Berdyczów z dawnych lat[49]

W Berdyczowie, gdzie mieści się klasztor, żyje dziś ok. 80 tys. mieszkańców. Samo miasto, ma długą i ciekawą historię. Między innymi dzięki temu, że w 1850 r. odbył się **ślub H. de Balzaca z E. Hańską.** Ale nade wszystko miasteczko szczyci się sławą klasztoru Karmelitów Bosych ufundowanego jeszcze przez J. Tyszkiewicza w 1630 r. a później starannie rozbudowywanego przez Zawiszów i Radziwiłłów.

Jaki jest dzisiaj jego stan, co się dzieje ze słynnym obrazem Matki Bożej z Dzieciątkiem przez tyle wieków otoczonym naszym kultem – dumałem. Wiem tylko, że cały zespół klasztorny położony jest nad malowniczym rozlewiskiem wody Hniłopiat tworzącej jezioro znane na Podolu z piękności. Wędruję więc w stronę tych wielkich budowli i trzymam gotowy do pracy aparat fotograficzny.

Rys. 122. Berdyczów w 1993 r.[50]

Dostrzegam już błękit tych wód otaczających klasztor. Niestety nad nimi muszę pozostać, wszak klasztor uległ całkowitej dewastacji i znajduje się w fazie wielkiej odbudowy. Prosi o modlitwę i wsparcie. Klękam na

---

49 Benignus Józef Wanat, Sanktuarium Matki Bożej Szkaplerznej w Berdyczowie.

50 Ibidem.

głazie wyrwanym z jego murów i powtarzam: Ojcze nasz, któryś jest...Nawet nie zauważam nadchodzącego z boku zakonnika. Bez trudu nawiązujemy rozmowę.

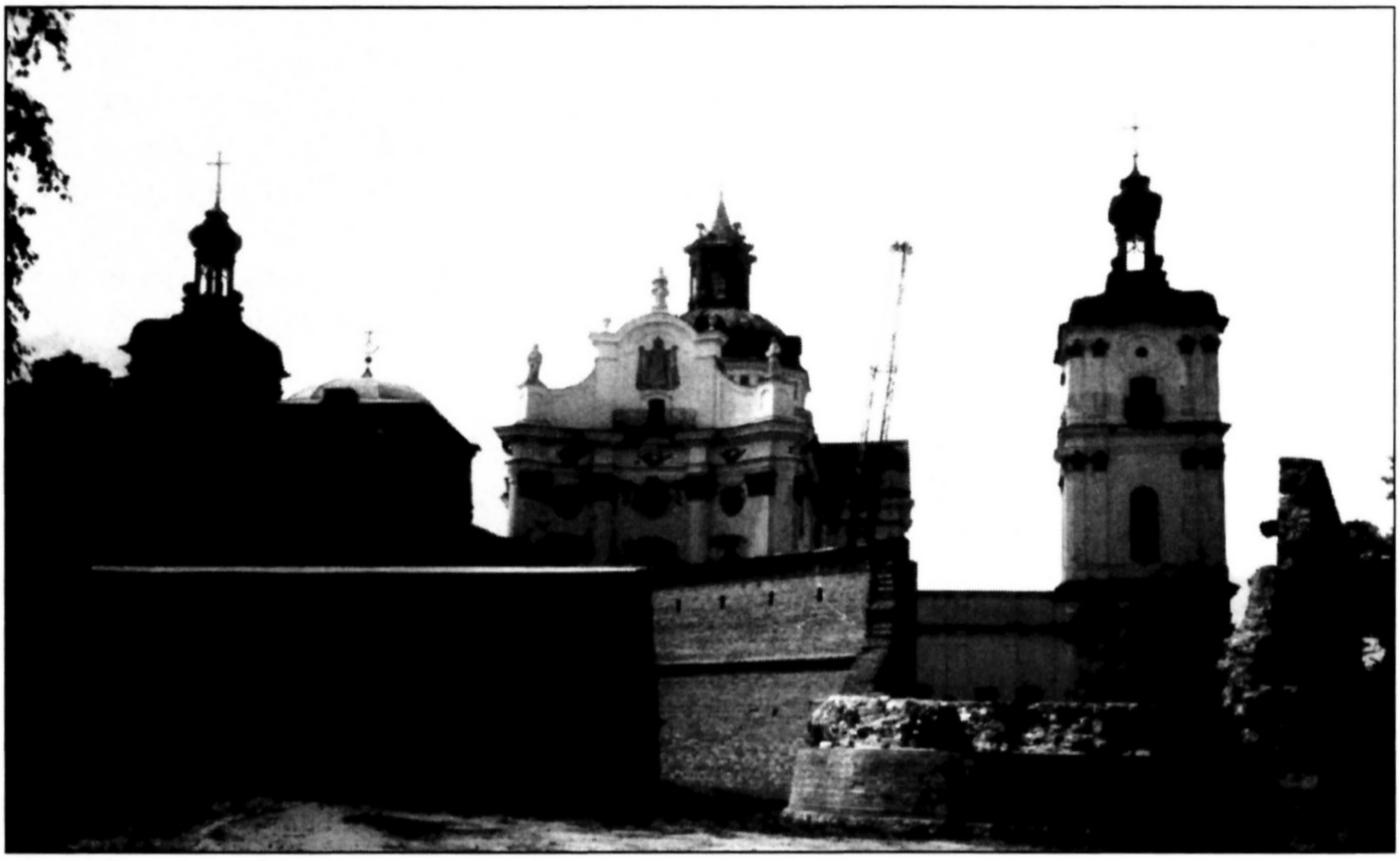

Rys. 122. Klasztor w Berdyczowie w 1999 r.

– Nie mamy na razie lokum. **Klasztor jest w ruinach.** Porozmawiać możemy w naszym mieszkaniu – oświadcza po chwili. Ale tu, do odbudowywanego klasztoru robotnik pana wpuści, a ja chętnie będę towarzyszył, bo tam są same rusztowania i trudno się zorientować, co jest co. **Przechodzimy wśród gęstych rusztowań z trudem.** W przejściu nad drzwiami jest zawieszona podłoga, na którą dostarcza się zaprawę budowlaną i wapno. Stamtąd, wysoko, do sufitu wzniosłej świątyni, przeciągnięta będzie wyżej. Wokół nas same rusztowania. W jakimś punkcie uznanym za szczególnie niebezpieczny, dwaj robotnicy z ostrzegawczymi światłami. **Dalej przejść nie możemy.**

Na wysokości 10 piętra trwają najtrudniejsze dzisiaj prace – wyjaśnia towarzyszący mi zakonnik i zaprasza do bocznej nawy. Klękam i pragnę zostać przez chwilę na modlitwie. **Zakonnik podchodzi do stołu z pozostawioną w wiadrze wodą i zachęca że „to tutejsza, mineralna".** Piję ją zachłannie, bo jest niezmiernie gorąco, a ona chłodna i smaczna. Podchodzi do niej robotnik i z zaciekawieniem pyta, czy jestem z Polski. „Boże jakbym chciał zobaczyć waszą Częstochowę – dodaje i podsuwa mi szklankę z zaczerpniętą wodą. Z góry dochodzą odgłosy poleceń służbowych. Ciągle czegoś brakuje i trzeba zabezpieczać front robót – objaśnia zakonnik. Najtrudniej idzie z tymi pracami na wysokościach, przy podkładach na sztukaterię. Przywrócić chcemy klasztorowi jego pierwotne piękno.

Salve Regina berdyczowskich karmelitów

Nastrój w klasztorze jest niesamowity. Mam świadomość, że to miejsce święte, konsekrowane. Wdzięczny jestem Berdyczowskiej Pani za to, że mogłem w Jej świątyni zapomnieć o sprawach mnie trapiących i skupić się na Jej cierpieniach tyle już razy i w tym miejscu doznawanych. Skłonny jestem te doznania przypisać jej nadludzkiej naturze jako „pierwszej i najdoskonalszej uczennicy Chrystusa" (Moralis cultus, 35), w którym dostrzegła całą głębię nauk, mówiąc z przekonaniem w Kanie Galilejskiej: zróbcie wszystko, cokolwiek mój Syn wam powie. **Jestem pewien, że do Jej łask dojdzie teraz łaska najnowsza, łaska podniesienia z ruin tego sanktuarium, które przez wieki uzdrawiało i krzepiło ludzkie serca.** Santkuarium przechodziło bowiem niezwykłe koleje losu.

Rys. 124. Kościół, w którym brał ślub H. De Balzak

Jak pisze Benignus Józef Wanat OCD:

„Sanktuarium Matki Bożej Szkaplerznej w Berdyczowie było duchową stolicą dla całej Ukrainy. Było świętym miejscem obecności Pana i przystanią pielgrzymującego i pokutującego ludu Bożego dla adoracji Boga, wyznawania wiary, pojednania się z Bogiem przez sakramenty święte i wypraszania potrzebnych łask. W nim Maryja odbierała i ponownie odbiera szczególną cześć ze względu na tajemnicę Wcielenia, jako Dom Boży, Stolica Mądrości i żywa Świątynia Ducha Świętego oraz jako Matka Kościoła i wszystkich ludzi w porządku łaski"[51].

---

[51] Benignus Józef Wanat OCD, Sanktuarium Matki Bożej Szkaplerznej w Berdyczowie, Wydawnictwo Karmelitów Bosych, Kraków, 1998, s. 9.

Rys. 125. Odbudowa Sanktuarium

Sanktuarium to ufundował wojewoda i generał ziem kijowskich Janusz Tyszkiewicz zapisując swoją fundację w Trybunale Lubelskim pod datą 19 lipca 1630 r. Zapis objął także plac i zamek w Berdyczowie oraz wieś Skrahlówkę i kwotę 1800 zł rocznie ze swoich majątków. **Było to votum maryjne oddane dla klasztoru Karmelitów Bosych za uwolnienie z niewoli tatarskiej.** Hojne. Wystarczające na to, by po 8 latach w imponującej świątyni można było umieścić obraz Najświętszej Marii Panny słynący od lat łaskami w rodzinie Tyszkiewiczów. Ale już w 1648 r. w obliczu krwawej rewolucji na Ukrainie obraz ten karmelici wywieźli z Berdyczowa do Lwowa i ukrywali w klasztorze ss. karmelitanek bosych do 1721 r.

Dalsze dzieje klasztoru były nie do pozazdroszczenia. Po nich jednak klasztor berdyczowski doznał łask maryjnych i stał się w XVIII wieku centrum tak religijnego, jak i maryjnego kultu na Ukrainie podejmując szeroko zakrojoną rolę życia kulturalnego i dobroczynnego. **Wielką rolę spełniał w zakresie oświaty (miał wspaniałą drukarnię i szkoły), co nie podobało się władzom carskim okupującym Polskę.** W 1866 r. nastąpiła jego kasata, po dokonanym uprzednio (1864) skrytobójczym morderstwie na osobie przeora o. Salezego Martusewicza. W klasztorze umieszczono najrozmaitsze instytucje państwowe. Dopiero w 1917 r. klasztor i kościół przejęli w administrację ojcowie jezuici i przeprowadzili niezbędne remonty. **W rok później przejęli go ponownie Karmelici Bosy.**

Po śmierci jednak ostatniego karmelity o. Terezjusza Bolesława Sztobryna, tj. **w 1926 r. klasztor przejęty został przez władze komunistyczne Związku Radzieckiego na skarb państwa.** Urządzono wówczas m.in. muzeum ateistyczne i kino. Jakby tego wszystkiego było mało, tragedia dodatkowa nadeszła w 1941 r., jeszcze przed inwazją niemiecką na Związek Radziecki. **Komsomolcy najpierw go doszczętnie ograbili a później spalili.** Nieszczęście objęło rzecz jasna i sanktuarium.

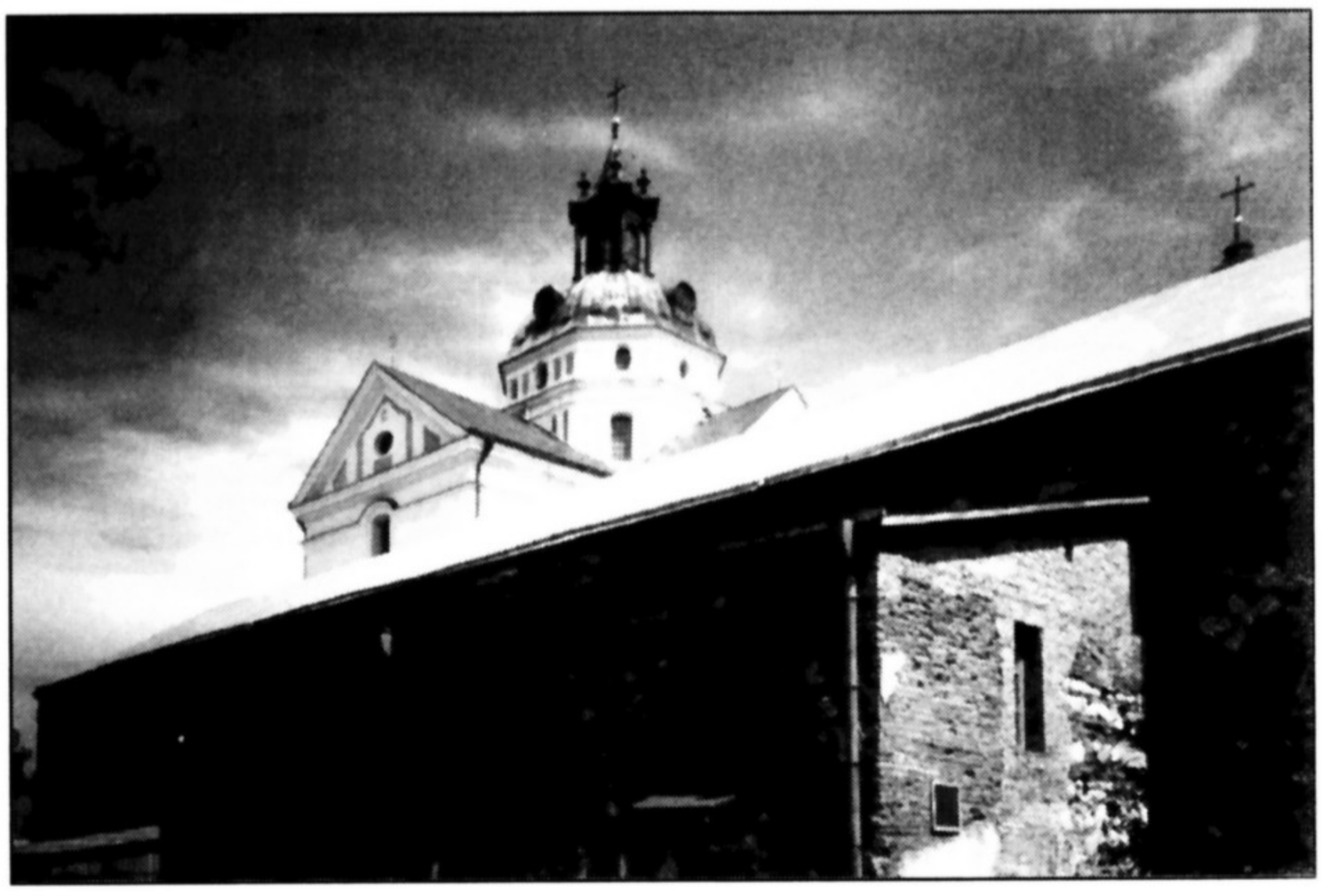

Rys. 126. Centrum kultu maryjnego w Berdyczowie

Dopiero w latach 1970–1980 kijowski konserwator zabytków zabezpieczył resztki sklepień i ułożył nową więźbę dachową. Częściowej odbudowy doczekał się i klasztor, służący od tej pory za pomieszczenie dla szkoły muzycznej i plastycznej. Szkoły te szerzące cele dydaktyczne i naukowe mieszczą się w przyklasztornych budynkach do dziś. Sam odbudowywany klasztor wzrusza więc przybysza i zachęca do modłów i ofiar na rzecz przywrócenia jego świetności. **Cieszy, że w dziele tym uczestniczą władze nowej Ukrainy.**

Pielgrzymi i pątnicy mogą już korzystać z odbudowanych jego fragmentów i śpiewać jak dawniej:

Witaj, Królowo, Matko litości, ...pieśń ongiś śpiewaną na odsłonięcie cudownego obrazu. Dziś już nie istniejącego. Ten obecny, namalowany został w Krakowie przez Bożenę Muchę Sowińską i ukoronowany w 1997 r. na mocy autorytetu i w imieniu Ojca Świętego Jana Pawła II. Wierni modlą się przy nim słowami:

„Do kogóż mam się udać w nagłej potrzebie duszy i ciała, jeśli nie do Ciebie, Matko pięknej miłości, bojaźni świętej nadziei? Tyś dla naszych nieprzyjaciół, w tym łaskami słynącym wizerunku, koronowanym przez papieża Benedykta XIV, jesteś „ogromna, jak wojsko (uszykowane porządnie"! [Pnp 6, 9]. Tyś jest chwałą Libanu i Ozdobą Karmelu! Tyś jak mur nie do przebycia, zasłaniasz naszą Ojczyznę przed wszystkimi niebezpieczeństwami. Ty przynosisz smutnym radość, chorym zdrowie, zmarłym przywracasz życie. W tym cudownym wizerunku i miejscu 14 osobom przywróciłaś życie. Tutaj uzdrowiłaś wielu paralityków i chromych. Stąd ożywiony wiarą i ja przychodzę, jako syn marnotrawny, ale z głębokim przekonaniem, że Ty zawsze jesteś Matką Miłosierdzia..."[52].

Kto wie, może i rezunom go okażesz, jeśli istnieje taka możliwość, aby dokonali nawrócenia i odkupili swoje grzechy. Nam pozostaje modlitwa w tym sanktuarium, aby było miejscem odkupienia wszelkich grzechów na tej świętej ziemi, wspominanej w Brewe Apostolskim Jana Pawła II wydanym z okazji koronacji Obrazu w Berdyczowie 10 marca 1997 r. **Odtąd w murach warownego klasztoru zamieszkała przecież nadzieja, której cząstkę strudzony wędrowca ma prawo zabrać ze sobą.**

---

[52] Op. cit., s. 50.

Koziatyń na trasie stołecznych dróg

Po drodze do Koziatynia odezwały się moje braki w wykształceniu historycznym. Należało więc powrócić do historii a jeszcze przed tym do geografii, w tym najbardziej ogólnym zakresie. Toteż dla swoich potrzeb sięgnąłem na wstępie do dziejów najnowszych, związanych z odrodzeniem Polski po okresie długoletniej niewoli. Ponieważ rozbieranie Polski przez sąsiadów aż do jej całkowitej zagłady dokonywało się etapami, ziemia koziatyńska padła ofiarą najwcześniej. **Miasto bowiem leżało na dawnych kresach I Rzeczypospolitej.** Stanowiło ważny węzeł łączący Kresy z macierzą. Tych Kresów, które tworzyły tereny bezkresnej walki opisanej przez Sienkiewicza w ***Ogniem i Mieczem***. Refleksji rodziło się pełno i miasto jawiło się zbiorem ciekawostek i zagadek, **stając się ważnym węzłem w podróży po kijowskiej ziemi.**

Rys. 127. Dworzec w Koziatynie

Świadom byłem faktu, że kijowska metropolia jest ogromna, z wielką historią i trochę się jej bałem. Przede wszystkim tych rozległych przedmieść. Już na mapie wyglądało to wszystko groźnie. Nie wiadomo było, gdzie się stolica zaczyna i kończy. Tak jak i opuszczony Wołyń. **Oswojenia miałem nabrać właśnie w Koziatyniu, ostatnim przystanku przed Kijowem.**

Rys. 128. Budynki dworcowe

Gdy wysiadłem na dworcu przez chwilę sądziłem, że to już sam Kijów. Imponujący dworzec, niczym nadburzańska twierdza w Brześciu po białoruskiej stronie. Na dodatek ogromnie długie pociągi, wieże i wieżyczki z zegarami i kurantami na budynkach (**nastrój architektury Wschodu**), a nade wszystko wielkie hole i poczekalnie dworcowe oraz te Leniny rzucające się w oczy w każdym ważniejszym i większym pomieszczeniu. W znakomitej oprawie zresztą, na tle barwnych rysunków, z dziećmi i bez dzieci, siedzące, stojące, wesołe i zatroskane, jak ten przy samym wejściu przypominający frasobliwego dozorcę, czy strażnika ładu publicznego.

Poczułem się w tej scenerii bardzo egzotycznie, świadom tego, że zbliżam się już do stolicy i wtapiam całą osobowość w kulturę, którą pragnąłem poznać. Bez oporu wchłaniałem różnorakie jej elementy w nadziei, że wzbogacę je w samym mieście, w którym znałem zaprzyjaźnionego księ-

Rys. 129. Hol dworcowy

dza Józefa, z rodzinnej wioski koło Leżajska. Mimo zmęczenia, spieszyłem do niego raźno w przekonaniu, że nabiorę sił i odpocznę od problemów, którymi karmiła mnie dotychczasowa podróż po Wołyniu. **Od tych ciężkich problemów chciałem być w Kijowie jak najdalej.** Sztucznie nawet dbałem o to, aby pokazać ks. Józkowi, że mam dobry humor i do Kijowa nie przeniosę żadnych wspomnień bandytyzmu wyzierającego z ziem zachodniej Ukrainy. Tym bardziej, że **nowe miasto dobrze się wpisywało w nastrój, z którego czerpać miałem rzeczy jakby z innej beczki. Świadomie budowałem optymizm mając na uwadze dowcipne rysunki moich studentów, ze zbioru zatytułowanego „Zawsze zaczynaj z nowej beczki".**

Profesor Trzeciak dobiera ilustracje z innej beczki

Rys. 130. Zacząć wszystko od nowa

Rys. 131. Dawne plakaty kresowe

Nową jednak Panta Rei tworzył sam dworzec, dźwigający ślady wspaniałej przeszłości grodu. Mimo że manifestował brzemię czasu i ukazywał najrozmaitsze przeróbki, renowacje i rozpoczęte prace budowlane oraz wszelkiego rodzaju naprawy, sama architektura dawną wspaniałością zachęcała do zadumy i poznawania dziejów jego i całego miasta. **Nawarstwiało się w nim wiele epok**. Najbliższe otocznie podkreślało dzieje dawnego, starego grodu, ale już dalsze narzucało się niecekawym fragmentem, gubiącym to historyczne tło. W głębi bowiem widniały jakieś typowe blokowce. Świeże, ale dopominające się już zdecydowanie poważnych remontów. Od tych miejsc, oko samoczynnie uciekało.

Wracało raczej do kompleksu dworcowego, obejmującego sympatyczny placyk, przypominający jakiś dziedziniec starego zamczyska zagubionego w historii. Przed olbrzymimi drzwiami do holu stał całkiem nowoczesny samochód błyskający jaskrawymi kolorami wtopiony-

mi w zieleń przydworcowych krzewów. Tuż za drzwiami **wnętrze budynku jawiło się schludnością i dekoracjami utrzymanymi w stylu dawnego socrealizmu**. Na wysokich ścianach widać było liczne malowidła z wyeksponowaną postacią Wielkiego Lenina i scenami z życia Radzieckiego Państwa.

Przez wąski korytarz wchodziło się do olbrzymiej poczekalni, zakończoną oknem oszklonym witrażami (jak w Mińsku białoruskim), **a w ich blasku znów centralne**

TEATR POŁSKI.

ABONAMENT Nro. 6.

ARTOROWIE SCENY POLSKIEJ.

KSIĄŻĘ I SPIEWAK,

DOLINA CZARÓW.

Rys. 132. Teatr w Dolinie czarów

Rys. 133. Wielki wódz w dworcowym holu

miejsce zajmowała wielka rzeźba Wodza Rewolucji zaprzyjaźnionego z małolatami. Jakby u stóp tej rzeźby biedny chłopiec zawiązywał rozklekotanego buta resztką sznurowadeł. Ciężko mu to szło. Przez chwilę odnosiłem wrażenie, że to uzupełnienie rzeźby, ale chłopiec na mój widok wyraźnie się poruszył i gwałtownie wyciągnął do kogoś dłoń, prosząc o wsparcie w biedzie. Skorzystałem z okazji i przekazałem mu pakiecik cukierków, o których w podróży wyraźnie zapomniałem. Otrzymałem w zamian szczery uśmiech i podziękowanie. Ze spokojem wtopiłem się w tłum pasażerów siedzących przy oknie i zacząłem przekąszać ostatnie zebrane ze sobą kromki chleba przesiąknięte dawno posmarowanym masłem. **Do uszu wdzierały się słowa chłopca głośno przez niego recytowanego po ukraińsku „Ojcze nasz".** Dodajmy modlitwy słuchanej tu z pełną powagą przez zgromadzonych podróżnych zapełniających ławy poczekalni. Spoglądałem przez okno

na miasto, wypatrując wieży kościoła, który był docelowym punktem mojego przyjazdu do tego miasteczka.

Z księdzem proboszczem, budowniczym koziatyńskego kościoła, byłem już od dawna umówiony i znając historię całego przedsięwzięcia, chciałem jak najszybciej wypatrzyć sylwetkę świątyni lub przynajmniej jej wieżę. Widok jednak z okna przesłaniały niekończące się pociągi, a za nimi budowle jakby jakiegoś wielkie-

Rys. 134. Pustoszeje poczekalnia

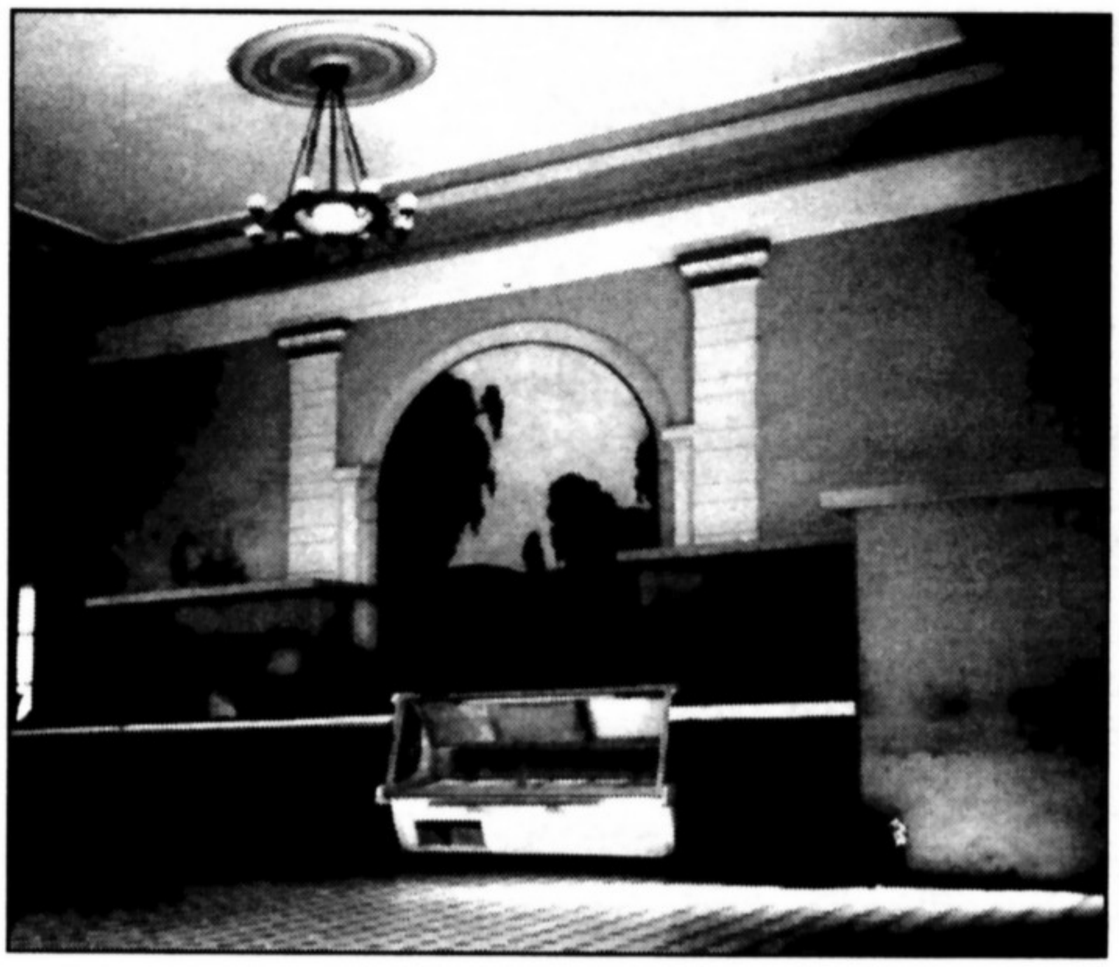

Rys. 135. Pozostałości dawnego bufetu

go miasta. To one zatarły wszelką orientację w terenie, tak starannie dotąd chronioną w mojej pamięci. Trzeba było na żywo zaciągnąć języka i z braku jakiegokolwiek transportu powędrować z tobołami wzdłuż torów za bazar, przy którym ulokowana była siedziba nowo kreowanej parafii. **Tuż przed południem dotarłem do plebanii okrążonej tłumem handlarzy i gapiów**. Przez moment wpatrywałem się w ludzi, wsłuchując się w trudno rozbieralny, jakiś ogólniejszy rwetes. **To bazar się odzywał całym swoim brzmieniem**. Jego nastrój wciskał się do świadomości i uniemożliwiał wszelką koncentrację. Powiększał także zmęczenie podróżą.

Z niemałym trudem udało mi się przebić wśród zatłoczonej uliczki do skromnego budynku, centrum parafialnego życia. Mój trud okazał się niepotrzebny, bowiem ksiądz proboszcz ponaglany uroczystościami poświęcenia kościoła musiał wyjechać na kilka dni do Polski. Przepchałem się znów tym samym szlakiem i skierowałem na drugą stronę ulicy, gdzie prowizorycznie odgrodzone tereny, **przypominające raczej stajnię Augiasza**, reklamowały się budynkiem oznaczonym napisem „Hotel". Czarno na białym.

Hotelowe noce i dnie

Na rozległym placu panowała obiecująca cisza i sądziłem, że życie tutaj ślimaczy jak w zapomnianym lesie. Wlazłem chętnie do pustego niemal budynku (robiącego wrażenie, że to dawny hotel robotniczy lub koszary) i odczułem, że z każdego kąta wyziera tajemnicze życie. Przytłumione, świeżo wygasłe i pełne nie rozszyfrowanych problemów. Zapragnąłem je częściowo poznać. Za śmiesznie niską cenę wynająłem na kilka dni samodzielny pokój, bezpośrednio jak się domyśliłem **(parafrazując zdanie Norwida: Koziatyń osiągnął tu ideał**) opuszczony przez robotników lub żołnierzy bądź może uczniów jakiegoś dużego technikum. Dodajmy pokój, w którym z powodzeniem mogło spać kilkanaście osób.

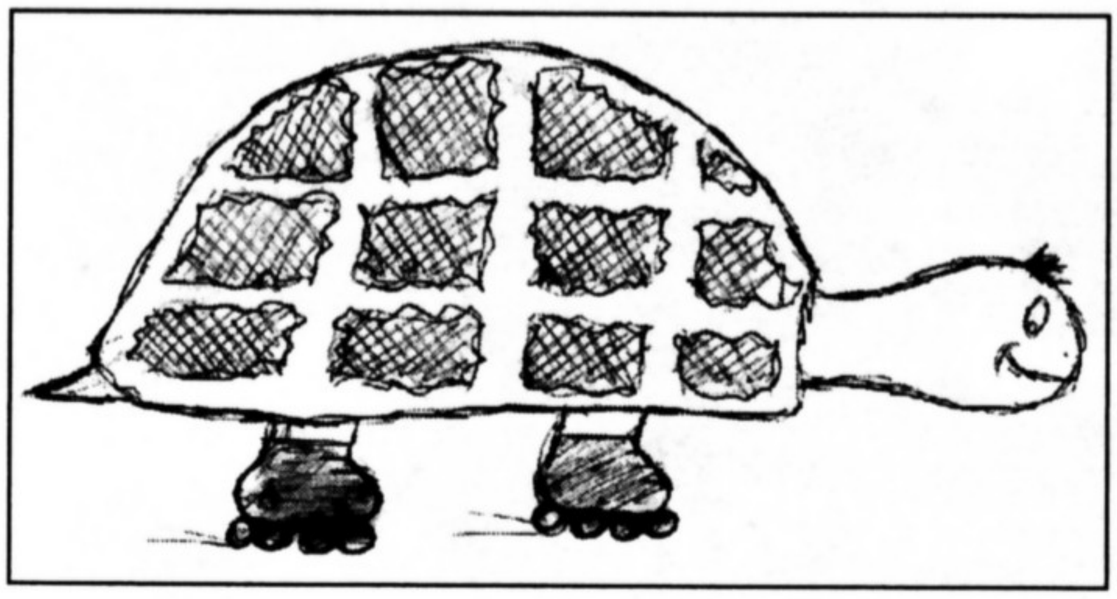

Rys. 136. Życie się ślimaczy

Ja byłem sam. Wchłonięty przez ponurą atmosferą, zacząłem poszukiwać śladów ludzkich istnień. Znalazłem je bez trudu na szafie. W poszukiwaniu większego papieru pod buty zauważyłem, że na szafie leżał zakurzony plakat, niewidoczny i lekko do wierzchu szafy przyklejony. Bez trudu oderwałem go odczytując, że to najzwyklejsza tarcza strzelnicza, niemiłosiernie na odwrocie zapaprana przeróżnymi rysunkami.

Dwóch konkurentów niby rycerzy, strzelało do siebie bacząc, aby nie ucierpiała ślicznotka

z różą między nimi ustawiona. Ta żołnierska szarża, czy raczej pojedynek wyzwanych konkurentów (pilnowany przez sędziego sportowca), trudny był do interpretacji. Tym bardziej, że **na obrzeżach tarczy widniały całe sceny żołnierskich ćwiczeń**. Pełnych niecenzuralnych intymności. Mozoły, bazgroły! Odkurzyłem obraz i zawiesiłem na ścianie w przekonaniu, że od tej pory nie będę już sam. Rzeczywiście, intymne obrazki przełamywały jakieś bariery samotności i stwarzały wrażenie, że jestem wśród normalnych ludzi, którzy nie mają przede mną nic do ukrycia, a nawet chcą mi czymś zaimponować. Tym, co rodzi przyjemności i oddala strach.

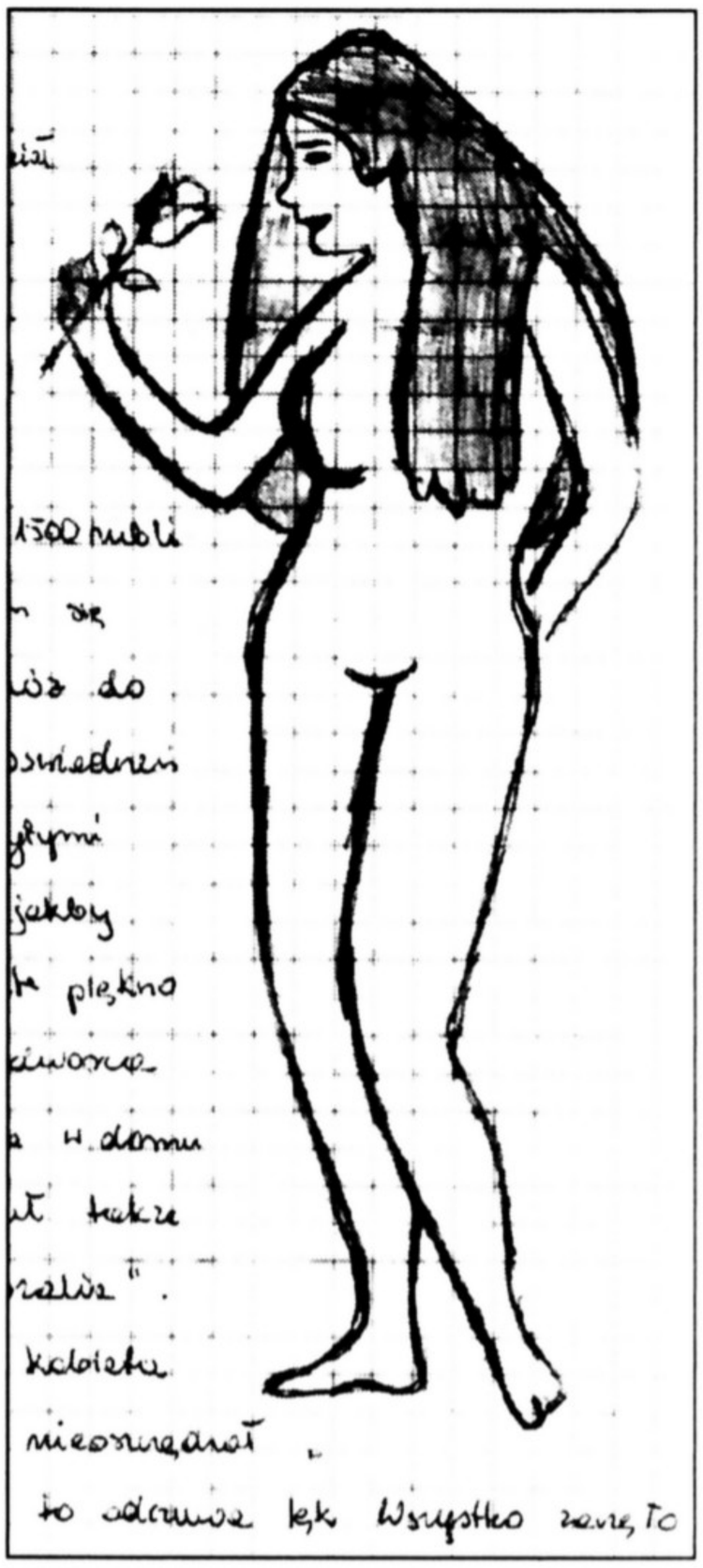

Rys. 137. Ślicznotka z różą

Ale z tym strachem to się tylko tak mówi. Gdy zaczęło się ściemniać, a po korytarzach zaczął strzelać oknami wiatr wzmacniany trzaskiem niektórych drzwi, rysunki nie pomogły i atmosfera stała się nie do wytrzymania. Sądziłem, że przez okna wdzierają się jakieś nieczyste siły, którym sprzyja nadchodząca noc. W pogoni za przerwaniem takich marów, wyszedłem na korytarz z duszą na ramieniu i chciałem pozamykać okna robiące wrażenie, że stanowią bramy piekielne dla rozhulanych straszydeł. Upał się już skończył i królował korytarzowy przeciąg wyjącego wiatru. Największy szum wylatywał z części socjalnej, obejmującej umywalnie z przeciekającą wodą, toalety i jakieś dodatkowe pomieszczenia. Poczułem się na tyle okropnie, że zrezygnowałem z jakiejkolwiek kąpieli i po ciemnych schodach pędziłem jak szalony piętro wyżej w poszukiwaniu większego komfortu. Wszedłem niestety do takiej samej, na dodatek nie wysprzątanej. To już była makabra. **Wróciłem więc do poprzedniej i stwierdziłem jak Kartezjusz, że tu było o niebo lepiej.** Także i bogato. Kilkanaście stanowisk do mycia i tyleż do załatwiania prozaicznych potrzeb. Dla wtajemniczonych dodam, że była to najprawdziwsza wojsko-

Rys. 138. Zakochany sportowiec

wa „latryna" jakiej nie widziałem od czasów obozu wojskowego, mającego miejsce dokładnie pół wieku temu.

Nie zachęcała do przebywania. Przeciwnie, czuło się wojskowy rozkaz załatw i żegnaj, wszak na miejsce przez ciebie zajęte polował zapewne następny już zachcianiec. Tak przynajmniej było w naszym mazurskim plutonie na polach Prostyni. Rozumiałem więc, że te-

Rys. 139. Hotelowe umywalki

Rys. 140. Świat żołniersko-studenckiej wyobraźni

raźniejsze **niewygody łazienkowe miały dyscyplinujące, wojskowe uzasadnienie.** Choć nie rozumiałem, dlaczego powiększał je obrzydliwy kosz na zużyte papiery, u nas zjawisko w ogóle nie znane. I to wcale nie dlatego, że jest kryzys i koszów brakuje. Zastosowane bowiem zostało i w łazienkach, gdzie urządzenia sanitarne funkcjonowały w oparciu o porcelanowe muszle takie, jak rysowali kulturalni studenci (por. rysunek 85). Problem wynikał z warunków techniczno-ekonomicznych, nie zapewniających dostatecznej przepustowości przewodów kanalizacyjnych. **To powszechne zjawisko wyższego rzędu, nie było w skutkach przyjemne.** I trzeba się było do niego jakoś przyzwyczaić.

Najprościej, wzorując się na zachowaniach studentów odrzucających sposoby bycia włącznie z dekorowaniem pomieszczeń, które nie zmieniały fatalnego nastroju zostawionego przez żołnierzy i poprzednich mieszkańcach budynku.

Było wszakże dekoracji wiele i cała wystawka w miarę jej poznawania nie nastrajała optymistycznie i niegodna była sporządzania z niej bliższego sprawozdania. Tym bardziej, że i rysunki bogactwem pomysłów nie frapowały. Widziałem już lepsze, subtelniejsze, te oddawane czasami po wykładach przez moich studentów. Rekapitulowałem, że studenci mają bez porównania większe zdolności rysunkowe, bowiem gdy wspomniałem na wykładzie o kulturowych nieudacznikach z Koziatynia, natychmiast słabości ich nadrobili. Otrzymałem sporo tematycznych rycin. I to takich, które można tu zamieścić nie narażając się na odpowiedni paragraf KK. **Na dowód trudu, trzy z nich (oddające klimat znaleziska) w tym rozdziale przytaczam. Oryginalnych, wojskowych, na pewno papier by tu nie przyjął. O ich poziomie świadczy fakt, że wszystkie pomieszczone na tarczy wojskowej nie sprzyjały przewozowi i** odebrała mi je celniczka pod pozorem, że to są materiały wojskowe. Zawstydziłem się i przyznałem, że miała rację. Faktycznie wykonano je na tarczy wojskowej, na dodatek z symbolem drukarni, w której tarcze były tłoczone.

Rys. 141. Koziatyński Lenin z dziećmi

Drobne usprawiedliwienie mojego nietaktu miałem. Stwierdziłem bowiem oficjalnie, że przewożone „dzieło" znalazłem, co było prawdą, ale dobrze że nie pytano mnie o szczegóły, gdzie i jak się to stało, bo musiałbym odtwarzać całą sytuację z komentarzami. **A już wiele szczegółów pamięć zagubiła. Prawo jednak dziwnie tego faktu nie uwzględnia.** Pamiętałem tylko dokładnie to, że uciekłem wtedy z łazienki do pokoju, chcąc jak najszybciej zapomnieć o nie najmil-

szych dla mnie przeżyciach. W pokoju, działał na szczęście głośnik lokalnego radiowęzła, grający na jedynej i stabilnej fali, którą trzeba było czym prędzej zaakceptować. Tym bardziej, że grała długo i wytrwale. Raz *„Wziaw by ja banduru"*, następnie *„Szyroka strana maja radnaja"* czy *„Tuczy nad gorodom stali"*, potem znów *„Bandura"* i po jakimś czasie znowu ta szeroka strona **„gdzie tak wolno dyszyt czełowiek"** itp. Po wyjeździe żałowałem, że nie zmogłem zapisać ani jednej zwrotki tych dawno już nie słyszanych u nas piosenek i we Lwowie nadrobiłem zaległości notując tekst melancholijnej **„Bandury".**

To dzięki temu głośnikowi wróciła sympatia do tamtych lat i przyjemnych, wszędobylskich piosenek. „Kołchoźnik" miał ponadto i taką zaletę, że zagłuszał w nocy wycie wiatru i skrzypiące okna czy drzwi. **Tworzył atmosferę normalności, której w przebudowywanych koszarach całkowicie brakowało**. Wystawiałem co jakiś czas głowę na korytarz, by się przekonać, że żadne duchy tu nie szaleją, choć nigdy do końca pewien tego nie byłem. Zresztą, prawdę powiedziawszy, najbardziej bałem się tych żywych. Portierce nawet nie dowierzałem, gdy zbyt stanowczo twierdziła: nie musicie się niczego obawiać, nikt was tu nie okradnie, nie zabije, nie zgwałci, nie zaczepi. Ci, co tu przychodzą, to spokojni ludzie, tacy jak wy, szukający taniego hotelu... **A szakale, jak nas urządzili – dodawała następnie – jak na nic nie mamy grosza...**I w tym momencie szukała w moich oczach potwierdzenia, przez co bardzo ją polubiłem, bo miała dobre wyczucie i z politowaniem na mnie patrzyła. Teraz wszyscy taniego noclegu szukają to i nam może się powiedzie, bo gmach jest niemały – dorzuciła swoje nadzieje.

Rys. 142. I Freud by się przestraszył

Z rozmów przeprowadzonych nazajutrz wynikało, że portierka miała dobre rozeznanie. Współlokatorzy zrujnowanych koszar przeważnie z dalekiego Zaporoża oraz resztki ekipy budowlanej do bogatych nie należeli. **Spokojnie, przyjaźnie i uczciwie się zachowywali.** Jakiś Czerkas na gorzałkę nawet do pokoju zaprosił, bo bardzo chciał do Warszawy przyjechać „trochę tu pobudować", ale rozmowa się dziwnie urywała, a portierka skutecznie utrudniała wszelkie próby nawiązywania koszarowych spotkań. Tak jakby chciała wciągnąć mnie do swojego tylko towarzystwa, zresztą równie spokojnego i przyjaznego, żyjącego ciekawością co też dalej dziać się będzie na tym naszym reformowanym świecie.

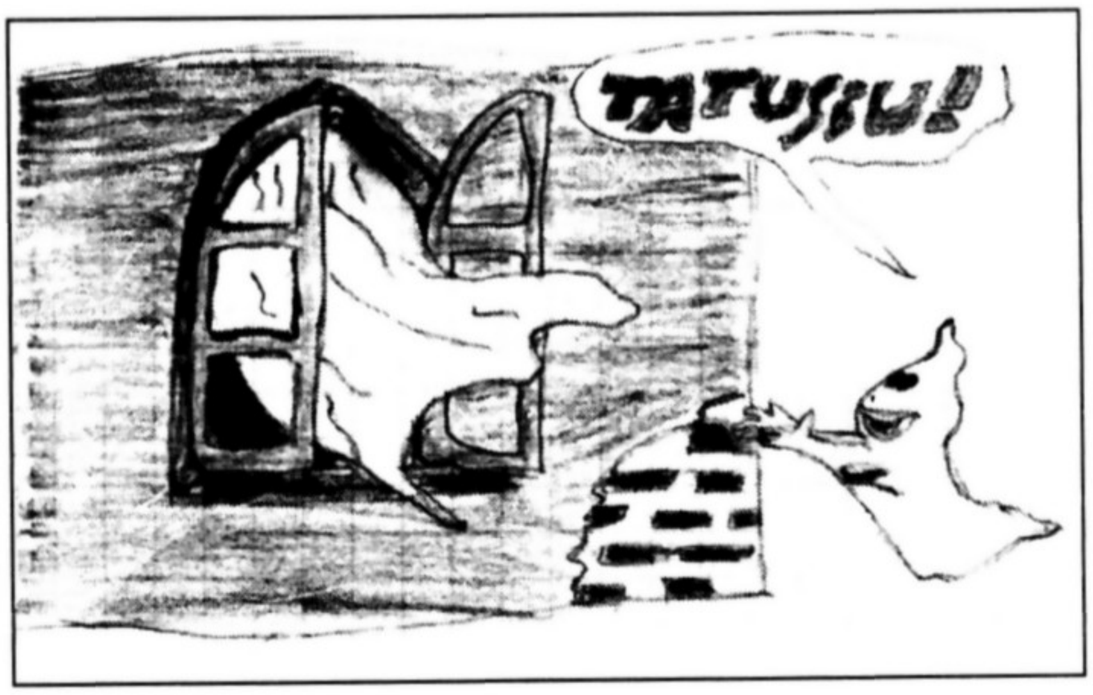

Rys. 143. Życie w pustym hotelu

Czułem się bezradny wobec tych pytań i jawiących się problemów. **Nadmiernie odbiegały od moich prozaicznych spraw.** Przecież tyle wy-

kładów, seminariów, egzaminów przeprowadziłem, tak straszliwie się wymęczyłem, z taką tęsknotą za odpoczynkiem przygotowywałem ten wyjazd, że aż studenci mi współczuli i teraz wszystko idzie na marne. **Nic nie odpoczywam.** Borykam się z niesłychanie męczącą atmosferą, narasta tu tyle nieoczekiwanych problemów, że ani praca, ani wypoczynek. Muszę stąd wyjechać, do wielkiej stolicy, wielkiego świata. Może będzie lepiej. Więc trzeba się pakować do drogi. Nie ma rady. Portierka to zauważa i bardzo przyjaźnie mnie traktuje.

...Tak jak wszyscy studenci w okresie sesji egzaminacyjnej tak Trzeciak jest u kresów sił...

Rys. 144. Precz z wykładami Public Relations

Rys. 145. Ten (w ramce) przeszedł wszelkie cenzury

Nie mam wątpliwości, że nawet niewielkie pieniądze, które tu zostawiam, przyjmowane są przez nią z wielką wdzięcznością i nadzieją na te lepsze czasy. – **Przyjeżdżajcie – zachęca – z całą rodziną. Tanio będziecie mieszkać**. Meble wam pozmieniamy. Bo już zaczynamy odkurzać i malować. Te żołnierskie prycze to i mnie się nie podobają. Ale to przejściowe, bo hotel z dnia nadzień się zmienia. **W tym tygodniu w „siódemce" będzie już telewizor**.

Bardzo sympatyczna była ta starsza pani. Wręcz rozpacz ją ogarnęła, gdy mimo opłaconych z góry dni, zdecydowałem się kategorycznie koszary opuścić i nieoczekiwanie przenieść się na drugą stronę ulicy. Wrócił bowiem zaprzyjaźniony proboszcz i słyszeć nie chciał o moim wyjeździe z Koziatynia i dalszym koszarowym życiu. A szczerze powiedziawszy skromnym, serdecznym, niekrępującym i owocnym. Takim, jakim nie powinienem gardzić. **Tym bardziej, że poznałem w międzyczasie wiele ciekawych spraw, ludzi i ogólne warunki bytowania w tym niewielkim miasteczku.** Potem nawet szanownego księdza szczegółami zadziwiałem.

Skąd to wiecie? – dopytywał, nie uwzględniając faktu, że ja poza nocami w koszarach spędzanymi, całymi dniami polowałem na ciekawe sprawy miasta i ludzi i w tym polowaniu miałem dużo szczęścia. Dowodem i to, że pleban niewiele moich opracowań korygował. Tylko „świństewek" oczywiście żadnych nie tolerował i wszystkie okropności, wspomnienia stąd wynoszone, a przede wszystkim nieudane rysunki i zdjęcia złowrogo odrzucał. Tak, jakby to było na granicy, w komorze celnej. **Trudno mi się było z tym godzić, wszak traktowałem moje zbiory jako ostatni już zabytek socrealizmu wojskowego i chciałem go za wszelką cenę uchronić.** Niech zostanie. Przecież nie wszystko w tym życiu jest piękne i kulturalne. Jest też i wojskowe, prawdziwe. Takie bez upiększeń.

Odpoczynek na plebanii koziatyńskiej

I oto stało się. Gdy spakowałem manele i miałem już wyjeżdżać, zjawił się ksiądz Józef. Z dala ujrzałem jego przyjazną sylwetkę, a po chwili przyszła do hotelu jego gospodyni. Gwałtownie cała wiedza o plebanii, o której już wiele wiedziałem wdarła się do głowy[53]. Ta plebania ks. Józefa jest biedniutka. Jak on sam i jego parafianie. Za to nad podziw gościnna, wysprzątana, czyściutka i promieniująca kulturalną atmosferą. **Przy wejściu, w ogródku stoi figura Matki Bożej Dobrej Rady. Ale jak świeżo odnowiona, otoczona letnimi kwiatami.** Masz wrażenie, że otwiera ci ścieżkę do raju. Dzięki niej zapominasz o piekle, które się tu działo. **Duch Maryi Dobrej Rady podyktował wielkie przedsięwzięcie i wybudowano tu ostatnio okazały kościół na miejscu dawnego, zmiecionego barbarzyńską ręką z powierzchni ziemi.**

Trud proboszcza wpisany jest do skromnego zaproszenia, jakie otrzymałem na uroczystość poświęcenia tej świątyni. I to przez samego J. Ekscelencję ks. **biskupa ordynariusza diec. Kamieniecko-Podolskiej Jana Olszańskiego.** Podkreślmy, że po dawnym pięknym, gotyckim kościele najmniejszy ślad się nie zachował. Nawet jedna cegła, której proboszcz poszukiwał, aby wmurować na pamiątkę. **Udało mu się jedynie utrzymać pewien styl nawiązujący do tamtej, przedwojennej architektury.** I to, że kościół postawiono na poprzednim miejscu. To rozległy nastrojowy dziś plac, obejmujący również tereny dawnego cmentarza rzymskokatolickiego, który podzielił losy okrutnego wyroku i uległ całkowitej zagładzie.

Rys. 146. Sylwetka gospodyni podążającej do hotelu

Rys. 147. Fragment zaproszenia

Odbudowano zaledwie kilka grobów. Na dalsze zabrakło już grosza.

Wspierając inicjatywy proboszcza, ludzie nie szczędzili olbrzymiego trudu. Przyjeżdżali z całego Podola i odległych niekiedy, podkijowskich już stron. Nigdzie nie znajdziesz w nich kościoła, mimo że tęsknot do niego wiele. **W jednej z takich wsi** (załączam zdjęcie) **odbywały się nabożeństwa pod gołym niebem.** Uczestniczyłem w takim nabożeństwie i nie zapomnę mojego przeżycia. Nawet Stół Pański nie miał specjalnego, białego nakrycia. Za

53 Zob. w tej sprawie: Podole i Wołyń, Szkice etnograficzne, pod red. Łukasza Smyrskiego i Magdaleny Zowczak, Wyd. DiG, Warszawa, 2003.

Rys. 148. Przygotowania do nabożeństwa

to jedna z mieszkanek przyniosła – jak twierdziła – najładniejszą we wsi kapę upiększającą całą uroczystość. **Czuło się, że wszyscy uczestniczyli w nabożeństwie z bijącym sercem.** Co za żarliwa modlitwa i wzruszające śpiewy! Potem serdeczne zaproszenia do miejscowych gospodarzy. Szkoda, że nie dysponowałem czasem, bo okolica zachęcała do pozostania na dłużej i bliższego zapoznania się z jej mieszkańcami.

Rys. 149. Msza św. pod gołym niebem

Zwiedzałem ją potem częściowo, tj. przy okazji, gdy jeździłem z ks. Józefem (w towarzystwie wielkiego psa) na plantację pomidorów i ogórków. To taka jego wytwórnia grosza, niezbędna do kontynuowania budowy kościoła. Już nie pamiętam, na jakich polach dawnego majątku polskiego ta plantacja powstała, ale w bardzo malowniczym terenie. **Widać było jeszcze potężne aleje otaczające dawne sady, brukowane fragmenty dróg i dość dobrze zachowany przy nich starodrzew prowadzący do zagubionego dworu.** Z drogi prześwitywały oczka wodne zalegające po bokach głębokie jary, pełne zarośli, dzikiego zwierza i ptactwa. Niestety, widoczni byli też i kłusownicy z psami, strzelający na moich oczach do zajęcy i dzikich kaczek. To było okropne. Tym bardziej, że w tym okresie (sierpień–wrzesień) polowań takich nie wolno przecież urządzać. Nie chciałem jednak dochodzić prawa i korzystając z długiego okresu prac polowych księdza, dotrzymującego tempa całej grupie (ja tego nie wytrzymywałem), przeszedłem do następnego jaru, gdzie kąpało się trochę młodych ludzi spędzających tu wakacje. **Usłyszałem od nich wiele ciekawostek o Koziatyniu dzielnie opierającemu się oblężeniom wojsk kozackich.**

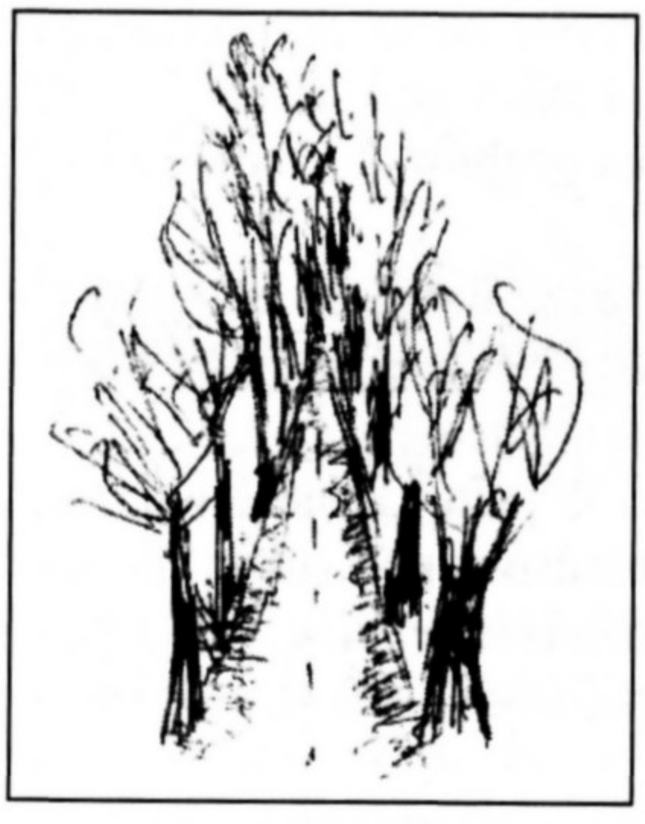

Rys. 150. Pozostałości dworskiego starodrzewu

Dyskusja rozgorzała przy okolicznych dobrach należących w swoim czasie do Tyszkiewiczów. Koziatyniem rządził wtedy Stanisław Ortyński (z Konfederacji Barskiej), podczaszy żwinogrodzki, podążający z odsieczą uwięzionemu w Berdyczowie Puławskiemu. **W Koziatyniu Ortyński został wzięty przez kozaków do niewoli, a następnie zesłany do Kazania.** Zasadzka wojsk kozackich miała być zorganizowania właśnie w jarach, w których toczyliśmy malowniczy dyskurs. Nasze „obrady" przeplatane śpiewem trwały długo i przypominały trochę spon-

Rys. 151. Nowy grób przy kościele

taniczny sejm. Więc w pewnym momencie zaśpiewałem i ja operetkowo: „...do nas, do nas, na żebraczy sejm! Włóczykije, złodziejaszki hej...pierwsi zabierzemy głos". To znana cudowna melodia, cudowne słowa, więc nic dziwnego, że wszyscy ją podchwycili wtłaczając do głowy polskie słowa i usiłując starannie je powtarzać.

Kontekst miejscowy się rozszerzał. Więc jakby konkurencyjnie coraz mocniej uruchamiali się studenci z Kijowa. Dzięki nim zdoby-

Rys. 152. Fragment nowego kościoła

wałem wiele ważnych informacji i łatwiej mi było później orientować się wśród cennych zabytków stolicy, którą potem przypadło mi poznawać. Napotkana młodzież była wspaniała. Chętna przede wszystkim do nawiązywania kontaktów i przyjaźni. Pod wpływem tej atmosfery długo o niej pamiętałem, odkrywając atrakcyjne miejsca w ulubionej przez nią stolicy.

Jednak z kontaktów tych nic nie pozostało. W Kijowie miałem tak mało czasu i tak bogate plany, że zacząć trzeba było wszystko od nowa. Po czasie stwierdziłem, że ogrom spraw przytłoczył mnie momentalnie. I to nawet na tyle, że musiałem natychmiast skorzystać z pomocy kaziatyńskiego proboszcza, którego czas tak serdecznie o szczędzałem. Nowa sytuacja zrodziła jednak bardzo oryginalny układ. **W Koziatyniu dowiadywałem się pełno interesujących spraw o Kijowie, a w Kijowie, dzięki przyjaciołom Księdza, uzupełniałem istotną wiedzę o Koziatyniu.** Przyznam,

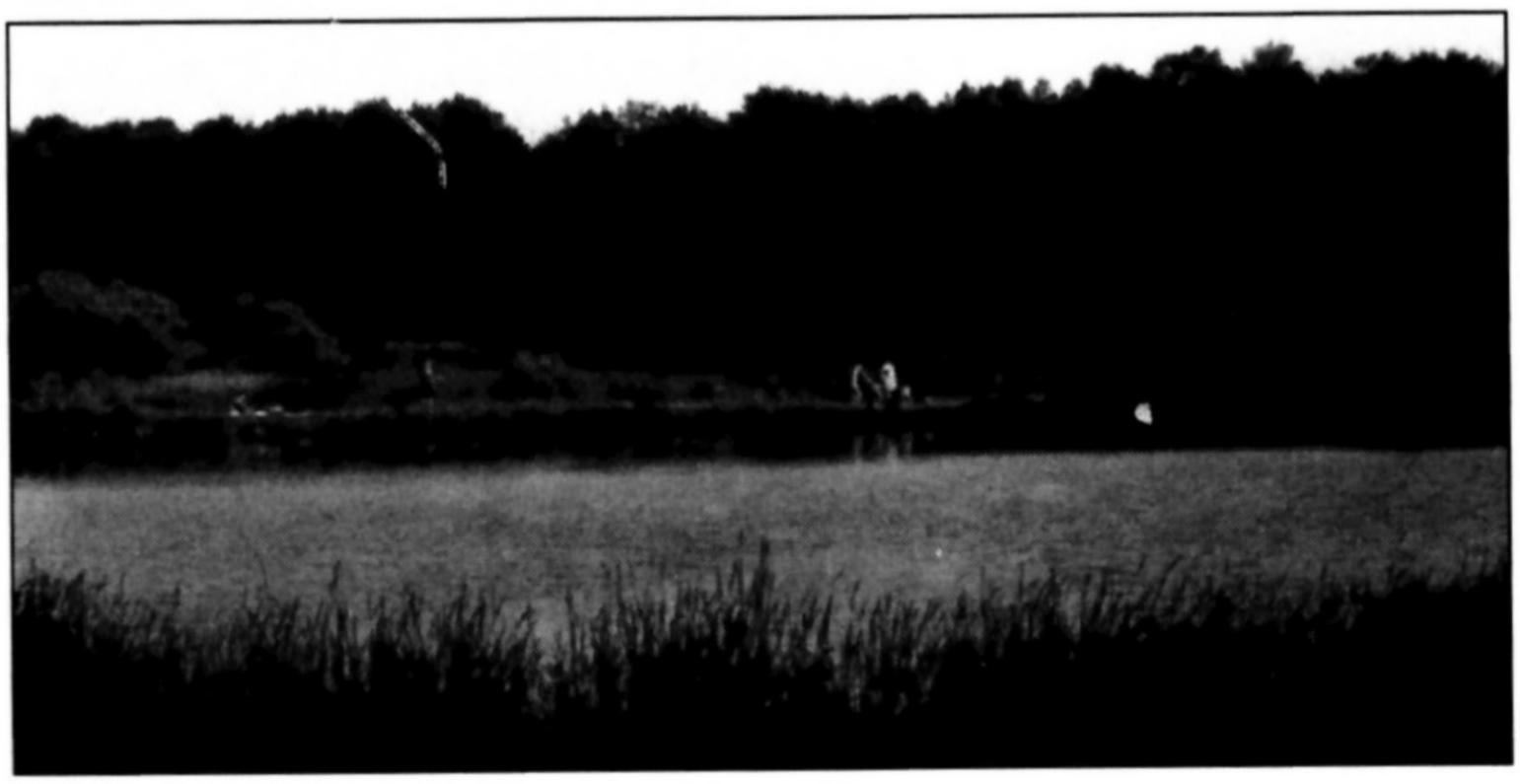

Rys. 153. Jar, gdzie stacjonowały kozackie wojska

Rys. 154. Niekończące się pociągi do Kijowa

że bardzo ciekawą. Zarówno tę dotyczącą historii (ubóstwa, głodu, zabudowy dworcowej), jak i pracy, płacy, bezrobocia, a nade wszystko szkolnictwa. Ze sprawami słynnego tu Technikum Kolejowego rażąco i beztrosko niedostosowanego obecnie do wymogów współczesnej już rzeczywistości. Nie do pogardzenia to były wiadomości.

Żal mi było tej młodzieży wplątanej w **beznadziejną raczej rzeczywistość, coraz dokuczliwiej przez nią odczuwaną.** Jedynym chyba dobrodziejstwem sytuacji było to, że Koziatyń leży niedaleko już Kijowa i tak jak mieszkańcy podwarszawskiej Warki, gros jego mieszkańców (szczególnie młodszych) może skutecznie wędrować za pracą i chlebem do stolicy. **Nawet codziennie.** Gdy siedziałem w lokalnej „elektryczce" wyglądałem prawdopodobnie na tego typu pasażera, o czym świadczy fakt, że konduktor biletu ode mnie nie zażądał. **Później dowiedziałem się, że pasażerów po siedemdziesiątce bilety kolejowe tu nie obowiązują.** W kijowskim metrze (znakomitym) pogodzić się z tym nie mogłem, wszak dużo osób biedniejszych niż ja za bilety płaciło. Automatycznie więc drobniaki w ten sposób zaoszczędzone przekazywałem ubogim, których tu nie trzeba daleko szukać. Kijów stawał się tak samo daleki, jak i bliski. I pod tym względem przypominał Warszawę.

Lato na ulicach wielkiego Kijowa

Ulice Kijowa dają ci odczuć, że jesteś w wielkiej aglomeracji miejskiej. **Czujesz się anonimowy, zagubiony, przytłoczony pędzącym tłumem do nieznanych ci miejsc.** Od razu patrzysz na ten tłum jak wielką, ciemną masę, która nie daje spokoju i szans na jakąkolwiek rozmowę. Nie masz śmiałości nikogo zaczepiać i o nic pytać. Nawet o adres, bo po dwóch czy trzech próbach jesteś pewien, że usłyszysz to normalne: nie znaju. **A przecież musisz pytać.** Niezależnie skąd się tu wziąłeś i po co przyjechałeś. Jeśli jeszcze masz wiele na głowie, zamiarów co nie miara, a możliwości i pieniędzy tyle, co kot napłakał, to zmuszony jesteś poszukiwać pomocy i zrozumienia u przeciętnych ludzi (bogatych lepiej nie zaczepiaj), z których każdy może ci oddać nieocenioną przysługę. Ale to nie od niego, lecz od ciebie zależy. **Musisz więc nie nad Kijowem, lecz nad sobą podumać i to tu na kijowskiej ulicy, rozległej i zagęszczonej.** Takiej jak Karola Marksa w centrum miasta, gdzie miałem okazję się zatrzymać i zamieszkać.

Choć nie traktowałem Kijowa jako celu swojej podróży, wszak był ponad moimi kłopotami, to nie jechałem tu dla podziwu jego pięknej architektury i wspaniałych ludzi (których po części gdzieś tam już

Rys. 155. Mrowisko na kijowskim dworcu

poznałem), lecz dla potwierdzenia tezy, że bandytyzm na Wołyniu był wyjątkowym zwyrodnieniem na Ukrainie i nie może obciążać wszystkiego i wszystkich, w tym także tych przeciętnych Kijowian nie mających nic wspólnego z tragedią naszych kresowych dziejów. **Każdy dzień pobytu w Kijowie o tym mnie przekonywał.** Odzywały się zalecenia Durheima, aby wszelkie zjawiska społeczne traktować jak rzeczy, sucho, beznamiętnie, bez uprzedzeń i z góry powziętych założeń. Przyjąłem więc postawę socjologicznego „włóczykija" i łaziłem na luzie po różnych zakamarkach w przekonaniu, że do miejsc tak ważnych, które sobie wyznaczyłem i tak w końcu dotrę.

Był wówczas środek gorącego lata i chyba tylko dlatego atrakcyjna stolica Ukrainy stawała się dla mnie z każdą chwilą coraz bardziej męcząca, zarazem nawołująca ciągle do rozsądku. Choć moje włóczęgostwo było zupełnie przyjemne (chyba pierwszy raz w życiu miałem czas dla siebie), to jednak gromadzone fakty same przemawiały za jakimś sensem tego łazikostwa i dopominały się najprostszych uogólnień. **Zacząłem postrzegać, że ludzie tu uprzejmi, mili i skromni, mimo że niekiedy mocno zapracowani.** Pracowali przecież i za tych, którzy korzystali z urlopów i dobrodziejstw lata. Tym tłumaczyłem fakt, że ich ogólne przygnębienie i codzienne troski nie nastrajają do podejmowania dłuższych rozmów z przybyszami, takimi jak ja.

Ale to nie wszystkich dotyczyło. Widziało się i wiele bratnich dusz nie ponaglanych czasem, rozsiadłych i przed słońcem osłoniętych cieniem lub tych, co mieli odwagę jeszcze na słońcu się prażyć. Przy wyjściu z metra widać było wielu takich, co podążają na plaże ciągnące się wzdłuż szerokiego i głębokiego Dniepru, powycinane z okalających lasów, zagajników i zarośli. **Z tymi ludźmi o dłuższe rozmowy było rzecz jasna znacznie łatwiej.**

Rys. 156. Lampiony dworcowe

Jednak i w tym wypadku nurtujące mnie sprawy nie znajdywały nadmiaru zainteresowania. Tym bardziej, że bliskie mi problemy były Kijowianom najczęściej niezrozumiałe, a jeszcze częściej nieznane. **Wyczuwało się, że mieli nadmiar własnych spraw i kłopotów, które chętnie pozostawiliby w wodach swojej rzeki.** Dniepr przyjmować ich nie chciał. Przeciwnie straszył różnymi mieliznami i dołami, błotnistym podłożem, a przede wszystkim brudnymi ostojami wód chroniącymi dostępu do jego rozległego i czystego nurtu. Na domiar złego słońce tak dokuczliwie piekło, że to, co gdzie indziej

mogło być przyjemnością, tu stawało się udręką. Chyba tylko gryzonie zadomowione na leśnych brzegach czuły się znakomicie. **Ale rzeka ciągnęła jak magnes.**

Gdy nad nią stanąłem, odczułem, że niesie porcję olbrzymiego obiektywizmu. Inaczej odczuwasz tu czas, piękno (nawet szczurów czekających na okruchy), spokój, szczęście. Gubisz wszystkie najbardziej nawet zawiłe definicje wyuczonej socjologii. **Woda nadpływa i odpływa. Wszystko jest w ruchu i przemija.** Rozumiesz, że ta woda nie wraca, jak wszyscy umarli, którzy odeszli w nieskończoność i już ich nie spotykasz ani nie odnajdziesz. Co najwyżej słyszysz ich głosami w sobie i widzisz oczami swojej duszy. **Ale obrazy te płyną jak i cała rzeka.** W nieskończoność. Zwracasz się wreszcie do nich i wołasz: kochani moi, zobaczcie, ja za wami podążam i jestem wam coraz bliższy. Przecież umieram. To strasznie boli. Wasze cierpienia się skończyły. Pozwólcie mi od nich zdystansować się na tyle, bym mógł zaświadczyć jako obiektywny świadek. Świadek, na którego już czas**. Póki żywa pamięć niech potwierdzi w tej stolicy jeszcze to, czego wy nie zdążyliście wyartykułować.**

Do takich refleksji nastraja cię potężny Dniepr. Więc czuję swoją nicość i wstydzę się swoich słabości. Taka bezradność mnie otacza, gdy myślę o Was wszystkich, którzy tyle przed śmiercią cierpieliście. O Was wszystkich moich rodach, bez wyjątku! Bo wiem i rozumiem to, że poddano Was okrutnym torturom psychicznym i fizycznym, które zakończyła śmierć. **Może znajdę i w Kijowie ślady tego. Niech będą uczczone wspomnieniem i modlitwą.** Taką samą, jak o najbliższych, których już nie ma wśród nas, a za którymi tak tęsknię. Rzeko kochana, przenieś to do nich. Masz tyle odwiecznej siły – dumałem nad brzegami rwącego Dniepru.

Potrzebne mi było to uspokojenie płynące od wielkiej rzeki tu odnalezionej. Przejęła na siebie kłopoty męczących i zakurzonych ulic. Zacząłem je postrzegać na nowo. Odmienione, doprowadziły mnie aż do stadionu Dynamo miejsca, które zagnieździło się w moich dawnych marzeniach. **Czytałem kiedyś o jego bohaterach: ukraińskich chłopcach, którym zgotowano mecz śmierci.** Najpierw Luftwaffe zmusiło ich do rozegrania tego nieszczęsnego meczu, a gdy Kijowianie wygrali, wszystkich natychmiast bezlitośnie zamordowano. Patrzyłem na ten pomnik, wreszcie przeze mnie odnaleziony. Jakże głęboko identyfikowałem się ze słowami: **pamjatnyk futbalistam kyjowśkoho Dynamo – uczasnykam matczu smerti.** To te właśnie słowa bulwersowały moją duszę i nie pozwalały odzyskać spokoju, w który uzbrajał mnie Dniepr. Więc nadal na ulice Kijowa nie mogłem patrzeć spokojnie. Denerwowała mnie ta obojętność ludzi przechodzących tak, jakby nic się tu nigdy nie działo i nie stało.

Rys. 157. Fragment kijowskiego Dniepru

Ten ich konserwatyzm i przyzwyczajenie, jakie raziło mnie kiedyś w Warszawie, wśród zgliszcz po powstaniu 1944 r. **Teraz, Dniepr wydawał się być na wszystko obojętny, jak moja ukochana Wisła.** Więc ludzie, a nie miasto i rzeka się liczą. Są największą egzotyką każdego nowego miejsca i muszę ich w Kijowie rozpoznać. Przynajmniej na tyle, by nie nabyć się nowych kompleksów płynących z nieudanego wyjazdu. Nie miałem przecież na celu opiewania zabytków i pięknych obrazów przyrody. To specjalność innych turystów. Może i tych bez serc, bez ducha, o jakich pisał rozgniewany Mickiewicz. No tak, ale jak dotrzeć do tych, co te szkielety mają!

Nauczyciel wędrownych ptaków

Jeszcze szumiało mi echo Dniepru zabierającego wszystkich w nieskończoność a na horyzoncie jawiła się postać starszego pana, który dźwigał brzemię czasu i podążał w moją stronę. Byłem z nim umówiony i wiedziałem z kim mam do czynienia. **Pan Bolesław, najzwyklejszy potomek rodu Paderewskiego.** Nie wypadało rozpytywać o rodzinne konotacje na wstępie. To miał być dla mnie deser. Dużo wiedział o Kijowie i o nielicznych Polakach tu trwających. A to dla mnie kąsek nie do pogardzenia.

– Nie ustalajmy liczby, ja nie urząd statystyczny – zaprotestował na moje napastliwe pytanie. **Ostatnio napisali, że we Lwowie jest 50.000. Nie wiem, bo mnie interesuje jakość.** Nigdzie ich nie ma tam, gdzie trzeba. Nawet w radzie narodowej. Ja rozumiem ciężką sytuację, ale coś trzeba robić, czymś się wykazać, bo tylko to po nas zostaje.

– To zupełnie nie ma polskich ścieżek?

– Znów zależy pod jakim względem. **Na pewno w całej wschodniej Ukrainie mniej uprzedzeń do Polaków i nieco spokojniejsza dla nas atmosfera.** Choć wejście na scenę jest bardo utrudnione. Ostatnio mamy wielkie przeprawy z kościołem św. Michała. Ciągle jest zajęty na jakieś imprezy, najczęściej muzyczne.

Rys. 158. Spacery nad Dnieprem

– Wolałbym o kościele jeszcze nie mówić. To nader ważny i obszerny temat, a dla mnie trudny z uwagi na księży, których nie zawsze do naszych przyjaciół zaliczyć mogę. Może i do tej sprawy dojdziemy, ale póki co, **kto tu dźwigał polski bagaż i co pozostawił? Może jakiś ślad, może kontynuatorów tych tragarzy?**

– A przecież pan przechodził dopiero co koło tego domu z chimerami. **To Horodeckiego dzieło.** Jak pan chce, to jeszcze możemy tam podejść. Trochę tych bulwarów nad rzeką chciałbym panu pokazać. Tym bardziej, że wiele i naszej historii z nimi się związało.

Bulwary i historie były rozwlekłe, więc do Horodeckiego dotarliśmy późno i z przerwami. Pękałem z zachwytu. **Dotarło wreszcie do mnie wizualnie, że Horodecki Władysław (1863–1930) z Szoludek na Podolu tworzył cuda w miejscowej architekturze.** Dom swój „Pod chimerami" wybudował w fantastycznym plenerze, w którym teraz (na przeciw) stoi potężny pałac prezydenta i zdjęć z niezbęd-

nej odległości nie wykonasz. A te byłyby najciekawsze, jako że i chimery rozłożone na dachu ukrywają niezgłębioną tajemniczość. Chciałem nawiązać do willi Mykoły w Łucku, ale ugryzłem się w język. Zbyt dużo podejrzeń nasunęło się na podstawie nie zweryfikowanych do końca opowieści. Bolesław z kolei chętnie częstował mnie smacznym kąskiem życiorysu samego Horedeckiego, na którym być może wzorował się Mykoła.

O Mykole i jego willi nic nie wiedział. **Zachęcał natomiast do zwiedzenia kasyna w podwarszawskim Otwocku, gdzie Horodecki osiadł na początku lat dwudziestych ubiegłego wieku na stałe.** Innych budowli chyba nie zwiedzicie – uzupełniał, bo musielibyście jechać na Kaukaz, na Krym, do Teheranu, Tulinu, zobaczyć mauzoleum Potockich w Peczarze na Podolu... **Mnie zastanawia, jak jedno życie może dokonać tylu cudów.**

Rys. 159. Przystań wodna

– A Paderewski?! – wtrąciłem nerwowo.

Pan Bolesław zaczerwienił się na twarzy. Mocno się nad czymś zadumał, a ja mogłem obserwować tę twarz i czuprynę przypominającą jako żywo twarz naszego wielkiego Rodaka. Przerwałem to jego milczenie i odkryłem swoją duszę przepełnioną sympatią do bohatera wyzwalającej się Polski. **Do mózgownicy wcisnęła się amerykańska scena sprzed lat.** Siedziałem wtedy na IX piętrze katedry Socjologii Uniwersytetu Roswelta i wsłuchiwałem się w opowieści pani prof. Heleny Znanieckiej badającej te sprawy. Ja je wtedy ograniczałem do prostego schematu. **Uważałem mianowicie, że wygraną w Wersalu zawdzięczamy Dmowskiemu (w co nadal nie wątpię), mimo paraliżowania go przez ludzi Piłsudskiego.**

– Nie doceniacie innych bohaterów. **Naszego Paderewskiego,** zaprzyjaźnionego z Prezydentem H.C. Hooverem (1874–1964) – mówiła jakby rozgniewana Znaniecka. To był kochany, na wagę złota Polak w tamtych czasach. Ojciec mój był nim zafascynowany. Śledził jego wszystkie niemal imprezy tu, w Ameryce, jak i na całym świecie.
W domu nie raz o nich opowiadaliśmy. Na przykład o tej w San Francisco w Kalifornii dla głodujących nędzarzy w Polsce. **To było w 1915 r. na wszechświatowej wystawie panamskiej.** Ludzie płacili wtedy za bilety po 30 dolarów, by usłyszeć i zobaczyć tego wielkiego kwestarza Polski. Umiejącego przecudownie trafiać do serc. Udowodnił to w I części koncertu, kiedy omówił tak zasługi cywilizacyjne Polski, jak i jej nieszczęścia, głód i rozpacz wywołaną ogromem wojennych nieszczęść. **Zasiadł potem do fortepia-**

Rys. 160. Z potomkiem rodu Paderewskiego

nu, ale nikt muzyki nie słuchał. Muzyka panowała w tle, gdzieś w zaświatach, a tu był szloch i łzy. Kobiet, dzieci, mężczyzn, bo polonezy Chopina były wtedy nie do zniesienia. **Pamiętam jak paraliżowały nasze serca i umysły. A on tylko przywracał nimi duszę narodu,** burzliwą jak wulkan, ale i smutną, jak rozpacz matki nad grobem swojego dziecka. Wie pan? nikt mu chyba w historii nie dorównał. Może częściowo Kiepura...

– Dlaczego? – przerwałem wtedy zdziwiony...

– W 1942 r. byłam z tatą na koncercie Kiepury w Nowym Yorku. Takie sobie popołudnie w sobotę, jakich wiele. **Kiepura na koncert się spóźnił. W Ameryce to jest niedopuszczalne. Przecież tu obowiązuje przysłowiowe „Time is money".** Ale na niego wszyscy uparcie czekali, choć po piętnastu minutach zaczęli już tupać, gwizdać i straszliwie potem łomotać. Po dwóch godzinach, gdy myśleliśmy, że już koncertu nie będzie, Kiepura się na scenie zjawił. **Gdy wszedł, miał na sobie prawdziwy mundur żołnierza polskiego pokrwawiony, bo zdobyty na froncie.** To był mundur sfatygowany, postrzępiony, wyraźnie zakrwawiony z zawiniętym do połowy rękawem na lewej ręce. Oniemieliśmy! A on krzyknął po amerykańsku jak grom z wysokiego nieba: – **Tak się denerwujecie, bo czekacie dwie godziny! A mój kraj czeka dwa lata!** Wie pan, myśmy mieli w kraju rodzinę, i bardzo przeżywaliśmy okupację. Bardziej niż wy! Bo jak ktoś z was żył i nie cierpiał, to mogliście spokojnie spać, a my nigdy spokojnego snu nie zaznaliśmy. Ach ta nostalgiczna wtedy tęsknota za uspokojeniem ducha, tu, za życia w Polonii, umierającego!... – kończyła pani profesor swoje polskie wspomnienia.

Rys. 161. Fragment willi Horodeckiego

Przekazałem je chyba w pełni Panu Bolesławowi. Nie był przerażony moimi opowieściami. **Doskonale wyczuł ich sens i zachował się jak wytrawny nauczyciel.** Podumał przez chwilę i przypomniał sobie, że o Kijowie i Paderewskim wie więcej ode mnie i zaczął mi tę wiedzę serwować. **Poczułem się jak uczeń mający do dyspozycji świetnego nauczyciela.** A wiem, jakie to są trudne kwalifikacje. Zdobywane ciężką pracą i latami. **Zapewne taką, jakiej pan Bolesław nie żałował opiekując się wszelakimi wędrownymi ptakami przyjeżdżającymi z Polski.** Dodajmy szukającymi tu schronienia, niczym wśród ciernistych krzewów.

Na zakończenie stwierdził, że w Warszawie, na Pradze ma jeszcze rodzinę i dobrze byłoby, abym się z nią skontaktował. – Odkryli by panu oczy na wiele spraw. Ponieważ wiele rzeczy wojna ukryła przed Polakami – dodał, odkrywać musimy co się tylko da. Dla potomnych przecież już żyjemy – podkreślał. I tu nie chodzi o czyjeś zasługi (chętnie pokazywane), przeciwnie, o cierpienia i ostrzeżenia, nadzieje na lepszy świat od tego, w którym tak łatwo narzucano nam kajdany. Na ducha, jak w III części Dziadów!

Trwoga dyplomowanego grajka

Staszek dobrze znał pana Bolesława. Urodził się i mieszkał w Kijowie, na dalekich jego przedmieściach. **Polonia jest tu nieliczna, a ta z wielkich rodzin całkowicie wymierająca.** Stasio o tym wiedział, bo ojciec jego nie ukrywał związków krwi z Kościuszką. Wierzyć mi się nie chciało, gdy pokazywał kolejne na to dowody. Ale i wstyd mnie ogarniał, że jestem aż takim wobec młodzieńca niedowiarkiem. Zaprzestałem podejrzliwości i skupiłem się na jego muzycznych osiągnięciach. Miał ich wiele. W wyniku tego odrzuciłem nieufność i w spokoju ducha przeglądałem je kolejno. Wyciągał świadectwa, dyplomy ze szkoły muzycznej, podziękowania za różnego rodzaju koncerty, wyrazy wdzięczności, wyrazy uznania i wyróżnienia z zagranicy, w tym co sobie najbardziej cenił, pochodzące z Polski.

Był to chłopiec szczupły i wysoki. Przez porównanie do znanego mi studenta trochę się martwiłem, że może nie mieć zdrowia, ale na ten temat rozmowa się urwała i już do niej nie wracałem. Tym bardziej, że był silny i energiczny, co znajdowało wyraz w wędrówkach po Kijowie. Dodam, dla mnie często nie do wytrzymania, właśnie z powodu narzucanego tempa. Wynikało to jednak

Rys. 162. Tajemniczość willi rejestrują wszystkie ściany

Rys. 163. Boczna ściana willi

z troski o liczne cele wędrówek, które ja z kolei narzucałem. Z drugiej strony tkwiły w nim zwykłe młodzieńcze nawyki, absorbujące nadmiar mojej energii, o czym nie bardzo wiedział. Przymykałem na to wszystko oczy, wszak zaplanowanych obiektów miałem zawsze wiele i to zmuszało do przyśpieszania kroku. **Poza tym, wszystko to jeszcze narastało w czasie podróży wskutek inicjatyw tak jego, jak i pana Bolesława.** Obaj pragnęli mnie zapoznać z jak najciekawszymi atrakcjami Kijowa jakby w obawie, że coś może się wydarzyć i zniknie szansa poznania bardzo ważnych spraw.

Nie brakowało też i bardziej długofalowych planów. **Chodziło o ewentualne studia w Polsce, o których Staszek szalenie marzył. Myślał przede wszystkim o muzykologii.** Miał wakacje i w przeciwieństwie do Bolesława nie musiał pracować na działce. Cieszył się, że ma dobrego ojca. Targał mnie więc ochoczo, czasem jakby za uszy do wielu nawet nie planowanych zakątków Kijowa i ciągle odkrywał jakieś ich uroki. Przyjeżdżał na spotkania punktualnie i czekał w metrze, przy schodach z troską, abym się w tej gęstwinie kijowskiego mrowiska nie zagubił.

Sam je doskonale znał i miał nawet nawiązane liczne kontakty z ludźmi tu spotykanymi. Tak było w wypadku jakiegoś grajka, małolata, którego uważał za wybitnego przedstawiciela muzycznej sztuki. Grajek tworzył codzienny folklor tego fragmentu Kijowa. Stawał pod wysoką kamienicą na Chreszczatyku i wygrywał na skrzypcach bardzo melodyjne utwory różnych kompozytorów, nagradzane oklaskami, przez co bardziej znających się na muzyce przechodniów. Czasem do futerału wpadały mu jakieś kopiejeczki, wyraźnie nie stanowiące ekwiwalentu niecodziennych zdolności połączonych ze starannością i pięknem wykonania muzyki klasycznej.

Przechodziłem spokojnie koło niego nie raz, nadsłuchując uważnie sympatycznych interpretacji. **Postanowiłem też utrwalić ten fragment folkloru, bo na stałe wcinał mi się głęboko do pamięci. Gdy zatrzymałem się przy nim nieco dłużej w obecności Staszka, otrzymałem od niego prawdziwą reprymendę.** – Ach Boże, jakiż to był błąd z waszej strony – przekonywał natychmiast. Mogliście go zawstydzić i spłoszyć. **Jeżeli was zauważył, to będzie trudno odwrócić sytuację, ale może się uda – komentował Staszek kategorycznie i dla mnie niezrozumiale. Przecież to bardzo ambitne i utalentowane dziecko. Wiem, że przykro mu żebrać na ulicy kopiejki. Widzicie jakie tu prostaki żebrzą, a i przestępców niemało.**

Nie mówiąc o naciągaczach. On się w tym wszystkim nie mieści – zaczął mi już robić wyrzuty sumienia Staszek.

Rys. 164 i 165. W metrze na schodach

– Starałem się fotografować z ukrycia, oddając cały uliczny folklor wielkiego miasta...tłumaczyłem.

– Ach, co opowiadacie, on ma lepszy wzrok niż wy – wytrwale przeciwstawiał się Staszek. Ja to uczucie znam, bo sytuacja zmusza mnie do czegoś podobnego, tzn do podejmowania jego roli. Ale wtedy myślę sobie Boże, jakby mnie zobaczył mój profesor, chyba by się rozpłakał nade mną albo mnie uderzył. Wiecie silny jestem i biłem się nie raz, ale na pewno bym mu nie oddał. **Żebractwo to już jest najgorsze chyba zajęcie, szczególnie dla młodzieńca.** Co innego, jak ktoś jest stary, niedołężny lub chory. U nas takich pełno i ostatniej szansy na kromkę chleba nie można nikomu odbierać. Więc ja nawet myśli nie dopuszczam, abym się w ich kręgach znalazł – kończył Staszek z ukrytą pogardą do całego świata, że obfituje w takie problemy dla młodych ludzi.

Odczytywałem, że równocześnie stawiał mnie po negatywnej stronie tego świata i cząstkę tej pogardy dla mnie teraz ma. Dużo mnie kosztowało odkręcenie u niego tej opinii. Przeszliśmy kilkadziesiąt metrów i stanęli przy fontannach na Chreszczatku, gdzie było pełno ludzi słuchających muzycznych popisów na

Rys. 166. Staszek i p. Bolesław trzymają wolne miejsce dla autora

rosyjskim bajanie. Widocznie obaj odpoczęliśmy, bo Staszek sam mi zaproponował: o, tu możecie zrobić zdjęcie. **Na Chreszczatyk ludzie często tylko po to przychodzą.** Jak wrzucicie do pudełka parę groszy to i przy tym grajku możecie stać. **Trwoga to nie jego dzieło.** Patrzcie jak pogodzony jest ze swoim fachem. **Ja taki na luzie bym nie był.** Za dużo we mnie ambicji i trwogi na zapas.

Nie rozumiałem tej trwogi i poczułem się czymś zawstydzony. Staszek to wyczuł. Zanim rozszyfrowałem należycie sytuację, przylepił się do jakichś młodych ludzi i nie zdradzał z nimi najmniejszych przejawów znajomości. Stworzył nieoczekiwaną dla mnie pułapkę. **Po chwili zorientowałem się, że to para jego dobrych przyjaciół. Już poprzedniego dnia sygnalizował nawet, że „Madziar" (ksywka tego kolegi) chętnie powłóczy się ze mną po ciekawszych zabytkach Kijowa.** Dla odprężenia zanucił piosenkę cóż to się znalazło w kołaczu (ukr. „korowaj") starosty weselnego: Oj, znaju bo ja znaju, /szczo je w tym korowaju. /Z semy młynyw muka, /z troch dunajów woda. /Jajcia z Kremiajcia, /a syr, masło z Buczacza, /nasz korowaj czacza!

W tym momencie Staszek zauważył, że już się odprężyłem i stanął z przybyszami naprzeciw, czekając aż spokojnie wykonam pamiątkowe zdjęcie.

Rys. 167. Czystość i kultura kijowskiej ulicy

Zabytki przez świat szanowane

Para młodych ludzi przedstawiona mi przez Staszka to rodzeństwo pochodzenia węgierskiego. Stąd i ksywka „Madziary" przez Staszka wprowadzona, przyjaźnie nas do siebie nastawiająca. Mieliśmy bowiem naprawdę wiele dla siebie życzliwości i wspólnych tematów. Górowała nad nimi chęć nie zatracenia ważności poznania tego, co w Kijowie najważniejsze, najciekawsze. **A wszystko tu może zachwycać i warte jest zwiedzania.** W pierwszym rzędzie udaliśmy się z Madziarami do **Peczerskiej Ławry,** uważanej za duchową kolebkę Rusi. Należy do niej ponad 80 budynków rozmieszczonych na 27 ha gruntu. Nawet bez przewodnika można tu spędzić niezwykle ciekawe chwile i przeżyć wzniosłe uczucia.

Mury klasztoru już z daleka błyszczą tajemniczymi kopułami pokrytymi złotem i przyciągają uwagę podróżnych ze wszystkich stron świata, tym bardziej, że ulokowane są na wysokim brzegu Dniepru,

w krainie jarów i różnorakich wzgórz. **Zewsząd czuje się, że Kijów to wielka metropolia.** Dodajmy, wyraźnie doinwestowana w porównaniu do reszty kraju i tętniąca życiem. UNESCO wpisało tu na swoją listę światowego dziedzictwa kulturowego wiele zabytków, w tym właśnie dzieła architektury prawosławia i pomniki wielkiej historii. **To symbole bogatego tu życia kulturalnego i intelektualnego.** Powiązane ze wspaniałymi parkami, ogrodami, teatrami i muzeami zachęcającymi do poznawania miasta i jego dziejów. Wśród tego wszystkiego odnaleźć można liczne polonika, których przeciętny Polonus nie docenia, zaabsorbowany pięknem i urokiem tych ponadczasowych zakątków, pieczołowicie ostatnio restaurowanych.

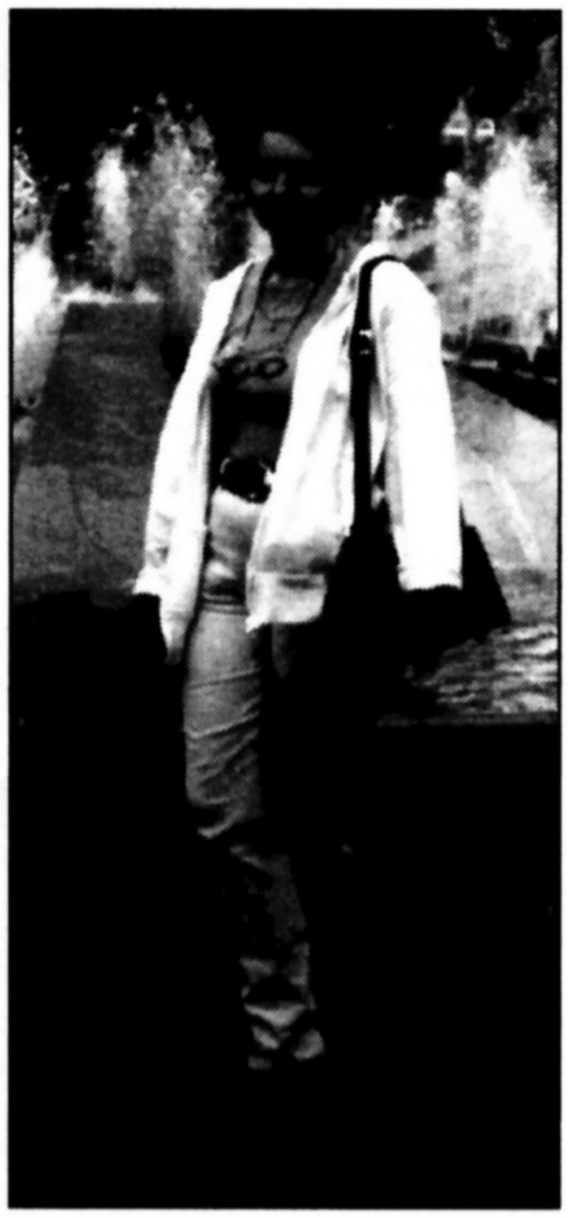

Rys. 168. Kijowianka studiująca w Polsce

Chlubą np. jest plac tzw. **Majdan Nezależnosti przepięknie z okazji 10-lecia niepodległości Ukrainy odnowiony i przebudowany.** Dekoruje całą prawobrzeżną część miasta pełną najważniejszych obiektów i niemal nie wypuszcza przybysza do innych dzielnic i kwartałów, których wiele. Dzielnica zwaną Darnicą, rozciągająca się na lewym brzegu Dniepru trochę przy nim blednie i nie jest już tak atrakcyjna. W pełni jednak warta zwiedzania, tym bardziej, że dzięki stacjom metra bez trudu jest dostępna, mniej hałaśliwa, jakby intymna.

Rys. 169. „Madziary" ze Staszkiem (po lewej stronie)

Kierując się planem wyodrębnić można trzy części metropolii, wykorzystując stacyjki metra. Śródmieście, położone nad stacyjkami: Chreszczatyk, Majdan Nezależnosti, Zołoti Worota i Teatralna. Druga część to Padół, nad stacjami Posztowa Płoszcza i Kontraktowa Płoszcza oraz Peczersk ciągnący się wzdłuż linii trolejbusowej nr 20. Staś zachęcał, aby z uwagi na napisy rosyjskojęzyczne kupić plan w tej wersji, zawierający schematy dla wszystkich rodzajów komunikacji. To świetna rada ułatwiająca doskonałą orientację w całej metropolii. Dzięki niej całe miasto jawiło mi się bez trudu rozpoznawalne i dostępne nawet na tyle, że szkoda z niego potem wyjeżdżać wiedząc, jak wiele ważnych rzeczy pozostało do zwiedzania.

Przy pomocy Madziarów korzystałem oczywiście z tych uroków stolicy, ale byłoby dziwnym, abym próbował te uroki prezentować. **Zasługują na lepszych prezenterów, ukierunkowanych zresztą tak jak i ja, na konkretne potrzeby.** Poznawanie dla poznawania, wszystkiego i wszystkich nie ma żadnego sensu z uwagi na nadmiar tego wszystkiego. Nawet rodowici mieszkańcy nie mają aż takich wielkich aspiracji i najczęściej dość ważnych ulic nie potrafią tu lokalizować. Nie można o to mieć do nich pretensji. Raczej do siebie, że robi się im kłopoty tym bardziej, że są życzliwi dla przybyszów i zadają sobie niekiedy duży trud, aby mu dobrej informacji udzielić.

Szczęśliwie nie miałem żadnych kłopotów z rozpoznawaniem miasta i jego spraw. W pierwszej chwili dzięki zapoznanej studentce zaprotegowanej przez księdza Józefa, która nie szczędziła trudu w znalezieniu mi dobrego lokalu w samym centrum miasta, a gdy wyjechała, mogłem liczyć na Pana Bolesława, Staszka i zaprzyjaźnionych z nim Madziarów. **Łańcuch znajomych błyskawicznie się zresztą rozszerzał na inne**

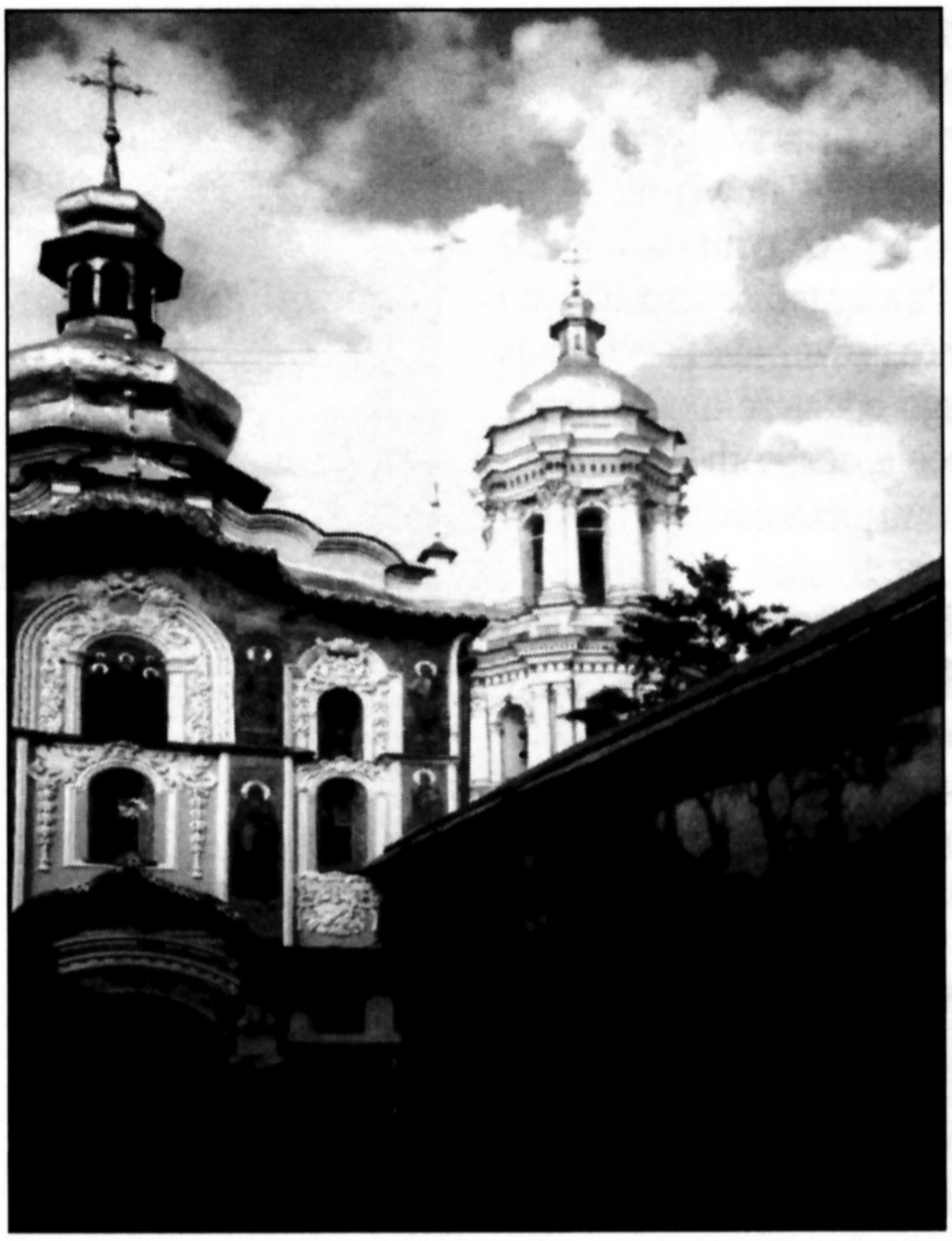

Rys. 170. Ławra Pieczerska

się podobać i to na tyle, że popełnić można jakiś błąd w dociekaniu szczegółów. Mój błąd polegał na tym, że zapragnąłem wiedzieć coś więcej i odezwałem się po angielsku. **Tego robić tutaj nie należy.**

Obsługa nakłoniła mnie do zwiedzania świątyni w zorganizowanej grupie z przewodnikiem, a to narzuciło inne problemy i tempo „wszystkoizmu", którego nie wytrzymuję nerwowo. Nawet bym nie przypuszczał, że troskliwa obsługa jest tak sugestywna i życzliwa, że może mi w efekcie przynieść więcej szkód niż korzyści. **Ogromnie żałowałem, że poddałem się jej radom.** Następne zabytki zwiedzałem już na własną rękę, bez wycieczek, z informatorami i materiałami łatwo tu dostępnymi i starannie przygotowanymi. Choć oczywiście nie w pełni wyczerpującymi. Za to w wielu punktach istotnie uzupełnianymi przez moich przyjaciół.

osoby. Ciekawe, że spinany był raczej polonikami, stanowiącymi poniekąd rodzaj egzotyki dla samych oprowadzających. Tak było np. w Soborze Sofijskim wzniesionym jeszcze w latach 1017–1031 i rozbudowywanym w XVII i XVIII w. **To chyba punkt odniesienia dla całej architektury cerkiewnej Rusi. Nieprzypadkowo zresztą wpisany na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO.** Tym bardziej, że jest następstwem budowli poprzednich, tj. pierwszych chrześcijańskich budowli kultowych, jakie zaistniały w czasach św. Olgi (zmarłej w 969 r.).

Sobór więc pełnił od początku funkcję głównej cerkwi miasta, był siedzibą jego biskupów i niezależnych od Moskwy metropolitów. Ma imponującą historię. Oparł się najsłynniejszym napadom chanów i trudnościom związanym z wprowadzaniem unii z Rzymem. **Dopiero na początku lat 90. XX w. świątynia została zamknięta w wyniku zakłamań i pomówień politycznych i po ponownym otwarciu troskliwie udostępniona zwiedzającym.** Wszystko tu może

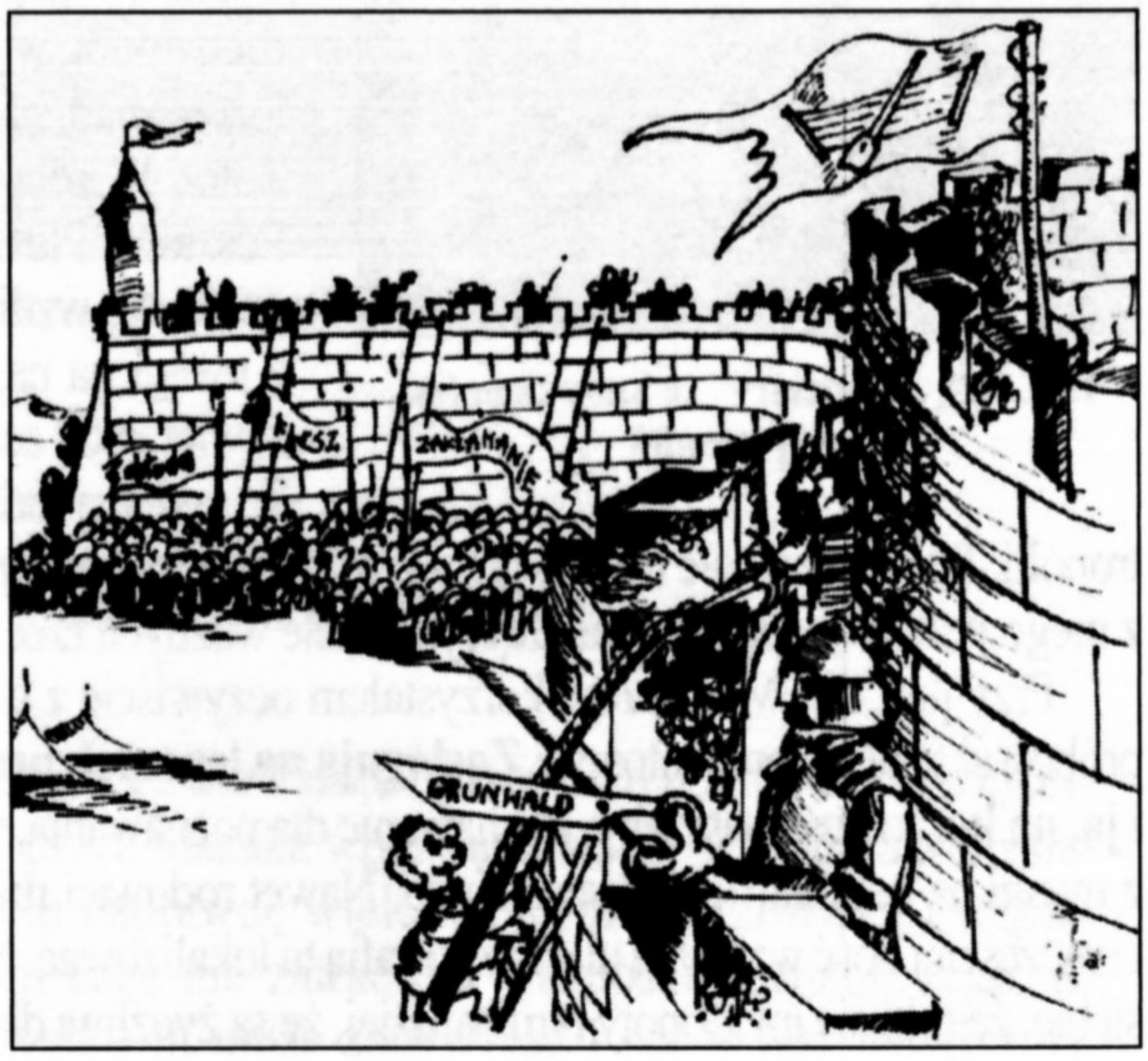

Rys. 171. Walka z podłością i zakłamaniem

Tak było w wypadku **kniazia Iwana Olszańskiego, woja Bitwy Grunwaldzkiej, której słowiańskie idee przetrwały ponad wiekami.** Do dziś służą różnym grupom zapaleńców za symbol do walki z zakła-

Rys. 171. Szlachetność i tradycja

Pod wpływem tej urody do komnaty, w której przechowywano jej zwłoki podążały nieustannie tłumy prawosławnej ludności, jako że ród Olszańskich wywodził się z prawosławia (i późno przeszedł na katolicyzm). **Jej postać wiązano z licznymi cudami i legendami.** Niestety, wśród tych pielgrzymek znalazł się i młody satanista, który podstępnie pozostał z księżną w komnacie sam na sam. Stało się to co najgorsze. **Gdy wtargnięto do komnaty, wytrzeszczał zęby trzymając w ręku kolczyki księżnej. Rozszalały, opowiadał potem bez skrupułów o swoich nieludzkich wyczynach.** Nie trzeba dodawać, że zwłoki księżnej zostały sprofanowane i zniszczone, a on zmarł śmiercią nienaturalną.

Fakt ten wywołał ostrą dyskusję wśród młodzieży mi towarzyszącej powstałą wokół pytania o kary za takie czyny. Staszek sugerował, że jedyną karą winna być w tym wypadku kara śmierci, jego przyjaciele zaś uważali, że winien to być werdykt dożywocia, niosący większe cierpienie niż śmierć. Wobec głębokiego przekonania widocznego po każdej stronie opiniodawców, nie chciałem się komukolwiek narażać i swojego zdania nie wygłosiłem. W duchu jednak przyznawałem rację Ojcu Świętemu Janowi Pawłowi II, który uważał, że śmierć jest tylko w gestii Boga, a ludzie mają i tak bezmiar środków do karania zbrodniarzy i przestępców.

maniem, fałszem, obłudą, do walki o uczciwość i prawdę. **To jest przecież największa wojna, którą przypadło nam współcześnie prowadzić.**

Cieszy więc, że Ród kniazia Olszańskiego mimo upływu lat jest nad Dnieprem wielce popularny. Przypomnijmy, że **Zofia Olszańska, była żoną króla Władysława Jagiełły. Julia Olszańska żoną księcia Witolda**. Obie panie słynęły z wielkiej urody i wdzięku zapisanego w legendach. Gdy **na podwórku Pieczerskiej Ławry wykopano pod koniec XIX w. zabalsamowane zwłoki Julii Olszańskiej,** wyglądała mimo upływu 300 lat tak, jakby zmarła przed chwilą.

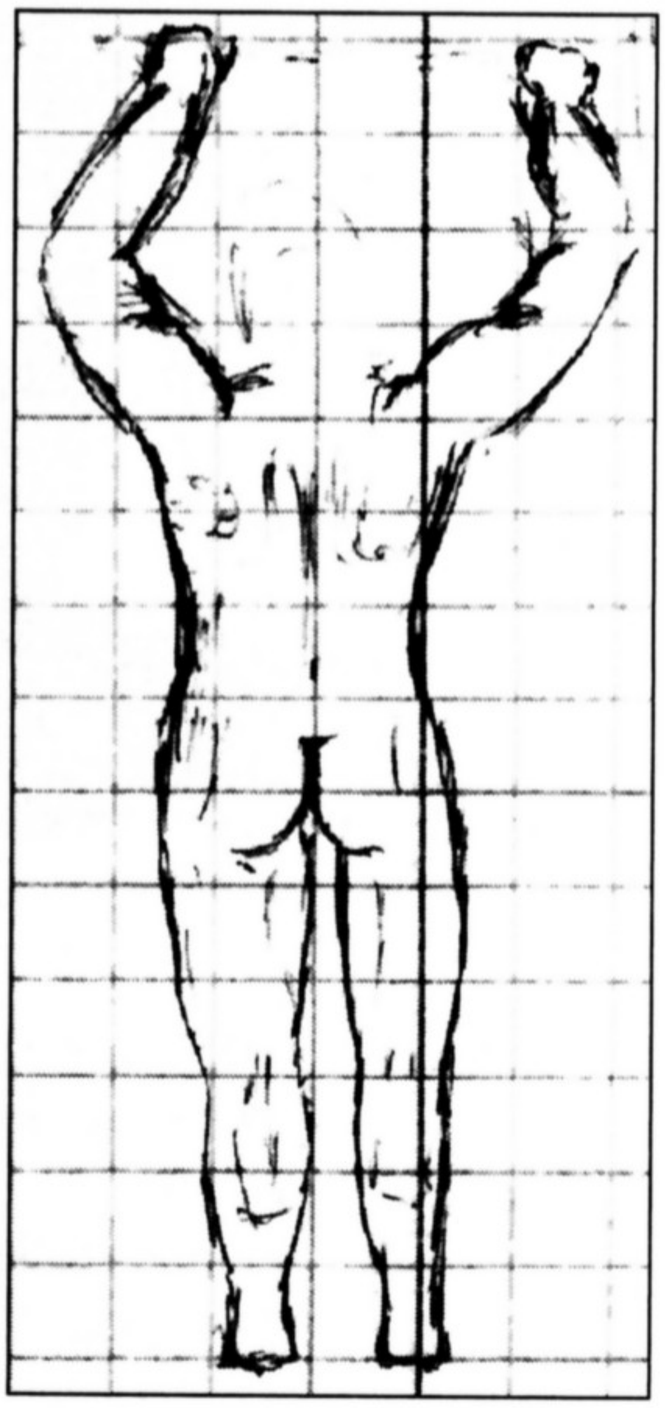

Rys. 172. Potwór w komnacie Księżnej

Śladami Ojca Świętego Jana Pawła II

Przyjazd Ojca Świętego Jana Pawła II do Kijowa to wielkie wydarzenie nie tylko dla Ukrainy, lecz i świata. Poprzedzony był zresztą tak wieloma przeobrażeniami i znakami zapytania, że nawet gdy do niego doszło, komentarzom nie było końca. Wreszcie wszędzie zajaśniały napisy: **„Ukrajina witaje Petra! Ty je Petro!”.** Choć z drugiej strony w samej Peczarskiej Ławrze grupa prawosławnych chrześcijan agresywnie protestowała przeciwko tej wizycie. A dodajmy, że nie kto inny, jak Papież Jan Paweł II interweniował u sowieckich władz, aby oddały wiernym prawosławnym tę świątynię. No cóż, pamięć jest ułomna, niechlujna i krótka. Trzeba o nią ciągle dbać. **Wizyta Ojca Świętego o tę pamięć się upomniała.**

Rys. 173 i 174. Jan Paweł II Pielgrzym Pokoju

Już na wstępie Ojciec Święty podkreślił, że nie przybył tu z zamiarami prozelityzmu i określił tę misję jako pielgrzymkę **„...do sławnych świątyń Kijowa, kolebki chrześcijańskiej kultury całego europejskiego Wschodu”.** Podkreślił przy tym, że ten Wschód wytrwał w wierności dla Chrystusa mimo całej historii cierpień, zadawanych w walce o wolność wyznawania wiary. Odzyskana wolność tym bardziej, że bez przelewu krwi, stanowiła podstawę jego życzeń, aby Państwo Ukraińskie „podążało tą drogą pokoju dzięki zgodnemu wkładowi różnych grup etnicznych, kulturalnych i religijnych!”. To podkreślenie wypowiedziane było już na lotnisku Boryspol pod Kijowem w pamiętną sobotę 23 czerwca 2001 r.

Ujrzeliśmy tam najróżniejsze grupy ludności, symbolizujące odkrywanie się Ukrainy na świat. Pod duchową opieką Papieża nie bały się i nie wstydziły napisów w swoich ojczystych językach. Na falach telewizji płynęły w świat symbole barw narodowych, napisy różnojęzyczne i te chyba najliczniejsze i najbardziej wzruszające, jakby w imieniu Orląt Lwowskich: **Ojcze Święty, dzieci ze Złoczowa kochają Cię!** Nawiedziny Ukrainy stawały się pielgrzymką miłości. Świadectwo jej dawali także Wołyniacy z Chicago skupieni wokół transparentu w biało-czerwonych barwach. Nie odosobnionych.

Podróż więc była historyczna i dotyczyła religijnych, jak i najrozmaitszych wątków o charakterze międzynarodowym, socjologicznym i społecznym. W samym Kijowie Papież wygłosił wiele wzru-

szających przemówień i odwiedził miejsca, o których do niedawna decydowała jedynie cenzura. Wymienimy dwa z nich. **Pierwsze to słynna Bykownia, zwana „małym Katyniem".** Znajduje się na lewym brzegu Dniestru, ok. 14 km od centrum Kijowa. W latach 1937–1941 wymordowano tu ok. 100–150 tys. osób, z czego ok. 7000 Polaków. Było wśród nich 9 generałów o znanych nazwiskach i wielkim autorytecie. Ze zrozumiałym wzruszeniem Ojciec Święty błogosławił czarne krzyże upamiętniające wszystkie ofiary pomordowane w tym iglastym lesie.

Wiele drzew zdołano już przekształcić w pomniki-nagrobki, do których przybito tabliczki z nazwiskami pomordowanych. Żywa wciąż kora, przeplata się ze zwojami kolczastego drutu tworzącego swoistą koronę kojarzoną z tą na głowie Chrystusa. **W tej niesamowitej scenerii Ojciec Święty wraz z watykańskim kardynałem Sodano, lwowskim kard. Jaworskim i kard. Huzarem (zwierzchnik grekokatolików ukraińskich) odmówił „Salve Regina" w intencji zmarłych męczenników. Drugim miejscem masowych zbrodni koło Kijowa, odwiedzonym przez Papieża był Babi Jar.** Stoi tu wielki, wzruszający monument, upamiętniający mord ok. 120 000 ofiar. Wymordowano je we wrześniu 1941 r. I dodajmy, że niemieckie oddziały SS zastrzeliły te ofiary w ciągu dwóch dni. Chyba to jedna z największych masowych zbrodni w historii ludzkości. Z Kijowa dojeżdża się tam tzw. marszrutką (nr 219 lub 11) oraz trolejbusami (6 i 18), wysiadając na przystanku stadionu Spartak.

Rys. 175. Wierni witają Ojca Świętego na Ukrainie

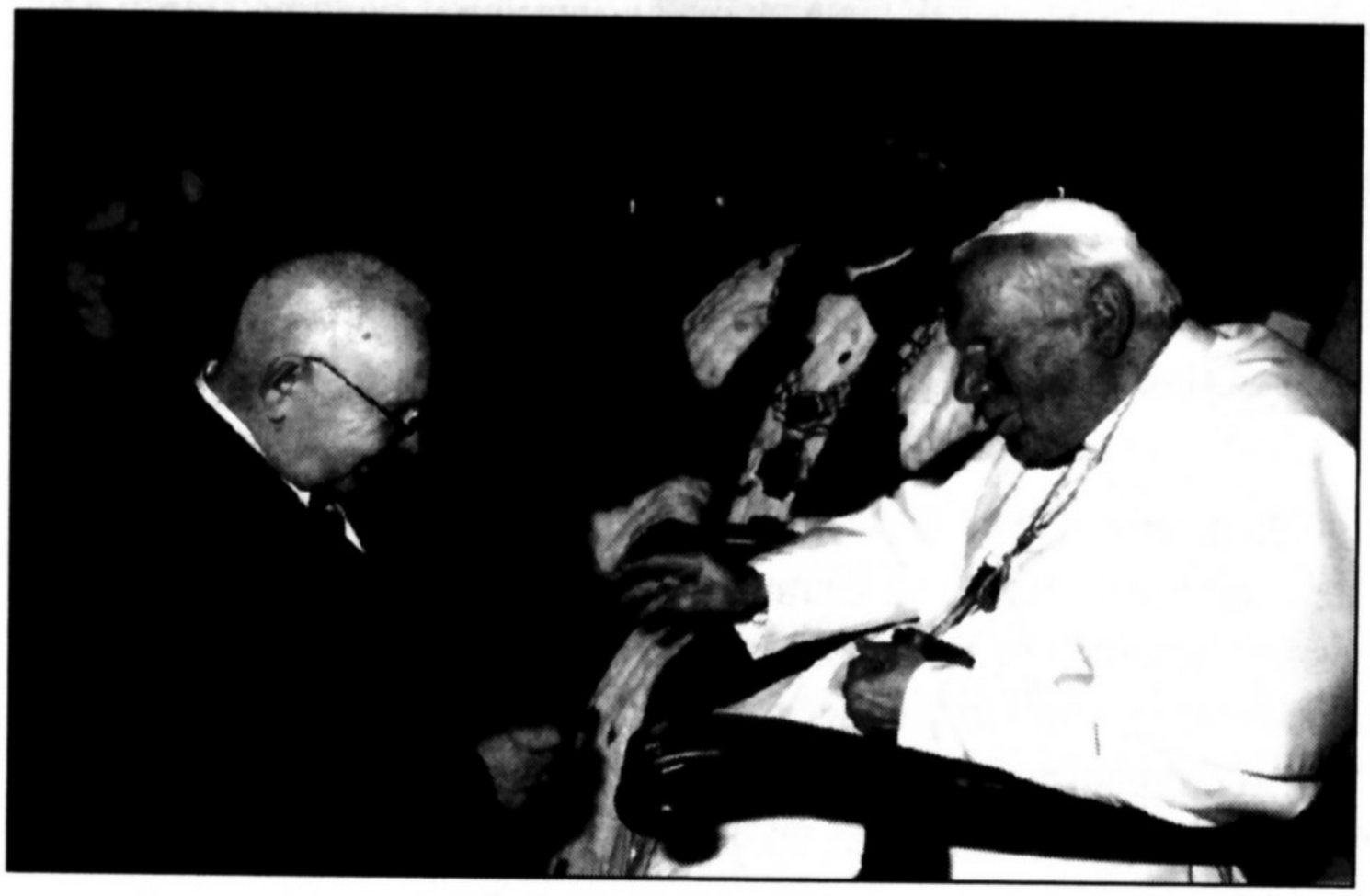

Rys. 176. Autor na audiencji u Ojca Świętego w Watykanie

Oczywiście obejście tego stadionu wymaga nieco czasu i wysiłku, bowiem droga biegnie pod górę i dla wnikających w cierpienia ofiar Ba-

biego Jaru przypomina swego rodzaju Golgotę. Ale to wielkie przeżycie i swoista lekcja historii najnowszych dziejów. Więc wędrówka do niego nie jest stratą czasu. Przechodzi się tuż za cerkiew zwaną **„Muzej Kyryliwśka Cerkwa".** Jest to przejście niezabudowanym wąwozem między trzema ulicami: Korotczenka, Melnykowa i Dorohożyćkoho. Spoczywają tu Ukraińcy, Żydzi (ok. 35 000), Polacy i inne narodowości. Umieszczono na nim dwa pomniki: Menora oraz Pomnik Ofiar Faszyzmu. Wzruszony byłem wydarzeniem, tak jak wtedy, gdy klęczałem uradowany u Papieskiego Tronu dziękując za ojcowskie błogosławieństwo. Cały Watykan jawił mi się wtedy jak przedsionek radosnego nieba.

Tę samą radość przeżywała w Kijowie nasza nieliczna Polonia ukraińska, która szczęśliwie doczekała się spotkania ze swoim Papieżem, a potem wspólnie modliła się z Nim w kościele św. Aleksandra. Nietrudno wyobrazić sobie pulsujące w tych chwilach serca naszych rodaków. Na co dzień, kościół Aleksandra jest miejscem spotkań całej wspólnoty polskiej już choćby z uwagi na msze św. odprawiane w języku polskim. Wzniesiony został w stylu klasycystycznym w latach 1817–1847 wg projektu V. Berettiego. Przybywający tu wierni, spragnieni kontaktów z rodakami, zatrzymują się na modlitwie i przed kościołem na przytulnym placyku, aby po modlitwie przećwiczyć polską mowę podejmując intelektualne dysputy. **Można dzięki nim uzyskać wiele cennych informacji niezbędnych do życia, jak chleb.** Na sobie to wypróbowałem.

Dowiedziałem się np., że po lewej stronie idąc z kościoła pod górkę na Chreszczatyk ulicą Bessarabśkoji przechodzi się przez wzgórze Łypki mijając ulicę Instytuśka, której nazwa pochodzi od Instytutu dla Szlachetnie Urodzonych Panien, zaprojektowanego również przez V. Berettiego w stylu późnego klasycyzmu. Później, tj. w latach 90. XIX w. Instytut ten bardzo rozbudowano. Obecnie mieści się tu Międzynarodowe Centrum Kultury i Sztuki. **Niestety gmaszysko zasłynęło najbardziej z mordów dokonywanych tu przez NKWD w czasach stalinowskich.**

Rys. 177. Modlitwa w kościele św. Aleksandra w Kijowie

Nie miałem szczęścia do kościoła św. Mikołaja, o który w czasie pierwszej mojej wizyty toczyła się walka i praktycznie był dla mnie nie dostępny. **Następnym razem (dzięki papieskiej pielgrzymce) był co prawda otwarty, ale nadal stanowił siedzibę Domu Muzyki Organowej i Kameralnej i nie miałem ochoty sytuacji rozpoznawać.** Patrzyłem tylko, że jest to piękna budowla, prezentująca styl neogotycki z lat 1899–1909. Wybudowana pod kierownictwem naszego wspominanego już inż. W. Horodeckiego zainspirowanego słynnym wiedeńskim Votivkirche. Może właśnie w zamyśleniu nad ciągle jeszcze nieprzejrzystą sytuacją na Ukrainie, które opanowało mnie pod murami tego kościoła, zrezygnowałem z dalszego wnikania w Polonika i zabytki całego Kijowa.

Pragnąłem bliżej przeżyć spotkania z żywymi ludźmi, a szczególnie Polakami, skupiającymi się na szczęście nawet w drobnych już formach organizacyjnych. Nie jest ich wiele i łatwo je rozpoznać. Nic dziwnego, że wszyscy działacze z nimi związani byli dla mnie, tak jak Bolesław i Staszek, wprost na wagę złota.

Kłopoty naszych rodaków

Można się domyślać, jak dalece prasa polskojęzyczna w Kijowie uwikłana jest w najrozmaitsze kłopoty. Ale też podziwiać fakt, że istnieje, jako tako sobie radzi i wykazuje nawet odrobinę stabilizacji. **Przykładem jest Dziennik Kijowski wydawany jako suplement „Hołos Ukrainy".** Maszeruję więc na ul. Gogolewską 23 i niestety przerywam pracę dyżurującemu dziennikarzowi bezprzytomnie zajętemu kompletowaniem jakichś materiałów. Po chwili otrzymuję jednak najświeższe chyba spojrzenie na istniejącą tu sytuację. Chronioną przez samego Michała Archanioła umieszczonego w winiecie tej gazety.

Pozornie gazeta istnieje dzięki dotacji państwowych ze strony Ukrainy udzielanych dla mniejszości narodowych, ale w praktyce o kwocie tych dotacji nie mogę się dowiedzieć, wszak ośmieszyłaby całą idee.

DZIENNIK KIJOWSKI

Nr 21
(100)
listopad
1998
Istnieje od roku 1906

Pismo społeczne, ekonomiczne i literackie

Suplement gazety "Hołos Ukrainy"

W numerze

Migawki z koncertu

Część

Polska już od kilku lat realizuje politykę pomocy dla diaspory na Wschodzie, w tym też na Ukrainie. Polityka taka będzie utrzymywana i rozszerzana przez najbliższe lata. • 2

Trzeba było wielu lat, łez i krwi, kilku pokoleń Polaków i Ukraińców, aby na nowej Polska i

Jak narodziła się II Rzeczpospolita?

Rys. 178. Winieta Dziennika Kijowskiego

Więc drugi raz nie dopytuję. Dopytuję natomiast czy formalnie przynajmniej występowano o jakąkolwiek pomoc – zorientowawszy się w faktycznych kłopotach finansowych redakcji. Owszem, niejedno wystąpienie już było. Po ostatnim S.O.S. znów ta „kryzysowość" Ukrainy wyjaśnić ma wszystko. **Więc nie wiem, jakimi sposobami (może drobne wsparcie polskiej strony? Bo i u nas „kryzysowość"...) wydrukowano kolejny numer, tym razem już setny!**

Przewracam pobieżnie strony i czytam: „S.O.S." dla „DK" Drodzy Czytelnicy! Rodacy na Ukrainie, w Kraju i na całym świecie! Informujemy Państwa, że po wstrzymaniu we wrześniu finansowania „Dziennika Kijowskiego" nasz założyciel, za pośrednictwem którego Rada Najwyższa Ukrainy nas finansuje – Redakcja gazety „Hołos Ukrainy" obiecuje wydać koszty tylko na wypłatę pensji za jeden miesiąc. I to do końca roku. To, że nie przerwaliśmy edycji pisma zawdzięczamy wsparciu ze strony Fundacji „Pomoc Polakom na Wschodzie", która pokrywa nam część kosztów wydawniczych. Zaprzestanie finansowania ze strony ukraińskiej utrudnia wydanie kolejnych numerów".

Ale treść tej odezwy rozumiem dopiero po przeczytania dalszej lektury. Ze wzruszeniem podziwiam jej zapaleńców: Borysa Dragina, Borysa Szewczenko, Jacka Świderskiego, Eugeniusza Tuzow-Lubańskiego, Krzysztofa Pawełka i innych. Poznaję narodziny DK od podszewki. Tak jak i narodziny II Rzeczypospolitej ukazane tu piórem Redaktora A. Cb. w redakcyjnym artykule zamieszczonym na tytułowej stronie. I powtarzam za Biskupem Przemyskim: Szczęść Boże!

W piwnicy bloku przy Gogolewskiej poznaję też panią Lidię. Jest piekielnie zmęczona ciężką tu pracą. Patrzę na jej piękną twarz i pytam: a na kawę to by się Pani przypadkiem nie wybrała? Ach Boże, ja chyba w życiu już takiego komfortu nie zaznam – usłyszałem w odpowiedzi. Taki los tu spotyka działaczy polonijnych. **Ale w niedzielę po nabożeństwie w kościele św. Aleksandra, to czasem urządzamy pogaduszki.** Na placyku, przy wejściu. Jak pan będzie, to zapraszamy – wskazuje na innych pracowników

krzątających się przy pracy. Coś noszą, odbierają telefony, przechodzą do innych pomieszczeń, choć przejścia tu praktycznie nie ma. Wszędzie zawalone zwojami materiałów redakcyjnych, do ostatnich granic. W niewyobrażalnej ciasnocie zostały po korytarzach doprawdy wąskie jedynie przesmyki.

Podchodzę do „części archiwalnej" zapchanej gazetami, książkami, dokumentami i na dodatek kilkoma osobami usilnie poszukującymi jakichś materiałów.

Rys. 179. Kościół św. Alexandra

Rys. 180. Po mszy świętej

– **Witojcie** – wołam do tych ludzi zezujących ukradkiem w moją stronę.

– **A wy górol?** – zaciekawił się jakiś sympatyczny pan,

– **Tylko nie od samiućkich Tater, z warszawskiego deptaka, a nie zakopiańca** – odparłem zawstydzony, że nie widzę różnicy między tymi deptakami.

Nieoczekiwanie otworzyłem sobie furtkę do rozmów. – Godojta, co tam słychać w krainie Ojca Świętego nad Morskim Okiem – przyłączyła się do rozmowy kobieta nakładająca na wózek spakowane gazety. Jeszcze tego tu nie było – podepchnąłem jej bliżej wózek, który mi zagracał przejście. Zrozumiała, że chcę się dostać do kierowniczki i uchyliła drzwi do pomieszczenia, niby to do gabinetu. – **Do wos ktoś z Marszałkowskiej** – zameldowała krótko,

– **Kto?** – wykrzyknął zbulwersowany głos,

– **Zakopiańczyk** – usłyszałem nową informację o sobie.

I przesmyknąłem się wśród zwoju gazet i matryc chroniących kierowniczkę przed nadmiarem intruzów nie gorzej niż goryle z banku pod orłami.

Miałem już przeczytany artykuł Tuzowa-Lubańskiego z setnego numeru DK **„Siły pozaziemskie a realia kijowskie"** i poczucia humoru nie chciałem utracić.

Mało was, mało nas, do pieczenia chleba – zacząłem niby to śpiewać dziecięcą piosenkę. – Z nauczycielstwem to wy chyba na bakier... – usłyszałem w odpowiedzi. – **Młodość mnie ominęła i utknąłem od pół wieku wśród książek i studentów** – zacząłem się przywracać do skromności i powagi. Chwyciło! Nawet dużo się dowiedziałem od mojej gospodyni o tym, jak wygląda sytuacja Polaków w Kijowie

i zdołałem jeszcze nawiązać nieco ciekawych, dalszych kontaktów. Przez pomieszczenie kierowniczki przesuwało się bowiem wcale niemało osób.

Na korytarzu dorwałem też samego red. Lubańskiego i śmiało zapytałem o komentarz do jego artykułu, w którym **marzył o swoim Dzienniku mniej poważnym, za to bardziej ludzkim i normalnym.**

„Tak sobie myślę czasami, jak żyć nadal w warunkach kryzysu. To, że taki stan rzeczy, jaki mamy obecnie jest nienormalny, nie muszę tłumaczyć. Wtedy powstaje pytanie – jak żyć w nienormalnym systemie normalnie i do tego jeszcze wydawać normalną gazetę polską na Ukrainie. I żadne normalne rozwiązanie nie przychodzi mi do głowy. Z tego wynika, że też jestem nienormalny. Choć zaczynając pisać ten felieton uważałem siebie za normalnego".

Rys. 181. Pani Lidia

Usiłuję w rozmowie podtrzymać tę myśl i daję redaktorowi do zrozumienia, że jest mi bliska, przekonująca. **Ukazuje w pełni znane mi warunki przejściowe (ciągle przejściowe) tak na Ukrainie, jak i w naszym kraju.** Nie bardzo mnie rozumiał. Uważał, że w tej materii niezbędne są konkrety, bo ogólnikami łatwo rozgrzeszyć wylanie dziecka z kąpielą. Czekały mnie więc dłuższe rozmowy o konkretach, które zaczęły jawić się na spotkaniach z działaczami polonijnymi umawianymi indywidualnie. Najbliższą okazję stworzyła niedziela na placu przykościelnym. To faktycznie wymarzone miejsce do spotkań naszych rodaków. Nawet i wędrownych ptaków.

Kijów to mały punkt na mapie

Bliski wszakże sercu Ukraińców rozsianych, jak Polacy po całym świecie. Jednego z nich poznałem w Ameryce i nie ukrywał, że bardzo się zaprzyjaźniliśmy. W przypływie wzruszeń wskazywał palcem po mapie i krzyczał: o tu jest Kijów, a raczej moje serce! W nim utkwiło całe życie Ukrainy i moje nadzieje. Boże, jak ja ten Kijów znam i kocham. I im dalej od niego jestem, tym częściej wędruję po jego zakamarkach. Widzę je w jakimś wielkim blasku, choć to w środku nocy i zaledwie głęboki najczęściej sen. **W domu mam plan tych zakamarków tworzących mój Kijów, ten wielki, ciągnący się aż do mojego domu, tu w Chicago.** W sąsiedztwie domu Franka Walusa, którego znacie. Jak chcecie wiedzieć, to myśmy tu dali przykład zgodnego współżycia Polaków i Ukraińców. Szkoda, że to przykład nie upowszechniony. Spopularyzujcie tę postać. Przetłumaczcie jego książkę. To człowiek, który dużo przeżył i ma naprawdę wiele do powiedzenia.

Chyba pod wpływem Nezovego jąłem się tłumaczenia tej książki i opublikowałem ją z największym trudem[54] w nie wielkim zresztą nakładzie. Ani on, ani Walus jej bohater, nie zdołali zapewnić nawet i tego skromnego kolportażu i praktycznie książka nie została zauważona przez opinię publiczną. Długo nad tym ubolewałem i nie byłem skory do podtrzymywania kontaktów w tej sprawie, które w warunkach głębokiego komunizmu okazały się stać na pozycji straconej. **Teraz cały bagaż, wór tych**

---

[54] Frank Walus, A Frame-up Victim of the Nazi-Hunter. (polski tytuł: Ta wojna wciąż trwa).

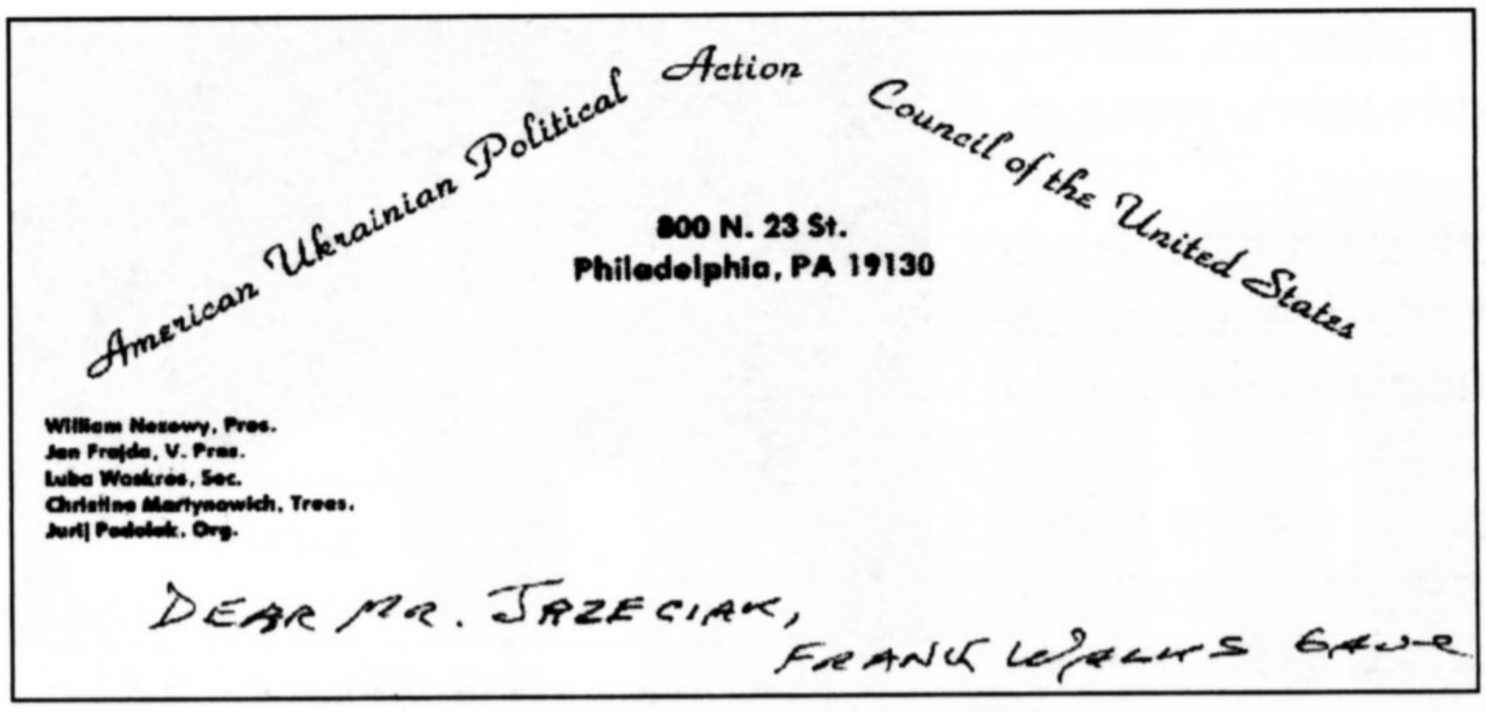
American Ukrainian Political Action Council of the United States
800 N. 23 St.
Philadelphia, PA 19130
William Nezowy, Pres.
Jan Frajda, V. Pres.
Luba Woskres, Sec.
Christine Martynowich, Treas.
Jurij Podolak, Org.
DEAR MR. JARZECIAK,
FRANK WALUS GAVE

Rys. 183. Nostalgia za Kijowem

mi, które okrutny los mu podrzucił i nie chciał go od nich uwolnić. **Głębiej niż dotąd rozumiałem potrzebę pojednania ukraińsko-polskiego wysuwaną z obu stron.** W samym centrum tego pojednania jawiła mi się cała prasa polonijna, dostarczająca nieustanne na to dowody.

W noworocznym numerze DK w artykule Eugeniusza Gołybarda zat. **„W rzecz polonijną wstępując”** czytam:

„...wołam do wszystkich piszących – niech was Bóg prowadzi

Rys. 184. Hotel Moskwa przy Placu Niezależności

Rys. 184. Brama przy Placu Niezależności

problemów z nią związanych, który nosiłem z moimi amerykańskimi przyjaciółmi, dźwigałem w Kijowie sam.

Postrzegałem na żywo zakamarki, po których wędrował w swoich opowiadaniach Nezovy, rozwiązywałem jego supeł z problemami jak puszkę Pandory i widziałem Kijów wielki, nasiąknięty problema-

w poszukiwaniu faktów pozytywnego, braterskiego współdziałania ukraińsko-polskiego, abyśmy nawet w zjawiskach negatywnych potrafili zauważyć rysy zjawisk pozytywnych, i żebyśmy nigdy nie włączali się do „walki o prawdę”, która idzie na szkodę deklarowanemu pojednaniu obu narodów”[55].

To dobre pouczenie. Podkreśla rolę prawdy, która nie idzie na szkodę obu narodów. Nie wiem tylko czy możliwe wszędzie do wykonania. Nawet w Kijowie (przyznam przeze mnie polubionym) nie udało mi

[55] Dziennik Kijowski nr 23/103, Kijów, 1989, s. 3.

się należycie go wykonać. Mam przecież wyrzuty sumienia, że niedomówieniem okryłem sprawy **„Małego Katynia" i Babiego Jaru,** a już nie do zniesienia są wiadomości zdobyte pod gmachem byłego NKWD.

Usprawiedliwiam się tylko tym, że to nie tylko bolesne, ale i nader trudne dla mnie sprawy. Być może Tarnopol, do którego mam jechać okaże więcej łaskawości w pogłębianiu nurtujących mnie problemów. Kijów to nie koniec przecież Ukrainy, a Tarnopol jest już bliżej Polski. Jego kresowe losy są mi bardziej znane i wyrazistsze. Ciekawe tylko jak przedstawią je Polacy, jeśli tam ich znajdę.

Smakuje tu stakan czerwonego wina

Nie wiedziałem, że w Kijowie uciążliwe są mgły. Chyba niedokładnie przeczytałem „Ogniem i mieczem". **Wydobywają się znad Dniepru, wędrują do głębokich jarów i zalegają do późnego przedpołudnia.** Przysłaniają widoki stolicy, za to przyjemnie chłodzą cię wilgocią i same przez się tworzą tajemniczy obraz. **Nad Dnieprem wygląda to tak, jak gdyby w kłębowiskach ukrywały duchy lub jakieś ewangeliczne ptaki i przenosiły je wraz z wodą do nieskończoności.** Trudnej do zrozumienia i niemożliwej do opisania. Stąd te cząstkowe jedynie ujęcia i komentarze. W tym plenerze doskonale się to czuło.

Nad rzeką przebijałem się po wybojach mostu władczo opasującego oba brzegi Dniepru. Tuż za mostem, czekał na mnie pan Eugeniusz z kolegą. To mocno starsi już panowie i na poranne spotkanie udało mi się ich namówić tylko dlatego, że miałem do dyspozycji ostatni już dzień. Docenili to i dali do zrozumienia, że ulica nie jest najlepszym miejscem do rozmów. Po krótkim spacerze mgła stawała się dokuczliwa i trzeba było nie zwlekać z odwiedzeniem ulicznej kafejki. Nie było to trudne i gdy poczułem bar z czyburykami, byłem pewien, że o tej godzinie miejsce się i dla nas znajdzie. **Zasiedliśmy w kąciku pod obrazem wielkiego Dniepru.**

Rys. 185. Stary Testament w studenckich zeszytach

Wszystko sprzyjało jakiejś głębszej, jakby ewangelicznej refleksji. Do takiej byliśmy zresztą duchowo przygotowani. Pana Eugeniusza znałem z placyku przed kościołem. Był już wtedy bardzo skupiony i uzasadniał, że organista nie włącza wiernych do śpiewu, że sam chwilami nadmiernie się wydziera i zagłusza organami wszystkich wiernych. Słuchacze tego sądu nie popierali i zaczął się denerwować, machając nawet laseczką, do której na starość już przywykł. Częściowo podzielałem jego zdanie i włączyłem się do dyskusji. **Potem, dowiedziałem się, że pochodzi z okolic Buczacza, a zaprzyjaźniony z nim kolega z Trembowli.** Obie miejscowości to dawne województwo tarnopolskie, które miałem zamiar odwiedzić. To, co wiedziałem o Tarnopolu, wyblakło w świetle wzmianek Eugeniusza o Buczaczu. Zacząłem więc zbierać informacje o całej okoli-

Rys. 186. Ucieczka z Trembowli

cy. Każdy fakt, utwierdzał mnie w przekonaniu, że lepszych informatorów wymarzyć nie mogłem.

Pan Gienek jako młody chłopak wysłany z kolegami na zwiady zagrożeń nieprzyjacielskich skierowanych do pacyfikacji wsi, **utracił całą rodzinę i zbiegł na Zadnieprze, a potem tu, do Kijowa.** Nie miał środków do utrzymania i zajął się wywózką śmieci oraz zbieractwem makulatury. To ostatnie dało mu trochę oddechu, bo znajdował całkiem niezłe książki, przeważnie lektury szkolne, które łatwo mógł odsprzedać. Normalnego życia jednak już nigdy sobie nie ułożył. **Jeszcze gorszy życiorys spotkał jego kolegę,** którego trochę nie dopuszczaliśmy do głosu. Okazało się, że uciekł bidak z zasadzki oprawców, choć jak twierdził uratował go przyjaciel.

– Sam wtedy zginął – dorzucił. Ale panie, to mogłem być ja, a on by wtedy był mną.

– A co ci to dało, że się teraz męczysz? – dopytywał jakby ironicznie pan Gienek. Wie pan, on się tu czepił pokątnego fryzjerstwa, ale oficjalnie nic nie może zrobić, bo ma jakieś kompleksy i brzytwą się boi operować. A tu przecież trzeba gardła ludziom golić. Wyobraża sobie pan, jaka mogła by się tragedia wydarzyć! Lepiej, że maszynkę do strzyżenia sobie kupił i tak na pałę wszystkich nas tu obcina, ale głowy zostawia. I swoją też, tylko nie wiem na jak długo.

Podszedłem do bufetu i zamówiłem do smacznych czeburyków duże wino. Miła była obsługa i poczułem odprężenie.

– A to co? – zapytał Eugeniusz, gdy kelnerka podstawiła mu pachnący stakan czerwonego wina.

Wiedziałem już, że moi mili goście mieli ongiś piękne dzieciństwo i wspaniałych kolegów. Zdążyli mi już o tym opowiedzieć. Nawiązali jakby i do mojego wojennego dzieciństwa i przyjaciół tu, w Kijowie. Nieoczekiwanie więc wprowadzili melancholijne wzruszenia. Podtrzymywali je uparcie i poczułem się przez chwilę w swoim żywiole. W rezultacie, chciało się płakać lub śpiewać. To drugie wydawało się przyjemniejsze, ale i trudniejsze, wszak w barze było już kilka osób i nie należało zakłócać spokoju. Gdy jednak goście się rozproszyli i zostaliśmy tylko we trzech, nie mogłem sobie darować ulubionej piosenki Frączewskiego, której refren obaj przyjaciele powtarzali, ale już ze szklanymi oczami Eugeniusza:

Rys. 187. Pożegnanie z przyjaciółmi

Pijmy wino za kolegów, do dna,
Bo oni to my, a my to już mgła.

Noc na studenckim wzgórzu

W Kijowie frapowały mnie mgły. Ale tu, w Tarnopolu odczułem przestrach egipskich ciemności. Zbyt wszechwładnie panują tu nocą. Zetknąłem się z nimi zaraz po przyjeździe, bowiem autobus z Warszawy wyjeżdża o godz. 16.20 i przyjeżdża do Tarnopola w środku głębokiej nocy, nad ranem. Wszędzie jest wtedy potwornie ciemno. **Światła oszczędnościowo wygasza się w całym mieście i nocą szczególnie ponuro i groźnie wyglądają wielkie akademiki zbudowane w stylu socrealizmu na wzgórzach doliny Seretu.** Niecodzienny, koszarowy to widok i gdybym przewidział swój dziwny lęk, z autobusu na pewno bym nie wysiadł. Poczułem wrogość do kierowcy, który nie przeciwdziałał szokowi i podtrzymywał rażące z ciemnością maksymalne oświetlenie autobusu. Oślepiające tak, że wyjść z niego nie sposób. A przecież kierowca znał teren, wiedział gdzie jest osiedle studenckie przynajmniej na tyle, że wysadził mnie na właściwym przystanku. Zresztą, o to go serdecznie prosiłem, ale oślepienia w żadnym wypadku nie chciałem.

Rys. 188. Noc na wzgórzu

Ludzie z autobusu wysypali się jak ulęgałki, olśnienie odjechało i zostałem w ciemnościach sam jak Mojżesz na pustyni. Wyszedłem na jezdnię wśród drzew i czekałem, żeby coś się wydarzyło, że może ktoś nadejdzie, może jakiś pojazd nadjedzie. Nie wiem, ile to trwało. Dla mnie chyba cały rok. Cisza w tym czasie była tak wielka, że słyszałem bicie własnego serca.

I oto gdzieś z wysokiego wzgórza mignęło zapalone światło niczym betlejemska gwiazda. Bardzo mnie podtrzymało na duchu, bo upewniło, że tu jeszcze w ogóle ktoś żyje. Radość była jednak krótka.

Rys. 189. W oczach mignęły kontury twarzy

Po chwili światło zgasło i ani oko nie widziało, ani ucho nie słyszało, co to za kraina i co się tu dzieje. Tylko pamięć utrwalała informację przywiezioną z kraju i podpowiadała, że całe wzgórze jest na lewo od przystanku i tam wśród akademików jest moja kwatera. Nieśmiało udałem się w tę stronę. Po jakimś czasie usłyszałem odgłosy szybkich kroków młodego człowieka, pędzącego jak koń w doliny opanowane przez nieprzebyte ciemności. **Na asfaltowej ścieżce odgłosy odbijały się coraz mocniej.** Domyśliłem się, że to mieszkaniec wygaszonego światła opuścił pokój swej kochanki i pośpiesznie spada z góry, by nadrobić czas niechcianego dyrygenta. Nie dałem za wygraną.

Wierzyłem, że człowiek, który kocha nie jest spięty, rozluźniony, dobry, przynajmniej na tyle, że nie zabija, nie gwałci, nie napada. Mimo to, szedłem naprzeciw niego z duszą na ramieniu i walizką opornie wlokącą się za mną na zgrzytających kółkach. W ciszy, dolatujący tupot nóg i piszczące kółka walizki wzajemnie się wymieszały i zaczęły chyba nerwowo docierać do uszu nocnego marka. **Zwolnił tempo i czułem, że wzajemnie zaczęliśmy się nadsłuchiwać.** Po chwili w oczach mignęło jakieś straszydło jakby z częściowym nosem i najeżonymi włosami. Nim cokolwiek przemyślałem kopnął w moją walizkę zdezorientowany ciemnościami i wystraszony nie gorzej niż ja, wydobywając sztampowe tu **izwieni...**Zacząłem walizę podnosić, ale on był szybszy i z zaciekawieniem wszczął błyskawicznie przyjazną rozmowę. Odczułem, że obaj jesteśmy nią uspokojeni, a nawet zainteresowani.

Rys. 190. „Nieznanek" był typowym studentem

Oprzytomniałem i zauważyłem, że to typowy student, jakich tysiące znałem. Mówił szybko i gdy poprosiłem go, aby coś powtórzył przeszedł na rozmowę po niemiecku (to chyba ulubiony język na Ukrainie) i atmosfera się uspokoiła. Okazał się bardzo miły i grzeczny. Podciągnął walizę na wysoki szczyt, a ja grzebałem w torbie i plecaku szukając podarunku za sympatyczne przejawy życzliwości. Gdy znaleźliśmy się pod długim i wysokim blokiem zaczęliśmy stukać do ogromnych drzwi. Nikt się nie odzywał. **„Nieznanek" wyciągnął telefon i zaproponował mi kontakt z dziekanem, którego traktowałem jak przysłowiową deskę ratunku w ciemnościach zastanej krainy.**

Dziekan telefonem był bardzo zaskoczony. Zawiódł się całkowicie na kimś z koła naukowego, kto miał mnie odebrać na przystanku i zakwaterować w europejskiej części akademika. **Później się dowiedziałem, że ten młody człowiek miał imieniny i po libacji zasnął jak przed sądem ostatecznym.** Przeproszeniom różnorakim nie było końca. Nic nie pomogło. Tylko Nieznanek, który wybawił mnie z nocnych koszmarów dobrze zaistniał w moich oczach. Szkoda, że Uczelnia jest wielka (ok. 20 000 studentów) i moje polowania na wybawcę z kłopotów nie dały efektu. Tą drogą (a wiem, że te słowa do niego dotrą) składam mu najżyczliwsze podziękowania, przepraszając za niepotrzebne nocne przygody.

Moje co prawda przeminęły z wiatrem od razu, gdy dotarłem do swojego lokalu na pierwszym piętrze i pozapalałem wszystkie światła. Dla niego kłopoty trwały zapewne dłużej. Chciałem być pomocny podtrzymywaniem świateł i otwarciem okna, aby śledzić sytuację, która może w ciemnościach zaistnieć. **Ale noc ma swoje prawa.** W ciemnościach, światła przywiodły jakąś parę zakochanych i ta zadowolona z nowego nastroju zaczęła dzielić swoje szczęście ze mną. Odczułem, że nie jestem sam, na dodatek uszy gromadziły od tej pory prawdziwą radochę wyłapując pełno miłosnych wyznań (udowadnianych migocącymi scenkami) niczym z operetki ***Sen nocy letniej***. Co prawda nie śpiewanej, ale za to mówionej pięknym, czułym, ukraińskim językiem. Przez chwilę nawet sądziłem, że to Nieznanek wrócił ze Znanką na pogłębienie nocnych przygód i nieśmiało zacząłem ich podglądać. Owszem jakaś para zakochanych, niby jedno ciało (a dwie

Rys. 191. Romeo i Julia już lekko roznegliżowana

głowy), ale Nieznanka tam nie było. **Był za to inny nocny Marek ze swoją Markową.** Jawiące się nowe spotkanie raczej mnie uspakajało i w pewnej chwili chciałem nawet przybyszy przez okno pozdrowić, jednak okno było okratowane i kontakt ze światem zewnętrznym ograniczał nadmiar niezdrowych zainteresowań, tym bardziej, że Julia była wyraźnie roznegliżowana, a Romeo zabiegał o jeszcze. **Sugerował w ten sposób, że każdy musi się zajmować swoimi sprawami.** Miałem i ja ich wiele, z wyjątkiem mieszkania.

To było, jak zapowiadano komfortowe, w iście europejskim stylu i w ogóle nie absorbowało mojej uwagi. Przypominało apartament w Edynburgu, gdzie w podobnej sytuacji nabawiłem się tyleż przyjemności, co i strachu, choć z innego powodu. A to z powodu właśnie nadmiaru wszelakich wygód i wyposażenia. **Teraz, na tym studenckim wzgórzu odżywały tamte wspomnienia.** Również z podróży służbowej.

Rys. 192. Mieszkanie lśniło czystością

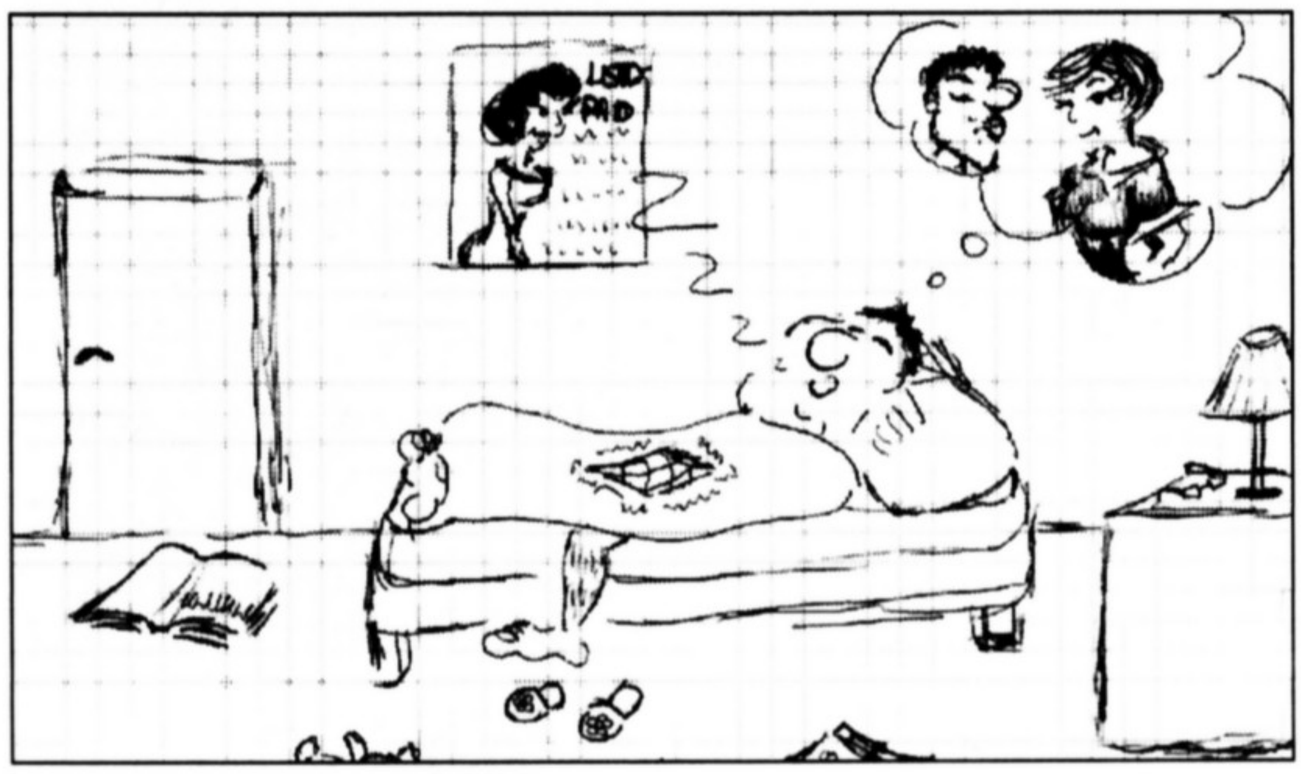

Rys. 193. Sny nie gorsze niż w Edynburgu

Przyjechaliśmy wtedy nocą z Rektorem mojej Uczelni i zamieszkali w podobnych apartamentach naprzeciw siebie. **Najpierw pootwieraliśmy lodówki, w których pełno było wódek, napojów i wszelakich wiktuałów.** Rano miałem wystąpić w roli tłumacza i żałowałem, że w ogóle trunkową lodówkę otwierałem. Znacznie gorzej miały się sprawy później, gdy zaznajamiałem się bliżej ze sprzętem pozostawionym do dyspozycji hotelowych gości. Nie potrafiłem bowiem uruchomić telewizora, w którym był tylko jeden ciągle świecący się guzik. **Pojęcia wówczas nie miałem** (niestety Pan Rektor też), **że telewizor może być zdalnie sterowany i zacząłem poszukiwać włączników, innych guzików i guzów** i to w momencie, gdy Pan Rektor ten sprawdzian miał już za sobą.

Widząc moje kłopoty zapytał, czy mam jakiś nóż, bo jak się zwierzył, odkręcił przy swoim telewizorze pokrywę i nie może jej dokręcić. Nic nie miałem. Powybieraliśmy co ostrzejsze łyżki i widelce (noże były siekierowate) i zaczęliśmy majsterkować przy telewizorze w moim pokoju. **Wydawał się nam trochę gorszy, ale łatwiejszy do obsługi.** Widząc naszą nieudolność, Rektor zaczął się tłumaczyć, że on tylko chemik,

Rys. 194. Kuchnia świetnie wyposażona

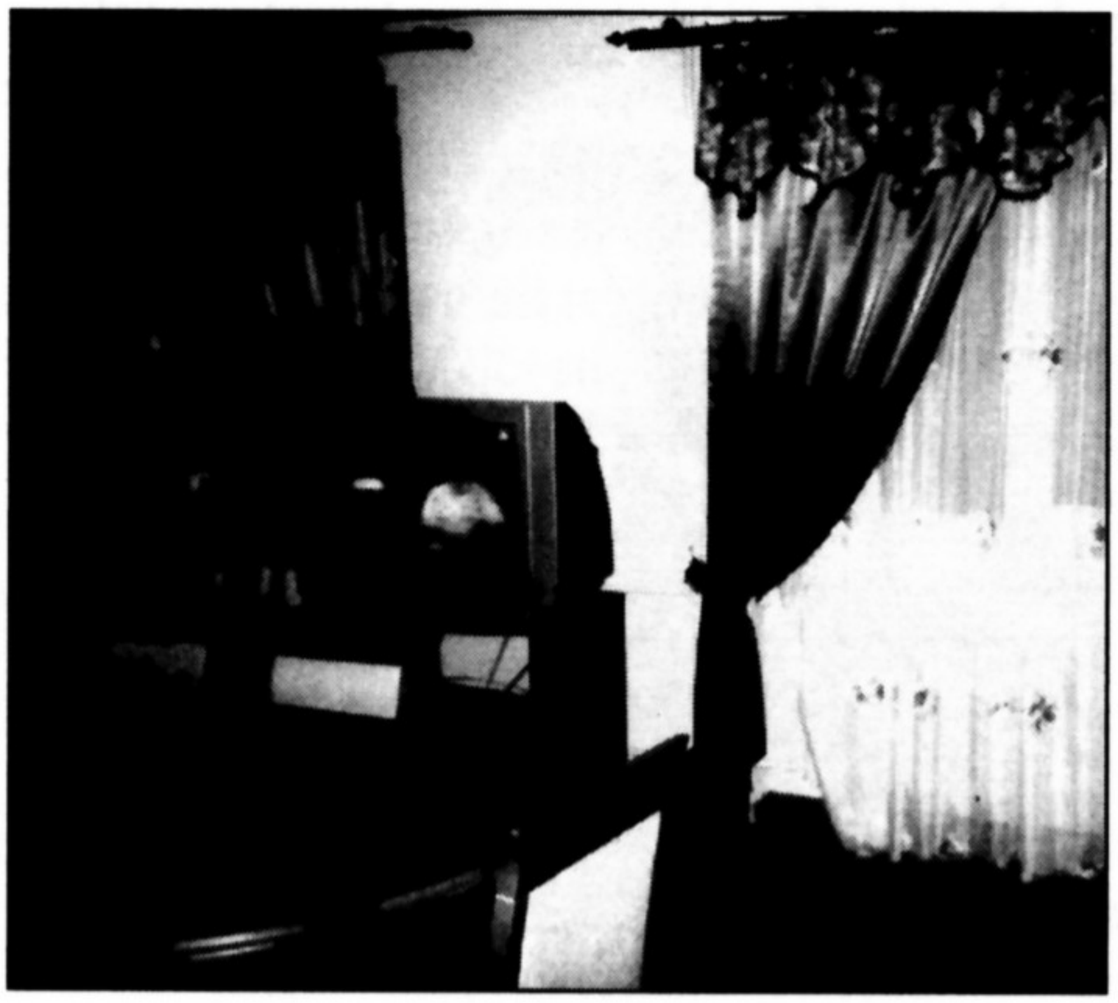

Rys. 195. W telewizorze ślicznotka, którą i Tommy by nie pogardził

a „wy niestety socjolog" i w akademikach szkockich jest wyższa kultura techniczna niż na Wschodzie, **bo na Wschodzie dostępne są tylko „kołchoźniki radiowe". A tu już telewizyjne wprowadzono** – twierdził z przekonaniem. Pogodziłem się z tym szybko uznając, że włączane są centralnie i zacząłem tęsknić za momentem ich włączenia, wszak wiedziałem, że programy są już kolorowe.

Doczekałem się jednak czegoś lepszego. Niebawem zjawił się Tommy, nasz opiekun, który zaczął przepraszać, że być może spóźnił się parę minut, wszak studenci nie chcieli go wpuścić na ich służbowy parking.

– Tomek, popatrz sobie na telewizję – sprzedałem własne opresje, bo my nie jesteśmy gotowi i musimy się spakować. Tom otworzył szufladę w nakastliku i po chwili zaczął przewracać poduszki na łóżku. **Wyciągnął zagubionego pod nimi pilota i włączył program szetlandzki. Pełno było łąk, owiec, baranów i kóz.** Widoki szkockich gór przecudowne. Siedzieliśmy z p. Rektorem przez chwilę i wracali do normalności. Na zabawę, odtwarzanie sytuacji i ośmieszanie samych siebie przyszło jeszcze zaczekać aż do lotu nad Westminsterem, symbolizującym znowu brytyjski przepych. W otwartej dyskusji (pod nieobecność Tomma) doszliśmy do wniosku, że nadmiar komfortu jest równie zbędny, jak i jego brak.

Tu, na wzgórzu tarnopolskim niczego nie było w nadmiarze. A na trunki dopiero się zanosiło. Cieszył jednak wygodny europejski apartament z salą konferencyjną i telewizorem włączanym pilotem, jak wół przy nim leżącym. Kto przyszedł, to miał wielką wygodę i radość.

Wszystko tu było, i porządek wielki. Stół ogromny, fotele jeszcze większe, telewizor między oknami, pilot na stole, a nie ukryty pod poduszkami, do tego sypialnia, kuchnia i inne zakamarki wprost imponujące. **Szkoda tylko, że załączane zdjęcia nie są kolorowe i nie ukazują pełnego komfortu. Zresztą i z winy fotografa dalekie od doskonałości.** A szkoda! Tom był dużo młodszy i na pewno jeszcze żyje. Niechby sobie chłopak pooglądał nasz wschodni komfort, bez pułapek. Bez rozpijania gości wybornymi alkoholami i ukrywania co ważniejszych przedmiotów pod wielgachne poduszki. To tak trudno okna okratować?

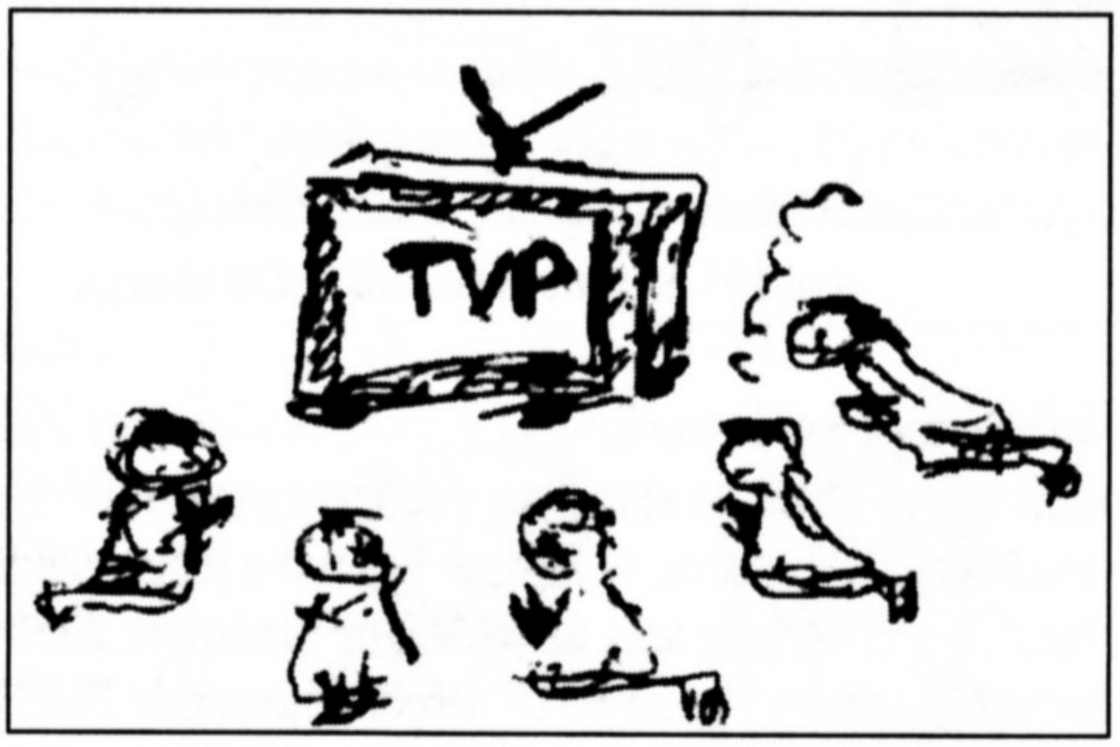

Rys. 196. Radość, wiedza i nowy bóg

Okaleczone centrum miasta

Pierwsze spotkania w Tarnopolu uznałem za szczęśliwe. Obiecująco wyobrażałem sobie teraz całe miasto. W oczach jawiło się to zapamiętane ze starej widokówki, a wyobraźnia uruchamiała pęki literatury i wypychała z komfortu akademika na ulice te dawne i dzisiejsze. Te dawne, to przede wszystkim wieże kościołów górujące nad domami ciągnącymi się aż do zamku nad jeziorem. **Widok sam wciskał się w oczy.** Z tym że teraz, do jeziora prowadziły akademiki tworząc jakieś współczesne tło, przecinane jak dawniej wartką rzeką Seret, zasilającą jezioro w spienioną przy brzegu wodę.

Cudnie wyglądała koło ruin dawnego zamku ukrytego jakby w zaczarowanym wąwozie, prowadzącym do centrum grodu. To chyba w takim nastroju **Wincenty Pol pisał:** *A czy znasz ty, bracie młody, /Twoje ziemie, Twoje wody? /Z czego słyną, kędy giną, /w jakim kraju i dunaju? /...A czy znasz ty, bracie młody, /Twojej ziemi bujne płody? /Twe kurhany i mogiły, /I Twe dzieje, co się ścmiły?*[56].

Rys. 197. Przed wiekami na kresowej ziemi

Oczywiście życie społeczno-gospodarcze i kulturalne Tarnopola nie tu się teraz koncentrowało. W wąwozie panował wszechwładnie spokój, tak samo, jak na starej widokówce. W bajkowej symetrii z całym zamkowym otoczeniem. Żal było stąd odchodzić. W centrum miasta widać było jeszcze pozostałości dawnego rynku i przyległe do niego tereny kolejowego i autobusowego dworca, przez które ciągnęła się wstęga centralnej ulicy i kolei żelaznej. Panował tu uciążliwy ruch. **Z drugiej strony, była to najważniejsza część miasta i przyciągała uwagę wszystkoizmem.** Ciągnęło do niej wielu przybyszy obładowanych tobołami, którzy potem czekali na placach niby końca świata. Byli i tacy, co przenosili różne bańki z mlekiem, kosze jagód i warzyw, jakiś nabiał i produkty rolne, śpiesząc z tym wszystkim na bazar. Dawne, bardzo dawne czasy i tu mi się przypominały. Ale to obserwacja ad hoc.

Ponieważ niezgrabnie w tych zatłoczonych uliczkach się poruszałem, zapragnąłem odnaleźć jakikolwiek wysoki punkt orientacyjny, mając na uwadze punkt odniesienia, jaki widziałem na dawnej widokówce. Dominowały na niej wieże wysokiego kościoła parafialnego, postrzegane przeze mnie jak symbol najpiękniejszej katedry. **Tego symbolu teraz nie ujrzałem i sądziłem, że jego brak świadczy o jakimś okaleczeniu miasta nie przypominającego dawnych cudów. Zacząłem więc o ten kościół wypytywać.** Nadaremnie! Ludność podejrzliwie zbywała mnie „nietutejszy" robiąc wrażenie, że nagle cała należy do

---

[56] Wincenty Pol, Pieśń o ziemi naszej.

przyjezdnych, nie mających pojęcia o poszukiwanej przeze mnie świątyni. A sklepikarze i bazarnicy obeznani ze sprawą wzruszali tylko ramionami. Dopiero po dłuższych wędrówkach wśród zakątków miasta i ponownym odwiedzeniu zbieracza staroci zdołałem nawiązać nieśmiałe kontakty.

– Pogadajcie z tą kobietą, co sprzedaje nakrycia stołowe, ona ma jakieś fragmenty kościelnych zabytków.

Nic nie miała. Albo aż wszystko, wszak ujrzałem dzięki niej metalową

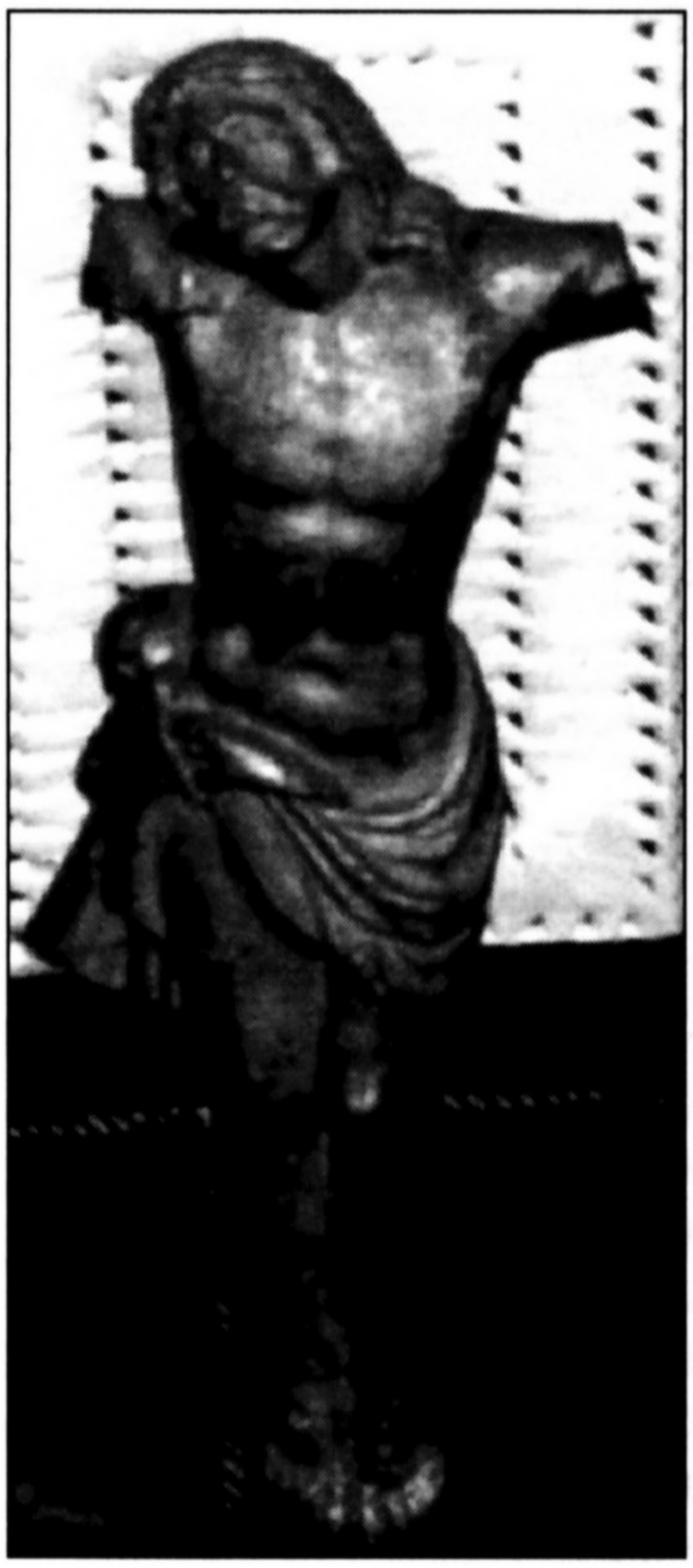

Rys. 199. Współcześnie

Rys. 198. W początkach grodu

rzeźbę Chrystusa ewidentnie oderwanego od swojego krzyża. **Przejmujący to był widok. Twarz Chrystusa była jakaś wyjątkowa, niespotykana, a do tego zabytek był niekompletny, mocno uszkodzony, nade wszystko bez krzyża, na którym prawdopodobnie pozostały części rąk tutaj brakujące.** W wyobraźni widziałem krzyż z Chrystusem na tle całego kościoła, ukazanego w obrazach rysowanych przez moich studentów. Ale w scenerii bazarowej, tej, w której się znalazłem, nie wiedziałem, jak się zachować i co robić. Pomyślałem najpierw o wykonaniu zdjęcia, co przy niewielkiej opłacie okazało się najprostsze. Potem sumienie mnie gryzło i zdecydowałem się na poważniejsze zasięgnięcie opinii o napotkanej świętości, niedbale przechowywanej (w poszarpanej gazecie) i podejrzliwie mi okazywanej. Zależało mi na zidentyfikowaniu jej losów. Do końca jednak nie zdołałem tego zrobić. Serwowano mi bowiem dwie nieprzekonujące wersje, które powtórzę tylko dla przyzwoitości wyrażając nadzieję, że dopiero trzecia lub dalsze mogą być prawdziwe.

Pierwsza mówiła o tym, że jest to fragment pochodzący właśnie ze zniszczonego kościoła, ongiś stojącego tu w pobliżu. Sądziłem, że wersja mogła być naprędce utworzona, bowiem nader głęboko dociekałem losów tej świątyni i kobieta bez trudu skojarzyła, jak bezcenną wartość może dla mnie mieć wszelka pamiątka stąd pochodząca. Opowieść mogła zatem powstać jak na zamówienie. Z przykrością poddałem ją w wątpliwość. **Druga mnie wręcz przestraszyła.** Wygłosiła ją kobieta przysłuchująca się z boku naszej niecodziennej rozmowie.

Rys. 200. Dom przez Niego zbudowany

Dowodziła ona, że to ten sam Chrystus, którym w gmachu NKWD, słynącym z okrucieństw posługiwali się oprawcy tłumacząc ironicznie ofiarom, że wzywany na pomoc Chrystus jest bezradny, nie ma bowiem już rąk i szkoda stąd oczekiwać jakiejkolwiek pomocy. **Wszystko to było niesamowite, okrutne, wreszcie bazarowe jak sądziłem i też chyba nastawione na uatrakcyjnienie ceny. Wszystko nie do uwierzenia.** Wzbudziło tylko dodatkowe zainteresowanie środowiskiem zbrodni, którego elementem był również gmach samego NKWD, ulokowany w pobliżu, w samym centrum miasta. Rozważając tę wersję odczułem jednak, że im dłużej ją uzasadniano, tym więcej jawiło się niejasności. **Na przednie miejsce wysuwała się więc sprawa samego kościoła, wysadzonego w powietrze w 1958 r. na osobisty rozkaz Chruszczowa (który rzekomo wyrażał wolę miejscowej ludności).**

Więc korzystam z widokówki i lokalizuję miejsce poszukiwanego kościoła, akcentującego dawny, historyczny urok grodu. Wiem już, że go nie ma, choć trudno się z tym godzić. Ale wiem także, że

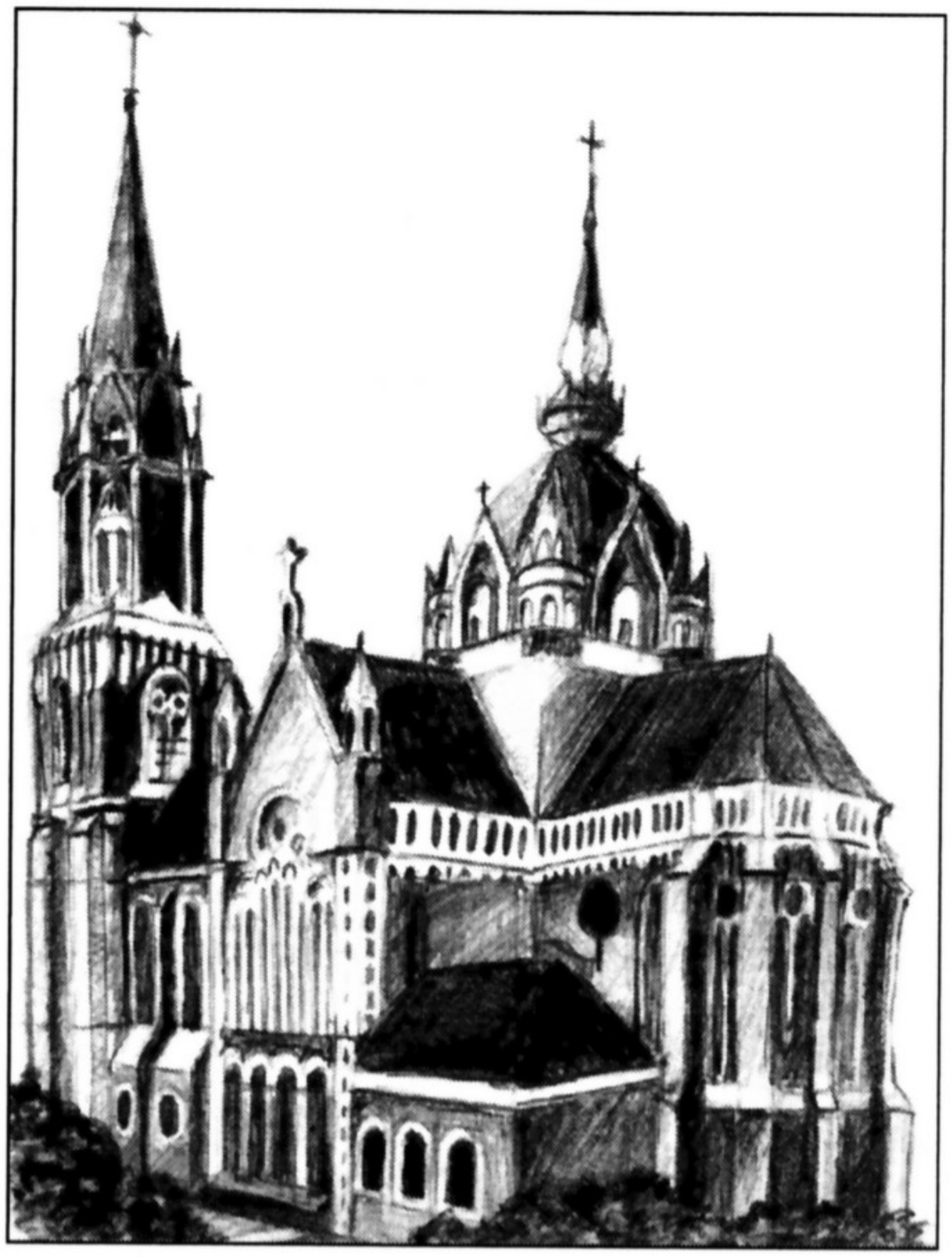

Rys. 201.Ten kościół został do fundamentów zniszczony

Rys. 202. Czy ktoś Go odbuduje?

zginął w nieludzki sposób. Najpierw rozkradziony i doszczętnie zdewastowany (aż do fundamentów), a potem dopiero wysadzony w powietrze ku uciesze barbarzyńców.

Święty Tomasz mówił, że dobro rozszerza się samo. Może więc dla chwały Pana pozostał tym bardziej w mojej wyobraźni i moich studentów takim, jakim go malowano na starych widokówkach i rycinach. Wielkie wzbudził na nowo zainteresowanie. Szczęśliwie studencka brać ma lepszą oczywiście fantazję i zdolności niż ja. Widać to na rycinach przez nią wykonanych i załączonych komentarzach wyrażających głęboki żal z tego powodu, że tak imponującą świątynię celowo zniszczono. **Chcę, aby dowody te, których symbolem są dwie odtworzone sylwetki samej świątyni trafiły do Czytelnika i przy okazji je tu zamieszczam. Niech przypominają tragiczną historię godną upamiętnienia.** Tę, o której się tak łatwo już zapomina.

I aż dziw, że przypomniał o niej tarnopolski bazar, a nie żaden „polski instytut niepamięci narodowej" zmuszając do refleksji nad losem polskiego ongiś miasta. **Zrozumiałem dzięki tej refleksji, że cierpiący Chrystus jest symbolem cierpień całego grodu,** a napotkana przeze mnie kobieta żywym okazem niepokojów stąd płynących. Mówiła o nich w kontekście bezpośrednich mąk Chrystusa. Może chciała przy tym uspokoić własne sumienie, nie wiem, to jej sprawa. Chrystus

Rys. 203. Pamiętać trzeba o wszystkich

bowiem każdemu pomaga, a ten jej jest faktycznie cierpiący, bez rąk i swojego krzyża. Za to jeszcze silniejszy. Jak na Golgocie, tak i tu, w czasach straszliwej makabry cierpiał zjednoczony tak z krzyżem, jak i całym ludem, którego nigdy nie opuścił.

To sprawy wielkiej tajemnicy, niepojętej dla zwykłego zjadacza chleba, bowiem ten sam krzyż nadal każdego indaguje, o coś się ciągle upomina. A cierpienie trwa. Więc słyszę kolejne objaśnienia, że wisiał podobno w przedsionku kościoła, którego już nie ma i zapraszał do swojego domu prowadzącego do wieczności. A skoro nie ma kościoła, i stoi na jego miejscu gmach handlowy, to i On, ten okaleczony „...wszedł między lud ukochany, dzieląc z nim trudy i znoje" – jak śpiewamy w pieśniach. Wędruje więc z rąk do rąk, wszędzie tam, gdzie otwierane są dla Niego drzwi przez dobre ludzkie ręce. Zapewniły mu opiekę przez długie lata i obecnie, gdy dalej już zapewnić nie mogą, Chrystus skraca drogę i trafia bezpośrednio do serc swoich wyznawców. Tych, których jest tu coraz więcej. A On sam zbiegiem okoliczności jest jeszcze bardziej symboliczny i bliższy swojemu ludowi. I temu z zeszytami szkolnymi, do których tu zaglądamy.

Rys. 204. Samarytanka z tarnopolskiej ziemi

Nie jestem upoważniony, abym omawiał nastrój ducha ofiarodawczyni i swój. Obydwoje zastanawialiśmy się mocno nad wersją wydarzeń związanych z tym sakralnym zabytkiem. Dodajmy wydarzeń obejmujących nie przypadkowe osoby i dzieje na ziemi pełnej grozy, okrucieństw i nieszczęść, których konsekwencje trwają do dziś.

Rys. 205. De syn![57]

To dziś przecież brak jest wspaniałej świątyni, której nie zastąpi podstępnie wybudowany na jej miejscu handlowy dom. Domów takich i bazarów jest ci tu dostatek. Mimo to, opuszczając bazar, udałem się pod mury tego handlowego gmachu, stojącego przy dawnej ulicy Adama Mickiewicza. Zastałem mrowisko ludzi krzątających się wokół wystaw i zakupów, nie troszczących się o historię czy deptaną świętość, ukrytą w fundamentach konsekrowanego kościoła. Nic tej świętości tu nie przypominało i nadaremnie tylko poszukiwałem tablicy upamiętniającej te minione czasy. Toteż z ciężkim sercem, ogromnie sfrustrowany, opuściłem to miejsce.

W kraju cała sprawa powracała jak bumerang i nie mogłem sobie z nią poradzić. Sądzę, że dopiero studenci, z którymi podzieliłem się swoimi przeżyciami, złagodzili nie-

[57] Gdzie syn!

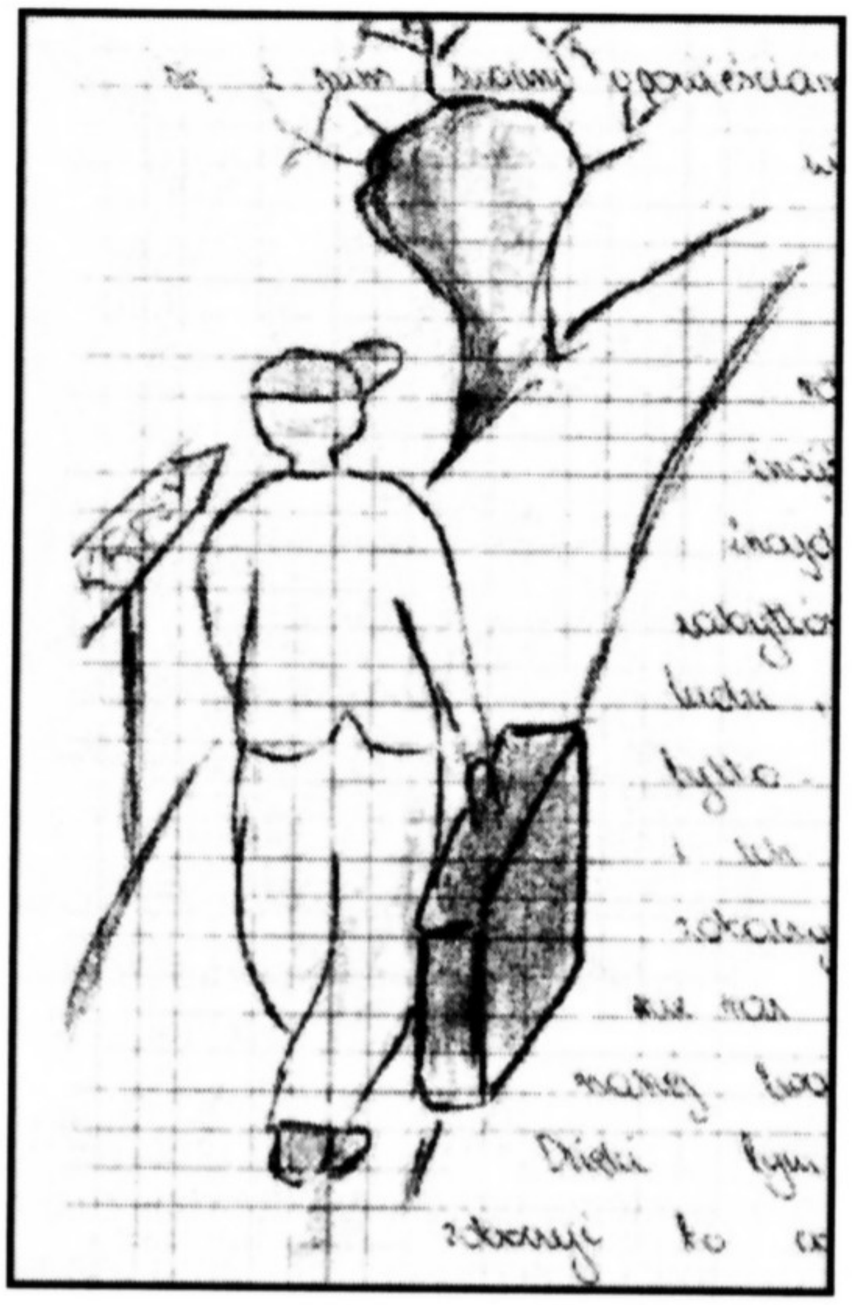

Rys. 206. Panie Jezu, ocal moją mamę...

co moje cierpienia. Zostały bowiem rozłożone na większą grupę osób. **W efekcie tego odtworzyli szereg widoków z tamtych lat, niczym ich bezpośredni obserwatorzy.** Ucieszyły mnie ich prace i rozliczne komentarze. To chyba największa nagroda za półwieczny trud, którą zachowam do końca moich dni. Tym bardziej, że wśród tych prac jest też i ten piękny kościół wzgardzony przez kremlowskiego władcę. Otrzymałem aż kilkanaście egzemplarzy tej dawnej budowli. I stwierdzam, że wszystkie są piękne wszak trafiają do serca, mimo że nie przez zawodowców przecież sporządzane. To też ma dla mnie swoją wartość. Są bajecznie cieniowane z troską o ukazanie delikatności i serdeczności wobec całej sprawy tak troskliwie i na serio rysunkami zinterpretowanej.

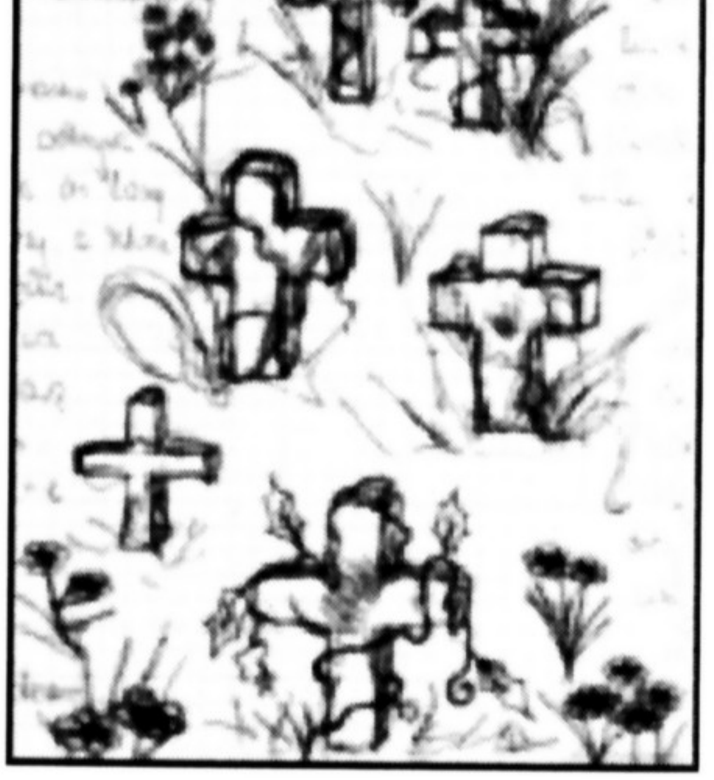

Rys. 207. Odyseja naszych rodaków

W rozmyślaniach nad złożonymi opracowaniami i rysunkami doszedłem do wniosku, że mogła by powstać nawet jakaś ciekawa wystawa, ukazująca zaginiony świat Tarnopola, którego symbolem jest malowana teraz, po latach parafialna świątynia i społeczne tło jej towarzyszące. Gdy niweczy się człowieka, niszczy się przecież i Chrystusa. Zniszczona świątynia związała się z wieloma pokoleniami ludzi i całego miasta. Ileż cennych prac i poświęceń zainicjowała w czasach Ks. prałata Anczarskiego. Krótko tu co prawda proboszczował, ale znał dzieje świątyni od początku, aż do ostatnich dni, kiedy opuszczał Tarnopol w 1946 r., ratując obraz Matki Boskiej Nieustającej Pomocy i przy niej swoją utrapioną duszę. **Jaka szkoda, że nie ma go już wśród nas tak, jak i jego ukochanej świątyni.** Poszedł Tam, gdzie cierpienie go doprowadziło i dało wiekuisty pokój.

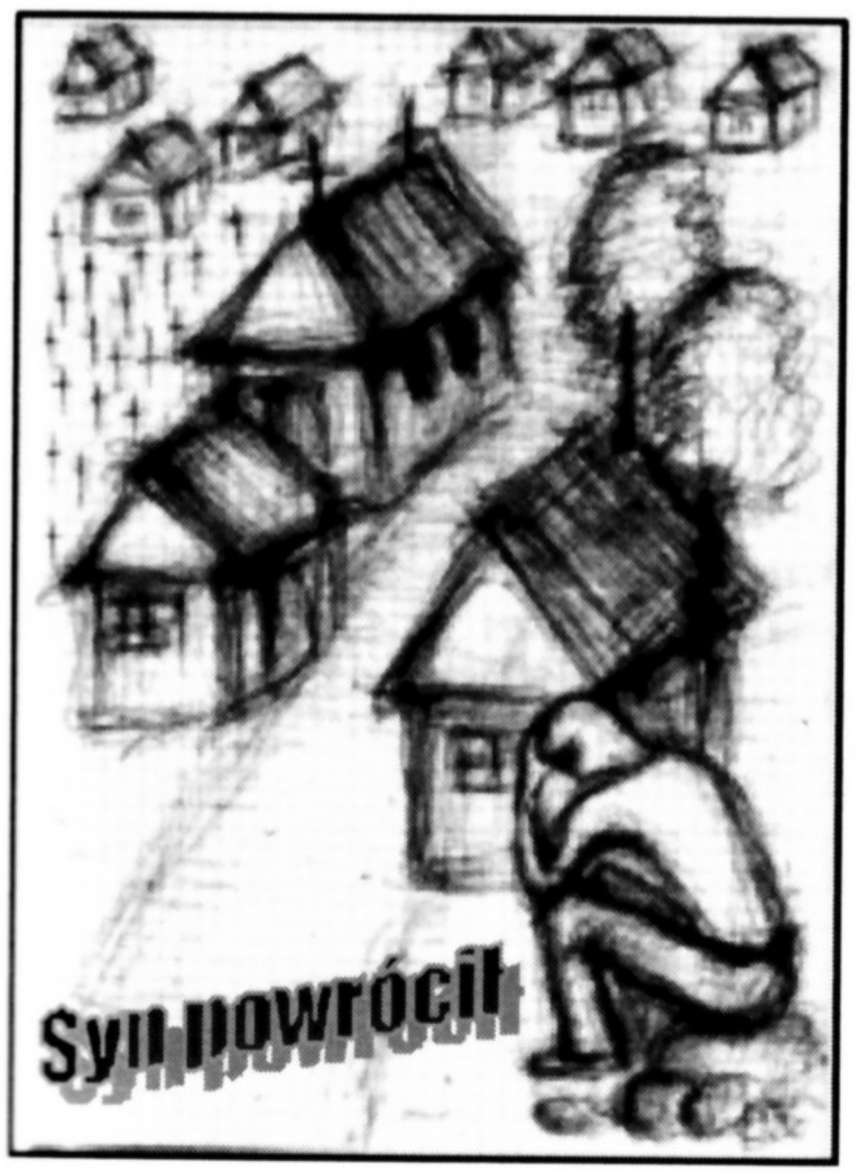

Rys. 20 8. Ziemia po wiekach utracona

Będziemy wracać do jego żywota, tego ziemskiego, w którym dopełnił kapłańskiej posługi wobec Boga i Ojczyzny. Bohatersko! W przypływie fali ludobójstwa, jakiego podjęły się rezuny, nie zawahał się krzyknąć: **Ręce precz, mój Naród jest ochrzczony i do Chrystusa należy!** A w swoim dziele, jakby sprawozdaniu ze swojego życia, upominał się o prawdę, której lękać się nie można.

„Starałem się przekazać to – pisał – co widziałem, przeżywałem i przeżywał mój Naród, znajdujący się w wielkim zagrożeniu, że czuł na sobie dech śmierci. Więziono nas, zamykano w obozach zagłady, wywożono na Sybir, mordowano niezliczone tysiące, zadawano cierpienia na wiele sposobów...Najtragiczniejszą, najboleśniejszą i najdelikatniejszą sprawą...są rzezie ukraińskie...One były. One są nieodwracalnym faktem historycznym. Żadna siła świata nie wymaże ich z naszych dziejów...Ich krycie i zamazywanie będzie zawsze siłą niszczycielską i złą”[58].

Rys. 209. Adiutorium nostrum Domini

Boże, jak doskonale myśli jego odczuli studenci, dając temu wyraz, mimo nie zawsze wprawnego (jak i moje) pióra. Myślę, że nasz czytelnik to wybaczy. Nie prezentujemy bowiem literackiego piękna dostępnego w innych dziełach języka polskiego. Dla mnie jednak najwspanialszego. Ważne tu jest to, że w całej tej materii jawi się nieunikniona ciągłość pokoleń, ich metamorfoza i wielka przenikliwość Stwórcy powodująca, że na ścieżce wydarzeń i młodzież studencka z głębi Kraju, jakby z serca naszej Ojczyzny nieustannie się pojawia. W tym przypadku dotyczy to studentów, moich, którzy bez trudu odczytali znaki miłości płynące wśród dziejów Opatrzności i dali temu wyraz skromnymi rysunkami. Wdzięczny im jestem za to, że pomogli mi przeżyć te ciężkie sprawy Tarnopola. Doceniam to w dwójnasób i pragnę dać temu wyraz poprzez włączenie cząstki tych obrazów, odtwarzających minione wydarzenia, a w szczególności kościół tak silnie związany z naszą historią na Wschodzie i rodakami, którzy go wznosili. **Na chwałę Boga i miłości Ojczyzny!** Dziękuję im za każdy trud z tym dziełem powiązany.

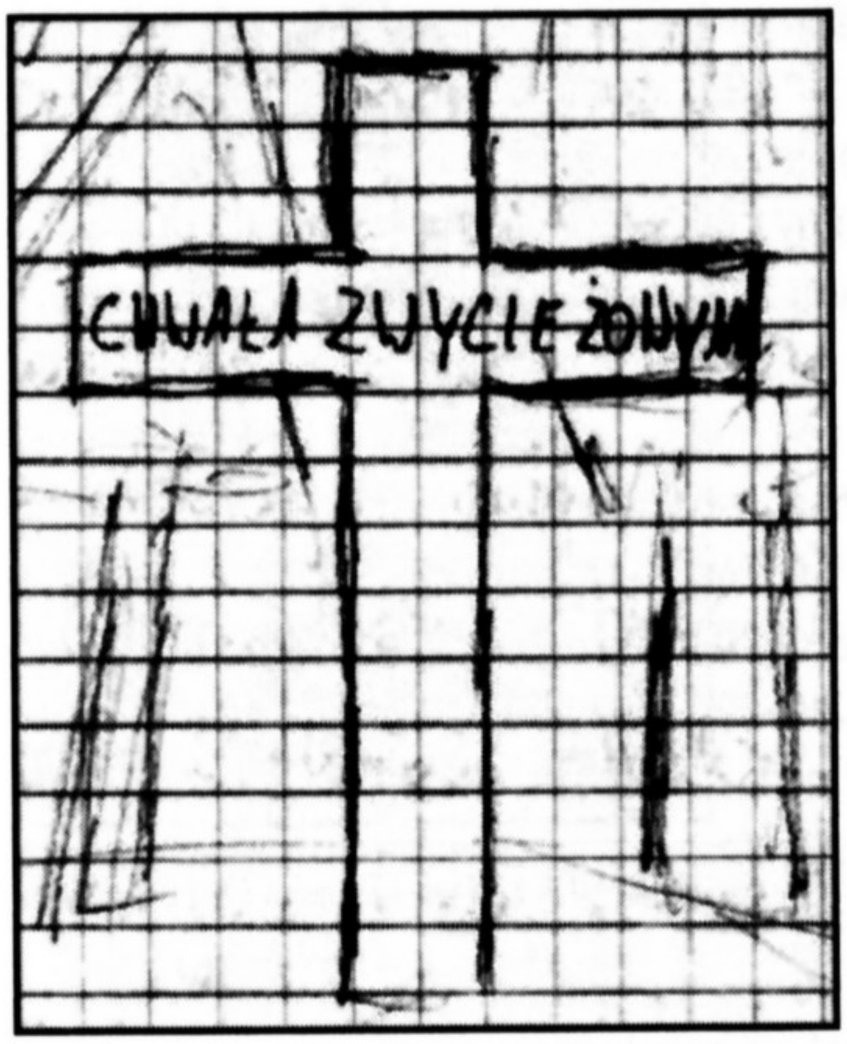

Rys. 210. Przez Chrystusa, z Chrystusem i w Chrystusie

Wspólnie z bohaterami Tarnopola, jeśli jeszcze gdzieś są i uratowali się spod łap rezunów, składamy hołd i wyrazy solidarności w postaci niniejszego opracowania i tych studenckich szkiców tak bliskiego nam kościoła. Moi drodzy rodacy z Tarnopola! To zarazem oferta. Zgłoście się, jeśli dotrą do Was te słowa. Podaruję wam wiele innych studenckich prac z Waszą historią związanych. Może wystawę nawet skromną zrobimy. Są piękne i wzruszające. **Bardzo pragnę, aby patronował jej wasz wielki kapłan prowadzący każdego drogą prawdziwej miłości.** Wiecie przecież gdzie i kiedy ona się kończy. Więc pośpieszcie się. Jesteście w ojczyźnie (póki jeszcze istnieje) przez nas ukochani. Pamiętacie? Ks. Józef zawsze wam to w kazaniach powtarzał: umiłowani w Chrystusie Panu! To credo do Was kierowane jest dziś bliskie i ponadczasowe.

---

[58] Ks. Józef Anczarski, Kronikarskie zapisy z lat cierpień i grozy w Małopolsce Wschodniej, 1939–1946, Wydawnictwo Bł. Jakuba Strzemię Archidiecezji Lwowskiej Ob. Łac., Lwów–Kraków 1998, s. 13.

Historia kołem się toczy

Bardzo mnie męczy wczorajsza powierzchowność poznawania Tarnopola. Centrum, jakby sanktuarium miasta wymaga starannego przestudiowania. Otwieram notatki i widzę, ile ciekawych spraw w ogóle w tej wędrówce pominąłem. Więc postanawiam tam powrócić. Idę główną ulicą, która wlecze się stąd do dawnej Mickiewicza i przechodzę za wzgórzem wokół tzw. Stawu. Nie byle jaki to staw. Nad nim właściwie zaczął się Tarnopol, z woli krakowskiego kasztelana i hetmana koronnego Jana Tarnowskiego. To on pozyskał sympatię u króla do założenia nowego grodu (w okolicach Trembowli) na pustynnym wtedy terenie. Rozpoczął historię rodakom nie obojętną, godną zapamiętania. **Całe narody przecież bez pamięci giną. Jest na to aż nadto dowodów.**

Więc przypomnijmy: **nad Stawem powstał zalążek polskiego Tarnopola już w 1540 r.** Udana lokalizacja sprzyja rozwojowi pomysłu, wszak po kilku latach (w 1548 r.) osada otrzymuje prawa miejskie. Może z tego powodu, nieco później napada na nią przestraszony czambuł tatarski i trzeba ją przekształcić w twierdzę. Powstaje majestatycznie ulokowany zamek, otoczony potężnymi murami obronnymi z dwiema basztami w narożach. Reszty dopełnia okalająca go rzeka Seret i powiększony, rozlewisty staw, do dziś właśnie w tej formie zachowany.

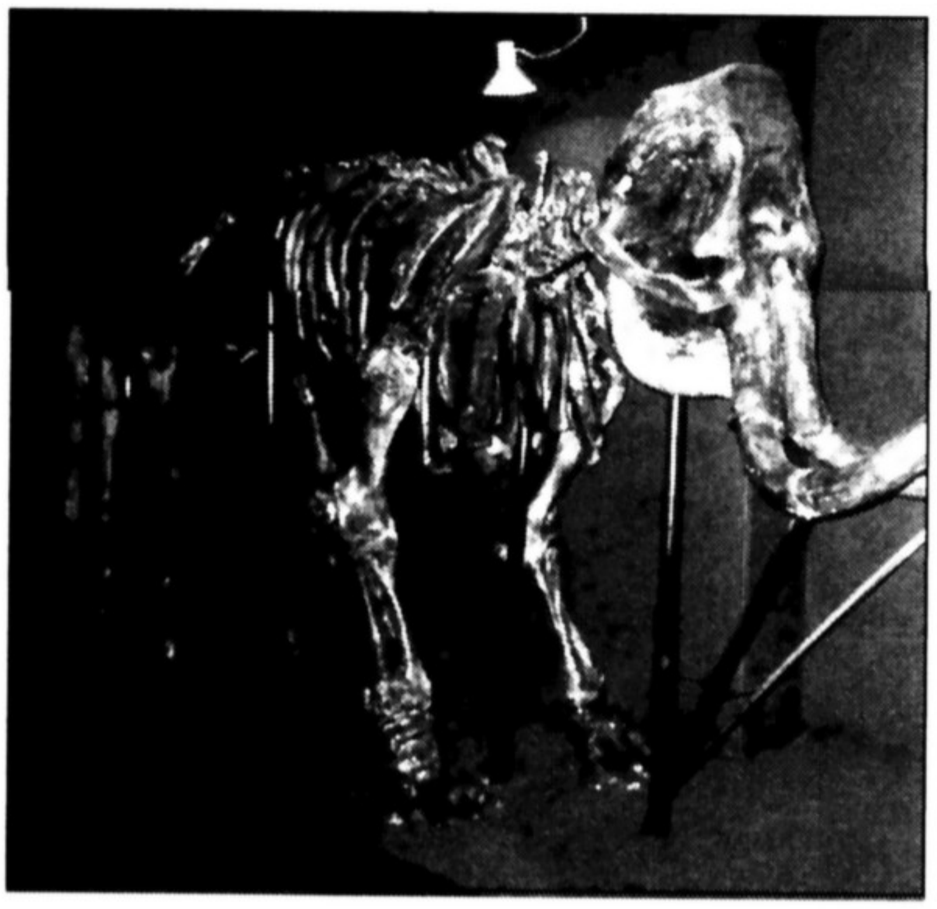

Rys. 211. Mamut w tarnopolskim muzeum

Rys. 212. Dzieje tarnopolskiej ziemi

Wejście dla wrogów do bastionu polskości zostało zablokowane. Chroni je też od strony miasta zwodzony most, otwierany tylko za zgodą władcy. Budynek mieszkalny (ze strzelnicami w przyziemiu) wznosił się od strony rzeki. Jego część środkowa górowała wśród dwukondygnacyjnych skrzydeł, zamkniętych bocznymi alkierzami. Górowała, wszak historia kresowych twierdz, których było tu pełno, kołem się toczy i ślady po nich bezpowrotnie teraz giną.

Wymowne kto i dlaczego niszczy ten zabytek, z którego pozostał dziś mały, niecekawy zaledwie fragment, nadal zwany jakby dla ośmieszenia tych wielkich wspaniałości „zamkiem". Praktycznie niewiele tu jest do zwiedzania. Poza tym w tym miejscu uczy się obecnie młodzież trenująca metody hreko-rymśkoji borot'by, czyli sposoby prowadzenia najrozmaitszych walk zapaśniczych. Więc nie przeszkadzajmy jej.

Przejdźmy nad Stawem do grekokatolickiej cerkwi Podniesienia Krzyża, zwanej *Nad Stawom*. To piękny zabytek tradycji architektonicznej Podola, wyraźnie się wyróżniający. Od niej niestety, ul. Ruśka prowadzi wśród socrealistycznych gmachów do tego „cesarsko-królewskiego" śródmieścia, którego czas także nie oszczędził i nie jest już imponujące jak na starej widokówce. Tak zresztą, jak i inne fragmenty miasta, wymaga pilnych prac restauratorskich. **Mimo to, bez trudu odnajdujemy dawne cuda.** To przede wszystkim budowle sakralne (o kościołach piszemy w dalszej części opracowania), w tym rzucająca się w oczy cerkiew *Narodzenia Pańskiego z 1602 r.* W jej wnętrzach, pod kopułą, mieszczą się praktycznie dwie oddzielne cerkwie z cudowną ikoną Matki Bożej Tarnopolskiej (przeniesioną z cerkwi Nad Stawem), cel popularnych pielgrzymek.

Rys. 213. Postępy w cywilizacji

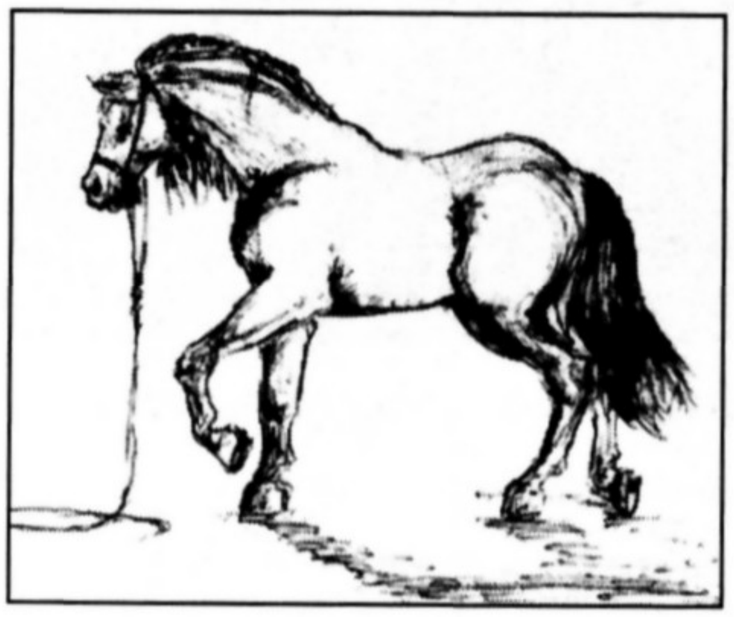

Rys. 214. Kossakowski konik

W śródmieściu znajdziemy również dwa muzea wywodzące się z dawnego Podolskiego Muzeum, założonego jeszcze w 1913 r. Jest to Muzeum Krajoznawcze (umieszczone w budynku późnego Breżniewa) i Muzeum Malarstwa z pomieszczeniami dla organizowania aktualnych wystaw. W centrum są także dwa dworce; kolejowy i autobusowy, przy czym większy dworzec autobusowy zbudowany został w dość odległej części miasta. Dzielnic w Tarnopolu praktycznie nie ma. To bardzo jednolity teraz organizm architektoniczny i mimo, że liczy ponad 220 tys. mieszkańców, nie daje się podzielić na wyodrębniające się fragmenty. **Funkcjonuje tu słowo „Za gorodom" ustalające np. położenie cmentarzy. Przy takiej dychotomii, cała reszta jest „W gorodzie".**

Zwiedziłem te muzea chętnie, choć niekiedy z zaciśniętymi zębami, gdy oglądałem radość z powodu noża w plecy, jaki otrzymaliśmy we wrześniu 1939 r. **W walce z faszystowskim okupantem lała się wtedy strumieniami krew, a tu taaka radość i śpiew.** Okazuje się, że i śpiew może być symbolem podłości!

Po zwiedzeniu muzeów (w malarskim jest piękny obraz Kossaka), wybrałem się na cmentarze. Miała to być ucieczka od radości i śpiewu, ale także nadzieja na odnalezienie cząstki wielkich dziejów miasta, pisanych nazwiskami wybitności tego grodu, których zabrakło w muzeach. W praktyce okazało się to nie takie proste. W każdym razie trudniejsze niż w teorii.

W literaturze na tę okoliczność jawią się tak wielkie nazwiska, jak **bł. Jan Beyzyn SJ** (1830–1912) z miejscowego

Rys. 215. Uczniowie Liceum Krzemienieckiego na muzealnej planszy

kolegium jezuickiego, wsławiony opieką nad trędowatymi na Madagaskarze. Wymieńmy też arcybiskupa **Eugeniusza Baziaka** (1890–1962) – ostatniego metropolitę w polskim Lwowie. Z naukowców, sławę osiągnęły m.in.: **Kazimierz Ajdukiewicz** (1890–1963), **Aleksander Bruckner** (1856––1939) – odkrywca *Kazań świętokrzyskich,* **Kazimierz Michałowski** (1901–1981) – odkrywca legendarnych fresków z Faras, **Stanisław Ostowicz** (1906–1939) współzałożyciel Krakowskiej Grupy malarzy i grafików, **Josef Perl** (1773–1839) – zwalczający ruch chasydzki, a piszący w językach hebrajskim i jidysz. Wymieńmy jeszcze **gen. Franciszka Kleeberga** (1888–1941) – walczącego z niemieckim okupantem do ostatnich dni września 1939 r. i **Kazimierza Pużaka** (1883–1950) zmarłego w więzieniu sowieckim w wyniku sfingowanego „procesu szesnastu w Moskwie".

Rys. 216. Radość z zadanego nam noża w plecy

Sądziłem, że odnajdę ślady tych wielkich ludzi w muzeum lub być może na cmentarzach. Nie udało się. Chciałbym wierzyć, że to mój jedynie pech, tym bardziej, że nie korzystałem z żadnych fachowych przewodników i byłem już zmęczony. Odwiedziłem bowiem najpierw cmentarz żydowski po przeciwległej stronie katolickiego, ulokowany bezpośrednio przy przystanku. **To niewielki dziś kirkut i w szczątkowej formie chyba ocalały.** Zachowało się co najwyżej kilkadziesiąt grobów, przy czym niektóre macewy są już tak przyniszczone, że trudno je zidentyfikować. **Żal tej dewastacji.** Na szczęcie cały teren jest już ogrodzony i mocno zabezpieczony.

Podobnie też wygląda sytuacja na cmentarzu katolickim, gdzie wiele grobów polskich niszczeje z dnia na dzień i są już nie do uratowania. Wśród żywych rodaków jest niewielu, a groby dawnych polskich tarnopolan coraz częściej zastępowane są współczesnymi mieszkańcami grodu, głównie Ukraińcami i Rosjanami. Pocieszające, że u bram cmentarza zachowała się kaplica cmentarna, gdzie odprawiane są msze w języku polskim. To taka maleńka oaza polskości wśród umarłych, ale ważna dla potomnych.

W kręgu narodowej niepamięci

Tu, w Tarnopolu, współczesność i historia chodzą jedną drogę. Tylko mnie na niej trudno się odnaleźć. Może dlatego, że za mało historii, a zbyt wiele współczesności. Więc wracam do tej historii raz jeszcze. Jest ona stara i częściowo znana. Ale nade wszystko ciekawa, nawet z tym Antychrystrem znad Zbrucza – jak nazwano posąg Światowida z IX w. wykopany w czasie suszy z dna tej rzeki. Jest to jednak sensacja i ciekawość nie tylko dla wtajemniczonych. Jest po prostu cudownym śladem naszych słowiańskich wszechczasów tak doszczętnie zniszczonych. **Można ją jeszcze odwiedzić w muzeum archeologicznym w Krakowie.** Tutaj uchodzi uwadze. Miasto Tarnopol żyje inny-

Rys. 217. Kopia Światowida w Tarnopolu

światowej i po jej zakończeniu. Niech przykładem tego będzie masakra więźniów w centrum miasta opisana w Tygodniku Morze i Ziemia[59].

Z relacji osób przeżywających mordy na Polakach w okresie okupacji sowieckiej zapoczątkowanej w dn. 17 września 1939 r. wynika, że już o godz. 15 tego dnia zapoczątkowano rzeczy straszne...

„[...] Przez miasto przelewały się kolumny czołgów w kierunku Lwowa i już tego samego dnia wieczorem rozpoczęły się masowe aresztowania, przeprowadzane przy pomocy usłużnych informatorów, pochodzących z kręgu nielicznej KPZU i biedoty żydowskiej. Od tej chwili trwał nieprzerwanie proces wyniszczania elementu polskiego w mieście. Duża część społeczności ukraińskiej pomagała Sowietom w tej akcji niszczenia *Lachów*... wzbierały fale aresztowań, jak to mi sprawami. Tymi na co dzień, tworzącymi historię powszechną. To ona wielokrotnie je niszczyła, burzyła, ale i odbudowywała. Często od podstaw.

Pod koniec XVII w. (1694) dzieła zniszczeń dokonali Tatarzy, w ostatnim już na szczęście napadzie. Niewiele to dało, wszak barbarzyństwo półsiężycowców wkrótce zastąpione zostało tymi spod znaku orła dwugłowego, jakby po dwakroć zachłanniejszego. **Pustoszą to miasto dwukrotnie:** w 1710 i 1733 r. Nawiedzają je potem (w kilkadziesiąt lat później) **konfederaci barscy, a po nich wojska koronne i znowu Moskale.**

Targowica trwa, i w 1772 r. zdobywają je Habsburgowie. Mimo tych walk i klęsk jakoś się rozwija i w 1880 r. liczy już ponad 25 tys. mieszkańców. Zahamowanie rozwoju przychodzi wraz z wybuchem I wojny światowej, o której już dużo wiemy. Polacy odzyskują „to miasto" mogące być przykładem przysłowiowej galicyjskiej nędzy. Z trudem opanowują sytuację i tworzą tu ośrodek wojewódzki II Rzeczypospolitej. **Zapłacą za to morderczą falą przyniesioną przez bandę rezunów w okresie II wojny**

Rys. 218. Zawisza Czarny i kniaź Ostrowski (Bitwa Grunwaldzka)

[59] Tygodnik Morze i Ziemia, nr 17 z 1989 r.

Rys. 219. Siodło polskiego magnata i zbroja

miało miejsce po wrześniowej masówce, w październiku 1939 r., 10 lutego 1940 r., marzec – aresztowania młodzieży harcerskiej, wkrótce potem czarna noc 13 kwietnia 1940 r., pobór do wojska sowieckiego i wreszcie czerwiec 1941 r. Resztki Polaków wybrała nocna branka 22 czerwca 1941 r., zarządzona na wieść o wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej. Machina NKWD-owska działała metodycznie według przygotowanego scenariusza... Po mieście krążyły pogłoski wywołane obserwacją wzmożonego ruchu wokół więzienia – o specjalnych oddziałach NKWD dokonujących masowych mordów w więzieniu, z którego dochodził szum potężnych silników traktorowych.

W ciągu trzech dni od zajęcia Lwowa przez Niemców...po południu do Tarnopola wkroczyły pierwsze oddziały Wehrmachtu. Jednak przed zajęciem miasta, NKWD uciekając z Tarnopola, popędziło przed sobą ulicą Tarnowskiego na Podwołoczyska kolumnę więźniów, która przyglądającym się mieszkańcom miasta nie wydawała się być aresztowanymi. W kolumnie rozpoznano ostatnie resztki inteligencji polskiej, która ostała się tylu falom aresztowań. Na rogu ul. Tarnowskiego i Chopina, Zygmunt Zalewski – dyrektor Banku Hipotecznego padł na ziemię, nie mogąc iść dalej. Zginął przebity bagnetem NKWD-owca, który oszczędzał amunicji i nie chciał robić hałasu. Kolumna składała się z około 1000 więźniów... w dniu 3 lipca 1941 r., gdy rano, do niestrzeżonego i na zewnątrz wyglądającego na opuszczone więzienia przy ul. Mickiewicza wdarli się tarnopolanie szukający śladów po swych bliskich, Bolesław Zalewski, będący w pierwszej grupie, która po wyłamaniu bramy wdarła się na teren więzienia tak opisuje:

„[...] na drugi dzień po zajęciu Tarnopola przez Niemców poszedłem zobaczyć gmach więzienia przy ul. Mickiewicza. W piwnicach sądu były wykopane długie rowy na szerokość człowieka. Grzęźliśmy po kolana w błocie z krwi. I tak doszliśmy do ogromnej piwnicy pośrodku, która miała około 10 m × 10 m. Pełna była trupów. Kilofem odwróciłem dwa ciała. Prawdopodobnie byli to dwaj lotnicy niemieccy, zestrzeleni niedaleko od Tarnopola. Ręce mieli związane do tyłu drutem, ramiona połamane w kilku miejscach. Twarze – to jedna plama krwi. Tak obeszliśmy wszystkie pomieszczenia sądowe. Znalazłem tam dwa pomieszczenia wolne od trupów o rozmiarach 3 m × 5 m, wysokości 3 m, zapełnione aż pod sufit dowodami osobistymi. W jednej piwnicy znalazłem człowieka – nie miał chyba 30 lat. Był zakopany w ziemię po pępek, ale głową w dół. Do góry sterczały nogi w butach

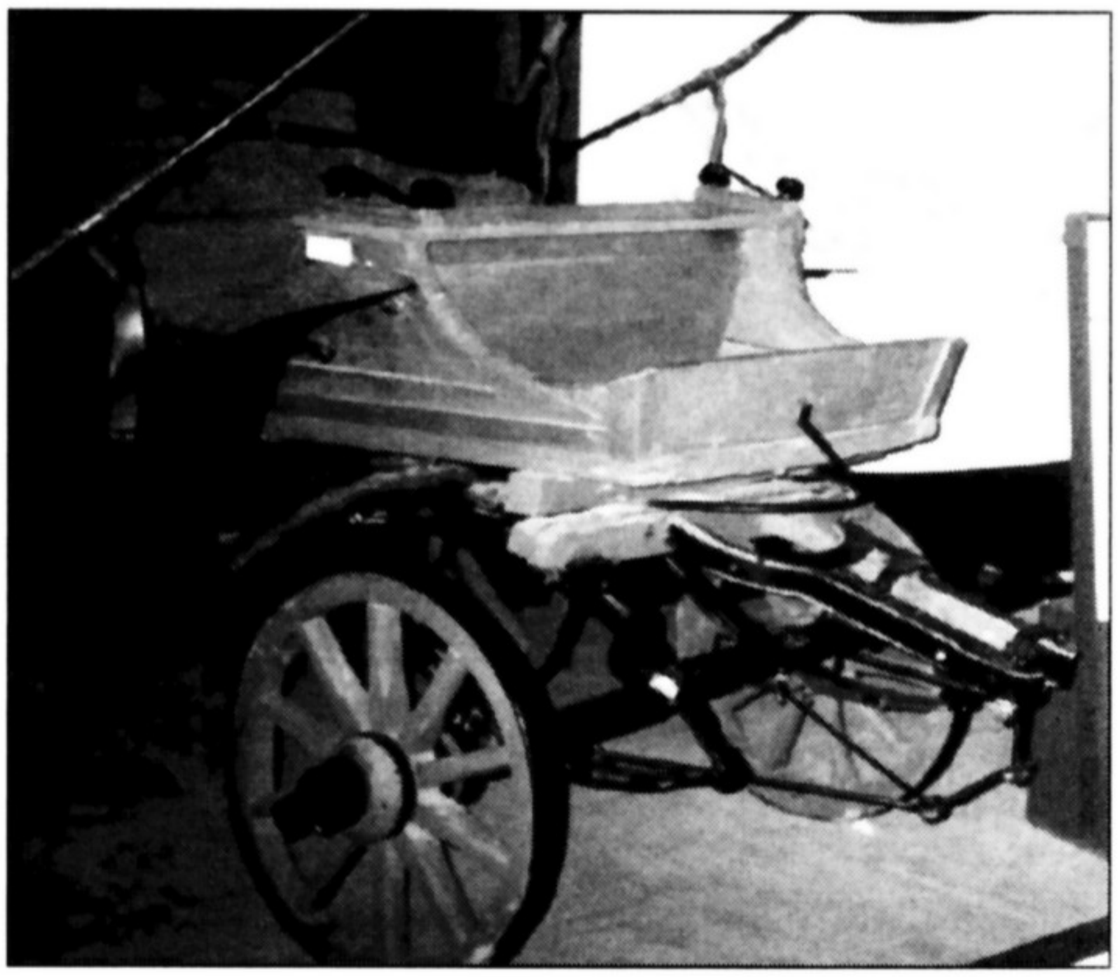

Rys. 220. Taczanka bojowa

Rys. 221. Oprawca z tamtych lat

narciarskich, nawet nie zniszczonych. Na podwórzu więziennym odkryto pod zieloną murawą wielką zbiorową mogiłę. Ekshumowanych w następnych dniach chowali Żydzi na cmentarzu na Mikulinieckiej w olbrzymim kurhanie z krzyżem, na którym w miejscu Chrystusa umieszczono *tryzub,* anektując w ten sposób zamordowanych Polaków. W mogile na podwórzu więzienia przeważnie byli pochowani Polacy, pomordowani w śledztwie i rozstrzelani w okresie od września 1939 do czerwca 1941 r.

Inna grupa tarnopolan poszukujących swych bliskich, wśród której byli m.in. Piotr Woźniak, Hapanowicz, Władysław Garbaszewski, pośród sterty trupów odkryła dającego jeszcze znaki życia ucznia III Gimnazjum Bolesława Ostrówkę, który zmarł następnego dnia w szpitalu, a Niemcy pozwolili na manifestacyjny pogrzeb. Wśród dokumentów W. Garbaszewski znalazł dowód i fotografie Żarki Karausza, aresztowanego w marcu 1940 r. członka Tajnej Organizacji Harcerskiej...

Trupy ofiar NKWD-owskich wywoził z więzienia cały lipiec szofer Władysław Hałkowski, zmuszony przez Niemców do tej pracy. Po znalezieniu

Rys. 222. Fragment panoramy wojennej Tarnopola w 1944 r.

zmasakrowanych ciał niemieckich lotników, Ukraińcy zawiadomili Niemców, wskazując na Żydów współpracujących z Sowietami przez okres sowieckiej okupacji. Z podpuszczenia Ukraińców – jak wspomina dr Otto Schorman, adwokat tarnopolski, obserwujący zajścia ze swego mieszkania – rozpoczął się pogrom Żydów trwający od 3 do 6 lipca 1941 r.; „[...] z mego ukrycia przez małe okienko patrzyłem na wszystko. Masakrę obserwowałem w detalach [...]. Ukraińcy od wieków brali udział w pogromach i czekali tylko dnia, kiedy będą mogli rżnąć Żydów. [...] uzbrojeni w siekiery wskazywali Niemcom mieszkania żydowskie, nie

znając języka niemieckiego, radzili sobie wskazując *Jude* [...]; w pogromie zamordowano 5000 Żydów, przeważnie mężczyzn [...]"[60].

Te wstrząsające fakty zacierają dzisiaj swoją wymowę. Sądzę, że to efekt zmowy milczenia wokół nich i jakiegoś piorunującego zniewolenia. W praktyce wdarło się ono aż do podświadomości. Mówienie o tych potwornościach nie ma w skutek tego szans przebicia się i przełamania wrogich nam postaw społecznych. **Oczywiście wbrew elementarnym ludzkim odruchom nakazującym należyte uhonorowanie niewinnych ofiar. Dodajmy i tych, którzy starali się udzielić im życzliwej pomocy. Jest przecież niemało Ukraińców odnajdywanych w tym szlachetnym dziele.**

Rys. 223. Walka o Polskę trwa

Także ich nie znamy. I stan ten ciągle trwa, tak jakby działalność żydowskiego Instytutu Jad Waszem niczego nas nie nauczyła. Okazuje się przecież, że można sprawców zbrodni (mimo trudnych warunków) ścigać, a przykłady normalnego człowieczeństwa honorować. **Całe aleje drzew na potwierdzenie tego Polakami w Jerozolimie wysadzono.** Ale często najciemniej jest pod latarnią i fakty te dobrze znane historykom, nie docierają do szerokich warstw ludności. Wyczuwa się totalne wysiłki na rzecz ich przemilczania, a przy bezpośrednich kontaktach bezkarnego szczucia osób je ukazujących.

Co gorsza, nie widać symptomów odwrócenia sytuacji pozwalającej na ujawnienie ich w szerszej skali. **Nie widać tu również osiągnięć Instytutu Pamięci Narodowej, który winien wyrywać nas z kręgu Narodowej Niepamięci o tak istotnych sprawach.** Przecież przeciętny mieszkaniec Tarnopola nadal nie ma o nich pojęcia. Wcale nie lepiej jest w naszym kraju. **Ale to my, w pierwszej kolejności tendencje te powinniśmy odwrócić.** A tu żadnych oznak tego nie widać. Co gorsza, przyszłość mają dzieje Harry Pottera. Młodzież często zna je w najmniejszych szczegółach. Ale nie wie, że tu, w Tarnopolu przygód nie było. Stworzono kulturę śmierci i cierpienia, a moralnym był ten, kto więcej zabijał Polaków i cierpień im przysparzał. Tyle tylko, że Chrystus tarnopolski nie uznawał takiej moralności i dlatego chyba utracił tu krzyż i ręce. Właśnie tu, w Tarnopolu, na utraconej przez nas ziemi.

---

[60] Zob. na ten temat C.E. BIicharski, Tarnopol w latach 1809–1945 (od epizodu epopei napoleońskiej do wypędzenia). Biskupiec 1993, s. 301.

Nie bójcie się cmentarzy

Nieprawda, że nocą tu straszy. Odwiedzajcie cmentarzyska. Tyle w nich wielkiej i małej historii od zarania naszych dziejów ukrytej. To przecież dzieje człowieka i ludzkości. **Potrzebna tu tylko zaduma.** Przeżywałem takową w Laskach na terenie województwa wielkopolskiego. To chyba największe cmentarzysko w Polsce, które przestało pełnić (jak wszystkie cmentarzyska) funkcje chowania zmarłych. Były tam prowadzone badania nad licznymi stanowiskami archeologicznymi, obejmujące ok. 2000 mogił. Dużo już dziś wiemy o tych ludziach i kulturze prehistorycznej i dobrze, że zajmują się nimi fachowcy.

Rys. 224. Kirkut w Tarnopolu

Gorzej jest z takimi miejscami, jak cmentarze w Tarnopolu.

To wydzielony jak zwykle teren, służący do grzebania zmarłych.

Tak w grobach pojedynczych, jak i zbiorowych, a także służący do przechowywania prochów po ich kremacji. Działalność ta jest cechą całej ludzkości związaną z kultem zmarłych i wiarą w nieprzemijanie, kontynuowane w życiu pozagrobowym. Znane są odrębne sławne cmentarze prehistoryczne Egiptu (groby skalne np. w Gizie), Grecji, Rzymu, zakładane z reguły w miejscach wielkiego spokoju i poza miastem. Ale z reguły także przy wielkich drogach (w Rzymie via Apia).

Rys. 225. Macowa z polskim tekstem

Nieco odbiegała od tych zasad praktyka chrześcijańska chowania zmarłych na terenie poświęconym, przyległym do kościoła. Dopiero w XVIII i XIX w. chrześcijanie likwidowali ze względów sanitarnych i ekonomicznych cmentarze przykościelne, zakładając równocześnie cmentarze na terenach podmiejskich, stwarzających warunki dogodniejsze również dla tzw. cmentarzy komunalnych. **Były to już rozwiązania projektowane na założeniach ogrodowych, wyposażone w nagrobki i krematoria oraz kaplice religijne.** Oddzielne tereny, wydzielano dla cmentarzy wojskowych będących szczególną formą ochrony pamięci o zasłużonych obywatelach państwa. W naszym polskim przypadku chlubę stanowi taki cmentarz np. na

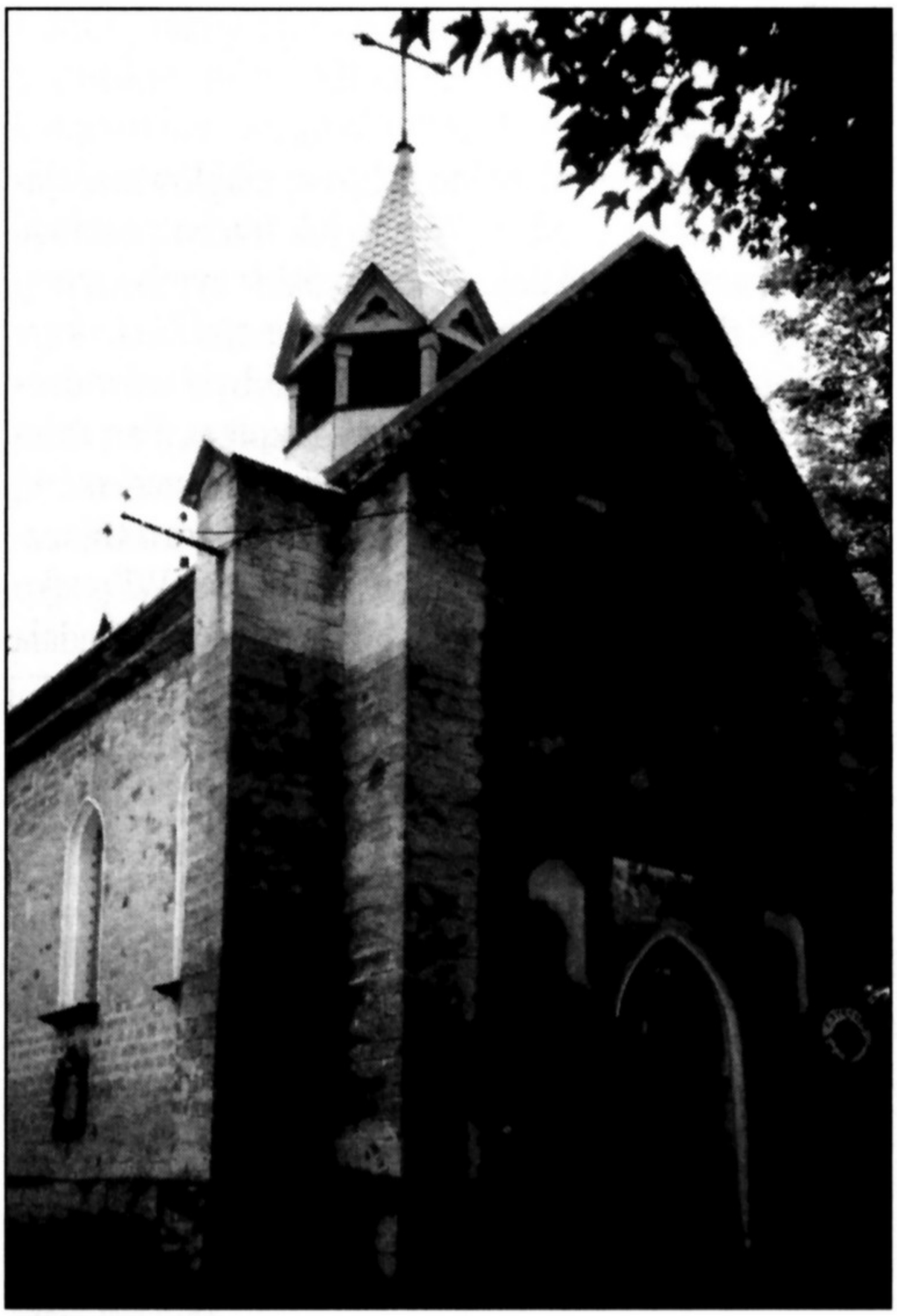

Rys. 226. Kaplica cmentarna

Monte Cassino we Włoszech lub szerzej cmentarz również wielkich bitew XX w. w Verdun.

Na tym tle doskwiera brak pamięci o cmentarzu w Tarnopolu. Znajduje się on poza miastem, ulokowany jednak podobnie jak i cmentarz żydowski (kirkut) przy głównej drodze i nawet z dobrym dojazdem. Katolicki jest nadal czynny, żydowski przypomina raczej cmentarzysko i to zachowane w szczątkowej formie. Tyle, że dobrze ogrodzone. **Za bramą cmentarza katolickiego ostała się nie-**

Rys. 227. Jeden z grobowców

wielka kaplica cmentarna spełniająca funkcje kościoła dla katolików.

Od niej prowadzą główne i liczne aleje z grobami starymi i nowymi, utrzymywanymi często przy najmniejszej trosce o ich przetrwanie. Wiele jednak grobów (szczególnie nowo powstałych) cechuje troska, a czasami nawet przepych, co nadaje cmentarzowi jego uniwersalny charakter: trwania i przemijania tego, co jest. **Nie brak w tym miejscu dziejów polskości i to tak bogatej, że można o niej mówić wiele lub nic.** Dla szacunku dla tego miejsca nie powiem nic. Wierzę, że doczeka się ono lepszej pamięci i uwagi. Uwagi fachowej, ale i odważnej, zdolnej do ocalenia pamięci wielkich synów naszego narodu.

Stare młyńskie koło

To dobry pomysł. Jest tu dopływ wody, koło młyńskie, pełno żelazek, maglownic, starych gratów gospodarskich, ruszt do pieczenia kiełbas. Ale tu już trzeba postawić kropkę, bo zapowiada się zbyt długie zdanie. Więc dalej...koło młyńskie symbolizujące niczym czarci żleb, pełno kwiatów, dzbanów i dzbaneczków, fontanna latem każdego chłodząca i te wspaniałe tradycyjne potrawy, które i lokale Mc Donalda mogłyby z powodzeniem popularyzować. **I wszystko to w dawnym starym młynie, z zabytkowym kołem.** Pan dziekan, który wykroił trochę czasu dla mnie (ostatnio gościł tu nawet moich radomskich studentów) potrafi te potrawy znakomicie wartościować: **to smaczniejsze, to tak sobie, a to wyjątkowo smaczne.** No cóż we wszystkim się z nim zgadzałem, więc tym razem wszedłem w konflikt. – Wszystko dobre, panie dziekanie, nic tu nie ma gorszego, uzasadniałem swoje racje, gdy kelnerka nakładała jakieś pyzy z malowanego dzbanka...

– Jak to nazywacie? – odezwała się sąsiadka łamaną ukraińszczyzną.

– Nie znaju – dumnie odpowiedziałem, że jest ktoś na Ukrainie, co sądzi, że ja lepiej od niego posługuję się tą mową. Dla podtrzymania tego ducha nawet dodałem:

– A u was smetany, znaczit sliwki, nie tu? – wychyliłem się w przekonaniu, że umacniam tezę, iż obcy nie jestem i z tą mową sobie jakoś radzę.

Rys. 228. Interior ukraińskiej chaty

Udało się. Przyczepiła się do nas chętnie i mieliśmy przez jakiś czas bardzo miłe towarzystwo. Rzecz jasna inicjatywę przejął po chwili pan dziekan, obawiający się zapewne mojej wpadki i uczył ślicznotkę prawdziwej wymowy ukraińskich nazw. Wreszcie w drzwiach pojawiła się liczna grupa turystów, jej rodaków z Kanady i nasza uczennica zaczęła ich zapraszać do pyzów polewanych sliwką, czyli po naszemu śmietanką.

Szkoda było tych ludzi. Tak w ogóle to starszych, steranych życiem i pracą, łzami oblewających dawne wyroby lniarskie, chałupnictwo, potrawy ludowe i cały młyn. **Wszystko nostalgicznie wytęsknione, przez długie, długie już lata.** W każdym razie na tyle długie, że trudno było odgrzebać dawne wspomnienia młyńskim kołem przytłoczone.

Rys. 229. Młyńska rzeka

– Ot, na takiej ciernicy ja jeszcze pracowałam, zwierzyła się staruszka usiłująca wygładzić wpięty do urządzenia len. Odstawała wyraźnie od całej grupy.

Większość turystów już dawno rozsypała się po ogrodach pełnych miłych zabytków i eksponowanych wśród form małej architektury pełnej wzgórz

i dolin, jakby zminiaturyzowanej całej tarnopolskiej ziemi. Młodzian barwnie ubrany, kamerdyner całego obiektu, dopełniał staruchom szczęścia statystując wśród błyskających kamer tak jakby to były całkiem do rzeczy jeszcze młode dziewczęta. **W miejscowym folklorze nie byłem zorientowany i nadsłuchiwałem jego rozmowy z jakąś panią wypytującą o szczegóły kolorowego stroju. Zrozumiałem, że to galicyjski.**

W rozmowie potwierdził że to: **„Hałyczyna”.** – Co to właściwie znaczy? upomniałem się o skorygowanie ewentualnych nieporozumień.

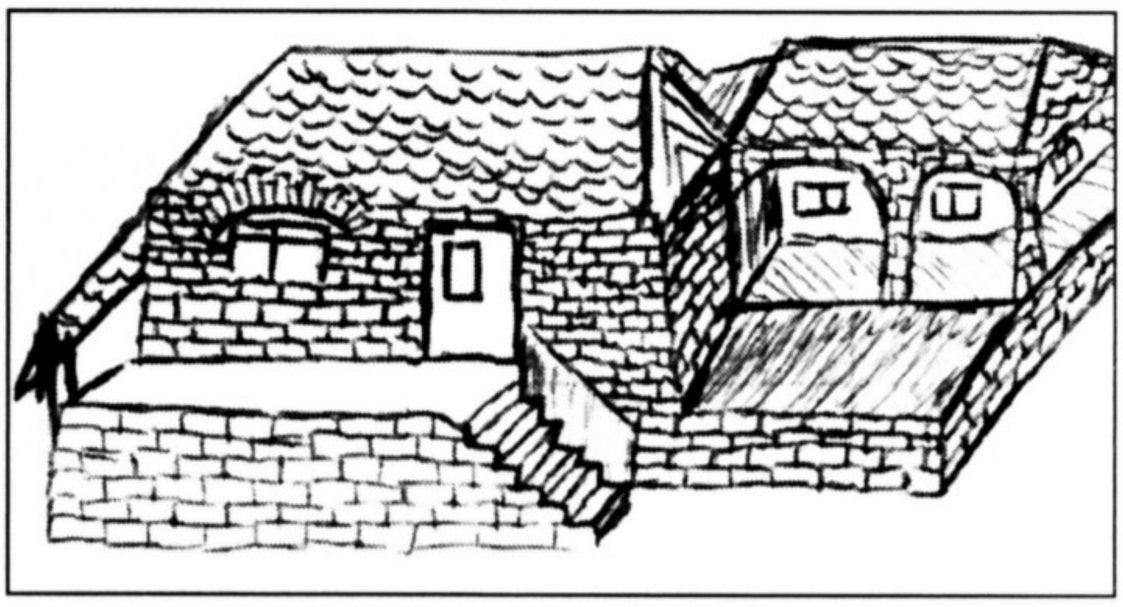

Rys. 230. Stary młyn

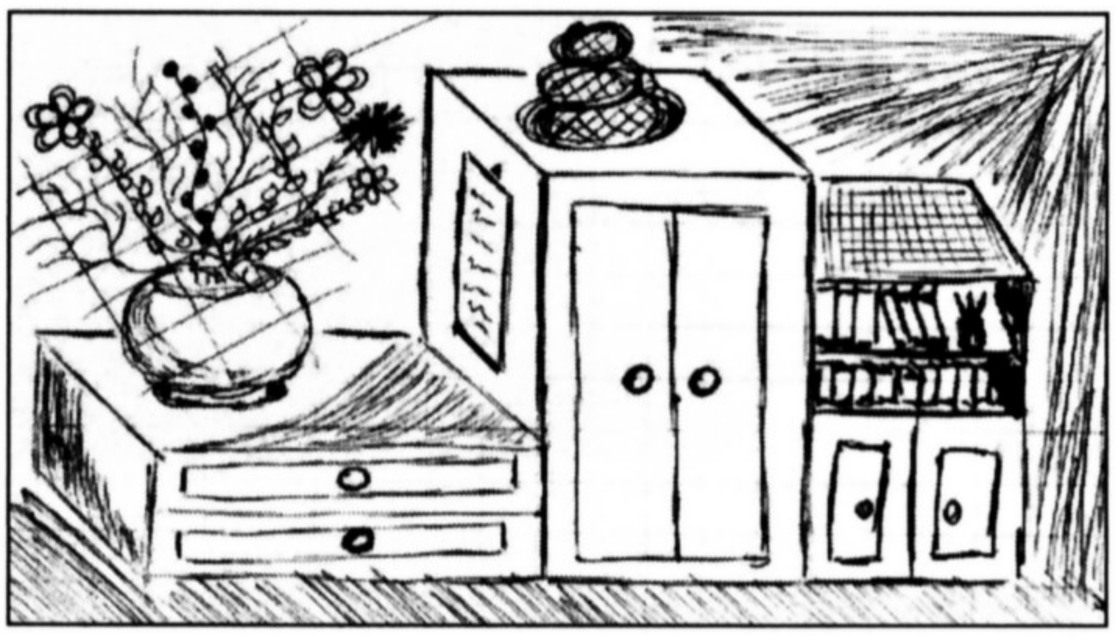

Rys. 231. Gabinet „uczonego”

– To część naszej Zachodniej Ukrainy. Od Tarnopola do waszej granicy i dalej...życzliwie mnie informował.

Mimo woli zacząłem się nad tym zastanawiać, wszak to dalej już znałem. Ta wielka Galicja obejmowała rzeczywiście tereny od Żywca i Wadowic poprzez Tarnobrzeg, Przeworsk i Drohobycz aż do Tarnopola, Zbaraża i Zaleszczyk nad Dniestrem. Była łakomym kęskiem ukraińskich nacjonalistów w rodzaju **Wołodymyra Kubijowycza** (1900–1985). Uzyskał doktorat w Krakowie na Uniwersytecie Jagiellońskim w 1923 r. Na tejże Uczelni pracował do 1939 r. Natychmiast po wkroczeniu niemieckich wojsk nawiązał z okupantem współpracę, porzucił polską żonę z córkami i odciął się od polskich środowisk.

U krakowskiego gubernatora **faszystowskiego gen. Hansa Franka** (skazanego na karę śmierci w Norymberdze w 1946 r.) zabiegał o deportację ludności polskiej z terenów nad Bugiem i Galicji. Stał się prekursorem dywizji SS „Galizien”, wsławionej zbrodniami na polskiej ludności. **W planach wielkiej Ukrainy mowa była o terenach sięgających niemal po rogatki Warszawy.** Więc płonęły polskie miasta i wsie nie tylko na ziemi tarnopolskiej, lecz i w całej Galicji. Płonęły i rozbudzały ukraiński motłoch szczuty przez faszystów w imię rzekomego tworzenia wielkiej samoistnej Ukrainy oznaczonej propagandą i kłamstwem. W artykule Tadeusza Kamińskiego *Tajemnica Czarnego Lasu* czytamy:

„Płoną polskie gospodarstwa, giną całe wsie, polscy chłopi mordowani są w najokrutniejszy sposób. Bandyci palą ich żywcem, wykłuwają oczy, obdzierają ze skóry i solą, ciężarnym kobietom rozpruwają brzu-

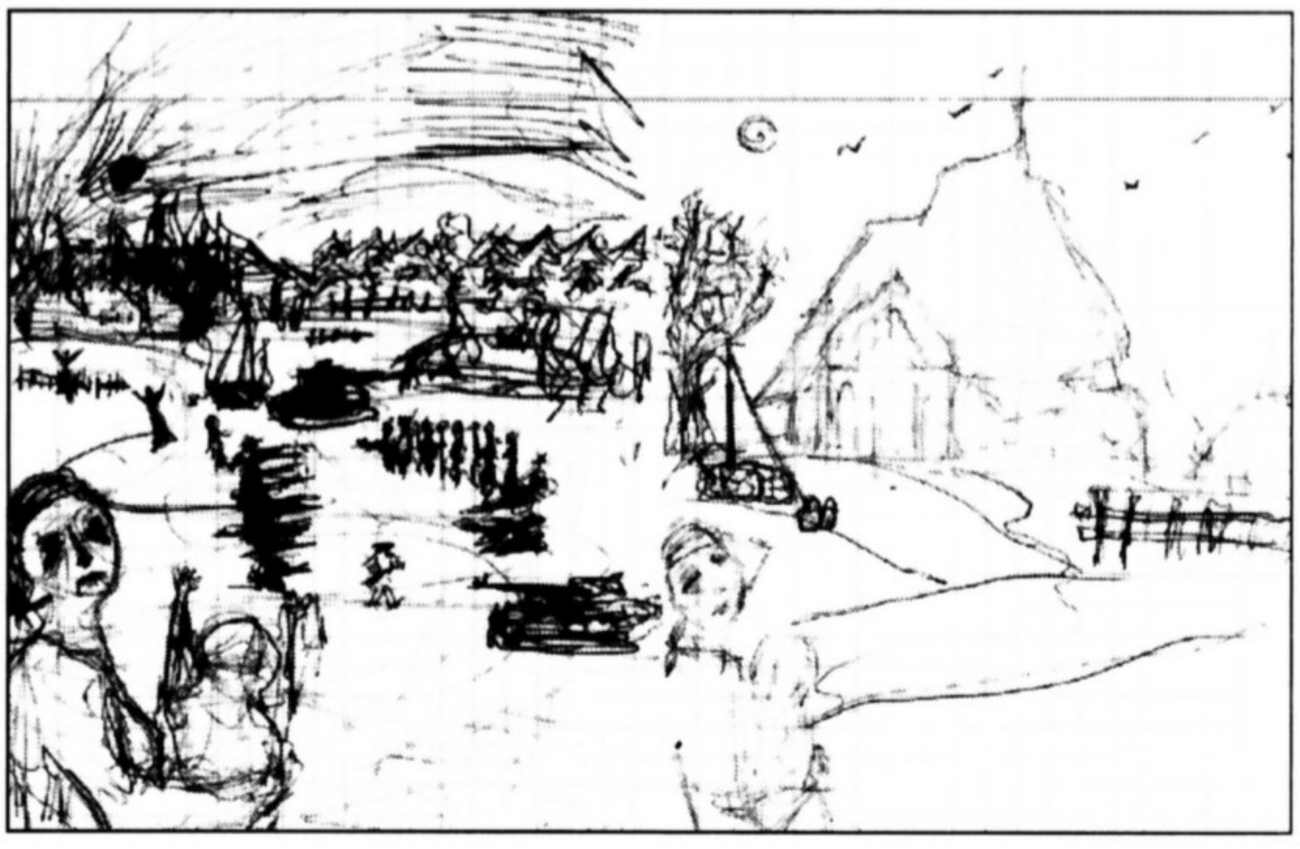

Rys. 232. Jego koncepcja

Rys. 233. Stroje ludowe z okolic Buczcza

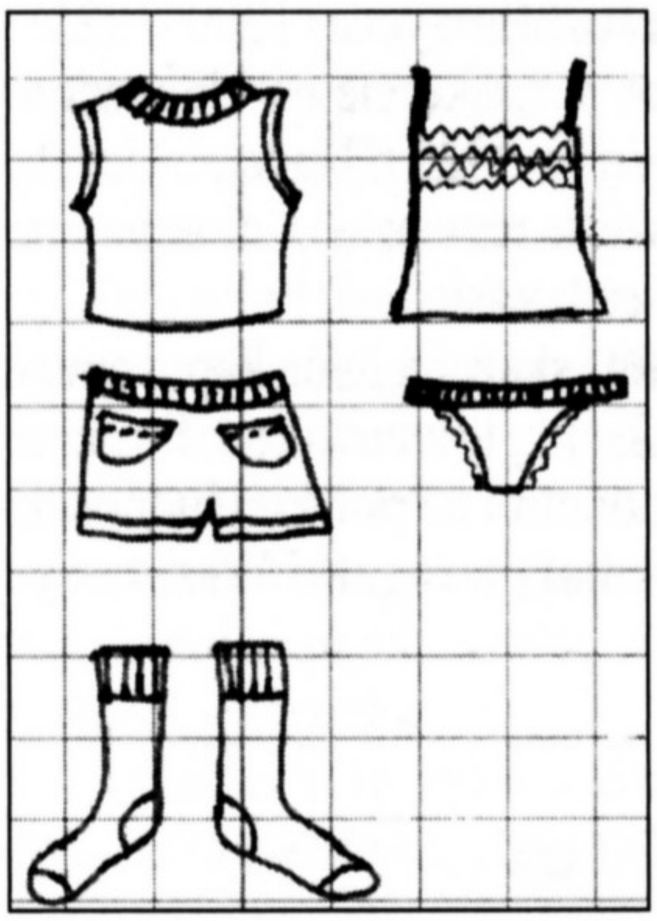

Rys. 234. Na upały

chy wypełniając je szkłem, niemowlęta przybijają do ścian podpisując: *Polśkij oreł.* Repatriantom Pokucia dobrze znane są tragedie Ludwikówki, Olesiowa, Łozowej, Rudy Brodzkiej, Wolicy, Bobuliniec, Ihrowicy, Buszczy, Fragi, Hanaczowa, Korościatyna, Bołdurów, Podkamienia, Tarnoszyna, Tomaszowiec, Wierzbowca i dziesiątków innych wsi. Ze szczególną zawziętością banderowcy mordowali kapłanów i palili kościoły obrządku rzymskokatolickiego, niewiele też brakowało, by w czasie ofensywy wojsk radzieckich, korzystając z krótkiego bezkrólewia, opanowali przedmieścia samego Stanisławowa".

Już boję się wspominać tamte czasy. Zbyt wiele okropności znów przypominają. W ramach przygotowań do tarnopolskich podróży niektóre starałem się dobrze rozpoznać i chciałem z młodzieńcem nawiązać na ten temat rozmowę. Zapragnąłem mu przekazać, jakie treści kojarzą mi się ze słowem „Hałyczyna". Nie podejrzewałem bowiem, że Bogu ducha winny młodzieniec ma złe intencje albo świadomie nawiązuje do negatywnych skojarzeń tego słowa. Jeśli czegokolwiek negatywnego można się tu doszukiwać, to chyba tylko przez nieporozumienie. Ale nieporozumienie zastępować trzeba zrozumieniem. I nie poddawać się manipulacjom. A te mają długą tu historię. Pamiętam, że od początku zbrodni na naszych rodach nie zabrakło wszelakich manipulacji ze strony niemieckich faszystów. Chcę o nich zapomnieć w tej gościnnej dzisiaj atmosferze. **To oni, ówcześni okupanci tych ziem rozbudzili diabelski szał i gdy tylko tu przyszli, zaczęli nieustannie podsycać rozpalony ogień.** Sugerując przy tym, że jest w interesie powstania niepodległej Ukrainy.

Za te nadzieje ludność ukraińska im się chętnie rewanżowała. Wprost szalała z radości, gdy weszli na terytorium wschodniej Polski. W muzeum tarnopolskim jest wymowny obraz tej scene-

rii. Widać dobitnie, jak witała oswobodzicieli wybuchami nadzwyczajnego entuzjazmu, kwiatami, darami i śpiewem. Niczym słowiczym. Jest na ten temat znacząca już literatura, nawet w Polsce pokątnie dostępna. Dowiadujemy się z niej, jak i dlaczego okupanci nie dotrzymali obietnic, które rozpłynęły się jak we mgle. Szkoda, że nie ma tu możności przytoczenia jej niektórych przynajmniej fragmentów. **Ograniczymy się więc do stanowiska ks. Anczarskiego.**

„Po dwóch latach krwawej wojny ze Związkiem Radzieckim, Niemcy poczęli rozglądać się za ludzkim materiałem do walki z komunizmem. Swoją ofertą zaszczycili Ukraińców. Stworzą dla nich osobną dywizję ochotniczą „SS Galizien – SS Hałyczyna". Ma to być szczególniejsze wyróżnienie dla nich. Do tej propozycji nie dołączyli żadnych obietnic. Ma być to zaszczyt dla narodu ukraińskiego, stanąć obok Niemców do walki z komunistycznym barbarzyństwem.

Rys. 235. W stylu dawnej Galicji

Prasa ukraińska z dnia 29 IV 1943 r. rozpisuje się szeroko o tej ukraińskiej dywizji strzelców ochotniczych. Mówi się wiele o długich pragnieniach narodu ukraińskiego, by stanąć do śmiertelnej walki z komuną. Całość argumentacji daje się krótko ująć słowami: ciągle prosiliście, byśmy wam pozwolili orężnie walczyć z komunistami – obecnie pozwalamy wam na to. I koniec. O wolnej Ukrainie ani słowa. Żadnych, nawet niezobowiązujących obietnic. Ani słowa o samoistnej Ukrainie"[61].

Znam to opracowanie i głęboko się nad nim (i jemu podobnymi) zastanawiałem. Naprawdę ani nasze **Galicja, ani ukraińskie Hałyczyna** nie działa na mnie radośnie i mimo woli psuje mi dobry nastrój. Pamiętam przecież „przysłowiową galicyjską nędzę", pamiętam **„Nachtigal" (słowika) z SS Galizien.** Ale przede wszystkim pamiętam nieco historycznych awantur, do których nie chciałbym w żadnym wypadku powracać. Wiem, że w momencie rozpadu Austro-Węgier w 1918 r. władzę w Krakowie i całej Zachodniej Galicji objęła Polska Komisja Likwidacyjna mimo toczącej się wojny polsko-ukraińskiej. Nie zapomniałem też traktatu w Saint-Gerrmain-en-Laye z 1919 r., w którym Austria zrzekła się Galicji.

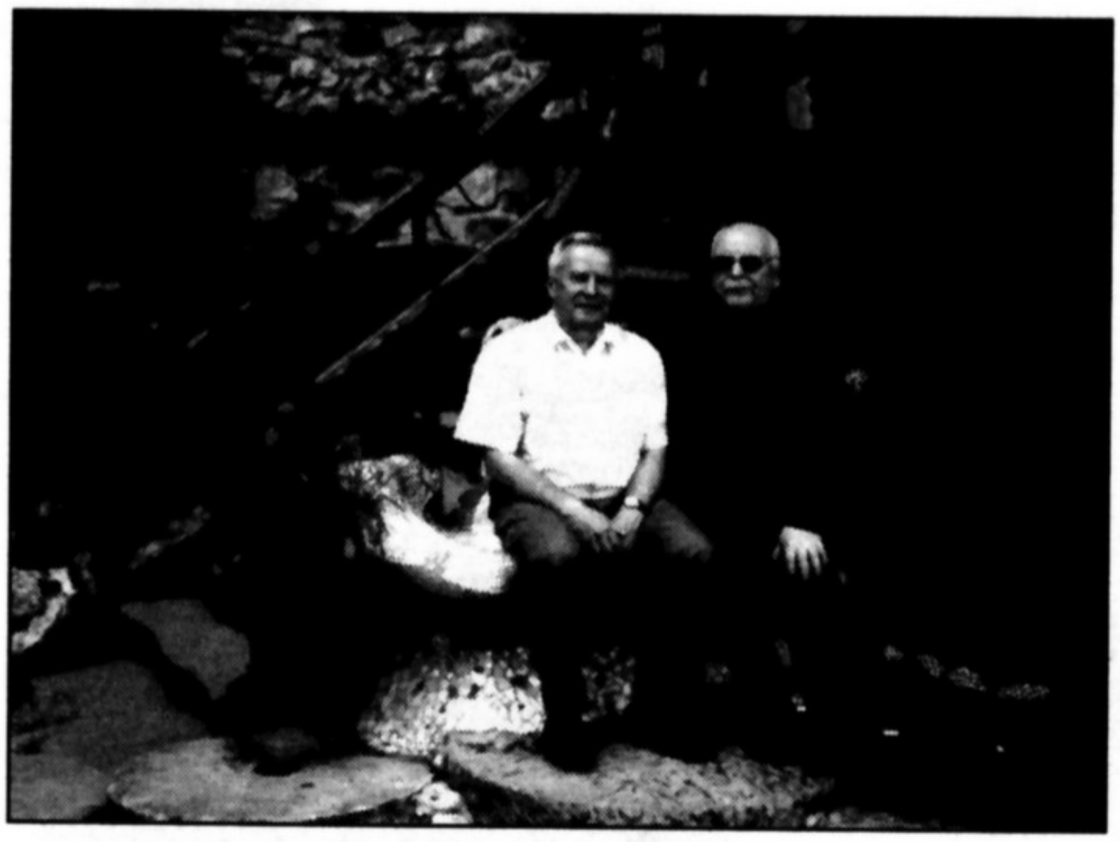

Rys. 236. W ogrodach młyńskiej karczmy

Na szczęście niedługo potem, w wyniku specjalnej Konferencji Ambasadorów (15 III 1923) nastąpiło przyznanie Polsce wszystkich terytoriów byłej Galicji. **Mimo to, banderowcy spod faszystowskiego znaku „Nachtigal SS Galizien" uruchomili w 20 lat później te okrutne rzezie na Polakach.** Więc cały ten ogród i młyn galicyjski w Tarnopolu zaczyna mi nie odpowiadać. Nie z tym powinienem obecnie kojarzyć Tarnopol, tym bardziej, że cały obwód tarnopolski przyłączono ongiś (w 1809 r.) do Rosji. Boże drogi, ile nas to wówczas kosztowało.

---

61 Ks. Józef Anczarski, op. cit. 273.

Nie ma więc aż takiej jednoznaczności galicyjskiej symboliki Tarnopola, bowiem nie tylko faktyczne, ale i formalne dzieje przywoływanej Galicji są skomplikowane i próby rozmowy na te tematy są za trudne i tylko mnie irytują. Przy tym wiele dat i spraw wyraźnie mi się miesza. Nie rozróżniam nawet obwodów, okręgów, obłasti i województw. Wychodzę do ogrodu i słyszę szczebiot jakichś ptaszków. Twierdzę, że to słowiki. – Ależ skądże, nie rozróżnia pan słowika od skowronka? słyszę odpowiedź moich sympatycznych gospodarzy. – Nawet od wróbla, odpowiadam dla humoru. **W rzeczywistości to sztuczny jednak humor. Wcale nie jest mi wesoło.** Więc robimy tylko pożegnalne zdjęcia i zmykam raz jeszcze na dawny polski cmentarz. Bliższy mojej duszy niż „galicyjska" knajpa. Mimo że dobra i turystom przyjazna.

Pomnik przed teatrem

Narastał we mnie jakiś kryzys wewnętrzny pod wpływem spotkań tarnopolskich. Przeżycia na cmentarzu i bazarze oraz całe zetknięcie się z centrum miasta, głęboko mną wstrząsnęły. Poczułem się bezradny w obliczu jawiących się problemów i nie wiedziałem, co dalej robić. Czy w ogóle jest sens czegokolwiek tu dociekać i wyjaśniać. Mimo bowiem przestudiowanych materiałów utraciłem ogólną orientację. **Porządkowały się tylko sprawy kościołów. W Tarnopolu było ich przed wojną trzy: parafialny, jezuitów i dominikański.** Wszystkie przetrwały wojnę i po drobnych remontach od razu zostały otwarte dla wiernych. **Obecnie nie ma żadnego.** Podjęto starania o zwrot kościoła jezuickiego, w którym mieszczą się od dawna zakłady odzieżowe, ale efektów tych starań jak dotąd nie ma. Dodajmy też, że dawny, piękny kościół oo. Dominikanów oddany został na potrzeby cerkwi ukraińskiej. A parafialny, największy, z premedytacją zniszczono.

Rys. 237. Kościół św. Dominika zamieniony na cerkiew

Więc moje ulubione hobby, jakim jest poznawanie i fotografowanie zabytków kościelnych nie miało większych szans na powodzenie. Było jeszcze przed wojną dziesięć kaplic: cmentarna, konwiktorska, szkolna, gimnazjalna, więzienna, w Ochronce Polskiej, św. Jana, Matki Boskiej Bolesnej, w Zagrobli, w Gajach Wielkich. Próbowałem ustalić ich los, ale wysiłki rozmijały się z zamiarem. Pewne było tylko to, że

Rys. 238. Przerwa w egzaminach wstępnych

ocalała jedynie cmentarna kaplica wybudowana jeszcze za czasów powstania styczniowego. Przywoływała iskierkę nadziei spotkania się z Polakami, tymi żywymi i martwymi. Na ślady tych pierwszych nie miałem okazji jak dotąd natrafić. Więc może w przyszłości – liczyłem w tym momencie na pomoc pracowników katedry uniwersyteckiej, której byłem oficjalnym gościem.

Póki co, natrafiłem na sprawy budowy nowego kościoła, gdzieś na skraju miasta. **Dodajmy budowy ciągnącej się latami, bowiem pierwszeństwo mają tu cerkwie ukraińskie, których wybudowano w ciągu kilkunastu lat ponad pięćdziesiąt, w różnych miejscach grodu.** Doszły mnie również słuchy, że przy nowo budowanym kościele w plebanii, odprawiana jest niedzielna msza święta i będę miał okazję powrócić do normalnego nastroju. Więc pojechałem na to nabożeństwo. Odprawiane było w języku ukraińskim dla kilkunastu osób. Mówiono mi, że podobnie wygląda sprawa na nabożeństwie w języku polskim. Całość wyglądała przedziwnie ubogo, a warunki jakby wojenne, choć na szczęście z tłem budowy nowego kościoła.

Po nabożeństwie jadę na spotkanie z moją opiekunką do najbardziej elitarnej części miasta, której symbolem jest teatr miejski. W towarzystwie miłej asystentki Dziekana Akademii Gospodarki Narodowej mam okazję poznać dzielnicę, w której koncentruje się życie kulturalne i koncepcyjne Tarnopola. **Teatr i pomniki, szkoły stare i współczesne, gmachy i urzędy miejskie i wojewódzkie, biblioteki, sklepy, redakcje. Tu jest jakiś inny świat.** Świetna też jest i moja przewodniczka. Aż szkoda, że nie mam szans na odwzajemnienie takiej kulturalnej usługi. Tym bardziej, że podjęła się opieki nad niesfornym przybyszem z Warszawy, do którego sam się zaliczyłem już po wyjściu z autobusu. Ale to już przeminęło z wiatrem.

Zjawiły się jednak nowe problemy i pracownicy katedry bez trudu je wyczuli. Dali mi więc maksimum autonomii i obserwowali co z nią zrobię. Chyba nie mieli innego wyjścia. Przecież zakazać mi niczego nie mogli i nie chcieli. **Zadbali jedynie o odczuwaną gościnę i ułatwiali sytuację jak mogli.** Wyraźnie przymykali oczy na moje wtykanie nosa nawet tam, gdzie nie należało. Uzewnętrzniło się to nazajutrz, przed samym teatrem. Usytuowany był na plantach wśród bujnej zieleni. Tuż przy nim, niczym wielki Lenin akcentował swoją rangę pomnik Bandery.

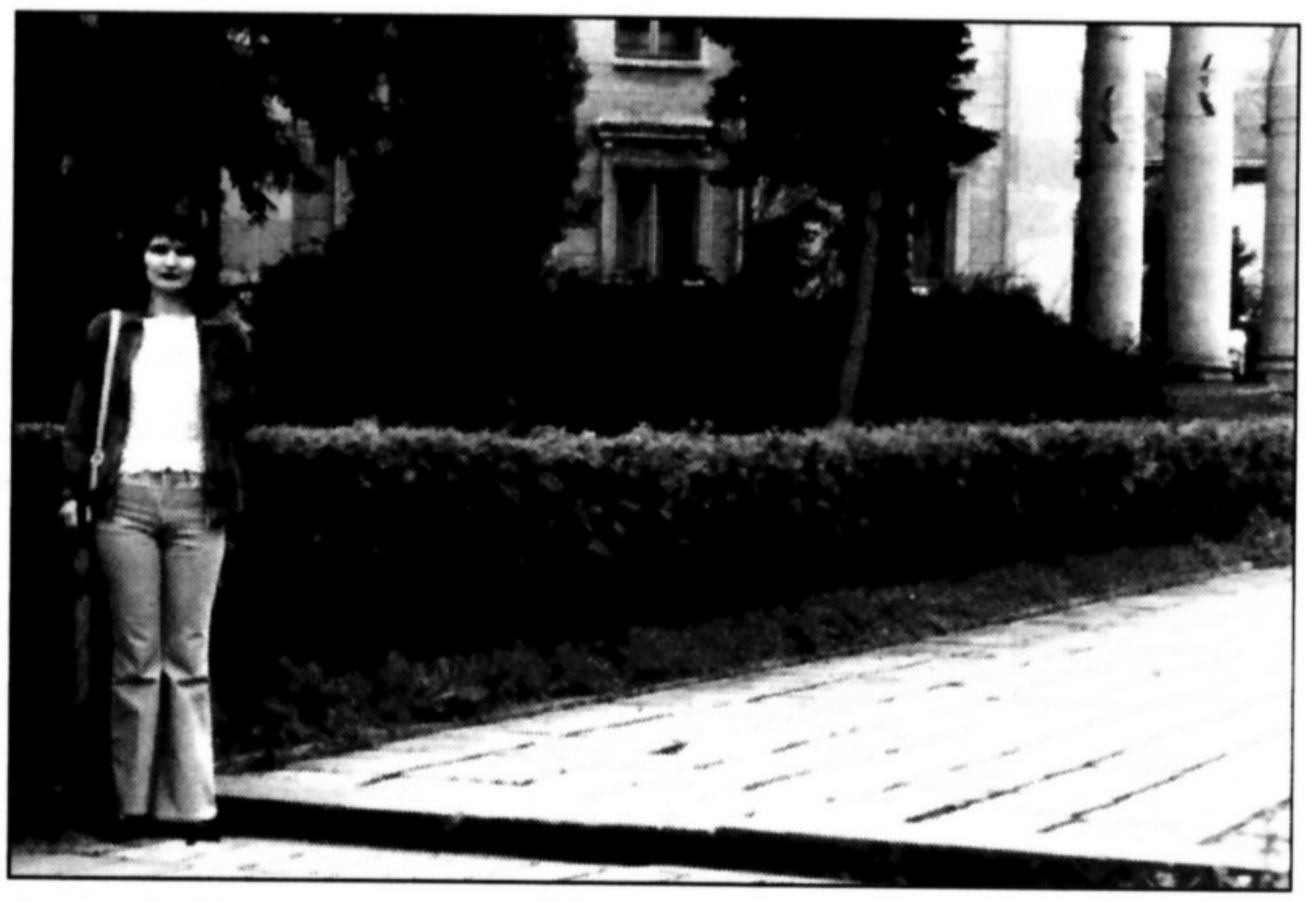

Rys. 239. W alejach przy teatrze

Nowy bohater Bandera był jak wiadomo wybitnym działaczem OUN, czyli Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów powstałej w 1929 r. z połączenia Ukraińskiej Organizacji Wojskowej (UWO) i mniejszych grup nacjonalistycznych. Zmierzała ona do bezpardonowej walki zbrojnej z okupantami,

Rys. 240. Europejskie Centrum Kadrowe

tj. ZSRR na wschodzie i Polską na Zachodzie. Pragnęła stworzyć państwo na zasadach nacjonalistycznych wedle których pełnię praw mieliby tylko Ukraińcy. W ramach takiego programu już od 1930 r. OUN prowadziła różne akcje dywersyjne i sabotażowe, a także terrorystyczne. Ofiarą ich padała m.in. ludność naszych ziem kresowych (Galicja Wschodnia, Brzeżany, Lwów i wiele, wiele innych miejscowości na tych terenach), przy czym akcje te kierowano nie tylko przeciw Polakom, ale i Ukraińcom dążącym do ugody z Polską. **Terrorystyczne objęły m.in. zamachy na B. Pirackiego i I. Babija.**

Dodajmy, że sam Bandera za udział w zorganizowaniu zamachu na ministra spraw wewnętrznych B. Pirackiego został skazany na karę śmierci (zamienioną później na dożywocie). Współpracował w swoim czasie z Hitlerowcami, kierował frakcją OUN nastawioną tak samo jak i frakcja Andreja Melnyka zdecydowanie antypolsko[62]. To w wyniku tego między innymi jawiło się tyle cierpień ludności polskiej. Tym bardziej, że wkrótce działania OUN wyniosły ją na drugą najważniejszą siłę polityczną Ukraińców. Nie mam więc powodów do obdzielania Bandery szacunkiem za kształtowanie dobrych stosunków między naszymi narodami. Gwoli ścisłości wspomnijmy też, że i w skali międzynarodowej jawiły się podobne działania. Nieustannie przecież organizacja ta korzystała w swojej walce z pomocy Litwy, Włoch, a zwłaszcza Niemiec, którym oddawała usługi wywiadowcze. Siedzibę swą miała w Genewie (1929) i w Rzymie (1936–1940). Od wybuchu wojny nastawiła się na wspieranie niemieckiej polityki okupacyjnej licząc na to, że przy ich pomocy powstanie niepodległa Ukraina. Tak się oczywiście nie stało, wobec czego już w 1940 r. w organizacji tej powstał rozłam obejmujący właśnie OUN-Banderowców i OUN-Melnykowców. Melnykowcy podtrzymywali współpracę z Niemcami i tworzyli ukraińskie jednostki wojskowe przy armii niemieckiej. W wyniku tego powstała właśnie słynna Dywizja SS Galicja.

OUN-Banderowców podjął w momencie wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej samodzielną próbę proklamacji niepodległej Ukrainy, z daleko idącymi tego konsekwencjami. Banderowcy zaczęli więc tworzyć własne oddziały partyzanckie i tzw. Ukraińską Powstańczą Armię (UPA). Zadeklarowali w 1943 r. postawę antyhitlerowską i odeszli od skrajnego nacjonalizmu. Tym samym było tu miejsce na walkę zarówno z komunizmem, jak i faszyzmem.

Rys. 241. Pomnik S. Bandery przy teatrze

---

62 Władysław Filar, „Burza" na Wołyniu, Oficyna Wydawnicza „Rytm", Warszawa, 1997, s. 19.

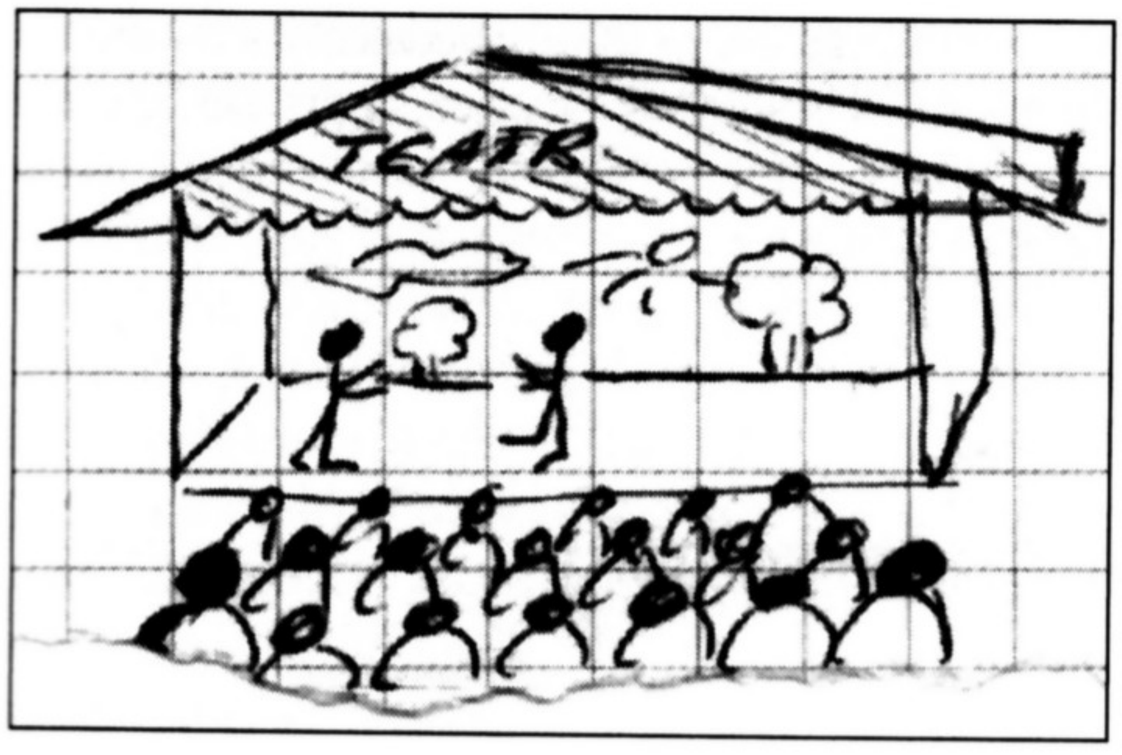

Rys. 242. W studenckim teatrzyku

łania agend emigranckich o tak skomplikowanym charakterze, że nie potrafiłem przenieść mojej wiedzy na konkretne sytuacje napotykane w podróży po Ukrainie. Z rezerwą więc słuchałem poprzedniego dnia informacji o pomniku Bandery eksponowanym przy samym teatrze. **W pewnym momencie nawet zastrzeżenia wobec jego działalności jawiły się tak mocno, że postawiłem się sam w sytuacji nie do pozazdroszczenia.** Widząc, że Bandera jest tu coraz bardziej gloryfikowany, okazałem niedwuznaczne zmęczenie wędrówką i wskazaniem, że sam zapatrzony jest w miejsce kaźni, w której bezlitośnie mordowano polskie ofiary walki zarówno z hitlerowskim, jak i sowieckim okupantem. Tak w skrytości ducha, chciałem to piekielne gmaszysko w samotności obejrzeć wiedząc, że znajduje się w nim muzeum tamtych tortur.

Na zewnątrz widniało na nim jakieś epitafium trudne do rozszyfrowania. Informowało tylko o ofiarach ukraińskich. Niestety, trudne też i do fotografowania. Wykonano je bowiem z jasnego drzewa, zbyt mało kontrastowego na mój słabiutki aparat. Więc mam kłopoty. Zwracam się o pomoc do starszego pana przyglądającego się moim trudom. Niechętnie podejmuje rozmowę, ale dodaje, że to zabytek sięgający czasów okupacyjnej Polski i sowietów. Nic z tego nie rozumiem – zwróciłem się do niego nerwowo.

– A tak, tu tyle tysięcy Ukraińców okupanci wymordowali, że aż strach tędy przechodzić. Prawdę powiedziawszy to i niemieckie ślady zbrodni odnaleźć nietrudno, choć krótko ich tu gościliśmy.

Nie mam siły na dalszą rozmowę, wszak mam świeżo w pamięci gehennę, jaką przechodzili tu moi rodacy, ale w tym momencie dociera do mnie informacja, że mój rozmówca mieszkał przy granicy obecnego województwa rzeszowskiego i w ramach akcji przesiedleń przeniósł się do Tarnopola, na stałe. **Jest jakiś rozczarowany życiem i zagubiony, chyba bardziej niż ja w Tarnopolu.** Zna szczątkowo język polski i wykorzystuje go w wierszowanej formie: jak świat światem Polak Ukraińcu nie budziet bratem. To chyba

Liczyli zatem na jakieś porozumienie z polskimi siłami politycznymi o podobnej orientacji. Stało się tak przede wszystkim wskutek oddolnych nacisków na przełomie lat 1945–1946. **Po wojnie siedzibę swoją Banderowcy przenieśli za granicę, a od początku lat 90. XX w. obie frakcje legalnie działają na Ukrainie.** Pocieszające, że z coraz mniejszą niechęcią do Polaków.

Wspierane są, rzecz jasna, z ukraińskiej diaspory bogato rozwiniętej tak w Europie, jak i północnej Ameryce. Osobiście zetknąłem się na tzw. Zachodzie z różnymi aspektami dzia-

Rys. 243. Nowo budowany kościół w Tarnopolu

pozostałość wyniesiona z szeregów UPA – domyślam się na pożegnanie i z trudem podajemy sobie dłonie. Odszedłem i znów zdjęć nie zrobiłem. Może innym razem. Nie wszyscy przecież są przesiedleńcami z Polski. Prawdę powiedziawszy to nawet bardzo mało.

Kocmouch niby czarnomorski

Na placu przed teatrem jest zawsze dużo ludzi. To deptak długiej centralnej ulicy, z ławeczkami, kawiarniami, stoiskami pełnymi napojów i lodów. Wróciłem tu sam jeszcze raz. Przeszedłem od teatru na przeciwległą stronę i zasiadłem w cieniu, na wygodnej ławeczce. Przymierzałem się do powtórnego wykonania zdjęć dawnego budynku NKWD oznaczonego epitafium w hołdzie dla pomordowanych. Cień słońca nie sprzyjał robieniu tych fotografii i całe epitafium w aparacie było bardzo nieczytelne. Obejmował je cień słońca i nie kontrastowało w ogóle ze ścianą. Dokuczały też i inne cienie drzew, z którymi nie umiałem sobie radzić. **Trochę bezmyślnie zacząłem aparatem pstrykać.**

Rys. 244. Fragment gmachu NKWD

W pewnej chwili ujrzałem w obiektywie łapę „Kocmoucha", tego z grupy studenckiej, z którą spędzaliśmy kiedyś wakacje nad Morzem Czarnym. Trochę w oczach zamigotało i nim się uspokoiłem padło pytanie po rosyjsku:

Rys. 245. „Kocmouch" jakby czarnomorski

– Co chcecie sfotografować? – dociekał gruby głos. Patrzyłem ogromnie zdziwiony, wszak obraz był nieprawdopodobny. **Następowała jakaś metamorfoza kocmouchów.**

Tamten z grupy studenckiej, który namiętnie wyłapywał ryby z mułu (i nie mógł później doczyścić się rąk, a w szczególności paznokci), na moich oczach zamieniał się w sobowtóra ubranego teraz w ładny, żołnierski mundur. Ponieważ wiele sympatycznych wspomnień o tamtym zachowałem, nie chciałem rezygnować z przydomku i potraktowałem nowego Kocmoucha tak, jakbym go znał od lat. **Ten nowy, równie sympatyczny stał uśmiechnięty przede mną, w towarzystwie**

kolegi, również sołdata i oczekiwał ode mnie nie wiem w końcu jakich reakcji. Upewniłem się, że żaden z sołdatów nie należy do moich znajomych, a nowy Kocmouch robi sobie jaja – jak to się mówi w języku młodzieżowym. Sołdaty jednak przyjaźnie się zaprezentowali.

Mimo, że Kocmouch był jak młot. Wystawił w moją stronę pięść jakby z dwoma rogami i dorzucił: – Tę, czy tamtą stronę chcecie fotografować? Przestraszyłem się trochę tej łapy, bo wyglądała tak, jakby ją ustawił do bicia w ryzykancki łeb. **Po sekundzie okazało się, że byłem w straszliwym błędzie.** Domyślił się z syrenki na mojej reklamówce, że jestem z Warszawy i zaprezentował po chwili nadzwyczajną delikatność, kontrastującą z jego ciężką posturą. – Wiecie, ile ja już zdjęć narobiłem? – indagował moje fotograficzne zachowania, i to fajne, nie takie tam cienie na chodniku...**Nawet takie dyskretne, na plaży...**

Rys. 246. Dziunia na plaży

– Sprzedaj mi jakie, jak masz... lody sobie kupisz... o, tu naprzeciw!

– Za taką kolekcję całą lodziarnię musielibyście zafundować.

– Nie przechwalaj się! – włączył się do rozmowy jego kompan. Pokaż te dwa ostatnie i na lody chwatit.

Rys. 247. Huculł z kciukiem przy sercu

Domyślałem się w jakich to zdjęciach Kocmouch ma upodobanie, choć znowu bardziej domyślni byli chyba moi studenci, co na zdjęciach plastycznie udowodnili. **Co młodość to młodość – myślałem, a Kocmouch to bez trudu sympatycznie prezentował.**

Rys. 248. Dziunia z sercem na ustach

Zachęcająco do lodów zacząłem szukać monet w portmonetce, ale szybciej niż zdążyłem je przeliczyć przed oczami zjawiło się zdjęcie z plaży jakiejś zakochanej pary. Cud-miód! – **To on?** – zapytałem prowokacyjnie wskazując na kompana, który z uśmiechem towarzyszył naszej rozmowie.

Rys. 249. Przed gmachem NKWD

– Skądże, to też wschodni z Zaporoża, jak ja...a on to Huculł. **On nigdy sobie z taką fajną dzidzią zdjęcia nie zrobi. Niedoczekanie jego!** – humoryzował Kocmouch.

Huculł teraz się postawił. – Taakie mam zdjęcie westchnął i wysztybował kciuk przy sercu. **Ty jesteś szczyl przy mnie, a twoja ma za krótkie włosy – zaczął Huculł**

gwałtownie grzebać w portfelu. I teraz dopiero zacząłem oglądać coraz to ładniejszą Dziunię! Pierwsza miała zakrytą nieco twarz. Domyślałem się, że chciała w takiej scenie zaoszczędzić lico. – Ale moja, to ta – dorzucił po chwili wyjmując z portfela fotografię swojej połowicy. Też Hucułka. Był z niej Hucuł bardzo dumny.

Rys. 250. To już Dziunia Cud Miód

W sumie wydawał się być spokojniejszym i nie mniej życzliwym. Zaniechał tematów intymnych i przeszedł do spraw ogólniejszych. Miał dużą wiedzę o Tarnopolu i Hucułach, ale prezentował ją tak, jakby chciał mnie zainteresować swoimi ważnymi sprawami, wszak nieco obawiał się o przyszłość. **Jego służba wojskowa dobiegała końca, zrywał z przygodami Wojaka Szwejka i chciał się poprawnie i mądrze wszędzie prezentować.** Miał przyobiecane, że w Kołomyi, na Hucułach wezmą go do pracy w milicji. I to bezpośrednio po wojsku. Lubił chodzić do kina, wiele dobrych filmów wspaniale zapamiętał i o jednym z nich zaczął szeroko opowiadać.

To film wojenny z lat 60. Przepraszam, wybitnie antywojenny, reżysera Andreja Tarkowskiego. Przywołuje akcję radzieckiego oddziału wojskowego, który po drodze na front spotyka chłopca, uciekiniera z obozu koncentracyjnego. Zbiegiem okrutnego losu chłopiec stracił już swoich najbliższych i ogromnie doskwiera mu samotność. Za wszelką cenę chce pozostać w wojsku. I zostaje, na domiar w oddziale zwiadowczym. Gorliwie podchodzi do swej misji. „Na gorącym uczynku" schwytany, zostaje stracony przez Niemców, tak jak i jego rodzice...

Rozbudził Hucuł we mnie sympatię do tego filmu i Ukrainy. Nawet mu zazdrościłem, że ma takie zainteresowania i taką możliwość obejrzenia fragmentu dziejów, które były mi bliskie. Synów pułku w czasie wojny nie raz spotykałem i nawet im zazdrościłem. **Obecnie jednak o takie filmy w Polsce trudno, jak o lot na księżyc.** Trochę nawet na Hucuła jestem zły. Szedłem na plac teatralny z nadzieją, że dopełnię swego dzieła w Tarnopolu i uzupełnię ważne fragmenty historii rozgrywającej się w murach okrutnego NKWD, a tu zupełnie inny świat jest mi prezentowany. Podpuszczam Kocmoucha i Hucuła i wciągam ich do najbliższej cukierni (podają także wódkę), by posłuchać nieco więcej upodobań moich gości.

Rys. 251. Dwaj przyjaciele z kompanii

Przy stakanie wina wyciągam z Hucuła następny film. Zaczyna streszczać „Zerkało" (Zwierciadło) i dodaje na wstępie, że to taka spowiedź reżysera z błędów własnego życia. Całego, bo wyznał ją przed śmiercią. Są tu epizody wojenne z dzieciństwa, ale po nich następuje retrospekcja zjawisk niezwykle aktualnych, współczesnych, po czym znowu widz ogląda scenerię młodości. Są w niej kłopoty bohatera z nieszczęśliwą matką i emocje, które rzutują na stosunek bohatera do kobiet. Trudne sceny, życiowe porażki i rozczarowania, cierpki smak miłości. **W sumie retrospekcja rzeczywiście z całego życia, która przychodzi zbyt późno, aby można było jeszcze cokolwiek naprawić.**

– Ach ten Hucuł, ten Hucuł! – myślę, podziwiając bogactwo wewnętrznych przeżyć młodego chłopaka i jego bogaty narracyjny język, miłymi gestami uzupełniany. **– A coś ty ostatnio oglądał – zwracam się do Kocmoucha...**

– Wczoraj widziałem film w telewizji *Jak kozacy gotowali krupnik*..., otrzymuję w odpowiedzi.

Boże, ja chyba nie wyjadę z tego Tarnopola w tym roku – myślę sobie. Przecież miałem takie ważne informacje zebrać o pogromach NKWD ludności tarnopolskiej, a tu zawracanie głowy nogami i to jeszcze w ujęciu psychologii (na której się nie znam), a nie socjologii. Tym bardziej zaskakujące, że trzeba już wyjeżdżać i to na stałe. **Akcentuję głośno swoje zaniepokojenie zaprzyjaźnionym znajomkom.**

– Zostawcie te „czerniła" (jagody) innym – włącza się Huculł. Z tego, co mówicie, to za wiele tych męczących tematów w was siedzi. Tak jakbyście wojny mieli za mało. – **A przeżywaliście ją? – włącza się Kocmouch. – Tak, odpowiadam bez namysłu. – No to już wszystko macie za sobą.** Przed sobą tylko huculszczyznę, tam zgubicie ponuractwo. Nie wiecie, jaki tam ubaw! Naprawdę jedźcie tam i zapomnijcie o wszystkich smutkach, wojnach, pogromach. Świat jest już inny i wojny też. – **Ja bym pojechał do Afganistanu, tam są takie góóóry – rozwija znowu swoje myśli Kocmouch.**

Rys. 252. Pożegnanie z Hucułem i Kocmouchem

Tarnopol to nudy na pudy – kontynuuje po chwili, i ten wasz gmach NKWD też! Kogo to dzisiaj obchodzi? Jeśli chcecie, to tam możecie cały dzień przesiedzieć, bo zrobili ostatnio muzeum martyrologii. Szyld też wywiesili. Ot, tam z boku, trochę za mało go widać. Nawet na fotografii nic ciekawego nie wyjdzie. Cóż tu pokazywać...

Starzejecie się – dodaje Huculł, młodzież co innego pokazuje, zaczął robić niesmaczne podjazdy w moją stronę. Chcecie więcej naszych zdjęć pooglądać, to przyjdźcie do koszar. Nie bójcie się. Adres wam dajemy. To jest niedaleko stąd, nad tym jeziorem przy Akademii Gospodarki Narodowej. **Z portierni zadzwonicie i wyjdziemy.** Powiedzcie tylko, że to wujek z Sewastopola. Oni już będą wiedzieć. Wy starszy człowiek, bardzo grzecznie was potraktują. Damy wam mapy Huculszczyzny: tak jak Zaleszczyki i Kołomyja. To są drogowe, ale i Worochta na nich jest. To stamtąd pochodzi ta pierwsza dziewczyna – zachęcał Huculł już na pożegnanie.

Smak studenckiego chleba

Nazajutrz, przed wyjazdem z Tarnopola udałem się w Polskę. W tę starą, nieznaną, zapomnianą. Tak, gdzie mnie oczy i nogi poniosą. Trochę się tego bałem, tym bardziej że słyszałem przyjazne głosy znajomych: zawsze pamiętaj, gdzie, po co i z kim jedziesz! **Piękne widoki prawdziwej wsi zbyt optymistycznie napawały.** Z niedowierzaniem wobec tego spokoju, daleko nie ujechałem i na pierwszym przystanku wraz z ze starszą kobietą wysiadłem podtrzymując zaczętą w Tarnopolu rozmowę. W pobliżu były normalne, wiejskie, rozstajne drogi. Skierowałem się w ich stronę w nadziei, że odnajdę ścieżkę do wioski wśród pól i przeżyję trochę utęsknionej samotności. Pasażerka skręcała powoli w nieznane mi przejścia, ale ciągle znajdowała się jeszcze na odległość głosu. I wtedy ujrzałem na horyzoncie skupinkę krzewów i drzew, a przy jednym z nich dwóch podchmielonych facetów. **Jeden schował się chyba przede mną, a drugi usiłował zachęcić do spotkania machając butelką, która mnie przeraziła.**

Zdecydowałem się przyłączyć do tej pasażerki i krzyknąłem głośno „Hallo" dając znać, że coś jeszcze od niej potrzebuję. Chętnie się zatrzymała i podbiegłem z wrażeniem niedokończonej rozmowy. Zacząłem

Rys. 253. Ostrzeżenie

zlokalizowali. Po niedługim czasie w cieniu dużego drzewa na podwórzu Pasażerki ujrzałem ich oczekiwane sylwetki. Zjawili się samochodem, jak na zawołanie. Wysłużonym, ale samochodem. Tak to zostałem zaginiony i uratowany, choć prawdę powiedziawszy nie wiem z czego...Znowu chyba z własnej głupoty.

Znajomi całej scenerii do końca rozszyfrować nie mogli, choć błyskali inteligencją, której towarzyszyła tym razem ogromna podejrzliwość. **Jednak to bardzo dobrzy i mili ludzie, znani mi jeszcze ze spotkań w Polsce.** Trochę akceptowali mój zamiar poznania ukraińskiej wsi (zwierzyłem się im stopniowo z niecnego zamiaru) i zaczęli ubolewać, że nie mają do takiej ekskursji odpowiedniego auta. Wcale nie wiem, gdzie potem jeździliśmy i po co. Wiem tylko, że starym właśnie samochodem, ale lepszym niż wszystkie furmanki, pociągi, autobusy czy marszrutki. Wszędzieśmy się zatrzymywali.

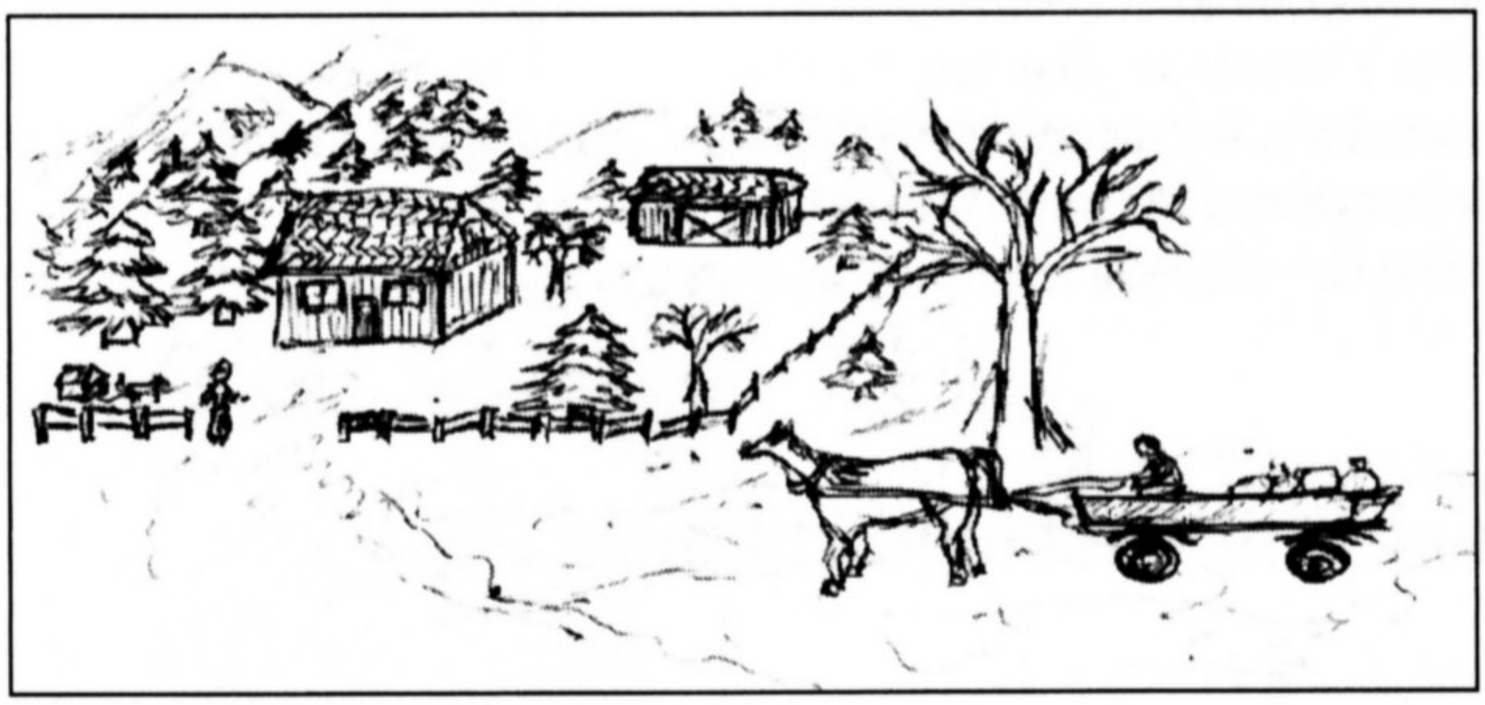

Rys. 255. Wsi spokojna, wsi wesoła

Najchętniej pod gołym niebem (**by zaobserwować religijne pielgrzymki do ukraińskich klasztorów**), w wiejskich mordowniach z piwem i buterbrodami (kanapkami), których nikt nie chciał jeść, bo leżały w bufecie całymi tygodniami. Ani pióra nie wziąłem do ręki, aby coś ponotować, a aparat manifestacyjnie zostawiłem tym razem w domu. **W sumie to był bardzo uroczy dzień i niewiele mnie kosztował, bo tylko jeden paragon benzyny.** Za to niezmiernie dużo dowiedziałem się o życiu tarnopolskiej prowincji i wiele zrozumiałem z konfliktu między Wschodem a Zachodem. Wyciągnąłem nawet wniosek, że to nie

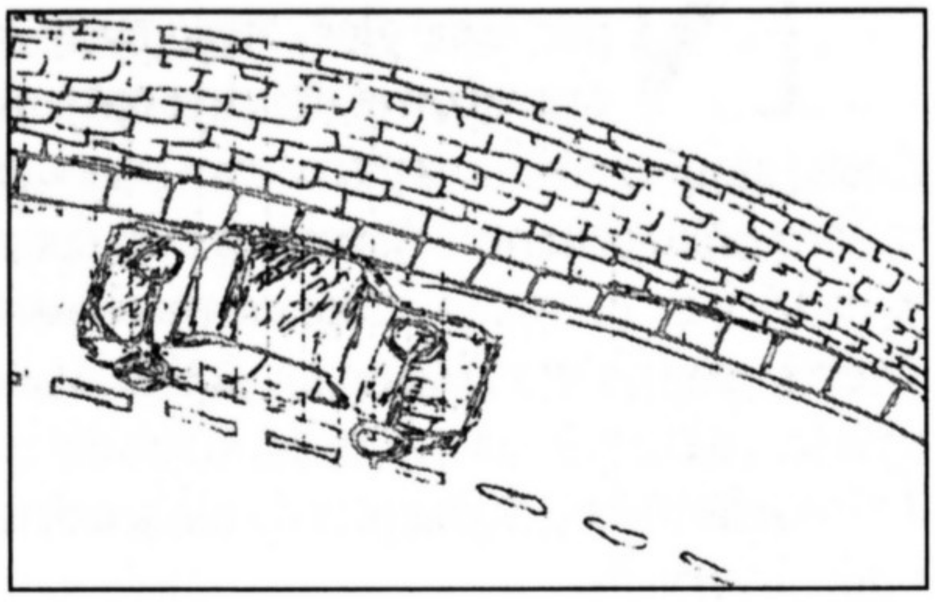

Rys. 256. Samochód podobny do mojego

się uskarżać na telefon, który rzekomo przestał działać i w międzyczasie dzwonić do znajomych. **Odebrali wiadomość i przy pomocy Pasażerki, której już towarzyszyłem bez trudu mnie**

Rys. 254. To drzewo i człowiek

Polska, a Ukraina leży na granicy tych dwóch światów.

Po powrocie do Tarnopola późno już było i omal nie dostałem w ryja. I to już na osiedlu studenckim, tuż przed moim blokiem. **A było to tak.**

Zajęty zwiedzaniem okolicy miasta, zapomniałem, że to sobota i rządzi się innymi regułami niż każdy inny dzień. Ponieważ trochę mi głód doskwierał, przypomniałem sobie o stołówce studenckiej, którą codziennie przed domem mijałem. Wejście do niej było dobudowane, prymitywne, długie, nieciekawe. **Charakter całej budowli zdradzał tylko niewielki szyld umieszczony przy drzwiach. Jednak praktycznie to on mnie do budynku wprowadził.**

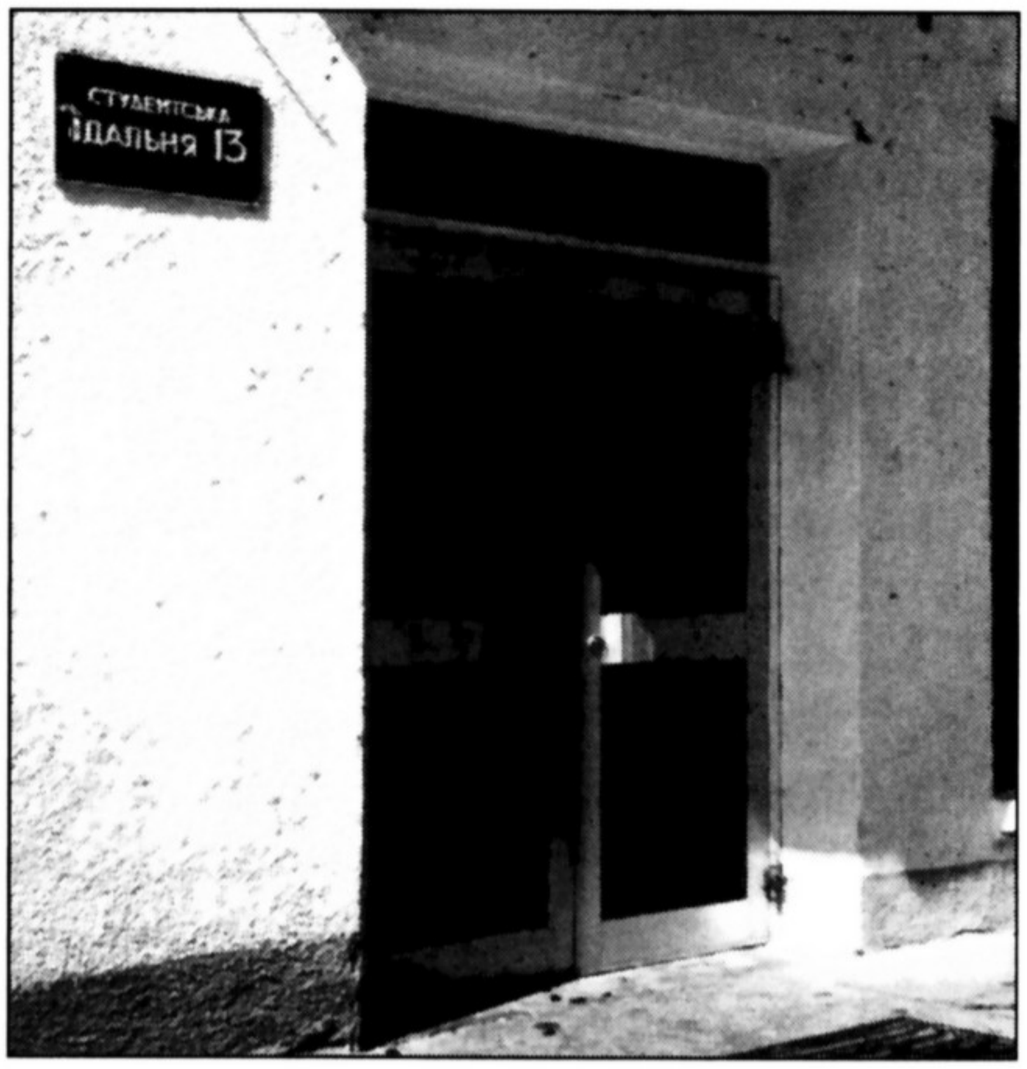

Rys. 257. Studencka stołówka

Już na wstępie poczułem się obco, co uznałem za normalne wśród dużej grupy nieznanej mi młodzieży. Próbowałem wśród tłumu delikatnie się przecisnąć i zacząłem się przedzierać z boku, ukradkiem do bufetu, z lewej strony sali. Pełen jakiejś nieśmiałości znalazłem się w połowie drogi. I w tym momencie natrafiłem na dwóch studentów, z których jeden mnie gwałtownie zatrzymał:

– A wy kto? Padło druzgocące pytanie uzupełnione przez drugiego ciekawskiego – kawo wam nada?

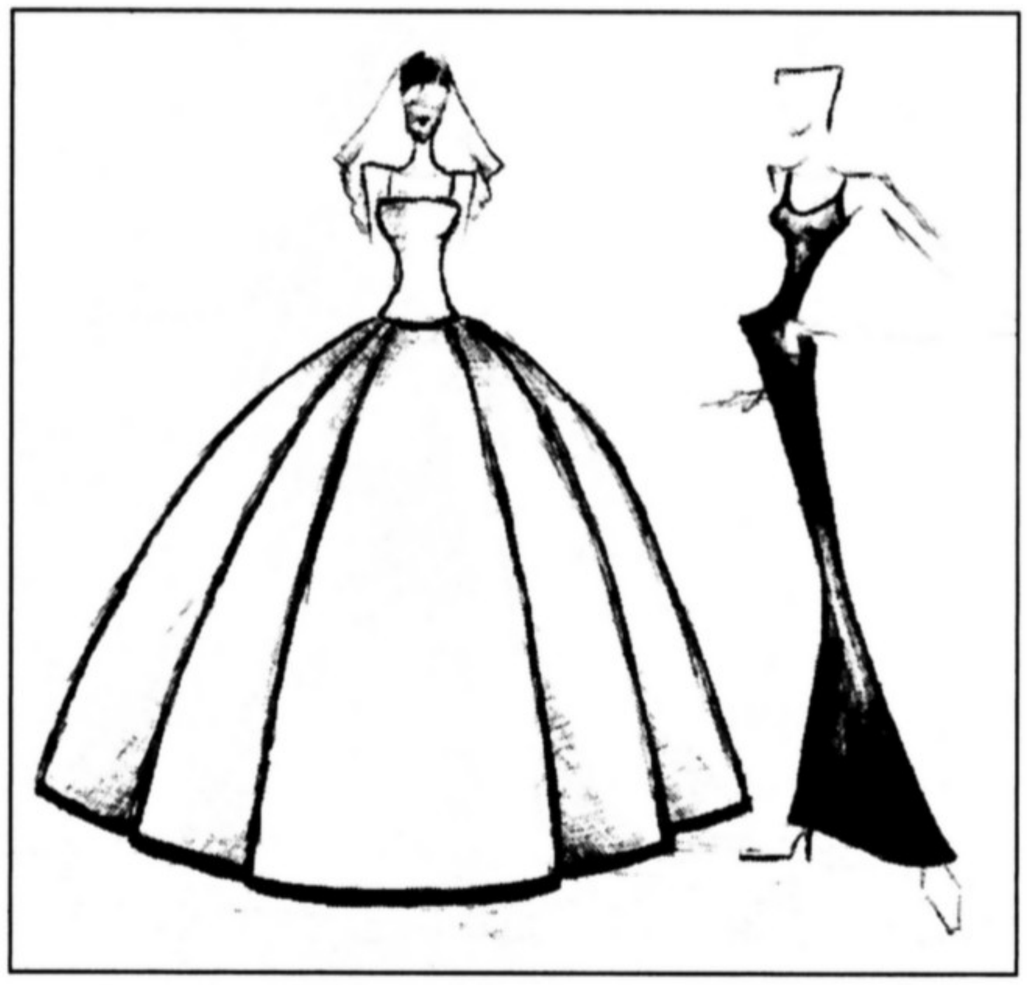

Rys. 258. Panna młoda w towarzystwie

Ten drugi już się zorientował, że gościem weselnym to ja nie jestem. Zacząłem coś bełkotać, że ...projazdom, że chleba kusoczek potrzebuję, ale w międzyczasie dołączyły już dwie inne osoby jakby para zakochanych. **On, „T-shirtowiec" manifestując walkę z upałem, roznegliżowany i podkreślający nie tylko urok koszulki (T-shirt tutaj modnej), wykazuje rosnące podenerwowanie.** Sądzę, że nie tylko pod wpływem alkoholu. Zacząłem się fatalnie czuć, tym bardziej, że od razu zaczepnie chciał mnie do końca rozszyfrować: **– od kuda wy?, szto.., kim rabotajetie?** Nie chciałem przecież życiorysu opowiadać. Stwierdziłem kłamliwie, że ze Zbaraża (tak przekonująco mi to jakoś zabrzmiało) przyjechałem, ale teraz trzeba było wyjaśniać, czym to ja się zajmuję?

Rys. 259. Starsza (i cnotliwa) druhna

Ponieważ przyjęto dla wygody, że jestem mieszkańcem Zbaraża, więc zacząłem wyjaśniać od począt-

Rys. 260. Rozbawione towarzystwo

ku (choć do głowy wdzierała się myśl, abym podjął ucieczkę). Wróciłem więc do pierwszego „śledczego", tego, który mnie zaczepił, najspokojniejszego i jakby do ucha szepnąłem mu, że jestem profesorem...Nie wytrzymał i parsknął śmiechem. Podpijaczony T-shirtowiec, a raczej „Butelkowiec" przyciskający swoją wybrankę do obrośniętej piersi, odstawił butlę od ust i wytężył słuch. Coś chyba usłyszał i wykrzyknął: – **profiesor ze Zbaraża... – piekarnie tam prowadzi, dodał.** Ale teraz pierwszy śledczy uruchomił mózgownicę: – On chlieba kusoczek choczet. – **Daj jemu chlieba, zawołał ktoś trzeci i wesele zaczęło się przenosić z parkietu na moją stronę.**

Cóż to był dla mnie za wstyd! Na szczęście orkiestra (chyba zorientowała się w drobnym zamieszaniu), uderzyła w głośne tony, aby odwrócić uwagę od podejrzanych sytuacji i parkietowe kółeczko z panną młodą przysłoniło moje tarapaty. **Za późno, ale dotarło do mnie wreszcie, że to najprawdziwsze studenckie wesele.** Nie chciałem być jego bohaterem i zacząłem się wycofywać do drzwi. Ot, takie sobie, jak się bawić to się bawić, na całego! Ale mnie wesoło nie było, bowiem do akcji wkroczył Butelkowiec, w tym momencie już agresywny i nieprzyjemny, demonstrujący ekshibicjonistyczne nawyki miłosne (chyba przesadnie później narysowane przez moją studentkę). **Drążył jakąś zaczepkę!** Spojrzałem na niego z politowaniem. Był nie typowy. Wykorzystał rzeczywiście gorącą aurę i usiłował imponować tym, co ukrywać winien, tj. na poły roznegliżowanym ciałem. **Wyglądał śmiesznie i rzeczywiście bykowato, na domiar jakby z odsłoniętymi intymnościami.**

W ręku trzymał butelkę wina, drugą zawadiacko włożył do kieszeni w dresach i ośmieszająco mi zaproponował: – **pij i spier...** W tym momencie groźnie pochylił łeb w moją stronę, jak gdyby chciał mnie poczęstować bykiem, czyli potocznie „główką", pokrytą szpikulcami usztywnionych włosów. Czym prędzej zasłoniłem się za pierwszym studentem, który wyraźnie mnie już bronił i pośpiesznie czmychałem ku drzwiom.

Rys. 261. Butelkowiec na urlopie dziekańskim

Rys. 262. Także urlopowiczka

Po drodze był jeszcze mały przystanek, wszak ktoś z weselników usiłował wręczyć mi połowę odkrojonego chleba. Nie wiedziałem co z tym fantem zrobić i niepotrzebnie sprowokowałem dyskusję. **Z boku ktoś zawołał: – To Polak, on nie nasz...**Nie miałem już wątpliwości, że pierwszy student, który mnie zaczepił był zdecydowanie po mojej stronie. Zaczął wdrażać wersalskie formy grzeczności, choć niełatwo mu to szło, tym bardziej, że był już chyba na małym rauszu.

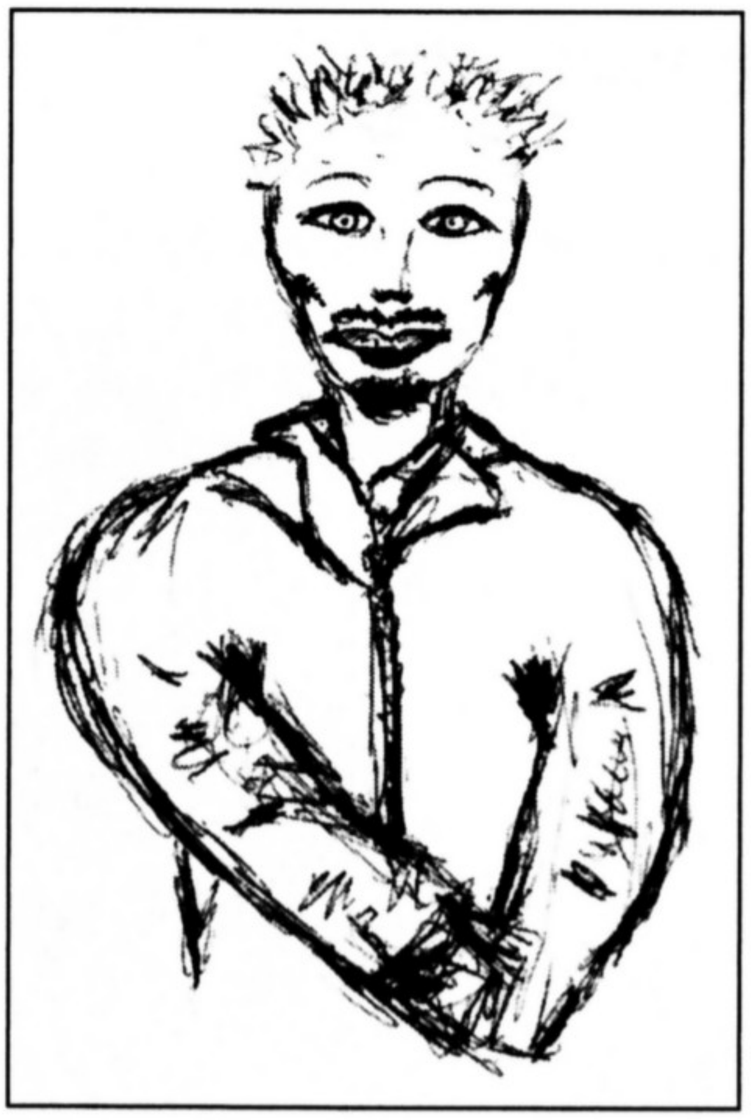

Rys. 263. Kulturniś

Konwencji wersalskiej łamać nie wolno! Więc zacząłem delikatnie ją podtrzymywać, za chleb dziękować i tylko nadal obawiałem się Butelkowca, który robił przedziwne miny. Gdy zsunął z czoła ciemne okulary na oczy, znów czym prędzej schroniłem się za tych, którzy coraz przyjaźniej mnie już traktowali i dla uwierzytelnienia swojej wizyty nadal prosiłem o kusoczek (kromkę) chleba, maksimum dwie – dodałem dla większej przejrzystości zachcianek. Lepiej byłoby oczywiście, gdybym wziął i całą pajdę, tak jak mi dawano i wyszedł, ale starość nie radość i mózgownica tak szybko nie działała, a wesele intensywnie trwało.

Podświadomość jednak jest cudowna i wypychała mnie konsekwentnie do drzwi. Mimo, że czuło się już coraz lepszą atmosferę wśród rozbawionych studentów. Kto pierwszy ten lepszy! – powiadają. Rzeczywiście „ten pierwszy" przy wyjściu zaczął mnie gorąco przepraszać, a ja w rewanżu wyznałem credo incydentu. Ani nie wiedziałem, ani nie spostrzegłem na czas, że wy wesele macie – objaśniałem, a nie zwykłą kolację czy zabawę! Nic by się nie stało, gdybym za ten chleb zapłacił i wyszedł – dowodziłem jak na wykładzie tyle, że podenerwowany. **Uznano to jednak za nietakt z mojej strony (nie pierwszy raz) i zawstydzony, czym prędzej ustawiłem się za drzwiami.**

Dopiero na trzeci dzień spotkałem tego studenta Kulturnisia, przed budynkiem uczelni. Tak, to ten pierwszy przekonywałem siebie, gdy próbował mnie wyprzedzić. Szliśmy obaj na przystanek autobusowy i bardzo chciałem z nim odbyć normalną rozmowę. Udało się. Po drodze, na przystanku i w autobusie czułem, że bardzo mu zależało, abym wyprostował opinię o T-shirtowcu, czyli Butelkowcu. – To fajny facet – przekonywał, tyle że wtedy nader podpity. I jego dziewczyna do niego podobna. Lubią dowcipy, on sam je znakomicie opowiada, choć u niego aż się roi od plugastwa. **Trochę chyba za wulgarny.** Słuchy chodzą, że tańcząc zepsuł atmosferę i mówi do dziewczyny: czujesz? – Tak, ale niech to zostanie między nami. – Wolę, żeby się rozeszło, dorzucił wtedy troskliwie. – To chyba jedyna troska w jego życiu, wykrztusiłem, i dodałem: – Nie wiem tylko, czy nie w starym kawale zamknięta, ale...

– Może i tak, bo jemu wszystko przypisują. Jest po prostu fajny i na swój sposób lubiany, tylko w stosunku do was miał pijacki niewypał.

– Słuchaj! Pozdrów i przeproś go w moim imieniu. Powiedz, że bardzo mi smakowała pierwsza kromka chleba. Prawie że czułem w niej czerwone wino, którym chciał mnie poczęstować. Przepadam za dobrym czerwonym winem i dowcipkowaniem w jego stylu. Bardzo bym chciał się z nim normalnie spotkać i wymienić kilka zdań, bo cała ta sprawa jakoś dziwnie mnie frapuje. Przecież ta jego dziewczyna to właściwie skutecznie łagodziła konfliktową sytuację. Niestety wyjeżdżam jutro z Tarnopola i pojęcia nie mam, co i gdzie będę robił. – Sczastliwo wam, usłyszałem na pożegnanie.

Rys. 264. Nieproszony gość

Szuler w kolejowym wagonie

Tym razem wybrałem się do Złoczowa, z góry pełen niepokoju. I miałem ku temu najgłębsze powody, ale o tym później. Wyszedłem wcześniej na dworzec kolejowy w Tarnopolu, aby kupić kanapki i napoje, wszak zanosiło się na wielki upał. W poczekalni dworcowej siedzieli różni ludzie, m.in. ładnie ubrani młodzieńcy, kandydaci na studia, którzy zapewne nie mieli pieniędzy na nocleg w hotelu i spędzali tu całą noc. Przypominali mi kartkę z kalendarza, którą na taką okoliczność zerwałem bezpowrotnie przed wielu, wielu laty. – Boże święty, pomyślałem teraz, jak to dobrze, że u nas egzaminy na studia zosta-

ły już w szczątkowej formie i nie męczą ani nas profesorów, ani tych udręczonych kandydatów, którym życzę aby zdali śpiewająco. Mają przecież tyle kłopotów i obolałe sny. Przykro jest to wszystko rozumieć i oglądać.

Rys. 265. Kandydaci do studenckich indeksów

Dworzec w tym momencie wyraźnie się już budził i w kasach ustawiły się dość długie kolejki. Stałem w jednej z nich i nagle przychodzi olśnienie. Przecież jestem po siedemdziesiątce i na „elektryczkę" nie muszę mieć biletu. Zresztą, w razie czego zapłacę karę (w przeliczeniu na dewizy tu podobno niską) lub dam łapówkę, bo kiedyś trzeba i tego się nauczyć. **Świat jest wstrętny i okrutny, a ja całe życie mam tyle skrupułów** – podpowiada mi jakieś zdenerwowanie. Przecież w obliczu makabry o jakiej rozmyślam, ta drobna łapówka nie ma żadnego znaczenia. Tym bardziej, że tu łatwo się daje i bierze, jak mnie nie raz przekonywano. Więc beztrosko idę do bufetu. Są wczorajsze okropności. Bufetowa nalewa piwo od rana i **serwuje „buterbrody** (kanapki) **s miasem" i kapustkoj** – dodaje. Zamawiam cztery sztuki i butlę coca coli. Jest ciężka, ale małych w sprzedaży nie ma. Jeszcze nie dowieźli – tłumaczy się obsługa.

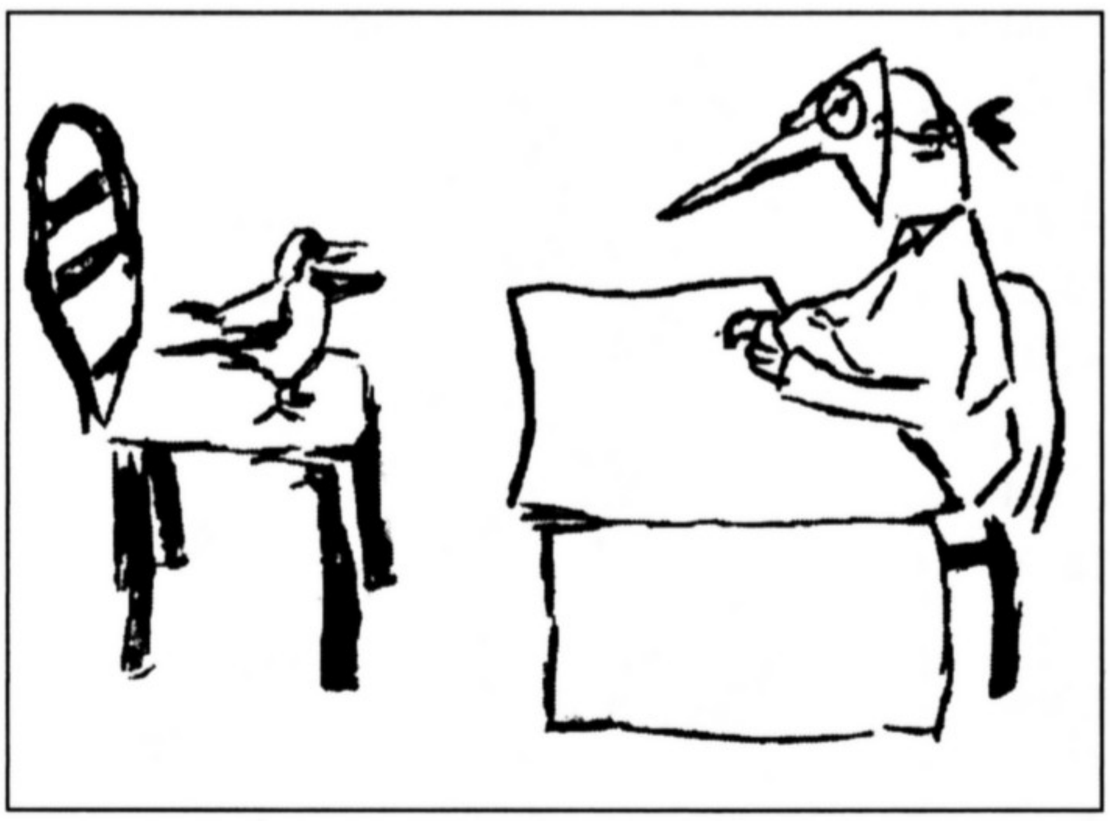

Rys. 266. Będą zdawać śpiewająco

Trochę dziwnie z tą butelką patrzą na mnie w przejściu, ale przebijam się do środka wagonu gdzie widzę uśmiechniętego chłopaka z kartami w ręku. **Stwarzał wrażenie zachęcające do zajęcia wolnego miejsca. Drugi natomiast, jego kolega na przekór, nasunął na oczy ciemne okulary manifestując chyba niechęć do mojego towarzystwa.** No cóż, jest ciasno, a naprzeciw nich jest niemal cała wolna ławka, a raczej ława, bo tu kolej jest szersza i ławy długie, we wszystkich zajętych już przedziałach, nie oddzielonych żadnymi ściankami. Ot, taka duża stodoła. Mam jakąś starą gazecinę przepełnioną sportem. Mimo to wzbudza ogromne zainteresowanie rezultatem meczu Dynama z Monachium. Przekazuję ją sąsiadom z naprzeciwka uporczywie w nią zaglądającym i sam pożyczam od nich talię kart, bo dawno już nie układałem pasjansa. Za stolik biorę wygodną aktówkę i wszystko gra.

Sąsiedzi po chwili dołączają do moich samotnych rozgrywek, a z boku zezuje ktoś trzeci, w sfatygowanym kolejarskim ubraniu. Wyciągam własną talię kart, gdy tymczasem „Kolejarz" już siedzi przy mnie. Podpowiada karciane rozwiązania proste i logiczne. Chyba za proste. Zwijam tę talię i bawiąc się nią wprowadzam karciany spokój. On nie daje za wygraną. – Pokażę wam sztuczkę, powiada i tasuje błyskawicznie moje karty. – Patrzcie, jest król? Jaki to jest? – Taki jakiego lubię, tzn. karowy. – Nie mówcie, ja sam zgadnę, i znowu tasuje karty. Po chwili wyciąga tego króla i każe mi włożyć w środek talii w momencie, gdy on będzie miał odwróconą głowę.

Rys. 267. Karciane rozrywki

Niechętnie wciągam się w jego zabawę, bo pamiętam jakąś wulgarną dumkę:

Fred karty dawał, Był z niego ... kawał. W rękawie miał cztery damy i krzyknął więc gramy, karambo...

Pamiętam też, czym ona się skończyła. A widzę, że teraz w kartach „Kolejarz" wprowadza nader wiele pułapek. Kładzie jakiś drobny banknot i zachęca do naśladowania. Wyczuwam od niego lekki odór alkoholu i staram się uwolnić z towarzystwa. Nic nie pomaga. Konsekwentnie indaguje, więc znowu mieszanina kart, znowu przekładanki, zgadywanki, wciągające do zabawy osoby trzecie bardziej niż mnie. Wśród nich wytrzeszcza gały jakiś starszawy poczciwina, jakby chętny do rozmowy. Przerywam na chwilę grę i wychodzę w przedsionki korytarza, gdzie wolno palić papierosy. Przy drzwiach do drugiego wagonu spotykam tego poczciwinę.

– Kuda jedziotie...do Lwowa? – Do Zołocziwa – odpowiadam czym prędzej. **– Smotryjtie, on szuler mieżdu wami – podpowiada bojaźliwie – iskajtie go sami...u nievo nikakoj kopiejeczki. On Ruskij! – A nie Polak? – dopytuję. Zdzieś Palaków nie tu...**[63]. Scenariusz przyśpiewki dopełniony – sumuję najnowsze doświadczenia.

– No tak, ale przynajmniej ślady ich w Złoczowie zostały – uzupełniam dla wygody rozmowę. I rozmyślam, że przecież wiozę w sercu całą ich Odyseję, a w aktówce wspomnienia autora, bez których nie ma tu po co jechać, bo i śladów minionej przeszłości by nie znalazł. **To przecież ziemia utracona, boleśnie doświadczona działaniami rezunów i wszelakich antypolonizmów, tak chętnie wymazywanych z naszej pamięci.** Więc spieszę do tej aktówki, pełnej niezbędnych zapisków i informacji. Widzę, że aktówka jest na kolanach szulera i służy mu za stolik do rozkładania kolejnego pasjansa. Nie mam wątpliwości, że to on. Częstuję czym prędzej coca colą. Sięgam po kubek do aktówki, a szuler, nie wiedzieć kiedy, zwinął karty i włożył mi je do kieszeni.

Szukam ich na wszystkie sposoby. **Pojęcia nawet bym nie miał, że można jakby na odległość zapanować nad czyjąś kieszenią i to kartami, na dodatek tak sprawnie.** Sam sobie nie dowierzam i gdy w Złoczowie wysiadłem na odludnym dworcu, raz jeszcze zrewidowałem własną kieszeń. Karty były. Te same. Tylko filmu brakowało.

Rys. 268. U nievo nikakoj kopiejeczki

63 – Uważajcie, to szuler między wami, podpowiada, szukajcie go sami... On nie ma ani grosika. To Rosjanin - A nie Polak? - dopytuję. Tu Polaków nie ma...

Rys. 269. Dworzec kolejowy w Złoczowie

W najbliższym kiosku także. Dopiero napotkani studenci z Kijowa widząc moje zakłopotanie podprowadzili mnie do zakładu fotograficznego w pobliżu autobusowego dworca i tam dopiero zdołałem kupić (a raczej odkupić) odpowiednią kasetkę kodaka z upragnioną czułością zagubioną po drodze.

Bardzo wdzięczny byłem tym młodym ludziom, z którymi wędrowałem później po mieście w atmosferze jakby starych dobrych znajomych. A faktycznie, to młodych studentów spędzających tu wakacje. To byli cudowni ludzie, znający doskonale te okolice (jeden z nich pochodził z niedalekiej wioski) i samo miasto. Dużo mi pomogli w jego zwiedzaniu, a na słynnym zamku niemal wyrwali z tarapatów, które nieoczekiwanie napotkałem. **Sam Złoczów robi wrażenie zwykłego małego miasteczka kresowego, takiego z dawnych lat.**

Leży na ruchliwej trasie zapchanej przepełnionymi autobusami. W modnych tu „marszrutkach" pełno często tobołów i sumek, więc wolałem jazdę pociągiem, który sprzyja przeglądaniu notatek i lepszemu przygotowaniu się do poznawania miasta. **Złoczów praktycznie nie był mi znany, z wyjątkiem niektórych spraw związanych z sytuacją rodaków, gdy jeszcze tu żyli.** Ostatnio, w Tarnopolu pojawiał się często w rozmowach już choćby z uwagi na to, że leży na tej właśnie ruchliwej trasie między Lwowem i Tarnopolem i stanowi tym samym ważny węzeł komunikacyjny.

Rys. 270. Zniszczony posąg

Historycznie, uroki jego zostały zauważone przez samego Jana III Sobieskiego, który uczynił ze Złoczowa jedną z najbardziej ulubionych siedzib. Oczywiście Złoczów wtedy wykorzystał tę miłość. Hojny król rozbudował zamek (dziś Zamek Sobieskich), usytuowany na południowo-wschodnim krańcu miasta. Zbudowany został w l. 1634–1636 przez Jakuba Sobieskiego (ojca króla), wojewodę ruskiego. **Przewodnicy głoszą, że jest to jeden z najciekawszych i najładniejszych zamków dzisiejszej Ukrainy.**

Od dworca jest do niego daleko. Widać jednak kwadratową figurę otoczoną kamiennymi murami, zaznaczoną po rogach czterema umocnieniami w postaci bastionów, w których umieszczone były stanowiska na działa. **Otoczony był fosą oznaczoną starodrzewem do którego zbliżasz się z dziwną ponurością. W tym ciężkim plenerze widać za fosą wieżę bramną i ślady zwodzonego mostu.** Te resztki dawnej wspaniałości przypominają jednak, że zabytkowi się nie wiodło, wszak już w 1672 r. wojska tureckie zdobyły go i dokładnie zrujnowały Po przeprowadzonej odbudowie był znacznie mocniejszy i oparł się napadom hord tatarskich Hadżi – Greja, które zaatakowały go już w kilka lat później. W okresie międzywojennym mieściło się tu więzienie o nienajlepszej sławie, choć makabrą zasłynęło pod rządami oswobodzicieli tych ziem 17 września 1939 r. Chciałem to wszystko zobaczyć i porównać z wyobraźnią, która działała na podstawie literatury i zasłyszanych wspomnień.

Rys. 271. Zaduma pod drzewem

Słoń wśród porcelany

W Złoczowie nie miałem problemów ze zwiedzaniem miasta. Towarzyszący mi studenci znali je wystarczająco jak na moje potrzeby i chętnie swoją wiedzą mi służyli. Zdradziłem, że czuję się ich dłużnikiem i oświadczyli, że łatwo dług spłacę, jeśli przyślę im jakieś zdjęcie ze swojej uczelni, najlepiej z życia studentów, lub całą książkę. To trudna sprawa, ale sądzę, że będę miał okazję to życzenie spełnić i to z serdecznością[64]. Wiele im bowiem zawdzięczam. **W ich towarzystwie miałem najpierw okazję połazić po mieście, a potem doszliśmy do fosy zamkowej i wielką, ponurą bramą wszedłem do środka budowli dźwigającej brzemię czasu i grozy.**

Po wejściu na dziedziniec widać po prawej stronie dwukondygnacyjny budynek mieszkalny, zbudowany w stylu renesansowym, a pośrodku całego placu stoi dziwactwo w chińskim stylu (podobno piękne!), **tzw. chiński pałacyk, którego w żaden sposób nie chciałem zrozumieć, a już na pewno podziwiać.** Wlazłem za opłatą do środka i zachowałem się jak gbur. Sam się zresztą zawstydziłem swojego zachowania szczególnie dlatego, że kompromitowałem się wobec miłych i gościnnych studentów. Zresztą starających się okazać kulturę wielkiej stolicy Kijowa. Złoczów, dla jednego z nich był miastem rodzinnym i trochę reklamowanym.

Rys. 272. Dworzec autobusowy w Złoczowie

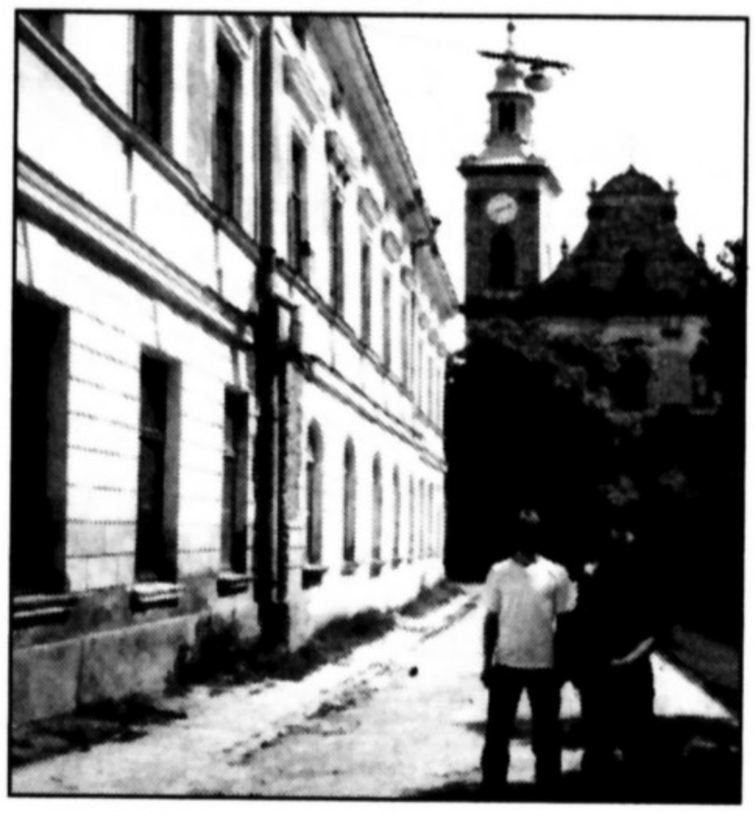

Rys. 273. Kijowscy studenci

Ja o tym praktycznie zapomniałem. Co gorsza, byłem pełen wielkiego niepokoju. **Studenci sprawnie podążali po rozległym terenie zamku trzymając się blisko kamiennych ścian, skąd widać było wspaniałą panoramę okolicy.** Chciałem ich naśladować, co mi się nie udawało, wszak różnorakie przejścia były rozkopane, zagracone i z braku toalet niestety zabrudzone. To wymagało okrężnych, dodatkowych i rzecz jasna nieprzyjemnych obejść. Cóż za radość, gdy w holu przywitał nas spokój i kulturalny nastrój. Sądziłem nawet, że odkryję jakiś bufet lub kawiarenkę z napojami, by trochę swoich pragnień ugasić. Wszędzie była cisza i nikogo nie było można o nic zapytać.

---

64 Szczęść wam Boże, drodzy przyjaciele!

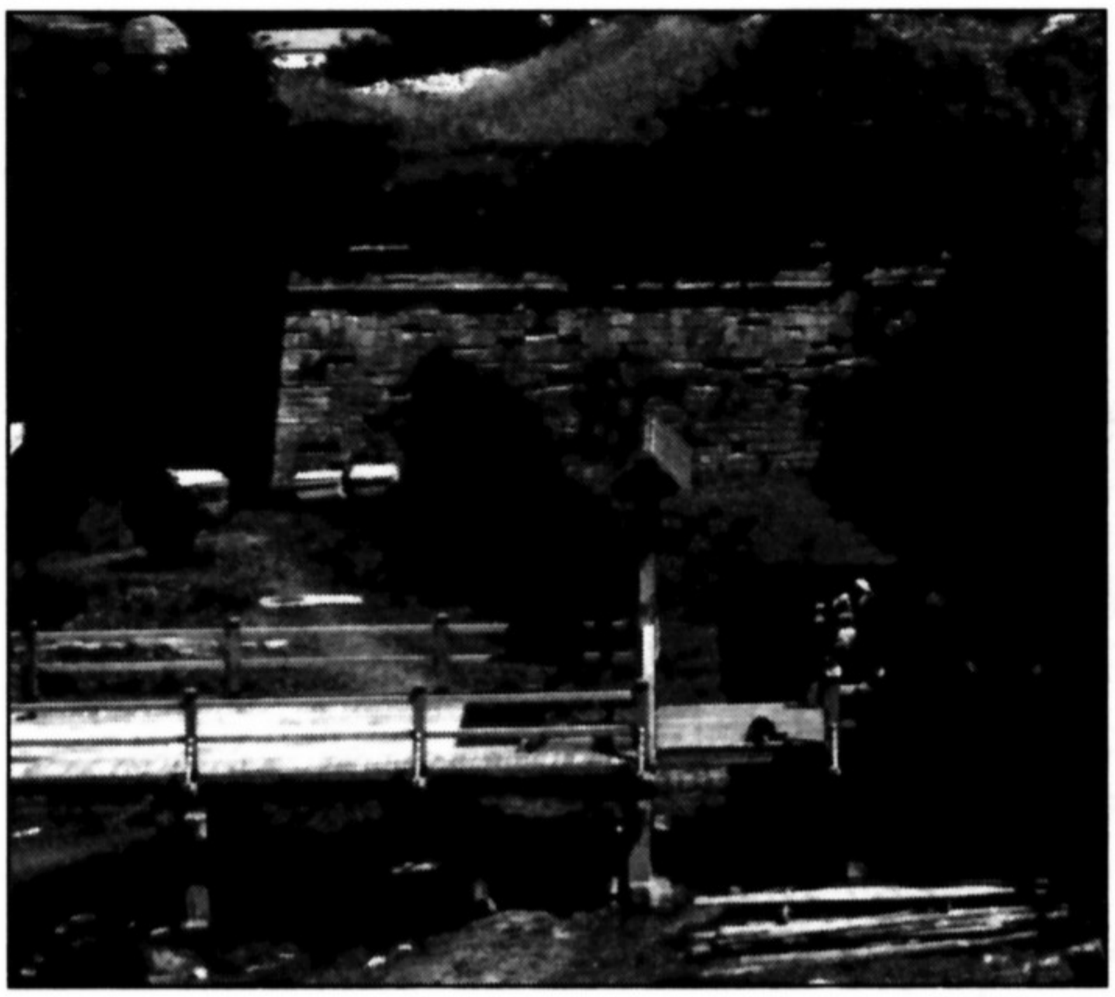

Rys. 274. Zawalidrogi koło zamkowego płotu

z tych młodych ludzi, którzy na stole niczego nie stawiają.

Była bardzo krzykliwa i poczułem się całkowicie przegrany. Moi przewodnicy skoncentrowali dyplomatycznie swoją uwagę na jakichś eksponatach w trosce o wyciszenie drobnego nieporozumienia, kierując się w stronę wystaw muzealnych. Ja przez chwilę nie wiedziałem co dalej robić i od studentów wyraźnie odstawałem. Podejrzanie to dla gospodyni wyglądało. Tak, jakby się obawiała, że w grupie podzielonej trudno będzie nas przypilnować na tyle, że może co nieco z porcelany zniknąć. **Bardzo nieprzyjemnie odbierała całą sytuację, zniechęcającą zresztą do zwiedzania dalszych pomieszczeń.**

Rys. 276. Pałac chiński w ruinach zamku

Dyskretnie zacząłem więc penetrować przyległe do holu pomieszczenia. Torbę postawiłem na ogromnym stole (pół wielkiego holu zajmował) udając się w stronę schodów. W międzyczasie wyszła stamtąd pani kustosz i zapytała cóż to cennego tu zagubiłem. **Oceniła chyba, że mogę być dla muzealnych przedmiotów groźny.**

Wycofałem się natychmiast w stronę drzwi i stanąłem przy swojej torbie. Skojarzyła ją z moją własnością i zażądała, abym natychmiast torbę ze stołu zdjął. Miała zdecydowaną rację i myślałem nad wyjaśnieniem całej sprawy, że to tylko na moment. Do głosu mnie jednak nie dopuszczała. Na wstępie zinterpretowała, że chyba pierwszy raz spotykam się z kulturą wyższego rzędu i dobrze byłoby, abym wziął przykład

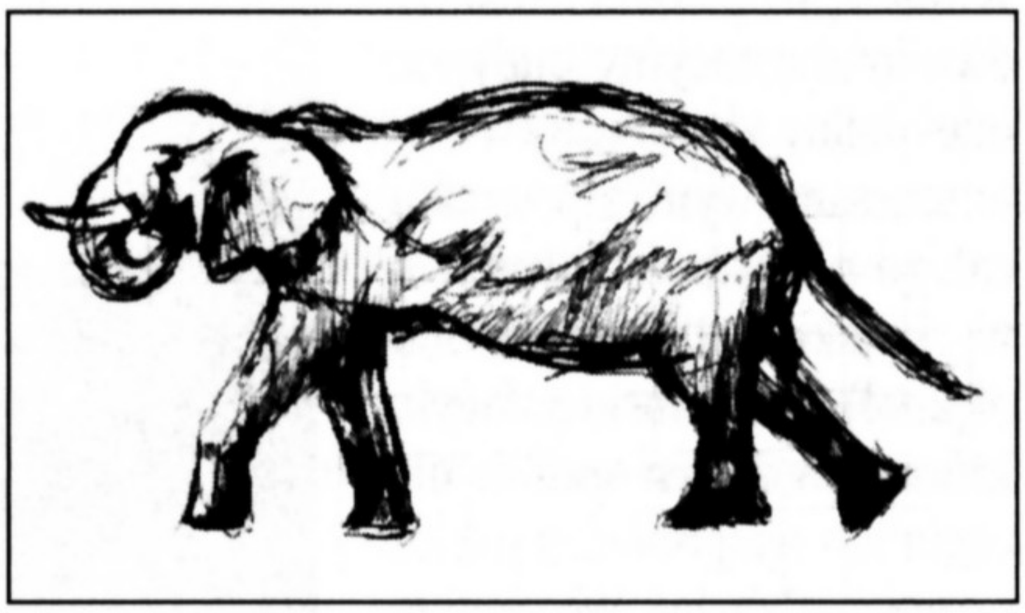

Rys. 275. Nie pasuje do składu porcelany

Punkt kulminacyjny atmosfery pojawił się po paru minutach. Studenci szybko przechodzili wśród eksponatów, a ja, nie zdradzający najmniejszego zainteresowania porcelaną (poczułem się jak słoń w jej składach) i podenerwowany, zawróciłem do wyjścia, w stronę nieodległych płotów. Wychodząc zauważyłem, że gospodyni manipuluje groźnie służbowym telefonem, jak gdyby chciała wzywać pomocy. Nikt się do rozmo-

Rys. 277. Brama wyjściowa

wy nie zgłaszał i zaczęła mnie straszyć...uwidzitie, uwidzitie – niczewo ja bolsze nie uwiżu, chwatit! – parsknąłem gniewnie, gdy zamykałem już drzwi z drugiej strony chińskiej budy, pałacem zwanej, w której nieoczekiwanie zagroził mi skład porcelany, niefortunnie raczej napakowany. **Zupełnie czego innego w tym zamku szukałem.**

Po krótkim czasie studenci do mnie dołączyli i zaczęli szydzić ze mnie i z tej pani, na którą tak ofiarnie w korytarzu czekaliśmy. Ofiarą pośmiechowiska padł i cały pałacyk pasujący do tego zamku jak tulipan do kożucha. Piekielnie mnie to wszystko irytowało. Szczególnie nadmiar chińszczyzny i brak polszczyzny. **Dopiero w bramie głównej nastąpiło gwałtowne uspokojenie.** Zauważyłem bowiem wywieszone zestawy nazwisk pomordowanych tu osób w czasach, gdy zamek zamieniono na jedno z najokrutniejszych więzień organizowanych przez NKWD. Dla mnie osobiście był to symbol cierpienia tak Ukraińców, jak i moich rodaków, z czym dość dobrze zapoznany byłem przed przyjazdem. Szkoda, że nazwisk polskich tu nie odnajdywałem. **Nawiązałem do znanej mi makabry z tamtych lat i zacząłem opowiadać studentom kogo, za co i jak do tej męczarni wciągano.** Ponieważ szliśmy z nimi od dworca przez całe miasto (zapewne ładnych parę kilometrów), byliśmy już zmęczeni, więc jawiła mi się opowieść o furmance, którą dowożono więźniów z odległych niekiedy wiosek. **Makabryczną scenerię na tę okoliczność tak ukazuje siostra księdza Anczarskiego, bezpośredni świadek tych wydarzeń[65]:**

Rys. 278. Ruina wśród ruin

„[...] uwięziono ojca w ramach likwidowania *kułaków*... Każdego *kułaka* obłożono wielkimi podatkami, a gdy je zapłacił kosztem niesamowitych wysiłków i udręk, podatek podwyższano aż do kresu wytrzymałości... Oprócz tego bez końca nękano tych ludzi na tysiące sposobów...Sprawę kończyło wię-

---

65 Patrz, ks. Józef Anczarski, op. cit. s. 209 i nast.

Rys. 279. Ołtarz w złoczowskim kościele

prawdę bogatych. Dopiero takich niszczono i zniszczono. Uwięzienie ojca miało miejsce 19 VI 1941 roku. Razem z nim uwięziono i także zamordowano w złoczowskim więzieniu Ukraińca Konstantego Pyndyka. Był to człowiek dobry. Znałam go i opłakiwałam... Był zaprzyjaźniony z ojcem..."[66].

Fragmenty tych wspomnień pasowały do scenerii bramy wyjściowej niemal dopominającej się takich treści.

zienie i karny wywóz w głąb Rosji dla odpracowania podatku, od którego *kułak* złośliwie się uchylał jako wróg państwa socjalistycznego i wróg ludu.

Na Kresach Wschodnich w likwidowaniu *kułaków* Polaków wielką rolę odgrywali Ukraińcy... walkę urzędową z *kułactwem* złączono z walką z polskością i Polakami. Polak był wrogiem i dlatego trzeba go było zniszczyć. Ukraińcy byli przy władzy, obsadzili wszystkie urzędy przy bolszewikach, byli w milicji, byli wszędzie. Tę swoją wszechobecność wykorzystywali przeciw Polakom. Robili *kułakami* Polaków, którzy nie byli *kułakami* i klepali biedę...

Oszczędzali natomiast swoich. Na skutek tego, ukraińskich *kułaków* było mniej. Byli, ale należeli do ludzi na-

Rys. 280. Recenzja lepsza od książki

Jak mogłem, tak je studentom serwowałem. Wykazywali zainteresowanie i jeden z nich skomentował: to miejsce składa się z wielu warstw. Jak cebula. Jak usuniesz jedną warstwę, napotykasz na drugą. Na samym dnie jest straszliwa ofiara, z siepaczem, prowadzącym do jej śmierci. To strasznie ponure i praw-

---

66 Ibidem.

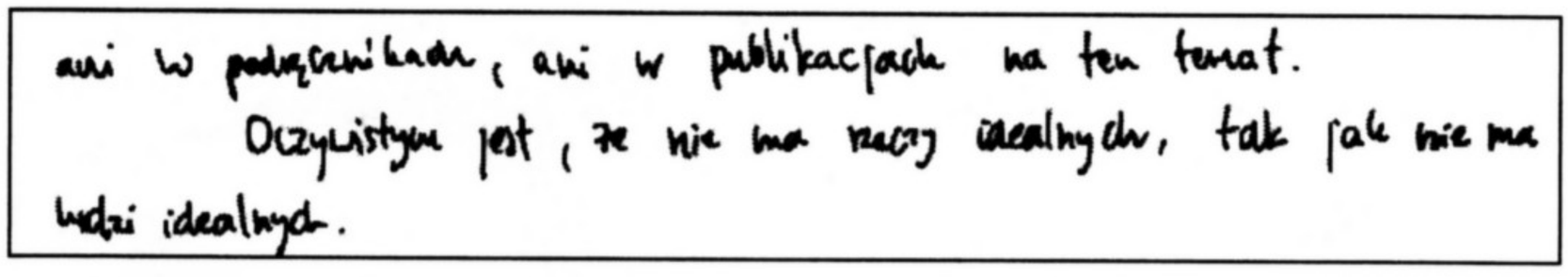

Rys. 281. To także studencka recenzja

dziwe. Ale czy macie świadomość tego, że coś, co jeszcze wczoraj było, dziś już nie istnieje. Nie wiem, czy warto o tym wspominać. Na moje szczęście tej opinii nie podzielił jego kolega i rozmowa niedokończona miała szanse nas nie podzielić. Wspólnym wrogiem był przecież czas i trzeba było sobie z nim radzić.

Furmanka do piekła

Mimo wszystko dalsza rozmowa niełatwo się klei. Dotyczy zbyt wielu i wielkich spraw, na domiar złego już bardzo odległych. Szczególnie dla moich młodych towarzyszy. Jednak gdzieś, w głębi naszego człowieczeństwa tkwią relacje z masakry w więzieniu złoczowskim, po którego terenie z takim trudem się poruszałem. **Wspomniana Autorka maluje w nim obraz określony dnem piekła.** Wiem, że w eschatologii wielu religii piekło było stanem dusz skazanych za grzechy popełnione na ziemi. Umiejscawiano je pod ziemią, przy czym stosowane kary miały kształt doczesnych cierpień. **W tym wypadku zaczęły się – jak wspomina autorka na ziemi, na furmance zmierzającej w przestworza piekła:**

„Aresztowanie ojca odbyło się tak: ze Złoczowa przyjechali enkawudyści, wezwali ojca do *.silrady*...powiedzieli ojcu i Pyndykowi, że pojadą odrabiać podatek, którego nie chcieli płacić, powodowani nienawiścią do państwa radzieckiego. Posadzono ich na furmankę obok dwu uzbrojonych ludzi.

Ja długo biegłam za furmanką, płacząc. Coś wołałam w kierunku ojca. Sołdat skierował ku mnie broń i syknął: *Ubiju!* A w domu długo wył pies".

Zacząłem to wszystko streszczać (nieudolnie) towarzyszącym mi studentom i sam żałowałem, że pamięć zagubiła aż tyle istotnych faktów. Mimo wszystko widać było, że nad takimi aż cierpieniami wyobraźnia ich nie panowała. Szkoda mi się ich zrobiło, bo są Bogu ducha winni za te zbrodnie, podobnie jak i młodzi dzisiejsi Niemcy. **Ale historii się nie bójmy i lepiej prawdzie spojrzeć prosto w oczy.** Przerwany wtedy fragment wspomnień, o jakich pisze autorka, pozwalam sobie przytoczyć w oryginale, choć z konieczności z niezbędnymi uproszczeniami.

Rys. 282. Wyjście z kościoła złoczowskiego

[...] Niemcy znaleźli 3 mogiły z setkami pomordowanych więźniów. Na wiadomość o tym ... biegłam kilka kilometrów z Poczap do Złoczowa, aby szukać ojca i przekonać się, czy wiadomość jest

prawdziwa. Kiedy dotarłam do zamku, mogiły były już w znacznej części odkryte. Wiał od nich potworny smród już na kilkadziesiąt metrów przed nimi. Robiło mi się mdło. Kiedy stanęłam przed mogiłą, wydobywano z niej trupy. Robili to Żydzi. Chwytano ich po ulicach i wyciągano z domów... Wyglądali potwornie, tak, że można ich było położyć obok trupów i byliby do nich podobni. Utytłani ziemią, gnojem, popychani przez Niemców i bici. Wyciągali trupy jakimiś hakami, czy drągami, deptali po trupach, byli przerażeni do ostatnich granic.

Rys. 283. Litość mi nie znana

Kiedy to wszystko ogarnęłam okiem, byłam nieprzytomna z przerażenia, bólu, łzy leciały mi z oczu, trudno było oddychać, zbierało mi się na mdłości. Wszystko to było jakieś potworne, straszne, piekielne. Groza nie do ogarnięcia. Widziałam dno piekła. Ze wszystkich stron dolatywał ludzki straszny jęk. Przy wyciągniętych z dołu trupach stoją ludzie z kawałkami drewna i odgarniają z martwych ciał gnój, błoto, nieczystości. Chcą się doszukać tej jednej, jedynej, umiłowanej twarzy z odrobiną nadziei, że ją odnajdą wśród tylu zmasakrowanych, oparzonych, ogniłych twarzy. Pragną odszukać ciało drogiej osoby, by je wyłączyć z gnoju innych ciał i pogrzebać osobno...

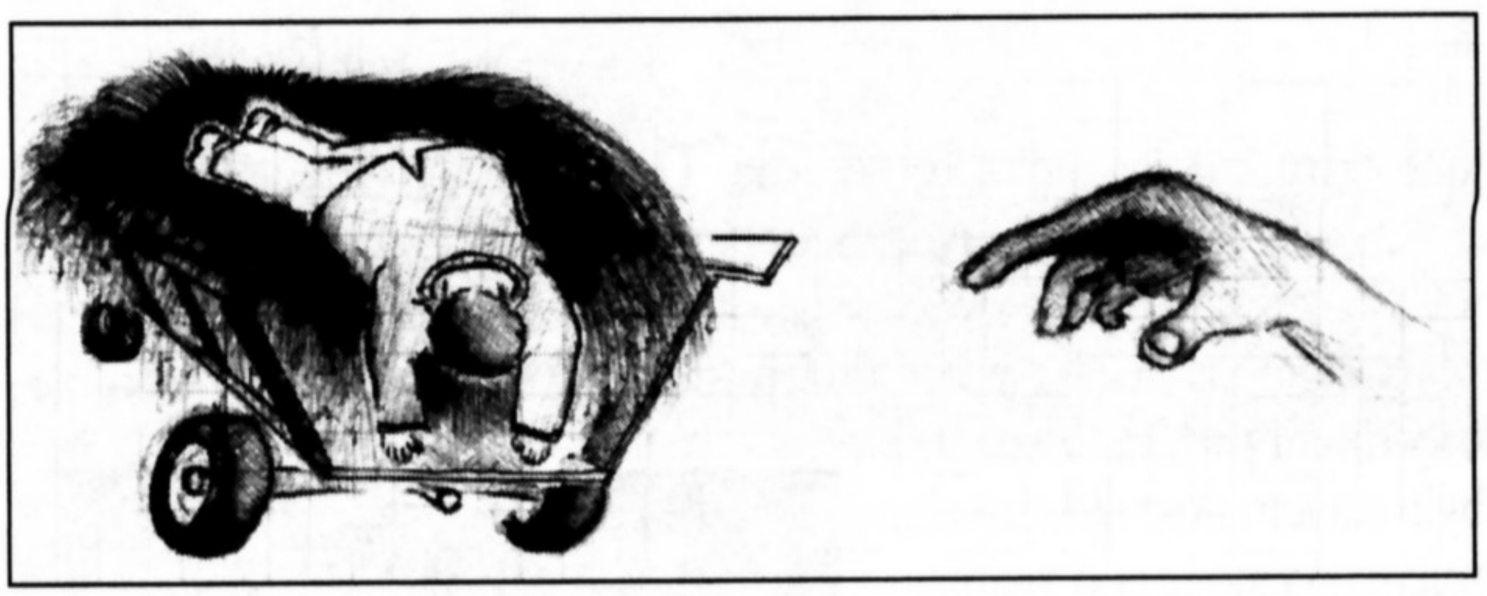

Rys. 284. Zginął na swoim

Niestety. Wysiłki setek ludzi idą na marne. Tylko ktoś tu i ówdzie poznaje umęczone bez granic ciało drogiego człowieka. Najczęściej po jakimś fragmencie ubrania. Inne ludzkie twarze są tak zmasakrowane, oparzone, zdeformowane, odarte z osobistych cech rozpoznawczych, że wszystkie zabiegi zmierzające do rozpoznania idą na marne.

Kiedy ogarnęłam rzutem pierwszego wejrzenia to wszystko, zdawało mi się, że padnę przy tych mogiłach udręczonych ludzkich ciał... Z wielkim trudem wycofałam się kilkadziesiąt metrów od tych okropności, aby zaczerpnąć powietrza...

Chustką do nosa zatkałam nos i usta. Musiałam znaleźć w sobie tyle siły, aby pochylić się nad każdym ludzkim ciałem, odgarnąć deszczułeczką brud i zanieczyszczenia na każdej twarzy i przegrzebać ubrania męczenników...Co kilkanaście minut odchodziłam poza zasięg gnijących ciał ludzkich, aby zaczerpnąć powietrza. Tak przez cztery dni przychodziłam razem z moją matką... Tak robili inni ludzie przy setkach trupów, przy gwałtownie postępującym rozkładzie ciał i przy rozpalonym letnim słońcu...

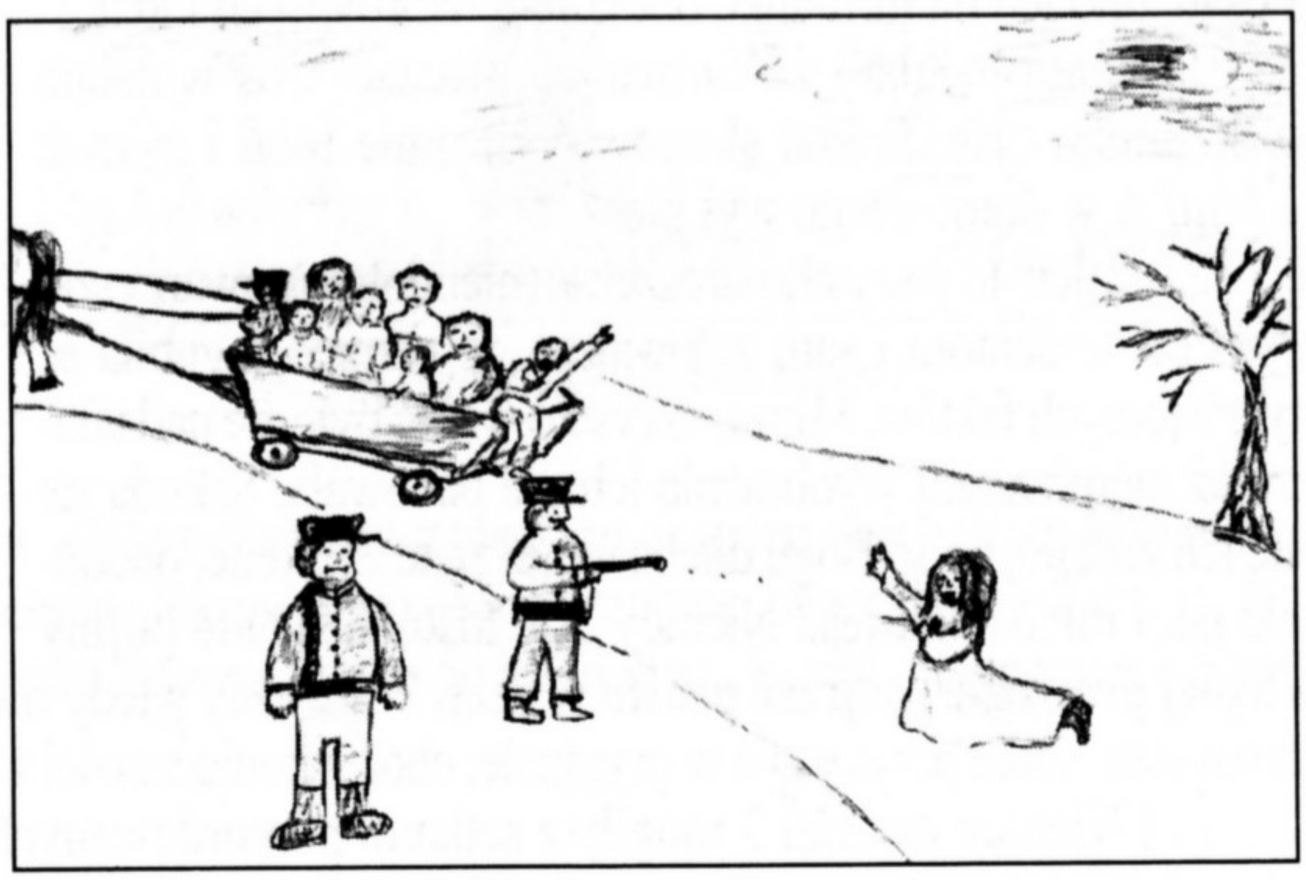

Rys. 285. Furmanka do piekła

Ciała pomordowanych zlewano jakimś kwasem. posypywano wapnem i zawalono zwałami ziemi... Poszarpane narzędziami śmierci i szaleństwem zabijania, podarte i poranione parzyły się w dole śmierci i w przyśpieszonym tempie ulegały procesowi rozkładu i gnicia.

Więźniów mordowano w ubraniach. Tylko niektórzy byli bez marynarek i koszul. Ale i ubrania były porwane, podarte, poszarpane. Zmoczone kwasem, wapnem i krwią, przesycone gnilną posoką, także były nie do poznania. Tylko jakieś szczególne znaki pozwalały bliskim domyśleć się, do kogo one należały...

Naszego sąsiada o miedzę – Andrzeja Czuczmana, rozpoznała żona po jakiejś szczególnej łacie na spodniach. Księdza proboszcza Szewczyka z parafii Ryków w okolicy Złoczowa poznał inny ksiądz po obuwiu. Widziałam na własne oczy, jak kobiety z Rykowa przyniosły wiadro wody, aby obmyć księdza. Skóra z ręki księdza ściągnęła się jak rękawiczka.

Ilu zamordowanych rozpoznano? Nikt tego nie wie. Nikt się tym nie zajmował. Rodzina zabierała trupa i w pośpiechu dokonywała pogrzebu na miejskim cmentarzu. Niedaleko od więzienia znajdowała się handlowa spółdzielnia „Sojuz", było w niej wiele drewnianych skrzynek i paczek. W pośpiechu zbijano z nich paki na trumnę i wkładano ciała pomordowanych. Zawożono na cmentarz i grzebano...

Rys. 286. Złoczów na widokówce z 1937 r.

W więzieniu byli ludzie najrozmaitsi. Najwięcej Polaków... to w znacznej części ofiary nienawiści ukraińskiej. Ukraińcy wykorzystując sytuację oskarżali Polaków o wrogie działania w odniesieniu do Związku Radzieckiego. Donosicielstwo i szpiegostwo było chlebem powszednim wielu ludzi i najłatwiejszym sposobem niszczenia wrogów. W tych czasach nikt się nie bawił w uczciwe dochodzenie prawdy. Ukraińcy byli pewni siebie i szeroko korzystali z łatwej możliwości niszczenia elementu polskiego...

Kiedy jednak uderzyli na Związek Radziecki Niemcy, przy wycofywaniu się przed nimi, Sowieci mordowali nie tylko więźniów w murach więzień, ale rozpoczęto pośpieszną i gwałtowną akcję mordowania Ukraińców, do których mieli polityczne zastrzeżenia. A takich było bardzo wielu..."[67].

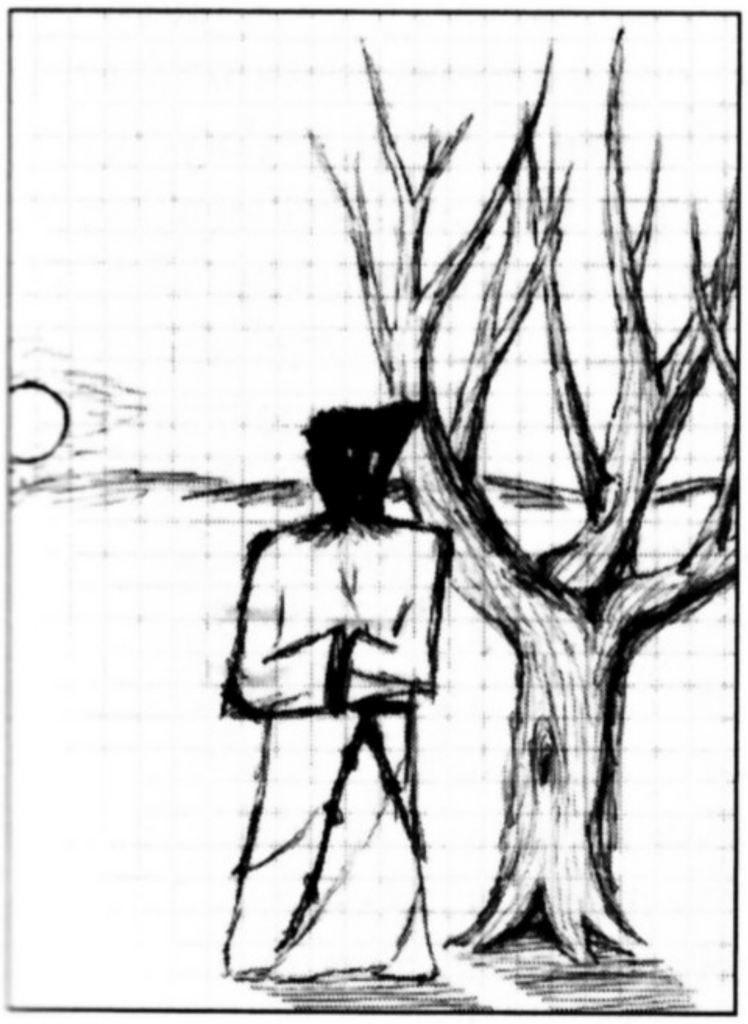

Rys. 287. Omnes plaudite manibus[68]

[67] Ibidem, s. 216.

[68] Wszyscy klaszczcie w dłonie.

Użyty w tej relacji termin „dno piekła" jest więc adekwatny do tego, co tu się przed laty działo. Jest symbolem wymownym i obejmującym także inne miejsca, o których wiem i które zaczynam studentom wymieniać: **Katyń, Miednoje, Bykownia koło Kijowa, Starobielsk, Ostaszków, Charków, Twera, Kozielsk itd.** Zaczynając taką rozmowę z kulturalnymi, dobrymi i życzliwymi studentami ukraińskimi na temat złoczowskiego piekła pragnąłem jednak poznać głębiej ich wiedzę z tym związaną.

Nie udało się. To byli zbyt młodzi, dobrzy, szlachetni ludzie, których wyobraźnia do takich aż tragedii nie chciała się zbliżać. W pewnym momencie zauważyłem nawet, że jeden z nich przykłada palec do ust i pokazuje: pssst! Ciszej o tych sprawach. Ale z tym się zgodzić nie mogłem. Cały świat tak robi, a mnie właśnie chodzi o odejście od takiego stanowiska. Tu, moim zdaniem trzeba krzyczeć! Po to, by furmanki do piekła nie było już nigdy.

Góra królowej Bony

Z daleka ją widać. **Marszrutka jedzie dość wolno przez ciasne ulice i nawet gdybyś nic więcej już nie widział, to po sam ten widok warto było do Krzemieńca przyjechać.** Wysiadam na dworcu autobusowym i zaczynam rozpytywać o miasto. Dobrze trafiłem. Informatorem okazał się być Igor, młody nauczyciel jednej ze szkół, który z powodów finansowych wyemigrował do Rosji i przyjechał na pogrzeb jakiejś bliskiej osoby. Był bardzo poważny i odpowiedzialny w wypowiedziach. Uzasadniał, że śmierć cały czas podcina korzenie życia. Widać było, że przeżywa rozstanie z kimś bliskim i z tym całym miastem, za którym tęskni dniami i nocami. Myślę, że nie tylko on. **To miasto jest tak pełne uroków, że zakochało się w nim nie jedno już pokolenie,** tak jak w Kazimierzu nad Wisłą. Przypomnieć wypada, że w okresie międzywojennym w Krzemieńcu organizowano najrozmaitsze kursy malarstwa i rysunku dla młodzieży z całego Podola i Wołynia. Echa tamtych dni ciągle tu jawią się w rozmowach.

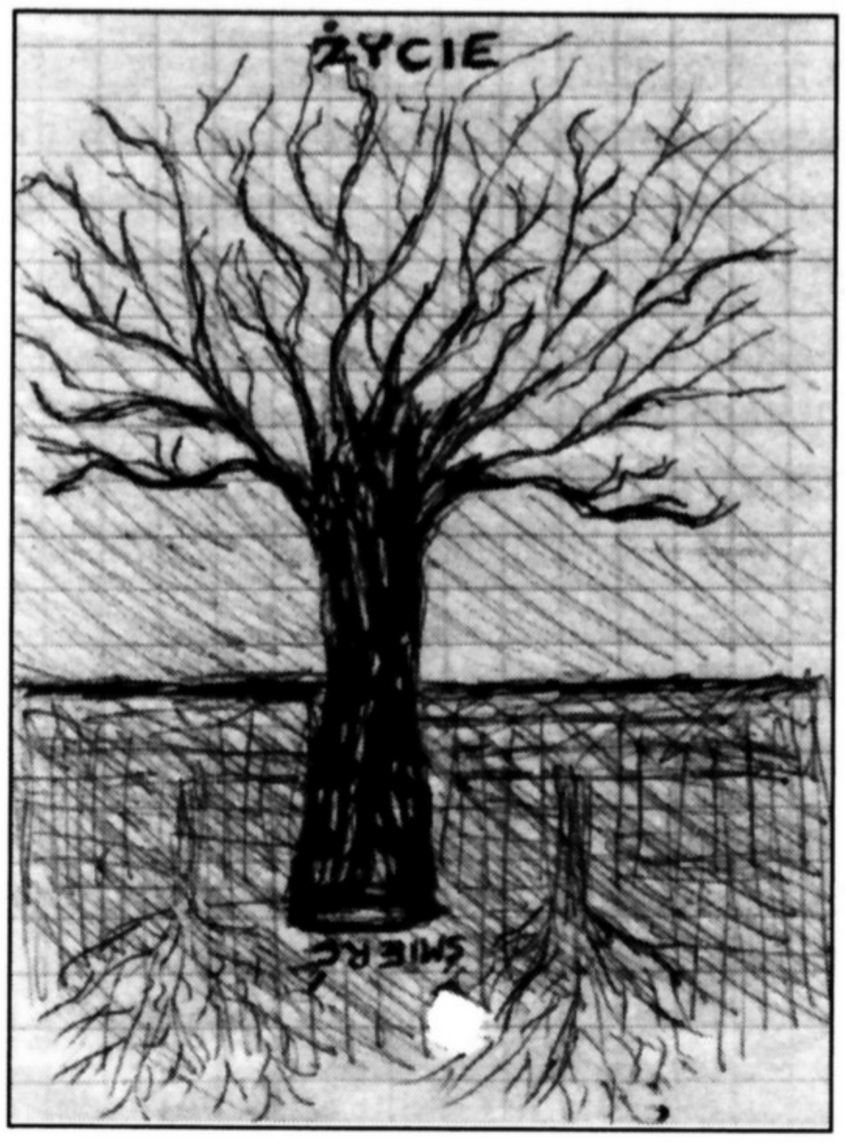

Rys. 288. Drzewo życia i śmierci

Igor znał te tradycje. Stwierdził nawet, że dotyczą złotych czasów dawnego Liceum Krzemienieckiego wpisanego na trwałe do historii Ukrainy. Wsłuchiwałem się w jego wywody nic nie prostując w obawie, że stracę cennego informatora. Poza tym nie byłem pewien wielu dat i faktów, z którymi on całkiem nieźle sobie radził. Wiedział, że wykładał tu m.in. **prof. Euzebiusz Słowacki, ojciec poety Juliusza,** zarazem wychowanka tej szkoły. Podprowadziłem go do uogólnień i to on stwierdził, że wszystko katastrofalnie przeminęło, jak wiatr stepowy. Została jedynie góra (zwana Górą Królowej Bony), której jak dotąd, nie udało się rozebrać ani zniszczyć. Są nawet na niej ruiny dawnego ogromnego zamku, ale w takim obecnie stanie, że mogą ilustrować klęskę wojny atomowej. Nieszczęsne! Obserwują zniszczone miasto, a miasto nie ma odwagi podnieść wzroku do góry i bronić się przed dalszą dewastacją. Szczególnie tą z okresu powojennego.

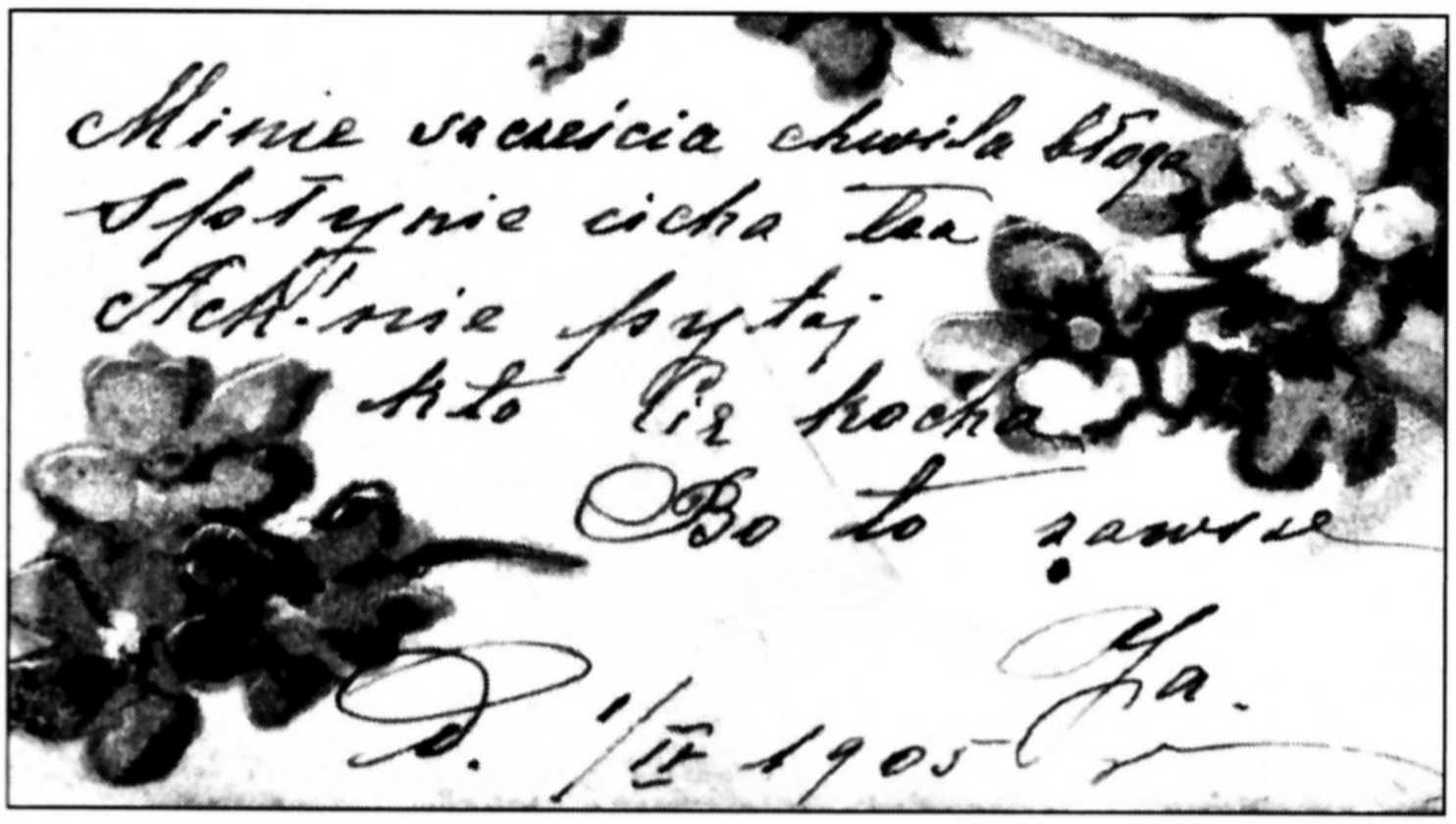

Rys. 289. Fragment widokówki z 1905 r.

właścicielki starostwa krzemienieckiego w XVI w. Stał się wtedy potężną twierdzą, z którą długo walczyły wojska kozackie Maksyma Krzywonosa w czasie buntu Chmielnickiego w 1648 r. Może wy, ale ja tego buntu w ogóle nie rozumiem. Przecież ten Chmielnicki to też Polak i szlachcic. Żeby w takie ruiny tę twierdzę zamienić. Wy starsi, powiedzcie, gdzie u naszych narodów trochę mądrości historycznej! Po co nam te walki i wzajemne wy-

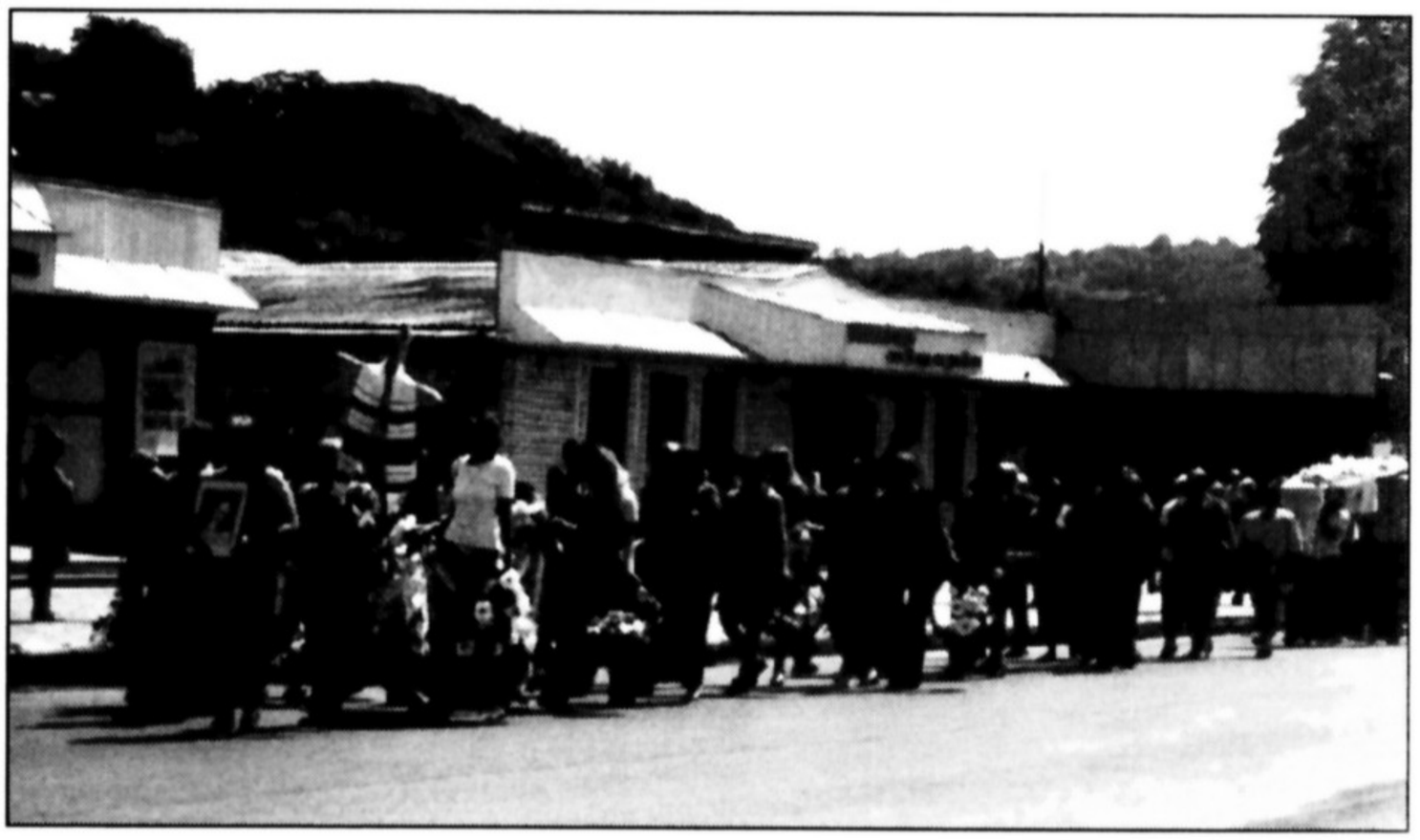

Rys. 290. Kondukt pogrzebowy w Krzemieńcu

rzynanie się! **Zobaczcie, jak inne narody poszły w międzyczasie w górę. Trzeba było trzymać Grunwald! Takie zwycięstwo nad zwycięstwami. Wspólne!**

– Tak, ale straciliśmy okazję i odbudować jej, ani w Polsce, ani u was nie zdołamy. Ja już próbowałem. Przez wiele lat nawet taką organizacją Zjednoczenie Patriotyczne Grunwald kierowałem.

– Może zdołam tam dotrzeć, ale póki, co powiedz, co na niej jest?

– Historia wielka. Jeszcze ta z XI i XII w., kiedy to imponował na szczycie dwór książąt ruskich **przekształcony potem w Zamek księcia Witolda.**

Pamiętacie z Bitwy Grunwaldzkiej? Zamek był już całkowicie kamieny. Ale renesans spotkał go dopiero za czasów królowej Bony,

Rys. 291. Droga do cmentarza

Rys. 292. Bardzo przeżyłam ten pogrzeb

Tylko makabrycznych kłopotów się nabawiłem. Więc pozostaje nam wygarnąć sobie wzajemne żale, by próbować znowu się pojednać. Musi to być szczery proces, aby jedność była prawdziwa**. Dalsza ruina i destrukcja dziejów prowadzi donikąd.**

Od Igora wypłynęło teraz stwierdzenie, że i „za jego czasów" każdy pretekst do ataku na drugą stronę był dobry. **W 1981 r. wystarczyły notatki w prasie radzieckiej o niszczeniu w Polsce cmentarzy żołnierzy radzieckich (to chyba była wymówka), by tu nastąpiła dewastacja Mogiły Nieznanego Żołnierza, w której spoczywały szczątki polskich żołnierzy poległych w pow. krzemienieckim w latach 1915–1921.** Z dalszej rozmowy dowiedziałem się, że Mogiła umieszczona była na cmentarzu katolickim, powszechnie uznawanym za polski. Chowano na nim także Polaków zamordowanych przez Ukraińską Powstańczą Armię. Może to właśnie doprowadziło do bolesnej dla nas decyzji władz lokalnych utrudniających dalsze pochówki, na które trzeba było mieć specjalne zezwolenie władz. Faktycznie, to było ostateczne uśmiercenie cmentarza.

O tej historii Igor nie był szczegółowo poinformowany, jednak przyznał, że w zestawieniu z innymi miejscami bezprzykładnej dewastacji historycznych miejsc jest ona także bardzo wymowna. Obaj o historii uczciwej (bez fałszu i propagandy) tej, której ciągle niedosyt, nie mieliśmy zbyt wiele pojęcia i zaczęliśmy ostrożnie formułować sądy. Rysowała się coraz większa jednak zbieżność myśli. – **Przecież młodzi Niemcy, Ukraińcy, Polacy nie ponoszą żadnej odpowiedzialności za tamte dzieje. Moralnie są jednak odpowiedzialni za podtrzymywanie pamięci o tym, co było.** Takie podejście napędzało tematy. W dalszej rozmowie Igor więc zaczął przytaczać szerszą argumentację.

– Czy wiecie, że dworzec, na którym obecnie jesteśmy to do niedawna synagoga? – dopytywał na potwierdzenie swoich szerokich tez. Zobaczycie, w jak opłakanym stanie są całe ruiny zamku Królowej Bony. **Tam już tylko straszy...** – Jak we wszystkich zamkach – wplątałem jakąś myśl. – To tam z boku, jak idą te schody do nieba... – coś usiłował mi zarysować.

Rys. 293. Rytuał grekokatolicki

Uprościłem sobie nieco drogę i do lasu (nad którym górowały ruiny zamku na górze) idę przez jakieś łąki. Napotykam przy ścieżce prowizoryczny namiot, dziko ustawiony i wypełniony młodzieżą. Chyba protestacyjnie ktoś wystawił nogi i zasłonił szczelnie drzwi, by nie ukazywać „wnętrzności". W miarę jak się do namiotu zbliżam, rwetes zamienia się w absolutną ciszę. Trzymam się więc z dala od tego namiotu i podążam śmiało skrótami pod Górę. Mam pełno niesmaku i żałuję tego skrótu. **Niech nikt tego nie robi! To koszmar.** Zwoje nie wykoszonej trawy plączą mi nogi i uniemożliwiają przejścia. Wyglądam bardzo podejrzliwie. W końcu wyłażę stąd szczęśliwie i podążam do drogi wjazdowej.

Rys. 294. Droga do cmentarza

Gdy zobaczyłem kamienie, po których zapewne jeździła karocą królowa Bona z synem Zygmuntem Augustem II, poczułem się jak zdobywca Mount Everestu. Wciągam głęboko powietrze i staję pośrodku drogi, by popatrzeć w wąwóz, w którym ulokowało się miasto. Co za piękna, rzeczywiście, panorama. Miasto, to dawne, widać jak na dłoni. Przede wszystkim cały kompleks budynków pojezuickich ze słynnym **Liceum Krzemienieckim, kościół i klasztor Franciszkanów (przebudowany na cerkiew), kościół i klasztor Trynitarzy, różne kamienice i dworki, a przede wszystkim Dworek Słowackiego, pięknie teraz odbudowany.**

Rys. 295. Liceum Krzemienieckie na starej widokówce

Tym razem niebo jest na dole i śni mi się karoca czasu, która by na dół zjeżdżała. Może bym przemyślał naszą tu cywilizację. **Tę antyczną z Grecją związaną i rzymską, opartą na prawie**

Rys. 296. W kulturze życia i śmierci

rzymskim i etyce chrześcijańskiej (czyń drugiemu dobro). Wszystko ta kultura obejmuje: radość (zmartwychwstanie), smutek (ukrzyżowanie), strach (przed rezunami), gniew...nie pominięty w tym studenckim rysunku. Impuls do takich rozważań daje przywołana tu karoca czasu, której echo przedziwnie brzmi w uszach. Jak kamienie Szymborskiej zobojętniałe na czas. Wsłuchuję się w ciszę i wiem, jak współbrzmiały z galopem koni wprzęgniętych do karocy królewskiej. Boże, dziękuję Ci, że nie jestem jeszcze głuchy i nawet szum gałęzi wielkich drzew do mnie przemawia. **To chyba i wtedy tak samo szumiały.** Ale ja już muszę schodzić. Jestem zbyt zmęczony na podróż schodami do nieba. Może jutro uda mi się wznieść na tę cudowną górę.

Uczniowie Liceum Krzemienieckiego

Cóż to za rozkosz rozmawiać z mądrym człowiekiem. Szkoda, że nie ma go już wśród nas. A jednak pod nieobecność syna Pani Słowacka z nim rozmawiała. Tak, jakby przy niej był. Zadumana, wpatrzona w Górę Królowej Bony, czytała i rozważała słowa do niej kierowane, niejednokrotnie wracała do wielu spraw, które Juliusz stawiał i formułowała staranne odpowiedzi. On dla niej wtedy żył w dwójnasób. Gdzieś tam daleko we Francji czy słonecznej Italii i tu w listach, które jej przysyłał, dopisując: Mamo, ja Cię kocham! I tęsknię! **Przez tyle lat na bieżąco czuła w tym gabinecie jego obecność. Jeszcze teraz widać tego ślady.**

Przy foteliku matki leży jeden z takich listów wyrwanych z tamtego dialogu. Mam wrażenie, że matka na chwilę tylko opuściła ten fotel, zostawiając na nim ulubioną chustę, którą po powrocie do saloniku znów się przyodzieje. **To taka zwykła chusta z frędzlami, która chroniła wdowie serce przed schłodzeniem, bo musiało stale gorąco bić dla syna, najdroższej istoty na świecie.** I biło. Od początku, do ostatnich chwil. Świadkiem jest słońce i księżyc.

Na dniu, przez południowe okienko saloniku, słońce dokładnie tu wchodziło i ułatwiało robienie porządków, czytanie, pisanie. A wieczorem księżyc zaglądał jakby specjalnie znad wysokiej góry, przenosząc blask zamkowego szczytu ozdobionego wielką koroną królowej Bony. **I to było piękne, choć nic nie wystawione na pokaz.** Taki codzienny widok i melancholia, radość obcowania z synem, wieżami kościołów i gmachem Gimnazjum Krzemienieckiego,

Rys. 297. W centrum Krzemieńca

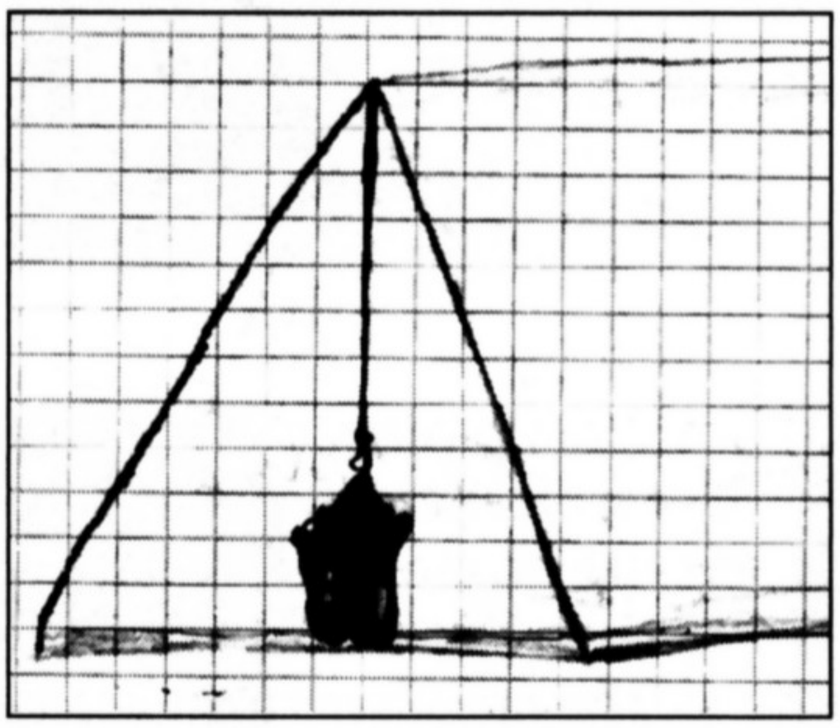

Rys. 298. Namiot przy ścieżce do zamkowej góry

w którym młody Julek znajdował wsparcie dla ducha ukształtowanego w domu i uznanie dla prób twórczości przynoszącej mu później tak wielką sławę. Rzeczy wielkie, jak teoria Kopernika nigdy się nie starzeją. Trwają! Można je odnaleźć w całym otoczeniu Julka i jego kolegów. Trzeba tylko chcieć i sercem swoją potrzebę zaświadczyć. **Odnajduję ją w całej romantycznej twórczości Słowackiego stanowiącej, jak Anhelli, właśnie ofiarę serca.**

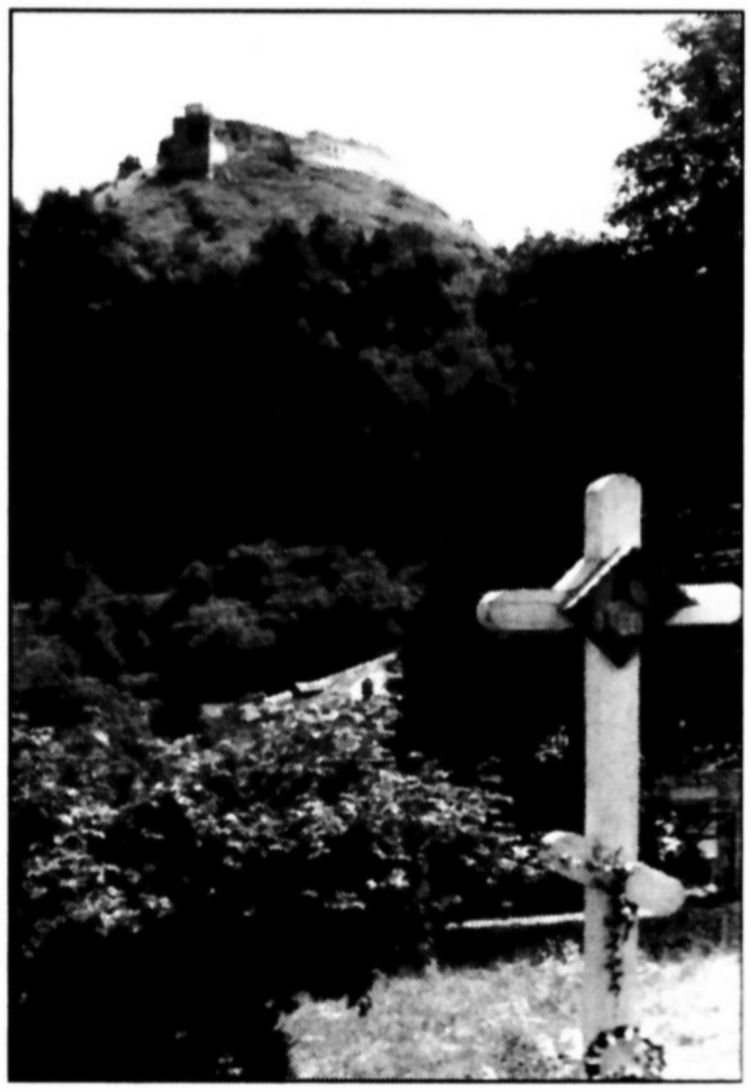

Rys. 299. Góra Królowej Bony

Tytułowy Anhelli, rodem jakby z *Boskiej komedii* Dantego, skazany na katusze wygnańcy wyznaje: **życie moje zaczęło się od przerażenia.** Ojciec mój umarł śmiercią synów ojczyzny, zamordowany; a matka moja umarła z boleści po nim, a jam był pogrobowcem. Dodajmy pogrobowcem przeżywającym cierpienie w monstrualnym wymiarze. Odnosił je do Piekła, które Dante oznaczył krzykiem: porzućcie wszelkie nadzieje. W głębi tego porzekadła odczytać można całą drogę poety, która prowadziła od najwcześniejszych lat, poprzez trudy życia ciągle narastające, aż do okrutnej śmierci.

W scenerii umierającego Krzemieńca tę drogę łatwo odtworzyć. Najpierw śmierć ukochanego ojca Euzebiusza, nauczyciela słynnego Gimnazjum Krzemienieckiego **(założonego przez księcia Adama Czartoryskiego, hr. Tadeusza Czackiego i Hugona Kołłątaja)**, po której to stracie opuszcza ukochany Krzemieniec („orle gniazdo nad szmernym potokiem") i przenosi się do Wilna. Po ponownym owdowieniu matki, znów powraca na krótko do swojego gniazda. Ostatecznie wyjeżdża w 1829 r. do

Rys. 300. Dworek Juliusza Słowackiego

Rys. 301. Ścieżka do ogrodu

Warszawy, gdzie zastaje go powstanie listopadowe 1831 r. Wkrótce, raz jeszcze wyjeżdża do ukochanego Krzemieńca, który staje się tym razem symbolem utraconej ojczyzny i jej całej wspaniałej historii. Tylko wielcy ludzie mogą to rozumieć, widzieć i czuć **(„czują cię tylko umysły poczciwe")**. Czasem echo tego jawi się i u zwykłych, dobrych ludzi tu spotykanych. Próbuję ich odnaleźć, nawiązuję cenne rozmowy. Dziękuję im w tym miejscu za dopełnienie moich dociekań.

Wiem, że nie są to rodacy, bo na każdym kroku nie Słowackiego tu mowę słyszysz. Przez chwilę nie chcę jej zapominać i może dlatego staję się przedmiotem zainteresowania. Na ulicy odzywam się tym razem po polsku

Rys. 302. Niechaj te księgi idą pod strzechy

miejscu naszego cmentarza są już tylko wypasy wszelakiego bydła. Śladów cmentarza żadnych. Z daleka dociera jednak inny obraz. To wyraźna sylwetka konia z jego opiekunem. Nie mam jeszcze jasności co do treści scenerii i zagubiłem się w obrazach. Po paru krokach w tę stronę fantazja mnie unosi i podpowiada, że **to pomnik ułana ze stepowym rumakiem.** Przyśpieszam wędrówkę i widzę jak bohater podkłada rumakowi siano do pyska. Chyba lewą ręką chwyta go za uzdę...

Rys. 303. Salonik, który zwyciężył czas

Tak! To najpiękniejsza dla mnie gratka na tych stepach. Choć w jasności obrazu coś się zaczyna rwać. Po chwili już wiem, że to złudzenie. Koń podnosi łeb i cwałuje z wolna w stronę drzewa przyciągającego wielkim cieniem. Może i ja tu odpocznę. **To jakieś duże drzewo. Na pewno świadek tamtych ułańskich lat.** Oglądam przywiezioną mapę i pytam miłego przewodnika, który przyłączył się do mojego marszu towarzysząc mi po drodze do domu. – Ja tu niedaleko mieszkam – wyznaje, chodźcie, napijecie się dobrego wina, własnej produkcji. Jeszcze parę lat temu były tu jakieś krzyże, mogiły, ale to wszystko uległo zagładzie. Nic tu już nie znajdziecie.

Rys. 304. Fronton kościoła parafialnego

Po drodze przechodzimy koło jakiegoś wzniesienia, jakby kopca. Uruchamiam wyobraźnię i czynię znak

Rys. 305. W karczmie przy głównej drodze

krzyża świętego. Postrzega to jego znajoma i woła: **uchadzii, szo wam nada iskaty!** Zawstydzam się nieco fragmentem nieoczekiwanych reakcji i żegnam gościnnego znajomego. Wracam na pobliski przystanek i odpoczywam w cieniu na zadaszonej ławeczce. Wywiązuje się rozmowa z siedzącym obok młodzieńcem. Znów sakramentalne pytania: od kuda wy, szo smatrytie? Niczego nie ukrywam i wpraszam się w gościnę do karczmy, którą obok przystanku prowadzi.

Urządzona jest w starym stylu. Pięknie tu. Miła Ukrainka w ludowym stroju częstuje koniakiem i przyjaźnie rozmawiamy o gościach Krzemieńca, często tu przybywających. Wśród życzliwych młodych ludzi, starodawnych żelazek, patefonów i innych cacek dawnej ludowej kultury czuję się jak w przydrożnym podkrakowskim zajeździe. **Po odpoczynku wędruję znów do odremontowanego dworku naszego poety.**

Jest o tej porze zamknięty, ale po uporczywym stukaniu drzwi się otwierają i mam okazję dokładnie tym razem zwiedzić dworek. Przewodniczka zaprasza nawet, abym usiadł na zabytkowej kanapie. – Wiecie, muzeum miało być otwarte za dwa tygodnie, ale prezydenci obu krajów nie doszli do porozumienia i wycofali się z tego zamiaru. Znów się coś komplikuje, a ja nie mam już siły znosić tego wszystkiego. **Jestem trochę podenerwowana, bo bez przerwy przychodzą odwiedzający nas turyści i nie wiem, co im odpowiadać, jak się przedstawiać.** Niby jestem kustoszem, ale chyba z dnia na dzień.

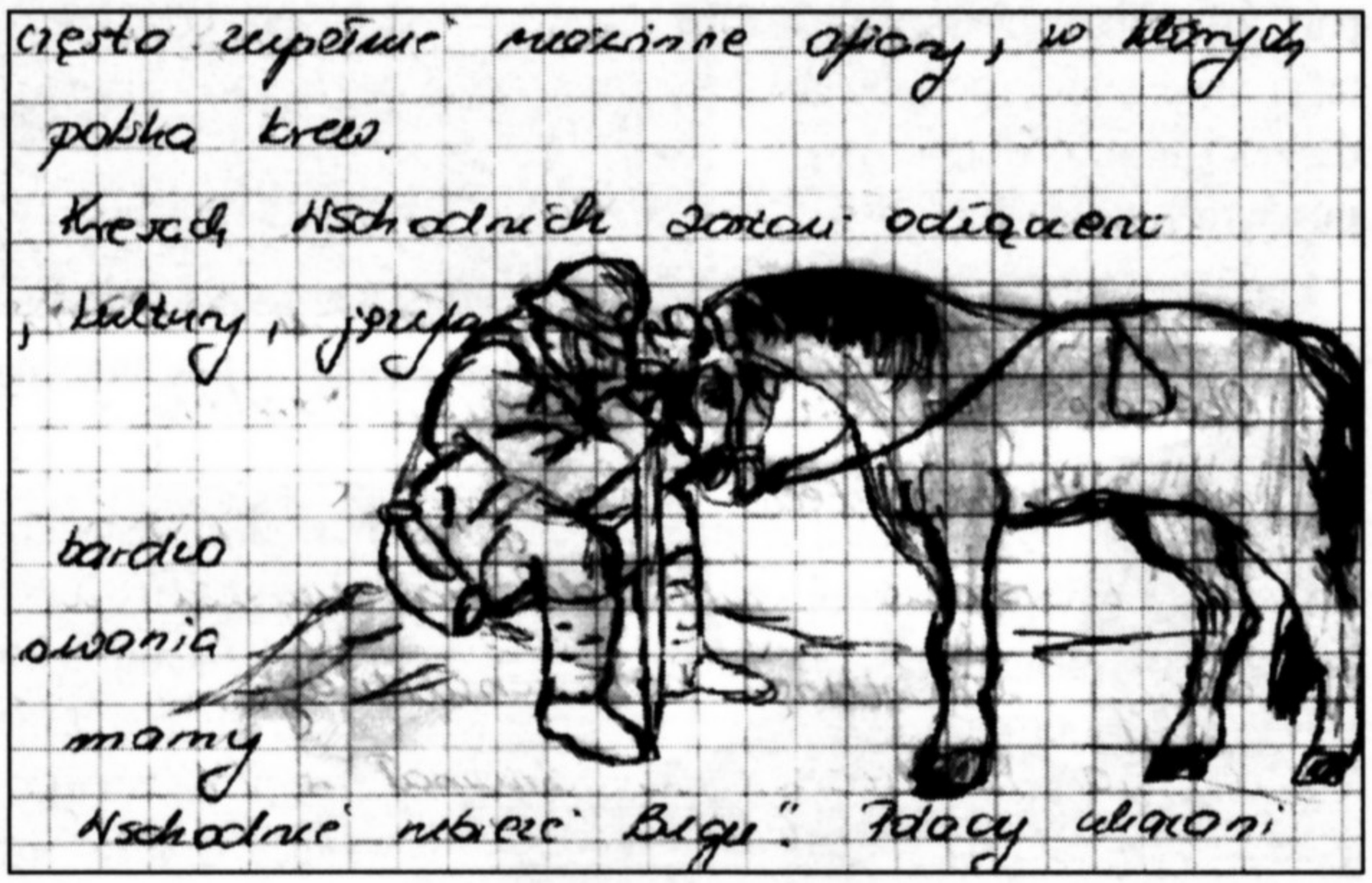

Rys. 306. Studencki komentarz

Z największymi oporami siadam wreszcie na tej historycznej kanapie tylko po to, by zrobić pamiątkowe zdjęcie, tym bardziej, że losy muzeum nie są jeszcze przesądzone. Po chwili zrywam się zawstydzony brakiem skromności i uciekam do bocznego saloniku. Przecież na tak symbolicznym miejscu nie godzien byłem usiąść. I dobrze, że gwałtownie się na nim spociłem.

Co by powiedzieli moi przyjaciele z Uniwersytetu, gdyby mnie w takiej scenerii zobaczyli. Wstyd! Więc przeżywam scenerię towarzyszącą życiu wielkich ludzi, tych niecodziennych. Widzę ją na własne oczy: portrety, meble, listy poety, nastrój góry i ruin zamkowych otaczających jej szczyt. Ach Boże! Czemu to wszystko minęło...Ktoś puka do drzwi, więc: żegnaj kresowa stanico polskości zagubiona w jarze między dwoma łańcuchami wzgórz. Urocza jesteś. Balladyna ciebie pokochała i z tej miłości już się chyba nie wyzwolisz.

Nad brzegami rzeki Strypy

Nie potrafię śledzić i badać ludobójstwa. Zupełnie! Zresztą, cały mój naród tego nie potrafi. A mam przecież jechać do Buczacza i Trembowli, znanych miejscowości położonych na ziemi tak doświadczonej tym haniebnym dokonaniem. Przy czym to wycinek śladów szalejącej anakondy w województwie tarnopolskim tak samo, jak na Wołyniu. Zagroziła rozwojowi tych ziem od wiek wieków uprawianych polskimi rękami połączonymi z sercem. W swoim czasie rodacy osiągnęli tu niemałe sukcesy i zaakceptowali zasadę „glebe ad scripti". **Wiedzieli, że to była ich ziemia, określana jako Polska Wschodnia. Z czasem sól w oku ukraińskich banderowców, rezunów.**

Ich wyczyny w skrajnej postaci docierały do mnie na tyle, że bałem się tu jechać. Tylko matka modliła się za kogoś nam bliskiego, kogo ja już nie znałem. **Taka to zwykła, zaprzyjaźniona rodzina jeszcze z czasów ułańskich mojego ojca,** który po dwu latach służby w XI pułku ułanów, skrwawiony i okaleczony w wojnie z bolszewikami otrzymał w zamian kresowe pustkowia i razem z tą rodziną miał je tu zagospodarować. Cieszył się „wysługą", ale przeprowadzić się na wschodnie tereny nie chciał, choć tak usilnie go wtedy agitowano. Później mówiliśmy w domu, że czuwała nad nami Matka Boża Różańcowa, do której modlitwy zwyczajowo płynęły u nas przy każdej okazji. Więc przedziwna pamięć rodzinna i jakaś niezrozumiała tęsknota wiodła w te strony nieodparcie. Po prostu chciałem uklęknąć w kościele parafialnym w Buczaczu, by przed ołtarzem Matki Boskiej Szkaplerznej wspomnieć rodzinne historie, doznać pojednania z Nią i ludem tu straconym choć tak wiernie jej służącym. W całym jego czasie przemijania.

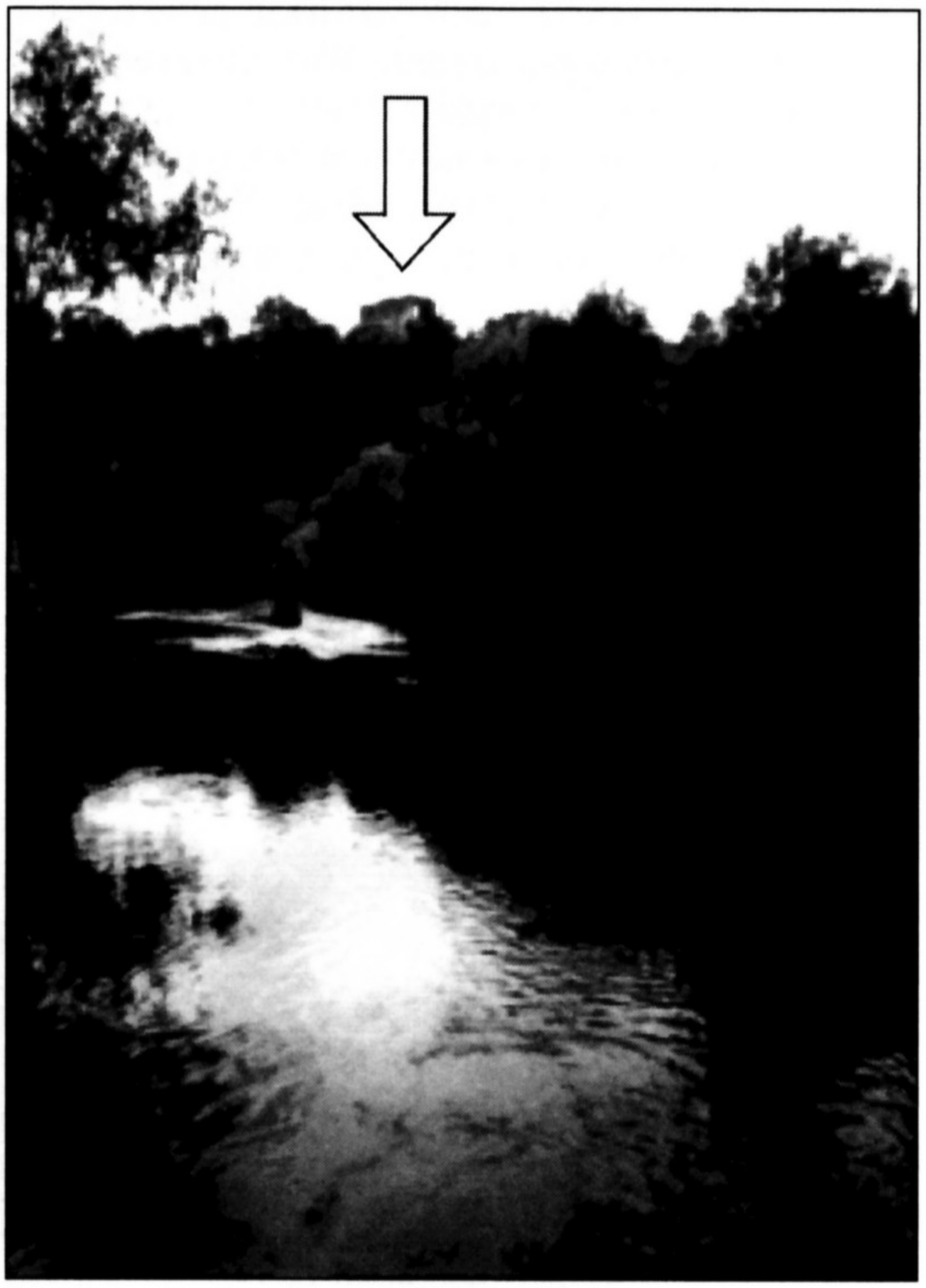

Rys. 307. Ruiny zamku nad Strypą

Symbolem tego były w Buczaczu nurty rzeki Strypy, płynące przez miasto od nieznanych czasów. Ta rzeka była zauważalną historią, niosącą część tajemnic mojego życia. Już ginącego, gdy wpatrywałem się w nią z mostu i dostrzegłem płynącą niemal martwą rybę. **Nastrajała do głębokich refleksji i nie dawała poszukiwanego uspokojenia wzburzonej duszy.** Chyba pod jej wpływem wszystko, co się tu dzieje, jeszcze bardziej chełpliwie zacząłem obserwować, pragnąc wyłapać ślady tego, co przed laty minęło, a jednak zakotwiczyło się w mej pamięci. **Najbardziej dokuczała myśl, iż nie ma już wśród nas ukochanego ks. Józefa Anczarskiego z pobliskiej parafii w Dobropolu, którego Pan wezwał**

do wieczności, chyba na trwałego świadka tych wielkich, minionych dziejów. Zostały po nim dowody w postaci zapisków i kronik wprowadzających czytelnika w inną niż przywykliśmy moralność, moralność zbrodni. Moralnym tu był ten, kto zabijał coraz więcej Lachów i z coraz większym okrucieństwem. Swoista moralność anakondy bawiącej się cierpieniem swojej ofiary.

Mam te zapiski przy sobie. Chcę zobaczyć plener zbrodni przez niego opisanych i potem odpocząć w przyjaznej ukraińskiej rodzinie. To cudowni ludzie. Może w ich domu uwolnię się na chwilę od koszmarów i uporządkuję myśli, by poradzić sobie jakoś z opisem całej sytuacji. **Wiem, że tamtej opisać nie zdołam. I nie potrafię. Każda moja próba okaleczyłaby tylko teksty przez Księdza dopracowane.** A wstrząsające to zapisy! Wnoszone z codziennej autopsji Księdza na stronice książki, na żywo.

Rys. 308. Na falach Strypy widzianych z mostu

Powiedzielibyśmy wnoszone żywym bólem i żywą krwią zabijanego narodu. Chcę przez to powiedzieć, że współczesny Polak zaczyna się odtąd, gdy z tymi zapiskami się zapozna i przeciwstawi się tym, którzy miast oczyszczać swoje sumienie dalej brną w zakłamaniu i ukrywaniu zbrodni, stając się jej współwinowajcami. Jestem przekonany (choć nie wiem, czy zostanę właściwie zrozumiany), że dłużej nie da się tą drogą iść. **Przeciwnie: ani kroku w tę stronę dla dobra obu narodów!**

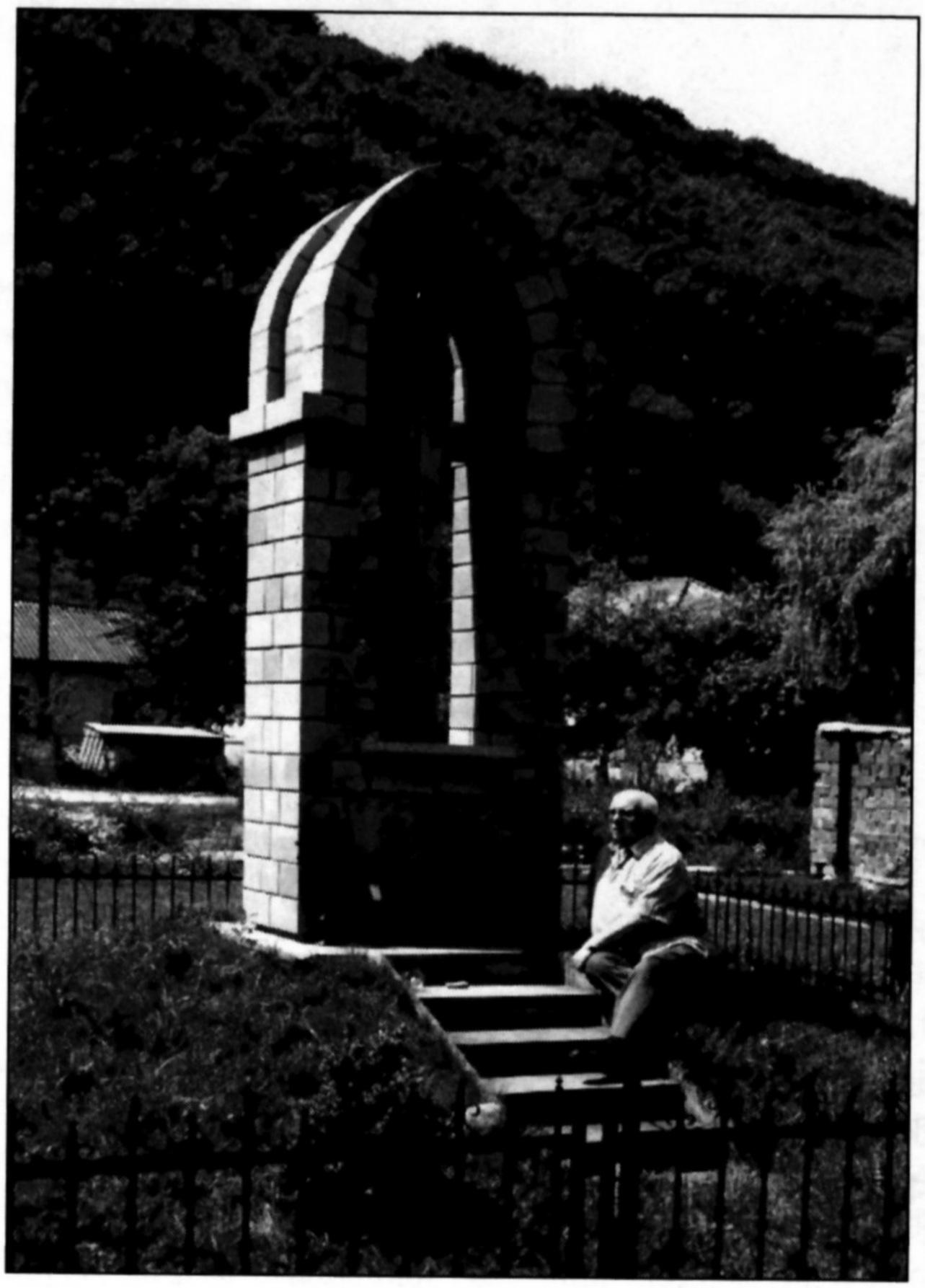

Rys. 309. Przy pomniku pomordowanych Księży

Uważam bowiem, że obnażenie i odcięcie się od rezunów to podstawa przyszłości obu narodów, której rezuny nie mogą obciążać swoim bandyckim szaleństwem. Tego przecież pragnął ks. Anczarski zabierając głos w imieniu tych, których kapłańską ręką nie zdołał przed rezunami osłonić. Rozumiem, że głos tego Księdza, to dzisiaj my, a my to ciche fale rzeki przez Buczacz płynącej. Niemego świadka tamtych dziejów, ale przecież świadka, wokół którego tyle makabry się tu działo. Ponieważ ten świadek, mimo że istnieje, milczy jak wszystko dokoła, więc mówić musimy my, powtarzając to, czego zza grobu dopomina się On, dając świadectwo prawdzie, której nie wolno już dłużej kaleczyć. Trzeba ją uwolnić, niech płynie do ludzi jak Strypa. **Prawda zawsze jest uzdrowieniem i prowadzi po właściwych drogach. Akcentował to ks. Anczarski.**

Rys. 310. Ofiara dzikości

„Przebaczam Ukraińcom wyrządzone mi krzywdy i zbrodnie w odniesieniu do mojej rodziny. Mój Naród także potrafi przebaczać i zapominać o krzywdach. Nie lękajmy się prawdy. Nie lękajmy się jej ujawnienia. Dech kłamstwa jest zawsze zatruty. Głosimy prawdę, wzajemne darowanie win i pokój, który jest koniecznością życia"[69].

A jest tych krzywd i win co niemiara. Już choćby na przykładzie okrutnego morderstwa miejscowych księży, dokonanego tu nad Strypą, gdzie teraz stoi już skromniutki pomnik. Włos się na głowie jeży na próbę zrelacjonowania tej zbrodni. I nawet nie usiłuję tego robić. Niech reszta będzie milczeniem. **Tyle tylko, że rozważnie trzeba tu przeszłość śledzić, by nie popaść w schematyzm jej oceny.** Trzeba ją też skonfrontować z innymi świadkami tych wydarzeń. Działania rezunów znają przecież i inni świadkowie, ówcześnie na tej ziemi żyjący. **Przypomina mi się fragment relacji na tę okoliczność ks. dr. Józefa Mroza, wikariusza parafii Barysz w pow. Buczacz.** Relacje dotyczą jednego z tych napadów, który zorganizowała 90-osobowa grupa banderowców na tutejszą polską miejscowość:

Rys. 311. Ukraińscy przyjaciele

„Napad trwał około 5 godzin. Zginęło 135 osób. Mało było zastrzelonych. Mordowano nożami, siekierami, szpadlami, widłami. Małe dzieci rozbijano główkami o ściany lub wrzucano do ognia. Domy zostały doszczętnie spalone...Nad ranem odezwała się trąbka wzywająca bandytów do odwrotu...Z ogromnym bólem patrzyłem na ofiary krwiożerczych bestii...Banderowcy... dokonali dalszego krwawego żniwa. Przez

---

[69] Ks. Józef Anczarski, op. cit. s. 14.

Rys. 312. Wśród ukraińskich przyjaciół z Buczacza

cały dzień zabierali Polaków z domów i gromadzili ich w pustej suszarni tytoniu. Drzwi zamknęli drutem, drewniane ściany oblali benzyną i podpalili. Trudno podać liczbę osób spalonych żywcem. Podawano liczbę około 100”[70].

Jednak szkoda, że przytaczam ten cytat. Wygląda na to, że chciałbym się statystyką podpierać. Nic z tych rzeczy. Nawet jedna ofiara, dziecko czy starzec, kobieta czy mężczyzna, każdy pojedynczy człowiek wyjęty z tej masakry jest dowodem krzyku wobec podłości rezunów, której zapomnieć nie można. **Byłoby to przeciw sumieniu i własnej duszy. Lepiej ją trzymać z daleka od zbrodniczej dziczy, by zachować prawo do krzyku!**

Buczackie lochy i podziemia

Na okoliczność szalejących tu zbrodni, ocalały chyba cudem Baryczanin z buczackiego powiatu wspomina teraz przywiązanie do tej ziemi w swojej elegii: „Żegnaj Baryszu ukochany, Droższy ponad cały świat...”. Chyba dlatego, że ten świat był głuchy na holokaust Polaków przez wieki prawowicie te ziemie pielęgnujących. Byli przecież gospodarzami na swoim! Chcieli się więc własną ziemią szczycić. Chlubą czynili i rozwój miast. **Dowodem tego jest sam powiatowy Buczacz, jeszcze i dziś wspaniałością tamtych lat zadziwiający.** Dodajmy, że także położeniem. Ulokowany został na skraju głębokiego kanionu rzeki Strypy pośród wysokich wzgórz, które na swój sposób dekoruje. Dekorację tę rzeźbiły różne epoki, bowiem miasto istnieje od 1260 r. W średniowieczu było własnością rodziny Buczackich i Potockich. Ale dodajmy, że z badań archeologicznych wynika, że na buczackiej ziemi ludzie żyli już w epoce paleolitu, a więc 40–25 tysięcy lat temu.

Rys. 313. Ruiny zamku w Buczaczu

70 Ibidem.

Do wspaniałości należą tu liczne zabytki, po których pozostały niekiedy znikome już ślady (ciągle jeszcze piękne), tzn. mniejsze lub większe **cuda minionych dziejów.** Są to m.in.: ratusz, zamek i tzw. podzamek, klasztor oo. Bazylianów, kościół, monastyr Marii Mohylianki, cmentarz (z grobami ułańskimi),

Rys. 314. Chata w pobliżu zamkowych murów

wiadukt (do którego wjeżdżało się wprost do kilkunastometrowego tunelu), jedynej tego typu budowli na Podolu, manufaktura, w której Potocki produkował słynne kilimy i makaty buczackie, figury przydrożne, muzeum, Lipa Mahometa, pod którą król Michał Korybut Wiśniowiecki podpisał w 1672 r. upokarzające porozumienie pokojowe, rynek i inne okazałości historii.

Niestety w rynku jest też i kamienica prof. Maksymiliana Pohorille, który wyemigrował stąd po wojnie i którego wykładów osobiście słuchałem w SGH, nie wiedząc wtedy, że związany jest w tym zagłębiu cierpień i śmierci z tragedią naszych kresowiaków. Uzupełnił swoją kamienicą pomieszczenia gmachu NKWD, słynnego z nieludzkiego torturowania miejscowych Polaków. Przeciągano ich później lochem do pobliskiej cerkwi, a dalej wszelki ślad po nich ginął. Jak wówczas, tak i teraz nad kazamatami profesorskiej kamienicy („maksymilianki") prowadzony jest handel kuchniami i sprzętem gospodarstwa domowego. **Nic dziwnego, że ta właśnie kamienica symbolizuje mi potworną gehennę rodaków z Buczacza.** Częściowo opisaną przez jego córkę w pracy: *Byłam świadkiem*[71]. Przypominam so-

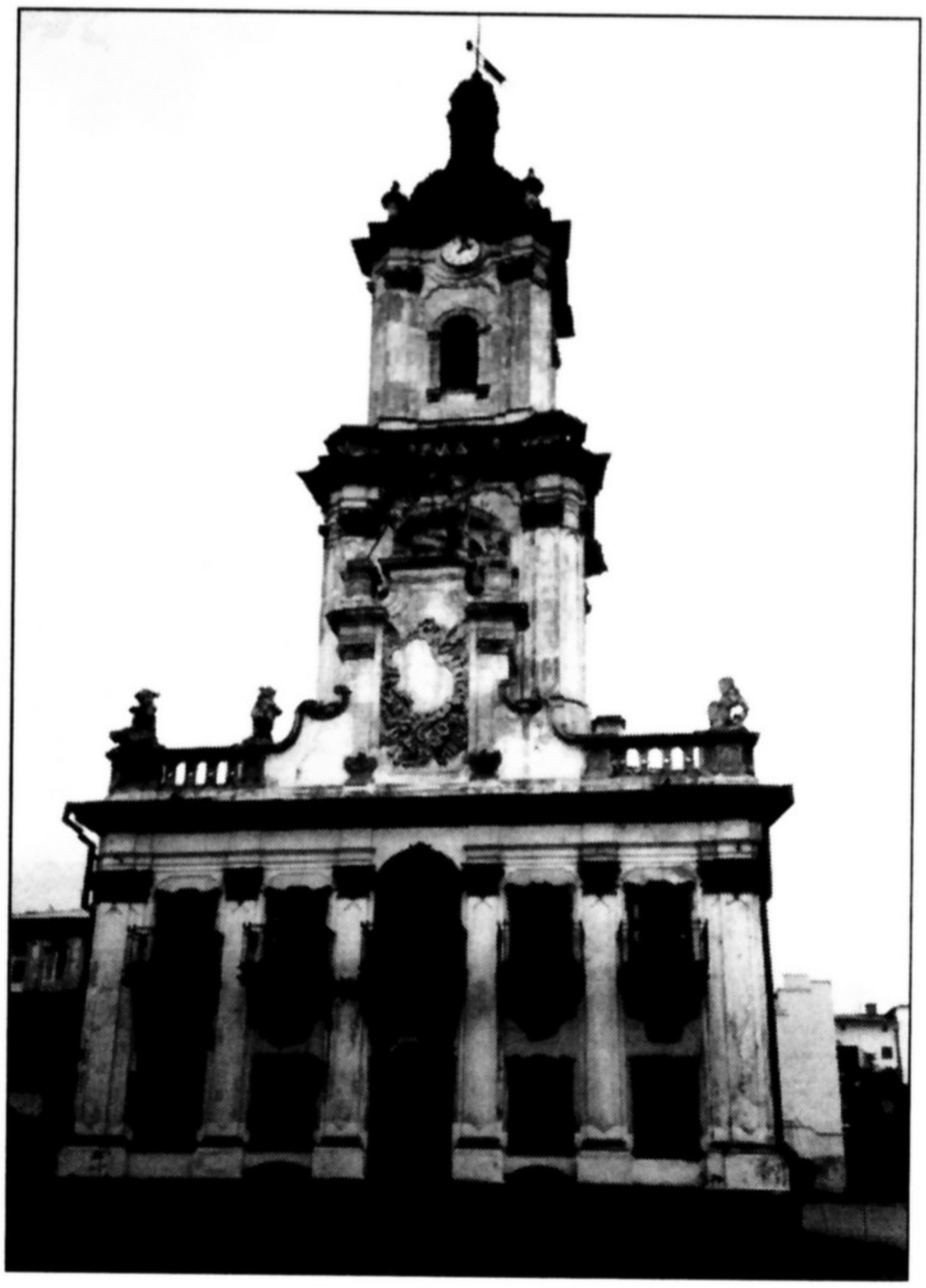

Rys. 315. Ratusz miejski

Praca wydana jest w Ameryce i praktycznie niedostępna, choć zasługuje ne jej polską wersję.

bie tę „uczoną twarz profesora" i po raz pierwszy w życiu żałuję, że spotkałem na swojej drodze i jego. Co gorsza, nie mogłem się od tej znajomości przecież uwolnić. **Tym bardziej mi przykro, gdy wiem, że w cieniu tych zbrodni stoi nadal wielu podobnych „uczonych" z genezą diabelskiej duszy. „Uczonych" dodajmy tak samo w te potworności zamieszanych, jak i uprzywilejowanych. Jak wtedy, tak i obecnie.** Póki co, na rządy wszelakich zbirów nie było i nie ma sposobu. Wiem tylko, że oczy od nich uciekają i nie wytrzymują ich widoku nawet na szklanym ekranie, tak hojnie ich upiększającym. Mimo że rodowód ich i „zasługi" to obraza człowieczeństwa, wszak to jakaś trwała anakonda na ludzkiej krwi tuczona.

Jaka to szkoda, że ukazuje się tych ludzi od najlepszej jedynie strony i puszcza w obieg swoiste niebezpieczne kłamstwa. **Tym bardziej, że polegają one nie tyle na tym, co się mówi, lecz na tym, czego się nie mówi, ukrywa.** Szkoda też, że jak kiedyś w obliczu całej bandy aparatu bezpieczeństwa obsadzonego „profesorami", tak i teraz człowiek statystyczny jest bezradny wobec aparatu przemocy opanowanego przez tych samych łajdaków. Gotowych w każdej chwili do powtórki rzezi! Takiej, jak na Irakijczykach, czy Palestyńczykach!

Rys. 316. Zamurowane wejście do podziemi kościoła

Więc po latach patrzę na kamienice tych dzisiejszych uczonych władców i nasze ulice, wypatrując bez skutku rodaków. Tu zadziobanych[72]. Więc nie spotykam ich na utraconej ziemi w ogóle, nawet dla zwykłego skłonienia przed nimi głowy. Przynajmniej w Buczaczu nikogo takiego nie spotkałem. **Wiem tylko, że te nasze ulice, dawne, przyciągały wzrok i kierowały do miejsc teraz także mi najdroższych.**

Więc zdążam tym razem do kościoła na spotkanie z panią Maryją, która sprząta kościelne pomieszczenia i dźwiga brzemię tej okrutnej historii. Mam nadzieję, że za jej pomocą uda mi się wejść do podziemia kościoła, gdzie dobijano w tamtym okresie nieszczęsne ofiary. **Zarazem je tam grzebano, zanim wydały ostatni już oddech.** Pani Maria to starsza już pani i mocno cierpiąca po przebytych operacjach, skutkach tamtych dni. Jest dziś smutna i bardzo cierpiąca. Do podziemi kościoła nie może wejść. Więc zostawia mnie sam na sam z kłopotami. Szarpię za uchwyt wieka w posadzce kościelnej mając nadzieję, że uda mi się przezwyciężyć słabości fizyczne i wejdę do podziemi. Bezskutecznie. **Przez powstałą szparę dostrzegam, że całe wejście jest mocno zamurowane.** Wieko w moich rękach ogromnie ciąży i boję się go opuszczać. Narobi ogromnie dużo hałasu. Czuję się bezsilny i zapominam przez moment, że jestem w kościele. Krzyczę więc: pomocy, ratunku! **Kto nie był sam w takiej sytuacji i nie słyszał takiego krzyku rozlegającego się echem po kościele, ten nie zrozumie nastroju człowieka stojącego w przedsionkach piekła na ziemi.** Miałem świadomość tego, że ukryte jest w podziemiach tego kościoła.

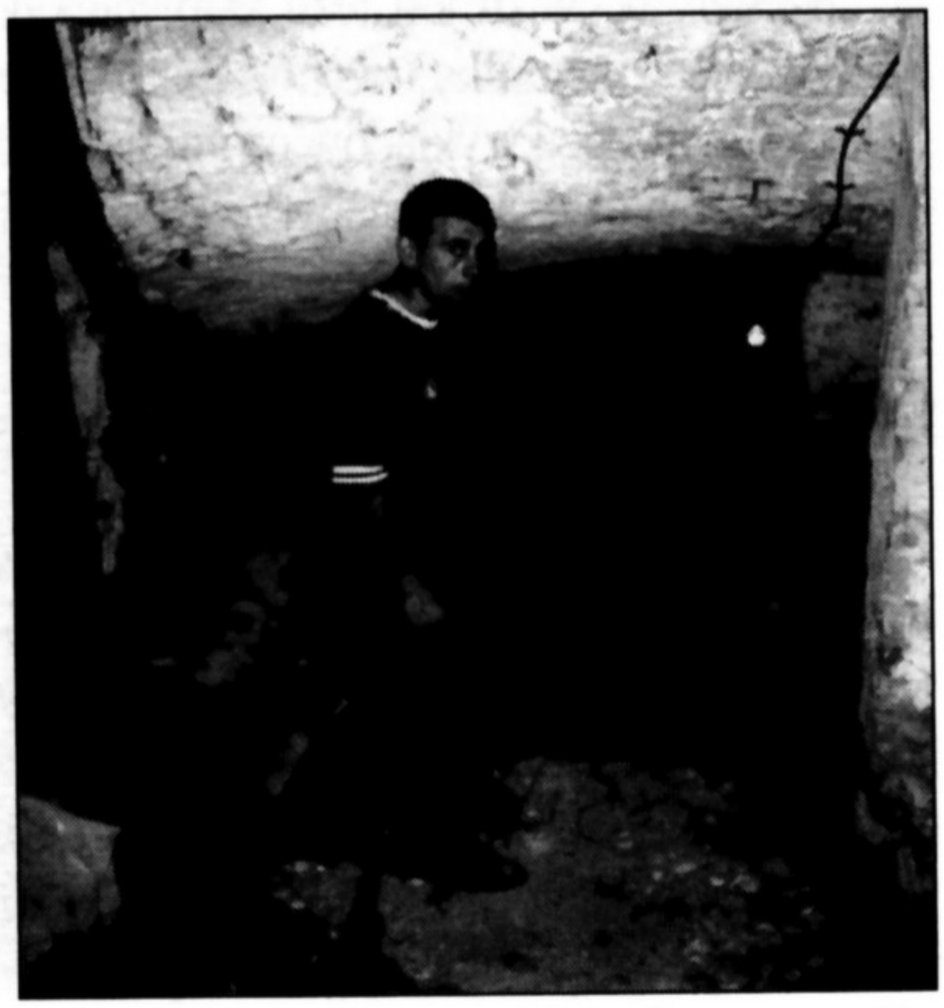

Rys. 317. Loch koło kotłowni

---

[72] Por. Rozdziobią nas kruki, wrony...

Rys. 318. Na placu kościelnym

Na domiar złego, piekła opanowanego teraz podstępną ciszą, ciągle czekającą na wielką burzę. **To ona powinna wydobyć ponownie krzyk dręczonych tam osób i ukazać uczonych „maksymilków" z ich prawdziwym obliczem.** Mój krzyk tak właśnie podświadomie rozumiem. I podenerwowany wcale się go nie wstydzę. Po chwili widzę, że sprowadza wyczekiwaną pomoc. Zjawia się ktoś z obsługi kościelnych zakamarków i wspólnymi siłami domykamy wzniesione do góry drzwi. Źle jednak odczytuje mój wrzask i po drobnej awanturze, w której staram się udowodnić, że tu trzeba właśnie krzyczeć i to nie tylko głosem krtani, lecz i całego serca, wzbudziłem chyba litość i zrozumienie. **Widzę, że mnie właśnie ten krzyk gdzieś prowadzi.** Podążamy już we dwóch do jakieś bocznej jamy, wybitej na zewnątrz w ścianie kościoła. To jakieś przejście wśród węgla, do kotłowni.

Rys. 319. Zakamarki placu kościelnego

– To tędy możecie wejść jak wam nie szkoda ubrania – ostrzega przyjazny już głos i pokazuje tajemniczy loch. Schylam się i wciskam do niego. **Jest ciasno, duszno i coraz ciemniej, jakby z piekielną perspektywą.** Ale zza potężnych filarów zaczynają prześwitywać niemrawe promyki światła. To one ukazują długie dechy ułożone jak wyspa na piaszczystej ziemi posypanej wapnem wgryzającym się okrutnie w oczy. Mój przewodnik zaciera oczy i całą twarz. Niechętnie oprowadza dalej koło zabrudzonego filaru. Boże, to przecież jakieś błoto, jakby z krwią wymieszane. **Chcę być bliżej świetlików umieszczonych przy suficie, aby wykonać pamiątkowe zdjęcia.** W pewnej chwili tracę równowagę i spadam lewą nogą z pobocza grubej dechy.

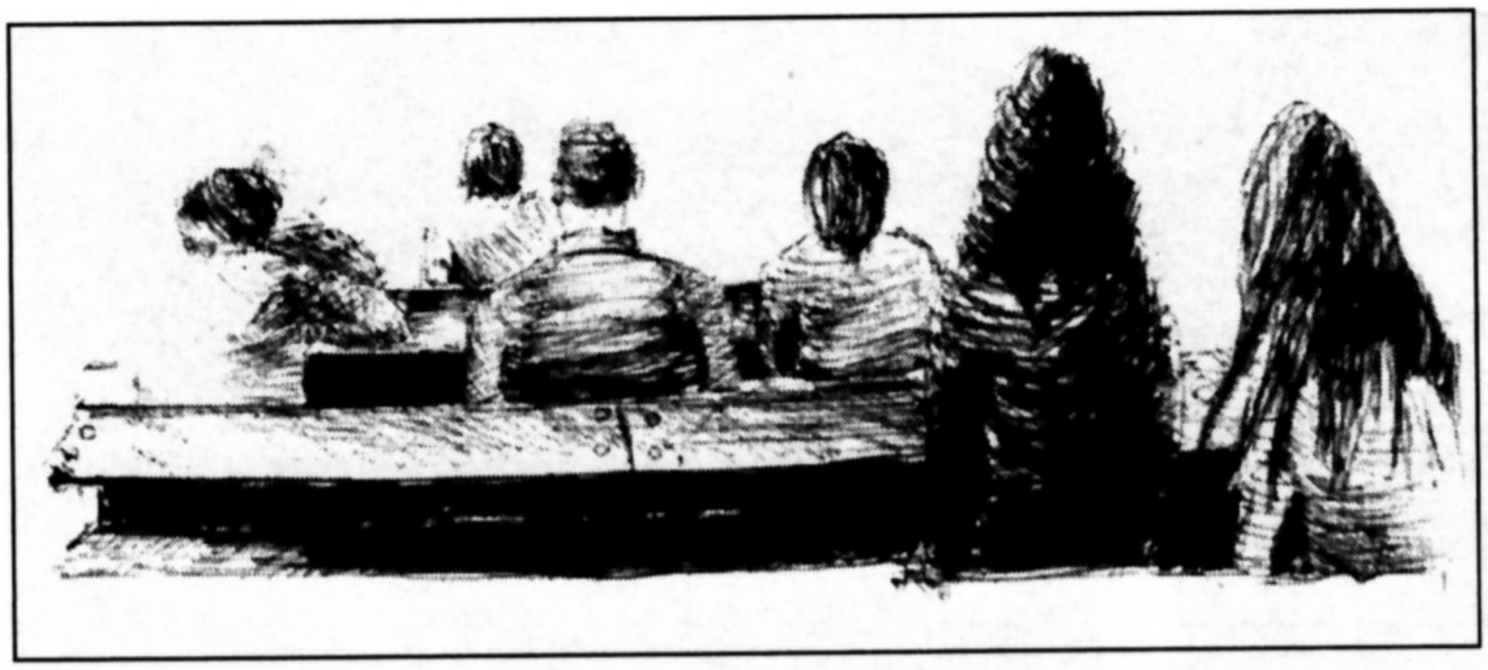

Rys. 320. Cienie rozmowy z Bogiem

Na szczęście towarzysz mojej przeprawy błyskotliwie orientuje się w potknięciu i zdecydowanym szarpnięciem za rękę wydobywa mnie z opresji.

– Proszę pana – próbuje się usprawiedliwiać, pan chyba wie, że tu jesteśmy nielegalnie. **Przecież tu nikt od dawien dawna nie wchodzi.** Trzeba nadzwyczajnej koncentracji. Tu jest moc trupów pomordowanych ofiar – wypomina zbulwersowany. Raz już była taka sytuacja. W mazi tych trupów, podobny do was starszy już człowiek omal nie utracił buta, gdy stanął o tu, na tym kawałeczku. A buty miał też lekkie, jak wy. Sam już nie wiem, jak wtedy zdołaliśmy...A, lepiej nie kończyć! **To było bardzo przykre wydarzenie.** Ja pana uprzedzałem (choć nie wiem kogo tu pana ma), że nie wolno z tych desek zejść i niczego dotykać ani poszukiwać – usłyszałem mocne podenerwowanie.

Nie miałem odwagi dalej się tu ruszać i fotografować. **To rzeczywiście sanktuarium męczeństwa, które winno trwać w stanie nieskazitelnym.** Zdjęcia zaś, które zdołałem wykonać, zdjęciami nie są. I wcale tego nie żałuję. To jakieś ciemne plamy, jakby miejsc zastygłej krwi. **Więc nadaremna ta moja praca.** Tylko spokój ludziom tu umęczonym zakłóciła i nie stworzyła nawet okazji do zmówienia modlitwy w ich imieniu. Mimo że sama się na usta ciśnie i prowadzi do smutnego obrazu Matki Bożej Szkaplerznej.

Rys. 321. Kościół zamieniony na cerkiew

Górną część kościoła zdołano już po latach częściowo upo-

rządkować i właściwie dół tylko przypomina czas masowych zbrodni. Nad nim zawieszono właśnie ten **Obraz Matki Bożej Szkaplerznej przywieziony z Bolesławca na Dolnym Śląsku.** Grupa parafian z Buczacza jakimś cudem uratowała go przed zniszczeniem i przetransportowała pod niemiecką granicę, skąd niedawno powrócił na swoje miejsce. Przeszedł już zabiegi konserwatorskie i chroni świętością kościół oraz plac przykościelny, przedłużenie tego kościelnego cmentarzyska pomordowanych ofiar. **Na placu także wiele zbiorowych mogił, w których ofiary żywcem zakopywane były zanim wydały Bogu ducha.**

Nie miałem już siły zwiedzać dalszych zakamarków kościoła i terenów przykościelnych. Pragnąłem jeszcze zobaczyć teren za miastem, gdzie także mordowano (m.in. miejscowych kapłanów) ofiary

Rys. 322. Pożegnanie ukraińskich przyjaciół w Buczaczu

wykorzystując płynącą rzekę dla ukrycia zbrodni. Wiem, że ostatnio postawiono tam pomnik zamordowanym księżom. **Ale po podziemiach kościoła jestem piekielnie zmęczony i pragnę jakiegoś odpoczynku. Sądzę, że znajdę go trochę w ruinach zamku górującego nad miastem.**

Podążam tam krótszymi ścieżkami, wszak rozległe to tereny, a ruiny stwarzały nastrój innego świata i absorbowały uwagę. Całą wielką historią. Mimo że z zamku nie wiele już pozostało. Okoliczna ludność powyciągała stąd głazy i kamienie, wykorzystując je do budowy domów i płotów. Zacząłem to wszystko fotografować, wywołując zrozumiałe protesty ze strony miejscowej ludności. Część zdjęć zdążyłem jednak wykonać i dopiero przy jednym z gospodarstw niczym dawnej warowni, przerwać musiałem prace. Zaostrzać konfliktu nie chciałem i nie byłem w stanie. Wreszcie dotarło do mnie w pełni, że byłem na okrutnej ziemi utraconej.

Pola starej Trembowli

Przyjeżdżam do Trembowli, zwiedzam, rozmawiam, fotografuję, grzebię w pamięci i przywiezionych materiałach. Nic z tego. **Straszliwa pustka. A przecież to cały dawny powiat, skrupulatnie przeze mnie przestudiowany.** Dzielę się kłopotami z towarzyszami mojej podróży i dochodzimy do wniosku:

– Ty nie jesteś księdzem i nie masz prawa o tych sprawach tak przemawiać, jak próbujesz to robić. Zacytuj w oryginale słowa tego księdza. Nie zastąpisz ich niczym. To przecież dokument i wspaniałe teksty.

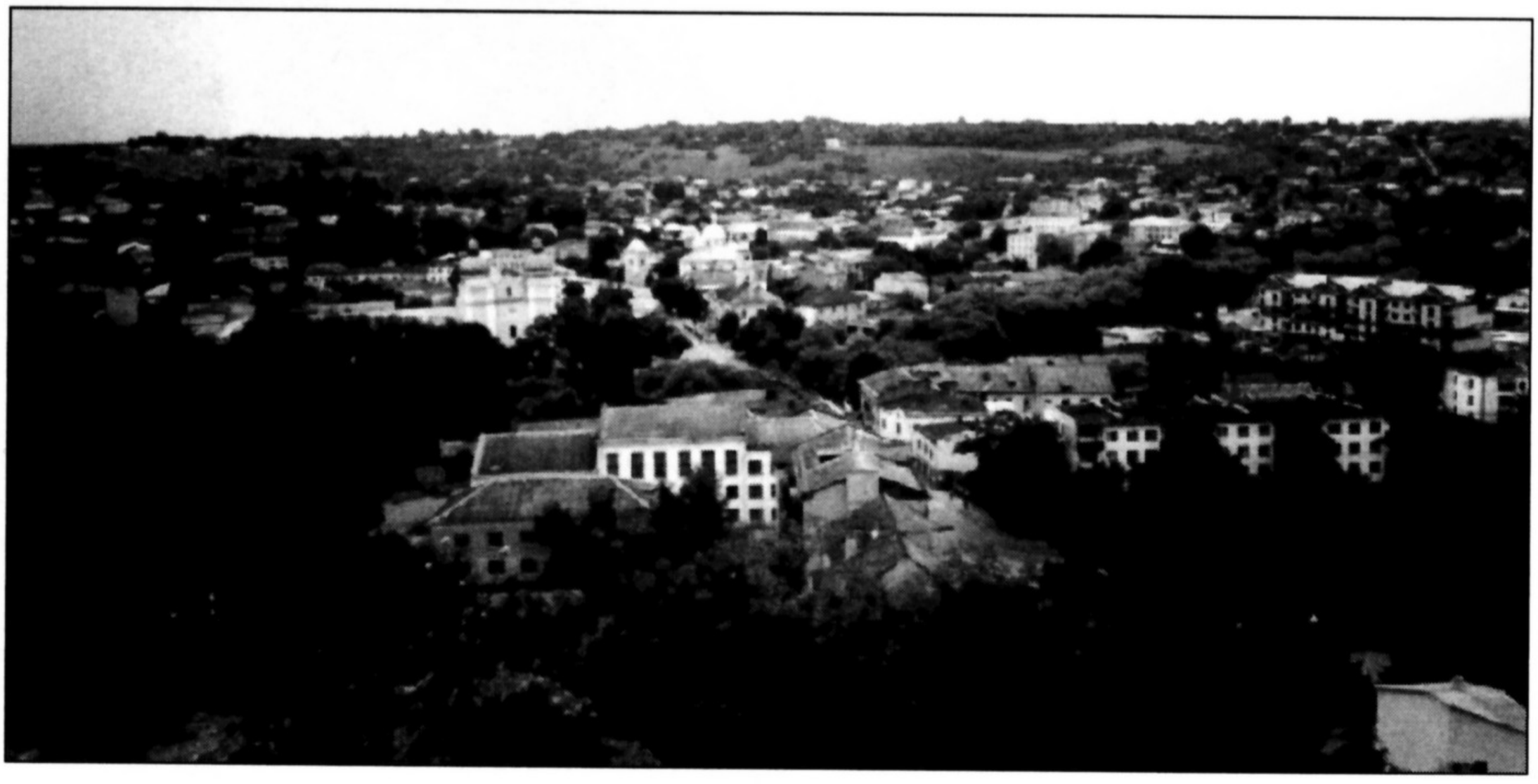

Rys. 323. Panorama Trembowli

Wreszcie! – mówię z przekonaniem sam do siebie. Dziękuję wam przyjaciele za uczciwą radę i buszuję w pamięci co z tych dawnych już lat trzeba uratować i to słowami kapłana tej ziemi. **Chciałoby się wszystko, wszak wszystko jest w tych słowach na wagę złota. Ale tego zrobić się nie da.** Można niewielkie fragmenty, wybrane i też ze skrótami. Więc cisną się najpierw myśli związane z męczeństwem księży na tej ziemi. Wstrząsające to historie:

– Aresztowania ks. Adama Wróbla w więzieniu w Trembowli i deportowanie do Charkowa, Władywostoku, Magadanu, a następnie łagier w kopalni ołowiu na Kołymie. **Dodajmy, że ks. Wróbel skazany został na śmierć.** W wyniku starań siostry o kasację wyroku zamieniono mu karę na 10 lat ciężkich

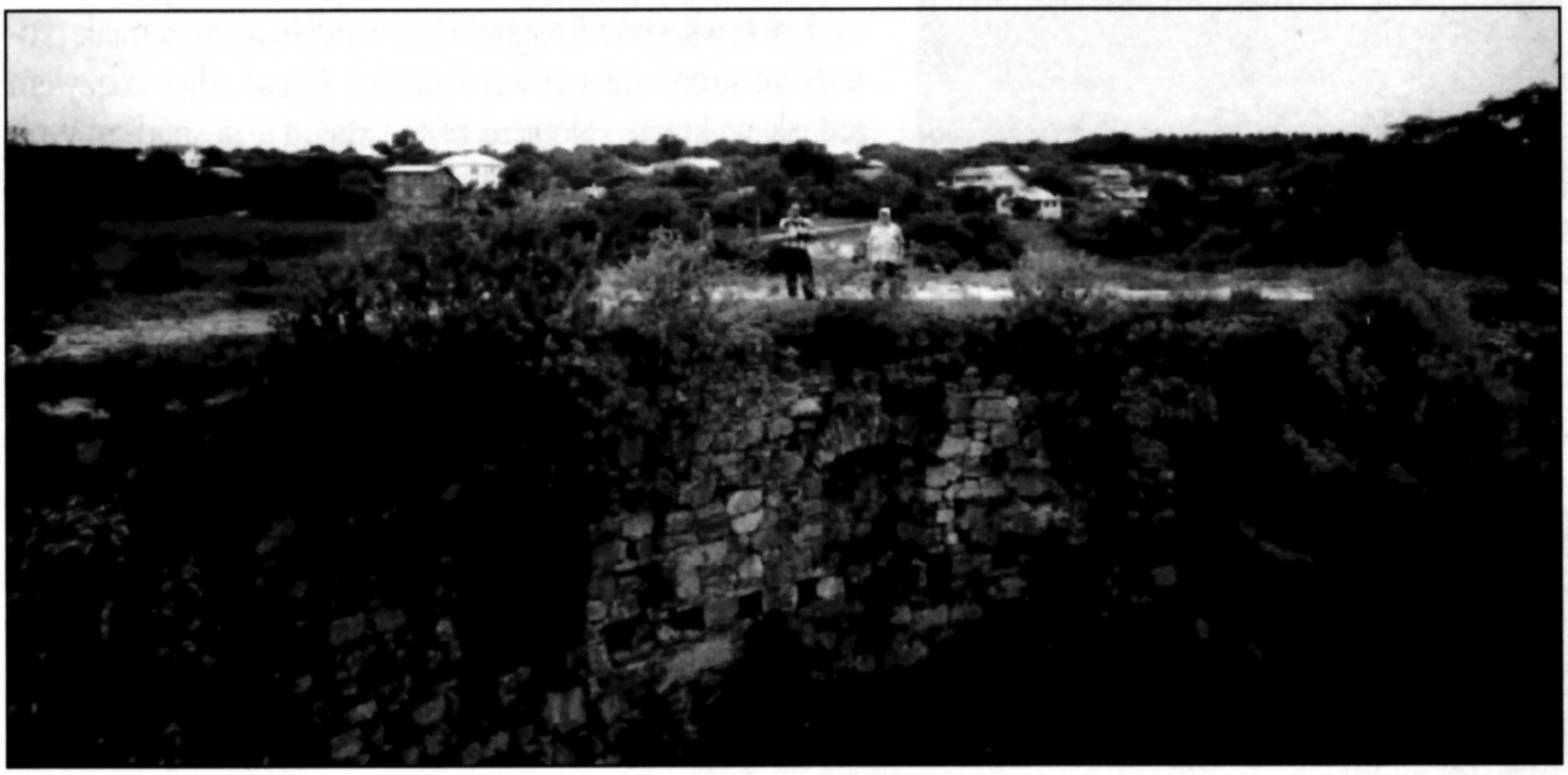

Rys. 324. Ruiny dolnego zamku

Rys. 325. Ruiny górnego zamku

robót. Amnestia uwolniła go i został kapelanem 1. Pułku ułanów krechowieckich w Otarze, **a później kapelanem szpitala wojskowego nr 2 w Kanakinie w Iraku, domu ucieczki dla Polaków.**

– Makabra, jaka dotknęła ks. Józefa Jastrzębskiego z Trembowli. Dokonano na niego napadu, gdy wracał do domu 19 III 1942 r. wraz z innym kapłanem. Obu księży banderowcy zmasakrowali i w przekonaniu, że już nie żyją – pozostawili w lesie. Ksiądz Wróbel był szczególnie zbity, posiniaczony, opuchnięty, strasznie wyglądający. Na mrozie przeleżał wiele godzin i nie dawał już znaku życia. Przymarznięte ręce i nogi trzeba było amputować.

Arcybiskup Eugeniusz Baziak zwrócił się o pomoc do prof. Grucy ze Lwowa i jego cudowne ręce uratowały życie kapłana.

Ale nawet z jednym tylko kciukiem obsługiwał parafian, także ich komunikował, chodząc na okaleczonych nogach tak, jakby bardziej jeszcze dostojnie i wykonując do końca polecenia prof. Grucy, którego uwielbiał. **Dodajmy, że prof. Gruca miał rzeźbiarskie upodobania i obiecywał księdzu, że po wojnie zrobi mu protezy z lipowego drzewa, które będą poruszane nerwami rąk.** Osobiście wersję tę słyszałem od brata prof. Grucy w rozmowie, jaką mieliśmy zaszczyt przeprowadzić wraz z ks. Józefem Świerszczykiem z pobliskiej parafii rzeszowskiej ziemi.

Nie śledziłem już dalszych losów tych nieszczęść, które dotknęły kapłanów tej ziemi...Było to ponad moje siły. Chciałem się skoncentrować nad losami ks. Józefa Anczarskiego, który musiał w końcu opuścić Trembowlę, „kresowy bastion wiary i polskości", jak określił ten gród ks. Wacław Szetelnicki[73]. Widząc rozszalałą tarnopolską anakondę, schronił się w stolicy tego województwa w nadziei, że będzie mógł jeszcze bardziej ofiarnie służyć Bogu i Ojczyźnie, do końca swoich dni. **Do końca jednak, nie ominęły go wszelakie udręki.** Zbiegiem okoliczności, niektóre z nich wspomina na stronicach swoich Kronik...z głębokim wzruszeniem. Do takich należy m.in. Dzień Bożego Narodzenia w 1945 r.

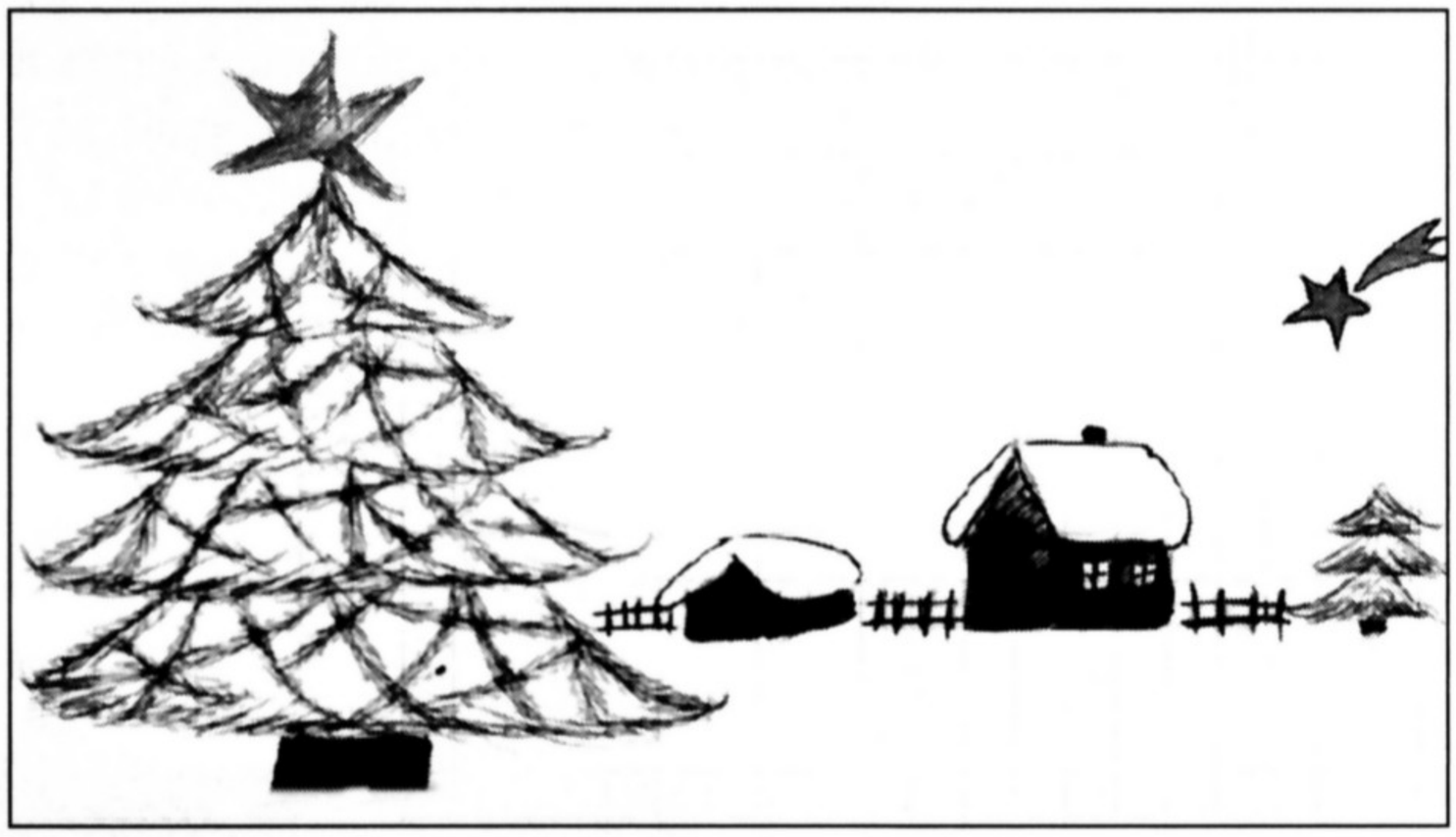

Rys. 326. Gone with the wind[74] Wigilijny wieczór

„Tydzień przed Bożym Narodzeniem 1945 roku przyjechało do Tarnopola trzech starszych ludzi. Przyjechali z Trembowli jako delegacja Polaków. Proszą ...by któryś z księży przyjechał do nich na Boże Narodzenie z posługą duszpasterską.

...Trembowla położona jest od Tarnopola dosyć daleko, nie mamy absolutnie żadnych kontaktów ani wiadomości o tym, co się tam dzieje...Wiedzieliśmy jedynie tyle, że w dalekim promieniu od Tarnopola-...nie ma już nigdzie żadnego katolickiego księdza...Tkwimy tu, bo w ruinach miasta kryją się jeszcze ostatki naszych miejscowych ludzi...W centrum Trembowli już Polaków nie było. Zostali ci z przedmieścia i bliskiej okolicy... zwłaszcza z wiosek wokół miasta: Sady, Sadyki i inne.

Polskość w Trembowelskiem była zawsze bardzo silna, a ludność niesłychanie mocno związana z Kościołem. Przez pół roku nie widzieli księdza. Jest im bardzo ciężko bez nabożeństw. Nie umieją żyć bez kościoła, bez mszy św., duszą się z braku tej opieki religijnej, a teraz idą święta, wielkie Święta Bożego

---

[73] Por. monografia: Wacław Szetelnicki, Kresowy bastion wiary i polskości, Wrocław, 1992.

[74] Przeminęło z wiatrem.

Rys. 327. Fragment lasu k. Trembowli

Narodzenia! Jak przeżyć te święta bez księdza, bez mszy św. radosnej, uroczystej, bożonarodzeniowej? Więc parafia Trembowla wysyła swoją delegację. Niech pojadą, niech poklękają przed księżmi z Tarnopola, niech ucałują im kapłańskie ręce i nogi, niech błagają na wszystkie świętości, niech proszą i zaklinają, by księża ulitowali się nad nimi. Oni są tacy biedni, tacy nieszczęśliwi. Tak strasznie im smutno i ciężko. Niech przyjedzie który z księży i odprawi im nabożeństwo choć w pierwszy dzień wielkiego, największego święta w roku. W Tarnopolu jest trzech księży, proszą więc, błagają, zaklinają na wszystko: niech ksiądz do nich przyjedzie.

Słuchamy ze wzruszeniem słów delegacji z Trembowli, proszącej o wysłanie im księdza na Boże Narodzenie. Choć na ten jeden, jedyny, wielki i święty dzień. Ks. dziekan Wałęga jest w wielkim kłopocie. Owszem zgodziłby się na wysłanie im księdza. Jest przejęty prośbami i opowiadaniem. Wszakże się boi. Sam nie pojedzie, bo jest człowiekiem już starym, a z jazdą nie jest dziś prosto. Wikarych boi się posłać. Czasy są niebezpieczne i groźne, już tylu księży zostało zamordowanych...

Wypadło wreszcie, że ja pojadę, byłem starszy od ks. Małaczyńskiego i to przeważyło. Delegaci w Trembowli byli rozradowani bez miary...

Pokazuję się w kościele. Wszystkie oczy wlepione są w księdza i nagle wybucha wielki, straszny płacz. Płaczą jak dzieci, jak małe skrzywdzone dzieci. Uświadamiają sobie w tej chwili wielką swoją krzywdę. Są biedni, bezbronni, otoczeni wokół wrogami, chcą ich wygnać z ich rodzinnych domów na jakąś daleką, przerażającą, nieznaną tułaczkę. Nie wiedzą, co ich czeka. Nie wiedzą, co im przyniesie najbliższa godzina. Odbierają im świątynię, wygnano im ich księży, a nawet nie mogą normalnie gromadzić się w swoim kościele i modlić się do Boga o zmiłowanie. Ileż bólu. goryczy i krzywdy jest w tym przejmującym płaczu...

Rys. 328. Kościół w Trembowli

Płaczę razem z nimi. Z oczu lecą grube, ciężkie łzy obolałego narodu. Te łzy są wielkim krzykiem do Boga o zmiłowanie nad nami. Boża Dziecino, rodząca się światu w stajni betlejemskiej, zbierz te nasze łzy

w swoje dobre dłonie i spraw, by nie płynęły na darmo. Maryjo, Matko Bożej Dzieciny, otrzyj te łzy z oczu obolałego ludu. Wołamy do Ciebie, Maryjo, krzykiem serc naszych!

Wreszcie uspokoił się lud trembowelski. Ustał płacz. Serca rozśpiewały się radosną Bożonarodzeniową kolędą. Leci ku niebu radosna i dziękczynna pieśń za łaskę tej mszy św., o którą było tak trudno.

Rys. 329. Pożegnanie z dawnym mieszkańcem (bez czapki) Trembowli

Drugiego dnia, na św. Szczepana żegnam się z ludźmi. Muszę odjechać do Tarnopola. Polecam ich Bożej opiece i łaskawości Matki Najświętszej. Niech zaufają Bożemu miłosierdziu. Ludzie stoją, nikt się nie rusza. Jest wielka cisza, tak wielka, że dałoby się słyszeć brzęczenie muchy. Nagle gwałtowny wybuch płaczu. Ten płacz ogarnia cały kościół. Płaczą wszyscy jakimś bolesnym, rozpaczliwym płaczem. Rozlegają się krzyki: „Niech ksiądz nie wyjeżdża, niech ksiądz nas nie opuszcza, niech ksiądz zostanie z nami. My tacy biedni. Niech ksiądz do nas jeszcze przyjedzie". Cały kościół płacze, woła i prosi. Płaczę razem z nimi z obolałym sercem. Tak mi ciężko zostawić ich samych. Tak dobrze rozumiem prośby tych nieszczęśliwych ludzi. Nagle postanawiam: „Będę do was przyjeżdżał na każdą niedzielę i na każde święto". O Boże, jakże byli szczęśliwi, gdy usłyszeli te słowa.

Tak się rozpoczęła moja kapłańska przygoda z Trembowlą... Jak nigdy i nigdzie uświadamiałem sobie wówczas potrzebę kapłaństwa. Tam się czuło, że ci ludzie mnie potrzebują i że moje kapłaństwo ma dla nich tak wielką cenę i wartość, jak nic innego na świecie...

Trembowlą byłem urzeczony. Miasto przemiłe, jakieś bardzo ciche, spokojne i dobre. Jest owiane sławą bohaterskich dziejów narodu. Na wzgórku ruina zamku, pełnego przebogatych dziejów i sławy. Dziejową bohaterką Trembowli jest wspaniała postać Anny Chrzanowskiej. Trembowla postawiła swojej bohaterce pomnik. Ukraińcy ucięli jej głowę na pomniku. Oni lubią ucinać głowy i żywym, i umarłym...jeździłem prawie 5 miesięcy. Skończyło się to nagle i niemal tragicznie. Niedużo brakowało, abym w Trembowli nie został bez głowy, jak pomnikowa bohaterka miasta... "[75].

Śmiem twierdzić, że w Trembowli ks. Anczarski został na zawsze. Śród tych, którym do końca służył. I wśród nas, jego rodaków, którzy tu przybywają. Czasem i tych, którzy ocaleli i przyjeżdżają tu z krewnymi, by dać wyraz przywiązania do starej ziemi ojców, która stała się także ich ziemią. Zetknąłem się z jednym takim przypadkiem. **W zwykłe szare, niedzielne popołudnie ujrzałem modlącego się starszego już człowieka i wszczęłem z nim rozmowę.** To on opuścił ten gród przed laty nie chcąc pogodzić się z atmosferą rezunów, którzy okryli jego miasto wieczną hańbą. Zabrał ze sobą pełno najstraszliwszych wspomnień i teraz przyjeżdża z Opola w nadziei, że zdoła je tu uporządkować i zostawić na zawsze. Wśród grobów, których zresztą nie ma. Jak twierdzi, ich brak przeżywa szczególnie dotkliwie w Święto Zmarłych.

---

[75] Ks. Józef Anczarski, op.cit. s. 450–456.

Rys. 330. Pola starej Trembowli

Twierdzi też, że cały trud dotąd podejmowany zupełnie mu się nie udaje. W tym dniu pozostaje modlitwa i łzy. Tyle tylko, że w nowej, również kochającej rodzinie. Przeżywam jego wspomnienia.

W małej grupce osób, zebranej na placu przykościelnym, było nam razem bardzo ciężko. Byli wśród nas moi przyjaciele z Tarnopola. Wiedziałem, że to ostatni już chyba naoczny świadek czynów szalejącej ongiś anakondy, po tym dawnym województwie naszych kresowych ziem. Zmęczony życiem i tymi piekielnymi wspomnieniami. Więc unikałem ich za wszelką cenę. I cieszyłem się, że znalazł kawałek ziemi w dzisiejszej Polsce. Uprawia ją z zapałem tak, jak tę, tu pozostawioną. Także z przylepionym do niej sercem. Bo to odwieczna tradycja naszych rolników, co żywią i bronią.

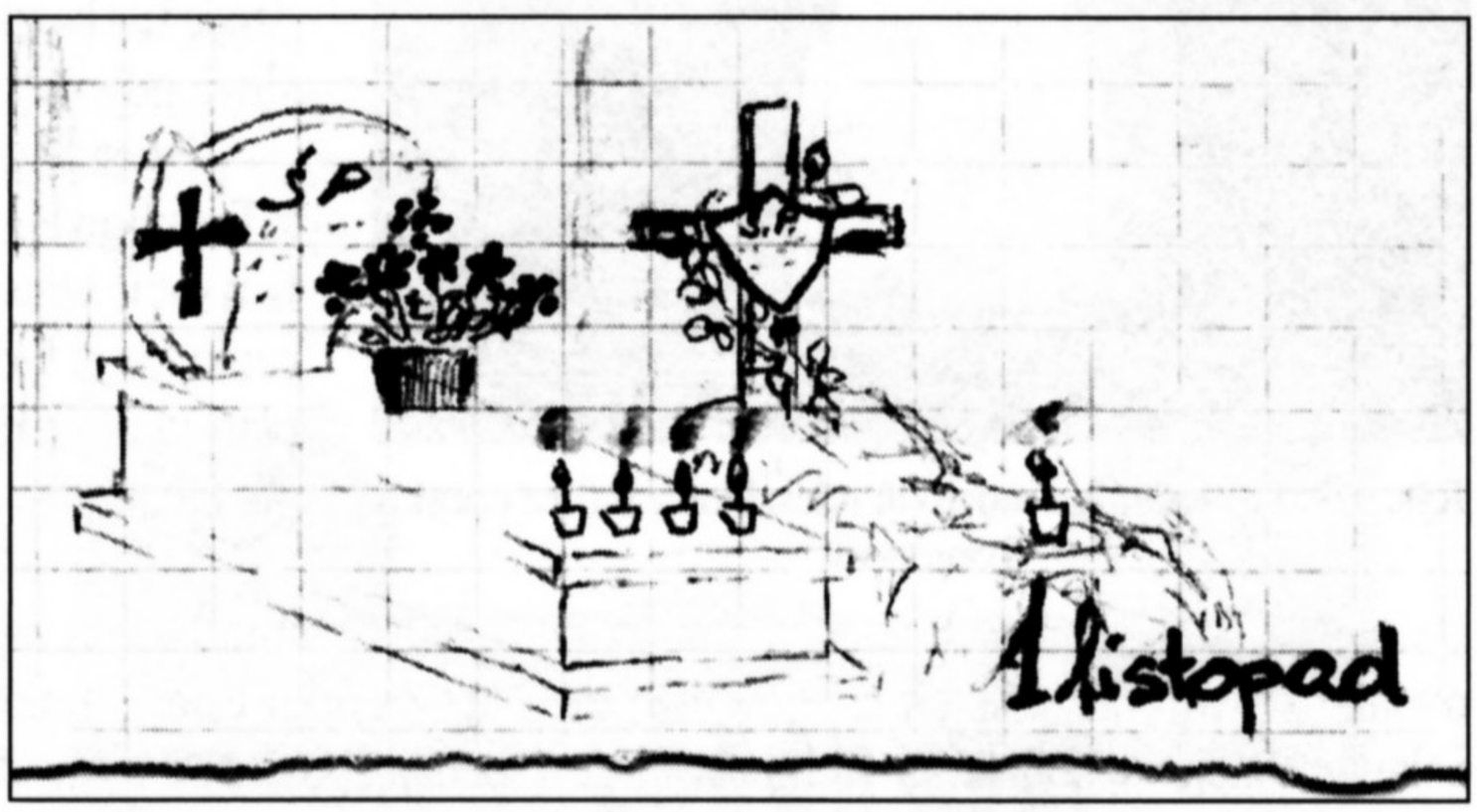

Rys. 331. Święto Zmarłych

Plebania w Skałacie

Skałat to małe miasteczko w rejonie Podwołoczyska, okręgu tarnpolskiego. Choć zaczyna się od okazałego pomnika B. Chmielnickiego (ustawionego w samym centrum miasta), robi przygnębiające, nudne wrażenie. Nie wielki rynek jakby z zapleczem ruin zamkowych symbolizujących ogromnie długą historię. **Zamek ten wybudowany został jeszcze w 1630 r. jako posag dla Weroniki, córki Krzysztofa Wichrowskiego. Poślubiła ona sanockiego kasztelana Jana Firleja.** Położony jest na płaskim wzniesieniu nad rzeką Gniłą i jeszcze dziś wygląda jak stara potężna twierdza. Zdobywali go wielokrotnie Kozacy i Turcy,
w wyniku czego doprowadzony został do ruiny. Z czasem pięknie odbudowany i przekształcony w rezydencję Marii z Wodzickiech Scypionowej.

Posiadał czterokondygnacyjne baszty (zbudowany był na polanie czworoboku) i wjazd umocniony masywnym budynkiem bramnym. Baszty w wyniku powojennej odbudowy w okresie międzywojennym podwyższono o jedną kondygnację, zachowały się w dość dobrym stanie, tak jak i resztki murów, choć cała budowla jest rażąco zaniedbana i niszczona. **Piękny dziedziniec służy za pastwisko dla koni, owiec i kóz, choć najgorsze zabrudzenie zostawiają tu kaczki.** Rzucane są gałęzie z liśćmi do obgryzania, obcinane z rosnących tu drzew. Próbowałem te gałęzie odciągnąć pod ścianę, by uwolnić jakieś przejście do jednej z baszt, ale mój wyczyn nie podobał się sąsiadce i po przejściu do plebanii przesunęła gałąź w stare miejsce, na którym szalały nadal roje kaczek podejrzliwie na mnie patrzących.

Rys. 332. Pomnik Bohdana Chmielnickiego

Budynek plebanii znałem z opisów księdza Anczarskiego, który przechodził tu niesamowite koszmary. **Był to budynek parterowy z wielkimi oknami i trudny, jak na tamte czasy, do obrony przed bandytami.** Ten sam pozostał do dziś. Grasowały wokół niego bandy z całej okolicy, rozsiewając okrutną śmierć wśród Polaków. Dodajmy masową. Przed samym Skałatem pokazywano mi pola, na których rosły kołchozowe
buraki, a na których przed rzezią były trzy polskie wsie. **Miejsce po tym ludobójstwie w ogóle nie jest oznaczone.** Podobnie zresztą jak w całej okolicy z takiego ludobójstwa słynącej.

Przytoczę tu autentyczne wypowiedzi **ks. Anczarskiego** przeżywającego w budynku tej parafii tragizm naszej ludności[76].

---

[76] Tamże, s 326.

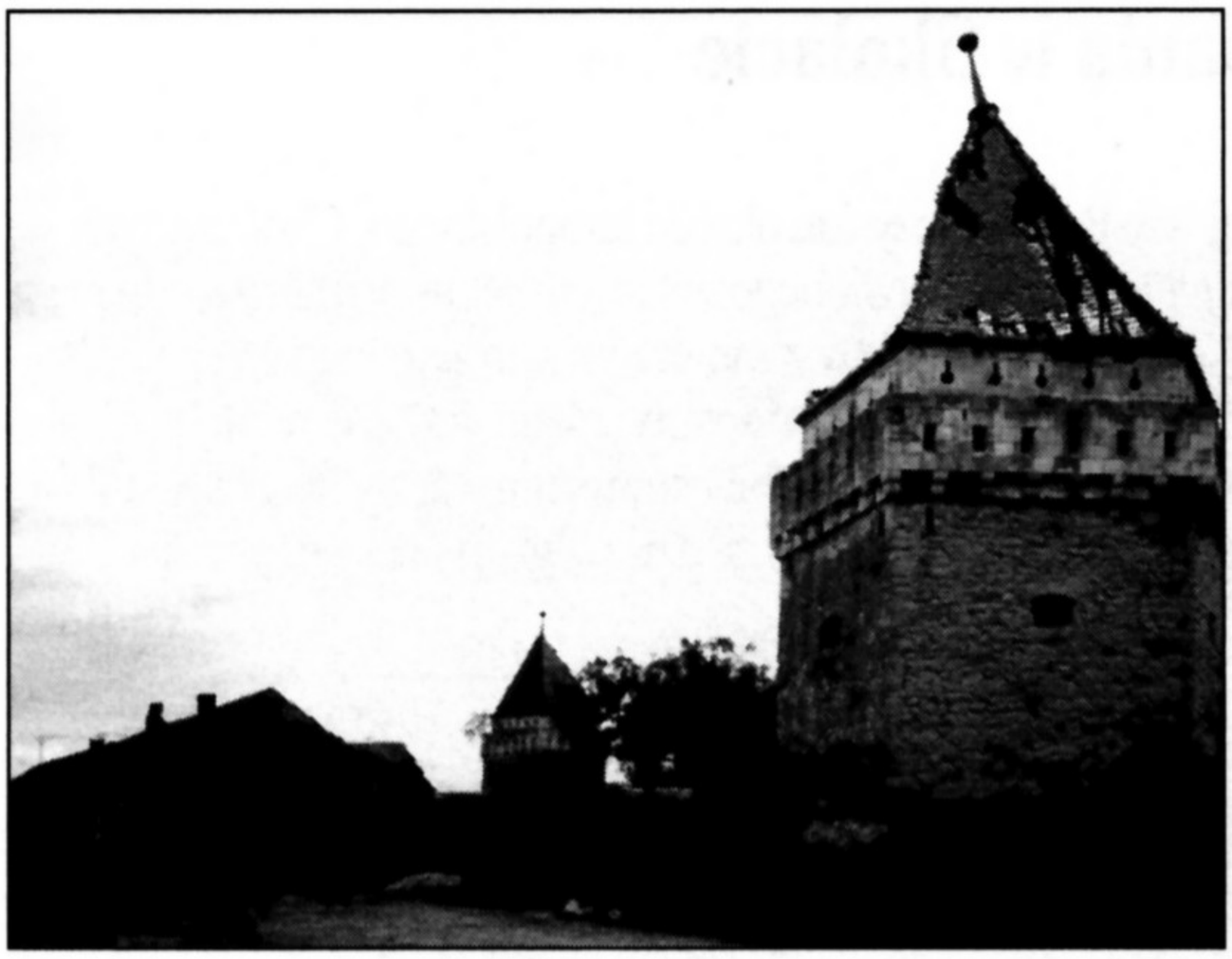

Rys. 333. Zamek z oddali

„Niechaj ci, którzy ulegają złudzeniom...wmyślą się w te cyfry. Niech choćby w części odczują ból i katusze tych, którym wydłubywano oczy, wycinano języki i łamano kości. Niech odczują tragedię żony i matki, brata i siostry. Niech zrozumieją przeżycia z niżej podanej tragedii jednej rodziny.

[...] Do młynarza, który każdemu szedł na rękę, każdemu, a szczególnie Ukraińcom – gdyż chciał ratować życie – ktoś puka wieczorem. Ponieważ często przywożono zboże wieczorem do młyna...otwiera... Straszliwy cios siekierą w pierś. Z otwartą klatką piersiową, oblewając wszystko krwią, pada bez jęku niewinny człowiek. Ze strasznym krzykiem przerażenia i bólu osuwa się nań żona bez przytomności. Wpadają zbiry i mordują dzieci: maleństwa 5- i 7-letnie. Dziewięcioletni chłopak w zamieszaniu chowa się pod łóżko. Mordercy go nie dostrzegają. *Wona szcze żyje?* – pyta prowodyr. *Ni, ja jeji dobre sykieroju whatyw* – odpowiada z uśmiechem jeden z morderców. Słyszy to matka i żona, gdyż oprzytomniała już we krwi swego męża i dzieci. Odeszły zbiry.

Nad ranem...poszła grzebać trupy...Wykopała im płytką mogiłę koło domu, zagrzebała i siwa jak gołąb poszła z ostatnim dzieckiem w świat. Nie wzięła niczego, gdyż jej nie pozwolono. Tylko takich tragedii ziemia ta przeżyła tysiące... dziesiątki tysięcy.

Niech nikt nie mówi tym, którzy cierpią i giną z rąk rozpasanej tłuszczy, o słowiczych śpiewkach Szeptyckich i innych. Oni ponoszą winę i oni za mordy odpowiedzą. Oni, ci bandyci w szatach kapłańskich, w mundurach policji, w uniformach dywizji SS, siedzący w biurach, komitetach, urzędach. Oni są sprawcami tych rzezi. Przygotowywali ją od lat...

Za krew pomordowanych księży, kobiet i dzieci, za krew tych, których winą jest to, że są Polakami, odpowie nie tylko «ślepy miecz», ale i «ręka» pisząca w jednym momencie zarówno odezwy, jak i rozkazy mordowania".

Rozmyślam nad zapiskami Księdza, mając pełną świadomość, że to tu, w mieście i okolicy, panował w tamtych dniach najpotworniejszy strach przed rezunami. Ach te noce, te noce w Skałacie! Tyle ofiar zbrodni przynosiły! Jednej z takich nocy, wymienionych przez Księdza nie mogę zapomnieć[77].

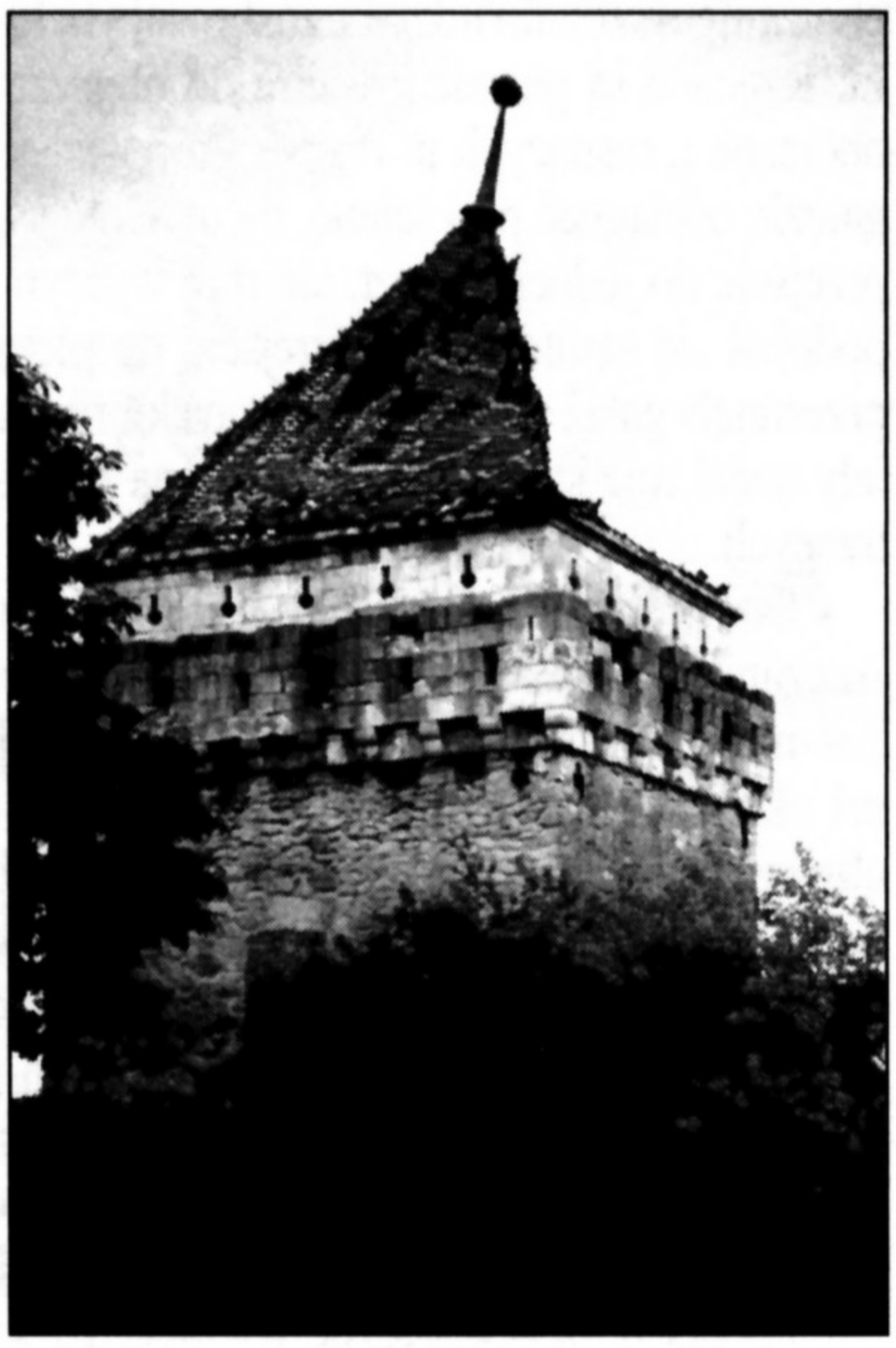

Rys. 334. Baszta lewego skrzydła

[77] Ibidem, s. 301.

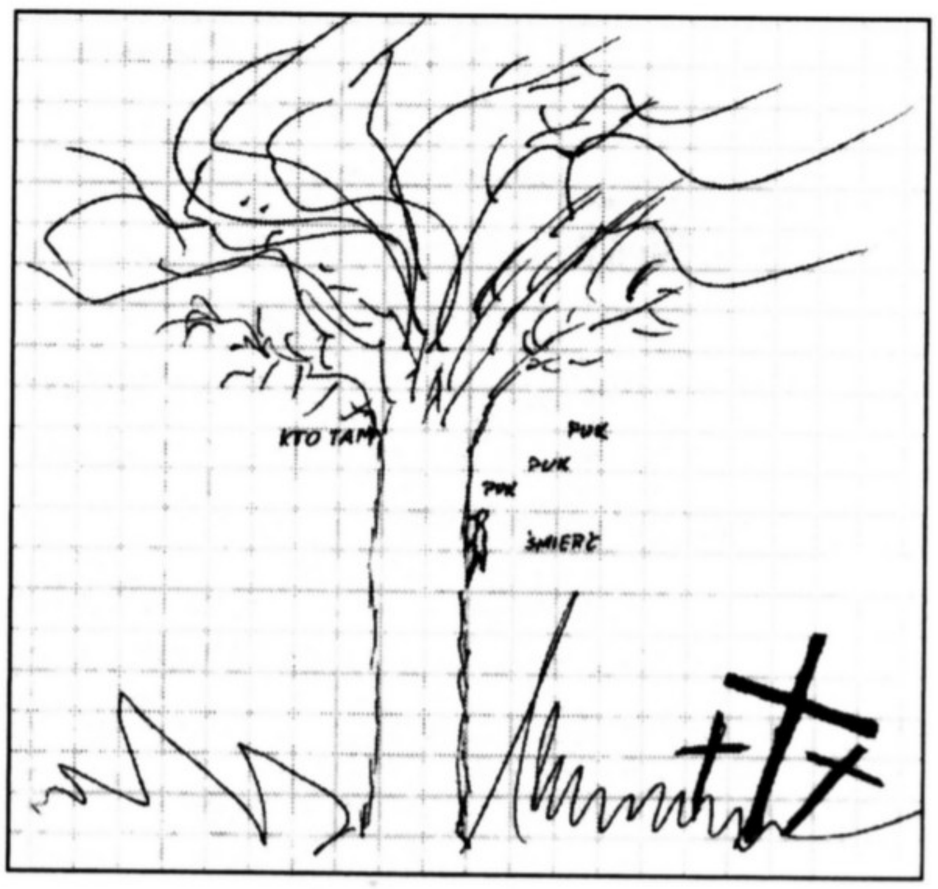

Rys. 335. Śmierć stukała jak dzięcioł

„Dowiaduję się szczegółów z Zubrzycy koło Turki. Na nadleśnictwo napadło kilkudziesięciu uzbrojonych bandytów. Mieszkańcy skryli się w piwnicy. Wtedy podpalono dom. Wszyscy zginęli...

Tego wydarzenia nie zapomnę nigdy. Bandy banderowców szalały. Męczeńska krew Polaków lała się strugami, nikt nie był pewny ani dnia, ani nocy. Najtragiczniej było po wioskach. Ci ludzie byli całkowicie bezbronni. Nie znaczy to, że w miastach było bezpiecznie. Śmierć, zwykle męczeńska, krążyła nad ludźmi.

My, księża skałaccy...czuliśmy się bardzo niepewni. Miasto małe, nie przygotowane do obrony, w razie napadu zupełnie nie stwarzało poczucia bezpieczeństwa. Nasz niski, parterowy dom z wieloma oknami był łatwy do zdobycia. W poczuciu zagrożenia poczęliśmy...myśleć o jakimś zabezpieczeniu plebanii. Myśleliśmy o okratowaniu wszystkich okien i o umocowaniu drzwi do budynku. Okazało się to w praktyce niewykonalne z braku materiałów. W sumie nasz dom stał dla Ukraińców prawie otworem. Kopnąć dobrze *w* drzwi i wejście było gotowe. Trzasnąć kolbą w okno, a rozlatywało się na kawałki...

A jakże prostym i łatwym sposobem na Polaków zamkniętych w domach był najzwyklejszy ogień. Trochę benzyny i mała zapałka – i sprawa była rozwiązana. Uciekinierów z płonących domów wystrzeliwało się jak kaczki.

Nieraz, tak trochę dla lepszej zabawy, wyłapywano ich

Rys. 336. Niszczyła i kościół

Rys. 337. Przy zamkowym dziedzińcu

żywych, wiązano drutem i wrzucano do ognia. A jakie to było zabawne, gdy pod ręką znalazł się drut kolczasty. Tak ładnie omotało się nim *Lacha* i hajda do ognia! Ile było przy tym zabawy! Jak oni krzyczeli wniebogłosy i usiłowali się wyrwać! Można się było z tego doskonale uśmiać. Najgorzej krzyczały kobiety... Nieraz, zanim taką kobietę dobrze okręciło się drutem kolczastym, miała porwane suknie i szła w ogień prawie nago! Do takiej zabawy z wrzucaniem do ognia rwali się wszyscy. Chwytało się chłopa czy babę za nogi, tak w czwórkę, parę chwil rozmachu i do ognia. W płonących domach aż skwierczało. Masz, *Lasze,* na coś zasłużył, ogrzej się, bo chłodno, czemuś nie uciekał za San? Ukraina dla Ukraińców. Przeklęte, polskie, lasze pokolenie wytracimy co do jednego, żeby nie zostało nasienia.

To nie były zabawy! Umocniliśmy trochę wejścia do księżego domu... Nie możemy się dać bandytom zarżnąć, jak barany. Poczęliśmy myśleć o jakiejś broni. Na początek obydwaj z ks. Lisowskim kupiliśmy sobie solidne siekiery. Użyjemy ich bez wahania w samoobronie. Gdy bandzior wedrze się do izby, będziemy walili we łby bez wahania. Tak się to w naszych obronnych zamysłach wydawało. Posiadanie porządnej siekiery wzmacniało poczucie bezpieczeństwa. Sami nie wierzyliśmy w skuteczność takiej broni, ale zawsze...coś jest!

Później zdobyliśmy granaty... Mając granaty będziemy bronili bezpieczeństwa całego domu. Gdy wokół Skałatu nasilały się zbrodnie, poczęli niepokoić się o nas nasi parafianie, bo księża byli więcej od nich zagrożeni. Mówiono nam z prawa i z lewa: nie nocujcie na plebanii, zabiją Was. Ale gdzie nocować? Gdzie jest w Skałacie bezpieczne miejsce?

Znaleźliśmy takie miejsce: ...W okresach najbardziej niebezpiecznych i groźnych nocowaliśmy w szpitalu. Po ciemku szło się na tę nocną kryjówkę i raniutko trzeba było wymknąć się cichaczem, aby nikt nie widział.

W takim groźnym czasie pewnego dnia o świcie – a spałem wtedy na plebanii – usłyszałem głośne trzaskanie w wejściowe drzwi do budynku. Poderwałem się w sekundzie. Napad? Stanąłem w kącie mieszkania, aby nie być narażonym na strzelanie przez okno. Słucham z duszą na ramieniu. Walenie w drzwi nie ustaje. Nie odzywam się, czekam, co będzie. Łomot w bramę nie ustaje. Ostrożnie zajrzałem przez okna. Nie widać nikogo, a łomot wciąż jednakowy. Słyszę głos kobiety:

Rys. 338. Zwierzęta nie narzekają

...Był napad. Kobieta wyszła cało, chce złożyć Bogu dziękczynienie i nieprzytomna przybiegła o takiej porze. Bogu dzięki, kamień spadł mi z serca. Otwieram drzwi. Przede mną stoi kobieta lat około pięćdziesięciu. Oczy pałające, włosy w nieładzie, cała w niesłychanym podnieceniu i gorączce. Wprowadzam ją do biura. Opowiada. Mieszka w okolicy Skałatu, we wsi, jakieś 20 km od naszego miasta. Mąż na wojnie. Ma blisko 20-letniego syna. Kiedy rozpoczęły się rzezie Polaków, matka, bojąc się o syna umieściła go u znajomych w Skałacie... Sama została w wiosce. Wczoraj chłopak przyszedł do matki. Matka się przeraziła, gdy go zobaczyła. Ogarnął ją niesamowity lęk. Bezzwłocznie zawiodła syna do stajni i skryła w kryjówce zbudowanej pod miejscem, gdzie stała krowa. Trochę uspokojona, wróciła do mieszkania. Wkrótce pojawiło się kilku uzbrojonych, nieznanych jej ludzi. Zapytali: De syn? Dojrzano go idącego do wioski. Matka nie wyda syna. Wie, że przyszli go zamordować...syna nie ma w domu...uciekł do Skałatu. Poszli. Wrócili jednak i było ich więcej. Widzieli syna na pewno.

Powtórzyli pytanie: De syn? Matka syna nie wyda, choćby miała zginąć. Grożą: „Jeśli syna nie wydasz, zginiesz". Odpowiada: „Syna nie ma". Oni na to: „Więc giń". Skierowali ku przerażonej kobiecie lufy karabinów, aby ją zabić. Przerażona kobieta, czując na sobie dech śmierci, prosi bandytów o chwilkę czasu, aby się pomodlić. Poczęli się śmiać: „Módl się, ale ci to nic nie pomoże". Kobieta chwyta obraz Matki Bożej Częstochowskiej wiszący nad łóżkiem, pada na kolana i krzyczy: „Matko Boża Częstochowska, ratuj!". Została jej tylko Ona, jedna jedyna w jej śmiertelnym przerażeniu; „Matko Boża Częstochowska, ratuj!".

...nagle na podwórzu przed chatą coś się poczyna dziać niezwykłego. Rozlegają się strzały, wybucha pożar stodoły. Bandyci wybiegają z chaty, zostawiają przerażoną kobietę z obrazem w dłoniach.

Rys. 339. Historia jest w gorszej sytuacji

Na podwórzu walka. To żołnierze radzieccy, na których uzbrojone bandy napadały nieustannie, gdy byli w mniejszych grupach, rozpoczęli większą akcję dla ich zlikwidowania. Rozpoczęli ją akurat w tej wiosce, w tym domu, akurat w sekundach, gdy zrozpaczona kobieta czując na skroniach stal karabinów wołała: „Matko Boża Częstochowska – ratuj!".

Nie dziwię się, że ks. Anczarski o tym wydarzeniu do śmierci pamiętał. I na mnie zrobiło wrażenie niesamowite, choć przeżywałem je pośrednio i po wielu, wielu już latach. Ale Skałat był ten sam. A grozą napawał nadal osamotniony budynek plebanii. Parterowy, skromny. Mimo że w zwiedzaniu Skałata towarzyszył mi życzliwy i szczery pracownik tarnopolskiej Uczelni, siły okazały się zbyt skąpe na dalsze zwiedzanie miasta. Przed zachodem słońca wróciliśmy do Tarnopola. **Na skałacki cmentarz tym razem nie poszedłem. Wszędzie on był. Nawet na przybrzeżnych polach buraczanych, gdzie kiedyś były polskie wsie.** Teraz zostały tylko na moich mapach. A wszystko ukryły buraczane liście.

Zbaraż, kochany Zbaraż

Dziś mam mało czasu. Z samego rana jadę do sienkiewiczowskiego Zbaraża. Pamiętam go z wielu scen w *Ogniem i mieczem*. **Uczyniły obronę Zbaraża kluczowym zdarzeniem w dziejach całej powieści.** Pisanej zresztą dla pokrzepienia polskich serc. Może dlatego klęska piławiecka została jakby we mgle, gdzieś w cieniu. Bronił się cały lud i szlachta. Tu się rozwinęła cała akcja II tomu tak skromnie się zaczynająca: „Pewnej pogodnej nocy na prawym brzegu Władynki posuwał się w kierunku Dniestru orszak jeźdźców złożony z kilkunastu ludzi...

W Zbarażu zostali pan Wołodyjowski i Zagłoba, wszystkie wojska koronne, zgromadzone i na nieprzyjaciela czekające...Już bowiem wiadomo, że Chmielnicki, a z nim chan ciągną z potęgą, jakiej od czasów Tamerlana nie widziały ludzkie oczy...Wieczór się zrobił cichy, pogodny. Na ciemnym niebie zabłysło tysiące gwiazd i wnet zjawiły się pomyślne wróżby. Właśnie, gdy pan Lanckoroński[78] zbliżył się do księcia z buławą w ręku, by mu ją oddać, jedna z gwiazd, oderwawszy się od sklepienia i ciągnąc za sobą strugę świetlaną, spadła z hukiem w stronie Konstantynowa, skąd miał nadciągać Chmielnicki, i zgasła. – To Chmielnickiego gwiazda! – krzyknęli żołnierze – Cud! Cud! Znak widomy!..

Rys. 340. Mury Zbaraża

W tej chwili dzianet książęcy podniósł łeb, wstrząsnął farbowaną purpurowo grzywą i zarżał potężnie, aż wszystkie konie w obozie odpowiedziały mu jednym głosem.

Poczytano i to za przepowiednię zwycięstwa. Żołnierze mieli ogień w oczach. Serca rozpaliły się pragnieniem walki, dreszcz zapału przebiegł przez ciała...wołali ku stronie, z której spodziewano się nieprzyjaciela: Bywajcie, psubraty! Znajdziecie nas gotowych!”. Jak widać w obronie Zbaraża wystąpił splot najróżniejszych czynników konwencji wojennej przygody. Podkreślmy: właśnie dla pokrzepienia serc. Szczyt osiąga tu zjawisko idealizacji i heroizacji rycerskiego czynu, a całą bitwę wyprzedzają cudow-

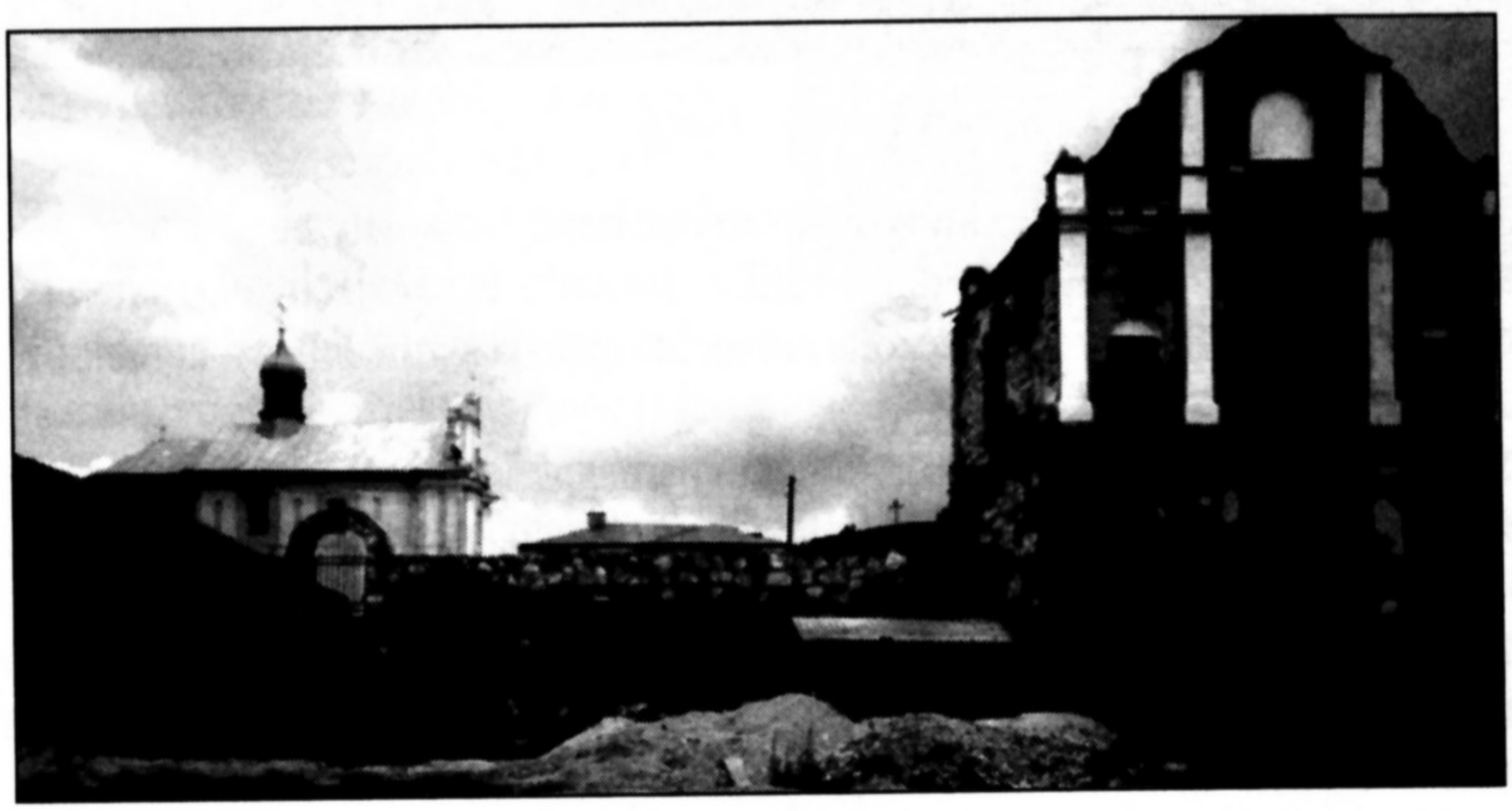

Rys. 341. Remont zabytków

78 Boże Święty, jak serdecznie żałuję, że śmierć Księżnej Lanckorońskiej, tak bliskiej Janowi Pawłowi II zakończyła na zawsze dzieje twego znakomitego rodu (przypis M.T).

Rys. 342. Centrum miasta

ne znaki w postaci piorunów, burzy, czy tęczy spadającej z gwiazdami itd. Nawet doskonały przecież wódz został wyidealizowany: „I stojąc na okapie wśród krwawych świateł wydawał się ten groźny książę jakby olbrzym z baśni ludowej, więc drżenie przebiegło im utrudzone członki, a ręce czyniły znaki krzyża...".

W tej atmosferze czytamy opisy kolejnych bitew i zmagań na murach i pod murami, w których widzimy zbliżenia wojowników: **Skrzetuskiego, w momencie, gdy zranił Tuhaj-beja, Podbipiętę, czy Zagłobę, jak walczy i pokonuje Burłaja.** Wielki to trud ukazania odwiecznych zmagań o utrzymanie polskiej ziemi. Nie wydłużyły się do naszych czasów i dlatego z ciarkami na skórze wjeżdżałem do ukochanego Zbaraża, wypatrując przez okno autobusu stawów, wałów, murów zamkowych i kościelnych górujących nad całym miastem.

Ale oto i pierwsze kontakty z ludźmi. Bardzo sympatyczne. Po krótkiej wędrówce po rynku nawiązuję rozmowę z miejscową nauczycielką. **Zbiegiem okoliczności jesteśmy przy gmachu szkoły, w której pracuje. Nie narzeka na młodzież, ale to nas łączy w rozmowie, bo i ja także swoją nie pogardzam.** Chyba bym grzech popełnił, gdybym o cokolwiek do moich studentów miał pretensje. Że czasami są leniwi? Proszę, że co? A my to jacy byliśmy!

– Tylko święci garnki lepią, dodaje moja rozmówczyni dowcipnie. Ja nawet mało rozrabiałam, wyzna-

Rys. 343. Katedra (w remoncie)

Rys. 344. Przy wejściu do swojej szkoły

je jakby z żalem do siebie, wpatrzona w kontury swojego gimnazjum. **Nie wiem, czy wiecie, pod nami ciągnie się podziemny historyczny tunel prowadzący z zamku do naszego pięknego kościoła.** Ale nigdy w tym tunelu nie byłam. Po prostu bałam się do niego wchodzić, bo znałam o nim straszną legendę w dzieciństwie. Ale moi uczniowie nie raz tam buszowali. Nadal teraz nie chciałabym ich tam widzieć, tym bardziej, że obecnie tunel jest już w wielu miejscach groźny i zasypany. **Z tym, że śmiałkowie ciągle go na nowo zdobywają.** Wam radzę miast tego zamek obejrzeć, a szczególnie znajdujące się tam muzeum.

Więc gramolę się niezgrabnie ścieżkami ulicy Chmielnickiego. **Są bardzo niewygodne, a zamek wysoko na wzgórzu. Widzę, że prowadzi do niego okrężna droga opasująca całe wzgórze.** Boże, cóż to za rokosz byłaby w młodości z pokonania tak sympatycznych tras! – rozmawiam sam ze sobą i usiłuję przejść na skróty do ścieżki okrężnej. I oto zatrzymuje się przy mnie rowerzysta. Chyba właśnie o pół wieku ode mnie młodszy. Jest roześmiany, sympatyczny: – Zamieńmy wasze przygody na moje zdrowie, proponuje. Na zamku wszystko wróci do normy. – Ty chyba wróżka w męskim stroju... – Jeśli dwa patałaszki uznajecie za strój, to ja akcior...znad Gniezny (dopływ Seretu). Jak tylko się zmęczę na tym rowerze, to z wody wychodzę szybko jak młody bóg. Chcecie, to wam pokaże gdzie się najlepiej kąpać, bo wy chyba przyjezdny. **A woda jest u nas wspaniała i ciepła, i czysta, jak całe miasto. To nasz kochany Zbaraż!**

Rys. 345. Wesoły cyklista

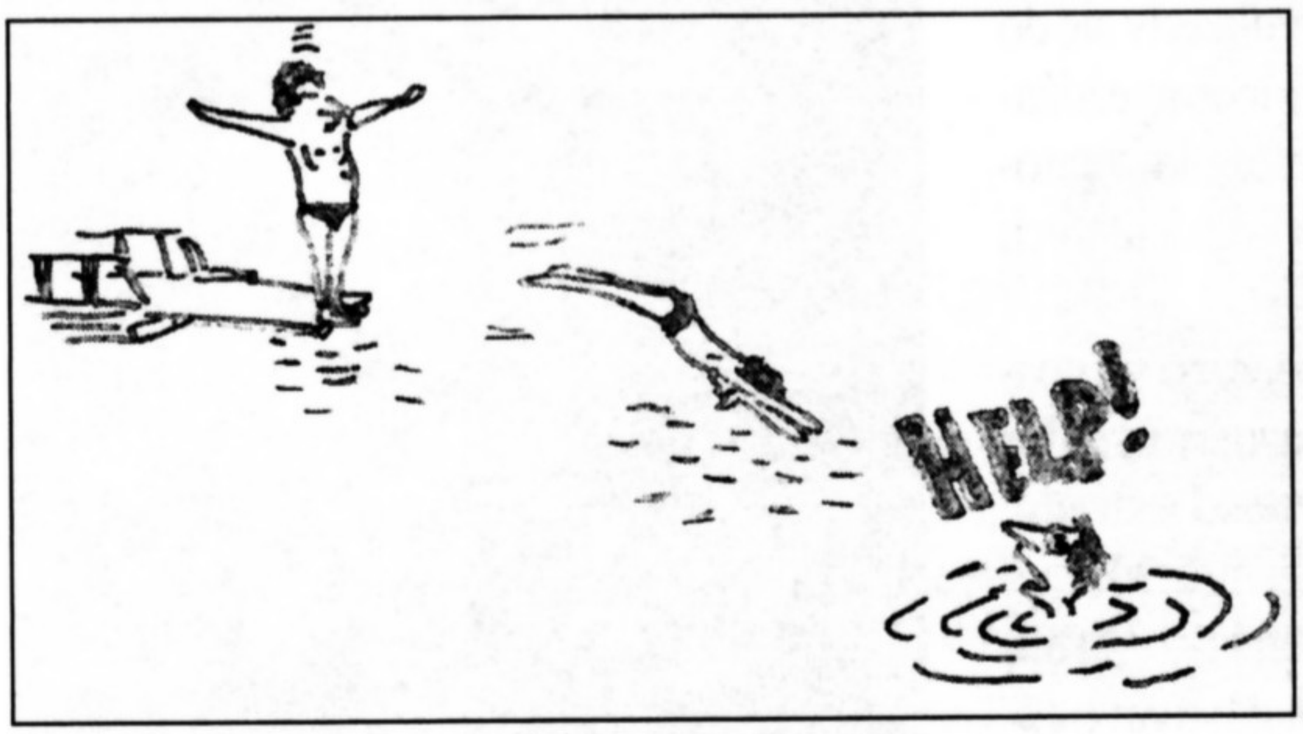

Rys. 346. Życzliwa pomoc

– Mówisz jakbyś we mnie siedział, bo i dla mnie to kochane miasto choć z innych chyba powodów... – Ja wiem, wy chyba Polak, rozpoznał mnie do końca. **Może z Krakowa. To takie fajne, stare miasto, jak nasz Zbaraż.** Mam dużo widokówek krakowskich, bo jedna dziewczyna się wreszcie we mnie zakochała. Na Hucułach się poznaliśmy. Tam, gdzie ten wodospad nad rzeką. Żebyście wiedzieli, jak ona słabo pływa...ile razy ja jej musiałem pomagać... Wiecie co, weźcie mój rower. Wygodnie pojedziecie tą okrężną drogą do zamku i tam się spotkamy. **Jakiś czas przy was pobiegnę, bo trenuję ostatnio biegi. Jak odstanę, to się mną nie przejmujcie. Dam sobie radę, bo u siebie jestem.**

Oglądam już ten sfatygowany rower, gdy tymczasem nadchodzi grupa ludzi w różnym wieku. Jakaś starszawa pani usiłuje dociekać drogi na skróty. Ktoś inny pokrzykuje, że szkoda czasu, już do zamku niedaleko. I razem wyruszamy w drogę. **Muzeum zamkowe jest płatne (1$), ale gromadzi bogatą ekspozycję etnograficzno-archeologiczną.** Uwagę zwraca jednak kolekcja malarstwa podkreślająca rangę bohaterów miejscowych. Dodajmy ukazanych w takiej aureoli, jak gdyby rekompensować mieli swoje niepowodzenia z 1649 r. Wolę zachować w pamięci tamtych bohaterów zbaraskiego zamku. **Bronili tej twierdzy ponad 6 tygodni przed nawałnicą 100.000 armii Chmielnickiego i wyszli z boju zwycięsko.** Szkoda tylko, że bagien przed zamkiem nie spostrzegam. To po nich przedzierać się miał Skrzetuski z posłaniem do króla. A jeszcze i Podbipięta, którego w okresie międzywojnia niektórzy chcieli nawet kanonizować, nie dopuszczając myśli, że to tylko literacka postać. Ale kochana, jak cały Zbaraż nad Gniezną. Stąd tak świetnie w naszej pamięci się prezentujący, choć dopiero (przepraszam wreszcie) odnawiany.

Rys. 347. Święty Nepomucen, opiekun rzeki w Zbarażu

Czortków na końcu świata

Czortków to miasteczko nad Seretem wpadającym do Dniestru. Jest dość pechowo omijane odległą obwodnicą i trzeba prosić kierowców jadących ze Lwowa do Tarnopola, aby celowo skręcili do odległego centrum zachęcającego do zwiedzenia malowniczo położonych w sereckim jarze i z daleka widocznych zabytków. **Początki miasteczka sięgają XIV w.** Dzieje pisane rozpoczęły się w 1522 r., kiedy to otrzymało prawa miejskie z inicjatywy Jerzego Czartkowskiego. Stąd i nazwa, a nie od czorta jak myślałem przed przyjazdem.

Rozwijało się błyskawicznie. Może z uwagi na swoje położenie, które równocześnie barykadowało przejścia różnych wojsk. Tu, w zamku bronił się w 1655 r. kasztelan kamieniecki Piotr Potocki przed gwałtownym szturmem kozackim. Dodajmy zaciekle, ale nieskutecznie. **Jeszcze dokuczliwsza klęska nastąpiła w 1672 r., kiedy to miasto zalane zostało przez wojska tureckie (po haniebnym traktacie buczackim).** Właściciele miasta zdołali tu powrócić dopiero w 1682–1683 r. W okresie rozbiorów zapanowały tu wojska austriackie. Wszystkie te epoki zostawiały wyraźne ślady widoczne do dziś.

Zachował się jednak szczęśliwie przepiękny m.in. zabytek w postaci neogotyckiego kościoła Dominikanów, znajdującego się przy deptaku na rynku. W kościele znajdował się słynny kultem obraz Matki Bożej Czortkowskiej (obecnie w kościele Św. Jacka w Warszawie). Był on świadkiem istnego barbarzyństwa z okresu 1939–1946. Przykładem może być min. następujący fakt. NKWD-ziści uciekając przed Niemcami, wywlekli w nocy z 1 na 2 lipca 1941 r. zakonników z cel i zamordowali ich. **Dla zatarcia śladów podpalili też klasztor.** Od tego czasu, mimo podejmowanych prób renesansu klasztoru (m.in. tajnego nauczania) nie powiodły się i 25 czerwca 1946 r. zakończyły się opuszczeniem klasztoru przez dominikanów, dodajmy służących tu prawie trzysta lat. **Ale przez cały okres okupacji tak sowieckiej, jak i niemieckiej**

Rys. 348. Ruiny czortkowskiego zamku

działał w Czortkowie konspiracyjny hufiec Szarych Szeregów pod dowództwem J. Opackiego, ps. „Prus" i Orzeł Biały POW.

Od najwcześniejszych chwil okupacji podziemie to przeciwdziałało holokaustowi ludności polskiej jak tylko mogło. Przed masową zbrodnią jednak nie zabezpieczyło. Rezuny dopuszczały się przy tym aktów ludobójstwa w najbardziej wyrafinowanej formie, wszędzie i na wszystkich grupach ludności polskiej. Dodajmy, masowo też deportowano tę ludność (głównie na Sybir) i aresztowano często bez najmniejszych powodów. **Miejscem licznych tragedii była również czortkowska świątynia.** W wyniku tego ludność polska niemal całkowicie została wytępiona, a klasztor całkowicie opustoszał i odzyskany został dla kultu religijnego dopiero w 1989 r.

Miasteczko liczy obecnie ok. 30 000 mieszkańców, ale rodaków nie udało mi się spotkać. Przypominają o nich jedynie symbolicznie ruiny zamku, w których ulokowane zostały warsztaty samochodowe brudzące i szpecące walory ekologiczno-turystyczne miasta. **Miasto zresztą niewiele ma sukce-**

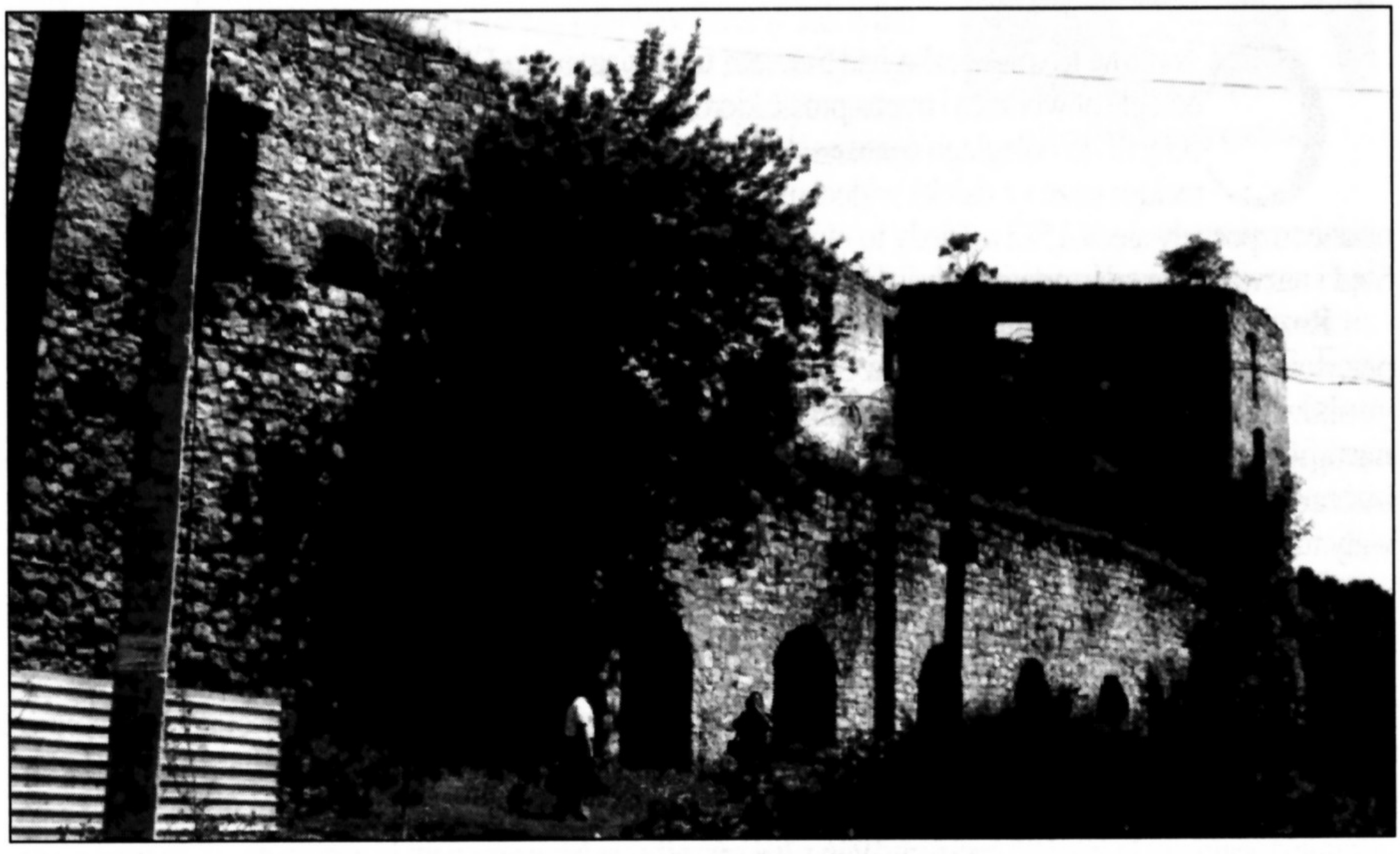

Rys. 349. W zamku były więzienia NKWD

sów. Jest tu trochę przemysłu spożywczego, odzieżowego, zakłady młyniarskie, zakłady napraw samochodowych i nieco instytucji kulturalnych w rodzaju muzeum regionalnego, tzw. dwór cadyka symbolizujący dzieje Żydów pomordowanych i wywiezionych do Bełżca oraz ruiny zamku mieszczące hałaśliwą działalność gospodarczą. **Ponuro to wszystko wygląda i kojarzy się z tragedią Polaków, jaka ich dotknęła w wyniku narodowościowych represji.** Represje te mają długą a okrutną historię.

W jednej z nich odnajdujemy chłopców z gimnazjum czortkowskiego, którzy stanęli do walki o wolność we wrześniu 1939 r. To tacy harcerze, jak lwowskie Orlęta. **Było to zaraz po zajęciu Czortkowa przez wojska sowieckie.** Organizowano od tego momentu konspiracyjne ruchy niepodległościowe na całym Podolu. W Czortkowie dążące do opanowania szlaków komunikacyjnych do pobliskiej Rumunii[79]. Sprzyjającym momentem miało być ogołocenie tych ziem z garnizonów sowieckich zaangażowanych w tym czasie do wojny fińsko-bolszewickiej. Gdy jednak do powstania doszło w pamiętną noc 21/22 stycznia 1940 r. nie odcięto łączności telefonicznej, co umożliwiło Sowietom zorganizowanie odwetu.

Rys. 350. Plac targowy

W akcji powstańczej wzięło udział ok. 150 osób. Powstańcy pragnęli opanować dworzec, koszary, szpital, pozyskać broń, zwolnić więźniów i przez most na Dnieprze w słynnych Zaleszczykach uciec do Rumunii. **Po klęsce młodych powstańców nastąpiły tragedie, aresztowania i wywózki w głąb Rosji.** Szkoda, że ten bohaterski zryw Szarych Szeregów, tak wczesny, hartujący ich do boju w późniejszym okresie powstania warszawskiego, jest zaniedbany w piśmiennictwie naszym i nie stanowi symbolu heroizmu młodzieży tych ziem. Wspomina o niej ks. Anczarski, ale w innym już kontekście, masowych rzezi na Polakach, którym rezuny zgotowały dantejskie cierpienia.

„U nas blisko był Czortków, więc o Czortkowie informacji było najwięcej. Przekazywano sobie te wieści w przerażeniu i trwodze. Wszak w więzieniu czortkowskim byli ludzie z bliskich okolic i z dalekich stron. A te wieści ociekały okrucieństwem oprawców i męczeńską krwią ofiar. Wszystko było takie świeże, takie okrutne, takie straszne i przerażające.

Mam przed sobą pismo wychodzące w języku ukraińskim „Buczaćki Wisty", czyli po polsku „Buczackie Wieści". Na stronie trzeciej tego pisma pod datą 24 sierpnia 1941 roku znajduje się artykuł *Masakra więźniów* w *Czortkowie.* Podaję dokładne omówienie treści tego artykułu. Robi się niedobrze po lekturze sprawozdania z tego, co zostało dokonane w Czortkowie. Są to wiadomości ze źródła ociekające krwią niemal całkiem na świeżo. W powietrzu powiatu czortkowskiego, buczackiego, podhajeckiego i innych okolicznych niemal czuć zapach krwi męczeńskiej i słychać jęki torturowanych. Ale do konkretów, one przemawiają zawsze najsilniej.

---

79 Por. przesunięcie granic także z Rumunią.

Rys. 351. Dawna synagoga

Kiedy weszła do Czortkowa armia niemiecka, oczom niemieckich żołnierzy i miejscowej ludności przedstawił się widok budzący grozę. W więzieniu za miastem, za wysokimi murami znaleziono ogromne ilości zmasakrowanych trupów. Żydzi przyprowadzeni do pracy z miasta, stojąc pod strażą rozkopywali olbrzymie więzienne podwórze, zajmujące chyba z 3/4 hektara. Wydobywali z ziemi ludzkie trupy. W krótkim czasie całe podwórze więzienne wyłożone było ciałami nieszczęsnych więźniów. Przy wykopywaniu ciał okazało się, że po zapełnieniu pierwszej warstwy ciałami ofiar, NKWD-yści posypywali je solą

Rys. 352. Centrum miasta

i warstwą ziemi, i nałożyli na to dwie dalsze warstwy w trzech rzędach. Później zasypywano doły grubą warstwą ziemi i posadzono... kwiaty. Prócz tego było pełno trupów w celach, a nawet pod podłogą. W jednym miejscu ludobójcy zalali miejsce zbrodni betonem, żeby nikt nie domyślił się, że pod betonem znajdują się ofiary zbrodniarzy.

Świadkowie opowiadali, że sterta trupów jeszcze się podnosiła ku górze i opadała, a nawet dawał się słyszeć jęk, kiedy NKWD-yści przykrywali ofiary deskami i przybijali podłogę. Wiele trupów znaleziono także w rowach wokół więzienia. W czortkowskim więzieniu naliczono około 800 ofiar. Rozpoznano tylko niektórych. Ciała były w takim stanie rozkładu i tak zmasakrowane, że nie można było w żaden sposób poznać, kim są pomordowani ludzie. Na dodatek większa liczba pomordowanych więźniów w Czortkowie była z różnych miejscowości i powiatów, więc któż miał ich poznać? Były nawet ofiary z Bukowiny.

Dla charakterystyki zbrodni dokonanej w Czortkowie trzeba także dodać, że rozmaici z pomordowanych byli maltretowani w okrutny sposób: były między nimi dwie kobiety, z których jedna miała wyrżnięte piersi, wyrwany kleszczami język i nos. Druga była okręcona drutem przepchanym przez narządy rodne. Dalej w podwórzu widać było zawieszony gruby drut, a na nim haki. Prawdopodobnie wieszano tam ludzi z kolczastym drutem na szyi i przepuszczano prąd elektryczny. Duszono także ludzi deskami, a innych powiązanych zrzucano z góry w jamę.

W celach więziennych było pełno okrwawionej odzieży. Krew widniała na ścianach. Widać jak katowani i męczeni ludzie drapali ściany i ich zakrwawione ręce są niemymi świadkami koszmarnych scen, jakie się tam działy.

Nikt nie potrafi opisać potwornych scen, jakie miały miejsce na więziennym podwórzu i przed bramą więzienia po przyjściu Niemców. Rodziny więźniów, którzy byli uwięzieni od początku wojny oglądając zmasakrowane ciała, odchodziły od zmysłów. Głęboki tragizm wiał od żon, dziewcząt mających nadzieję na spotkanie z żywymi, a które znalazły stosy pomordowanych, wśród nich swoich najbliższych. Wśród ofiar było kilku księży greckokatolickich.

Rys. 353. Kościół św. Stanisława Biskupa i Męczennika

Dla całości obrazu trzeba jeszcze zaznaczyć, że w tych tragicznych dniach dla Czortkowa przez trzy dni hulały po mieście różne typy, strzelając do niewinnych ludzi i szerząc lęk wokół siebie.

W ilu więzieniach działy się podobne rzeczy? Kto potrafi dojść do tego po 50 latach, gdy usta wszystkich były zamknięte? Wpadłem na ślad, że podobne sprawy były i w Łucku. One chyba były takie same wszędzie na wschodnich rubieżach Rzeczypospolitej przy ucieczce rozbitej armii radzieckiej po wkroczeniu Niemców. Może też były na Litwie, Łotwie i Estonii? Ta sprawa powinna być wyświetlona. Krew i męczarnie pomordowanych wołają o rozpracowanie tych tajemnic. To jakiś obowiązek żywych wobec zamordowanych i wobec historii narodu. I nie wolno się ociągać z wyświetleniem tych zbrodni.

Lata mijają, świadków coraz mniej z każdym dniem, a zapisanych dokumentów prawie nie ma[80].

To horror tego miejsca dla mnie już na końcu świata. Chodzę więc wokół świątyni i myślę, gdzie ja przyjechałem. I gdzie, a przede wszystkim, jak uciec od tych straszliwych wspomnień. **Staram się już nie wnikać w inne. W te potworne makabry, które dotknęły miejscowych księży.** Znam je i lepiej nie będę już czytelnika wprowadzał w te nieludzkie okropności. Wiem, że to jest już niedaleko od słynnych Zaleszczyk, przez które prowadziła droga ocalenia do Rumuni, kraju wtedy nam sąsiedniego i przyjaznego. Jest jakaś nadzieja. Może tamte tereny dawnego województwa stanisławowskiego nie będą aż tak ponure. To przecież dawne nasze wesołe Huculły, ziemia Pokucia i Podola. Najbardziej dla nas nostalgiczna.

---

80 Ks. Józef Anczarski, op.cit., s. 207–209.

Miasto wielokrotnego porodu

Do niedawna nazwy tej nie było. Znana jest od 1962 r., kiedy to zastąpiła nazwę Stanisław jako odziedziczoną po dawnym Stanisławowie. Wyprowadzono ją od ukraińskiego pisarza i profesora *Iwana Franko (1856–1916)* urodzonego w niemiecko-polskiej rodzinie pod Drohiczynem. **Był propagatorem marksizmu i jednym z założycieli Ukraińsko-Ruskiej Partii Radykalnej (1890).** Swoje credo zawarł w Katechizmie socjalistycznym napisanym po polsku. Wybitna postać i społecznie bardzo aktywna. Przez 10 lat współpracował z Kurierem Lwowskim i wieloma innymi czasopismami polskimi. Wielką popularność przyniosły mu refleksje liryczne a wśród nich poemat *Mojżesz* (1905), wydany w parę lat później po polsku oraz dramaty tej miary jak *Ukradene szczastia* (1893) i wiele prac naukowych. Dotyczyły one etnografii, folkloru i języka ukraińskiego a także teorii i historii literatury, w tym ukraińskiej, polskiej, rosyjskiej i niemieckiej. **Bardzo ważne utwory napisał w języku polskim.** Podejrzewam, że był

Rys. 354. Kresy południowo-wschodnie[81]

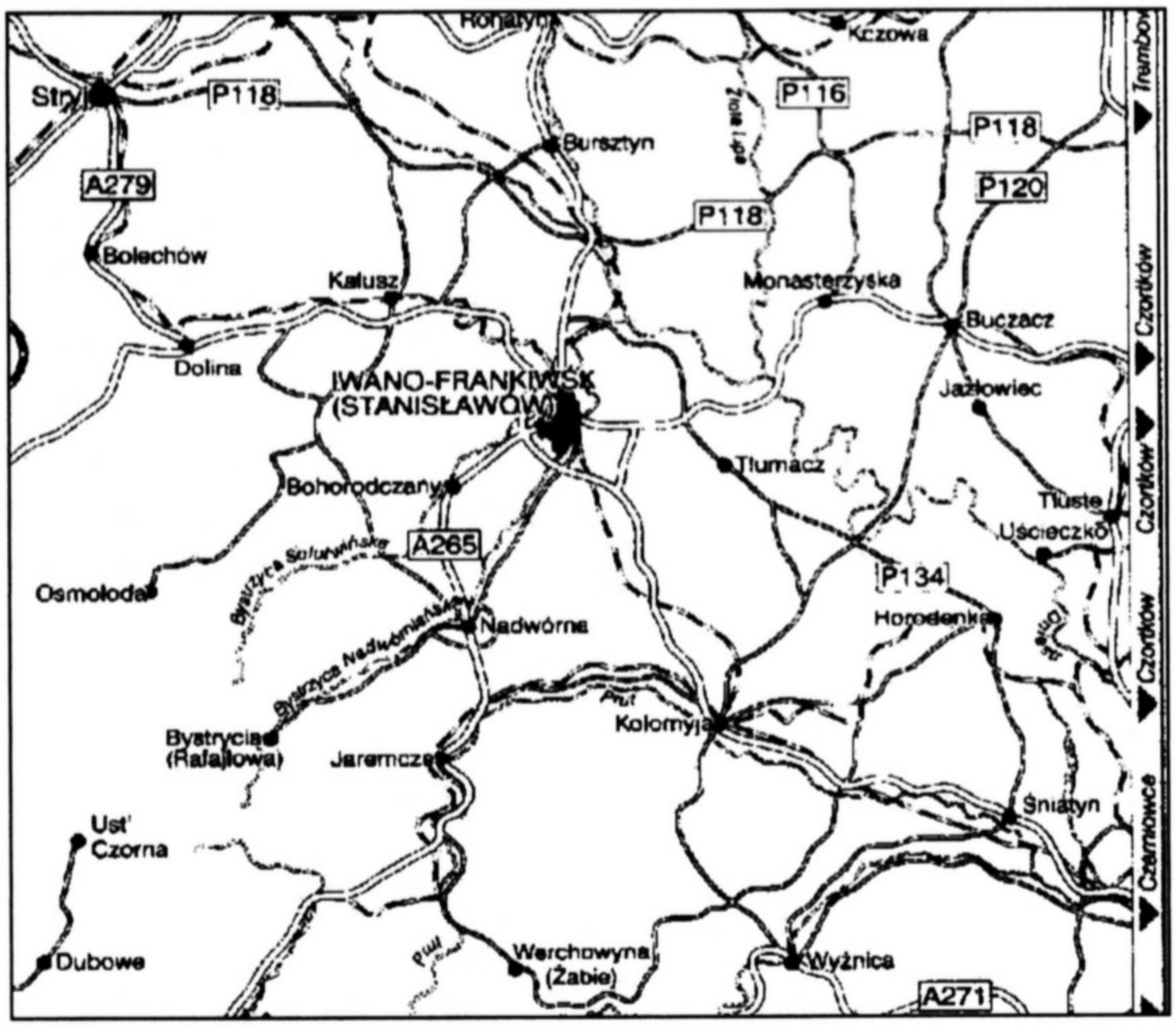

Rys. 355. Wokół Iwanofrankowska[82]

człowiekiem skromnym i nigdy by się nie zgodził na zmianę Stanisławowa na Iwanofrankowsk. Stanisławów miał bowiem ogromne tradycje, które on doceniał i o których na nowo dzisiaj mówić powinniśmy.

Zaczęły się od wybudowania przez Andrzeja Potockiego ufortyfikowanego miasta zwanego Stanisławowem na cześć 12 letniego syna Andrzeja Potockiego. Pod auspicjami Akademii Krakowskiej powołano w mieście kolonię akademicką przejętą później przez jezuitów. **Miasto rozwijało się błyskawicznie. Po upadku Kamieńca Podolskiego sta-**

---

81 Por. St. Lencewicz, op. cit. s. 201.

82 Por. Adam Dylewski, op. cit. 187.

nęło na czele obrony południowo-wschodnich rubieży Rzeczypospolitej. Nic dziwnego, że jako forteca raziło przede wszystkim Turków. Ale też i broniło się przed nimi dzielnie (1676), mimo ogromnych niekiedy zniszczeń. Sejm Rzeczypospolitej doceniał to i nawet zwolnił je (wyjątkowo) z opłacania podatków. W sejmikach halickich traktowano je jako ostoję i głowę całego Pokucia.

Rys. 356. Kat. Greckokatolicka w Iwanofrankowsku[83]

Na początku XVIII w. zostało zajęte i doszczętnie splądrowane przez Kozaków, a nieco później przez Rosjan. Stało się w efekcie małym, półtoratysięcznym miasteczkiem. Po odzyskaniu sił znów zagościli tu Rosjanie (dwukrotnie), a następnie Austriacy. Nakazem cesarza Austrii zniesiono wtedy w Stanisławowie fortecę, którą zresztą rozbierano bardzo powoli, tak, że fragmenty murów i wałów przetrwały przez długie lata. **W miarę „otwierania się" miasta na zewnątrz wchodził tu bez przeszkód cały świat i starych murów i fortec nie ma co żałować.** A Franciszkowi I (cesarzowi Austrii) wybudowano nawet z tego powodu ogromny pomnik (1837) w mieście. Szczęśliwy dzień w jego historii to 1 września 1866 r. kiedy to zaczął się regularny ruch pociągów na trasie Lwów-Czerniowce.

Niestety, miasto trawią pożary (może odtąd dworce kolejowe w Małopolsce buduje się daleko od miasta, np. Przeworsk) **i z trudem podnosi się na nowo.** Obserwujemy jakby wielokrotne jego narodziny. W tym dziele odbudowy jawi się wiele inicjatyw i towarzystw odbudowujących pomniki, szkoły („Sokoły"), administracje, dyrekcje (kolei) i różne radosne orkiestry dęte, ale głównie chyba codziennej pomocy, a nie świątecznej. Otwarto tu nawet pierwsze w Polsce kino i to na 200 miejsc, działające zresztą aż do wybuchu II wojny światowej. Wraz z wybuchem wojny nastała tu prawdziwa bieda. **Dla miasta i Polaków.** Zacytujmy odpowiedni fragment, w którym do głosu dochodzi Ukrainiec Andruchowycz.

„W ...swym tekście Andruchowycz w niesamowity sposób opisuje „barbarzyński czas" połowy XX w.: Nasza apokalipsa zaczęta się nie tak znowu dawno – we wrześniu trzydziestego dziewiątego roku, kiedy w pozostałych na pastwę wszelkich wiatrów „pańskich" mieszkaniach za-

Rys. 357. Przysłowiowa galicyjska bieda

[83] Jan K. Ostrowski, Kresy bliskie i dalekie, Universitas, Kraków, 1998, s. 124.

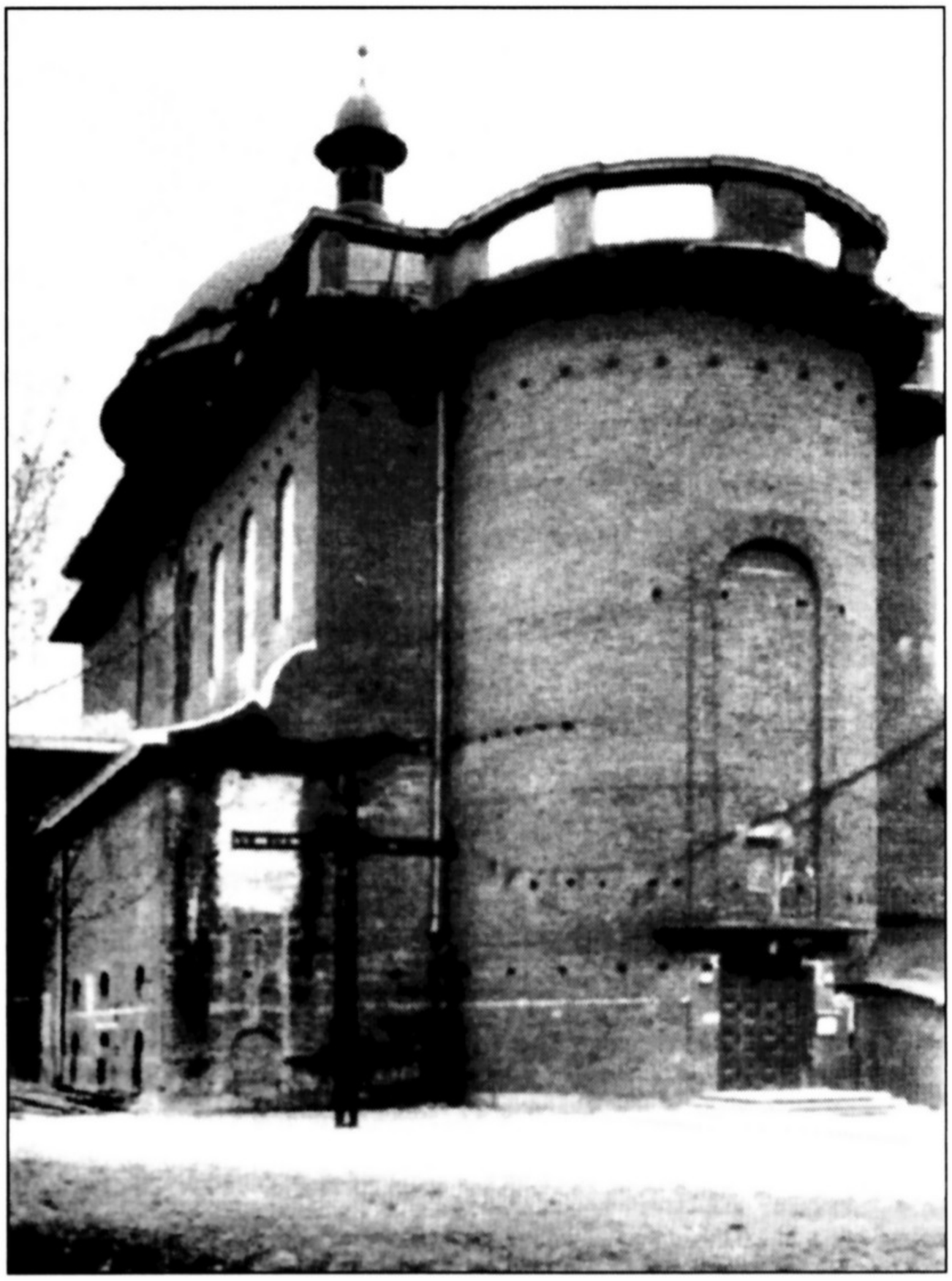

Rys. 358. Kościół Chrystusa Króla[84]

mieszkali inni ludzie, przybysze z dalekich równin, zamieszkanych przez olbrzymy z ośmioma palcami, gdzie wódkę pije się jak wodę, a nawet zamiast niej, gdzie jada się surowe mięso, tańczące niedźwiedzie występują w świątyniach... Najłatwiej było po prostu zamieszkać. Wedrzeć się do secesyjnej willi, do luksusowych, porządnych konstruktywistycznych kamienic, do parterowych eklektycznych domów. Najłatwiej było zagarnąć meble, porcelanę, garderoby w orzechu wraz ze szlafrokami i pantoflami, gramofony i płyty, zegarki, niezrozumiałe książki z nienagannymi zakładkami z cieniutkiej bibułki papierosowej, obrazy olejne i gipsowe posążki, jednym słowem, całą tę kulturę, cały ten mieszczański kram, do którego przybysze zwykli odnosić się z pogardą... Tyle, że z jakiegoś powodu swą pogardę przejawiali poprzez przywłaszczenie. Przybysze nie wzięli jednak pod uwagę, że zagarnięcie domów wiąże się również z pewnymi zobowiązaniami w stosunku do nich. Że te mury, drzwi i salony wymagają stałej troski. Że kur i innych zagadkowych stworzeń nie należy trzymać w wannie. Że nieznane rośliny w sadach i na gankach wymagają troskliwej ręki ogrodnika, że drzewa trzeba okopywać, trawę strzyc, a kwiaty w doniczkach podlewać. Że do teatru nie należy wybierać się w nocnej koszuli – nawet gdyby wydawała się straszliwie elegancka... Ta całkowita nieprzystawalność doprowadziła nie tylko do zniszczenia budynków. Miasto wywożono na wschód całymi pociągami. Dodajmy do tego faszystowską okupację, której skutkiem było całkowite „oczyszczenie" miasta z jednego z najważniejszych elementów etnicznych – żydowskiego. Na miejsce wysublimowanych i artystycznych, głęboko marzycielskich, melancholijnych wyznawców chasydyzmu po wojnie przybyło mnóstwo zwykłych zsowietyzowanych „Jewrejów" – rosyjskojęzycznych już, zuniformizowanych, którzy wstydzili się swego pochodzenia. (...) Dodam jeszcze jeden element, najmniej „patriotyczny". Pod koniec lat pięćdziesiątych Ukraińcy z okolicznych wiosek zaczęli przenosić się do ówczesnych podmiejskich...osiedli, w których stopniowo wyrodnieli, zachowując z wiejskiej kultury to, co najgorsze, tracąc zaś wszystko to, co najbardziej wartościowe".

Znamienne jest, iż powyższy fragment wyszedł spod pióra Ukraińca. Podobnie mogliby napisać pewnie Polacy mieszkający na tzw. Ziemiach Odzyskanych. Taki motyw odnajdziemy w książkach Olgi Tokarczuk czy Stefana Chwina. Niemcy zostawili w kredensach przyprawy, solniczki, resztki oleju na dnie butelek, porcelitowe pojemniki z kaszą, cukrem i kawą zbożową. Zostawili firanki w oknach, żelazka na blasze kuchni, obrazki na ścianach – czytamy w *Domu dziennym, domu nocnym* (1998) –

---

[84] Jan K. Ostrowski, op. cit. s. 125.

Rys. 359. Odpoczynek przed Iwanofrakowskiem

W niektórych domach zostały książki, ale straciły dar przekonywania – świat przeszedł na inny język. Rzeczywiście XX w „zapętlił (metafora Andruchowicza) i niejedno życie!”[85].

To i tak delikatnie powiedziane, bowiem nie można pominąć faktu, że Stanisławów był miejscem masowych deportacji w czasach sowieckiego komunizmu i niemieckiej okupacji. Tylko w Czarnym Lesie niemieccy okupanci zamordowali 500 inteligentów, nie wspominając masowej eksterminacji Żydów. Padli oni ofiarą już na początku wojny tj. w 1941 r., kiedy to 12 października 1941 r. zamordowano 20 000 osób a resztę zgromadzono w getcie i następnie wywieziono do obozu zagłady w Bełżcu. Oblicza się, że ogółem zginęło 127 000 mieszkańców Stanisławowa a 176 000 wywieziono na roboty przymusowe do III Rzeszy. Zwiedzając to miasto nie sposób zapomnieć o tej historii. Ona żyje i ostrzega do dziś. Choć na plantach międzyczasie zestarzały się już drzewa.

Planty podobne do krakowskich

Planty otaczają troskliwie całe miasto. Jak w Krakowie. Może dlatego robi ono na mnie bardzo korzystne wrażenie. **To taka oaza dobrej symbiozy przyrody z cywilizacją.** Stanowi jakiś miły ciąg spacerowy z południowymi skwerami miasta gdzie stoi do dziś okazały pomnik Mickiewicza. Bardzo lubiłem tu przyjść i w tej zieleni parkowej odpoczywać. Widać stąd wspaniałą kolegiatę, przerobioną niestety na muzeum sztuki. Jednak ten odpoczynek nie jest taki łatwy, bowiem zaraz po południu zaczyna się gromadzić przy zieleńcach niezbyt ciekawe towarzystwo. Niektórzy przygotowują się do wieczora już znacznie wcześniej. **Zaraz po obiedzie rozsiadają się w roznegliżowanych strojach po zakamarkach parkowej zieleni i zażywają słonecznej kąpieli.** Nierzadko podchodzą prosząc o papierosa a co niektórzy i o wsparcie „na chleb”,

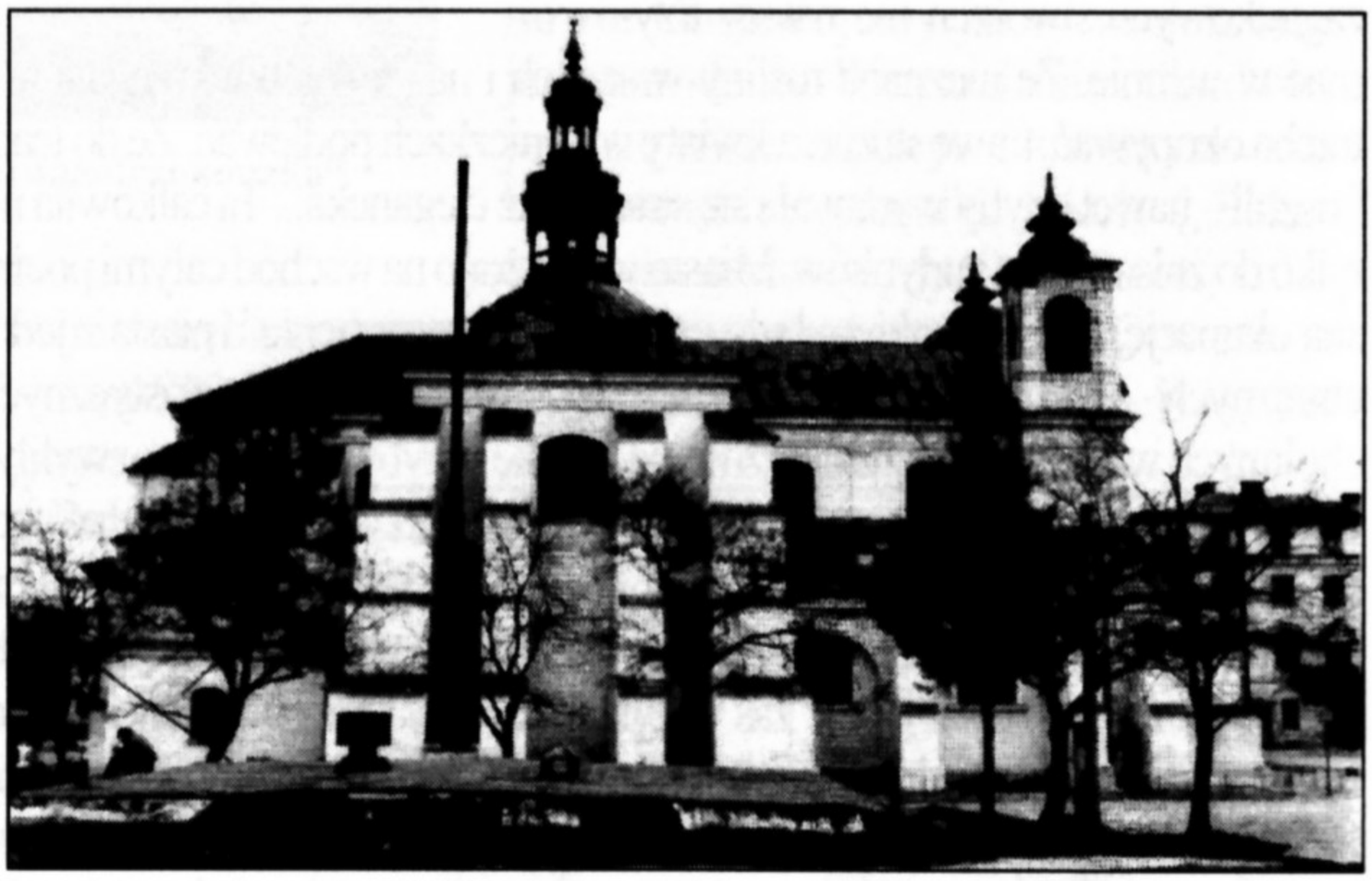

Rys. 360. Kolegiata zamieniona na muzeum sztuki[86]

---

[85] Cytuję za: A. Strojny, K. Bzowski, A. Grosmsman, Ukraina Zachodnia, Wydawnictwo Bezdroża, Kraków, 2004, s. 200–201.

[86] Jan K. Ostrowski, op. cit. s. 123.

choć może i na narkotyki. W tym środowisku jest nie tylko bieda, którą można bez trudu znaleźć lecz czasem i głód narkotykowy. Daje się zauważyć podobieństwo naszych krajów, nie stojących chyba daleko od siebie w tym względzie. Tak zresztą jak i w widokach „par zakochanych" spotykanych tu, i na plantach krakowskich. Niemal identycznie i nader obrzydliwie się niekiedy zachowujących.

W tej atmosferze, o poważne rozmowy na plantach trudno. Łatwo natomiast spotkać się z nieprzyjazną dla Polaków atmosferą. **Ukazywanie przez lata diabła w polskim stroju swoje zrobiło.** Przy pomniku Mickiewicza udało mi się co nieco wyjaśnić przyczyny takiego stanu rzeczy. Starsze już małżeństwo znające nieźle historię swojego miasta wróciło w rozmowie nieoczekiwanie do przyjazdu arcyksięcia Karola Franciszka Józefa. Jego pobyt w Stanisławowie uznali za wydarzenie wieku. **Po tym miała nastąpić hossa dla miasta i Galicji Zachodniej.** Niestety wojna światowa te nadzieje rozwiała. Trzeba było się bronić i powołać 3 stycznia 1919 r. Zachodnią Ukraińską Narodową Republikę jako samodzielne państwo. Wiadomo, że nadzieje te jak usłyszałem, ostatecznie przekreślili Polacy podporządkowując miasto i „obłast" swojej władzy. **Dziwne, że wśród całej historii ten fragment znalazł się w rozmowie na pierwszym miejscu.**

Rys. 361. Znane i u nas widoki

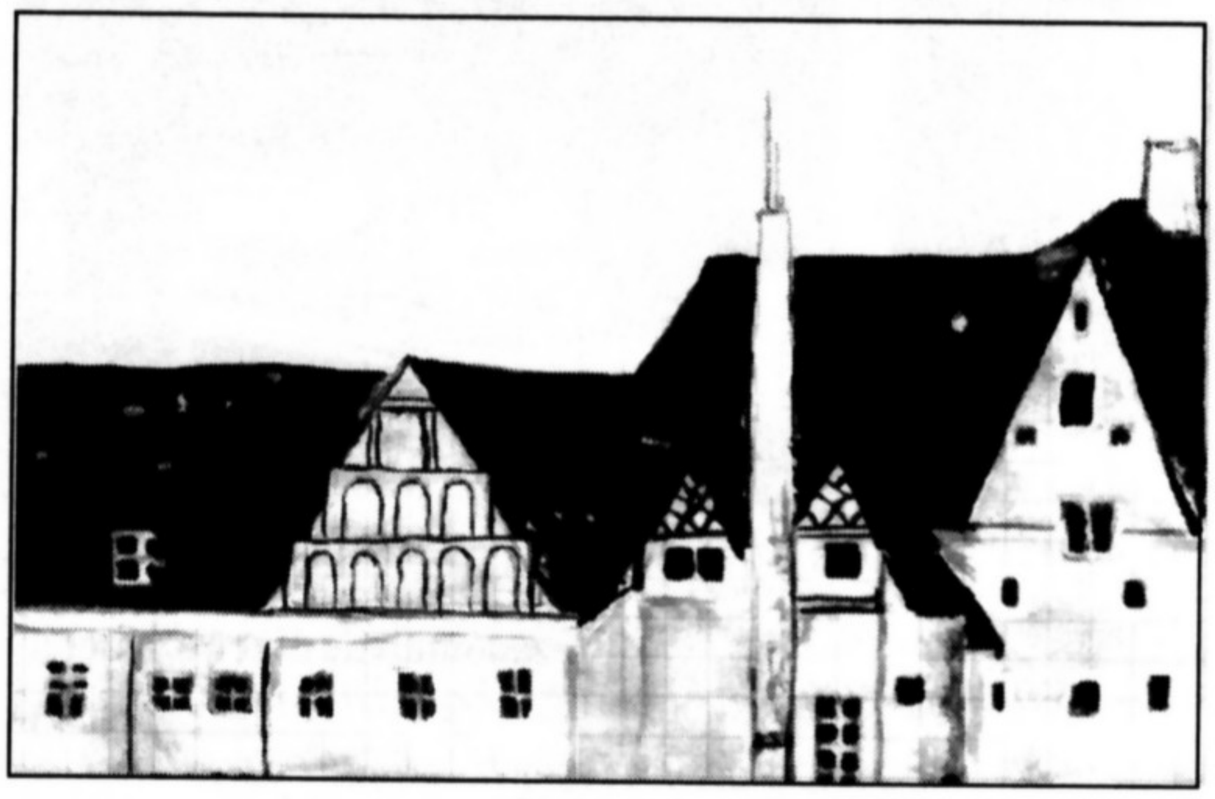

Rys. 362. Miasto słońcem rozprażone

Chciałem skierować te problemy na inne wydarzenia i okresy. Próby te podtrzymywano niechętnie i nawet bardzo ciekawe wydarzenia historyczne płowiały do nieprzyzwoitych granic. Chwytały jedynie te fragmenty, które wiązały się z poprawą sytuacji miasta i jego chwałą. **Wspólny punkt widzenia zaczął się pojawiać dopiero wokół zagłady miasta związanej z wielkim pożarem w 1868 r.** Po tym wydarzeniu, architekci zyskali jak wiadomo pełne pole do popisu i wpletli do jego odbudowy praktycznie wszystkie nurty jakie panowały na przełomie XIX i XX w. Widać to na każdym kroku jeszcze dziś, a ja odczułem to w domu mojej gospodyni – pani Olgi. W samym centrum miasta. Wyznacza je Rynek i Majdan Szeptyćkoho. Ozdobą tego centrum jest ratusz, wielokrotnie niszczony aż wreszcie radykalnie przez Polskę odbudowany w stylu konstruktywistycznym w latach 1929–1930. Powiewa na nim obecnie ukraińska flaga, którą wciągnięto na maszt w 1990 r. w miejsce flagi radzieckiej. Znalazło w nim siedzibę Muzeum Krajoznawcze.

Rys. 363. W cieniu krzewów i drzew

To piękny i ładnie odnowiony budynek. Niedaleko stąd, ale już na Majdanie Szeptyćkoho imponuje swoją okazałością dawny **kościół farny Najświętszej Marii Panny** zbudowany wg projektu F. Corazzioniego jako ro-

dowe sanktuarium Potockich. **Sienkiewicz umieścił tu słynne nabożeństwo po śmierci Wołodyjowskiego.** Ks. Kamiński nie zawahał się wtedy krzyknąć: „...dla Boga, Panie Wołodyjowski! Larum grają...". Zatrzęsły się ściany od niezliczonych głosów wołających „Boże coś Polskę..." przy potężnym – jak opowiadano – akompaniamencie organów, poddanych potem gruntownemu remontowi. Jednak takiej uroczystości do tej pory już w kościele nie powtórzono. **W czasach ZSRR świątynia została w ogóle zamknięta.** Dopiero w 1979 r. w jej wnętrzu urządzono Muzeum Sztuki, które z mieszanymi uczuciami mogłem zwiedzać. Tym bardziej, że wiele eksponatów tu umieszczonych do sztuki w ogóle bym nie zaliczył.

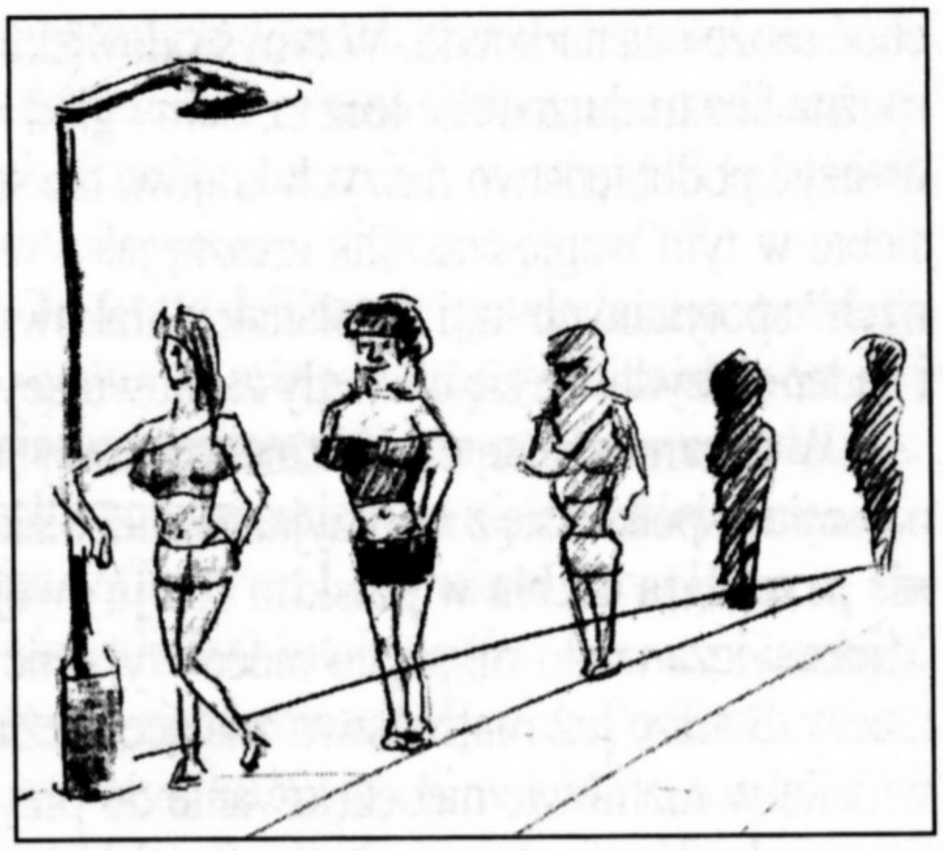

Rys. 364. Chłodzenie pożądane

Nieopodal tegoż, stoi barokowy kościół Jezuitów przemieniony na **greckokatolicką katedrę Zmartchwych-**

Rys. 365. Na „małej zemli" w Krasnodarskim Kraju

Rys. 366. Niezapomniane drzewo śmierci

wstania, która funkcjonuje do dziś. Ważnym zabytkiem jest też barokowy kościół ormiański z koronowanym w 1937 r. obrazem Matki Boskiej, który z konieczności wywieziony został w latach ZSRR do Gdańska, tam przetrwał wielką historyczną zawieruchę. Nobilitację swoją obraz przeżył 22 sierpnia 1742 r. kiedy to pojawiły się na nim łzy. **Cud ten** uczynił ze świątyni miejsce kultu i cel pielgrzymek wiernych z odległych nawet stron. Dodajmy, że blisko tej świątyni jest wielka Synagoga Postępowa. Od 1990 r. ponownie otwarta dla celów religijnych. **Z nakrytą głową (mężczyźni) można czasem wejść w czasie sobotniego nabożeństwa, bowiem na co dzień takiej możliwości nie ma.**

Rys. 367. Pani Olgo, dzięki za cudowne wspomnienia

Na sąsiednim placu Mickiewicza jest okazały pomnik naszego wieszcza, wyrzeźbiony przez T. Błotnickiego i opatrzony obecnie ukraińskimi napisami. Stąd już wchodzimy na XIX-wieczne planty, otaczające śródmieście i połączone z dużym parkiem. **Planty pomieszczono na terenie dawnych fortyfikacji.** W czasie swoich wędrówek byłem urzeczony ogromnym kompleksem pałacowym ogrodzonym potężnymi murami, bramami itp. **Ta**

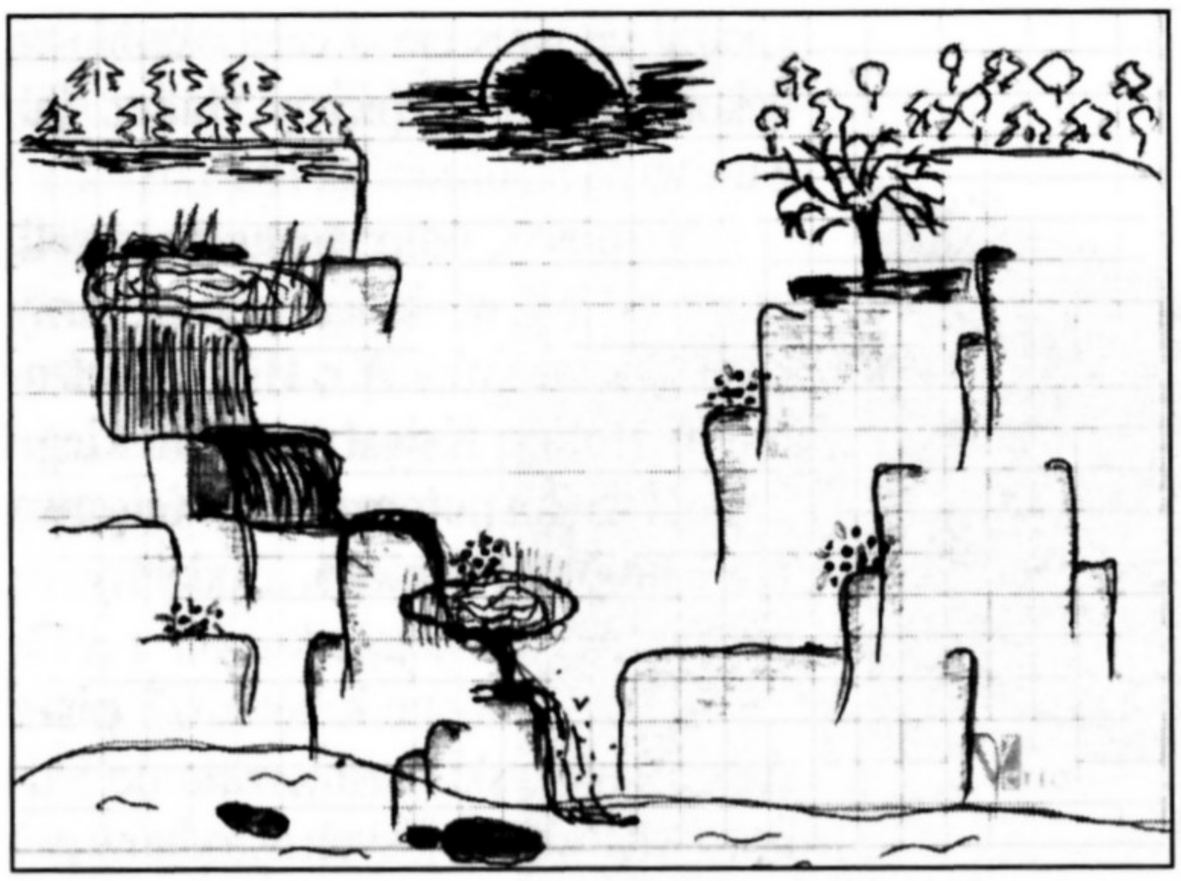

Rys. 368. Wodospad w Kranodarskim Kraju

z daleka widoczna i imponująca budowla, to dawny pałac Potockich. Zrobiłem przy nim najwięcej zdjęć, które niestety przez nieostrożność przepadły na poczcie szybciej, niż zdążyłem dojechać do domu. Wejść do jego wnętrza nie można, wszak mieści się w nim obecnie szpital wojskowy.

Jakby w nagrodę za utracone zdjęcia, miałem możność przebywania w pobliżu tego wspaniałego obiektu, z racji zamieszkania u pani Olgi. Skupiła ona najlepsze tradycje rodziny polsko-ukraińskiej i z pietyzmem zadbała o każdy drobiazg swojego mieszczańskiego apartamentu, z freskami i witrażami w drzwiach włącznie. Miałem też przyjemność wysłuchania jej przecudownych wspomnień (nawet z podróży do słynnego drzewa śmierci) w Krasnodarskim Kraju i wspólnego oglądania zdjęć zrobionych za dawnych lat w Stanisławowie. Stała się moim wspaniałym doradcą, pełen melancholii odwiedziłem dzięki niej prastary Halicz i to w towarzystwie przez nią protegowanym. To była dobra i gościnna opieka. A dzięki temu, że w jej składzie znalazł się Wołodzia z Horodenka, towarzyszący mi w późniejszych niełatwych podróżach po Pokuciu i Huculszczyźnie, aż do samego Lwowa także długotrwała.

Królestwo Halicza

Codziennie jeździ do Halicza prawie czterdzieści marszrutek. W Iwanofrankowsku to chyba najpopularniejsza trasa. **Biegnie do Lwowa przez Rohatyń** wśród zielonych terenów i ogromnych pól, zupełnie nie przypominających naszych polskich zagonów. Po bokach wiele chat jakby wyjętych ze starego skansenu. Jechałem wśród nich wygodnym autobusem bacząc na te, które zachowały jakieś akcenty dawnego warownego budownictwa, opisanego w podręczniku Lencewicza. Jedna z nich taką warownię stanowiła. Żadnego okna w stronę drogi. Wszystkie ukryte i skierowane na podwórze. Przy drodze jeszcze fragmenty kamiennego muru tworzącego ścianę domu i wydłużającego się wokół całego gospodarstwa. Za nim błękit wody. To chyba Dniestr prześwituje, tęsknię za nim, bo jest dla mnie punktem orientacyjnym na mapie.

Rys. 369. Budownictwo obronne z oknami na podwórka[87]

[87] Stanisław Lencewicz, Polska, op. cit. s. 360.

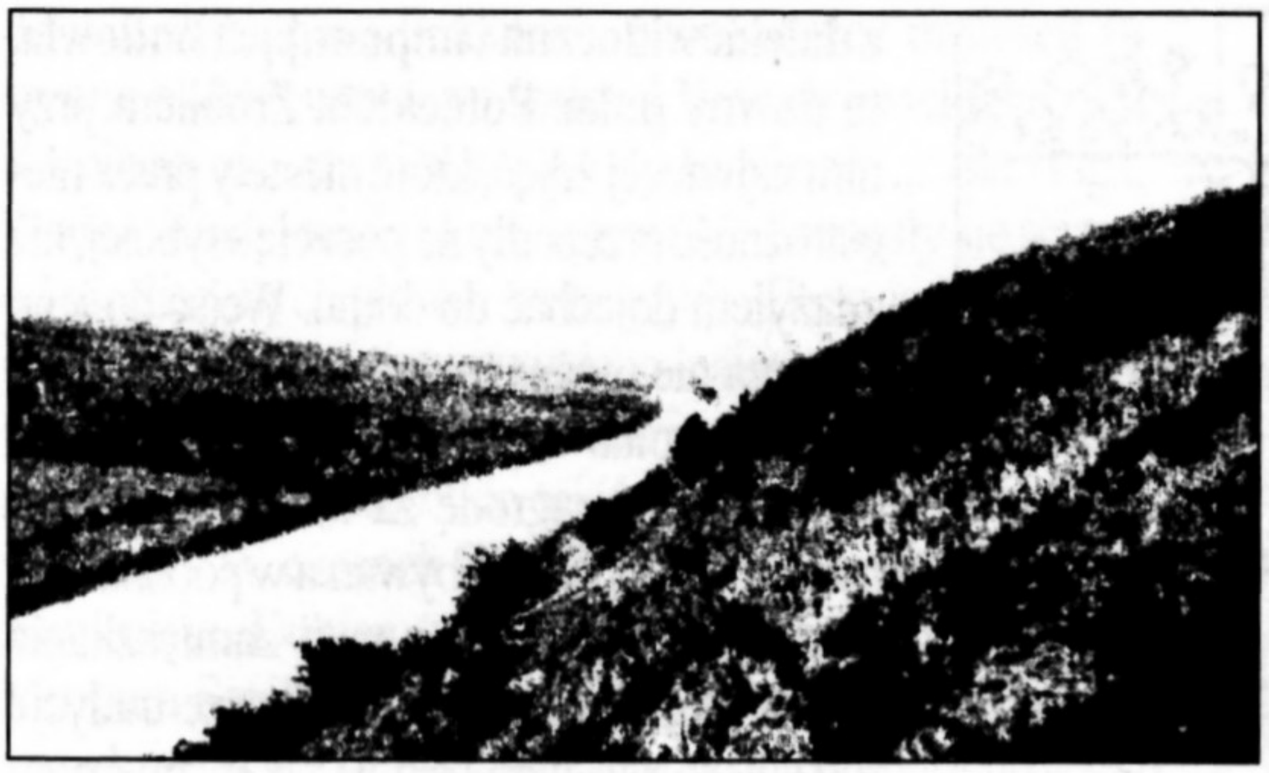

Rys. 370. Dniestr powyżej Uścieczka[89]

Ukazał się wreszcie w całej okazałości, dekorując sam przepiękny **Halicz.** Tak z uwagi na położenie jak i historię.

Najpierw, odkryto tu złoża soli, które od IX w. ściągały handlarzy i wzbogacały gród. **W r. 1144 urządzono tu stolicę Księstwa Halickiego a w pół wieku potem stolicę Księstwa Halicko-Wołyńskiego.** Dodajmy, że prężnie się rozwijającego.

„Duże i mocne Księstwo – pisze Adam Dylewski – zmierzało do jednego z najważniejszych ośrodków politycznych, kulturalnych i gospodarczych całej Rusi. Nic dziwnego, że stało się stolicą królestwa.

Za czasów Kolomana (XIII w.) Halicz znalazł się przejściowo pod panowaniem węgierskim, dzięki czemu władca Węgier przybrał tytuł *Gallitiae Lodomeriaque Rex,* czyli król Halicza i Włodzimierza (Wołyńskiego). W czasach zaborów Habsburgowie, zasiadający także na tronie węgierskim, posłużyli się średniowieczną tytulaturą dla usprawiedliwienia swej ekspansji. Nadano także nowym nabytkom herb Halicza – kawkę, jako godło. Królestwo Galicji i Lodomerii istniało od 1772 r., a w latach 60. XIX w. otrzymało status prowincji autonomicznej Austrii ze stolicą we Lwowie (przez obywateli zwanej *Golicją* i *Głodomorią).* Ciekawe, że enigmatyczna Lodomeria, bez granic i terytorium (Włodzimierz znalazł się w *zaborze* rosyjskim), miała własne godło i flagę niebiesko-biało-czerwoną"[88].

Na tak bogatą i zasobną krainę miało więc apetyt wielu. Najpierw zaatakowana została przez Mongołów, którzy w 1241 r. zniszczyli doszczętnie miasto. Pozostało jednak w początkach XIV w. w randze metropolii prawosławnej. **Jako stolica odrębnej halickiej ziemi przyłączony został następnie Halicz do Polski w 1349 r.** Niedługo potem, ustanowiono tu metropolię łacińską, po której zachowało się wiele historycznych zabytków. Należy do nich całe śródmieście w którym znajduje się cerkiew *Narodzenia Chrystusa* (cerkwa Rizdwa Chrystowskoho) o przepięknym wnętrzu. Dodajmy, że w XX w. dodatkowo ozdobiono ją monumentalnymi freskami. Tuż przy niej (schodząc na prawo schodami) odnajdujemy *ruiny zamku Kazimierza Wielkiego.* Może ruiny to za wiele powiedziane, wszak zamek pierwotny był drewniany i dopiero w XVI w. wzniesiono zamek murowany. **Dodajmy, że najpierw zniszczony przez Turków, a potem (1796) przez Austriaków.** Archeologowie mają

Rys. 371. Ruiny zamku władców halickich

[88] Adam Dylewski, Ukraina, Onet.pl. SA, Oddział Wydawnictwo Pascal, Bielsko-Biała, 203, s. 193.
[89] St. Lencewicz, op. cit. s. 355.

Rys. 372. Wykopaliska archeologiczne w halickiej ziemi

tu pełne ręce roboty i każde wykopalisko uszanowane jest jak w Egipcie. **Są tu liczne ślady obecności karaimów, m.in. cmentarz (cwyntar) usytuowany na wysokim brzegu Dniestru, a także i obecności Żydów.** Na kirkucie macewy mają liczne napisy nie tylko hebrajskie, lecz i polskie. Przy ul. Konowalcia, ocalały dwie synagogi. Niestety śladów po kienesie (świątyni karaimskiej) jak dotąd nie znaleziono. Z brzegów Dniestru widać tę całą okolicę jak na dłoni. **Warto pamiętać, że rozciągają się na niej liczne zabytki po wsiach, m.in. w postaci przepięknych cerkiewek.** W nieodległej stąd wiosce Załukiew obejrzeć można *cerkiew św. Pantełejmona* z archaicznym wyglądem, wszak pochodzi prawdopodobnie jeszcze z XII w. Jest to zasługą ludu ukraińskiego dbającego o to, by mimo wielokrotnych zniszczeń wojnami i pożarami utrzymać jej pierwotny styl i wygląd. Podkreślmy to tym bardziej, że wiele elementów (jak np. napisy w cyrylicy) ma rzeczywiście pierwotny charakter. Toteż zwiedzamy to miasteczko w towarzystwie, które było tu zapewne nie raz i otacza je szczególną sympatią. Ale Halicz jest tego wart. **Wiem już, że traktowany jest w ogóle przez Ukraińców tak jak Gniezno przez Polaków.** Bo też i na mój gust przechodziło podobną historię. To przecież w Gnieźnie Mieszko I i Bolesław Chrobry zorganizowali stolicę Polski, przeniesioną potem do Krakowa. Tu w Haliczu początki historii też dumą napawają Ukraińców. Jakkolwiek samo miasteczko podobnie, jak Gniezno, jest dziś niewielkie (ok. 7000 mieszkańców), to jednak historia jego i położenie w tak pięknej krainie, **a także rewelacyjne wykopaliska (prowadzone na obszernym terenie) w pełni zasługują na taki kult** mimo, że z drugiej strony wymaga to wszystko wielkiej koncentracji i dużo czasu.

Towarzystwo z Iwanofrankowska (oddalonego o ok. 25 km), z którym tu przyjechałem, miało zapewne nadmiar entuzjazmu do ukazania ogromu spraw i w rezultacie zupełnie się pogubiłem. Wróciłem do Iwanofrankowska z niespełnionymi nadziejami i pretensjami do siebie, że taki deser, spożywa się bardzo osobiście by nie powiedzieć samotnie, a nie w kilkuosobowej grupie. Mimo że życzliwej, to jednak rozpraszającej i męczącej. Nie na mój gust i wiek.

Na rohatyńskim szlaku

Po wycieczce do Halicza, zrobiłem rachunek sumienia i skorygowałem ocenę całej podróży. Boże mój, to przecież dzięki tym wspaniałym ludziom miasteczko to w ogóle obejrzałem, z nadmiarem niekiedy szczegółów, ale jednak! A już wdzięczność na pewno należy się im wielka za to, że całą grupą pojechaliśmy do Rohatynia, rodowej siedziby dwojga uczestników tej wyprawy. Okazało się, że i tej mieściny pominąć nie wolno. Ileż tu historii, ciekawych uliczek, przyjaznych mieszkańców, wszędzie chciałoby się połazić i dotrzeć.

Wjeżdża się do rynku główną ulicą Hałyćkoji dotykającą skrzyżowania dróg z Iwanofrankowska i Stryja. Oczy delektują się niecodzienną architekturą kościoła św. Anny, w którym odprawiane są codziennie dwie msze święte po polsku. **Proboszczował tu ongiś sam ks. Piotr Skarga. W kościele i na mieście pełno zabytków.** Miasto ma bowiem niemal tysiącletnią historię, choć w źródłach pisanych pojawia się dopiero w 1184 r. W początkach XVIII w. nie wpuściło do bram wielkiego najazdu tureckiego, choć **otworzyło je przed wojskami Chmielnickiego w 1648 r.**

W pierwszej kolejności zwiedzić trzeba dwa kościoły: ***Kościół parafialny pw. św. Mikołaja*** znajdujący się na terenie dawnego zamku, trochę zaniedbany, jak na wielki dokument historii oraz ***budynek Zakładu ss. Miłosierdzia św. Wincentego a Paolo (szarytki).*** W krypcie tego ostatniego spoczywają szczątki fundatora czyli hr. Leopolda Krasińskiego i jego rodziny. Odnowienia, doczekał się kościół parafialny, który w latach powojennych został zamknięty, później odnowiony, w r. 1991 ponownie otwarty i udostępniony wiernym. Z kilku istniejących tu cerkwi jest jedna murowana, w stylu późnogotyckim, bardzo okazała. ***To cerkiew Narodzenia Matki Boskiej.***

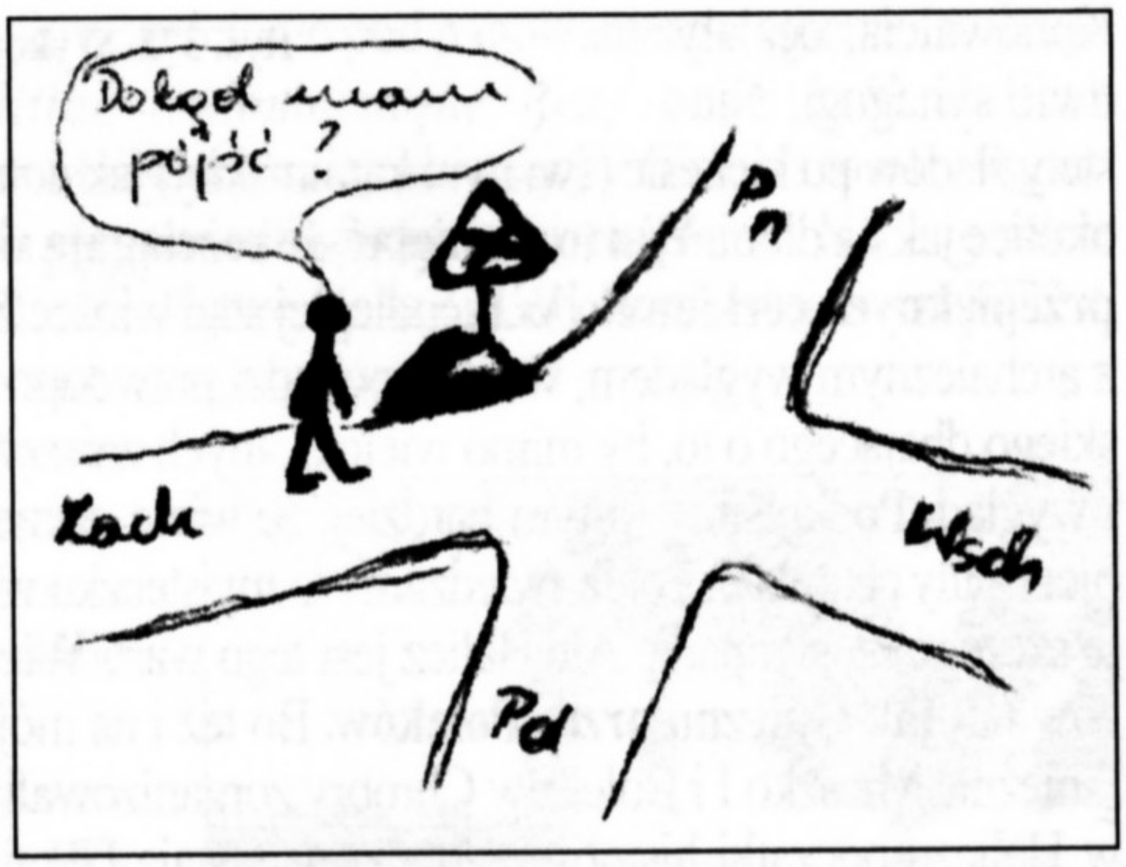

Rys. 373. Nie łatwo zwiedzać kresowe ziemie

Mimo że na wieżę kościelną nie udaje się nam wejść, dostępne stąd fragmenty krajobrazu są doprawdy niezapomniane. Wpisują się w pamięć na trwałe, mimo że cały **pas ziemi na wschód, ciągnący się między Haliczem a Gałuszem[90] leżącym w widłach rzeki Łomnicy, Sliwki i Dniestru może z powodzeniem konkurować z rohatyńską okolicą.** W drodze powrotnej do Iwanofrakowska podziwiam, że ten nowy, urokliwy obszar ma pełno wąwozów nadrzecznych i przyciągających uwagę wzgórz. Wyraźnie potwierdza przekonania Ruszczyca, że piękno jest wszędzie. Łatwo się jednak zagubić, tym bardziej, że to obszar nader bezludny. Przed powrotem do Iwanofrankowska, na prawo od Pawliwki niemal pustynny. Ciągnie się i za Iwanofrakowsk, na trasie do Horodenka.

Do Horodenek jedziemy przez Tłumacz[91] i Żydaczów. **Pobliski Dniestr jest tu wyjątkowo zygzakowaty, tajemniczy i labiryntowy.** Tworzy tak ogromne zakola, że usypanie bardzo krótkiego wału łączącego zbliżające się do siebie brzegi, z powodzeniem mogłoby utworzyć z tych ósemek ciekawą wyspę dla zamku z dziecięcych bajek. Rozczytuję mapę. Tak będzie chyba na całej trasie do Zielonego Gaju nad

---

90 Miejsce zwycięskich bitew J. Sobieskiego (1672) i A. Potockiego (1675) z Tatarami.

91 Stąd pochodzi jeden z najznakomitszych naukowców naszego Uniwersytetu ks. prof. dr hab. Józef Mandziuk. Znać takiego człowieka? Super!

Rys. 374. Uroki cerkiewnej architektury

Dniestrem pomiędzy Horodenkami a Zaleszczykami.

Ale oto wyobraźnia przekształca się w rzeczywistość. Taką wyspę, tyle że wśród lasów, niespodziewanie odnajdujemy. Informują o niej znaki drogowe. To jakiś skansen, do którego skręca jadący przed nami wycieczkowy autokar. Trzymamy się go i wjeżdżamy do lasu. Z autokaru wysypuje się spora **grupa turystów z Kanady,** mówiących niewprawnym już językiem ukraińskim, przeplatanym nader często językiem angielskim. O coś rozpytują, poszukują miejscowego przewodnika. Nie wiele możemy pomóc ale rozmów nie unikamy. Tym bardziej, że Wołodzia, mój towarzysz podróży przechodził niedawno dłuższy kurs języka angielskiego i chętnie o takie kontakty zabiega.

Całkiem starsza już pani prowadzi z nami wstępną rozmowę i siada na długim klocu drzewa powalonego przy drodze. To chyba celowe siedlisko dla zmęczonych osób, ozdobione ludowymi rzeźbami i malunkami. Tu dostaje mi się pierwsza reprymenda.

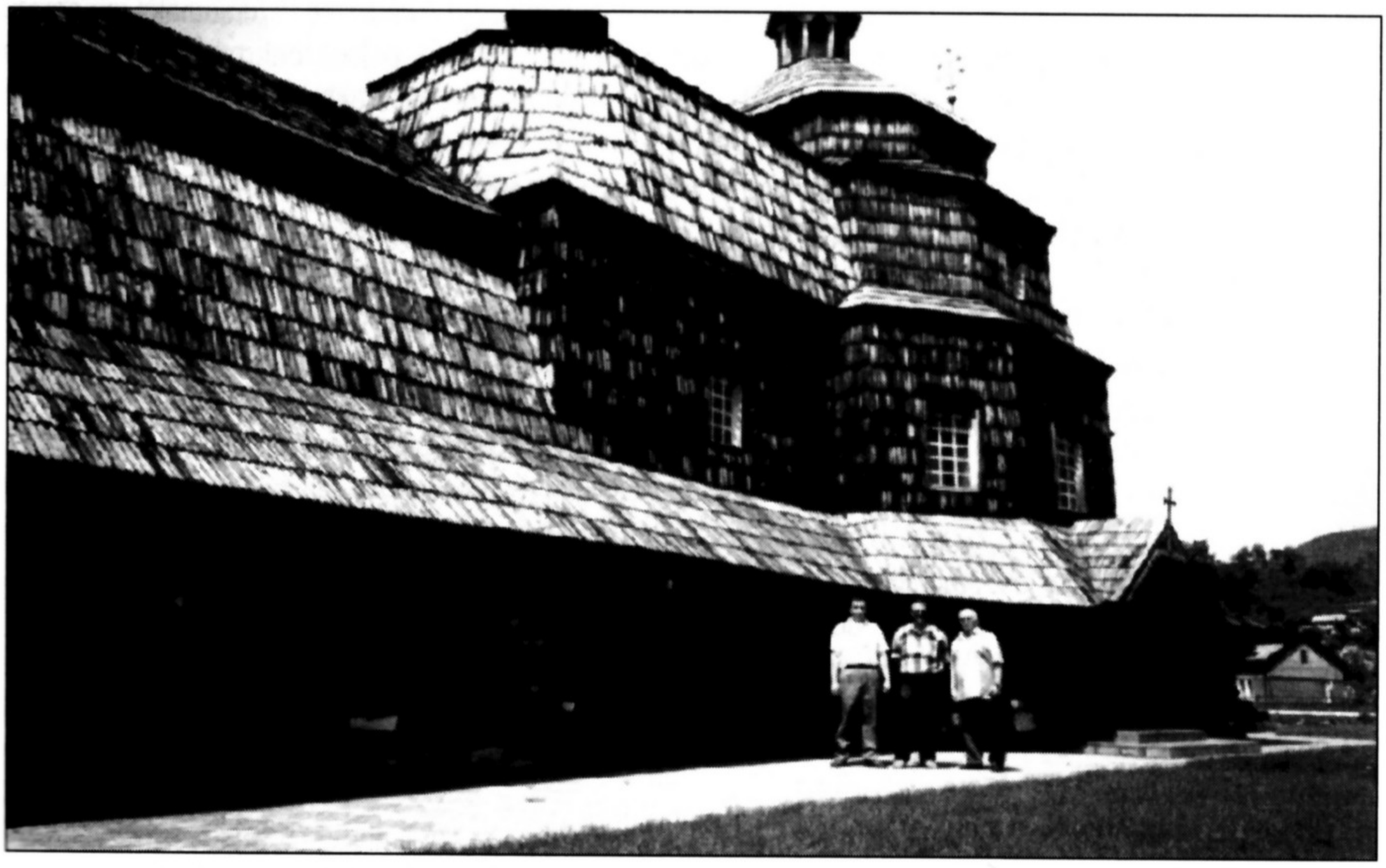

Rys. 375. Jedna z cerkwi na halickiej ziemi

– To wy nie widzieliście tego **skansenu w Pyrohivie pod Kijowem**? Przecież to nie tylko Muzeum Architektury Ludowej ale i Tradycji Ukrainy! Boże mój, taki gigant, skansen w którym każdemu regionowi Ukrainy poświęcono odrębny sektor. **Tam wre praca, prawdziwa, starej Ukrainy.** Na polach siewcy, oracze, żeńcy i to przy pracy, autentycznej. W kuźni na serio kowal kuje. I tego wszystkiego nie przeżyć, nie zobaczyć! **Czegóż tu innego czy lepszego można na Ukrainie szukać?**

Rys. 376. W przydrożnym skansenie

Zacząłem wyjaśniać, że to zbyt szerokie problemy dla mnie i często w Kijowie wśród nich się gubiłem. Tak było np. w Muzeum Ukraińskich Sztuk Plastycznych (Muzej Ukrajińskoho Obrazotworczoho Mystectwa). Mieści się ono w cudownym gmachu zaprojektowanym przez naszego rodaka W. Horodeckiego i G. Bojcowa. **Gmach nawiązuje do świątyń antycznej Grecji** i służył niegdyś za muzeum starożytności, której nigdy nie mam dość. Tak jak i samego Horedeckiego.

„Patron ulicy, Władysław Horodecki (1863–1930), był twórcą, który odcisnął silne piętno na architekturze Kijowa, ale także jedną z bardziej niezwykłych postaci swej epoki, opisaną m.in. przez Bułhakowa. Ten zapoznany geniusz pochodził z polskiej szlachty z Podola. Ukończył Akademię Petersburską, po czym zaczął niezwykłą karierę, projektując z równym zapałem kościoły, rzeźnie, pałace, cukrownie i baseny na terenie carstwa rosyjskiego, a po I wojnie światowej w Polsce i w Iranie. Architektura nie była jedyną pasją Horodeckiego, który ponadto znakomicie malował i projektował obuwie, kapelusze, ekstrawaganckie suknie. Był właścicielem jednego z pierwszych w Kijowie samochodów. Przyjaźnił się z późniejszym konstruktorem helikopterów Igorem Sikorskim a nawet polował na lwy, co opisał w książce *W dżunglach Afryki*"[92].

Wspomnienie Horodeckiego okazało się trafne. Turystka była zachwycona jego willą pod chimerami dekorującą Kijów z naprzeciwka pałacu prezydenckiego. Wspólnie z innymi uczestnikami grupy, w całkiem przyjaznej już atmosferze mogliśmy zwiedzać liczne zakamarki skansenu podolskiej wsi. Do czasu. Bowiem w jednej z chat pani w bardzo podeszłym wieku, gdy ujrzała warsztat tkacki z naciągniętą przędzą wybuchła spazmatycznym płaczem, postawiło to nas na równe nogi.

– Boże, taż to chata mojej sąsiadki! – wykrzyknęła. Ileż ja wieczorów przy takim warsztacie spędziłam...

Dalszych wyznań już nie słuchałem. To jakieś nazbyt wzruszające fragmenty z życia, co tak szybko przemija z wiatrem. Doskonale znam to uczucie. Więc żegnamy to starsze towarzystwo tak, by nie zakłócić wzniosłego nastroju. Już bliżej niż dalej. Póki co, będą jeszcze Horodenka. Tam zaczniemy odpoczywać i omawiać szczegóły przeżyć, których pamięć mnóstwo zarejestrowała.

---

92 Adam Dylewski, op. cit. 65.

W krainie Pokucia

Miasteczko Horodenka leży w tak zwanym rowie podkarpackim, który nazywają **Pokuciem.** To kraina, z której wywodziła się rodzina mojej studentki. Urocza dziewczyna. Siedziała na wykładach z koleżanką pełną energii i rysowały mi w wolnych chwilach najprzeróżniejsze rysunki z nadzieją, że wprowadzę je do książki. **Znała ponure opowieści z przeżyć własnej rodziny i bała się tu przyjeżdżać.** Wypytywała mnie o Pokucie i Podole, ale przed moją podróżą sam niewiele wiedziałem, więc rozmowy się urywały. Żałowałem, że z powodu tych nader skąpych wiadomości nawet trochę się kompromitowałem. **Dopiero po zdobyciu przedwojennych opisów krain geograficznych St. Lencewicza sytuacja się nieco poprawiła** co zaowocowało dodatkowymi rysunkami nawet jej koleżanki. Wesołej blondyneczki, chętnie dorysowującej co bardziej dwuznaczne części rysunków. Chwilami przechwytywanych niestety przez niepoprawnych prześmiewców, których obie narysowały z prośbą o nie zamieszczanie ich w książce. Szkoda.

„Dalszy ciąg rowu podkarpackiego nazywają Pokuciem. Na południu przypiera ono do Karpat, na północy nie dochodzi do Dniestru. Po prawej stronie tej rzeki ciągnie się jeszcze kreda podolska pasem szerokim na 10–20 km i dlatego strefę tę nazywają Zadniestrzem bądź też zaliczają wprost do Podola. Dniestr pozbawiony jest na tej przestrzeni dopływów ze strony prawej, a całe odwodnienie kieruje się do Prutu. Na taką asymetrię dorzecza Dniestru złożyły się liczne zmiany hydrograficzne, jakie się odbywały na Pokuciu, a współdziała im ponadto odmienna natura skał obydwu przylegających do siebie stref, bo rzekom trudno było wcinać się w twarde warwy podolskie, gdy w pobliżu występują miękkie iły pokuckie, bardziej podatne erozji. Od strony prawej Prut zdobył Czeremosz, który pierwotnie skręcał pod Kutami na południowy wschód wpadał do Seretu. Ale w podobny sposób Dniestr wabrał Bystrzycę Nadwórniańską, która wpadała do Prutu w okolicach Kołomyi. Ten proces przeciągania rzek na stronę północną odbywał się w związku z najmłodszymi wypiętrzeniami Karpat, które spowodowały też przesunięcie Prutu ku północy...

Rys. 377. Młodzi mieszkańcy Pokucia

W ukształtowaniu powierzchni Pokucia uwydatniają się pasy wyższe i niższe, uszeregowane równolegle. Z północnego zachodu na południowy wschód. Najpokaźniejszym z nich jest kotlinowate zagłębienie, wytworzone w okolicy, gdzie Prut po wyjściu z Karpat zmienia kierunek swego biegu na równoległy do tych gór. Kotlina Nadpruciańska jest nie tylko osią orograficzną Pokucia, ale i komunikacyjną. Tutaj leży Kołomyja..., gdzie linie kolejowe z Karpat i Podola krzyżują się z magistralą Warszawa – Constanza. Dalej, również nad Prutem, leży graniczny Śniatyń... Od północy kotlina Nadpruciańska ograniczona jest grzbietem (Chorosny) 400 m wysokim, poza którym rozłożyło się zagłębienie Chlebiczyńskie. Dalej mamy znów grzbiet Chocimierski (ok. 350 m), a za nim zagłębienie Tłumackie. Na obydwu tych grzbietach... występują żwiry rzeczne, co dowodzi, że są one resztką starej

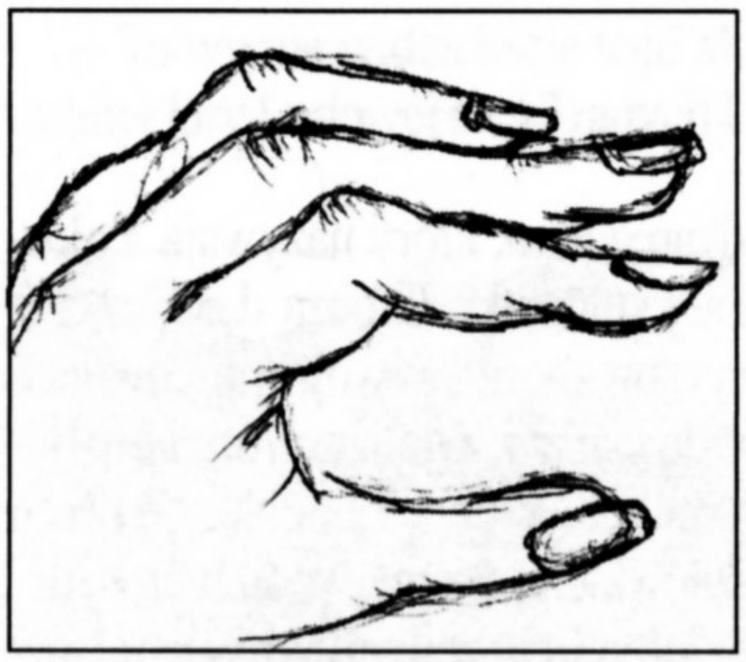

Rys. 378. Dłoń mojej studentki

powierzchni, po której spływały wody karpackie jeszcze przed wytworzeniem się dzisiejszych zagłębień...

Pokucie wraz z częścią Podola jest najcieplejszym zakątkiem Polski, co wraz z urodzajnymi glebami lessowymi sprzyjało rozwojowi rolnictwa. Oprócz zwykłych upraw duże przestrzenie pokrywa tu pszenica, kukurydza, mak, buraki cukrowe (cukrownia w Horodence), tytoń, a w ostatnich latach zaczęto nawet hodować owoce południowe. Dzięki korzystnym warunkom rolniczym zagęszczenie ludności w kotlinach przybrało nadmierne rozmiary, bo wynosi I5° do 200 mieszk./km^2. Ku brzegowi Karpat zmniejsza się ono, bo nie ma tu bogactw mineralnych, jakie towarzyszą brzegom kotlin poprzednio opisanych. Nie ma tu też większych miast. Najokazalsze z nich – Kuty ...leżą na samej granicy, przy wylocie Czeremoszu z Karpat. W Kutach mamy największe w Polsce skupienie Ormian"[93].

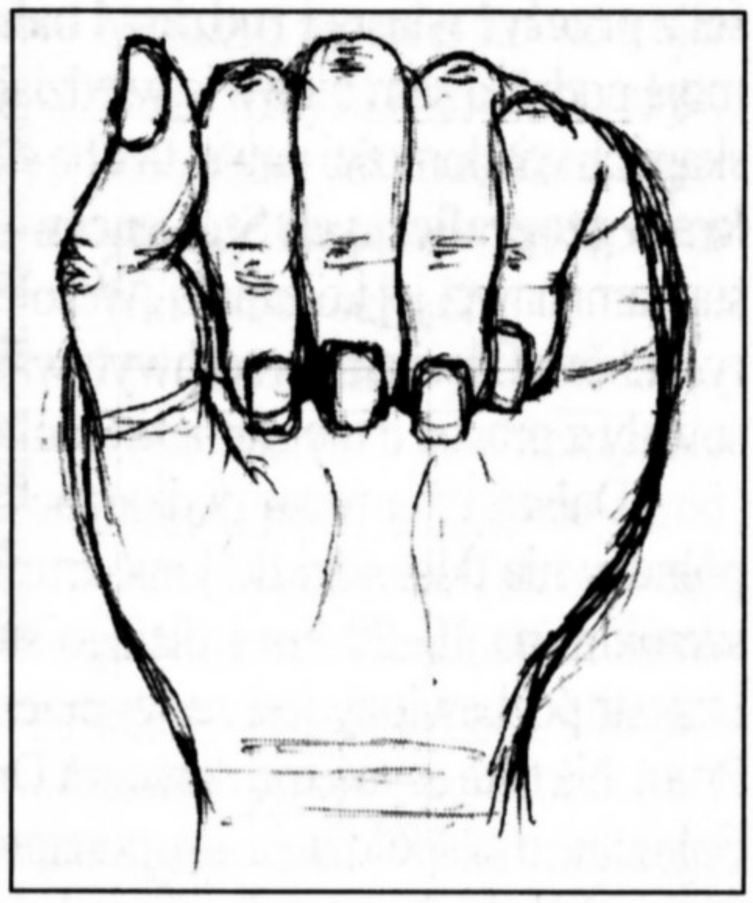

Rys. 379. Jej sąsiadki

Rys. 380. Dłoń męska

Dodajmy, że w Horodenkach nie ma żadnych większych atrakcji i jest to dla zmęczonego człowieka największa atrakcja. Pod warunkiem, że ma się gdzie zatrzymać, wszak baza hotelowa praktycznie nie istnieje. Zamieszkałem u zaprzyjaźnionej rodziny ukraińskiej w pobliżu domu o nie najlepszej sławie. Zajmował go ukraiński emigrant z Polski, dokuczyciel i dręczyciel polskiego właściciela. **Ten ostatni w żaden sposób nie chciał** opuścić swojej własności i nadmiernie do niej się przywiązał. **Wkrótce jak się okazało udręczony, oddał Bogu ducha „po wspólnym" zamieszkaniu.** Opowiadano mi o tym na mieście dyskretnie i nie chciałem do tematu wracać, wszak sytuacja była już nieodwracalna. Dwukrotnie miałem nawet okazję rozmawiać z tym podłym człowiekiem na tematy ukraińskich wyjazdów z Polski w latach powojennych, ale rozmowa jak można się domyślać przyjemna nie była i nie dążyłem do jej podtrzymywania. Jeszcze gorzej wyglądało to w kontaktach z jego synem. **Był to wysoki, wytatuowany i nieprzyjemny facet, z reguły na rauszu i w towarzystwie wy-**

Rys. 381. Wyrastał w takiej atmosferze

[93] Stanisław Lencewicz, Polska, Warszawa, 1938, s. 372–375.

Rys. 342. Głowa kryminalisty z Horodenek

mienianych nie najciekawszych dziewczyn. Wychodził często z kryminału na przepustkę, mijał mnie zapatrzony w chodnik, niechętnie odpowiadał na powitanie, które kurtuazyjnie wygłaszałem w ramach normalnych grzeczności. Tak w ogóle, to nastrajał mnie do ucieczki w jakąkolwiek stronę. **Dodać trzeba, że ulice tutaj są raczej wąskie i dziedziczą tradycyjny klimat małego miasteczka.** Egzotycznie się w nim czułem sądząc, że mój pobyt tutaj należy do pierwszych chyba odwiedzin **polskich po wojnie. Nie lubiłem spacerować po mieście. A jeśli już, to raczej w kierunku tej części miasta, którą symbolizował zrujnowany kościół z budynkiem klasztornym, za nim ładna niewielka cerkiewka i trochę starych kamienic, ongiś bogatych i ciekawych a teraz żebrzących o ratunek. Mało tu uroczych i przytulnych miejsc. Pełno natomiast zaniedbania i samotności. Na czoło zaniedbań wysunął się właśnie gmach tego przepięknego, dużego kościoła otoczonego** okazałym placem. Wypasały się tu kozy i różne inne zwierzęta, zaglądające przez prowizorycznie zabite deskami drzwi do wnętrza świątyni. Złom metali chyba nie jest tu w cenie, wszak resztki okuć i (może i piszczałek organowych) poniewierały się na kościelnej posadzce, a częściowo i wśród śmieci, wywołując przygnębiające wrażenie. Bardzo żałowałem próby wejścia do świątyni nie przypominającej teraz cywilizowanego świata. **W takim samym stanie znajdowały się ruiny przylegającego do świątyni klasztoru, jakim był duży i imponujący budynek wcinający się w głąb dzikich łąk.** Można było oczywiście podejść pod jego ściany i wejść do środka. Przepraszam...niech te kropki uzupełnią ciąg dalszy obserwacji. Zwierzyłem się z nich moim studentkom Beacie i Dorocie, uzyskując od nich w zamian autoportret.

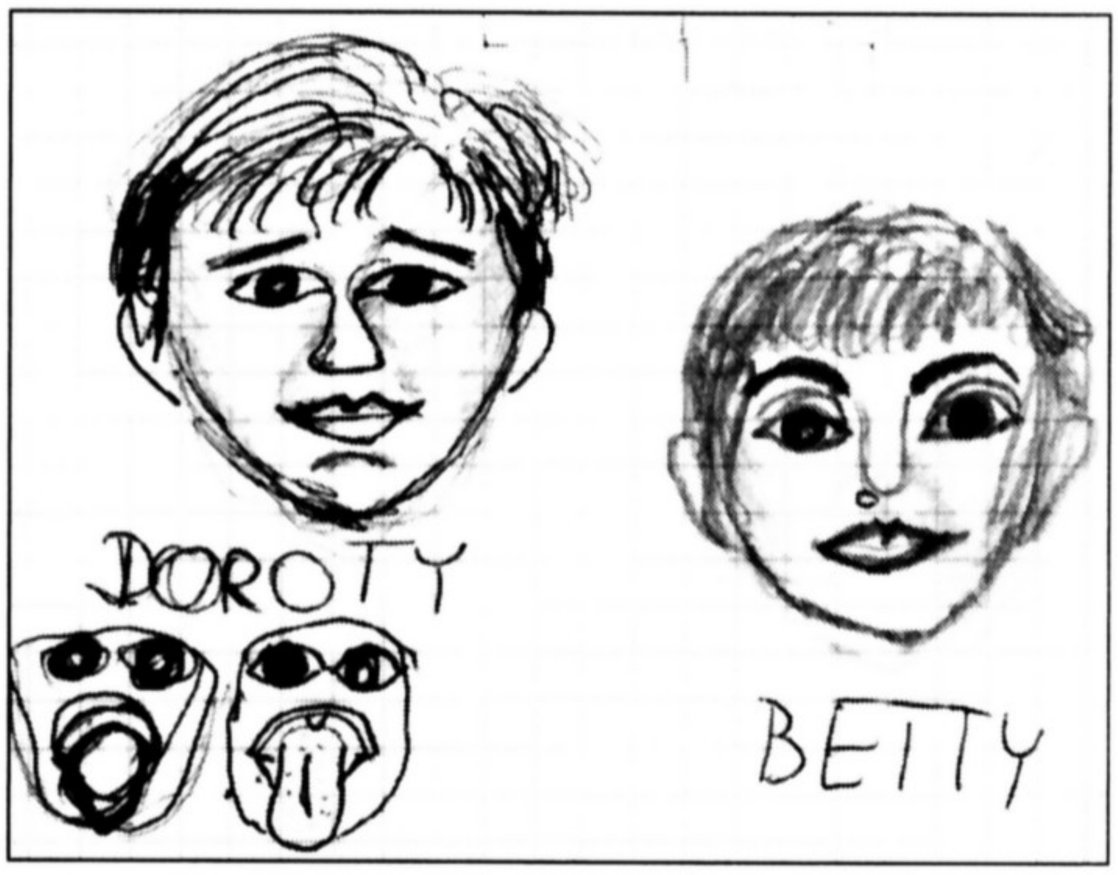

Rys. 343. Autoportret dziewcząt

Smutnej atmosfery dopełniał nieodległy stąd cmentarz, oznaczony długą aleją drzew, ale to już prawdziwa atmosfera smutku, którą ta aleja podtrzymywała. Panowała tu wiekuista cisza ogarniająca najróżniejsze groby. Nowe i stare niekiedy ogromnie poniszczone i zaniedbane. Cały teren jest rozległy, bowiem zagospodarowywany był w czasie długiej historii, zostawiającej wiele cennych pamiątek. Udało mi się odnaleźć nawet jakieś cudem chyba ocalałe polskie groby i jeden z nich był wyraźnie uporządkowany i zadbany. **To taka oaza wśród przestraszenia.**

Dodajmy, w okolicy pełnej zieleni i urozmaiconej rzeźby terenu, zachęcających do jej rozpoznawania i coraz dalszych wędrówek. Toteż korzystając z gościnności ukraińskiej rodziny potraktowałem Horodenka jako bazę wypadową **do obejrzenia ziem Pokucia i huculszczyzny,** gdzie szum Prutu i Czeremoszu. Kiedyś, śpiewaliśmy ...Hucułom przygrywa.

Osiołek na Podolu

Tereny, po których się przemieszczałem poddane były ciężkim doświadczeniom. Tym z dawnej i tym z nowej czy najnowszej historii. Dawna to fakt, że o Pokucie od połowy XVI w. rywalizowała Polska z Mołdawią. **W 1530 r. Pokucie zostało zdobyte przez Piotra Raresza a już w rok później, po słynnym zwycięstwie pod Obertynem, ziemie te przechodzą pod panowanie Polski.** W wyniku rozbiorów Polski (1772) Pokucie zostaje zajęte przez Austrię, od 1919 r. należy do Polski a od 1939 r. poddane zostaje okupacji ZSRR. Wielkie skutki tego trwają do dziś. Ludność o tych sprawach już praktycznie zapomina, ale **podnosi inne przykre doświadczenia, związane z wybuchem w czarnobylskiej elektrowni jądrowej. Czarnobyl mieści się nad Prypecią u ujścia rzeki Uż.** Położony przy szlakach wodnych, był ongiś ważnym ośrodkiem handlowym i dość dobrze się rozwinął. Był własnością m.in. Sapiehów i Chodkiewiczów. Tragicznie podupadł w czasie powstania B. Chmielnickiego w poł. XVII w. To wodne położenie w naszych czasach przyczyniło się do ostatecznej jego klęski. Wybudowano tu właśnie nieszczęsną elektrownię jądrową, w której moderatorem był grafit a chłodziwem woda. **To wyjątkowo niekorzystne połączenie z punktu widzenia bezpieczeństwa.**

W kwietniu 1986 r. nastąpiła awaria IV bloku reaktora, w wyniku której przedostało się do atmosfery powietrze z dużą ilością substancji radioaktywnych (m.in. jod 131, cez 137 i stront 90). **Był to międzynarodowy kataklizm** (obejmujący wiele krajów europejskich), który w pierwszej kolejności odczuli mieszkańcy Ukrainy. Dodajmy, za który nie ma do tej pory winnego[94]. Do dziś, tak jak tu na Pokuciu, wiążą oni z tym nieszczęściem wielki niepokój, mimo że elektrownia została już zamknięta (częściowo w latach 1992–1993) w r. 2000. Tłumaczą, że to za sprawą wiatrów silnie tu ze wschodu wiejących. Dzięki nim, wszystko tu i wszędzie stało się radioaktywne i groźne.

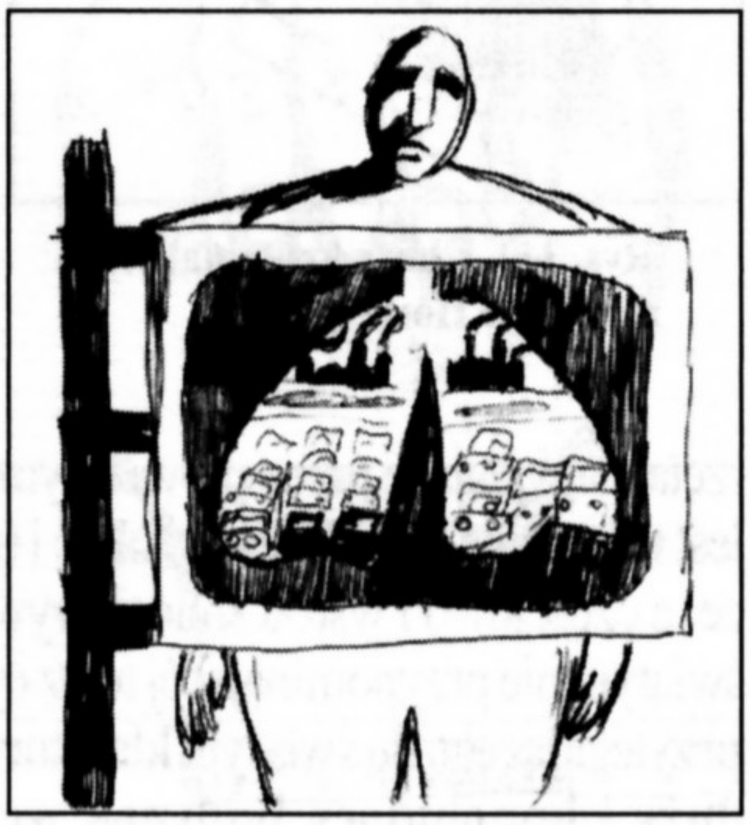

Rys. 374. Smutny świat Czarnobyla

Rys. 375. Zdewastowany kościół w Horodenkach

Nawet kąpiel w atrakcyjnym miejskim jeziorze odradzano mi z tego właśnie powodu, podobnie jak spożywanie grzybów, które tradycyjnie na Pokuciu stanowią ważny produkt pokarmowy. Na bazarze w Horodenkach słyszało się przy grzybach złośliwe: „Czernobyl prodajetsa" lub „Skolka Czernobyl stoit?". Miało to oczywiście ostre podteksty tym bardziej, że w tej okolicy mity, zabobony, wróżby i wszelakie niedomówienia nie są zdecydowanie potępiane. Jest chyba duże na nie przyzwolenie. Powtarza się je często z sympatią, podobnie jak u nas

[94] Bazarowe słuchy upowszechniają, że konstruktor wyjechał do Izraela i uniknął odpowiedzialności. Oczywista pogłosek takich skonfrontować nie mogłem.

wśród górali. **Na wspólnym podłożu naszych górali i tutejszych Huculów, przybywających do Horodenek codziennie z gór, przekazywane są rozliczne upodobania i wierzenia przesycone dawnymi mitami i legendami.**

Wiele z nich wiąże się z wypasem bydła i owiec, ale o tym nieco później. W Horodenkach, zasłyszałem też ciekawe skojarzenia grzybów z pogodą, zdrowiem i szczęściem. **Odbierałem to bardzo życzliwie i z coraz większym zaufaniem.** Warunki naturalne (gleby, nawodnienie, lasy, góry, doliny) sprzyjają pojawianiu się najrozmaitszych gatunków grzybów, stanowiących znakomitą, tradycyjną potrawę w każdej praktycznie porze roku. Tradycyjną, bo wywodzącą się z naturalnych warunków Pokucia i sąsiedniego Podola.

Rys. 376 i 377. Ocalałe mogiły na cmentarzu w Horodenkach

Obok warunków naturalnych liczą się też demograficzne, mające tu dużą specyfikę. **W skali całej Ukrainy, demografia odzwierciedla skutki dwóch wojen.** Klęski głodu (z lat 1921, 1932–1933 i 1946–1947), w wyniku którego straciło życie ok. 10 mln. ludności, świadomego i masowego wyniszczania ludności (w szczególności inteligencji) w latach 1931–1939, represji niemieckich władz okupacyjnych (1941–1943) i sowieckich (1941–, 1944–1945). Ogółem, w latach 1915–1955 Ukraina utraciła ok. 20 mln. mieszkańców. **Ukształtował się w tym okresie jednolity prawie skład narodowościowy, bowiem obecnie na ponad 47 mln. mieszkańców (2004 r.), 78% stanowią pod względem etnicznym Ukraińcy.** Tylko na wschodzie jest ok. 17% Rosjan. Dodajmy, że ogromna część, bo ponad 11 mln. Ukraińców mieszka poza granicami kraju. Tak głębokie zmiany demograficzne odbiły się na ogólnym stanie i strukturze ludności, jest bowiem dużo ludzi w podeszłym wieku, z wyraźną przewagą kobiet. Zauważa się to w szczególności w okręgach rolnych, takich jak Pokucie i Podole a właściwie i cały obszar Zakarpacki, gdzie występuje wyjątkowo niski wskaźnik przyrostu naturalnego. **Sytuacja ulega pogorszeniu, bowiem po ogłoszeniu niepodległości (1991) nastąpił dalszy spadek rozwoju ekonomicznego i demograficznego.** I tak w połowie lat 80. przeciętny wskaźnik trwania życia wynosił 71 lat (dla mężczyzn 66, dla kobiet 74). W 2000 r. długość życia osiągnęła wskaźnik 68 lat (przy czym dla mężczyzn 63 lata). Dodać do tego trzeba,

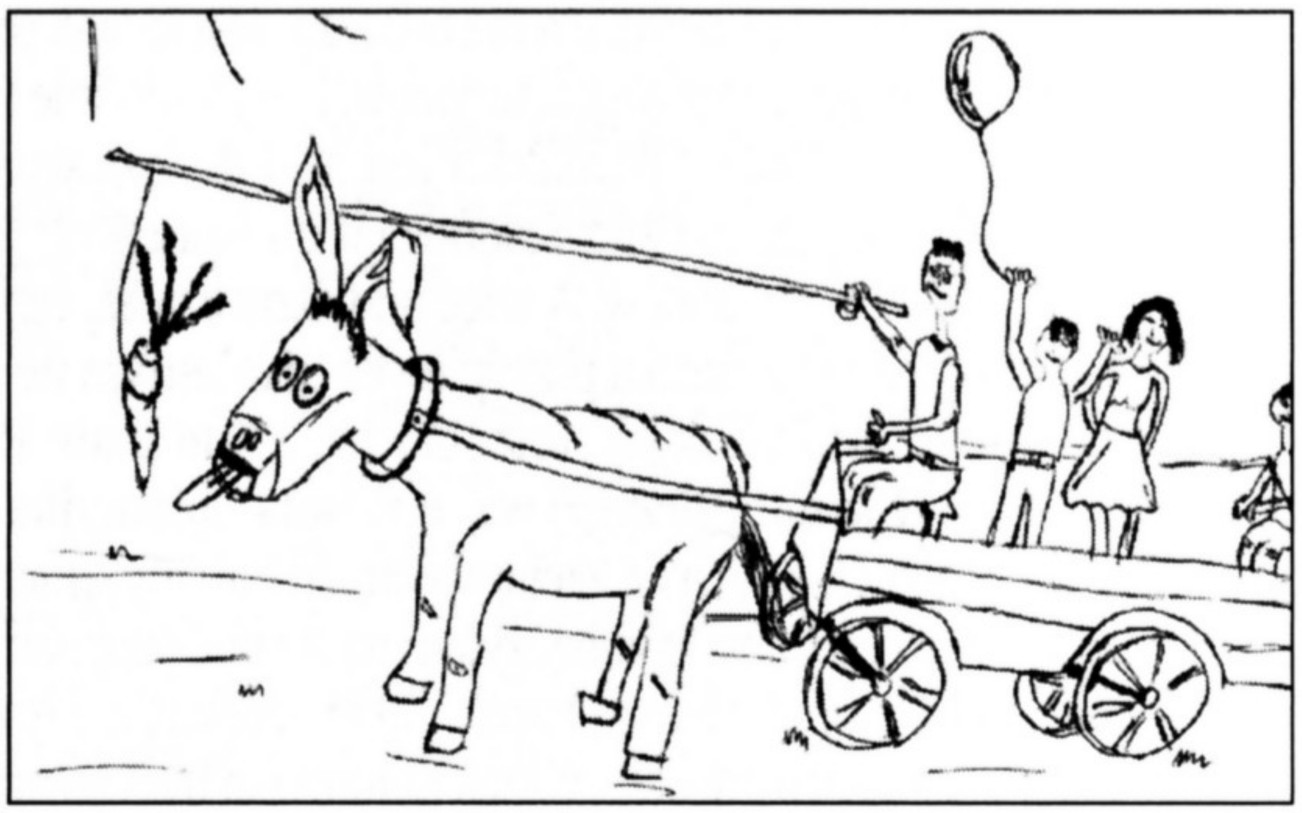

Rys. 378. Osiołek na Podolu

że nieustannie maleje wskaźnik aktywności zawodowej ludności (z 48,9 w r. 1990 do 42,8 w 2000 r.) i rośnie liczba bezrobotnych. **Oficjalnie w r. 2000 stopa bezrobocia wynosiła 6,4% (1,2 mln osób), jednak ekonomiści twierdzą, że faktycznie wskaźnik ten jest co najmniej 3–4 razy wyższy.**

Chciałem zobaczyć jak to jest na sąsiednim Podolu i naocznie się o niepokojach przekonałem. Gospodarze zawieźli mnie do dalekich krewnych. To niesamowicie przyjemni ludzie, z trojgiem dzieci, praktycznie dorastających do samodzielności. **W jakiś tam sposób zdobyli większą działkę przyzagrodową (ok. 1,5 ha) i wspólnie z dochodami za pracę w kołchozie można uznać rodzinę za tę, którą ominęła bieda.** Mieli nawet stare osobowe auto, niewielki wóz i własnego osiołka. Chyba przywykł bardzo do tych dzieci, bo był im bardzo posłuszny. **Wynagrodziły go swoiście.** Do zaprzęgu wprowadzono długi dyszelek, na którym z przodu „głupiemu osiołkowi" przywiązywano marchewkę. Jak ciągnął wóz, to miał wrażenie, że za chwilę dosięgnie marchwi. Oczywiście w polu taką marchwią go częstowano i też miał wrażenie...Podobne jak ja, bo tę słodką marchew szybko spałaszowałem doceniając w pełni cenę przysmaku.

Rzecz w tym, że pomysł z marchwią (chyba bajkowy) nastrajał do głębszych refleksji. **Za jedzeniem, chlebem, marchwią i pracą wędruje stąd coraz więcej osób, zwłaszcza z takich właśnie okręgów, jak Podole i Pokucie należących do szerszej struktury jaką jest Zakarpacie.** W tej strukturze mieści się też i cała Huculszczyzna. A ona chyba najbardziej dotknięta została negatywnymi skutkami przeobrażeń społecznych, utrudniających rozwój gospodarki i kultury, w tym służby zdrowia i oświaty. Odnosi się wrażenie, że najtrudniejsze problemy przed tą krainą jawią się z narastającą siłą. Do starych, nierozwiązanych, zbyt wiele dołącza się nowych.

Huculska kołomyjka

Najbardziej znanym ośrodkiem huculszczyzny zawsze była jej stolica Kołomyja. To ongiś bardzo ciekawy ośrodek życia społeczno-gospodarczego, z dużymi zasobami inteligencji i instytucji kultury. Związany był administracyjnie z województwem stanisławowskim, obecnie iwanofrakowskim. **Niestety, najwcześniej, bo już we wrześniu 1939 r. padł ofiarą deportacji Polaków w głąb ZSRR.** Proceder ten trwał do 1941 r. i zostawił opłakane rezultaty. Praktycznie, obecnie tu Polaków nie znajdziesz. Miasto zostało też niesamowicie zaniedbane i zniszczone. Z trudem się teraz odradza. Jest jednak pięknie położone i przyciąga coraz więcej turystów. Leży w dolinie Prutu wpływającego do Dunaju. Niedaleko jest stąd do Zaleszczyk, znanych w 1939 r. z ucieczki sfer rządowych do Rumunii[95]. Ma teraz prawie 70 000 mieszkańców. A więc prawdziwe wieści o nim głosi najpopularniejsza ukraińska przyśpiewka **„Kołomyja ne pomyja, Kłomyja miasto".** Tak jak nasza dawna: **„Tam szum Prutu, Czeremoszu Hucułom przygrywa, a wesoła kołomyjka do tańca porywa".** To z tamtych lat zachowałem do kołomyjki sentyment i gdy w huculskiej chacie zobaczyłem na ścianie taką harmonijkę, natychmiast zapragnąłem ją kupić. Gdyby zresztą nie rozsądek, do takiej transakcji by doszło, wszak kołomyjka była już moc-

Rys. 379. Na lewo są już Zaleszczyki

[95] Por. M. Trzeciak, Bariery rozwoju II Rzeczypospolitej, op.cit. s. 73, 268 i nast.

no sfatygowana i dla właścicieli zbędna. Ale prawdziwa i nie miałem sumienia pozbawiać gospodarzy tak uczuciowego przywiązania do symbolicznego uroku przeszłości. **Dziwne, że na bazarach już takiego instrumentu nie spotkałem.** Na przekór zresztą oczekiwaniom, że właśnie ten instrument zawiśnie nad moim tapczanem. A muszę przyznać, że bacznie bazarom się przyglądałem. Były urokliwe.

W Kołomyi myślałem nawet, że pod ich wpływem sama Maryla Rodowicz tu przyjechała i utrwaliła w piosence to czego jej ciągle teraz brak: „Kolorowych jarmarków, blaszanych zegarków, pierzastych kogucików, baloników na druciku, motyli drewnianych, koników bujanych, lukrowej waty i z piernika chaty...". Ze strachem o tym myślałem próbując odtworzyć niepoprawnie dalsze słowa: ...kiedy wspomnę tamte czasy, tamte lata co minęły i co diabli wzięli...Sam już nie wiem jak to wszystko było. Ale na precyzję wydarzeń, analiz i wniosków nie było tu miejsca. Zbyt wielkie ich zagłębie Kołomyja zbudowała. Co więcej, pomnażanie ich obserwowałem codziennie, gdy patrzyłem na tłumy Hucułów schodzących z gór ze swoim rękodziełem. Sprzedawanym potem w formie odpustowych cacek na placach i targowiskach, lub przechodniom na ulicy, wyciągających wprost z tobołów na plecach wszelakie majstersztyki. **To ten folklor pozwolił mi zrozumieć dlaczego tu właśnie jest stolica malowania pisanek.** Taka to właśnie stolica. Ostatnio coraz staranniej odnawiana i tętniąca życiem jakby olbrzymie już miasto.

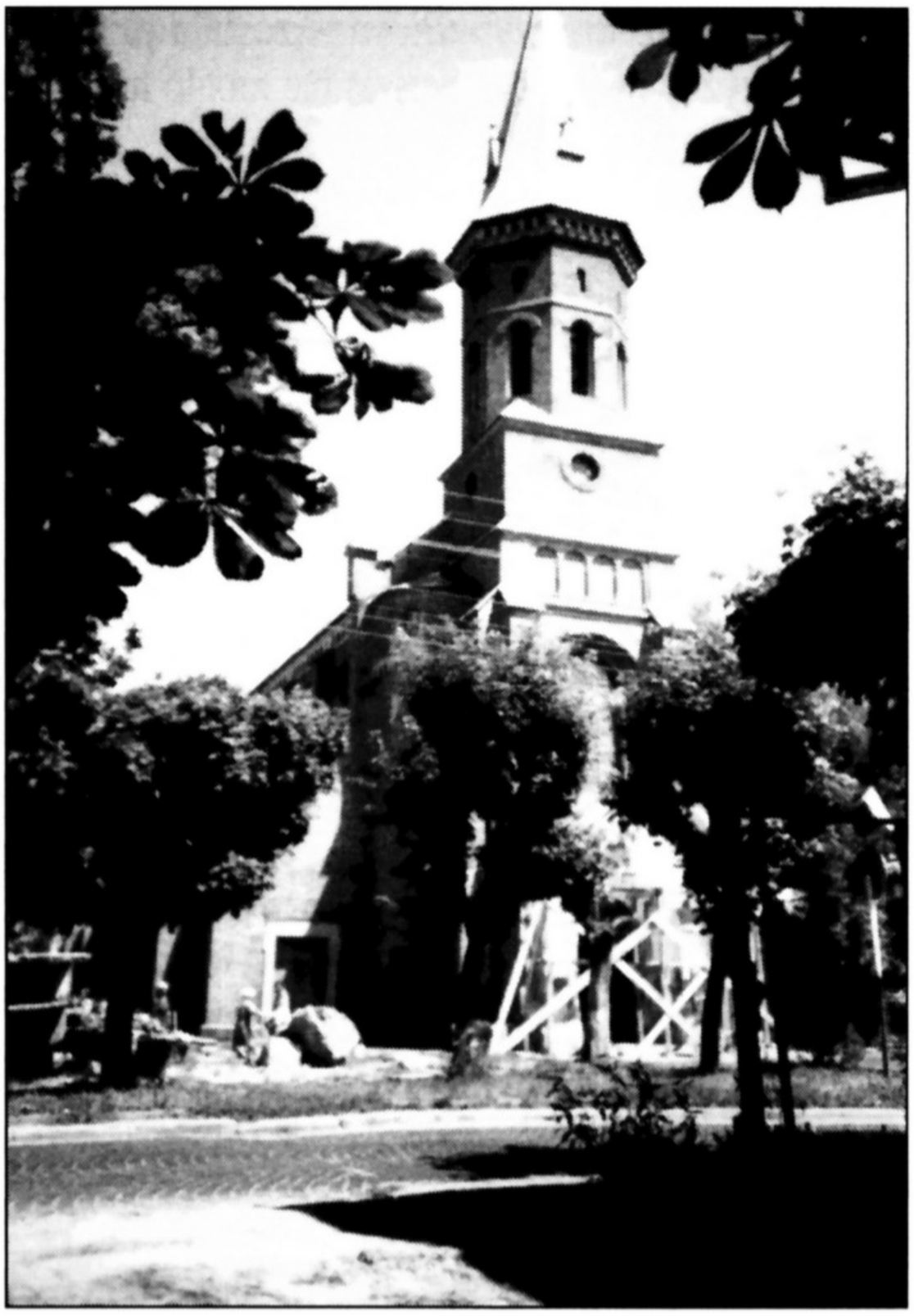

Rys. 380. Odbudowa kościoła w Kołomyi

Przez środek tego miasta, niczym w Zakopanem, żwawo płynie **Czarny Potok, a przez południową jego część, równolegle do niego rzeka Prut,** znana szeroko z legend i piosenek, których pozazdrościć by mógł zakopiański Czarny Dunajec. Chyba ta rzeka Prut, a ściślej jej górny bieg zwany Myjem nadała całą nazwę miastu. **Choć dla ścisłości dodajmy, że istnieje też opinia wywodząca nazwę Kołomyja z sanskrytu.** Tak czy inaczej Kołomyja to z moim wykrzyknikiem centrum! huculskiej twórczości ludowej. Oby nie ginącej w zalewie współczesnych, tandetno-maszynowych wyrobów konkurencyjnych. Martwię się o to z czego by żyła Maryla Rodowicz i tekściarz jej ulubionej piosenki? A ci biedni górale od wieków owe cacka wyrabiający...dokładnie strach o tym wszystkim pomyśleć i o sobie. Niech no tylko przyjedzie tu czytelnik i zajrzy do tego właśnie, **jedynego na świecie Muzeum Pisanek** (Muzej pysankowoho rozpysu) i powie, że przesadzam z tą Kołomyją, to od razu wejdę z nim w konflikt i powiem, że nie rozumie jaki wielki to jest rozmiar etnograficznego zjawiska.

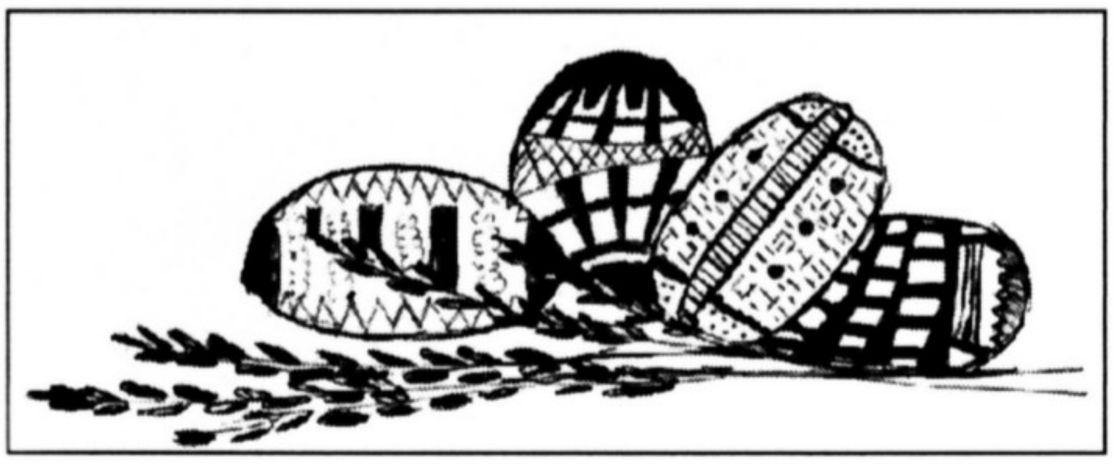

Rys. 381. Pisanki wielkanocne

Samo muzeum wybudowane zostało przed wojną. Ma kształt gigantycznego jaja. W atmosferze huculszczyzny nic innego zresztą nie mogło tu powstać. Dla parady i od święta. **Oczywiście stało się też muzeum największą kolekcją pisanek na świecie, prezentującą ponad 30.000 eksponatów.** Nie tylko zresztą pisanki ukraińskie (ok. 6000) ale również polskie i tysiące wyrobów tradycyjnego rękodzieła. Przede wszystkim ceramika, tkactwo, zabytkowe rzeźby ludowe itp. Trafnie całość przedsięwzięcia zaplanował hr. Starzeński dbając o przetrwanie pamiątek Huculszczyzny i całego Pokucia.

Rys. 382. Życie w lesie

Wiele dla nas uratował. Np. interior huculskiej chaty, ginącej już w unowocześnianej architekturze. Nie mam głębszej wiedzy na ten temat, ale wiem, że przedsięwzięcie Hrabiego pozwoliło zorganizować **pierwszą polską wystawę etnograficzną i przyczyniło się do podniesienia rangi całego regionu przyrodniczego i etnograficznego na świecie.** Przyjezdni mają tu naprawdę co podziwiać. Sam

Rys. 383. Kondukt pogrzebowy

gród, któremu prawa miejskie nadał **Władysław Jagiełło** jest także ciekawy. W centrum znajduje się całkiem niemałe jezioro otoczone malowniczym krajobrazem z kopułami kościołów i cerkwi, plant i wysokiego pięknego ratusza. Zabytki choć z ponurą przeszłością niekiedy związane, nastrajają do zadumy nad szerszymi dziejami miasta.

Należało ono dawniej do księstwa Halicko-Wołyńskiego bogacącego się na wydobyciu soli, a później na organizowanych tu targach, głównie rzemiosła z pogranicza polsko-mołdawskiego. **Trage-**

Rys. 384. Dworzec kolejowy w Kołomyi

dia spotkała miasto w momencie rozbiorów Polski, choć nadal duch polskości umacniał jego historię i tworzył wielkie dzieła. Dodajmy za sprawą wybitnych Polaków rozwijających tu nieprzerwanie kulturę materialną i duchową Huculszczyzny. Powstaje m.in. pierwsze w Polsce **muzeum etnograficzne (1880), teatr (1848), czytelnia (1849), przepiękny ratusz (1877) i dom „Sokoła", budowane są kościoły (doszczętnie zdewastowane w czasach ZSRR), szkoły (słynne gimnazjum Mickiewicza z 1875 r.), gmach poczty, koszary itd.** Choć dla mnie zaskoczeniem był wybudowany imponujący gmach dworca

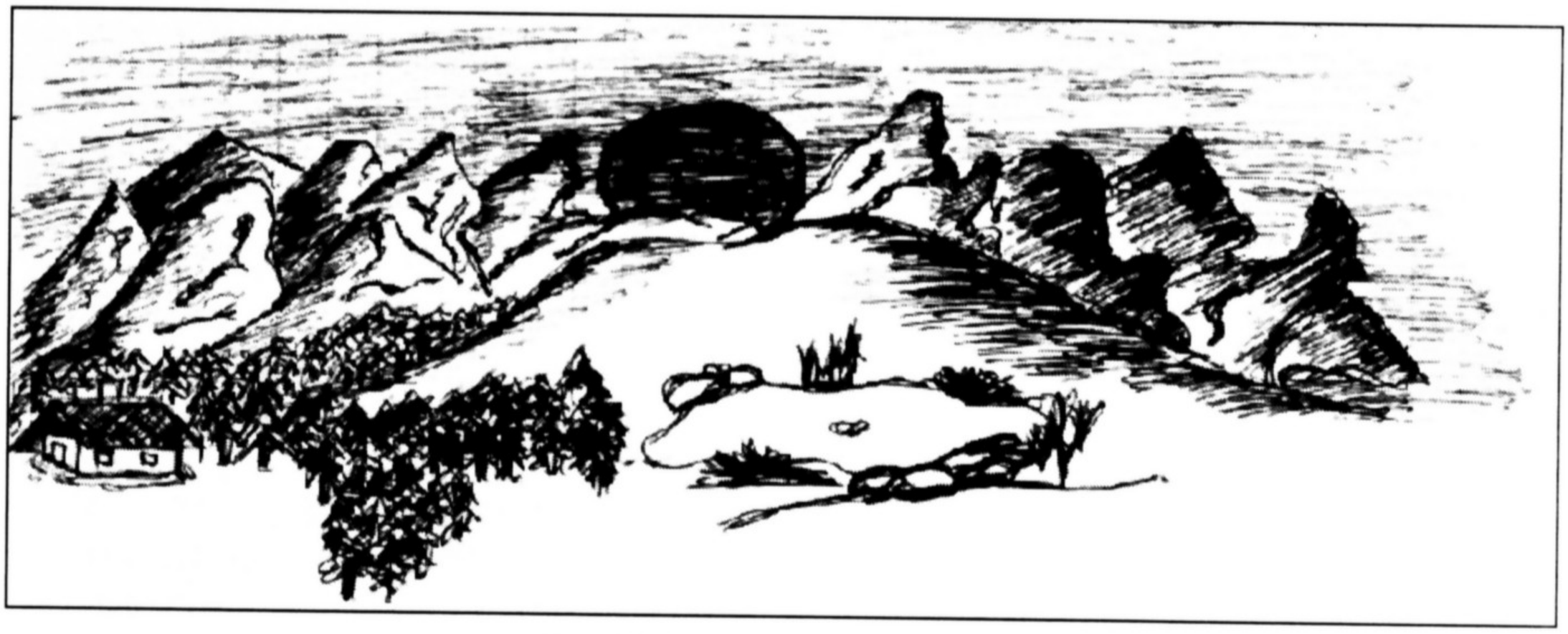

Rys. 385. Kiedy ranne wstają zorze

kolejowego w którym za niską opłatą mogłem się zatrzymać i organizować wyjazdy w nieznaną mi huculską krainę. Dodajmy upiększoną także cerkiewkami nie tylko w samej Kołomyi (np. **cmentarna cerkiew Zwiastowania**), ale na różnych nieoczekiwanych punktach tras wyjazdowych. Polacy i w tej dziedzinie mieli swój niemały udział. Tak, jak w całej zresztą tutejszej kulturze.

Byłbym niezgodny z sumieniem, gdybym wśród licznych z nich nie wymienił przykładowo Franciszka Karpińskiego (1741–1825), twórcy pieśni „*Kiedy ranne wstają zorze*" czy kolędy „*Bóg się rodzi, moc truchleje*". W szkole, przerabialiśmy najdokładniej chyba jego utwór „Laura i Filon". Ale tę wielką twórczość pozostawiam duszy czytelnika w nadziei, że otworzy ją na uroki tej ziemi powiększone umysłem i rękami naszych rodaków. Również Hucułów.

W miejskim jeziorze

Noc na jeziorze w Kołomyi przykrywa czy ukrywa wszelkie kłopoty. Nawet te największe, o których tylko fale szemrzą. **W dzień jest inaczej.** Zbiera się wszelakie, nawet najbardziej nieoczekiwane towarzystwo. Szczególnie w czasie upałów zachęcających do odwiedzin jeziora i kąpieli. Może woda nie jest tu zbyt czysta i **po Czarnobylu śmiałków pływania niezbyt wielu,** ale warto się zdecydować przynajmniej na krótki odpoczynek przebywania w jej chłodnych falach, zbierających wody z gór. W bardzo upalny dzień zapragnąłem więc w tym jeziorze pobuszować. Wśród tłumu, przy samym brzegu, chlapało się wodą dwie dziewczyny i chłopak, robiąc przy tym wrażenie, że „wypłynąć na głębię" nie chcieli. Mieli jakieś powierzchowne problemy i drobne ze sobą interesy.

Przy jakimś nabrzeżnym kamieniu położyli duży plecak i domyśliłem się, że są tak jak ja przyjezdni. Nawet nie wiem, jak udało mi się z nimi nawiązać rozmowę, zrobiłem to jednak w nadziei, że moje rzeczy pozostawione samopas na brzegu znajdą jakiś przy nich przytułek. **Zgodzili się na to i chłopak wymyślił wygodne rozwiązanie. Przytulił do siebie ładną dziewczynę, a mnie zostawił z mądrą i „wieszczami" na brzegu.**

Po chwili tamci już pływali na głębokiej wodzie, a ja siedziałem z partnerką przy plecaku i wysłuchiwałem informacji o Chersonie (nad morzem Czarnym, za Odessą), które dziewczyna (z pochodzenia Rosjanka) serwowała. Sama pochodziła z tego miasta, ale przeniosła się do Lwowa na studia, z zakresu reklamy i marketingu. Nieoczekiwanie całą wiedzę włożyła w reklamowanie swojej koleżanki, która przecież reklamy nie wymagała, co dokumentował jej chłopak, zdradzający aż nadmiar dla niej sympatii. **Szczególnie wtedy, gdy w wodzie nogami przyczepili się do dna a głowami pozorowali obojętność wobec siebie, coraz wyraźniej trudną do zamaskowania.**

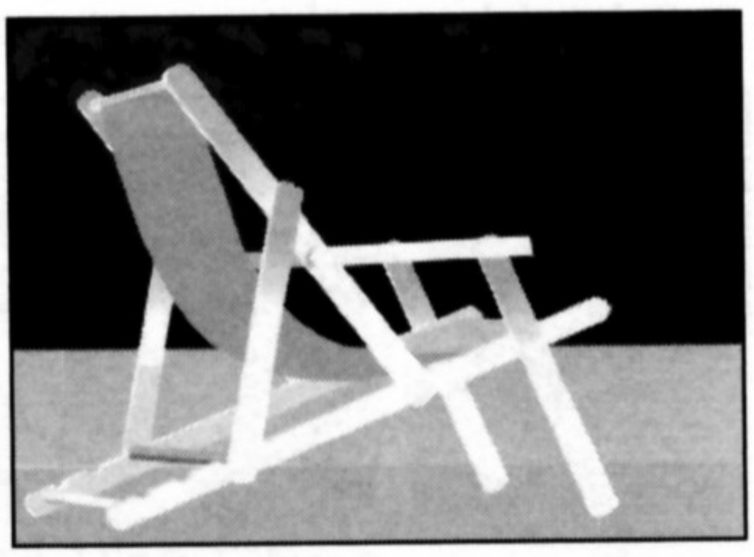

Rys. 386. Ta koleżanka reklamy nie potrzebowała

Za nimi, woda była już głębsza i widać było, że łatwiej się pływa. Chciałem tam dopłynąć jednak moja „partnerka" mi odradzała. – Słuchajcie, mówiła – wy nie wiecie, jakie tu pułapki w jeziorze, jeszcze z czasów wojny. Wszelkie zdemolowane uzbrojenie a nawet czołgi z długą lufą na dnie jeziora leżą i nikt ich od lat nie rusza. **Trzeba wiedzieć, gdzie i jak się tu poruszać.** Taki czołg może przecież wystrzelić – nadal mnie ostrzegała. Wy macie przecież tak cudowne jeziora mazurskie, które trochę poznałam i wróćcie szczęśliwie do domu. Najlepiej jak w pojedynkę w ogóle tu nie będziecie przychodzić, a już na pewno nie próbujcie pływać. Ja wiem, co mówię. **Straszne rzeczy tu się nieraz dzieją, nawet bez strzelających czołgów.** Na ten temat już co nieco słyszałam, bo mam tutaj ciotkę. I to dobrze zorientowaną. Ona i w towarzystwie nie pozwala mi tu przychodzić. Szczególnie wieczorem. Parę lat temu przyjechał tu nasz kuzyn, wszedł do pociągu i słuch po nim zaginął. **Odnaleźli go w tym jeziorze po dwóch dniach.** Widzicie jak te tory przy jeziorze lecą? Tu chyba codziennie trupa rano wyciągają – częstowała okropnościami dziewczyna.

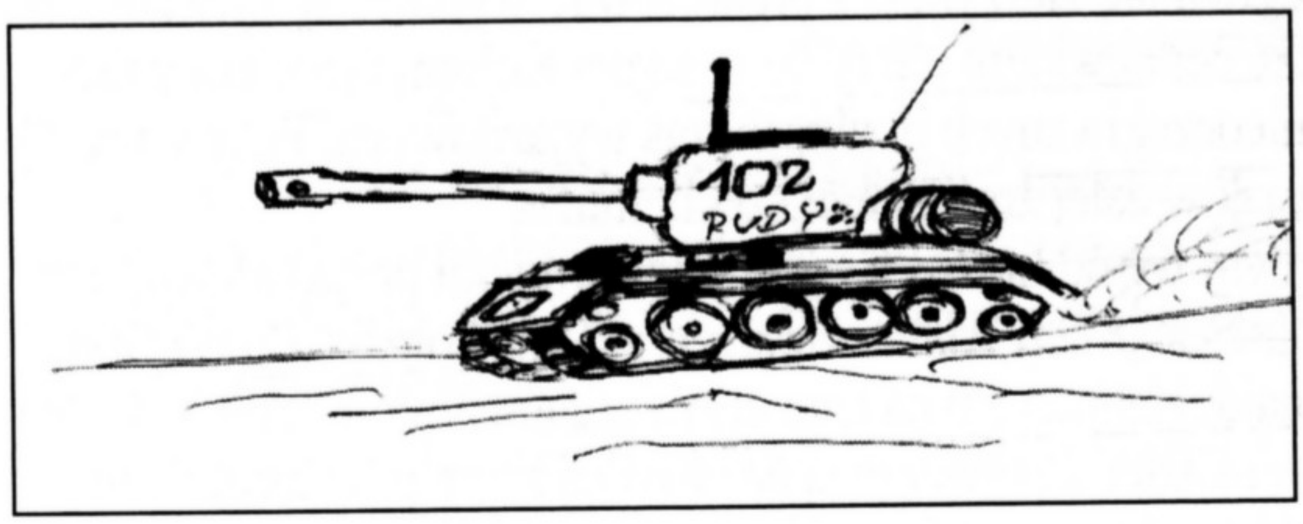

Rys. 387. Podobno w tym jeziorze zatopiony

– **Trzymajcie się nas** – usłyszałem odpowiedź na te słowa chłopaka, który międzyczasie dołączał z partnerką do normalności, nadsłu-

chując o czym to my tak zawzięcie rozprawiamy. – Myśleliśmy, że dołączycie do nas i specjalnie pokazywaliśmy co wygodniejsze miejsca, gdzie można spokojnie na dnie postać...

– No, może za spokojnie to wy nie staliście, bo fala was trochę kołysała...

– Gdzie dużo wody tam i mocna fala, ale poradziliśmy sobie nieźle. Rita mówi, że nad wodospadem takiego dna nie będzie, bo tam skaliste jezioro i woda z gór zimna. A jedziemy w Gorgany. Pojedziecie z nami?

– Chętnie, bo piszę o tych ziemiach książkę. Z tym, że nie jestem sam i dołączy do nas znajomy z Horodenka. Zobaczycie jaki on wesołek. Niedoszły co prawda, ale student z medycyny, bo będzie jeszcze ponownie na te studia zdawać. W Iwanofrankowsku.

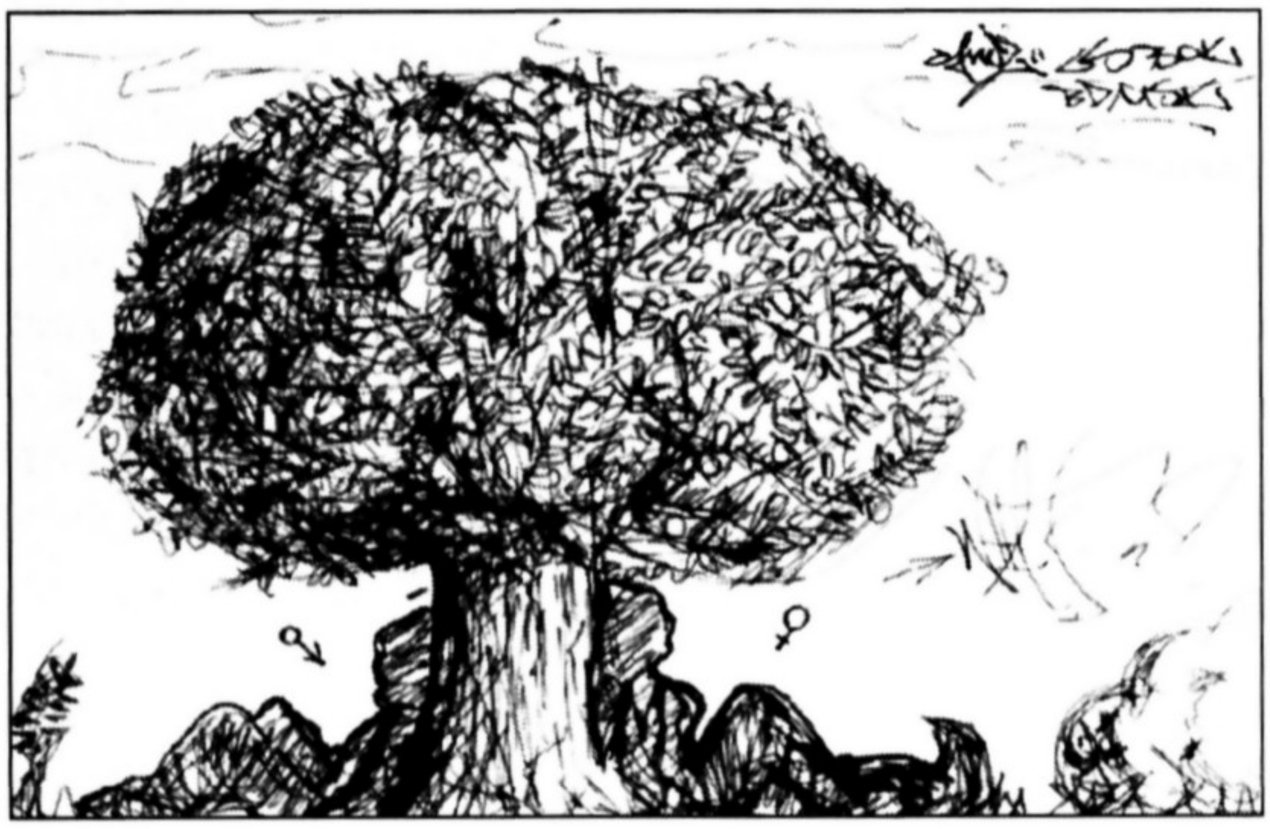

Rys. 388. Drzewo miłości nad jeziorem w Kołomyi

Nie sądziłem, że wywołam takie zainteresowanie. Książką co prawda częściowo, za to osobą Wołodzi ogromne. Przy okazji poznaliśmy więc nie tylko Wołodzi ale i własne życiorysy **i nie zaniechali nakreślić obiecujących planów.**

Pełen wrażeń, po nieśmiałej potem kąpieli w jeziorze, wracałem samotnie do hotelu. Przy końcu jeziora zdjąłem sandały i zacząłem obmywać nogi. **Zanim zdążyłem je wysuszyć, siedziało już przy mnie dwóch facetów w sile wieku.** – Co to już nie będziecie się kąpać? – zagadał pierwszy z nich. Przecież taka ciepła woda. Ci wasi znajomi to już trzeci dzień uroków jej zażywają. A on nawet do głębi sięga.

– Skąd wiecie... przecież oni tylko z sobą przebywają i tak wszystko od razu doglądacie? To młodzi ludzie i mają prawo. – **Tu przyjezdnych od razu widać, nawet z naszych okien. Chcecie zobaczyć? O tu, niedaleko mieszkamy.** To znaczy ja. Bo kolega dalej na osiedlu we własnym domku. Tam możemy wejść, bo u mnie małe klitki, a u niego to i barek nienajgorszy.

Teraz, zaczęła się dziwna natarczywość i niepotrzebnie wypaplałem, że chodził nigdzie nie będę, bo mam zupełnie niezły pokój (i tani) w tym wielkim hotelu dworcowym. Nic nie pomagało. Przyczepili się jak wesz do nogi i zaproszeniom nie było końca. I wódka z piersiówki się znalazła i rysunek na pisaku orientujący gdzie to się udamy i będziemy przebywać, tzn. w jakimś domku u kolegi, w pobliżu jeziora ulokowanym. **Jednak najdziwniejszy był fakt, że zanim po obiedzie zdążyłem do hotelu dotrzeć, obaj przed pokojem już czekali.** Tym razem, byli przerażeni widząc, że nie jestem sam, lecz w towarzystwie młodego inteligentnego człowieka z przewieszonym na ramieniu plecakiem. Coś rozpowiadał o większym towarzystwie, które niebawem miało nas w hotelu odwiedzić.

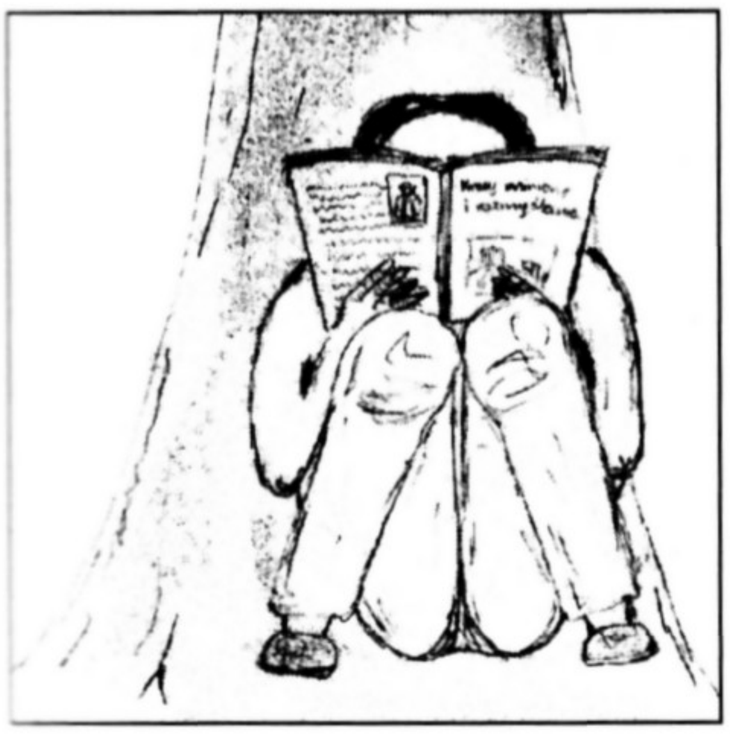

Rys. 389. Książka w cenie, autor nie...

Zostawiliśmy w pokoju klamoty i wyszliśmy na kawę do centrum miasta. **Wszystkie makabry z jeziorem związane w rozmowach kawiarnianych się potwierdziły.** A z ust starszawej już pani (również Rosjanki) zajmującej się drobnym handlem, płynęły identyczne ostrzeżenia jak te zasłyszane nad jeziorem pełnym grozy. Nie ukrywam, że byłem zaniepokojony i wpatrywałem się badawczo w mury sławetnego ratusza, który przez kawiarniane szyby wyglądał okazale, ale mnie, nieźle już zorientowanego w jego

Rys. 390. Do Wołodzi przylgnęła...

makabrycznej, więziennej historii czymś przerażał. Przecież to tomy można pisać o każdej tu ofierze maltretowanej przez NKWD w podziemiach i więziennych celach. **To naprawdę upiorna budowla pełna makabry w czasach, gdy pełnił rolę „przykładnego" stalinowskiego więzienia.**

Odtworzyłem sobie zdobyte wiadomości i porównałem je z tymi, które życzliwie przekazywała teraz przypadkowo poznana pani. Niedługo trzeba było czekać na ponowne uwierzytelnienie tych opowieści.

Ukraina żyła i przygotowywała się odważnie do wybuchu demokracji. A taką fazę poprzedzają rzeczy trudne i mało zbadane. Więc na tym tle i ostrzeżenia zacząłem traktować poważnie. „Bo on jest silny! I z bandytami może sobie jakoś poradzi, ale wy starszy i naiwny. Naszych warunków nie znacie. Mówię wam, wyjedźcie stąd tak, żeby nikt nie wiedział kiedy i czym wyjeżdżacie. Na pewno nie sam i nie nocnym pociągiem!"

Wołodzia wstydliwie, ale stanowczo zaczął przytakiwać. **Więc nazajutrz, wybraliśmy się dyskretnie na Huculszczyznę błyskającą Gorganami jak panorama jakiegoś wielkiego, cudownego świata.** Na moją prośbę trzymaliśmy się blisko Prutu i Czeremoszu. Pewnych drogowskazów naszej huculskiej wędrówki.

Tam szum Prutu, Czeremoszu...

Na Hucułach zaczęła się droga powrotna do Kraju. Z Kołomyi postanowiliśmy jechać do Worochty, potem na trasie miała być Nadwórna, Sambor i upragniony Lwów. We Lwowie towarzysz mojej podróży miał się zatrzymać na parę dni u rodziny, a ja postanowiłem uporządkować notatki i uzupełnić zaległości, które powstały w wyniku dotychczasowej chaotycznej pracy. **Lwów stawał się teraz najważniejszym, ale przede wszystkim ostatnim już miejscem na dawnych, utraconych kresach.** Tęskniłem za nim bardzo i niekiedy przyśpieszałem powroty.

Oczywiście z Kołomyi jechałem już „na zachód", czyli w stronę Polski. **To dziwne uczucie, wszak Polskę tu „na wschodzie" odnajdywałem częściej i czułem ją bardziej niż tę, do której wracałem.** A to dlatego, że tkwiła tak głęboko w napotykanych tu polskich sercach. Może dlatego też łatwo odnajdywałem z nimi wspólnotę ducha. **Takich serc niestety w kraju jest tyle co kot napłakał wśród znanej mi inteligencji. Za to fura Kalapów na szczytach. Więc lepiej o tej tragedii nie myśleć.** Tym bardziej, że tu na dawnych Kresach co jakiś czas Polska się budziła całą swoją historią, tradycją i nadziejami. Widziałem ją nawet w tym malowaniu pisanek, odbudowie kościołów, grobów i fragmentów cmentarzy. Szkoda, że żywych rodaków na tych szlakach tak mało. Czasem tylko na jakimś bardzo starym i bardzo zaniedbanym cmentarzu, ktoś stary i samotny życzliwie się do mnie po polsku odzywał.

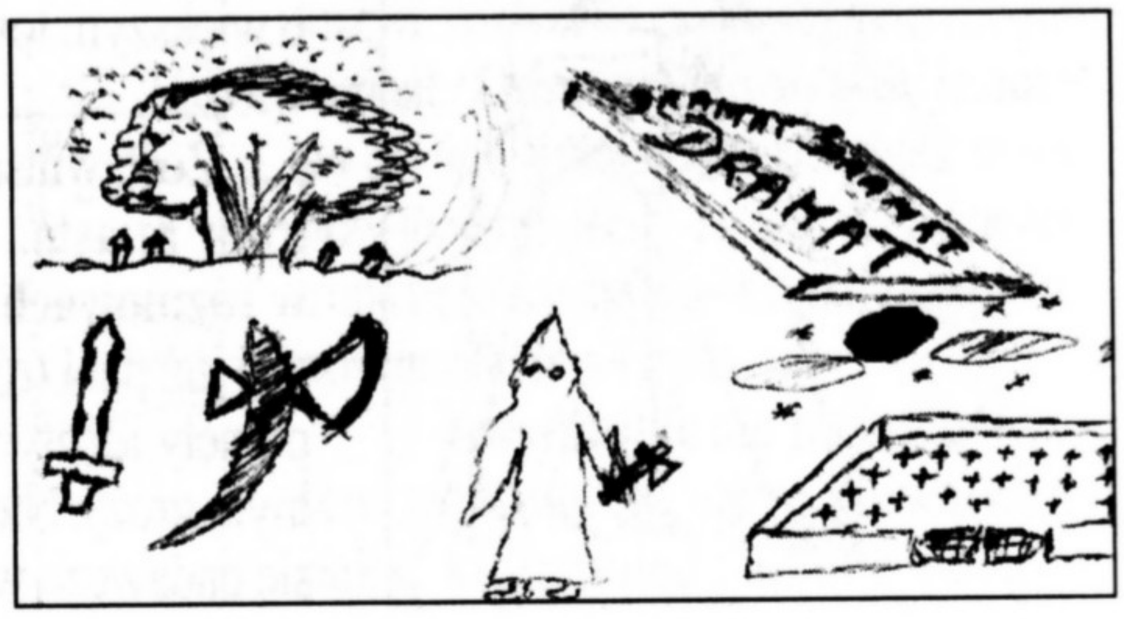

Rys. 391. Dramaty ziemi utraconej

Współcześni, młodzi o niej z reguły zapomnieli. Dopiero we Lwowie jawią się pierwsze

Rys. 392. Na cmentarzu w Kołomyi

młode jaskółki. To kolejne już pokolenie kresowiaków, których nam historia podarowała. A przecież i inni mieszkańcy naszej Ojczyzny mogli by nie jeden zabytek odwiedzić, może się nim zainteresować, oczyścić a może nawet i odrestaurować. Przy odrobienie dobrej woli cała akcja mogła by być odpowiednio zorganizowana, wszak miejscowi tego zrobić nie zdołają, choć tu i ówdzie próbować usiłują, niekiedy nawet z powodzeniem. W akcji takiej można też i wiele dogorywających grobów odtworzyć i niejeden kontakt z ludnością nawiązać, podtrzymując nadzieje korzystnych stosunków dla obu stron. **Nie wszędzie i nie wszystko jest już stracone.** Przeciwnie, odradza się nowa atmosfera, w której wiele jawi się sytuacji normalnych, niekiedy zaskakujących, ale i coraz więcej pozytywnych. Tak było po wyjeździe z Kołomyi.

Jedziemy do Worochty. Okolica podgórska i samo miasteczko leży na brzegu jakieś wysokiej góry. Wystawowo, choć nie skoncentrowane. **Ulice rozwlekłe, domostwa od siebie bardzo odległe i cała okolica jakby wyludniona.** Dużo różnej architektury, stylów nie tylko huculskich. Przy jakiejś chacie niby piwnicy buszuje koziołek z kotkiem czy królikiem. Niedowidzę. Chcę się na chwilę zatrzymać. Nieoczekiwanie w tym właśnie momencie ktoś za nami niemiłosiernie trąbi. Sądziłem, że to milicja wzięła nas na oko i usuwamy się z drogi. Nadjeżdża pierwszy samochód mocno udekorowany, po nim drugi i trzeci z rozbawionym towarzystwem, a za nimi cykliści i furmanki też przynależne do wesela. **Wychodzimy z samochodu i cieszę się, że będę mógł sfotografować ten przedziwny dom.** Wołodzia (przystojniaczek) także chwyta za aparat i wychodzi energicznie zostawiając niedomknięty samochód. Uwaga przybyszy koncentruje się na nim, choć i na naszym samochodzie.

Po chwili widzę, że jakaś piękność (niestety od tyłu), prawie że siłą chce na jego miejsce wejść, niczym dobra znajoma. Naśladują ją znajomi różnej płci, otaczają nas i częstują wódką i słodyczami. Niektórzy, co bardziej rozbawieni od razu sy-

Rys. 393. Domek na Huculach

pią w naszą stronę weselnymi podarkami. **Widzą to mieszkańcy z sąsiednich domostw i powiększa się grono ludzi z życzliwym do siebie nastawieniem.** Wołodzia daje do zrozumienia, że coś z rozsypanymi fantami trzeba zrobić i daje nawet przykład. Po chwili wspólnie już zbieramy jakieś pierniki, pierożki i słodycze.

Bardzo nas cieszy ten miły (podobny do naszego bieszczackiego) weselny zwyczaj. **Gorzej jest z samochodem.** W międzyczasie wcisnęło się do niego dwóch Hucułów, nie pytając wcale o pozwolenie.

– Wy prędzej będziecie w Worochcie niż ta furmanka – odkrywa swoje przeświadczenie starszy z nich.

– Tak, tylko ja chciałem się dłużej zatrzymać przy tej zabudowie nad potokiem – oświadczam, to jakiś ciekawy kompleks budynków. **Tak zwartych, że wychodzi z tego jeden i to ładny.** Taki jak ten w Zakopanem przez Kasprowicza opisany w „*Domu nad potokiem*" – coś zacząłem nawijać[96].

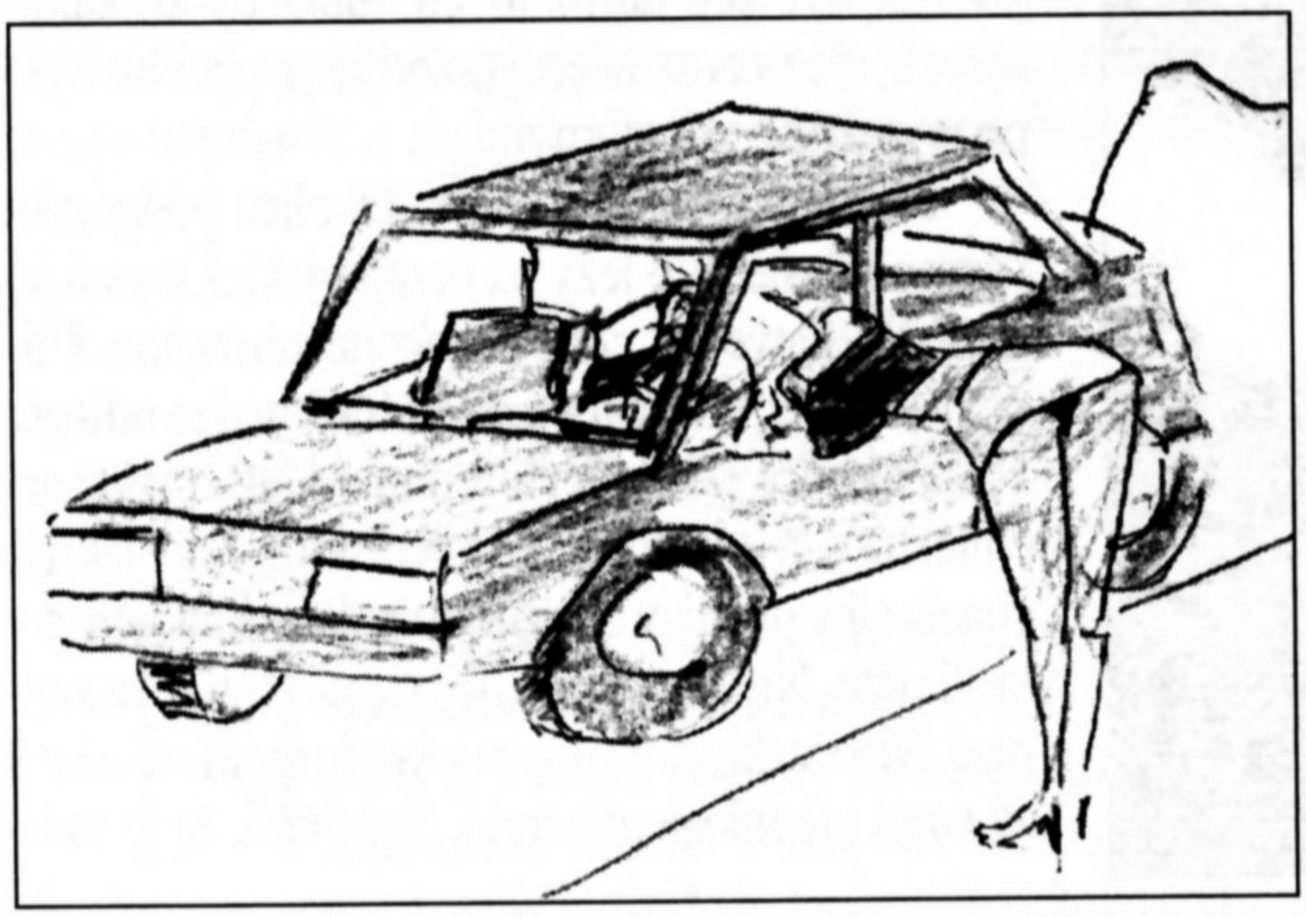

Rys. 395. Co za podglądanie...

– Jaki on tam ciekawy, protestuje młodzik. **Chałupa jak u każdego Hucuła.** Z sieni wchodzi się do obory, potem jest „świjnik", bo **konie „huculaki" stoją razem z krowami.** A te małe okienka to komora. Podoba się wam taki układ? Na końcu jest i stodoła... – Skąd, wychodek drewniany – twierdzi jego starszy kompan.

Rys. 396. Pod latarnią jest zawsze widno

No, ale wszystko ogrodzone i z gnojnikiem przy oknach, dopowiada pierwszy.

– Żeby było wesoło. Przecież słońce wszystko wypraży i sień bez okien jest gorsza. Tylko zimą cieplejsza...

– No tak, bo jak zimno to oni drzwi od izby otwierają i ciepłota od zwierząt ogrzewa im całą izbę. **Z sieni też nie wieje.** Teraz się to zmienia, bo sami turyści zmiany wymuszają. Opowiadał mi kumpel, że w nocy turysta mówi do gospodarza: gospodarzu te zapachy to u was nie najlepsze. – Zaraz sprawdzę, odpowiada Huculł, bo chyba się teściowa odkryła...a sieni nie zamknąłem. Może i jakie paskudztwo wlazło...

Pełni humoru jedziemy z weselnikami do Worochty, a potem do Nadwórny. Po drodze skręcamy w górską trasę by zoba-

---

[96] Rzeczywiście, huculska zabudowa jest zwarta, oszczędna, ciepła i możlwie pod jednym dachem.

czyć uroczy wodospad Wołodzi już dobrze znany. **Szumi z daleka.** Nawet nie wiem czy na Prucie czy na Czeremoszu. Pogubiłem się w tym nastroju piękna i radości a tu jeszcze Wołodzia *Gorganami* żyje i chce mnie w te góry koniecznie wyciągnąć. Nie mam nic przeciwko temu i próbuję mu do końca towarzyszyć. **Zaraz za mostem zaczynają się trasy górskie i jest niewiele już ludzi.** Trochę dalej za to cała grupa. Musimy koło niej przejść. Wołodzia odkrywa, że to nudyści. Jakiż on ma dobry wzrok! Zawiesza na nich i trochę podgląda. Nawet o jednej piękności opowiada. Niestety zniknęła za jakimś głazem i pojawiła się w akcji druga.

Teraz mnie Wołodzia agituje: – patrzcie, patrzcie, patrzcie... pokrzykuje. To dla was – ośmieszająco na mnie pa-

Rys. 397. Praktyczna huculska zabudowa

Rys. 398. Na każdą pogodę

trzy. Udaje mi się włączyć do podglądu, ale on się coraz bardziej śmieje. – Co jest grane? –To nie widzicie, jakie ona ma nieudane nogi, przecież to zakrywać trzeba a nie reklamować! Może teściowa od tego Hucuła? – To dlatego mnie ją tak ofiarowałeś, ty złośniku, okrutniku! Razem przez moment podglądamy i żałujemy, że nie widać

Rys. 399 i 400. Przy wodospadzie

przodu ciekawie piersiami przyozdobionego. **Jest w ogóle coraz ciekawiej, ale krótko.** Babka w sytuacji się zorientowała i szybko przyodziała swoje dyskretne fragmenty, mimo że w międzyczasie Wołodzia już zdanie zmienił i wprowadza o niej nowe, pochwalne informacje.

Wszystko to za późno. Schroniła się jak cień za tą wysoką skałą. Widzimy teraz, że jakiś chłopak stamtąd wyskoczył i płynie jakby w naszą stronę. Źle widzimy. Chłopak przepłynął niewielką trasę i zręcznie ładuje się na skałę, gdzie zażywa prażącej kąpieli słonecznej. Z drugiej strony skały pojawia się jak w kalejdoskopie cała plejada nudystów z wrzaskiem na ustach do nas coraz silniej dolatującym. Sytuacja zmienia się w podejrzaną. **Omijamy to miejsce i wracamy do samochodu.** Jesteśmy na trasie na *Gorgany*, więc jedziemy przed siebie ile się da. Znów nad rwącym potokiem (chyba dopływ Czeremoszu) wysiadamy. **Widać już kosodrzewinę,** jednak trzeba jeszcze podejść, a ja już taki zmęczony. Wołodzia się denerwuje: czemu urodziliście się tak dawno! Ja wcale nie żałuję, że mam dopiero dwadzieścia lat. – Powiedz aż, bo teraz czas po tobie spłynie jak woda po kaczce i wcale nie zauważysz, kiedy się zestarzejesz.

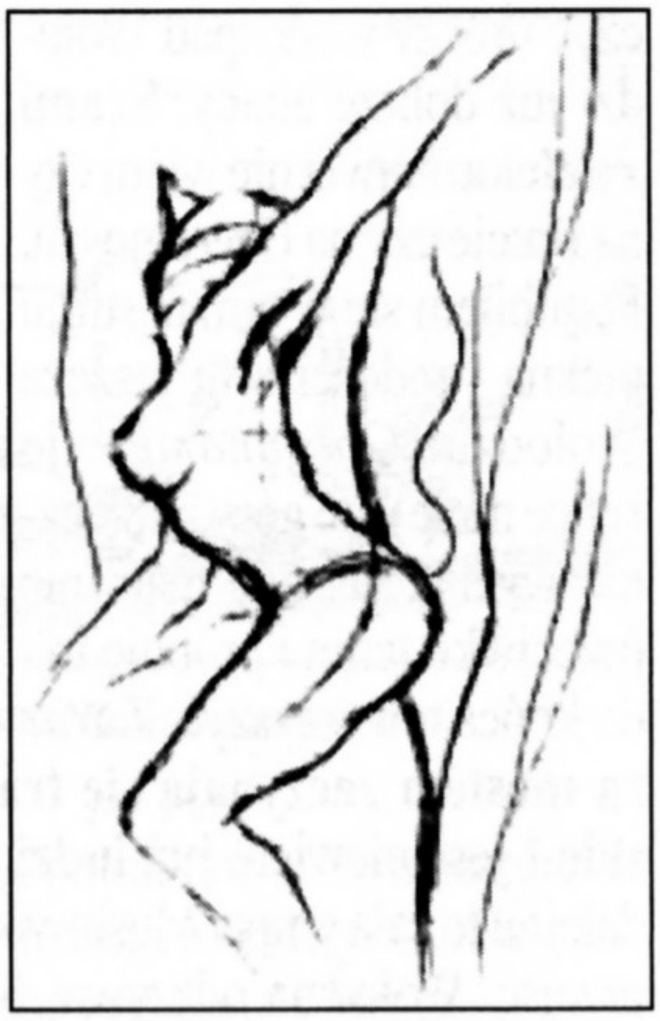

Rys. 401. Mój student się domyślił

Wołodzia zrobił kilka szusów, zatrzymał się pod samotnym krzakiem kosodrzewiny i zapewne lżejszy przyleciał po chwili z przeproszeniami: – Ja wiem, że świntuch jestem, bo na taki dowcip sobie pozwoliłem! Zupełnie czego innego pragnąłem. **Myślałem was pochwalić za wytrwałość i zachęcić do wzniesienia się na linię tej kosodrzewiny. No, nie udało się.** W rewanżu, weźcie tę moją czekoladkę, ja na nią taką chęć całą drogę miałem. Patrzę teraz, jak poluje za nią wywracając całą torbę. Nadaremie wszak okazało się, że czekoladki nie ma. Nie wytrzymała upalnego dnia. Wytrzymalszy był jedynie drops, a właściwie jego cząstka zaplątana w futerale mojego aparatu.

O Boże, jak nam to smakowało. Tyle tylko, że pić się ogromnie chciało, a Wołodzia z Czeremoszu wodopoju robić nie chciał. **Uważał, że jest zatruty Czarnobylem.** – Mówię wam, ja się na tym znam, bo wy jesteście niestety socjolog. Nie macie pojęcia jak się obryłem z chemii wiadomościami o radioaktywnych jonach. Ten ukochany przez was szum Prutu i całego Czeremoszu na pewno mi ich nie przysłoni. Ja je po prostu w tej wodzie czuję i widzę.

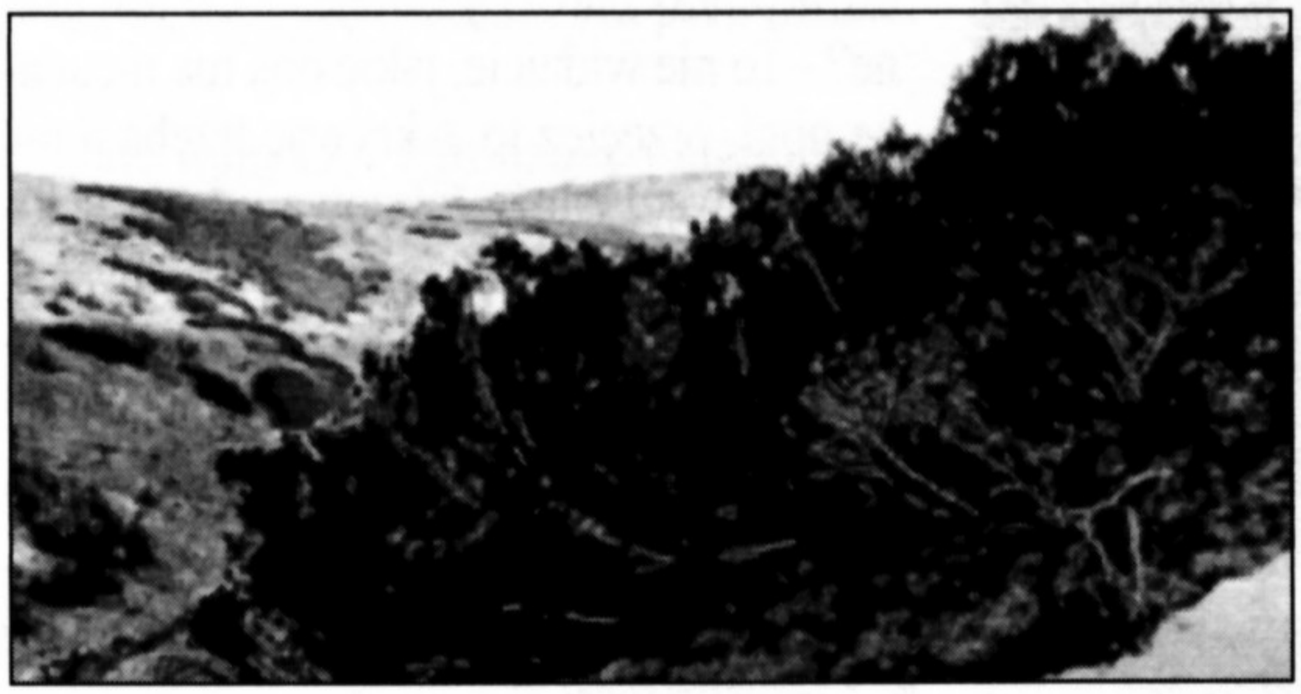

Rys. 402. Kosodrzewina[97]

Mimo wszystko szum Prutu, Czeremoszu spotykałem jeszcze nie raz i zawsze bardzo mi to odpowiadało. Przemieszczaliśmy się przecież po Hucułach, a tu wszędzie go pełno. Nawet na tyle, że chyba zatrzymałem go w uszach na stałe. A czułem go przy tym... chyba całym ciałem! bo i widoki huculskie z nim się dziwnie powiązały. W Nadwórnej tych rzek już nie było, ale pierwsze spojrzenie na Flakomejkę wpadającą do Bystrzycy żywcem Prut i Czeremosz mi przypominało. Tym bardziej, że oba potoki ślicznie są wkomponowane w przestrzenny plan zagospodarowania miasta. Jest ciekawy i aż się prosi, aby odnaleźć w nim trochę co ważniejszych zabytków. Więc ruszamy na ich spotkanie.

---

97 Stanisław Lencewicz, op. cit. s. 131.

Hucuły na trasie do Sambora

O zabytkach w Nadwórnej już trochę czytałem i dość dużo słyszałem, szczególnie w Kołomyi. Więc intuicyjnie, gdy tu dotarliśmy podążam w ich stronę. Znowu długie ulice jak **w Worochcie, domy na wzór huculski, ale znacząco unowocześnione, bez gnojników i zaciemnionych sieni, a przy tym często ogrodzone jak warownie.** Coś chyba przeniesione zostało z tutejszych zamków. To ten typ zamku należącego ongiś do Generała Rozwadowskiego wywarł na mnie swoją warownością ogromne wrażenie. Jest dziś całkowicie opustoszały, zniszczony, ale świeci nadal dobrym przykładem w iwanofrankowskiej obłasti pięknego budownictwa obronnego.

Sam gen. Jordan-Rozwadowski (1866–1928) był wielkim patriotą i może dlatego należał do zagorzałych przeciwników Józefa Piłsudskiego. Z opowiadań mojego ojca wiem, że wśród ułanów miał cudowną reputację. Skonstruował przecież jako generalny dowódca kawalerii cały plan ratowania Polski wcielony w życie za pośrednictwem Bitwy Warszawskiej. Był na ustach ułanów dzielnych rannych w tej Bitwie, do których należał mój ojciec z 11. Pułku ułanów (ranny po dwóch latach walki pod Radzyminem). Właśnie z opowiadań ojca wiem, że w ułańskich szeregach rosło pragnienie budowy pomnika tej Bitwy z wyeksponowaniem tegoż Generała, a nie Piłsudskiego. **Wśród wielu ułanów była świadomość faktu, że Piłsudski wytępił całą patriotyczną opozycję co niedługo odbiło się tragicznie na walce z hitlerowskimi Niemcami**[98]. Cóż, nie ułani zadecydowali później o stawianiu pomników. Pomnik Piłsudskiego stanął z inicjatywy Jerzego Waldorffa organizującego budowę aż dwóch pomników Piłsudskiego w Warszawie. Pamięć Generała wyciszono chyba na wieki. Do jego zamku podążam więc jak do Mekki. Jest w nim pełno jakiejś dyskrecji i egzotyki.

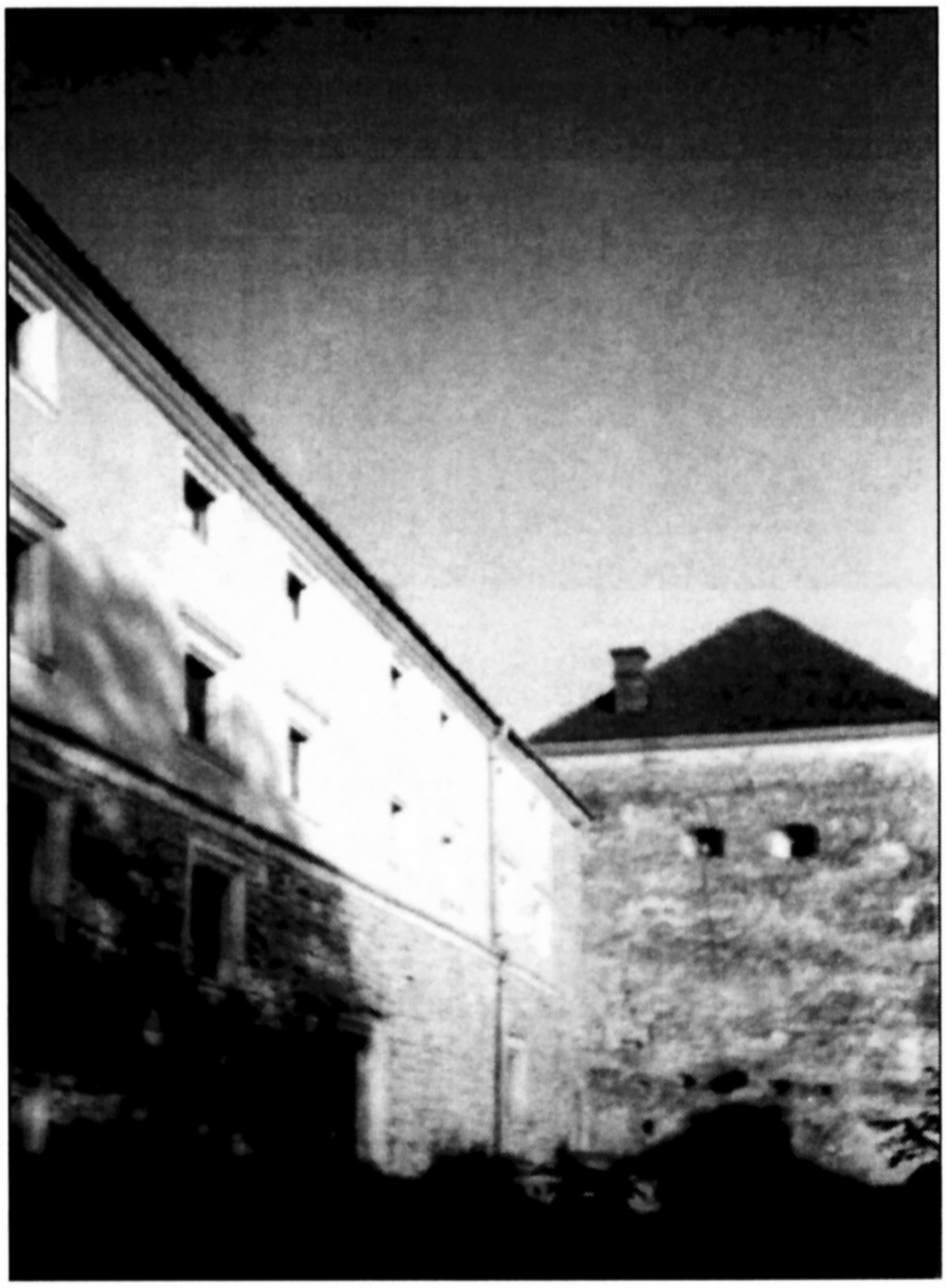

Rys. 403. Mury zamku gen. Rozwadowskiego

Taką dyskrecję i przytulność prezentuje tu w Nadwórnej większość domów. Oglądam je, zachowują w pamięci nastrój wyniesiony z opustoszałego zamku Generała. Chyba całe budownictwo tej okolicy wzorowane jest na typie obronnego zamku, pałacyku czy dworku. Takiego z przełomu XIX i XX w. **Szkoda, że ratusz jak pamiętam, przypominający ongiś wspaniały pałac, został chyba nadmiernie przebudowany** wszak ten przedwojenny na rycinach, aż takich kopuł nie miał. Jednak podoba mi się ta nowość. Świeżością podkreśla nawet uroki starej baszty zamkowej ocalałej w parku. **To resztki starego miasta.**

---

[98] Por. M. Trzeciak, Bariery rozwoju II Rzeczypospolitej, op. cit., roz. I i II.

Rys. 404. Dziedziniec zamku gen. Rozwadowskiego

„Nadwórna jest miejscowością kojarzącą się nieodparcie z dziejami walk Polaków o wolność w czasie I wojny światowej. W tym mieście zaczyna się tzw. szlak bojowy II Brygady Legionów Polskich zw. Żelazną lub Karpacką[99]. Wiedzie on aż na Przełęcz Pantyrską. W zimie 1914 r. nowo sformowana polska brygada stawiła czoła armii carskiej, która po pokonaniu Austriaków planowała przełęczami karpackimi ruszyć na Węgry. Ramię w ramię z Polakami stanęli do walki także i Huculi (szczególnie z oddziału kapitana Szerauca). Początek szlaku można umieścić w Bohorodczanach, skąd przez Sołotwinę wiedzie droga do Nadwórnej. To właśnie w rejonie Sołotwiny toczyły się ciężkie walki na przełomie 1914 i 1915 r. o tutejszy most na Bystrzycy. Sowieci jednak go nie oszczędzali i zniszczyli do fundamentów. W szczególności okrutnie potraktowali istniejący tu pomnik z napisem: *Twierdzą nam będzie każdy grób*. Na szczęście zachował się jeszcze pomnik w wiosce Mołotków (tuż przed Nadwórną, od zachodu), w miejscu najkrwawszych bojów, które toczyły się 29 października 1914 r. Na szlaku legionowym na południe od Nadwórnej, wytyczonym jeszcze przed wojną, leżą wsie Zielona i Pasieczna.

Rys. 405. Lewe skrzydło zamku

W Zielonej w dniu 19 października 1915 II Brygada pod dowództwem płk. Z. Zielińskiego stoczyła zwycięską bitwę z Rosjanami. W tej wsi, na cmentarzu, stoi nadal obelisk ku czci legionistów. Gorzej jest w Pasiecznej. Tamtejszy pomnik niszczeje w zaroślach koło zdewastowanego małego wodospadu. Jakby w zamian, wznosi się obok nowiuteńki ukraiński monument kobiety-żołnierza Strzelców Siczowych. Dobrze stosunkowo zachował się natomiast pomnik w Rafajłowej – następnej miejscowości, która była świadkiem walk 1914–1915 r. II Brygada idąca zdecydowanie do nieśmiertelnej chwały, pod Rarańczą i Rokitną pokazała, jak bardzo jest zdeterminowana i gotowa do najwyższych poświęceń dla celu. któremu na imię Ojczyzna. Wzruszający jest napis wykuty na Przełęczy legionów: *Młodzieży Pol-*

---

[99] W której walczyło mnóstwo wielkich patriotów (m.in. ks. Jacek Maria Bocheński).

ska, patrz na ten Krzyż, Legiony Polskie dźwignęły go wzwyż przechodząc góry; doliny i wały do Ciebie, Polsko, i dla Twej chwały"[100].

Takie były nasze polskie Hucuły i II Brygada Legionów Polskich, Karpacką zwana. Nie żałowała krwi w ramach II Korpusu Polskiego pod Monte Casino.

Rys. 406. Napis z książki Monte Cassino[101]

Ale o to i o rolę pułku ułanów karpackich zatroszczył się już wspaniały **Melchior Wańkowicz,** więc ja nie muszę. Przypadło mi jedynie wzruszenie pod śladem jej bitew tu na Hucułach, którego podobnie jak Monte Cassino zapomnieć nie zdołam do końca moich dni.

Teraz wiem dlaczego tę krainę tak kiedyś sławiliśmy i dlaczego tak tęskniłem za dotarciem do miejsc, o których melancholijnie w dzieciństwie śpiewaliśmy: **Tam szum Prutu Czeremoszu, Hucułom przygrywa...**Taż to tu, w tej samej krainie jak dawniej – Prutu, Czeremoszu – jawi się gorzka prawda pod wpływem klaksonu Wołodzi. Szkoda, że muszę ją opuszczać, że nie można jej, nawet tej zmienionej, w jakiś sposób ze sobą zabrać. A może i dobrze, wszak jest nazbyt wzruszający, jakby podstępny. Pozwala się zakochać na tyle, aby była nie spełniona i aby stale za nią tęsknić. Za bardzo to wszystko przeżywam.

Rys. 407. Dzieci łagierników chronione przez II Karpacką (op.cit. s 289)

Więc trzeba opuszczać huculską krainę. Ostatnie spojrzenia na tradycyjną architekturę, która na Hucułach miała swoje uzasadnienie. Wiejące wiatry, ostre zimy i upalne lata wymuszały skupioną, zwartą zabudowę, ogrodzoną płotem jak wokół fortecy. Nie mówiąc już o tym, że treścią tego „za pasem broń" i „topór co błyszczy z dala", którymi bronić się nie raz na odludziu trzeba było, jest nadal ciężki los Hucuła. Niemało tu przecież wędrownych Janosików i „poszukiwaczy" z różnych odległych stron. Wiem, że podobnymi tułaczami intensywnie opiekowała się II Karpacka Brygada. Wpatruję się w te dzieci, dzisiaj bez opieki. Nie zgadzam się z fragmentem pieśni: ...to strój, to życie górala. **To życie z za małych okien, które kiedyś wynikały chyba z drogiego jak na ubogą kieszeń szkła, znowu jest pełno nędzy.** Mimo wszystko – rekapituluję, że jak na Huculszczyznę, którą tak bardzo kocham, to za mało o niej teraz wiem. Więc spełniam prośbę Wołodzi, który nawołuje, abym coś o niej przeczytał po polsku z przewodnika wyjętego z plecaka:

Rys. 408. Z książki Monte Cassino (j.w. s. 320)

Henryk Gąsiorowski napisał kiedyś, że „Huculi to najciekawszy zabytek etnograficzny nie tylko na ziemiach polskich, lecz i w Europie".

---

[100] A. Strojny, K. Bzowski, A. Grossman, Ukraina Zachodnia, Wydawnictwo Bezdroża, Kraków, 2004, s. 206.
[101] Melchior Wańkowicz, Bitwa o Monte Cassino, Rzym, 1945, s. 436.

Granice Huculszczyzny, jako regionu etnograficznego i turystycznego, ogranicza się zazwyczaj do górskiego klina między Bukowiną i Zakarpaciem. Jest to uproszczenie, ponieważ do terytoriów huculskich zaliczają się również wsie Zakarpacia na wschód od doliny Cisy i okolice Putyły na Bukowinie, ale rzeczywiście – na wąskim pasie dolin Białego i Czarnego Czeremoszu swoistość regionu reprezentowana jest najsilniej. O rozgłosie, porównywalnym w turystyce polskiej tylko ze sławą Podhala, zdecydowała, poza walorami krajobrazowymi, niezwykła kultura mieszkańców.

Początki Huculszczyzny są niejasne – mówi się nawet o pochodzeniu Hucułów od wczesnośredniowiecznych Połowców. Bardzo silny wpływ wywarła również kultura rumuńska – od stroju ludowego, aż po budownictwo, toponimikę i język. Osiedlała się tu także, uciekając podobnie jak na Zaporoże, szlachta polska (m.in. Kraszewscy i Uruscy), która uległa całkowitej rutenizacji. Dziś ukraińskość Hucułów jest oczywista, jednakże wciąż mają oni świadomość własnej odrębności. Odrębność ta, poddana przez 50 lat działaniu sowieckiego walca, pozostaje żywa do dziś – jej; manifestacją jest festiwal w Kołomyi.

Rys. 409. Osiołek ranny pod Monte Cassino (op. cit. s. 148)

Jedną z charakterystycznych cech kultury huculskiej są zajmujące ogromne obszary wsie, np. Werchowyna ma ponad 600 km^2. Są to zresztą wsie tylko formalnie, gdyż poszczególne domy przedzielają wielkie pastwiska i łąki. Prawie nie ma rolników, jako że ludność żyje z wyrębu lasów i pasterstwa. Te zajęcia Hucułów zmuszają ich do prowadzenia koczowniczego trybu życia (do II wojny światowej spotykało się także Żydów–pasterzy, koczujących jak Huculi). Specjalny reżim wypasu owiec i bydła to pozostałość dawnego złożonego ustroju pasterskiego. Do dziś, nawet na głównych drogach, spotyka się podróżujących konno. Powstała też odrębna rasa konia, zwanego koniem huculskim.

Rys. 410. Źródło wodne na trasie do Kołomyi

Ciekawa jest architektura huculska. Kompleks domów i budynków gospodarskich, otoczony masywnym płotem z bramą, Huculi nazywają *grażdą.* Prosta budowla, stawiana wysoko w górach, służąca za mieszkanie drwalom i pasterzom to *koliba.* Jej centrum wyznacza otwór w dachu, przez który uchodzi dym z ogniska, zwanego z rumuńska *watrą.*

Zadziwiająca jest huculska sztuka ludowa. Zdumiewa szczególnie archaiczność motywów, zupełnie niepodobnych do twórczości otaczających Hucułów innych kultur etnicznych. Zwraca uwagę także niesłychany zmysł estetyczny artystów huculskich.

Do najważniejszych ośrodków Huculszczyzny należą położone na przedgórzach miasta Jaremcze

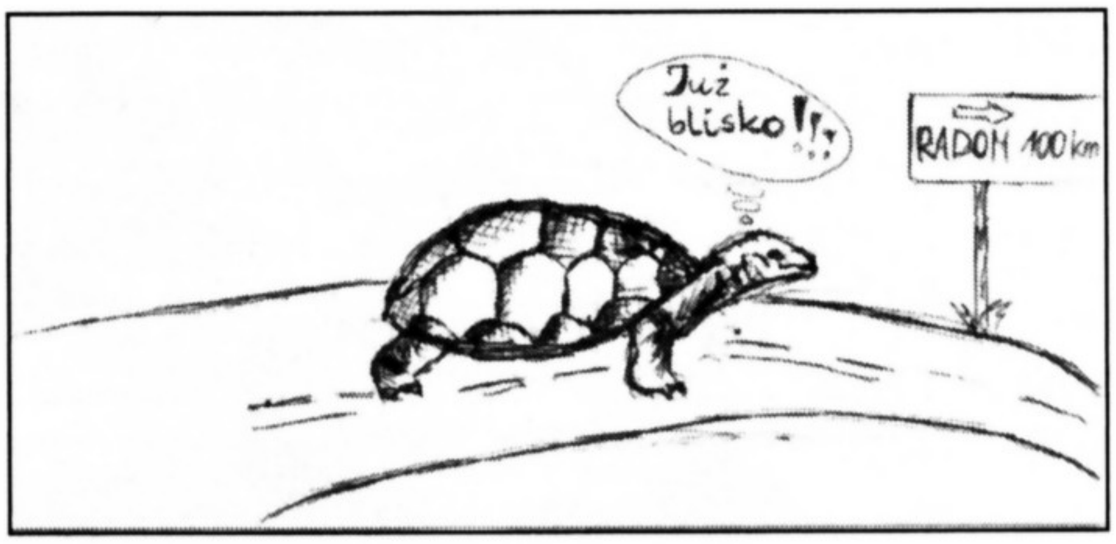

Rys. 411. Jeszcze o Radomiu nie marzyłem

i Kosów, wieś Kosmacz w dolinie Kosmaczila, a przede wszystkim wsie w dolinie Prutu i wzdłuż drogi Krzyworównia- Tatarów"[102].

Cała etnografia huculska to wyraz tajemnego uroku tej ziemi. Ukoronowanego mało znanym pasmem gór *Gorgany*, ciągnącym się aż do polskiej granicy. Malowniczo zresztą poprzecinanych głębokimi dolinami i połoninami, z trudno dostępnymi wierzchołkami. Szkoda, że my znamy tylko (urocze skądinąd) **Bieszczady i Czarnohorę.** Więc serdecznie żałuję, że u podnóża tych gór musiałem zawrócić na rozkaz tylko moich nóg. Wołodzia tego nie rozumiał i zawzięcie mnie do wyprawy wysokogórskiej namawiał.

Zachęcał nawet tym, że zna już z poprzednich wypraw najkrótsze przejścia i ścieżki prowadzące do szczytów, które obroniły się przed granicami, wszak do dziś są miejsca, w których granice państwowe nie zostały jeszcze wyznaczone. – Pokażę wam te odludzia zachęcał, choć wiedział, że na moim widnokręgu rysował się już Stryj a potem Lwów. Ten ostatni, heroizmem słynący jak Monte Casino. Warto do niego jak najszybciej dotrzeć.

Przystanek w miasteczku Stryj

Trasa na Stryj przez Dolinę, Hoszów i Bolechów wcale nie jest odludziem. Przeciwnie, mimo że gubi już architekturę huculską jest ruchliwa, ciągle się na niej coś dzieje i jest coraz ciekawsza, przybliżająca do stolicy ziemi lwowskiej. Sprzedaje się przy niej różne owoce, produkty spożywcze i grzyby. Wołodzia znał te okolice a szczególnie bliski mu Sambor i w Stryju planował jedynie małą przerwę w podróży. Nie godziłem się na to, wszak Sambor to całkiem boczny kierunek i mnie nie po drodze do Lwowa. W Stryju natomiast, miałem dobrych znajomych i chciałem się zatrzymać nawet na cały dzień. On z kolei chciał to zrobić w Samborze i do tego mnie namawiał. **W praktyce okazało się później, że było w tym wszystkim nader wiele młodzieńczej teorii,** do której ja zupełnie nie pasowałem. Niby to z jakiej racji – myślałem, gorliwie mnie zaprasza do tej rodziny, w której sam ma być gościem. Nie zważając na moje argumenty coś postanowił i zanim się spostrzegłem, usiłował zmienić kierunek jazdy by najpierw dotrzeć do Sambora. – Wiem, że twój samochód, ale w końcu uczestniczę w kosztach jazdy i zmiana trasy absolutnie mi nie odpowiada, zaprotestowałem. Poskutkowało i zawróciliśmy na właściwą trasę. Wytworzony konflikt był potrzebny, choć dla mnie przykry, wszak Wołodzi z jakiejś przyczyny naprawdę zależało na tym abyśmy do Sambora pojechali razem. **Kształtował atmosferę wędrownego ptaka i wyczułem**

Rys. 412. Jezdnie jak warszawskie, ciągle remontowane

[102] Adam Dylewski, Ukraina, op.cit. s. 202–203.

że tą formą chciał w Samborze znajomym zaimponować. Zaczął ich przede mną niesamowicie wychwalać. **Zobaczcie jaki gościnny jest ten naród ukraiński – twierdził, a przy okazji jak urokliwe ma dziewczyny.** Szkoda, że ta ich córcia, studentka już wyszła za mąż. Dwa razy byliśmy z nią na Hucułach. Cudownie było. Ale to niestety naiwny braciszek, trochę od niej młodszy podstawił jej przedwcześnie kolegę i bidula szybko została mężatką.

– Nic z tego nie rozumiem... – Bo jej nie widzieliście, pysknął jakby pretensjonalnie. Na miejscu by się wszystko wyjaśniło. I z Polakami byście się spotkali. W Samborze jest ich dużo. Choćby nie chcieli to muszą tamtędy przejeżdżać jeśli chcą zobaczyć prawdziwe góry. Sądzę, że i ten mikrobusik przed nami całą grupę w góry

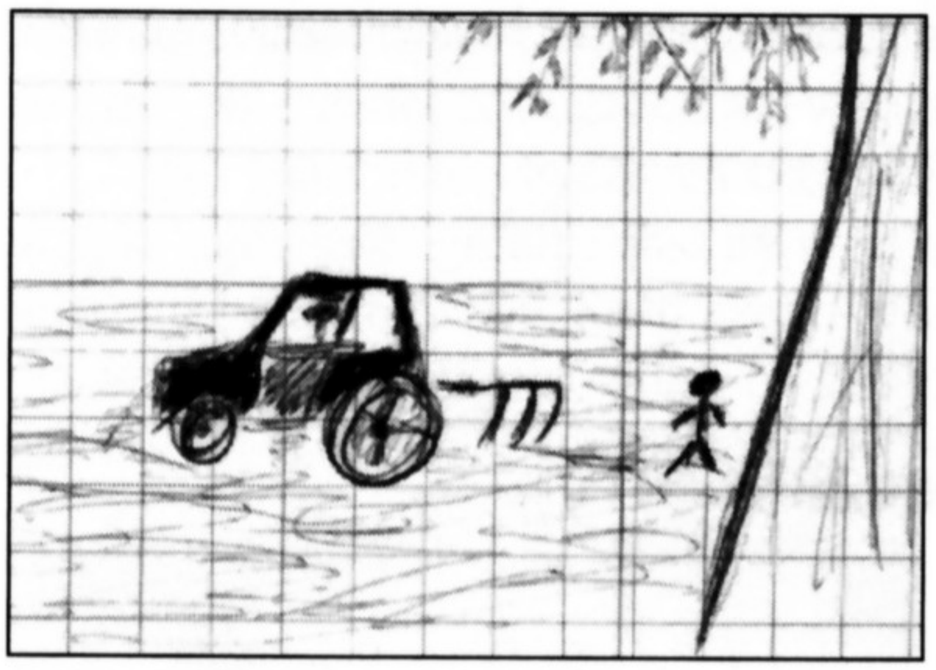

Rys. 414. Wkracza nowoczesność

wiezie i na Sambor się pokieruje. **– Ja Polaków mam na co dzień. Tutaj wolę poznawać wasz naród, kulturę, język.** – W Samoborze też byłoby tego pełno. Tylko zmieńmy kierunek jazdy i nastrój dziwnej dyscypliny. Przecież to wakacje i trochę luzu się wam przyda. Bez humoru też z nikim nie uda się wam porozumieć. Ten wasz „dziurowaty" Stryj to zobaczycie innym razem. **Ze Lwowa macie tak wspaniały dojazd pociągiem.** Latem w pociągach sceny o jakich trudno zimą nawet marzyć. Zadziwiające! Patrzcie, co za sztuka nas zatrzymuje. Autostopem chce z nami jechać.

Straszliwie zawarczał silnik i stanęliśmy przy faktycznie ładnej, z nogami na pokaz dziewczynie. **– Ja jestem zmęczona, położę się na chwilę, wyrzekła coś podejrzanie gdy tylko zasiadła za nami, a następnie obsunęła głowę za Wołodzię.** Sądziłem, że chce czytać na leżąco. Byliśmy zdumieni tym zachowaniem i Wołodzia nie widział co z tym fantem robić. Dodał nieco gazu i za zakrętem zatrąbił na rozkojarzoną grupę młodzieży, którą trudno było wyminąć. Na jego głośny klakson, rozsypali się jednak wesoło po bokach, choć to był ich właściwie błąd. **Okazało się bowiem, że nasza pasażerka chciała się przed nimi ukryć i to się jej doskonale udało.** Niebawem po tym wydarzeniu, zaczęła błagać i prosić Wołodzię, aby się zatrzymał i ją wypuścił, bo musi do nich dołączyć. Wcale nie miał zamiaru. Puść – szepnąłem mu do ucha, zobaczysz co za śliczne nogi... **– Tak, puskaj – odezwała się krzykliwie. Z tą grupą powinnam już na lewo skręcić, do tego osiedla.** – Zadzwoń do nas, błysnął refleksem Wołodzia

Rys. 415. Do miasteczka Stryj

i zadysponował w tym momencie numerem mojego telefonu. Miał go już na świstku pogniecionej gazety. – Za pół godziny będziemy w Stryju – zaczął normalizować sytuację ze mną.

Cóż to był za niewypał. Nikogo z moich znajomych w Stryju nie zastaliśmy. Wszyscy zostawili mieszkanie pod opieką sąsiadów i nawet nie dowiedzieliśmy się gdzie i na jak długo pojechali. Kręcimy się po mieście bo Wołodzia sądzi, że niewielkie i na pewno kogoś możemy napotkać. Obserwuję przy okazji wiele ciekawych zabytków, sięgam do przewodników, ale Wołodzia czeka tym razem na dzwonek w moim telefonie. **Chciałby zawrócić i spotkać się z tą królową autostopu.** Jemy w barze jakiś obiad, podstępnie skraca czas i nadsłuchuje, tęskni. Wystawia ucho w moją stronę i zaczyna przeglądać książkę telefoniczną, w której przecież autostopowiczki nie ma.

Rys. 417. Cała grupa

Rys. 416. Z daleka widać na jezdni

– O, trzy adresy w Stryju macie – stwierdza dla otuchy. Ja wrócę tą trasą i odwiedzę Sambor, dorzuca kłamliwie jakby to było możliwe w ciągu piętnastu minut.

– Wołodzia, znam trochę te odległości, jedź do Sambora tą samą trasą – podkreśliłem ironicznie – a ja tu zostanę. **Spotkamy się pojutrze we Lwowie.**

Niesamowitą radochę mu zrobiłem. Przecież **„ta sama trasa"** z tą ślicznotką go interesowała, a przy tym była rzeczywiście niezbyt daleko. Odczułem jego nadzieje w uścisku dłoni i na dwa dni zostałem w Stryju sam, korzystając w pełni z licznych i miłych niespodzianek.

Stryj to urocze, wcale nie tak małe miasteczko, bo liczące ok. 70 tys. mieszkańców, położone nad rzeką o tej samej nazwie. Niedawno obchodziło sześćsetlecie swojego istnienia. Znane jest z wielkich powodzi regularnie je niszczących, a przy tym i pożarów. Jakby tego wszystkiego było mało, w XVII w. spustoszenia dokonali Tatarzy. Miało jednak szczęście do handlu i ludzi dźwigających to miasto nieustannie wzwyż. Wymieńmy tu znakomitych starostów w czasach staropolskich, do których należeli m.in. Hetman Jan Tarnowski, Stanisław Koniecpolski, hetman wielki koronny, Jan Sobieski oraz Stanisław Ciołek Poniatowski, ojciec naszego króla. Do rozkwitu miasta przyczyniło się znacząco wybudowanie w 1873 r. kolei żelaznych.

Dzięki nim, miasto zyskało ogromnie dużo połączeń lokalnych i międzynarodowych, atrakcyjnych po dziś dzień.

Przyjeżdżający tu turyści chętnie zapoznają się z jego historią nie wolną od kataklizmów, wzlotów i upadków, tworzących swoistą lub wręcz nieprawdopodobną historię. **Wiele tych nieprawdo-**

Rys. 418. Zauważyła Wołodzię

Rys. 419. Zaproszony gość z pięknymi

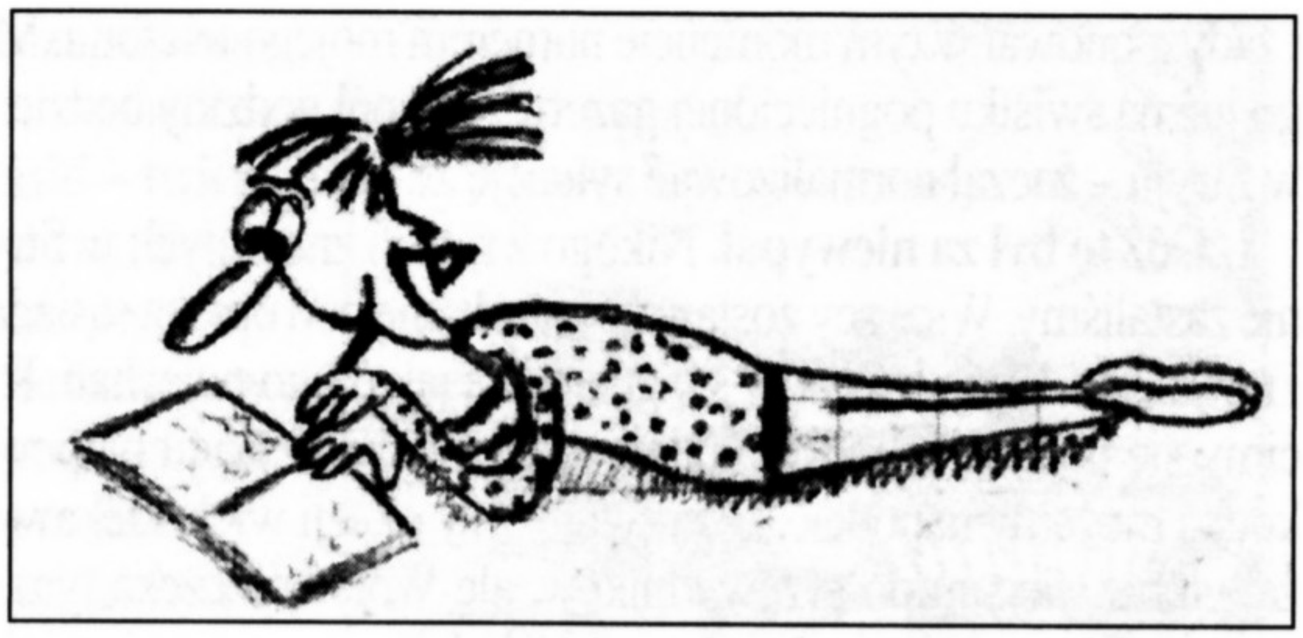

Rys. 420. Za nami czuła się świetnie

podobnych wydarzeń zarejestrowały kroniki II wojny światowej. Już w 1941 r. Ukraińcy dokonali tu słynnego pogromu na Żydach. Z kolei hitlerowcy zgrupowali ich pozostałą część w getcie z przeznaczeniem do likwidacji. **W samym Lesie Chołobotowskim wymordowano ich ok. 1200.** Niektóre aspekty tych tragedii odnajdujemy w powieściach Juliana Stryjkowskiego (właściwe nazwisko Pesach Stark) *Echo* i *Austeria.* **Ta ostatnia jak wiemy zekranizowana została przez J. Kawalerowicza. Stryjkowski (1905–1996) pochodził ze Stryja.**

Rys. 421. Uliczka w Stryju

W kościele parafialnym odnajdujemy tablicę upamiętniającą innego pisarza pochodzącego także z tego miasta, tj. **Kornela Makuszyńskiego**[103]. Kościół z piękną strzelistą wieżą, wybudowany został po zachodniej stronie rynku i ostatnio ładnie został odnowiony z zewnątrz**. W środku, uwagę przyciągają piękne XIX wieczne witraże w prezbiterium. W 250 lecie zwycięstwa Sobieskiego pod Wiedniem wmurowa-**

[103] Szerzej przybliżam go Czytelnikowi w książce Kresy minione i rozmyślania, roz. IX.

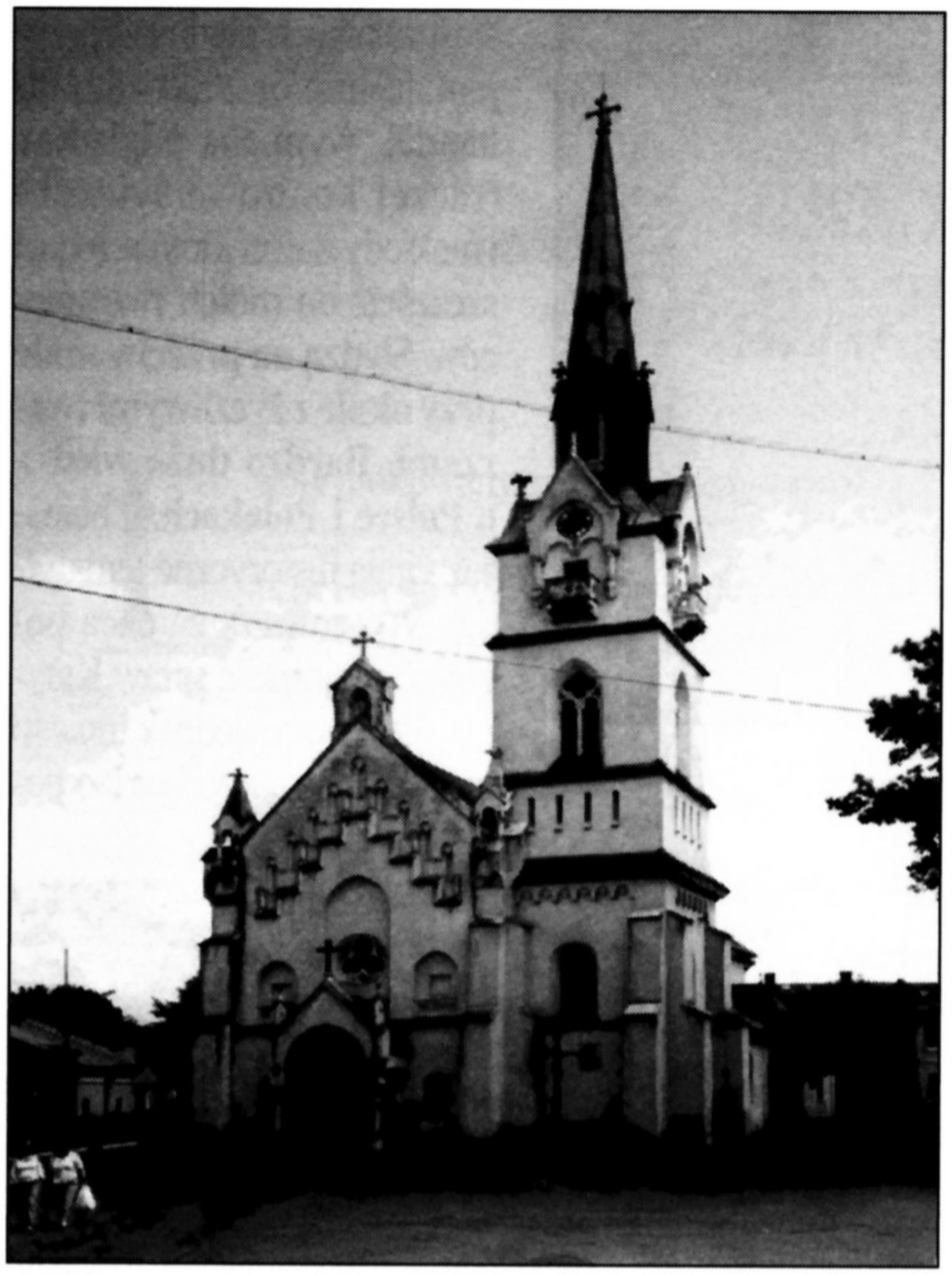

Rys. 422. Kościół farny

Rys. 423. Tablica w kościele z 1933 r.

no w ściany kościoła tablicę pamiątkową w podzięce od mieszkańców miasta. Z rozmów na plebani wynika, że odnawia się życie religijne przytłumione w czasach komunizmu i odbudowuje się także znajomość języka polskiego. Niemałą zasługę ma tu literatura K. Makuszyńskiego odnosząca sukcesy wśród dzieci i młodzieży.

To mała dawka optymizmu z jakim wychodzę na sympatyczną ulicę niewielkich XIX i XX wiecznych kamienic.

Schludnych i w większości także ładnie już odnowionych. **Przy dworcu kolejowym na Kruszelnyćkoj oglądam niewielki neogotycki kościółek Serafitek.** Jakby tych niespodzianek było mało, naprzeciw kościoła jest ciekawy dla nas **budynek dawnego „Sokoła".** Przymierzam się do fotografii i w tym momencie podchodzi starsza pani i niespodziewanie nawiązuje rozmowę po polsku. Dzięki tej rozmowie, mam okazję poznać dużo ciekawostek z ostatniej historii Stryja. Zachęca mnie do obejrzenia Wielkiej Synagogi żydowskiej, która w Stryju szczęśliwie ocalała. **Dowiaduję się przy okazji, że w 1980 r. zaczęto ją przebudowywać na basen, co spotkało się z powszechnym tu potępieniem i zamiaru tego na szczęście nie dokończono.** Miasto, które muszę opuszczać, wydaje mi się coraz ciekawsze. I to nie tyle ze względu na uroki wizualne co ze względu na ludzi dbających o nie i jego dobre imię, dotarło to do mnie w rozmowach w czasie podróży do Lwowa.

Rys. 424. Wnętrze kościoła farnego

W relacji ze Lwowem częstotliwość kursowania pociągów jest znakomita. W ciągu dnia czeka się co najwyżej 30 minut. W pociągach jest

Rys. 425. Pamiątka po Janie III Sobieskim

stosunkowo schludnie i przyjemnie mimo, że kwitnie tu handel, wymiana poglądów (raczej kontrowersyjnych) i niekiedy nawet kłótnia. **Mam szczęście do moich rozmówców. Siedzą na przeciw mnie przy oknie z życzliwymi twarzami. Bardzo dużo wiedzą o Polsce i Polakach.** Chętnie rozwijają historyczne tematy.

Wyczuwam, że chcą pogłębić znajomość spraw Katynia. Tym razem jednak mnie to przeraża, wszak to bardzo bolesny i trudny temat. Szczególnie w kontekście Rosjan, Ukraińców, Niemców. Nie chcę go rozwijać. Przerywam dyskusję i stwierdzam ku ich zaskoczeniu kategorycznie: Katynia nie zrobili ani Niemcy, ani Rosjanie, ani Ukraińcy. **Decyzję „roztrelać" podpisał Kaganowicz, Beria i Malenkow.** A więc to nie naród rosyjski czy ukraiński. To bandyci w najgorszym tego słowa znaczeniu. Spod znaku ludobójców. Nastaje teraz cisza i wielka zaduma. Czuję się tak, jakby cały pociąg czcił w ten sposób naszych bohaterów, o których pamięć zaginąć nie może. A prawda musi być wreszcie dopowiedziana.

Rys. 426. Towarzysze podróży

Położenie i rola

Lwów ulokowany na pograniczu Roztocza, Wołynia (kotliny górnego Bugu) i Podola, a jednocześnie w dogodnym przejściu z Europy południowo-wschodniej do zachodniej był i jest właściwą stolicą tych ziem. **I to tak, jakby to było jakieś odrębne państwo.** Najpierw z powodu tego położenia, bowiem krzyżowały się tu dwa wielkie szlaki komunikacyjne prowadzące znad morza Czarnego (Odessa, Konstantynopol) nad Bałtyk (Gdańsk), jak również ze względu na historyczne uwarunkowania, w których Lwów kulturową rolę stolicy wobec tych ziem pełnił. **Pozostało to jeszcze w strukturze miasta,** bowiem kierunki wylotu jego ulic wyznaczają dawne ulice Zielona i Żółkiewska. Drugi kierunek wiódł od Bramy Morawskiej i Śląska wzdłuż Podkarpacia, wchodził do Lwowa ulicą Janowską, a wychodził – Łyczakowską na Wołyń i Łuck.

„To położenie Lwowa – Jak pisze Stanisław Lencewicz – na krzyżownicy dróg sprawiło, że od najdawniejszych czasów był on ważnym punktem obronnym, toteż jeszcze w XIII w. książę Daniel wzniósł tu zamek, panujący nad przejściem, w którym rozłożyło się dzisiejsze miasto. U stóp góry zamkowej rozłożył się gród ówczesny. Z ilości kościołów i cerkwi tam istniejących można wnosić, że był to gród duży... a co za tym idzie, że już wtedy był on ważnym ośrodkiem handlu pomiędzy Wschodem i Zachodem. Miasto ówczesne rozłożyło się w dzielnicy Żółkiewskiej, jego zarys wyznacza labirynt małych uliczek okalających Stary Rynek.

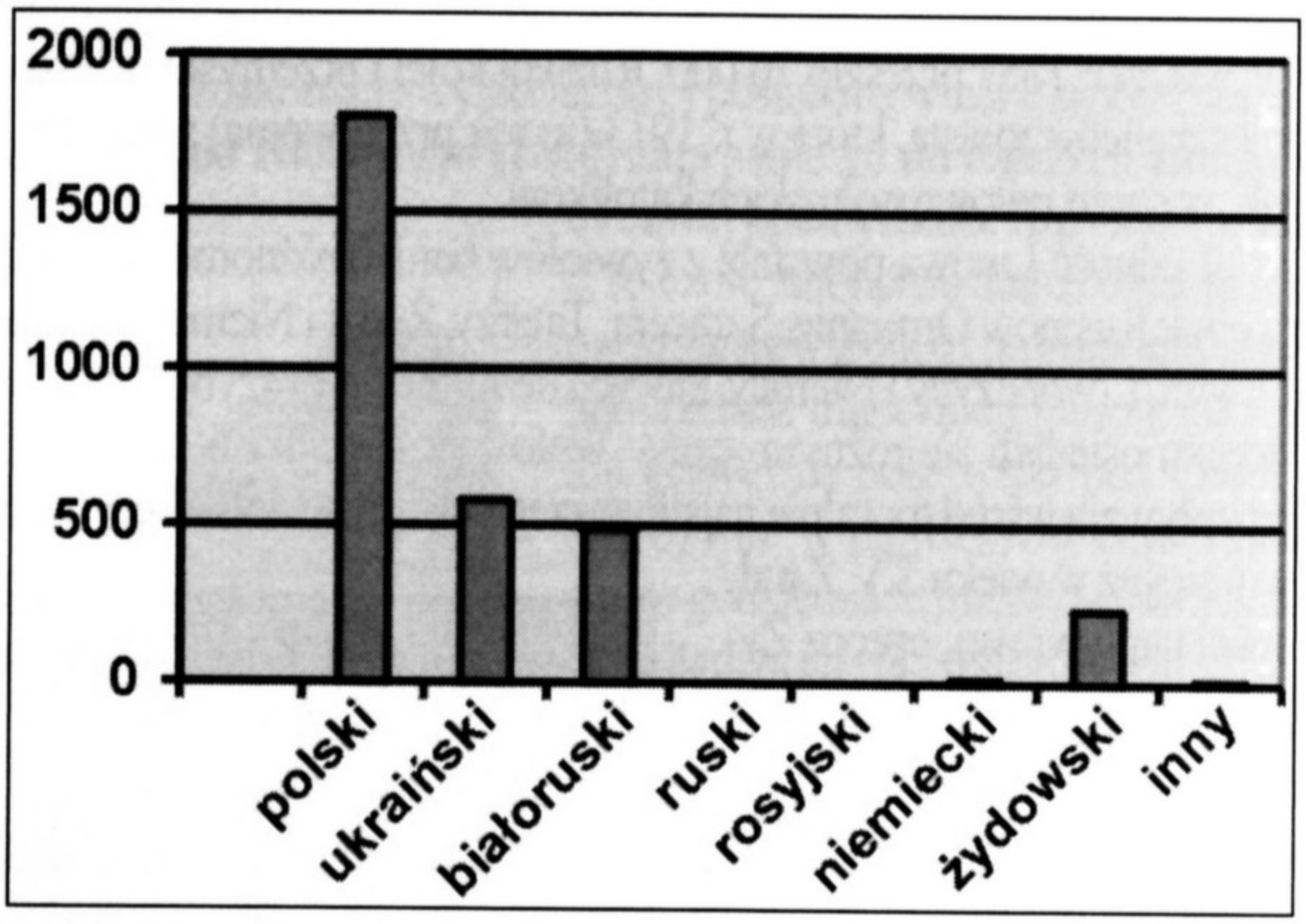

Rys. 427. Woj. lwowskie w 1931 r. wg języków

Następnym etapem w rozwoju terytorialnym miasta było panowanie Kazimierza Wielkiego. Wybudowany ...Lwów otoczył on podwójnym murem, z których wewnętrzny biegł ulicami: Podwalem, Sobieskiego, Hetmańską i Skarbkowską. Zewnętrzny mur, fosa i wał zajmowały przestrzeń ulic Czarnieckiego, Strzeleckiej, Legionów i Wałowej. Zmieniono też wtedy bieg Pełtwi. Przedtem biegła ona ulicami Koralnicką, Sokoła, Bielawskiego, Szajnochy, Rzeźnicką, Słoneczną. Za czasów Kazimierza przesunięto ją w ulicę Akademicką, skąd część wody kierowano w ulicę Krzywą na młyn, resztę zaś wpuszczono do fosy, którędy Pełtew płynęła do placu Krakowskiego. Tam łączyła się ona z dopływem, płynącym ulicą Teatyńską i fosą północną, poczym woda odpływała ulicą Pełtewną do starego koryta.

Stopniowo miasto rozrastało się poza murami...po terenach równiejszych. Liczne wzgórza utrudniały koncentryczny rozwój miasta, wskutek czego przyjęło ono w planie kształt palczasty. Znoszenie fortyfikacji miejskich w latach 1770–1820 ... wpłynęło dodatnio na dalszy rozwój Lwowa, który zwłaszcza szybko

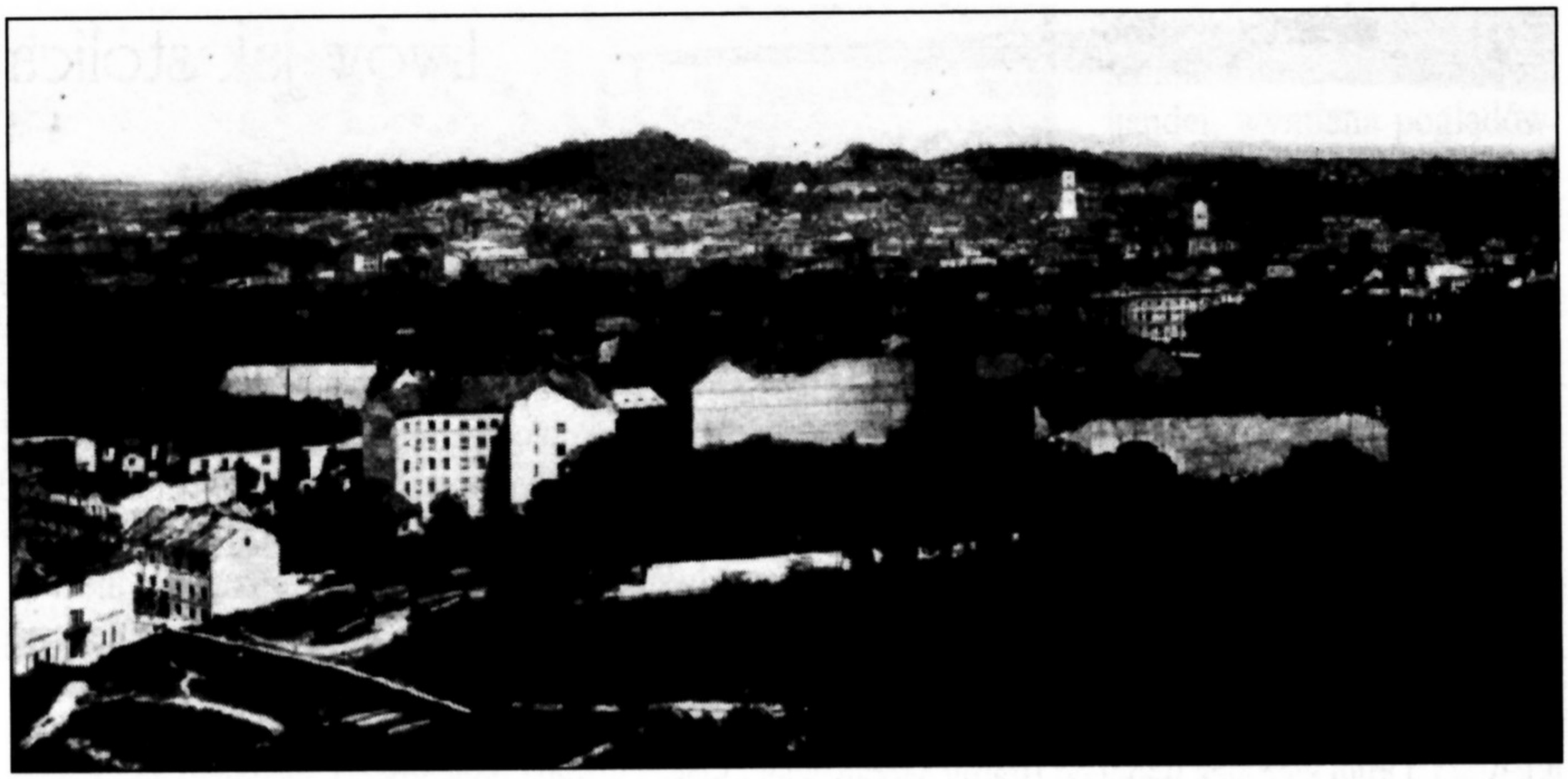

Rys. 428. Widok na Lwów i Wysoki Zamek (St. Lencewicz)

i pokaźnie zaznaczył się po przeprowadzeniu kolei w latach 1860–1870. Teraz miasto zaczyna się różniczkować: na północy i zachodzie, bliżej kolei, wyrastają dzielnice przemysłowe i robotnicze, na południu i wschodzie rozwija się budownictwo willowe. W roku 1405 Lwów miał 4000 mieszkańców, w r. 1776 – 29 500, w r. 1857 przeszło 70 000. Rozwój kolei i przemysłu w końcu XIX wieku podnosi znacznie liczbę mieszkańców miasta, która w r. 1913 (tj. rok przed wojną) wynosiła 212 000. Obecnie Lwów ma 316 000 mk, w czym połowę rzymskich katolików.

Ludność Lwowa powstała z żywiołów bardzo różnorodnych. Już za czasów książąt ruskich mieszkali tu obok Rusinów Ormianie, Saraceni, Tatarzy, Żydzi i Niemcy. Za czasów polskich przybyli jeszcze Polacy, Litwini, Liwończycy i Niemcy, których nowe zastępy przybyły znów za czasów austriackich. W mniejszym stopniu osiedlali się różnymi czasy Wołosi (Rumuni) i Węgrzy. Z biegiem czasu wynaradawiają się oni i rozpływają wśród moralnie najsilniejszego elementu polskiego. Na przykład Tatarzy i Saraceni wynarodowili się już w wieku XV. Z ludności napływowej, oprócz Żydów, najdłużej odrębność narodową zachowali Ormianie...

Rys. 429. Kościół św. Jura na starej widokówce

Trudnili się przemysłem i handlem, a przez to zjednali sobie dostatki i znaczenie, Lwów bowiem od wieków był wielkim targowiskiem pomiędzy Wschodem czarnomorskim i Zachodem. Aż do pierwszego rozbioru życie gospodarcze i handlowe ogniskowało się tu w końcu zimy na wielkich targach, które po roku I772 przeniesiono do Dubna, a po I798 do Kijowa. Od początku wieku XVI Lwów jest już miastem polskim, rozsadnikiem kultury, promieniującej dzięki kupiectwu lwowskiemu daleko na wschód. Ale też jako miasto bogate, a przy tym położone

w ważnym punkcie strategicznym, Lwów ściągał na siebie wielokrotnie nawałnice wojenne..."[104].

Mimo różnych kataklizmów, Lwów zachował dużo ze swej dawnej historii. Nie potwierdziły się moje wyobrażenia ukształtowane przed przybyciem tutaj, bowiem szkicowały to miasto raczej jak na bezludnej wyspie i w czarnej perspektywie. Teraz widzę, że z dużą przesadą, bowiem dzisiejszy Lwów nadal ma się czym szczycić a i atrakcje swojej ziemi zachował. Doświadczenia i skarby zbierał przecież z całej okolicy. Każde miasto na Ziemi Lwowskiej było i jest z nim ściśle powiązane. Busk, Olecko, Przemyślany, Żółkiew, Złoczów, Jaworów, Gródek Jagielloński to między innymi satelity powiązane ze swoją stolicą od lat. **Gdziekolwiek tu trafisz to tak, jakbyś był w samym Lwowie. Choćby wspomniana tu Żółkiew jest tego wiernym przykładem.** Mimo woli, przenosi cię od razu do wielkiej historii tej ziemi. To przecież ulubione **miasto króla Jana III Sobieskiego.**

Rys. 430. Schody do kolegiaty pw. Królowej Niebios

Zaraz po wiktorii wiedeńskiej dwór królewski zorganizował tu wielkie uroczystości dziękczynne i niebywały pokaz trofeów. Na błoniach podmiejskich rozłożono olbrzymi obóz ze zdobycznych tureckich namiotów i miasto oddychało prawdziwie wielką historią. **Miało ku temu prawo.**

Wielki hetman koronny Stanisław Żółkiewski, założyciel miasta, był spowinowacony z matką Jana III Sobieskiego Teofilą z Daniłowiczów. Sam był znakomicie wykształcony i posiadaną wiedzę łączył z walorami wybitnego wodza. **Słynne zwycięstwo pod Kłuszynem (1610) zaprawiło go do dalszych zmagań o rozwój i pomyślność Korony.** Troska o tę cześć uhonorowana została przez mieszkańców Żółkwi pośmiertnie. Zginął przecież tragicznie (Tatarzy odcięli mu głowę) na polu walki pod Cecorą (1620) i tu, w największej sławie spoczął w podziemiach miejscowej kolegiaty. Odtąd, ta sława i miasto to On.

Rys. 431. Fragment zamku

Do czasów sowieckich, bowiem wraz z ich nadejściem **przemianowano od razu Żółkiew na Niestierów.** Naprawdę do dziś nie rozumiem dlaczego lotnik zestrzelony w czasie I wojny gdzieś w dalekich stronach musiał zostać właścicielem Żółkwi. Więc klękam na schodach tej kolegiaty, wszak to naprawdę wspaniała i wzruszająca historia naszego narodu. **Jakże krwawo zapisana później w latach II wojny światowej.** Jej okrucieństw znałem tyle, że już nic nie powinno mnie dziwić, ale tu w Żółkwi odżywają na nowo i nieustannie zaskakują. Przy każdym kamieniu i zabytku. Co istotne, doświadczenia te rozciągam na całą Lwowską Ziemię, której Lwów i w tej płaszczyźnie traktuję jak prawdziwą stolicę tej krainy. Rzeczywiście, zbierała ona zarówno radości jak i łzy. Bo takie było jej położenie i rola. Odnajdywałem to w wędrówkach niejednokrotnie.

---

[104] Stanisław Lencewicz, op. cit.

Wyprawa do Żółkwi

Łączyłem te skojarzenia z tekstem św. Augustyna, który twierdzi, że świat jest jak duża księga. Jeśli nie podróżujesz, to tak jakbyś czytał tylko pierwszą stronę. Więc w duchu tej prawdy silę się na poznanie niektórych satelitów Lwowa. Tych wyżej wymienionych. Okazja podrzuca mnie do Żółkwi. Wyposażony w najrozmaitsze informatory i przewodniki, kręcę się cały dzień po tym nie wielkim dziś miasteczku wdzięczny Opatrzności, że tu mnie przyprowadziła. Mam okazję docenić jedność Miasta ze swoją lwowską ziemią.

Rys. 432. Centrum Żółkwi

Ale uspokojenia ducha nie doznaję. Trafiam do jakiejś olbrzymiej restauracji opustoszałej jak w Sodomie czy Gomorze i rozkładam literaturę prezentującą sceny z ostatniej wojny. **Dziwnie z Sodomą i Gomorą przeze mnie kojarzone.**

„W dekanacie Żółkiew – czytam – mieszkało 25 135 Polaków. Dekanat miał 13 parafii. Kłodno Wielkie liczyło 1525 Polaków, Kukizów 630, Kulików 1093. Magierów 1811, Mosty Wielkie 2812, Potylicz 1120, Rawa Ruska 6217, Rzyczki 1069, Wiesenberg 819, Żółkiew 5607, Żółtańce 936.... terror ukraiński szalał przeogromnie i dawał się polskiej ludności ciężko we znaki. Grasujące na pobliskim Wołyniu bandy banderowców sięgały swoimi wypadami na teren dekanatu żółkiewskiego i powodowały w nim ciężkie i dotkliwe szczerby w elemencie polskiej ludności oraz jej mienia.

Dla ilustracji wystarczy przypomnieć napad banderowców w 1944 r. na wieś Krechów, należącą do parafii Żółkiew, w którym zginęło wielu Polaków, między innymi Stanisław Rogula. Banderowcy usiłowali go zabić, ale jego siostry zasłoniły go, wówczas został zastrzelony. Na ten widok matka zabitego dostała ataku serca...

We wsi Wola Wysocka w 1944 r. zginęło 187 (sto osiemdziesiąt siedem) Polaków, których pogrzebano w jednej wspólnej mogile. Ks.

Rys. 433. Kościół Dominikanów

Rys. 434. Na żółkiewskim rynku

Kajetan Gruszecki ze Złoczowa doniósł o zamordowaniu 14 stycznia 1944 r. w Kruhowie 16 Polaków. Ks. Kazimierz Wałków..."[105].

Nie chcę dalej przerażać czytelnika i cytować tego wielce ważnego dzieła dla naszej historii. Wiem, że rodacy mnie podobni, mają zbyt obolałe już serca wnikając w moje teksty. Dla tych, którzy jeszcze nie boją się poznawać takich dokumentów podam tylko, że koniecznie winni zapoznać się z cytowanym tu dziełem w całości. Wraz z nim pominąć nie można także innego wielkiego dzieła (również objętościowo) opracowanego pod red. **Henryka Kamińskiego i Szczepana Siekiery: *Ludobójstwo* dokonane przez nacjonalistów ukraińskich na Polakach w woj. tarnopolskim 1939–1946**[106]. Dowiedzą się o niewyobrażalnych jeszcze sposobach ludobójstwa, czy charakteru współczesnej Sodomy i Gomory.

„...Ukraińcy mordowali ludność polską z premedytacją, mieli przewagę, bo byli w większości na tych terenach...

Ile przecierpieli Polacy kresowi, tego żadne pióro w pełni nie odda! Opisy Stanisława Padlewskiego podane w „*Przemarsz przez piekło*"... są jeszcze niczym w porównaniu z wyrafinowanymi zbrodniami popełnianymi przez banderowców na kresowej ludności polskiej. Życie ludzkie, a zwłaszcza pamięć ludzka, ma to do siebie i tę właściwość, że w miarę, upływu czasu usiłuje zacierać przykre wrażenia doznanych przeżyć.

Rys. 435. Wejście do Zamku

---

105 Ks. bp Wincenty Urban, Droga Krzyżowa Archidiecezji Lwowskiej w latah II wojny światowej, 1939–1945,, Wrocław, 1983, 137–138.

106 Henryk Kamiński, Szczepana Siekiera, Ludobójstwo dokonane przez nacjonalistów ukraińskich na Polakach w woj. tarnopolskim 1939–1946, Wyd. Norton, Wrocław, 2004.

Rys. 436. Arkady przy Kolegiacie

Mimo to, przegląd zebranego tutaj od świadków, ustnego i pisemnego materiału, nie jest całkowity. W klęskach owych dni trudno było się silić na wyczerpanie. Ma on charakter raczej fragmentaryczny. Chcę oddać przynajmniej „odrobinę, owych bolesnych lat w dziejach Narodu polskiego". Początkowo po wybuchu wojny 1939 r. „nic nie zapowiadało pożarów i mordów, strasznej gehenny jaką ludność polska miała przeżywać". Po klęsce stalingradzkiej, przy cofaniu się Niemców, gdy Armia Sowiecka nie weszła jeszcze w granice Polski, rozpoczęła się niesamowita groza mordów i pożarów. Sierpień 1939 roku był miesiącem ogólnej gorączki psychicznej i niepewności. Mówiono już wtedy wiele o wojnie i spodziewano się jej, ale wybuch jej nagły zaskoczył całe polskie społeczeństwo. Rankiem l września 1939 roku zjawiły się nagle nad spokojnym jeszcze Lwowem niemieckie samoloty i zasypały ważniejsze ośrodki i arterie komunikacyjne gradem bomb.

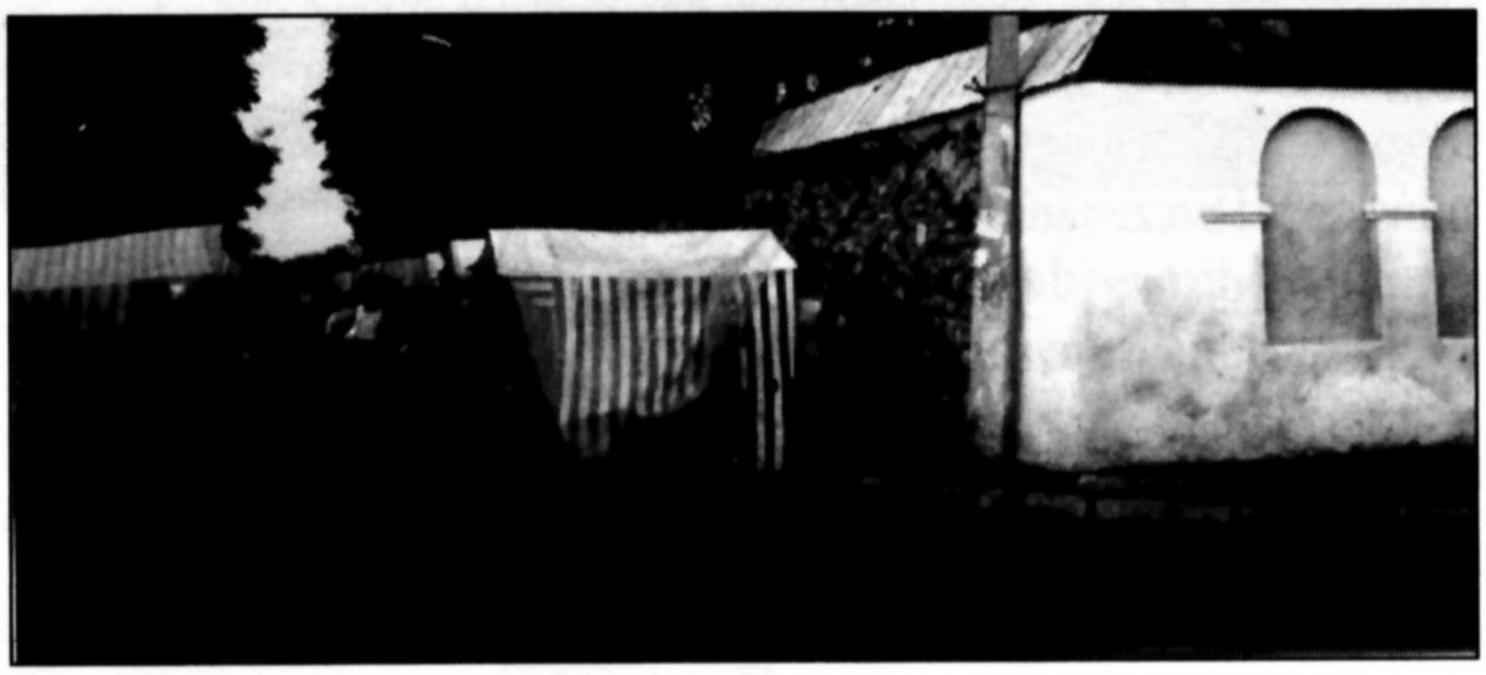

Rys. 437. Bazar przy kościele Dominikanów

Rys. 438. Muzeum zamkowe

Huki eksplozji złowieszczym i złowrogim echem rozległy się w całej okolicy, zwiastując smutny i bolesny jęk wojenny. Od tej chwili wypadki następowały już bardzo szybko. Już w pierwszych dniach tłumy uciekinierów zmierzających ku wschodnim rubieżom Polski, przynosiły bardzo niepocieszające wieści. Zaczęły się też pojawiać grupy rozbitych polskich oddziałów wojskowych. Zaczął się odwrót ku Wschodowi, a potem obrona Lwowa, obrona naprawdę bohaterska mimo technicznej przewagi wroga. Ponad Lwowem grały ciągle armaty i pojawiały się ciągle eskadry samolotów niemieckich, zasypując miasto bombami. Żołnierz polski bronił się jednak bardzo dzielnie.

Rys. 439. Fragment dawnej architektury

W tym stanie rozeszła się wieść, że w dniu 17 września Armia Radziecka przekroczyła granice Polski.

Przy braku prawdziwych wiadomości radiowych, przy ogólnym zamęcie. krążyły na ten temat najrozmaitsze wieści o zbliżającej się Armii Radzieckiej. Mówiono, że szła ona z pomocą i przynosiła „wyzwolenie".

Wioski polskie były przepełnione. W Biłce Szlacheckiej i Królewskiej jako „polskich wioskach" utworzył się w 1939 r. prawdziwy obóz wojskowy i cywilny. Uciekinierzy polscy po wyjściu ze Lwowa czy też jego obejściu, ...kierowali się przeważnie dla odpoczynku i noclegu do tych wsi, ponieważ okoliczne wsie, zamieszkałe w większości przez ludność ukraińską, niosły dla zmęczonych uciekinierów: mord, śmierć, i ograbienie. Były napady, mordowanie polskich żołnierzy w Czyżykowie, Hermanowie. Mordowano też oficerów i cywilów...

Część zebranego Wojska Polskiego w Biłce rozbroiła się, a część przeprowadził w nocy przez trakt (Lwów-Tarnopol) w kierunku południowym, omijając zręcznie sowieckie patrole, Biłczanin Jan Sękowski, syn Wincentego. Czy wszyscy ci żołnierze doszli do Węgier, dokąd zamierzali iść, nie wiadomo. Sękowski w drodze powrotnej nie wytrzymał nerwowo na widok patrolu sowieckiego i zaczął uciekać, krok ten go zgubił, poległ w pobliżu już swego domu.

Rys. 440. Zaszokowany student

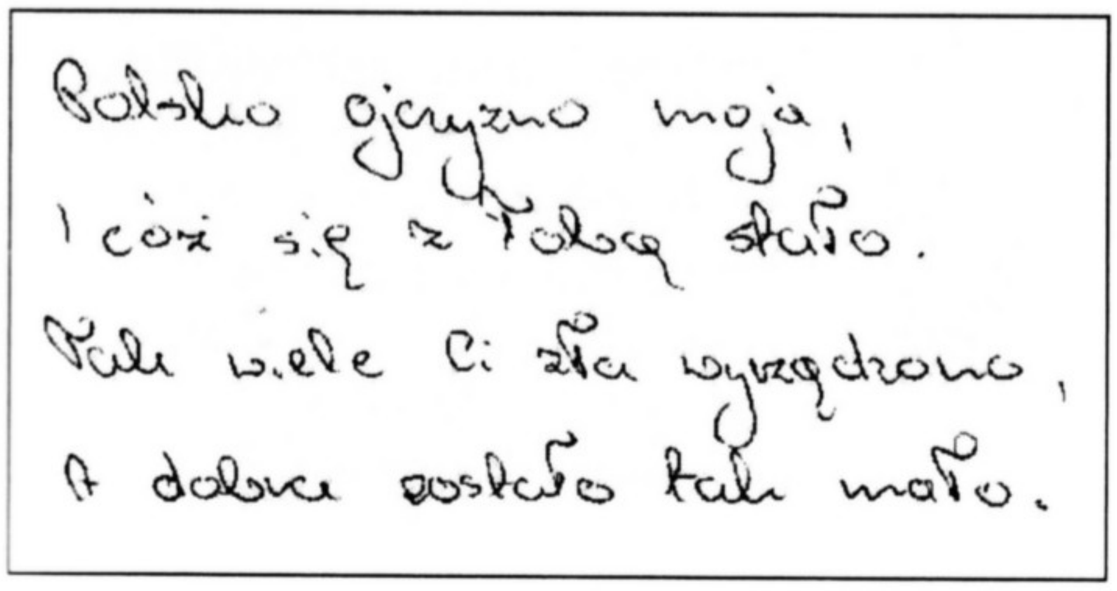

Rys. 441. Fragment jego poematu

W dniu 22 września Wojsko Sowieckie zajęto Biłkę Szlachecką. Wojsko zachowywało się przykładnie. Trzymało się z pewną rezerwą względem miejscowej ludności, jedynie jakiś żołnierz obalił przy drodze hermanowskiej na Łysej Górze krzyż przydrożny. W początkowej fazie hasła głoszone w związku z przybyciem **Armii Radzieckiej miały dość licznych**

Rys. 442. Restauracja niedawno wybudowana

siądziecie się do innego stołu. Zostawiam niedokończony obiad, ale zabieram podaną już kawę i przechodzę do końca ogromnej sali. Siadam przy wielkim oknie i zaczynam przeglądać zdjęcia. Obserwuję jak ten wielki pusty lokal zapełnia liczna grupa dorastającej młodzieży (chyba z wakacyjnego obozu sportowego), czymś umęczonej jak ja. **Niektórzy, wręcz słaniają się na nogach, ale ściśnieni jak jedno, z pełnym samozaparciem wciskają się do bufetu wyłapując dostępne napoje wystawione do ich dyspozycji.** Na nic i na nikogo nie zwracają uwagi. Zwijam manele i wychodzę w podcienia jakiejś kamienicy nieopodal rynku. Zagubiony przybysz niczym ja sam, pyta mnie o jakiś adres. Pojęcia nie mam. Zaczyna się jednak interesująca rozmowa.

Rys. 444. Odkopywanie starych murów

sympatyków, zwłaszcza wśród ludności biedniejszej. Wnet jednak rozeszła się wieść, nastało wyzwolenie „Zapadnej Ukrainy". Nie mówiono już o Polakach, tylko o Ukrainie i ukraińskim mieście – Lwów"[107].

Akurat w chwili przeglądania tych stron, podenerwowana kelnerka nie wiedzieć czym, choć zapewne moim zachowaniem wszak prawie nie reaguję na jej pytania, przerywa gwałtownie moje rozmyślania.

– Wycieczka przychodzi – oznajmia kategorycznie, może prze-

Rys. 443. Młodzieżowi goście

Dowiaduję się, że **Żółkiew obecnie ma ponad 13 tys. mieszkańców.** To małe i bardzo sympatyczne – jak twierdzi – miasteczko. Ma bardzo interesujące zabytki i bogatą historię. Pierwsze o niej wzmianki pochodzą z r. 1368. **Na początku XVII w. zbudowano tu imponujący zamek Żółkiewskich,** rozbudowany kolejno przez nowych właścicieli Sobieskich i Radziwiłłów. Po r. 1945 znalazły w nim niestety miejsce koszary wojskowe i zostawiły po sobie wielce dewastacyjne ślady. Domyślam się, że mój znakomity informator, to nauczy-

[107] Ks. bp, Wincenty Urban, Droga Krzyżowa...op. cit., s. 4–6.

Rys. 445. Urok dawnej Żółkwi

ciel z nieodległej wioski, w której zadomowiła się młodzież wakacyjna przybyła teraz na posiłek w restauracji, którą przed chwilą opuściłem. Podobnie jak on. Wyszedł na umówione z kimś spotkanie i zostawił młodzież pod opieką pozostałych nauczycieli.

Korzystam z okazji i podążam z nim w stronę rynku. **Jeszcze raz podchodzę do słynnej kolegiaty, która pamięta apogeum i upadek miasta.** Nieoczekiwany przewodnik nadal sypie wiadomościami jak z rękawa. Informuje, że kolegiata wybudowana została z fundacji Żółkiewskiego. **We wnętrzu znajdują się nagrobki Daniłowicza i Sobieskiego wykonane dłutem A. Schuttera** (dawniej były tu obrazy M. Anatomontego). Aż dziw – twierdzi, że przetrwały okres szalonej dewastacji po 1945 r.

Na szczęście obecnie przywracane są w ramach trudów kościoła rzymskokatolickiego działania odbudowy i zagospodarowania całego obiektu. Taki sam proces dotyczy klasztoru i kościoła Dominikanów. Cały obiekt wybudowany był w latach 1653–1655. W nieco lepszej sytuacji pozostał kościół bazylianów (1612, XVIII, XX), synagoga (2. poł. XVII, XIX, XX w.), cerkiew drewniana z XVII w. i niektóre cenne kamienice w rynku (XVII, XVIII w.). **Chyba taka jest cała ziemia lwowska a i sam Lwów** – dodaje. Przy jakimś fragmencie wykopalisk rozstaję się z nieoczekiwanym dla mnie nauczycielem, mając w głowie pełno bulwersujących wyobrażeń. Sądzę, że i on odszedł zadumany. Chyba nad tym samym co i ja: historią tej ziemi.

Nurtuje mnie szczególnie okres świetności Żółkwi, ważnego satelity Lwowa jeszcze z czasów „semper fidelis" kiedy bronił siebie i całej okolicy jako stolica Rusi Halickiej przed różnymi wojskami (m.in. węgierskimi, litewskimi i tatarskimi) walczącymi tu o swoje wpływy. **Cała Ruś Halicka została wtedy pokonana** i w efekcie Lwów jako jej stolica, szczęśliwie przeszedł w 1349 r. pod zarząd polski. Odbudowa była ciężka, ale nie beznadziejna. Korzystając z królewskiego wsparcia już w 1356 r. uzyskał prawa miejskie. **Od XIV w. staje się znów stolicą Rusi i dzieli wraz z nią wszystkie losy państwa polskiego przez cztery kolejne wieki. Ale jest już wtedy głównym ośrodkiem województwa ruskiego, należącego do Rzeczypospolitej i pełni jej ważną rolę.** Warto przynajmniej to wspomnieć.

Wzloty i upadki Lwowa

Gdy patrzy się na mapę II Rzeczypospolitej to Lwów jest jakoś dziwnie blisko Warszawy. Tym bardziej, że dziś, świat się zmniejszył i stanowi „globalną wioskę". **Ale kiedyś kontakt z nim nie był taki łatwy.** Wykazywał więc dużo samodzielności, by unikać nadmiaru kosztów związanych z łącznością i podróżami. Staje się w wyniku tego jakby sam sobie centrum i to najważniejszym całych południowo-wschodnich ziem Rzeczypospolitej. **Nie trzeba dodawać, że bardzo szybko się usamodzielnia i rozwija.** Dość wspomnieć, że z 12 tys. miasteczka (w końcu XVI w.) w połowie XVII w. urasta do miasta z ludnością ponad 33 tys., wykazującą w dalszych okresach niezwykle silną dynamikę. Podtrzymuje trendy historyczne i ujawnia życiową prężność. W oparciu o tradycje, ludność tworzy jeden wielki organizm wielonarodowy: Polaków, Rusinów, Niemców, Żydów, Ormian i in. **Tę jedność miastu gwarantuje semper fidelis. Działa tu przecież jak w żadnym innym mieście aż trzy metropolie: katolicka, prawosławna i ormiańska.** Działa też od XVII w. uczelnia wyższa (1661) pod nazwą Akademii Jezuickiej.

Miano semper fidelis jako obrońcy wiary ma szczególny sens w okresie tamtych XVII wiecznych wojen kiedy musiał wziąć na siebie wielką rolę militarną. Był przecież napadany i oblegany przez Tatarów (1620) i wojska kozackie (1648 i 1655) pod wodzą Chmielnickiego. Nie brakowało też i innych

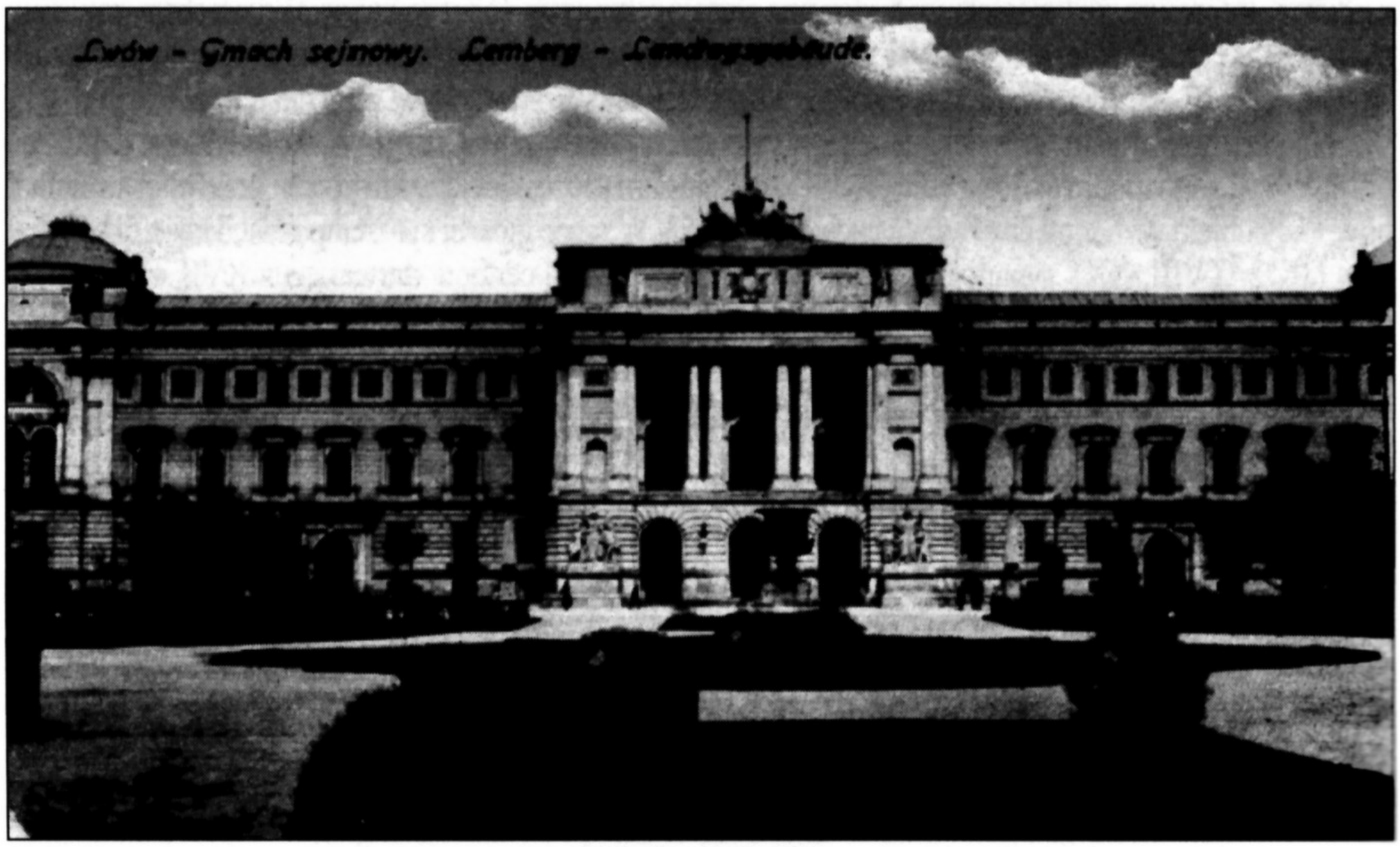

Rys. 446. Lwów na starej widokówce

„wyzwolicieli". **W obliczu nieustannych napaści słabnie jednak i podupada na tyle, że zostaje zdobyty i niesamowicie splądrowany w 1704 r. przez wojska szwedzkie Karola XII.** Jakie to szczęście, że ostała się wtedy nasza cudowna Jasna Góra a nawet podobno i działo Zagłoby karmione przez niego słynnymi naści piesku kiełbaskę. **Któż nie pamięta tych symbolicznych słów z *Potopu* Sienkiewicza i znaczenia obrony Jasnej Góry przed Szwedami.**

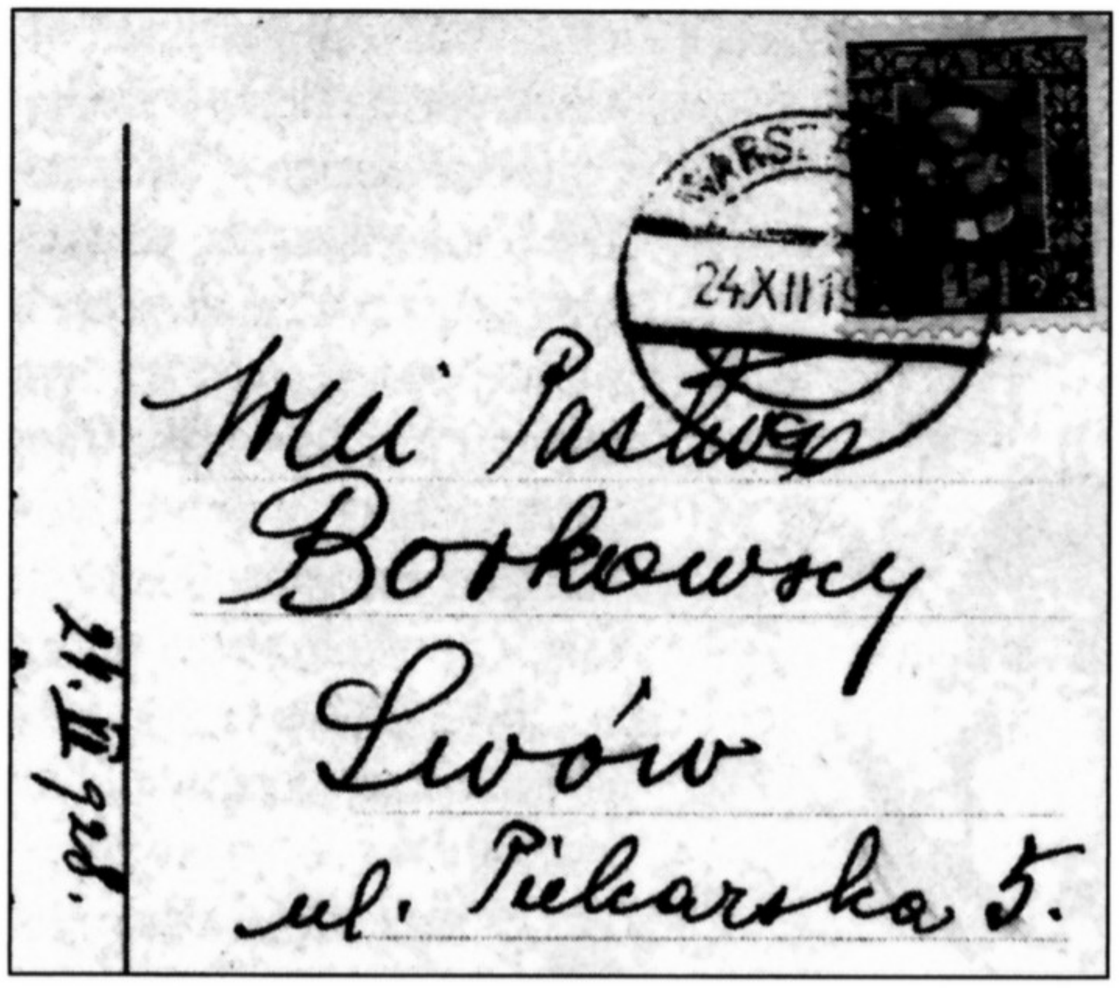

Rys. 447. H. Sienkiewicz na znaczku pocztowym

Lwów wtedy swoje bogactwa jednak utracił. Jedynie wiara została i jął się podciągać znów do nowoczesności. Wkrótce nią zabłysnął. Już w 1878 r. pojawiły się tu wodociągi i kanalizacja (znane w Krakowie dopiero od 1901 r.). Zapaliły się też latarnie gazowe, które Wilno ujrzało znacznie później. Co ważniejsze, w Warszawie zachwycano się pierwszymi żarówkami elektrycznymi, gdy tym czasem we Lwowie otwarto już dużą elektrownię. **Na piętnaście lat przed tym uruchomiono pierwszą linię telefoniczną pomiędzy Lwowem-Krakowem i Wiedniem.**

To nowość, która zaświeciła jak i nowatorska lampa naftowa Łukasiewicza pracującego wtedy w aptece lwowskiej. Rozświetlała ona na stałe ciemności świata, sprzyjając wyzwalającej się Ojczyźnie. Ułatwiała walkę z biedą, epidemią chorób zakaźnych i wielką umieralnością wśród ludności. **Kto wie, czy poprawa sanitariatu Lwowa w wyniku uruchomienia wodociągów i kanalizacji, a także wynalazek właśnie lampy naftowej to nie decydujące kroki na drodze do wydobycia się ze zniszczeń i zagłady rozsiewanej wojnami.** Tym bardziej, że we Lwowie funkcjonowało już od dawna szkolnictwo wyższe. Sprawne i nowoczesne jak w wielkich stolicach Europy.

Rys. 448. Na starej widokówce

To za jego pośrednictwem ruszył dumnie w 1894 r. pierwszy tramwaj elektryczny na ulicy Lwowa. Pierwszy **w ogóle w Polsce.** Wyprzedził więc nie tylko Warszawę ale i Moskwę, nie mówiąc już o wielu

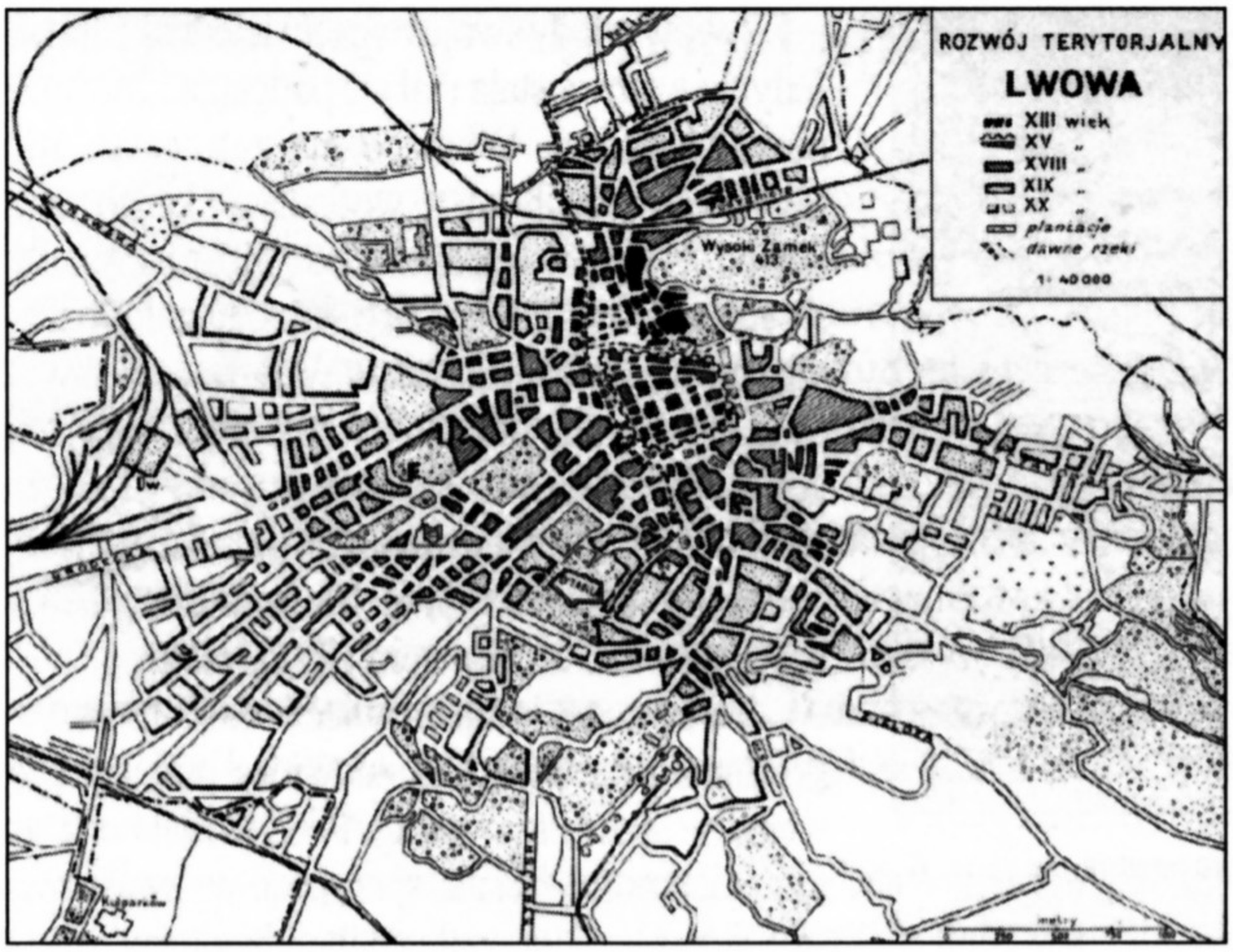

Rys. 449. Plan miasta Lwowa

innych ważnych ośrodkach cywilizacyjnych Europy. Dodajmy też, że dlatego i Pełtwa została osłonięta przed ewentualnymi zanieczyszczeniami przemysłu i puszczona zakrytym korytem pod Lwowem. Chociaż czuję brak jej widoku, gdy patrzę na panoramę miasta, to wiem, że ekologowie widzą szerzej te sprawy i moje dolegliwości słusznie zapewne lekceważą.

Zresztą, rzeka niesie niestety wiele już nie najlepszych wód a miasto rozwija się spokojnie na wyższym poziomie kultury. Wspaniale, że rozwoju tego nie zawróciły kataklizmy wojenne dawnych i współczesnych lat. **Mimo zniszczeń odzyskało miasto swoją świetność wkrótce po I wojnie światowej i dopiero ostatnia tragedia wojenna okresu 1939–1945 okazała się najbardziej tragiczna.** Dlatego słusznie chyba piszą Autorzy przewodnika po Zachodniej Ukrainie:

„Zabójczym dla Lwowa miał się dopiero okazać okres 1939–1945 i jego konsekwencje. Wprowadzenie autonomii umożliwiło niezwykły rozkwit życia kulturalnego i politycznego. Nie sposób tu wymienić wszystkich towarzystw i osób –Polaków i Ukraińców, gazet, wydawnictw, które zaistniały i przewinęły się przez stolicę Galicji Londomerii.

We wrześniu 1939 r. bezskutecznie szturmowany przez wojska niemieckie, poddał się dopiero Sowietom. Po klęsce wrześniowej we Lwowie znalazło się wielu pisarzy i naukowców polskich, a część z nich podjęła nawet współpracę z tutejszymi instytucjami sowieckimi. Działał tu np. T. Boy-Żeleński. Po ataku Niemiec na ZSRR w czerwcu 1941 r. NKWD rozstrzelało m.in. w osławionych Brygidkach ponad 8 tys. uwięzionych uprzednio Ukraińców, Polaków i Żydów. Następny najeźdźca nie okazał się lepszy – w nocy z 3 na 4 lipca 1941 r. Niemcy, przy współudziale batalionu Nachtigall, aresztowali i rozstrzelali grupę wybitnych przedstawicieli nauki i kultury polskiej (m.in. K. Bartla, T. Boya-Żeleńskiego, A. Cieszyńskiego, W. Dobrzanieckiego, R. Longchampsa de Beriera, W. Krokowskiego, A. Łomnickiego, T. Ostrowskiego, S. Ruziewicza, K. Vetulaniego).

Po wyzwoleniu Lwowa w wyniku walk 23–27 lipca 1944 wojsk sowieckich z udziałem jednostek Lwowskiego Okręgu AK pod dowództwem płk. W. Filipkowskiego

Proklamation

An die Bevölkerung von Galizien!

Bürger und Bürgerinnen!

Es lebe Großdeutschland! Es lebe seine siegreiche Wehrmacht!

Es lebe der Führer Adolf Hitler!

Frank

Проклямація

До населення Галичини!

Горожани і Горожанки!

Rys. 450. Proklamacja lwowska z 1 sierpnia 1941 r.

miasto niestety pozostało w rękach sowieckich, o czym zadecydował Stalin. Po zakończeniu działań wojennych przesiedlono większość Polaków do kraju. Okres sowietyzacji to czas stagnacji i popadania miasta w otchłań prowincjonalności. Dziś Lwów na powrót walczy o odzyskanie dawnej pozycji metropolii, tym razem w ramach wolnej Ukrainy. Czy się to powiedzie? Z pewnością, ponieważ miasto nie ma innych konkurentów w regionie"[108].

Współcześnie czuje się jednak brak pieniędzy na ratowanie wielkiego dziedzictwa kulturowego, dopóki ono jeszcze nie uległo całkowitej zagładzie. Wiele bowiem innych spraw, zaczyna się kształtować w wyniku korzystnych procesów i przeobrażeń ukraińskich coraz lepiej. Organizuje się współpracę na coraz większą skalę, nie ograniczając się do tradycyjnych konferencji, spotkań przedstawicieli władz, festiwali, itp. **Jest nadzieja na to, że można będzie wkrótce podróżować spokojnie przez granicę, która tak straszliwie do tej pory dzieliła nasze kraje.** Niech więc zabytki i historia zaczną wreszcie nasze narody łączyć. Na pewno to będzie druga młodość Lwowa, ciągnącego przyjaciół jak magnez wielkością swoich dziejów. Być może przemówi na nowo każdy kamień nierzadko autorsko podpisany, bo też i wiele ma nam do opowiedzenia. Chcę być w tym odpowiedzialny.

Ślady minionej kultury

Do kultury wszystko należy, z wyjątkiem natury. Może właśnie dlatego fraza „kultura-natura" wyraża dychotomię tych pojęć. **Tu, we Lwowie ta najkrótsza definicja kultury zdaje praktyczny egzamin**. To wspaniała natura (czytaj przyroda) i rozległa kultura z historią wymieszana. Jednak stworzoną jedność trudno rozpoznać. **Wprost nie da się rozdzielić. Więc całym tym światem głęboko oddycham, od początku moich lwowskich dni.** W upalne południe staję przy fontannie na rynku wzruszony pięknem widoków i nie mogę się nacieszyć wilgocią powietrza skądś docierającego i niosącego dziwną rosę opanowującą moje oblicze. Opieram się o barierę, zamykam oczy i kąpię się w tej rosie aż do wyciszenia serca. Odczuwam, że koszula przylega już do ciała i krępuje ruchy rąk. Prostuję się z odrętwienia i idę w kierunku czarnej kamienicy ozdobionej złocieniami. Nie pożegnałem się z fontanną. **Chcę tu jeszcze wrócić.** Spoglądam za siebie, i widzę dziewczątko przymilające się do lwa. To dziwny świat. Najdzikszych zwierząt i najdelikatniejszych istot do siebie przyjaźnie ustawionych w przedziwnej symbiozie.

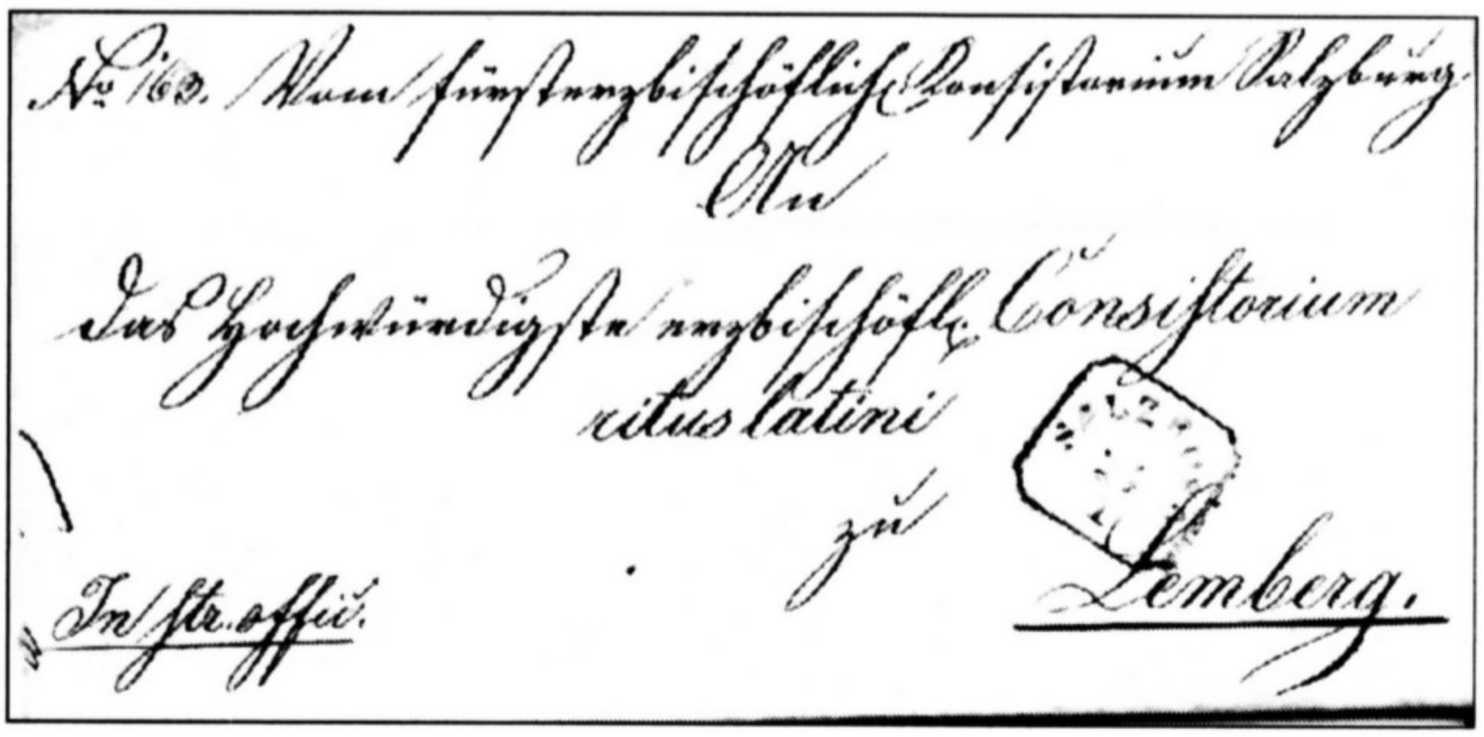

Rys. 451. List przedfilatelistyczny do Lwowa

Rodzi się filozofia, którą zrozumieć niełatwo: kat z ofiarą w pokoju i pojednaniu? A może jest to możliwe? Może uspokoi się moje serce i zapomnę choć na chwilę o zbrodniach Wołynia, Bykowni, Buczacza, Trembowli i tylu

[108] A. Strojny, K. Bzowski, A. Grossman, Ukraina Zachodnia, Tam szum Prutu, Czeremoszu. ., Wydawnictwo Bezdroza. Kraków, 2004, s. 84–85.

Rys. 452. Ocenzurowana całostka do Lwowa

innych miejsc gdzie nie znalazłem sposobu zrozumienia wynaturzonego do ostatnich granic znęcania się nad Lachami, Bogu ducha winnymi mieszkańcami tej ziemi.

Było ich i we Lwowie niemało. Stanowili bowiem decydującą większość. Teraz pozostała pustka. Ale wiem, że chodzę ich ścieżkami.

Wiem, że i tu, na rynku, przy czarnej kamienicy ich ślady zostały, więc przywołuję ich pamięć: Konopnicka, Herbert, Staff, Brzozowski, król Jan III Sobieski, Kazimierz Bartel, Boy-Żeleński, król Władysław IV, król Zygmunt III Waza, Szymon Szymonowic, ks. Józef Poniatowski, Kasprowicz, Hanuszkiewicz, król Jan Kazimierz i te słynne Śluby Lwowskie...a nawet i Panieńskie.

Ahhha...złość mnie na chwilę ogarnia, że za późno wymieniam **Zofię Terne. To niewysoka pani, jak Maria Konopnicka. Popularna kobieta Lwowa, która na stałe utkwiła w mojej pamięci.** Przeszła z II Karpacką całą trasę pod Monte Cassino i przed laty spotkałem ją w Londynie. Śpiewała wtedy jak na froncie przeróżne cudowne piosenki Lwowskie, które podtrzymywały w nadziei żołnierskie serca wierzące, że może uda się, że powrócę znów i zobaczę miasto Lwów.

Mnie się to udało. Pierwszy raz na początku lat siedemdziesiątych. Jej nie wiem, choć miała w sercu tyle Lwowa, że na co dzień nim żyła. Co więcej, hojnie się nim nawet dzieliła. I to jak! Doskonale pamiętam łzy lwowiaków słuchających jej koncertu. **Nawiązała do jego treści i zapytała potem:**

Rys. 453. Lwowska rozrywka

Rys. 454. Także we Lwowi

– Szczepcio, Tońko, cała moja droga Lwowska Falo gdzie wy teraz bidaki? Nie we Lwowi?

Więc zadumany tym wspomnieniem przechodzę do kamienicy Szolc–Wolfowiczowej i patrzę na te stiuki na II piętrze w formie kompozycji rzeźbiarskiej „Chrzest Chrystusa". Uratowały się przy nich także portrety niektórych mieszczan lwowskich. **Nie dziwię się teraz Mi-**

TEATR MIEJSKI WE LWOWIE.

W niedzielę dnia 12-go lipca 1903 — Początek o godz. wpół do 8-mej wieczór.

HALKA

Rys. 455. Klasyka polska

chotkowi, że zaśpiewał światu: *Tylko we Lwowi*...Bo ja też, gdybym się raz jeszcze urodzić miał, to tylko we Lwowie. Nawet już nie marzę o tym, że w tej kamienicy. Niech to pozostanie przywilejem Jerzego Michotka. Nie lubię odbierać nikomu szczęścia i wiem jak musiał się tym cieszyć wtedy, gdy tu mieszkał i jak rozpaczał, gdy swoją kolebkę opuszczał. Ale znów wyliczam kochanych lwowiaków a miałem już tego nie robić, bo przecież nie dam rady. Było ich setki tysięcy. **Więc jeszcze batiarów przypomnę. Tych codziennych, pisanych z małej litery. Tak jak paryskich „gawroszy", krakowskich „andrusów" czy...nie masz „cwaniaka" nad warszawiaka. Te „cwaniaki" to także folklor naszego życia i trzeba starać się o nim pamiętać.**

Na lwowskim Łyczakowie buszowali jak na zawołanie i dopełniali życie kochanego Lwowa. Chcę sobie odtworzyć ten wesoły nastrój miasta z nimi żyjącego, a może jakoś i utrwalić go na jak najdłużej. Wracam więc do domu. Dość łazęgi na dzisiaj w samotności. W domu przy ul. Braci Rohatyńców jest pan Rysiek z żoną i ku mojej radości mówią tamtą, batiarską mową. **A Rysiek opowiada wypisz, wymaluj lwowskie sceny z tamtych lat przeniesione aż do obecnej epoki.** No cóż, trafiłem na ewenement historii. Więc nadzwyczajnie wypoczywam w tym wirtualnorzeczywistym świecie.

Tym bardziej, że z magnetofonu słyszę fragmenty Lwowskiej Fali i mnóstwo lwowskich piosenek we wspaniałym wykonaniu. **Nawet Zofia Terne denerwuje się: A on nic tylko gra, cały dzień tylko gra, na tej swojej mandolinie...**

Ale jakim to akcentem śpiewane! Jaką wymową! Jakim głosem! Szkoda, że żona Ryśka ma do niego pretensje że tak się zestarzał. Nawet przekonuje: – widzi pan jaki on był inny na naszym ślubnym zdjęciu, całkiem inny batiar. W rzeczywistości słodki, kochany. **A teraz tylko głos jeszcze silny pozostał aż strach, ale mało i coraz mniej radości.**

Rys. 456. Ślubne zdjęcie Ryśka

– I język batiarski ku mojej uciesze – dodałem by nie akceptować rzekomych wad Ryśka. Wady lwowskich batiarów w ogóle mnie nie interesują. **Wiem, że nie dbali „o piękno polskiej mowy", ale czyż bałak, którym się posługiwali do niej nie należał!** Rozumieli się przecież wspaniale w walkach polsko-ukraińskich i dostarczali niezastąpionego materiału dla audycji radiowych *Wesołej Lwowskiej Fali Szczepcia i Tońcia.* Sądzę, że z tego ich łyczakowskiego folkloru wyrosła cała subkultura miasta trafiająca na życzli-

Rys. 457. Studenckim piórem

wość w całym naszym kraju. Upowszechniała się szybko i wszędzie. **W pracy budowlanej, w kawiarnianej atmosferze, w literaturze, w gmachach akademickich i przyśpiewkach ułańskich, szczególnie ułanów jazłowieckich.**

Byli więc Batiary potęgą Lwowa, bo też i na bogatej glebie i historii lwowskiej wyrastali. Mieli za sobą instynkty piaskarzy, budowlańców, śmietanczarek, krupniarek, szewców, krawców, kowali, całej ulicy lwowskiej. To z niej wywodził się Ignac Kurek z pod numeru sto jeden (już nie wiem jakiej to ulicy[109]), którego maskę przejął chętnie sam Ludomir w „Panu Jowialskim". A Kuba Pelc z Górnego Łyczakowa jak go rozzłościli to dziewięciu ponoć c. k. grenadierów wrzucił do studni i to jednego po drugim. Ileż piosenek o nim potem śpiewała lwowska ulica, bo w czasie zaborów ulica z batiarami stawała się w walce jedno.

I w piosence też. Nawet w ułańskich żurawiejkach[110]: I my byli aż w Kijowie./ My, batiary tajojkowie. ...Jaki chcecie numer dajcie,/ Żeśmy dzielni – pamiętajcie...Daj buziaka moja miła,/ Bom jest ułan Radziwiłła...Kawał dupy zamiast pyska, /To są strzelcy z Wołkowyska. A przecież o tych „cywilach", co to „O północy się zjawili jakieś dwa cywili, giemby podrapane, włosy jak badyli", to też od nich, batiarów, się wywodzi.

Próbuję tym nastrojem batiarskim zarazić towarzyszącego mi Wołodzię. Siedzimy na ławce przy prospekcie Swobody czyli dawnych Walach Hetmańskich i dowcipnymi fragmentami żurawiejek szpikuję go nieco dawnym folklorem ułańskim. Bez trudu podchwytuje melodię jednej z żurawiejek: „ej dziewczęta, w górę kiecki to jest ułan jazłowiecki". Wszystko zrozumiał i – powtórzcie woła, jakby chciał się jej nauczyć. Spoglądam na niego i wiem niestety, że nie w najciekawsze teksty mnie prowadzi. **Zbytnio podkreśla, że to w górę kiecki to mu się naprawdę podoba i zerka na przechodzące lwowianki.** Aż do znudzenia, bo te wcale nim się aż tak bardzo nie interesują, a mną to już w ogóle nie. Ze złości przekonuję za Kraszewskim, że sławę zyskasz w boju z wrogami a nie z dziewką. Kręci głową i proponuje: **idźcie do galerii sztuki, zobaczycie jakie tam ciała!** Domyślam się, że inne go tematy we Lwowie drążą niż mnie. To wszystko, co ja mu serwuję, jest dla niego nie do spożycia, jakieś dziwne, niezrozumiałe, obce i nawet się dziwi, że w scenerii kochanego Lwowa gdzie tyle wieczorem przygód, tak „serioznie"

Rys. 458. Fragment starej widokówki

---

109 Stanisław Wasylewski, Lwów, Wydawnictwo Polskie (R. Wegner), Poznań, Warszawa, 1995, 34.

110 S. Radomyski, Żurawiejki, Pruszków, 1995.

sprawy są przeze mnie przeżywane. Więc, gdy słyszę znów od niego: o, wot, marożnoje prodajut, przywołuję mimo wszystko do nas lodziarza.

Rys. 459. Taniec amorków kupiony na lwowskim bazarze

Rys. 460. Szczupła, urodziwa jak laleczka

To też oryginalne i miłe w cieniu legionowych drzew i wspomnień muzealnych obrazów z amorkami. Więc nic dziwnego, że przykro mi z tego powodu, że to już ostatnie lody we Lwowie, wszak Wołodzia musi wyjeżdżać i stwierdza: jutro już mnie tu nie będzie. Oświadcza to przy tym tak, jakby chciał wycisnąć u mnie łzy. Sam chyba błyska nimi w oczach, bo rozstaje się ze swoją dziewczyną, na którą teraz czekamy.

Wiem, że to dla niego nie ukrywany cios i sam pocieszam się jedynie faktem, że we Lwowie nie będę osamotniony.

Przywykłem już w międzyczasie do nie gorszego opiekuna. **Niech sobie ten Wołodzia załatwia te kiecki ze swoją dziewczyną. Do niej przecież tu przyjechał.** Miał w planie także jakieś wielkie zakupy i mnie poświęcał bardzo mało czasu a Lwowem się w ogóle nie interesuje. Inny jest Rysiek, mój nowy przewodnik. Ten we Lwowie z żoną i dla Lwowa żyje. Czasem nawet myślę, że więcej dla Lwowa, przynajmniej tego starego, niż dla siebie. Ale mnie to nie przeszkadza. Bo Lwów to Lwów, jedyny i niepowtarzalny. Ten stary w szczególności. Więc łykam minione jego ślady, niczym smaczne, orzeźwiające lwowskie lody. Są przecież tak na czasie!

Klimaty stare i nowe

Te lwowskie kamienie, ulice, bruki, domy i budowle to jakieś wielkie tło wydarzeń ciągle tutaj żywych. Tworzą one specyficzny klimat miasta, które niczym nie przypomina dzisiejszych nowoczesnych grajdołów. Lwów nadal może się chwalić bogactwem swoich dziejów: taki np. zegar bernardyński, kopiec Unii Lubelskiej, ślubowanie Jana Kazimierza u stóp Panienki, Czartowska Skała czy szmaragdy wspaniałych drzew. A dorobek artystów i naukowców w drodze do niepodległości Ojczyzny? Zdobyty wspólnie z żołnierskim trudem. Jednak czymś jeszcze większym Lwów jest bogaty: cmentarzem bohaterów a szczególnie swoich Orląt. Ale o tym później, wszak Orlęta wprzęgły się w całą historię Lwowa i Polski. **Już wtedy gdy kreślono granice Europy marszałek Foch wsłuchał się w głos Lwowa i usłyszał jednoznaczne: Polska jest tutaj. W tych słowach odezwały się całe wieki.**

Rys. 461. Model pomnika marsz. Focha w Cassel[111]

Nie pochlebiajmy sobie jednak. Źle się odezwały. Budowano bowiem Lwów wielokrotnie. Po klęskach wojennych i niezliczonych pożarach, przeciętnie co siedemnaście lat. Z konieczności cząstkowo i nierównomiernie, więc nie ma obrazu architektonicznego miasta skoncentrowanego, jednolitego. Nawet żadnej dzielnicy tu nie znajdziesz, która by nadała gębę całemu miastu. Przecież typowa kamienica galicyjska zapożyczona z czynszówki wiedeńskiej i w innych wielu miastach się pojawia. Ale to moje oczy tak powierzchownie Lwów oglądają, wszak jeśli popatrzysz nieco w głąb i zaczniesz odkrywać szczegóły, zobaczysz lwy, stiuki, dekoracje, fasady, sklepienia, okna, witraże, drzwi, wieże, wieżyczki, zegary i całe niebo, które ktoś troskliwie wykuł w kamieniach kaplicy czy basztowej ściany. Staniesz się lwem i zaczniesz pożerać całą bogatą historię miasta. **I to będzie długi a obfity posiłek.** Kiedy stąd wyjedziesz, głód pojawi się nieoczekiwanie i zatęsknisz jak bohater piosenki: **Może uda się, że powrócę znów i zobaczę miasto Lwów!**

Najpierw Górę Zamkową na samym pograniczu stepowego Podola gdzie schodzi się rzeźba stepu, nizin i gór. To cudowny widok na nią i z niej. **To cały syndrom osobliwości geograficznych, wśród których widać przepiękną panoramę tego osobliwego miasta. Tę ze starych kolorowych widokówek.** I wracasz do tego

Rys. 462. Kresowe szeregi z tamtych lat

[111] Zdjęcia 93–96 z Tęczy, nr 32 z 1929 r.

miasta jak oczarowany. Wśród dorodnych drzew Kleparowskiej Czerechy z dużymi czarnymi i słodkimi jagodami sprzedawanymi na bazarach. Ileż po drodze krzewów południowej „kłokoczki" nie tylko w parku stryjskim dostarczającej owoców do wyrobu różańców, paproci z „jeleni językiem" kwitnącego bluszczu „olbrzymiego starca" itd. To chyba dlatego park ma europejską renomę.

Ale szczerze powiedziawszy świat zwierząt chyba się na mnie obraża. Przecież nie wspomniałem nawet o tak ważnej jego chlubie jak: żaba moczarowata, śmieszka, alpejski kleczar, muzyk paskowaty, biegacz torfowy, ślimaki, jaszczurki, motyle jak „dostojka" z dalekich stron od Krymu czy Pekinu tu przybyłe. **Jednym słowem zadziwiający tu świat pomieszczony na rozstaju dróg wschodu i zachodu.** To chyba ten świat utworzył mieszankę ludzi zwaną przed laty polską rasą.

Rys. 463. Żołnierze KOP-u oswajają dzikie zwierzęta

Rys. 464. Przedwojenna ulica lwowska

Lwowa. Prof. Czekanowski mawiał kiedyś, że ten „rasowiec" to typ jasny-sarmacki z okrągłą twarzą, o zielonkawych oczach spostrzegawczy, wytrwały, w którym odnajdziemy też cechy ormiańskie, grecko-turecko-tatarskie odziedziczone w wyniku ośmiu wieków aliażu ras i narodów Lwowa. A może to generał Szeptycki ukazany przez Fredrę? Ze strachem, podbudowanym zawiłościami nauki, takie dla siebie skojarzenie zrobiłem. Mimo to przyznajmy, że mieści się w nim i szabla i męstwo i miłość i sztuka i odwaga i rozum, to wszystko co do życia wielkiego miasta potrzeba. Aa, jeszcze pieśń...Lwowie, to rzecz nie pojęta, Skąd ty masz takie dziewczęta! Dodajmy, że na lwowskiej glebie i klimacie wyrosłe.

Gleba, z klimatem się wiąże. Więc był ten klimat sprzyjający dla Polaków z wszelkich stron. **W czasie zaborów, kiedy bez trudu aklimatyzowało się ich wielu, korzystając z gościnności lwowian od wieków tu żyjących.** Bogate monografie można by pisać o czasach powstania listopadowego, styczniowego. Znalazło by się wiele przykładów powstańców z chlebem w ręku, którego brakowało im gdzie indziej. Znajdowały tu otwarte drzwi do szkól polskie dzieci które potem sławiły Ojczyznę po całym świecie z jakże szanowanymi dyplomami znakomitych uczelni Lwowa. **Jawiły się**

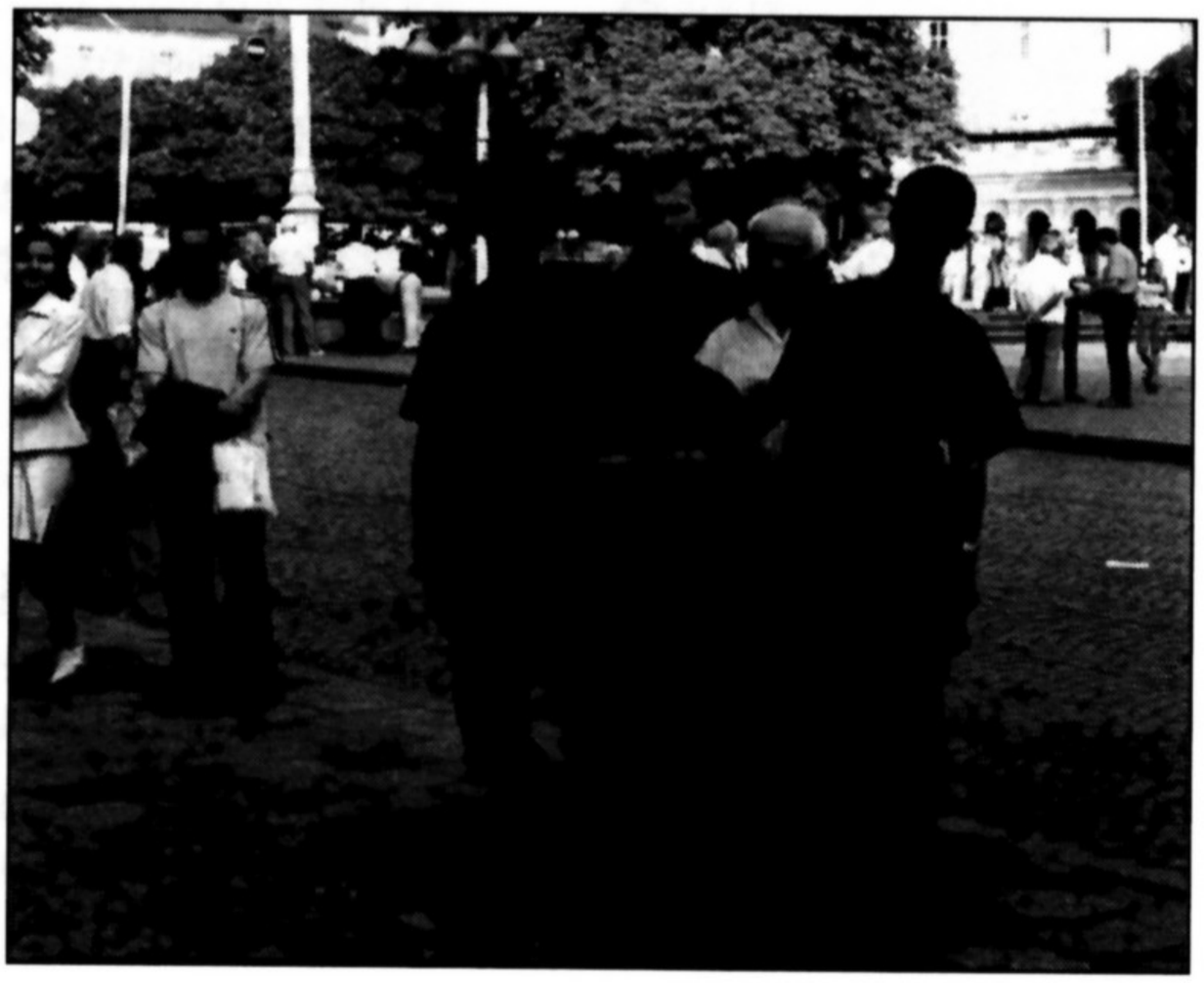

Rys. 465. Autor wśród polskich harcerzy we Lwowie

nazwiska znakomitości we wszystkich dziedzinach nauki i polityki: Bartla, Sikorskiego, Sosnkowskiego i całego Ossolineum. To wszystko ukazuje herb Lwowa odbierany na świecie jak herb Wenecji. A już jak ktoś we Lwowie zamieszkał nawet na pół roku to bez granic to miasto umiłował; vide autor „Katechizmu dziecka polskiego" Władysław Bełza ((1847–1913). **Przecież Mazur z pochodzenia, zaledwie parę miesięcy Lwowianin a już rozgłasza wszem i wobec, że dwa miasta spośród świata umiłował: Wenecję i Lwów.**

Co więcej, po tygodniu pobytu w Wenecji wracał pełen nostalgii do Lwowa, do domu! **Cały Lwów to umiłowany jego dom i warsztat pracy.** Pracuje tu w słynnym Ossolineum Lwowskim, zakłada Macierz Szkolną, „Promyk" dla dzieci, które w Katechizmie naucza: Kto ty jesteś? /Polak mały./ Jaki twój znak? /Orzeł biały... Dodajmy, że Bełza zbiera za swój trud laury od dzieci i młodzieży z całego kraju. Za polskość. **Zresztą nie on we Lwowie jeden.** Gdy w trudnych czasach rozprzedano ruiny wysokiego zamku, nie kto inny jak **spolszczony Austriak Smolka wznosi trwalszy pomnik ku chwale Lwowa** bo kopiec, dodając przy tym: „...Piramidy Faraona runą, a kopiec nasz stać będzie niewzruszenie, głosząc pokoleniom szczytną zasadę bratniej miłości: równi z równymi, wolni z wolnymi".

Nic dziwnego, że dla mnie ten kopiec to jakby fragment wielkiej księgi św. Augustyna. **Tyle, że teksty jej przeplatają życie ze śmiercią.** Jak dzieje Orfeusza i Eurydyki ze starego greckiego mitu o miłości. Miłości silniejszej od śmierci. Orfeusz przecież bezgranicznie się naraża. Schodząc za Eurydyką do podziemnego świata przekracza rzekę śmierci Styks, pilnowaną przez strażników Charona i Cerbera. Podstępnie

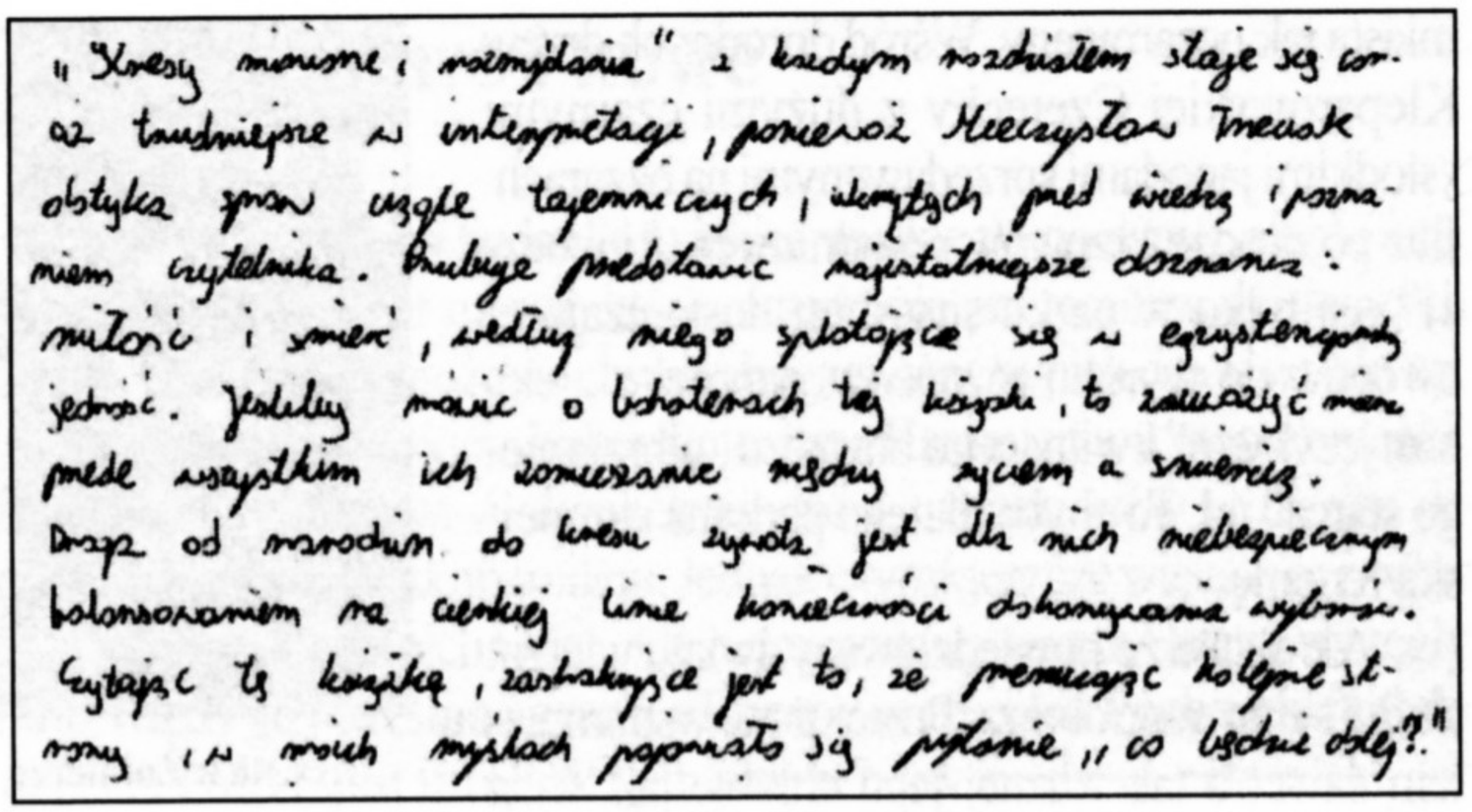
„Kresy morskie i rozmyślania" z którym rozdziałem staje się coraz trudniejsze w interpretacji, ponieważ Mieczysław Treugutt obsypka zmysłowe uczucia tajemniczych, ukrytych przed wiedzą i poznaniem czytelnika. Chciałby przedstawić najistotniejsze doznania: miłość i śmierć, według niego splatające się w egzystencjonalnej jedności. Jeśliby mówić o bohaterach tej książki, to zauważyć można przede wszystkim ich zmaganie między życiem a śmiercią. Droga od narodzin do kresu życia jest dla nich nieustającym balansowaniem na cienkiej linie konieczności dokonywania wyborów. Czytając tę książkę, zastanawiające jest to, że przewracając kolejne strony, w moich myślach pojawiało się pytanie „co będzie dalej?"

Rys. 466. Fragment recenzji młodego czytelnika

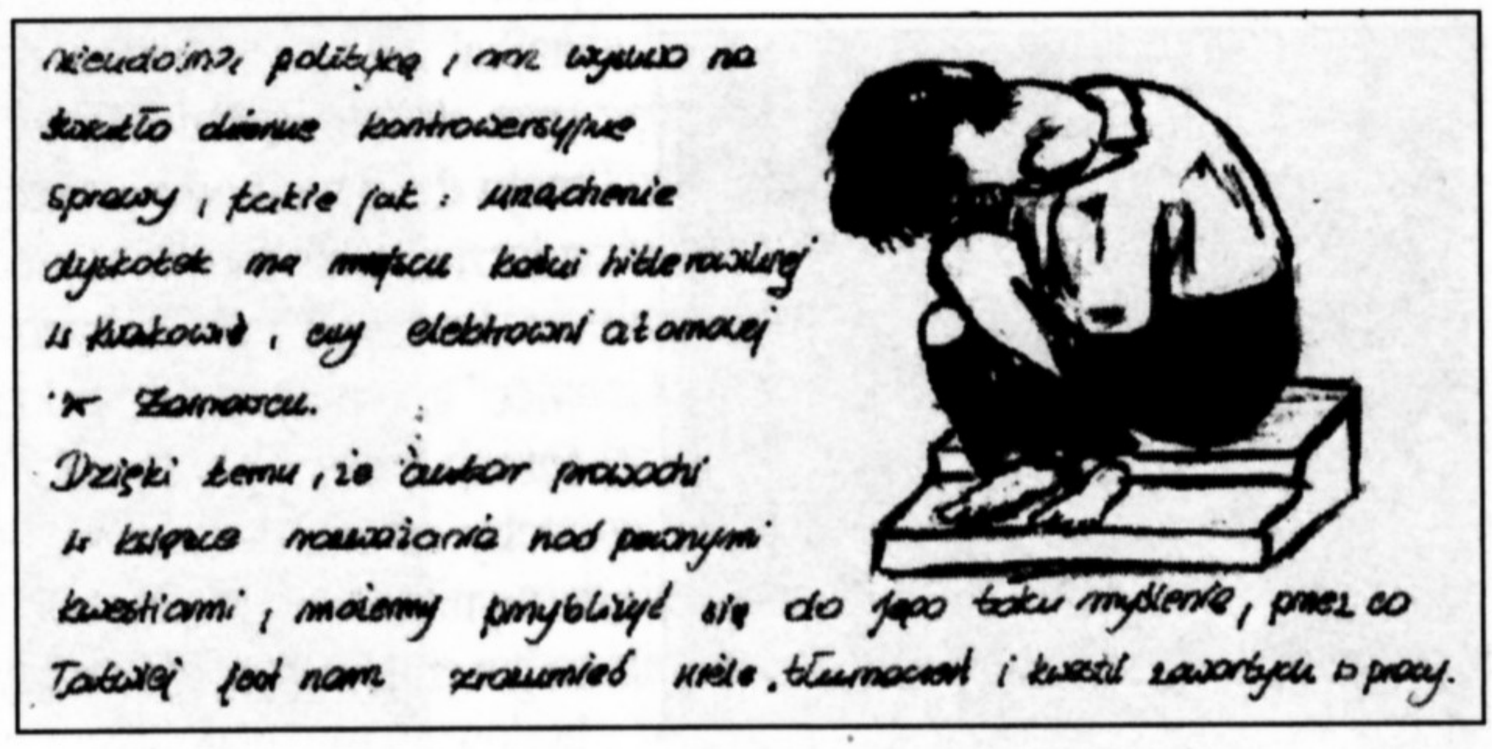

Rys. 467. Klęska „naszej" polityki

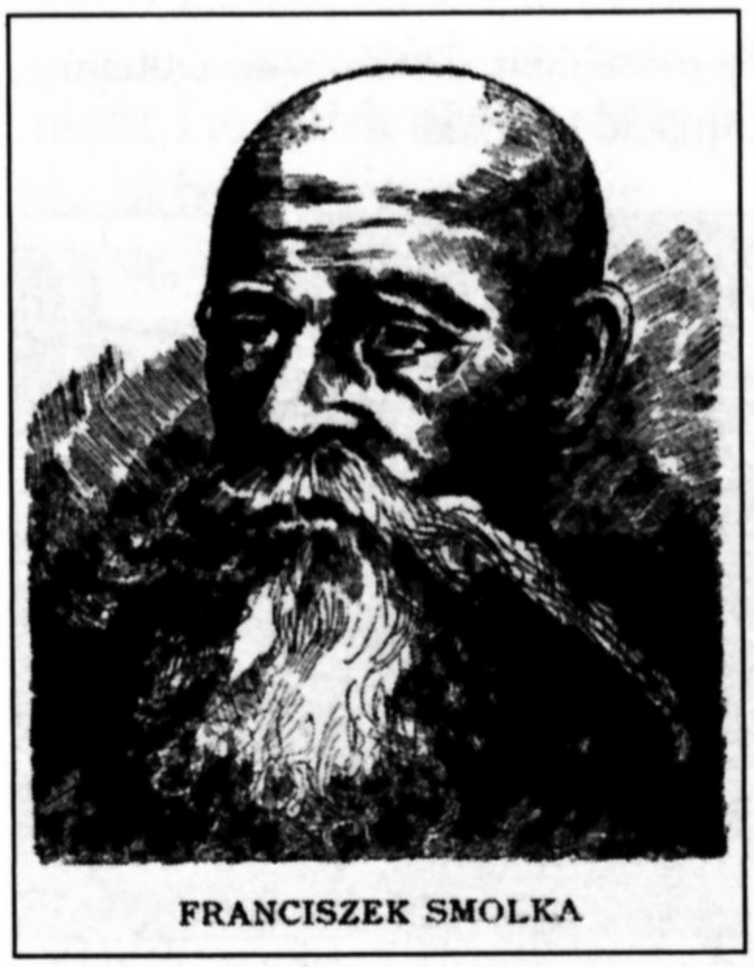

Rys. 468. Inną Polskę widział[112]

[112] Foto 468, 476, 477, 478 z: Historia Stu, Drukarnia Leona Nowaka, Warszawa, 1925.

ich omija. **Ale odnajduje cień swojej istoty – Eurydykę.** Bogowie zdumieni jego wielką miłością pozwalają mu zabrać ją ze sobą. Pod warunkiem wszakże, że w drodze do krainy życia nie może spoglądać za siebie. Jednak ta wędrówka jest długa i coraz silniejsze jawią się wątpliwości, czy kochana istota podąża za oblubieńcem. **I wreszcie to spojrzenie za siebie, w wyniku którego traci Eurydykę na zawsze.**

Rys. 469. Fragment lwowskiego cmentarza

Ciekawostką jest, że jeden z Ojców Kościoła, Klemens Aleksandryjski, żyjący w czasach ok. 350 roku, określa Orfeuszem samego Chrystusa, a ludzkość Eurydyką. Dlatego, że ta ludzkość dostaje się także pod panowanie śmierci. **Ale dlatego Chrystus-Orfeusz powodowany miłością do Eurydyki zstępuje do tego królestwa śmierci i bez oglądania się idzie przed siebie drogą zbawienia o czym śpiewamy do dziś w naszym *Cerdo*.** Doskonale wie, że ta droga wprowadza Eurydykę, jego ukochaną ludzkość w krainę życia. W pieśniach pogrzebowych odnajdujemy tę drogę: **W krainie życia, będę szukał Boga!** Na dawnych Kresach, przy kopcu Smolki warto sobie to uprzytomnić. Przecież wiele z nauk Chrystusa i melancholii Orfeusza w Smolce pozostało.

Zniszczony jest jego grób dzisiaj na cmentarzu Łyczakowskim i obudowany innymi grobami, ale odnajduję przy popiersiu wiązankę kwiatów, które zostawiły czyjeś dobre dłonie. **Pamięta ktoś, że ten bogaty i wpływowy człowiek, osobiście dowoził taczkami ziemię do kopca nadsyłaną ze wszystkich miejsc wsławionych w historii naszego narodu.** Latami pracował przy tej budowie w pocie czoła.

„Spoconego wśród ciężkiej pracy wąsala napotyka na Zamku jakiś oficerek austriacki:

– „On" tu pracuje jako dozorca, nicht-war?

– A tak, odpowiada Smolka, ale tylko w chwilach wolnych, gdy nie przewodniczę Radzie Państwa"[113].

Dodajmy, że wsadził w tę górę piasku nasz bohater Austriak z pochodzenia, Lwowianin z miłości krocio-

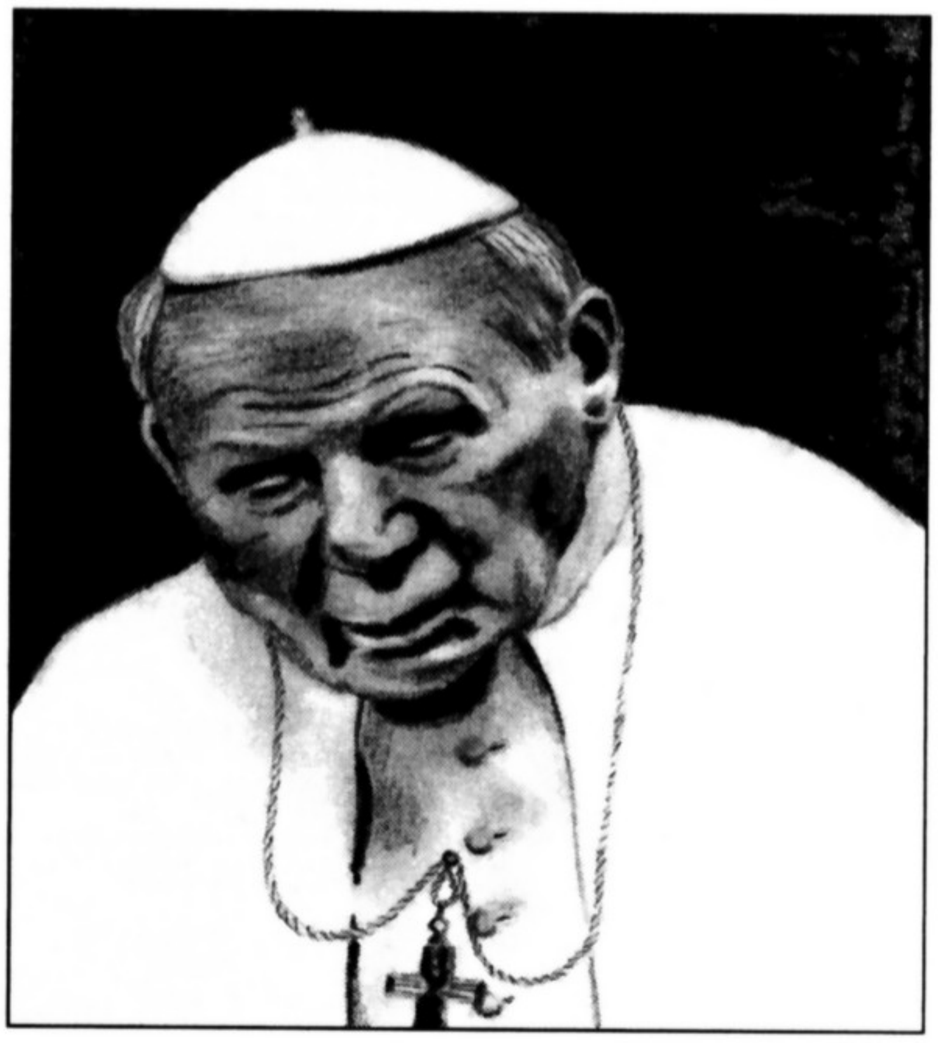

Rys. 469. Cierpiący Papież, sportretowany przez moją studentkę

[113] Por. Stanisław Wasylewski, Lwów, Wydawnictwo Polskie (R. Wegner), Poznań, Warszawa, 1995, 28.

wy wtedy majątek. Działo się to jednak w starym klimacie. W nowym, takiego przypadku nie znam. Więc wynagradzam mojemu bohaterowi czym „chata bogata". Najpierw ozdabiam popiersie kwiatami, a następnie na oczach czteroosobowej grupy gapiów, przetrząsam dokładnie portmonetkę i odnajduję 11 pięknych grosików w menniczym stanie. Układam je przykładnie orzełkiem do góry, tworząc mały krzyż, skojarzony z tym, którym nasi górale podpisywali się w miejscach Tatr dla nich wyjątkowych. Tu wyjątkowa jest jakaś boczna ścieżka. Wykładana bardzo starymi kamieniami.

Idę po nich i rozmyślam, że nikt mi nie zabroni kochać Lwowa. Jak nigdy, rozumiem treść poematu mojego kolegi z Seminarium Duchownego w Radomiu: O gdybyś ty ścieżko wiedziała/ – ja nie widziałem/ że do ciebie nie wrócę/ wziąłbym do serca kamyk twój jak różę/ żeby kwitła we mnie twoja pamięć/ .../Znowu przyszedł czas na spowiedź/ – już czas na mnie/ Gdybyś ty ścieżko wiedziała/ – ja nie wiedziałem/ cicha przyjaciółko/ po twoich plecach/ ktoś w dolinę/ znów ktoś/ w górę/.

Z głębokim wzruszeniem miejsce to opuszczam. Wiem, że nie tyle na długo, co raczej już na zawsze.

Zarzewie wielkiej kłótni

Zaskakujące jest to, że na tym rynku we Lwowie domy stanęły na głowie. To oczywiście przenośnia idei krakowskiej piosenki z dodatkiem ...hasa, ta drassa...domy stanęły na głowie. W każdym razie mnie, domy we Lwowie przewróciły wszelkie plany przytargane tak w głowie jak i w kieszeni. **Co więcej sądzę, że nikt nie może Lwowa zwiedzać według planu. Tak jak to się robi powiedzmy w innych miastach.**

Atrakcje pierwszego lepszego obiektu napotkanego w czasie zwiedzania, zatrzymają cię przy nim nieoczekiwanie i nie wiadomo na jak długo. Przy tym jeszcze najciekawsze są dzieje mieszkańców tych domów, naszych kochanych kresowiaków, **którzy przenieśli się już dawno na drugi brzeg rzeki Styks.** Przerwiesz cały rytm marszu, zaczniesz dom oglądać i wpadniesz jak w pułapkę obchodząc go dokoła i odkrywając podobne obiekty towarzyszące ci bez przerwy. Zauważysz po czasie, że jesteś na innej już trasie i żałować tego nie ma co, bo powrócisz tu na pewno bogatszy, bardziej do Lwowa przywiązany, z niedokończonym planem zwiedzania.

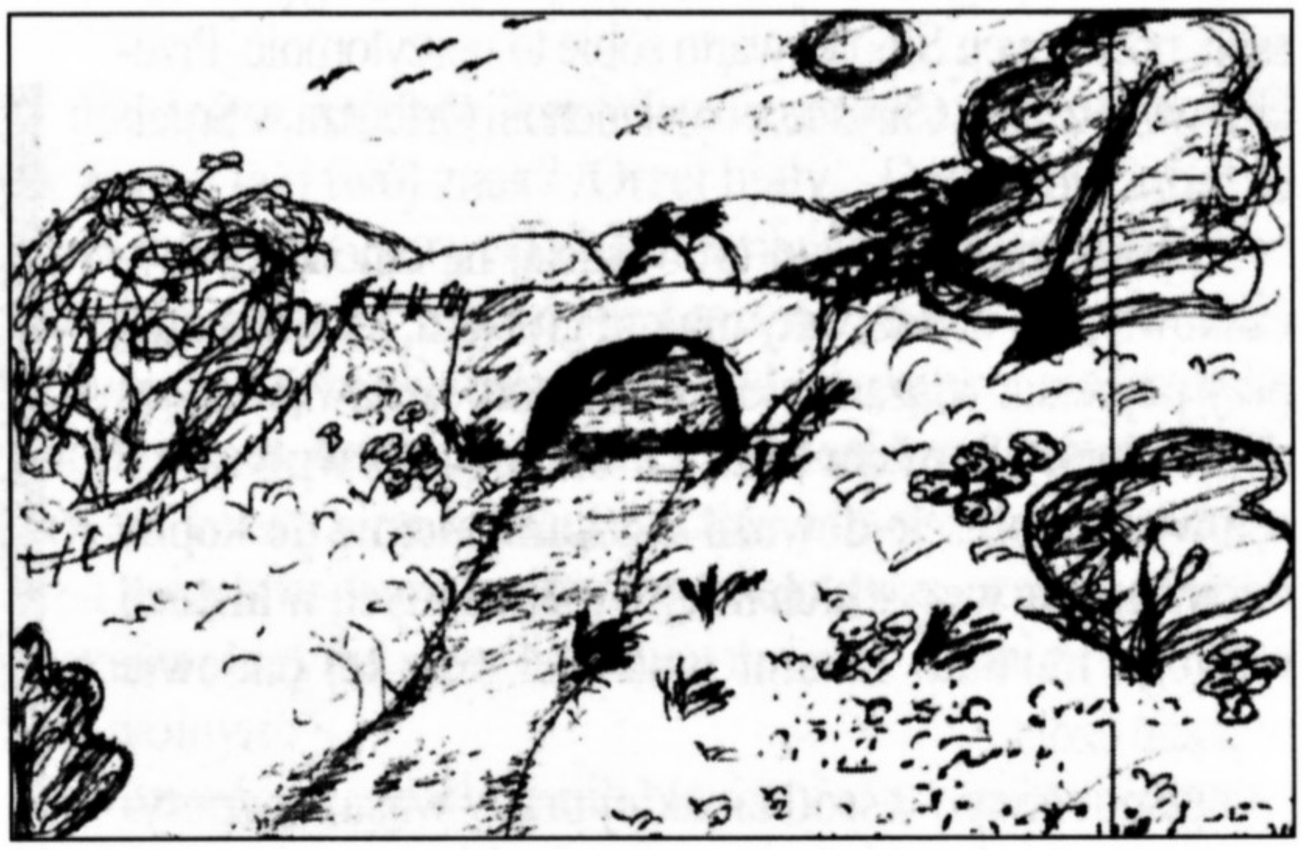

Rys. 470. W krainie rzeki Styks

Odczułem to wielokrotnie we własnych nogach, ale i w głowie z tym, że w efekcie byłem z takiego biegu spraw bardzo zadowolony. Myślę, że i grupa harcerzy mi towarzyszących też. **Choć nie chciałbym przez to powiedzieć, że świata porządkować nie należy i można lekceważyć wypracowane założenia na podstawie ksiąg i doświadczeń innych ludzi.** Gwoli uczciwości przypomnę więc, że zgodnie z ideą przewodników i ja miałem na uwadze to, że poruszać się muszę na zasadzie planu oferującego pięć podstawowych jednostek architektonicznych miasta, tj. 1. Rynek, 2. Wysoki Zamek, 3. Śródmieście, 4. Przedmieście Żółkiewskie, 5. Przedmieście Łyczakowskie.

Mimo że zwiedzanie miasta rozpocząłem od rynku, to jednak dalsza koncepcja planowości runęła, wszak poszczególne obiekty okazały się zbyt ważne, aby nie potraktować ich jako wartość samą w sobie. **Dodajmy wyodrębniona i wymagająca oddzielnej koncentracji. Dopiero po takiej zadumie** autorzy przewodników, których tu cytuję, przywoływali mnie do porządku i chętnie wracałem do ich cennych porad. Tak np. p. Adam Dylewski najpierw, postawił mnie właśnie na lwowskim rynku, o przebogatej rzeczywiście historii. Więc do rzeczy.

Rys. 471. Na rynku we Lwowie z polskimi harcerzami

Pierwotnie, rynek miasta wyglądał zupełnie inaczej i wiedzę o nim zawierają jego opisy w literaturze fachowej. Uległ on zagładzie w czasie najazdu litewskiego w 1353 r. Zniszczenie było ogromne i objęło oczywiście nie tylko rynek ale i całe miasto odbudowane potem według nowego schematu, o regularnej też szachownicy ulic, upodabniającej zamysł architektoniczny do wielu innych miast środkowoeuropejskich. Oczywiście nowy rynek stanowił nadal centrum miasta, tym razem już w formie prostokątnego placu z narożnikami. Wylatywały z nich po dwie ulice. **Taki układ zachowany do dziś, zabudowany został 44 kamienicami prezentującymi różne formy i style architektoniczne ukształtowane przez minione epoki.**

W narożnikach Lwowa, umieszczono cztery studnie przedstawiające Amfitrytę, Neptuna, Dianę i Adonisa. Pośrodku, wybudowano ratusz ongiś drewniany, potem zachowany do dziś murowany, którego budowę ukończono w 1504 r. Jednak ratusz obecny nie należy chyba do piękniejszych jak buczacki, choć na pewno we Lwowie do najważniejszych. Mieszczą się w nim władze miasta i różnorakie urzędy.

Dawny ratusz, zbudowany jeszcze za Władysława Opolczyka (1372–1378) stojący w tym samym miejscu, był zupełnie inny, a przede wszystkim drewniany. Dopiero królewicz Jan Olbracht wybudował gmach murowany (1504) z wieżą wysoką na 58 m. W wyniku różnych kolei losu, wieża ta, z czasem osłabiona, runęła w 1826 r. i władze miasta wystawiły w latach 1827–1835 nową budowlę w stylu klasycznym, zaprojektowaną przez J. Merkela i F. Treschera. Objęła ona charakterystyczną wysoką wieżę z zegarem, która nie uzyskała zbyt wielu zwolenników o czym świadczy przezwisko „ratuszowe pudło". **Przy wejściu, ustawiono dwa kamienne lwy trzymające herb miasta.** Nie trzeba się ich bać i koniecznie wejść na wieżę, z której zobaczyć można piękną panoramę miasta i jego okolic. Ale to jest zadanie łatwe, wymaga **pokonania 350 stopni (na wieży Mariackiej – 239).** Ta wieża ma aż 65 m. wysokości. Przyznam się, że w wyniku tego wyczynu ostygły

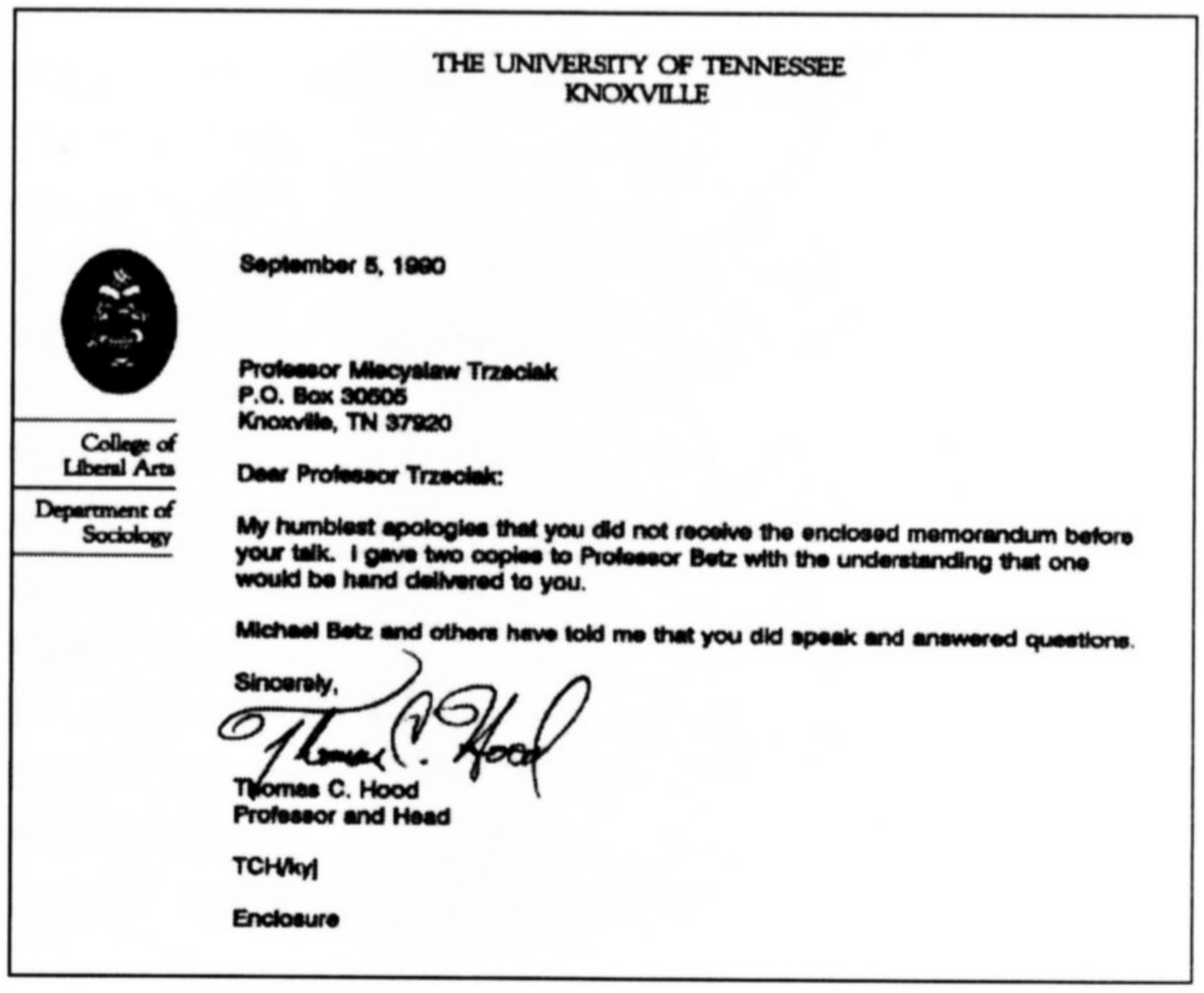

THE UNIVERSITY OF TENNESSEE
KNOXVILLE

College of Liberal Arts
Department of Sociology

September 5, 1990

Professor Mieczyslaw Trzeciak
P.O. Box 30505
Knoxville, TN 37920

Dear Professor Trzeciak:

My humblest apologies that you did not receive the enclosed memorandum before your talk. I gave two copies to Professor Betz with the understanding that one would be hand delivered to you.

Michael Betz and others have told me that you did speak and answered questions.

Sincerely,

Thomas C. Hood
Professor and Head

TCH/lky]

Enclosure

Rys. 472. Po wybuchu wojny w Iraku

moje turystyczne apetyty tym bardziej, że zrezygnować potem musiałem z wielu innych wypraw turystycznych. Tego pomysłu drugi raz bym nie podtrzymał. Szczególnie w obliczu tego, że zaniechałem wspinaczkę na Wysoki Zamek i nie tylko, ale o tym nieco później.

W całości jednak ratusz taki jaki jest, dopełnia nastroju dawnej agory tym bardziej, że od samego początku był swoistym teatrum wielkich wydarzeń. Najpierw, w 1387 r. odbyło się tu przyjęcie hołdu lennego od mołdawskiego hospodara Piotra, a potem, tj. w 1436 r. przyjęcie hołdu przez Władysława Warneńczyka od hospodara Eliasza. Wiosna Ludów w 1848 r. uformowała tu Gwardię Narodową a w 1918 r. proklamowano na ryku niepodległe państwo ukraińskie. Dodajmy, że w dwa lata później odbyła się wielka defilada, w czasie której Józef Piłsudski nadał miastu order Virtuti Militari. Oczywiście w ciągu tych dwóch lat działo się tak wiele, że wprawni historycy do dziś mają pełne ręce roboty i tylko częściowo możemy do tych wydarzeń nawiązać. Ograniczymy się więc do wzmiankowania szczególnie interesujących budowli otaczających szczelnie **rynek, harmonijnie wtopiony w panoramę całego miasta, które wpisane zostało przez UNESCO na listę światowych zabytków klasy zerowej. To ewenement zresztą w naszej Europie.** I lwów miejskich dotyczący. **Te przed ratuszem nie były jednak dla mnie zbyt łaskawe.** Powiedziałbym nawet bardzo niebezpieczne. A sytuacja powstała bezpośrednio po zwiedzeniu panoramy miasta. Zwlokłem się z wieży bardzo umęczony i oparłem się o fragment jednego z nich, nie troszcząc się zupełnie o ich godność jako symbolu miasta. Zostało to rzecz jasna natychmiast zauważone.

Zatrzymało się przy mnie dwóch kulturalnych panów (chyba z kręgu włodarzy miasta) i zwróciło mi uwagę, którą wykorzystałem do wszczęcia rozmowy. Dodam, nieprzyjaznej jak się okazało, by nie powiedzieć na poły złowrogiej. W pewnym momencie oświadczyłem agresywnie, że całego gmachu nienawidzę, bo **stąd płyną wrogie decyzje wobec naszych starań o otwarcie cmentarza Orląt Lwowskich. Uznaję to za nieludzkie.** Ale wtedy dopiero się zaczęło...

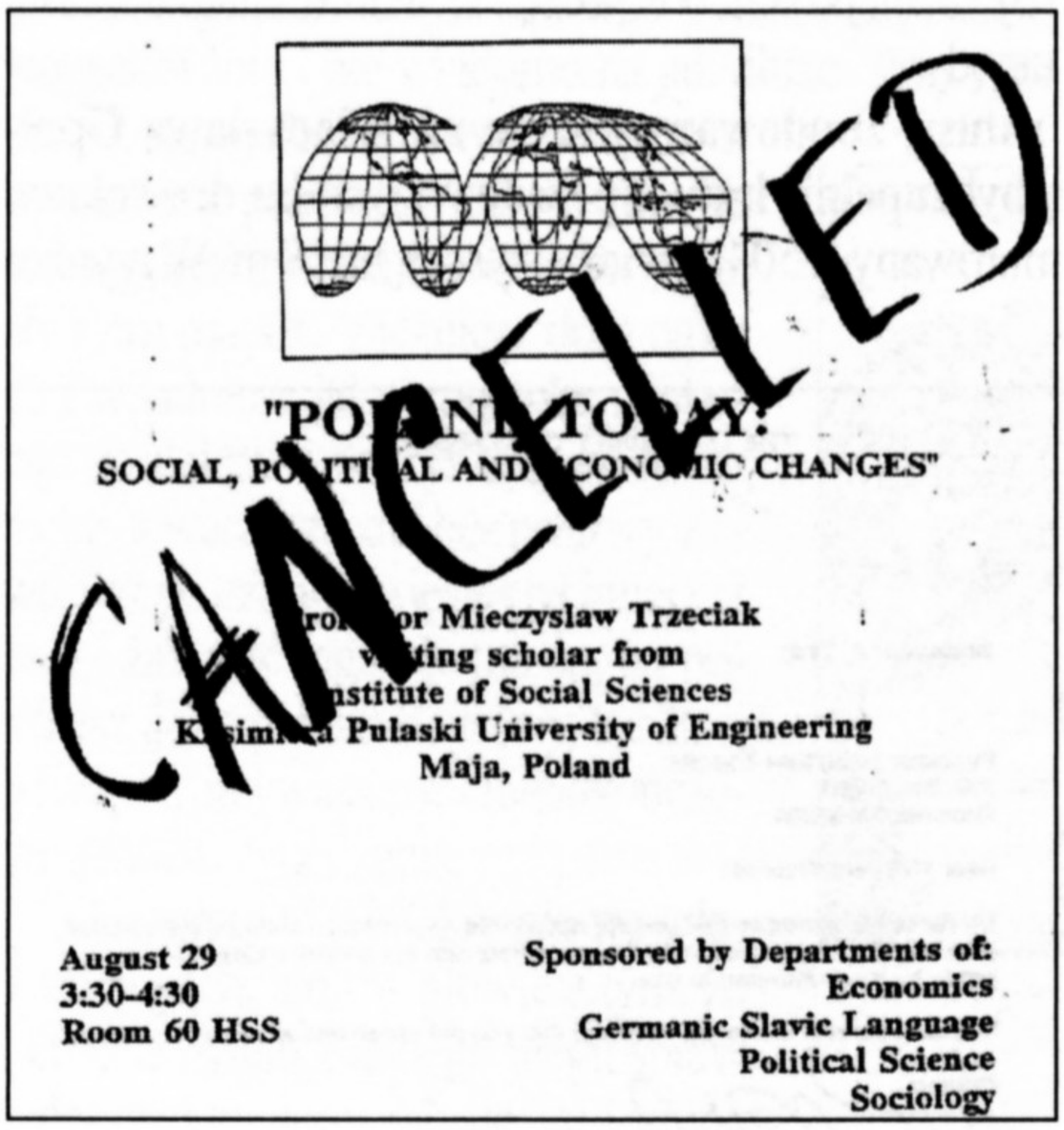

Rys. 473. Odwołane wykłady

– A co wy macie ludzkie oblicze w Iraku? Kogo i za co mordujecie? – w pełni agresywnie dopytywał już mój adwersarz.

– Wiecie jaki tam strumień krwi i niewyobrażalne cierpienie... – uzupełniał go drugi, nie mniej mi nieprzyjazny.

– Chyba wiecie, że włączyliście się do straszliwych zbrodni – kontynuował podenerwowany Pierwszak. Giną masowo dzieci, starcy, kobiety, matki, ojcowie...Za co? Że bronią swojej ojczyzny przed agresorami. Nigdy sobie tego nie mogę wyobrazić, podobnie jak i wielu Ukraińców, że po tym co sami przeżyliście stać was będzie na taką aż perfidię... – uczestnictwa w zbrodniach – dorzucił jego znajomy. **Tam cała rzeka okrucieństw płynących po irackiej ziemi jak Pełtwa pod naszym miastem** – kontynuował.

Nie mogłem dalej słuchać tych pretensji i przerwałem rozmowę nieprzytomnie już podenerwowany. Nie kończcie – wybuchłem, bo ja absolutnie się z wami zgadzam i dyskusji nie będzie. Byłem od początku do końca przeciwny „tej demokracji" i robiłem co mogłem aby do niej nie doszło – przekonywałem teraz szczerze. Ileż ryzykownych i kosztownych akcji podejmowałem w różnych okolicznościach, nawet w ośrodkach akademickich USA.

Macie pojęcie ile mnie to kosztowało i nadal kosztuje? Pojęcia nie macie jaki mi rachunek wystawiono zerwaniem intratnych kontaktów z tego powodu. Czuję i wiem o tym osobiście najlepiej. Choć we fragmentach i do innych to już dotarło bo są na to rozliczne dowody. **Organizowałem przecież różne akcje, protesty, pisałem listy które wysyłałem do najwyższych władz USA i ONZ.** Sądzę, że obroniłem swoją godność z nawiązką i to właśnie w tych sprawach. A wy możecie wymienić jakiś czyn! Może jakiś list. Napisaliście choć jeden?

Rys. 474. Z Ryśkiem na bazarze lwowskim

Do siebie miejcie pretensje, jeśli tak myślicie, jak mówicie, a nie do mnie...**Ja od początku przeżywam wojnę w Iraku jako historyczną klęskę naszego narodu i moją własną.** A ból Sadama Husajna czuję tak samo jak i jego naród krwią za to płacący. Małe nawet pocieszenie, że mam od niego bezpośrednią korespondencję, którą cenię jak relikwie.

– Tak, ale on też tworzył dyktaturę – zaczął teraz montować inny sposób argumentacji Pierwszak. Nam chodzi o demokrację...

– W dyktaturze – zacząłem się kłócić – **ludzie boją się mówić to co myślą, a w demokracji boją się nawet myśleć** – jak się okazuje. – Co tu myśleć, usłyszałem w odpowiedzi, działać trzeba! – No więc działałem i to jeszcze jak. Za to działanie wywalono mnie z UT, tj. Uniwersity of Tennensee, czego ponure ślady zachowałem do dzisiejszego dnia. Dla mnie niebagatelna to sprawa, wszak to największy uniwersytet na południu Ameryki. **W najmniejszym stopniu nie popierałem udziału naszych wojsk w tej brudnej wojnie. I nadal nie popieram. Nigdy też nie zachęcałem do udziału w niej Ukraińców.** Ale stało się inaczej, niezależnie przecież ode mnie. W Iraku i tu, na lwowskim rynku, zostałem wbrew własnej woli napastnikiem, czy jak kto woli agresorem. Nie mam wobec was kompleksu. Przeciwnie, zupełnie czyste sumienie. Żenująca wytworzyła się teraz sytuacja.

Nieoczekiwany atak, jakby przy pomocy lwowskich lwów, i to przy nieznaczącej w końcu okazji, wytworzył zarzewie wielkiej naprawdę kłótni. **Błyskawicznie bowiem dyskusja się zaogniała i nie rokowała możliwości udowodnienia swoich racji. Poszła zbyt daleko.** Na porozumienie w ogóle się nie zanosiło. Całą sprawę potraktować więc należało jako przykry wybuch nawarstwionych kłopotów, przekraczających indywidualne możliwości ich rozwiązania. **Sprawy wypłynęły na głębię politycznego oceanu.** Trzeba dodać głębię przykrą, wskazującą na potrzebę zachowania większej ostrożności w nawiązywaniu ulicznych kontaktów i spornych dialogów z nieznanymi ludźmi. Nawet być może podobnie, choć nader już nerwowo („syrioznie") patrzącymi na świat. Trudny i skomplikowany. Nadmiernie. Wszystko się może na nim teraz wydarzyć. Tylko w wędrówkach z Ryśkiem takich kłopotów (nawet na bazarach) nigdy nie miałem.

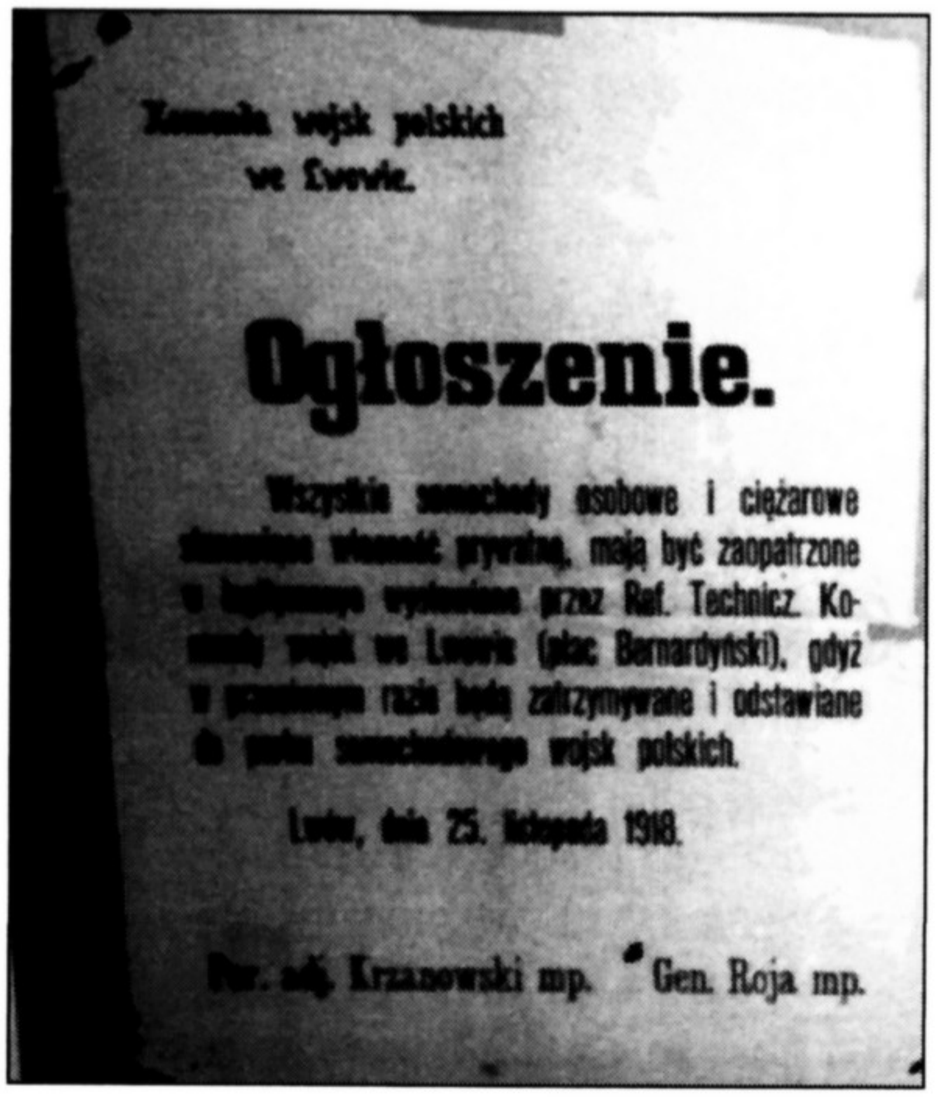
Komendа wojsk polskich
we Lwowie.

Ogłoszenie.

Wszystkie samochody osobowe i ciężarowe stanowiące własność prywatną, mają być zaopatrzone w legitymacje wydawane przez Raf. Technicz. Komendy wojsk we Lwowie (plac Bernardyński), gdyż w przeciwnym razie będą zatrzymywane i odstawiane do parku samochodowego wojsk polskich.

Lwów, dnia 25. listopada 1918.

Por. adj. Krzanowski mp. Gen. Roja mp.

Rys. 475. Stary lwowski plakat

Zbliżenia rynkowych budowli

Nieporozumienie jakiego doświadczyłem wczoraj na lwowskim rynku przy paszczy lwa, pchało mnie dzisiaj w inne miejsce. **Zapraszały mury dawnej Starówki zdobiące cały rynek i zachęcające do dalszego ich poznawania.** Tworzyły nie tylko wizualną i piękną architekturę, ale i osobliwe zainteresowanie ich dziejami godnymi przyjrzenia się każdej z tych kamienic osobno. Przykładowo więc zbliżymy się do kilku z nich[114].

Bandinellowska przy ul. Robertowskiej 2 zbudowana w stylu włoskiego renesansu, przebudowana (szczególnie portal) w l. 1737–1739 i nabyta przez Roberta Bandinellego wnuka wybitnego rzeźbiarza florenckiego Bartolomea Bandinellego. Mieściła się w niej prowadzona przez nabywcę poczta.

Wilczków (nr 3), która przeszła potem z rąk tego starego rodu patrycjuszowskiego do Ubalskich, Rzewuskich, Lanckorońskich i Skarbków. Podziwiać tu można balkon z kutą w żelazie balustradą podtrzymywany przez kariatydy oraz symboliczne rzeźby na attyce: Chwała a na balkonie Geniusz. Szczyt frontonu ozdobiony jest kartuszem herbowym.

Czarna (Lorencowiczów, nr 4) należąca do najcenniejszych zabytków architektury lwowskiej. Miała ona tragiczne dzieje, związane z pożarami i w obecnej formie istnieje po różnych przebudowach. W 1571 r. Tomasz de Alberti z wyspy Chios odbudował ją prawdopodobnie według projektu P. Barbona. Nowy nabywca tj. aptekarski ród Lorencowiczów dokonał też ważnej przebudowy, która objęła także lata 1675–1679. Tej ostatniej dokonał nowy właściciel Marcin Anczowski pokrywając kamienicę efektowną rustyką kamienną, nazywaną diamentową. Z tego okresu kamienica zachowała figurę Matki Boskiej i św. Marcina. Z czasem pojawili się nowi właściciele tj. Potoccy, Oleksińscy Nikorowiczowie, w wyniku czego kamienica przeszła kolejne zmiany i otrzymała dodatkowo trzecie piętro. Udostępnia obecnie swoje pomieszczenia turystom pragnącym zwiedzić filie Muzeum Historycznego Lwowa.

Rys. 476. Ignacy Potocki[115]

Królewska (Korniaktów nr 6) zbudowana w l. 1573–1580. Dodajmy, że Korniaktowie byli pod koniec XVI w. najbogatszą rodziną patrycjatu lwowskiego wywodzącą się od Konstantego Korniakta, rodem z greckiej Krety. Od tego rodu kamienicę nabyli karmelici, a od nich odkupił ją w 1640 r. ojciec króla wojewoda Jakub Sobieski. Chyba dlatego nazwano ją „małym Wawelem", a potocznie Królewską. Pełniła bowiem rolę małej rezydencji królewskiej, w której miały miejsce niezwykle ważne wydarzenia. Jedno z nich, to tzw. traktat Grzymułtowskiego, w wyniku które-

---

[114] Por. Zbigniew Hauser, Ilustrowany przewodnik po zabytkach Galicji Wschodniej, Burhard Edition 2004, s. 55–60.

[115] Foto 442, 444, 445, 469 z: Dzieje Polski, t. II, Księg. Wyd. Polska, Poznań 1910.

go oddano Rosji ziemię smoleńską, czernichowsko-siewierską i kijowską. Późniejsi właściciele tej kamienicy to Rzewuscy i **Chodkiewiczowie**. Ci ostatni, założyli w niej bibliotekę oraz kolekcję obrazów i numizmatyczną. Widnieje na niej piękna renesansowa attyka z kamiennymi figurami króla i żołnierzy. Podobnie jak Wawel, szczyci się trzykondygacyjnym dziedzińcem arkadowym. Mieści obecnie część ekspozycji Muzeum Historycznego m. Lwowa.

Rys. 477. Jan Karol Chodkiewicz

Podobnie jak te wymienione, na uwagę zasługuje wiele innych kamienic zbudowanych przez wielkie historyczne rody nadające niecodzienne piękno swojej posiadłości i tło historycznych wydarzeń. Kolejnym przykładem tego może być ***Pałac arcybiskupi*** pochodzący z XVII w. Urzędował tu metropolita halicki namiestnik Rusi, później arcybiskup Stanisław Grocholewski. Dodajmy, że zmarł w niej 10 listopada 1673 r. król Michał Korybut Wiśniowiecki.

W kamienicy ***Lubomirskich*** zbudowanej w 1695 r. mieszkał m.in. rosyjski generał Kreczetnikow po I rozbiorze kamienicę zasiedlali austriaccy gubernatorzy. Ważnym wydarzeniem było proklamowanie w niej niepodległości Ukrainy w dniu 30 czerwca 1941 r., tj. zaraz po zajęciu Lwowa przez wojska hitlerowskie.

Umieszczono w niej obecnie także część zbiorów Muzeum Etnografii i Rzemiosła Artystycznego. W kamienicy *Weneckiej* (gdzie rezydował konsul Republiki Weneckiej odnajdziemy płaskorzeźbę herbu Wenecji z uskrzydlonym lwem z otwartą księgą i inskrypcją: Pax tibi Evangelista Marce 1600. W kamienicy ***Szolcwolfowiczowskiej*** (ród patrycjuszowski przybyły z Wrocławia) odnajdziemy figuralną scenę Chrztu Jezusa w Jordanie oraz łacińskie sentencje religijne w kartuszach.

Rys. 478. W zbieractwie upodobanie

Inne przykłady wydarzeń dotyczących kamienic na lwowskim rynku to: – ***Gieblowska,*** w której mieszkał car Piotr Wielki w czasie negocjacji z Polską dotyczących wspólnej walki ze Szwedami. – ***Pałac Korytkowskiego*** (komendanta lwowskiego garnizonu) wybudowany w 1770 r. w wyniku połączenia dwóch kamienic. Pałac łączy się obecnie z kościołem jezuitów. Mieszkał w nim m.in. poeta i historyk Jan Bartłomiej Zimorowicz. – ***Regulusowska,*** w której żyła faworyta króla Władysława IV Jadwiga Łuszkowska. – ***Mazanczowska,*** z pięknymi rzeźbami na fasadzie. Należąca do Baczewskich, producentów znanych wódek i likierów. – ***Gielazynów,*** pamiętająca pobyt księcia Józefa Poniatowskiego. – ***Groswajerów,*** należąca ongiś do burmistrza Marcina Groswajera broniącego miasta przed Kozakami Bohdana Chmielnickiego. – ***Zuchorowiczowska,*** w formie pałacyku w stylu rokoko-

wym, będąca kiedyś rezydencją przeora bazylianów z klasztoru św. Onufrego.

Właściwie w każdej z tych kamienic odnajdziemy ważny fragment dla historii naszego narodu i państwa. Postawmy kropkę nad „i" przy tym zdaniu i zajrzyjmy do kamienicy nr 45 zbudowanej w 1790 r., w której zachował się zrąb murów piętnastowiecznych. Prowadzono tu w okresie międzywojennym słynną kawiarenkę artystyczną **„Atlas"**, w której zbierała się cała śmietanka artystyczna Lwowa z takimi postaciami jak **Jan Kasprowicz** (poeta, dramaturg, pisarz, rektor Uniwersytetu we Lwowie), **Józef Wittlin** (z Legionu Wschodniego, pisarz związany m.in. ze Skamandrem, autor m.in *Sól ziemi*), **Brunon Szulc** i **Eugeniusz Romer** (prof. Uniwersytetu we Lwowie, geograf i twórca i pionier nowoczesnej kartografii polskiej, wychowawca wielu pokoleń geografów, autor m.in. *Ziemi i państwa*). Jak widać rynek lwowski stanowi cenny zabytek dla Polaków zarówno pod względem architektonicznym, jak i historycznym.
Można tu ciekawie spędzić czas.

Rys. 479. Pomnik Jana III Sobieskiego we Lwowie

Śródmieście i Wysoki Zamek

Dla mnie osobiście śródmieście Lwowa to jedno wielkie muzeum. Zaczyna się od ocalałego wśród zawieruchy pomnika naszego poety Adama Mickiewicza (stojącego nieopodal rynku przy jego południowej stronie) i przedstawia geniusza wręczającego wieszczowi lirę. Pomnik wyrzeźbiony przez Antoniego Popiela stanął tu w 1904 r. Natychmiast stał się symbolem całego miasta, wywołującym jak najlepsze skojarzenia. Odczułem to osobiście, bowiem zamieszkałem w jego najbliższym sąsiedztwie i wkrótce zaprzyjaźniłem się z jego bywalcami, podobnymi do mnie. **Dodajmy, że to sąsiedztwo jest godne Pomnika, bowiem należy do niego cały rynek z ratuszem i katedrą łacińską.** Grono więc znajomych systematycznie się powiększało. Pełno tu ciekawych ludzi.

Spacer po tym skrawku miasta okazywał się z reguły nieprzeciętną gratką. Trasa od Pomnika prowadziła „z urzędu" w stronę reprezentacyjnego hotelu George wybudowanego w l. 1900–1901. Projektantami byli słynni wiedeńscy architekci H. Helmer i F. Felner, którym starczyło fantazji na podjęcie dzieła na miarę potrzeb rozwijającego się stale Lwowa. Hotel tym wyzwaniom sprostał. **Wśród jego lokatorów znajdziemy Balzaka, Liszta, Ravela, Jean-Paul Sartre i wiele, wiele innych znakomitości.**

Rys. 480. Fragment miedziorytu z widokiem Lwowa w 1613 r.

W pobliżu zachowała się dawna ulica Akademicka zwana dzisiaj Szewczenka. To wyjątkowo elegancka ulica chlubiąca się znakomitą sławą. Od dawna elegancji jej dodawały dwa gmachy do dziś zachowane: piękny **gmach Izby Przemysłowo-Handlowej** (z imponującymi witrażami) i podobno bogatym wystrojem wnętrz. Sławą, otoczona też była dawna kawiarnia ***Szkocka,*** w której zbierali się nasi wybitni matematycy (Banach, Steinhaus, Ulma i inni) dzieląc się swoimi zawodowymi kłopotami ze społeczeństwem. Działo się to za sprawą przemyślnie obmyślanej socjotechniki, mianowicie ***Księgi Szkockiej,*** do której wpisywano skomplikowane zadania matematyczne. Za ich rozwiązanie przyznawano później zadziwiające nagrody.

Rys. 481. Fragment d. ulicy Wały Hetmańskie

Ale zaznaczmy, że ta ulica biegnie nad rzeką Pełtwią, którą wtłoczono w specjalnie wykonany system podziemnych kanałów na początku XX w. Ta specyfika miejskiej rzeki też zadziwia. Z jednej strony wiem, że to nie lokalna sprawa, wszak całe miasto na tej jedynej rzece się ulokowało i z niej obficie korzysta. Z drugiej zaś, nic nie mogę o tej rzece powiedzieć, wszak płynie podziemnym korytem całkowicie ukrytym dla oka. **Trochę szkoda, że pozbawiono przybysza jej uroków. Sądzę, że widok jej zmieniłby wygląd całego Lwowa.** Wiem jednak, że to rodzaj studni życia, bez której nie wyobrażam sobie tego miasta. Sam z tej studni przecież na każdym kroku korzystałem.

Ten prestiżowy punkt, zachęcał do dalszych spacerów poboczami bulwaru Lwowa zwanych ongiś wałami Hetmańskimi, a dzisiaj prospektem Swobody. Dociera stąd widok wzgórza owianego legendą, zwanego Wysokim Zamkiem. **Wiem, że dla turysty z prawdziwego zdarzenia Wysoki Zamek to pozycja przedniej rangi i symbol historii Lwowa, której pominąć nie można.**

Siadam na bulwarowej ławce obok starszego pana i usiłuję nawiązać rozmowę posługując się planem miasta w języku polskim. Widnieje na nim wzgórze Wysokiego Zamku. **Przylega do miasta po stronie północno-wschodniej.** To bardzo romantycznie wyglądające wzgórze, widoczne z każdego niemal punktu miasta. Jak pisze Adam Dylewski, na wzgórzu tym wysokości 412 m w dolinie Pełtwi: „...rozciągał się gród założony przez I Daniela Halickiego, a zniszczony przez Lubarta w 1350 r. Potem wzgórze pełniło funkcje wyłącznie militarne. Kazimierz Wielki wzniósł gotycki zamek murowany, który w XVI w. przebudowano i otoczono kamiennym murem. Zamek zdobyli i spalili Kozacy Krywonosa w 1648 r. Po powrocie w polskie ręce został odbudowany. Wytrzymał kilka następnych oblężeń, aż stracił swe militarne znaczenie na rzecz twierdzy w Kamieńcu Podolskim. W 1704 r. zdobyli go i zniszczyli Szwedzi. W 1772 r. resztki rozebrali Austriacy (można znaleźć jeszcze fragment muru). Ze szczytu rozpościera się znakomita panorama”[116].

Dla odpoczynku, próbuję ten tekst sąsiadowi tłumaczyć. W pewnym momencie mój trud przerywa i w interesującej formie objaśnia historię kopca Unii Lubelskiej usytuowanego właśnie na stokach Wysokiego Zamku. **Usypano go w latach 1869–1899, rzecz ciekawa z inicjatywy Franciszka Smolki (1810–1899), prezydenta parlamentu austriackiego.** Jak wiemy był on zwolennikiem polonizacji mieszkańców tych ziem i sam się idealnie spolonizował. Był przez lwowian bardzo szanowany i lubiany. W pamięci kojarzono go jako właściciela długich wąsów (80 cm) i znakomitych, przeróżnych inicjatyw we Lwowie zachowującym o nim jakże żywą, jak najlepszą pamięć. Z jego inicjatywy, ziemię do kopca przywieziono z miejsc okrytych chwałą dla Polski, a m.in. z pola bitwy pod Racławicami, z kopca Kościuszki w Krakowie oraz z grobów Słowackiego i Mickiewicza.

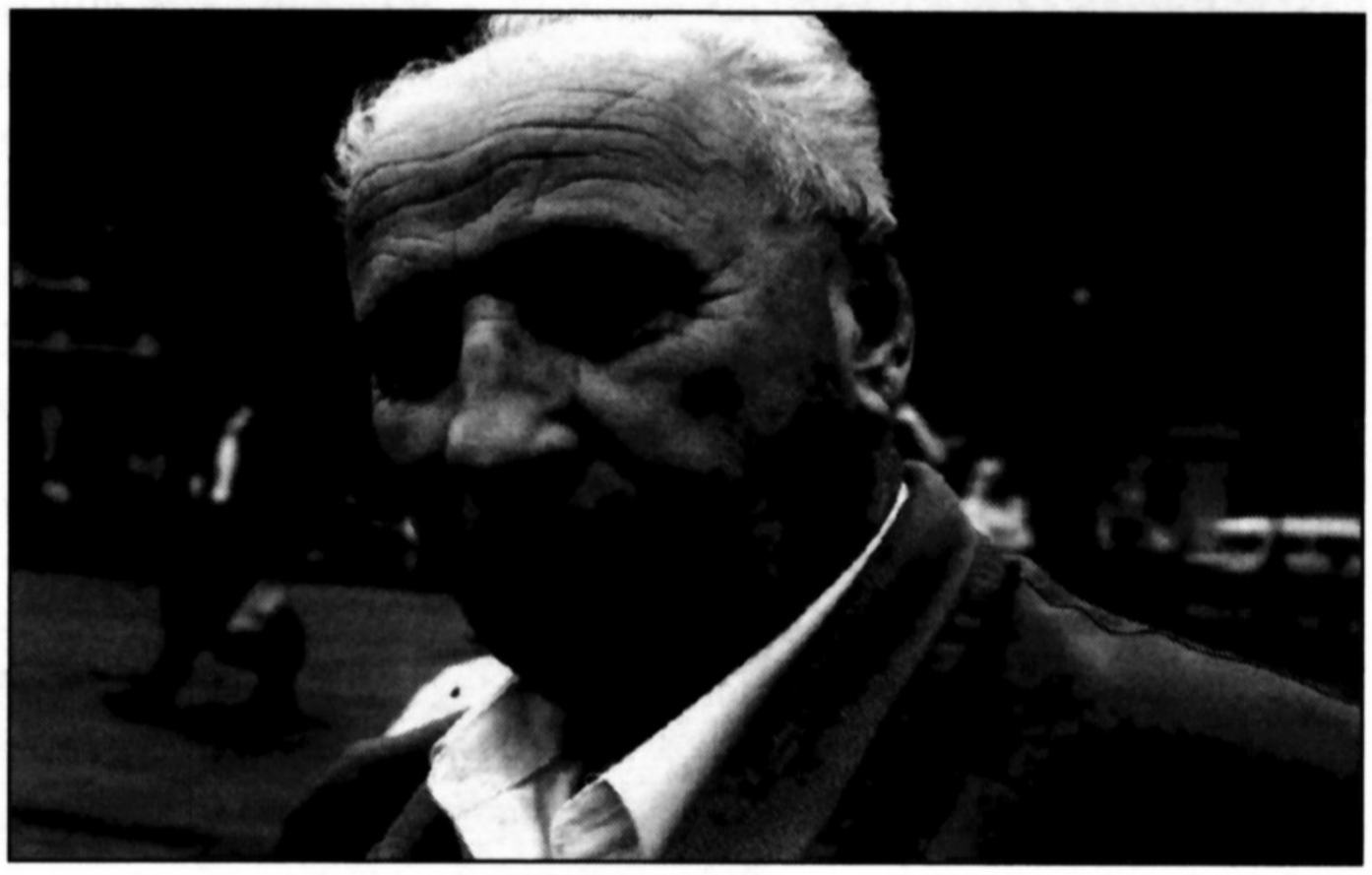

Rys. 482. Lwowianin życzliwy Polsce

Zdziwiony jestem skąd tyle szczegółów Polski mój rozmówca zna. Dowiaduję się, że sam pochodzi z rodziny austriackiej, która wsiąkła od dawna w klimat Lwowa i nie potrafi żyć w nienawiści do nikogo. Kiedyś nie rozróżniał i nie starał się dzielić lwowian na Polaków i Ukraińców. **Te podziały zaczął coraz silniej dostrzegać po wejściu do Lwowa armii radzieckiej w 1939 r. Problemy i tragedie sypały się odtąd jak z dziurawego worka.**

– Gdyby niczego już więcej Polacy nie doświadczyli, to te przykrości których tu doznali wystarczyłyby na wszystkie pokolenia – twierdzi. **To były straszne rzeczy. Katastrofa!** Choć podobno i w 1918 r. nie mniejsza, ale tego nie przeżywałem a to o czym się dowiedziałem to na szczęście uległo zapomnieniu i wracać do nich bym już nie chciał. Tym bardziej, że są nowe trudne sprawy... – coś sugerował. Podejrzliwie zapytałem więc o co mu właściwie w tej sugestii chodzi.

– Te trudne sprawy to dla mnie brak pojednania Ukrainy z Polską, oświadczył. I to mimo tylu okropności, wysoce niekiedy pouczających, jak sprawa polskiego morza. Znam co nieco sprawy Gdańska i Westerplatte, dodaje. **To był dla was chyba drugi Lwów już u progu II wojny światowej...**

---

116 Adam Dylewski, Ukraina, Praktyczny przewodnik, op. cit. 145.

Rys. 483. Autor składa wieniec Bohaterom Westerplatte

– Trochę inaczej sprawy się miały. Analizy nie zrobimy – oświadczyłem, ale Papieża Jana Pawła II warto wspomnieć.

Przemówienie jego na Westerplatte jest przecudowne. Przypomniał tyle prawdy i ważnych szczegółów. Nawet ten fakt, że **mjr Henryk Sucharski** broniący naszego Helu został wzięty do niewoli, przy czym Niemcy pozwolili mu zachować szablę, w uznaniu jego heroicznej walki. **Potem, czyli od 1945 r. dowodził VI batalionem Korpusu polskiego we Włoszech. Odznaczony jest Krzyżem Wirtuti Militari i spoczywa na Westerplatte.** Byłem bardzo dumny, gdy składałem w imieniu moich kolegów kwiaty bohaterom walk o Westerplatte. Tę prawdę o bojach na Westerplatte może sobie pan przeczytać właśnie w tym cudownym przemówieniu naszego Papieża.

Szerzej potraktowanych niż ja to robię. Papież podkreślając dramat Sucharskiego mówi, że każdy ma swoje Westerplatte i sam je musi do końca rozwiązać. Myślę, że i z Ukraińcami nadejdzie pojednanie. **Ale musi być szansa na zwycięstwo prawdy.** Nie lękajmy się jej. Najpierw, otwórzmy, jak mówi nasz Ojciec Święty, drzwi Chrystusowi.

Po tych słowach nastała niesamowita cisza i wznawiać rozmowy już nie chciałem. Podaliśmy sobie dłonie w nadziei, że się znów tu spotkamy. Nazajutrz wzrok mój oparł się na pięknych wieżach pobliskich kościołów zachęcając do modlitwy i skupienia się w ich wnętrzach. Na placu przy jednym z nich spotkałem tego pana, z którym spontanicznie udaliśmy się na dłuższą pogawędkę. Byłem jakoś dziwnie rozkojarzony. Chyba brakiem modlitwy. Ale ciekawych tematów w rozmowie nie zabrakło.

Sława kościołów i cerkwi

Koncentrując uwagę na sprawach lwowskich świątyń odczułem, że dla samych kościołów i cerkwi warto było do tego miasta przyjechać. Z daleka już nadają one jakiś nadzwyczajny urok miastu i śpieszysz, aby niektóre przynajmniej odwiedzić dla modlitwy a może i wykorzystać, wszak mają niekiedy imponujące wieże, z których ogarnąć można całą panoramę miasta. **To drugie powstało pod wpływem zewnętrznej obserwacji Katedry łacińskiej, której charakterystyczna wieża góruje wysoko nad miastem.** Towarzyszą jej wieże innych kościołów (często pozamienianych na cerkwie), dekorujących rozległe dzielnice miasta. Symptomy to zewnętrzne oczywiście, wszak katedra ormiańska nie jest na zewnątrz imponująca, ale wizyta w niej to prawdziwy rarytas, o którym pamiętał Ojciec Święty Jan Paweł II wizytując Lwów w 2001 r. Ale nie uprzedzajmy faktów.

Rys. 484. Widok katedralnej wież łacińskiej

Wizyta Ojca Świętego miała tu, we Lwowie szczególnie ważne znaczenie i to nie tylko religijne, ale i społeczne. Nie wszyscy bowiem lwowianie są ludźmi wierzącymi a i wśród wierzących aktywność religijna często wygasła i potrzebny był nowy dla jej ożywienia impuls, ten z warszawskiej Starówki. Pamiętny to moment kiedy przed kościołem św. Anny Ojciec Święty dobitnie wyraził swoje pragnienie słowami: Niech zstąpi Duch Twój i odnowi oblicze ziemi! Tej ziemi!

Odnowił. I tu we Lwowie też. Stała się bowiem rzecz niesłychana, że po chłodnym przyjęciu Papieża w Kijowie, Lwów wybuchnął entuzjazmem niezliczonych tłumów. Jak w Warszawie, wielu innych miastach Polski i dalekiego świata. **Cieszyło się całe miasto i świętowało.** W centrum, tak obficie ozdobionym, miał co robić papieski fotograf Adam Bujak. Moc plakatów i uradowanych jak nigdy twarzy. Wszędzie wyrażano w możliwie dostępnej formie: **Witamy Ojca Świętego Jana Pawła II.** Już na kilka dni przed wizytą dekorowano wszystkie strategiczne punkty miasta, ulice, witryny sklepowe, domy, kościoły, cerkwie...A potem witały Papieża w swoich murach kościoły, które znał z dawnych lat

Rys. 485. Grób Chrystusa w zewnętrznej ścianie katedralnej

i które duchowo były mu tak bliskie. Oczywiście nie wszystkie mógł odwiedzić. **Symbolicznie, udał się najpierw do trzech katedr: rzymskokatolickiej, grekokatolickiej i ormiańskiej. To przecież wyraz tego, że do 1945 r. Lwów był jedyną na świcie siedzibą aż trzech biskupstw katolickich.**

Wydarzeniem tym cieszyła się nade wszystko katedra lwowska ze swoim ludem, a właściwie Bazylika Archikatedralna, ufundowana za czasów króla Kazimierza Wielkiego w 1360 r. W niej przecież przed ołtarzem Matki Bożej Łaskawej król ten złożył w 1656 r. śluby Maryi i nazwał ją Królową Korony Polskiej. **Teraz, po wiekach, gdy modlił się tu polski Papież, obraz odzyskał należną mu sławę.**

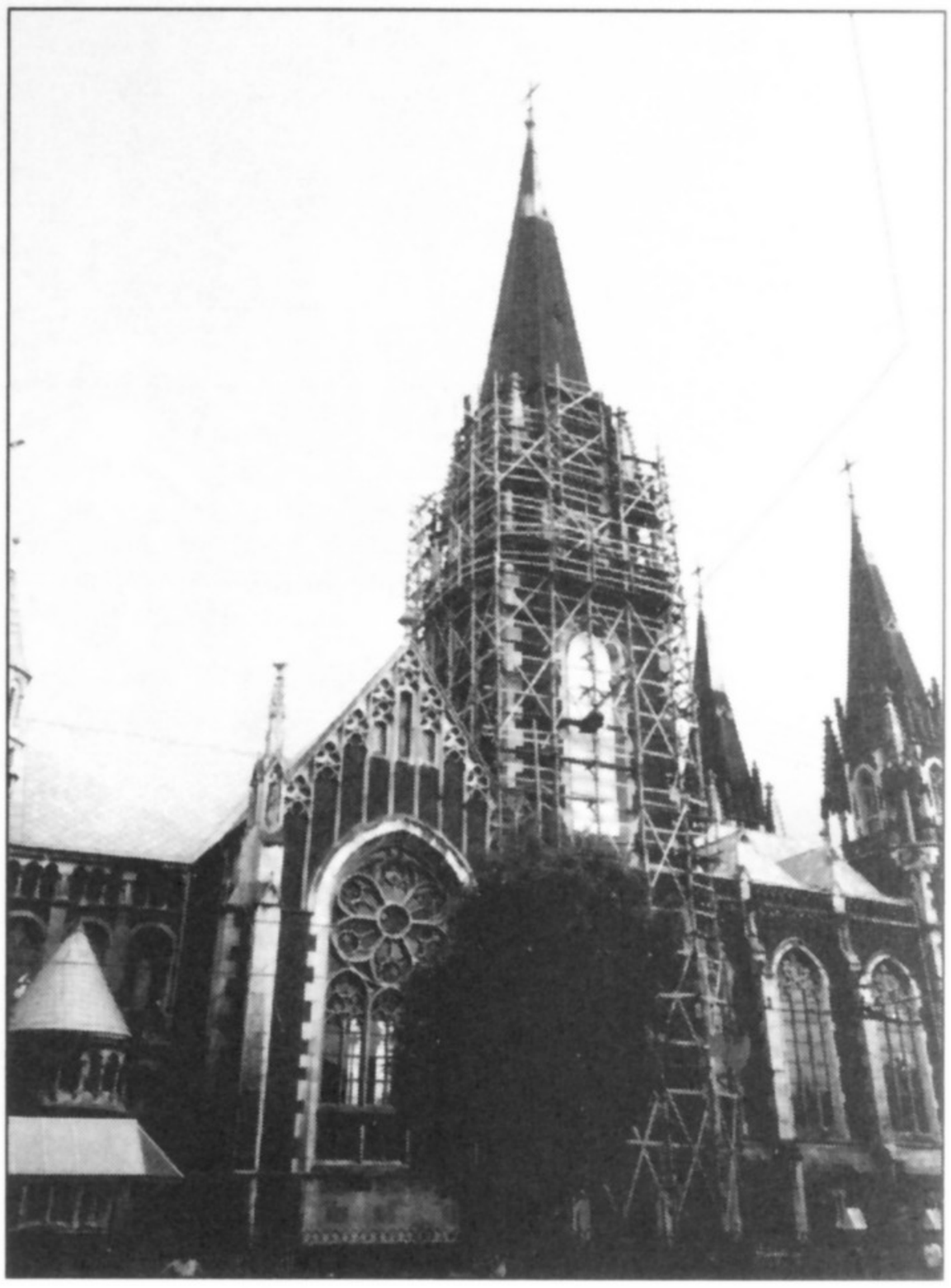

Rys. 486. Kościół św. Elżbiety

Niemniejszą otuchę wniósł Papież do bram katedry ormiańskiej. Otworzyły się one dla wiernych na kilka zaledwie dni przed jego przybyciem, bowiem świątynia była zamknięta i służyła za magazyn. Dodajmy, że w oficjalnych programach wizyty tej nie przewidywano. Papieża wprowadziła do niej grupa duchownych ormiańskich z biskupem Grigoriesem na czele. Ta bardzo ukochana przez lwowiaków świątynia, zbudowana w 1370 r. zachowała do dziś min. piękne mozaiki Józefa Mehoffera i wspaniałe freski Jana Józefa Rosena. To tu, cały dziedziniec wykładany jest kamieniami z inskrypcjami wykonanymi przed wiekami. Doprawdy, nie umiałem się zachować i krępowałem się po nich chodzić, by nie zacierać śladów wielkiej historii.

Historyczna wizyta Ojca Świętego odbyła się także w archikatedrze Kościoła bizantyjsko-ukraińskiego, mieszczącym się na najwyższym wzgórzu miasta, tj. w kościele św. Jura (Jerzego). W sąsiadującym z nią Pałacem Arcybiskupim Jan Paweł II miał w czasie pobytu swoją rezydencję. Kościół św. Jura zbudowała polsko-ukraińska rodzina Szeptyckich

Rys. 487 i 488. Na dziedzińcu katedry ormiańskiej

Rys. 489. Kamienny ołtarz Katedry

w 1772 r. w nietypowym dla cerkwi stylu późnego baroku. Mieści się na planie krzyża greckiego. Jan Paweł II poświęcił tu korony do obrazu Matki Bożej z Dzieciątkiem. „Witajemo tebe! Kochajemo tebe! – wołali w podzięce wierni, którym towarzyszył gospodarz katedry kardynał greckokatolicki Ludomyr Huzar.

Za przykładem tych katedr, we wszystkich kościołach i cerkwiach panował we Lwowie nadzwyczajny, świąteczny, przyjazny Ojcu Świętemu nastrój. A jest tych świątyń wiele. Naliczyłem ich 23, choć nie mam żadnej gwarancji że to wszystkie:

1. Katedra łacińska, 2. Kościół Dominikanów, 3. Cerkiew Wołoska (Zaśnięcia Matki Boskiej), 4. Katedra ormiańska Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny, 5. Cerkiew Przemienienia Pańskiego, 6. Kościół św. Piotra i Pawła, zwany kościołem jezuitów (przy nim kolegium Jezuitów), 7. Kościół Matki Bożej Śnieżnej, 8. Klasztor benedyktynek łacińskich, 9. Kościół św. Jana Chrzciciela, 10. Kościół św. Andrzeja – Bernardynów, 11. Greckokatolicka katedra św. Jura, 12. Kościół św. Marii Magdaleny, 13. Kościół św. Elżbiety, 14. Cerkiew św. Mikołaja, 15. Cerkiew św. Onufrego, 16. Cerkiew św. Parasewii Piatnicy, 17. Kościół św. Marcina, 18. Kościół Karmelitów Bosych św. Michała Archanioła, 19. Kościół św. Kazimierza i klasztor szarytek, 20. Klasztor Franciszkanów, 21. Cerkiew św. Jerzego, 22. Kościół Klarysek, 23. Kościół św. Antoniego.

Byłoby ponad moje siły opisywanie roli i historii tych świątyń. Wspomnę tylko o dwóch z nich, szczególnie głęboko tkwiących w moim sercu. Jest to oczywiście powszechnie znana **katedra łacińska,** z charakterystycznym półmrokiem, sprzyjającym koncentracji i modlitwie. Z zewnątrz nie stanowi moim zdaniem jakiegoś arcydzieła. Wnętrze jednak jest fascynujące z uwagi na architekturę i wystrój. Twórcą koncepcji architektonicznej był podobno mistrz Niczko (Mikołaj), zmarły w 1384 r., po którym kontynuację budowli przejął Mikołaj Gansecke (w 1404 r. zasklepił prezbiterium).

W 1479 r. mistrz Joachim z Wrocławia ukończył całe sklepienie i w wigilię Bożego Narodzenia 1481 r. arcybiskup Jan Strzelecki konsekrował już nową świątynię. **Patronowała ona najwspa-**

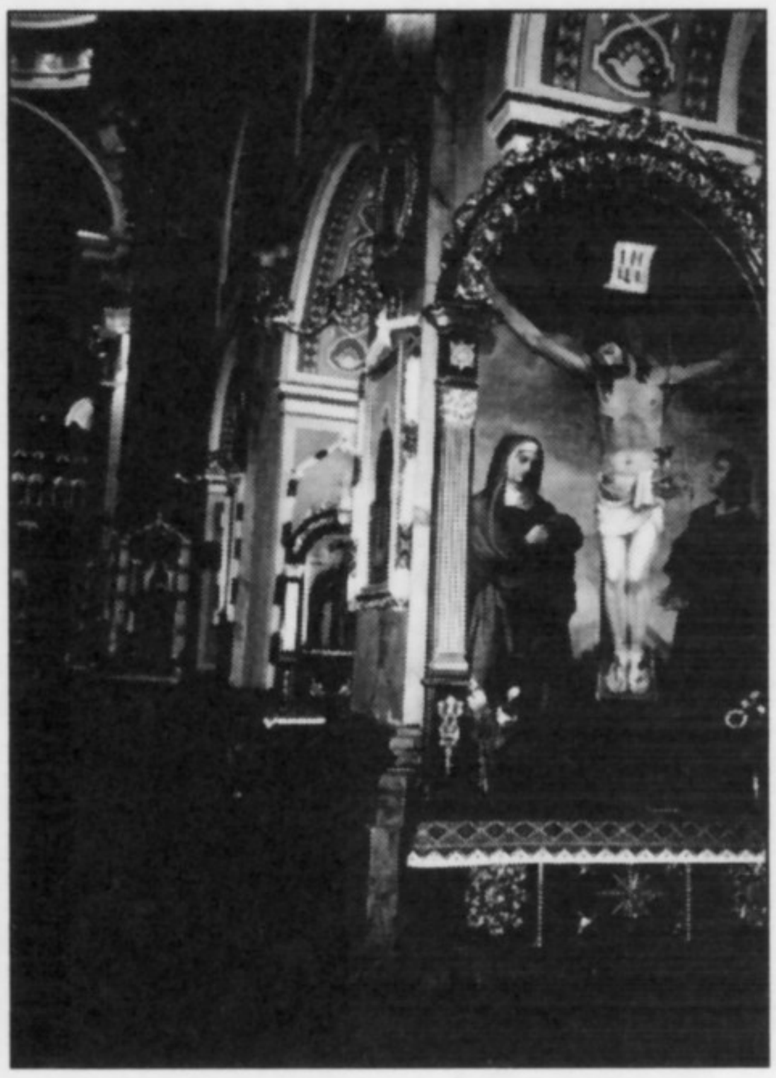

Rys. 490. Nawa boczna w Kat. Ormiańskiej

nialszym wydarzeniom naszej historii przez wieki. Dopiero po wojnie, tj. w 1946 r. ówczesne władze zmusiły metropolitę abp. Eugeniusza Baziaka do wyjazdu do Polski i zamknięcia kurii arcybiskupiej oraz seminarium we Lwowie. Prawa do prowadzenia działalności duszpasterskiej uzyskali tylko nieliczni księża. Jak dawniej tak i dziś katedra reprezentuje niezwykłą wartość zabytkową i pamiątkarską stanowiąc symbol religijności lwowskiego ludu. Semper fidelis.

W podobnym nastroju odbierałem kościół bernardynów p.w. św. Andrzeja Apostoła mieszczący się nieopodal mojej kwatery. Wyjątkowe to miejsce na codzienną modlitwę. Cały wystrój wnętrza tej wielkiej budowli, które serdecznie do niej zachęca. Robił to przez pokolenia. Znany był niegdyś rodakom nie tylko z uroczystych modłów, ale i śpiewów legionowych (ułańskich, harcerskich) w całym Lwowie. Echo tamtych dni jeszcze dla mnie nie przebrzmiało. Ale o tym później.

Opowieści studenckiej bandury

Pobyt w kościele bernardynów stwarza rzeczywiście przedziwną potrzebę usłyszenia wielkiej historii i muzyki. Wyszedłem z niego w nadziei, że w jakimś sklepie muzycznym fragment tej cudownej muzyki odkryję. Nie udało się. **Sam plac Bernardyński (nawet nie wiem jak się teraz nazywa) ma za to pełno ciekawych zakamarków i sklepików.** Ale muzyki nie ma. Jakaś cisza umocniona przez wielkie kamienie, którymi jest jak dawniej wykładany. Patrzę na nie w zadumie i nie wiem czy jest we Lwowie kamień, którym by się nie zachwycano. Ze zdziwieniem odczytywałem na niejednym z nich wyryte napisy i informacje (jak te, którymi wyłożony jest stary dziedziniec katedry ormiańskiej) i wiem, że niejeden z takich kamieni zajmuje poczesne miejsce na stronicach mądrych ksiąg.

Tyle o tym mieście ich już napisano a jednak Lwów jest wciąż na nowo odkrywany i to przy każdej sposobności. Bo tu wszystko, nawet i uliczny kamień jest zabytkiem historii. Szafa na półpiętrze przy ul. Braci Rohatyńców gdzie zamieszkałem, także. Zresztą i cała aleja Swobody (d. Wały Hetmańskie) ciągnąca się od skweru Mickiewicza do Teatru Wielkiego, to żywy dla mnie pomnik minionych dziejów tworzący oryginalną, niepowtarzalną atmosferę. Przy każdej okazji chętnie więc na ten centralny skrawek Lwowa wracam. Spełniam jakiś codzienny rytuał.

Rys. 491. Pomnik Mickiewicza

Rys. 492. Odpoczynek przy pomniku

To znaczy: od skweru Mickiewicza tuż przy mojej kwaterze, przechodzę ul. Wałową właśnie na plac Bernardynów, zaglądam na chwilę do kościoła z przylepionym do niego bernardyńskim klasztorem i następnie, tj. po spełnieniu tego rytuału zaczynam buszować po sze-

Rys. 493. Figura Matki Bożej

rokim bulwarze Swobody w pogoni za ciekawostkami Lwowa, wyciąganymi z tego niespotykanego muzeum naszych dziejów. **To chyba za sprawą samego kościoła bernardyńskiego tak silnie akcentującego historyczne dzieje samego Lwowa.** Stanowił tu jakimś cudem uratowane muzeum polskości.

Kościół pierwotny, zbudowany został w 1460 r. i zaraz, bo po paru latach przez Rusinów spalony. Misja bernardynów nie znajdowała wśród prawosławnych zrozumienia. Król Zygmunt III, na prośbę krakowskich bernardynów wydał zezwolenie w 1602 r. i do odbudowy włączyły się czołowe rody Rusi: **Mniszchowie, Sieniawscy, Żółkiewscy, Zamoyscy i in.** W niespełna 30 lat później kościół i klasztor już ufortyfikowany uroczyście

Rys. 494. Kościół „Legionowy"

Rys. 495. Bandurzysta

otwarto. Cała fasada wzorowana jest na porządku toskańskim. W niszy szczytu ozdobionego licznymi rzeźbami umieszczono posąg Chrystusa otoczonego herbami Polski i Litwy. **Nad tym figura Boga Ojca i Gołębica. Wokół przepiękne rzeźby Ojców Kościoła.** Uwagę zwracają stiukowe figury świętych, liczne obrazy i rzeźby nawy boczne tworzące przepiękną kompozycję siedemnastu ołtarzy.

„Взяв би я бандуру"

Де Крим за горами
Де сонечко сяє,
Там моя голубка
З жалю завмирає]2

Закрилась од мене
Небом і землею
А я тут зостався
Круглим сиротою]2

А все через очі,
Коли б я їх мав,
За ті карі очі
Душу б я віддав]2

Марусино, серце моє,
Почалій мене,
Візьми ж моє серце,
Дай мені з свое]2

Взяв би я бандуру,
Та й заграв, що знав,
З великого журу
Бандуристом став]2

Rys. 496. Tekst Bandury

Malowidła wykonywali wybitni artyści m.in. Benedykt Mazurkiewicz, uczeń Giuseppe Pedritettgo z Bolonii.

Ale zapędziłem się. Nie mam prawa tego wszystkiego opisywać. To zbyt piękne dzieło jak na moje możliwości. **Mam wrażenie, że i znakomici autorzy mieliby niemało kłopotów z oddaniem piękna tej świątyni.** Mnie się to wcale nie udaje. Pod wpływem organów, z uwagi na ich piękno niedostępne dla mojego pióra, dalszy tekst w tym miejscu wycofuję. Na szczęście zachowałem dla siebie wrażenie także ich tonów i mogę sobie wyobrazić jak wyglądało przed wojną nabożeństwo legionowe w tym wielkim kościele i śpiewy harcerskie: O Panie Boże, Ojcze nasz..., a potem i przemarsz paradny na Wały Hetmańskie, nie szczędzące mi głębokich wrażeń i przeżyć. Tym razem wrażeń zdobytych przy pomniku naszego wieszcza Adama.

Jest niezwykle upalny dzień i siadam na pobliskiej ławce wczytując się w legendy o tym bernardyńskim zabytku. Nie mam zbyt wiele spokoju. Z pobliskich ławek i traw dolatują niestety coraz większe wulgaryzmy i awantury. Wreszcie tragedia. Półświatek zwycięża ciszę. Słyszę straszliwy krzyk i szamotaninę. To właśnie świat przestępczy prowadzi swoje rozrachunki. Widzę jak jedna z uczestniczek tłucze butelkę o kamień i z tą otłuczoną szyjką butelki jak z okrutnym narzędziem śmierci biegnie za swoją konkurentką. Dopada jej roznegliżowanego ramienia. Z dala spostrzegam strumienie krwi, przy czym butelka jest nadal w ręku napastniczki. **Przez chwilę wielkie zamieszanie i dopada mnie jakiś młodzian: – lepiej tu nie siedźcie, to wszystko się może natychmiast i do was przenieść...wy chyba z Polski... – obserwuje moje polskojęzyczne książki.** Chłopak mówi całkiem ładną polszczyzną. Sam jakby przestraszony umyka w zarośla, a ja czym prędzej odchodzę parę ławek dalej.

Tu, jakby nigdy nic, spokojnie grają faceci w karty, a dwie następne ławki zajmują szachiści. **Siadam koło nich i tracę orientację ogólnej sytuacji.** Krzyki, szamotanina i płacz ciągle dolatują moich uszu. Szkoda mi tych biednych ludzi. Chciałoby się podejść i przeciwdziałać nieszczęściu. Czuję jednak starość i ogrom bezsiły. Próbuję pozbierać książki, uporządkować gazety i nieśmiało przybliżam się w kierunku, z którego przyszedłem.

Rys. 497. Ślubna fotografia

Z dala, zawieszam wzrok na jakiejś pustej ławce. Zaczynam wracać do normalności. Ranni odjechali, napastnicy pouciekali a przy jednej z najbliższych ławek milicjant prowadzi dochodzenie i szuka świadków zdarzenia. Żałuję, że nie mogę do akcji się włączyć i dziwnie zakompleksiony przechodzę na drugą stronę deptaka.

Rys. 498. Ratusz Pomnik Szewczenki (w środku), wieża katedry

Mijam potężny pomnik Szewczenki i słyszę kojący głos chłopaka śpiewającego ludowe ukraińskie pieśni. **Coraz wyraźniej dociera do moich uszu subtelny akompaniament bandury. Dawno tyle muzycznych subtelności do moich uszu już nie docierało.** Przechodzę koło młodziana, rzucam do futerału jakiś banknot i w ukłonach grajka odczytuję chęć rozmowy. To jeden ze studentów miejscowego konserwatorium rozśpiewany jak ten z mojej grupy nad Morzem Czarnym kreującym „Kocmoucha". Zaczynamy spontaniczną rozmowę. Bardzo życzliwą i przyjemną. Dowiaduję się, że student jest na wokalistyce i specjalizuje się w ukraińskim folklorze. – A to ci gratka dla mnie. Tak oczekiwana! Wreszcie mam okazję zapomnieć o niedawnych przykrościach i posłuchać wspaniałej muzyki. Gra i śpiewa jak na zamówienie. **Więc zamawiam *Modlitwę Pokucia* (coś w rodzaju naszej *Modlitwy polskiego dziewczęcia*), a potem ukraińską *Bandurę*. W dodatku otrzymuję jakieś**

Rys. 499. Dzień jak co dzień

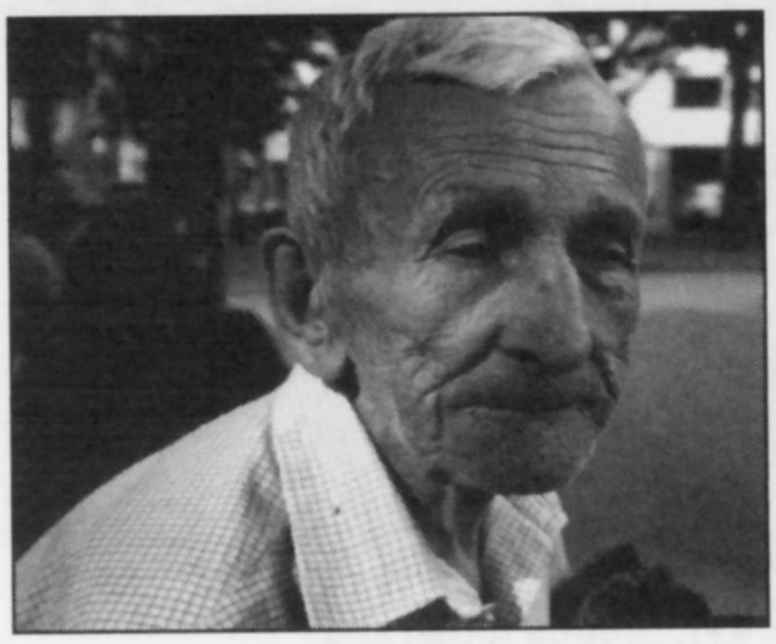

Rys. 500. Chętnie służy dobrą radą

studenckie opowieści o Lwowie, dowcipnie zainscenizowane. Cudowny głos, cudowny przy tym akompaniament. Niedwuznacznie podziwiam.

– A wy kto...muzyk? – próbuje dociekać. Tylko świadectwo ze szkoły muzycznej mi teraz pozostało – odpowiadam, choć nuty jeszcze nie najgorzej czytam. I zaczynam notować jakiś prosty, bardzo piękny utwór, który przed chwilą zasłyszałem. **Włącza się do tego i poprawia moje błędy. Ma bardzo podzielną uwagę.** Tu pisze na moją prośbę cały tekst piosenki: Wziąłbym ja bandurę, a tu zezuje w moją kartkę i nie przepuszcza najmniejszego mojego potknięcia. Całość sprawnie przegląda i sprawdza z bandurą w ręku. Jestem uspokojony i polegam na jego inicjatywie i wiedzy. Nawet nie patrzę co na kartkach powstaje. – Nie mógłbyś się gdzieś na pół etatu zatrudnić? – Wiecie, strażak na pół etatu to tylko część pożaru gasił. Ja idę na całego! Tylko studia najpierw muszę ukończyć. Uradował mnie ten muzyk-pożarzysta. Ale oto z dala dociera do moich oczu jakieś zgro-

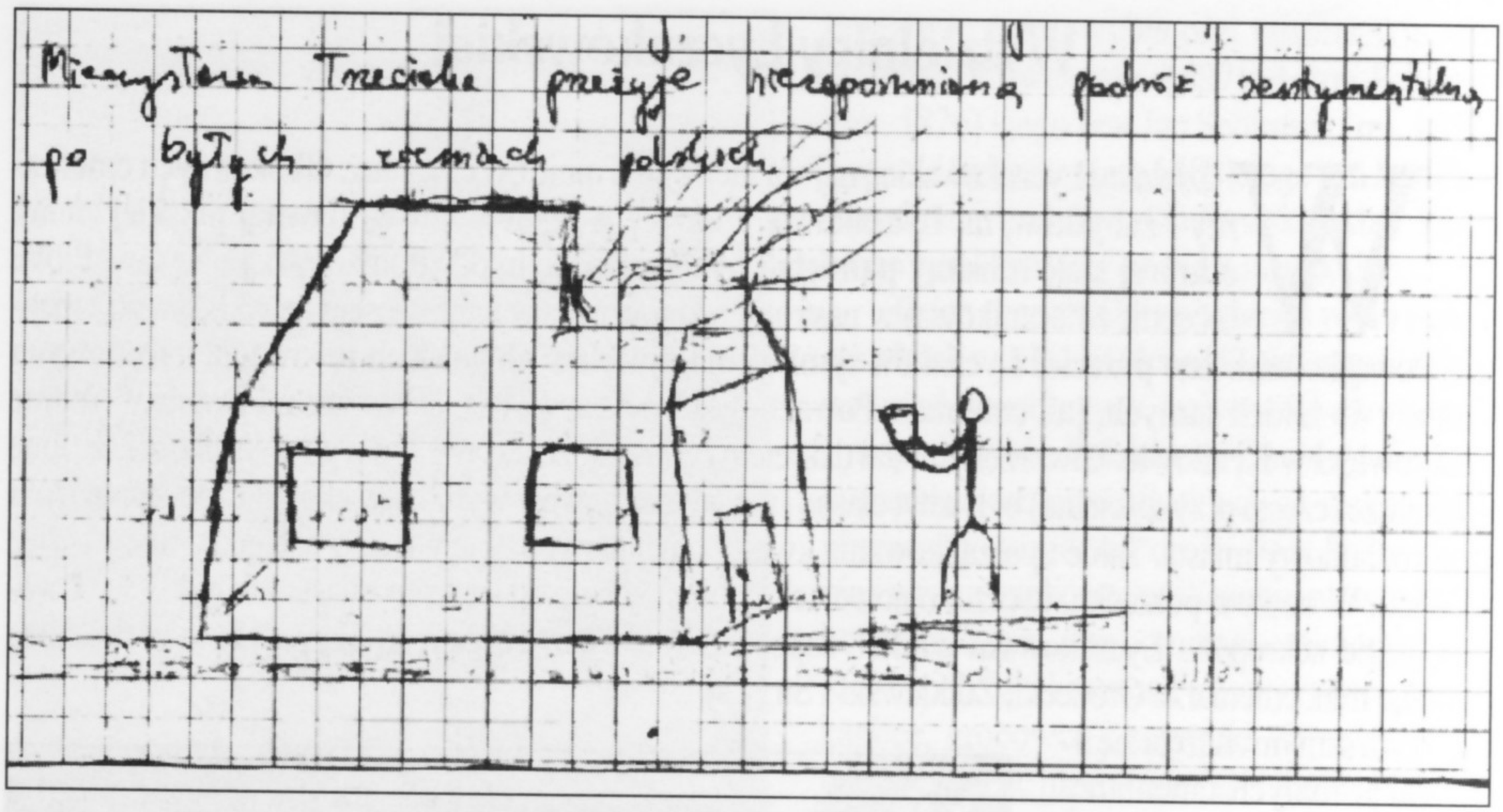

Rys. 501. Studencka recenzja pracy na pół etatu

madzenie. Tym razem przed pomnikiem Szewczenki. Coś chłopaczek przeczuł, że w międzyczasie zmienia mi się nastrój. **Patrzy na pomnik i wyjaśnia: nie bójcie się, zaraz młodą parę zobaczycie. To wesele składa poecie wieniec. Chyba i tu przyjdą jak będą mieli humor.**

Jest już wszędzie pełno ludzi i ani nie zauważyłem kiedy podszedł do mojego znajomego ktoś, nieco chyba na rauszu i sypnął mu walutą. – Dawaj, pajdziom, wot tam swadźba! Grajek zdecydował się z nim iść i usiłował mnie do tego wciągnąć. Bałem się, bo na podobnym, tyle, że studenckim weselu w Tarnopolu omal nie dostałem w ryja (por. r. IV, pkt. 9). Więc odmówiłem. Po chwili, zamknął się futerał i zostałem na jego straży.

Rys. 502. W poszukiwaniu świadków zajścia

Wesele w tym momencie niechętne było muzyki i nastawiło się na ustawianie „małdzioży" do zdjęć. Zaszała kamera i fotograficzne aparaty.

Fragment rozbawionego towarzystwa udało się i mnie z daleka sfotografować. Grajka na nim już nie było. Spotkałem się z nim jeszcze parę razy na tym placu, wszak dopiero po paru dniach rozjechaliśmy się w dalekie strony. Ponaglały wakacje dobiegające końca. Na Ukrainie, trwają tylko do września a on chciał jeszcze odwiedzić swoich rodziców. Miał na to już wystarczająco forsy.

W dzielnicy Łyczakowskiej

W dzielnicy Łyczakowskiej, najważniejszy dla mnie był cmentarz. **Obok innych cmentarzy i zabytków, na Łyczakowie czuło się w ogóle skrawek dawnej polskiej ziemi, o której stale musimy pamiętać.** Wchodziło się tu od strony dawnej ulicy św. Piotra (obecnie Miecznikowa) w nastroju, jaki towarzyszy przy wejściu na warszawski cmentarz Powązkowski. **Jest przecież Łyczaków symbolem największych polskich nekropolii narodowych i należy do takich samych, jak cmentarz Powązkowski w Warszawie, cmentarz na Rossie w Wilnie i Rakowicki w Krakowie.** Utworzony został dekretem cesarza Józefa II w 1786 r. gdy okazało się, że inne cmentarze (często przykościelne) były zbyt ciasne i nie wytrzymywały wymogów ekologiczno-sanitarnych oraz rozbudowy miasta. Takie uporządkowania kwestii cmentarnych objęły tereny całego cesarstwa więc i Galicji. W nowym porządku, tworzono nowe nekropolie, odległe od centrum miast. Tak było i we Lwowie, gdzie nekropolia Łyczakowska właśnie zapoczątkowała ten proces a za nią poszły inne dzielnice tworząc min. cmentarze Gródecki, Żółkiewski i Stryjski.

Tym samym zaczęła się likwidacja małych cmentarzy (**m.in. małego cmentarzyka przy Politechnice Lwowskiej**) a z czasem, w wyniku rozbudowy nekropolii Łyczakowskiej nastąpiła nawet i likwidacja wspomnianych wyżej cmentarzy dzielnicowych. W ciągu dwustu lat, pochowano na Łyczakowie ok. pół miliona osób. Dodajmy przeważnie Polaków i to stanowiło o narodowym charakterze tej nekropolii, choć chowano tu także i Ukraińców, Austriaków, Niemców, Ormian, Żydów, Rosjan i innych. W ten sposób nekropolia ta upodabniała się do wileńskiej Rossy. **Podobnej nawet topograficznie do Łyczakowa, położonego także na wzgórzu, za miastem.** Oba cmentarze różni jednak dramatycznie odmienna historia, związana z powstaniami, wojnami i walkami narodowo-wyzwoleńczymi. Na wzgórzu Łyczakowskim różne świadectwa tych walk nie trudno jeszcze odnaleźć. Toczyły się one w imię idei M. Konopnickiej oznajmiającej w pieśni: Nie rzucim ziemi skąd nasz ród.

Rys. 503. Grobowiec na Cmentarzu Łyczakowskim

To wielki, 40-hektarowy teren o charakterze krajobrazowo-parkowym usytuowany w malowniczym, pagórkowatym terenie z tarasami w otoczeniu ogromnej ilości zieleni. Kto choć raz na nim się znajdzie i przejdzie wśród nie najlepiej przecież utrzymanych alejek, zaobserwuje czar starych, często zrujnowanych już mogił z epitafiami w kilku językach: polskim, ukraińskim, niemieckim, łacińskim, rosyjskim, francuskim, a nawet rumuńskim czy węgierskim, przeżyje przyśpieszony rytm serca i wzruszenie, jakiego nie będzie mu dane przeżyć w żadnym innym zakątku kuli ziemskiej. Odnajdzie jeszcze 23 kaplice (jedna, Dzieduszyckich, została zniszczona w 1944 r.) i ok. 20 tys. nagrobków wykonanych

Rys. 504. II płk Ułanów Księstwa Warszawskiego

przez min. takie wybitności rzeźbiarskie, jak: Hartman Witwer (zm. 1827), Anton Schimser (zm. 1826) i jego brat Jan Schimser (zm. 1856), Leopold Schimser (zm.1888), jego syn Jan, Piotr Kozakiewicz, Julian Markowski, Abel Perier i jego syn Henryk, Gabriel Krasucki i in.

To ich ręce rzeźbiły popiersia wielu przedstawicieli nauki, sztuki, polityki, uczestników powstań narodowych, bojowników o wolność i niepodległość Polski czy Ukrainy. Teraz te popiersia i monumenty tkwią na stokach malowniczego wzgórza porośniętego bujną zielenią i wraz z kaplicami w ślicznej oprawie łyczakowskiej zieleni, przypominają o minionych czasach i wielkości Lwowa. Przy czym same zresztą kaplice, grobowce i nagrobki stanowią często wielką wartość plastyczną i artystyczną. **Dla nas Polaków, szczególną wartość tego miejsca stanowi historia.**

Odnajdziemy tu także wydzielone kwatery, w których chowano ludzi poległych podczas licznych zawirowań naszych dziejów. **Są to uczestnicy insurekcji kościuszkowskiej, wojen napoleońskich a także Powstania Listopadowego, spoczywający na tzw. Cmentarzyku Żelaznej Kompanii.** Gwoli ścisłości dodajmy, że ponad 140 powstańców pochowano w innych kwaterach cmentarza. Uchowało się w centrum Cmentarzyka Żelaznej Kompanii dzieło rzeźbiarza Henryka Periera z 1886 r. zatyt. ***Sarkofag Żelaznej Kompanii.*** Koniecznie odnaleźć trzeba tzw**. Górkę Powstania Styczniowego** 1863 r. położoną chyba w najpiękniejszym miejscu nekropolii gromadzącej prochy naszych powstańców. **W alejach do niej prowadzących odnajdziemy przepiękne epitafia niezwykle starannie zharmonizowane z nagrobną rzeźbą.** Ileż na nich cudownej poezji współgrającej „uskrzydlonymi słowami" z nastrojem tego cudownego miejsca. To zasłużona nagroda dla tych, którzy uczynili Lwów w XIX i w początkach XX w. jednym z głównych ośrodków polskiego życia społecznego, naukowego i kulturalnego. Lwów rozwinął się przecież gwałtownie we wszystkich dziedzinach. Spróbujmy za Zbigniewem Hausnerem niektóre z tych nazwisk (częściowo już wspomnianych) przypomnieć i utrwalić dla pełniejszego obrazu prawdy:

Rys. 505. Sztandar Zjednoczenia Patriotycznego Grunwald

Oswald **Balzer** (1858–1933), profesor prawa Uniwersytetu Lwowskiego im. Jana Kazimierza ukazujący, że nie można przyczyn upadku Polski upatrywać głównie w instytucjach ustrojowych, Stefan **Banach** (1892–1945), współtwórca lwowskiej szkoły matematycznej,

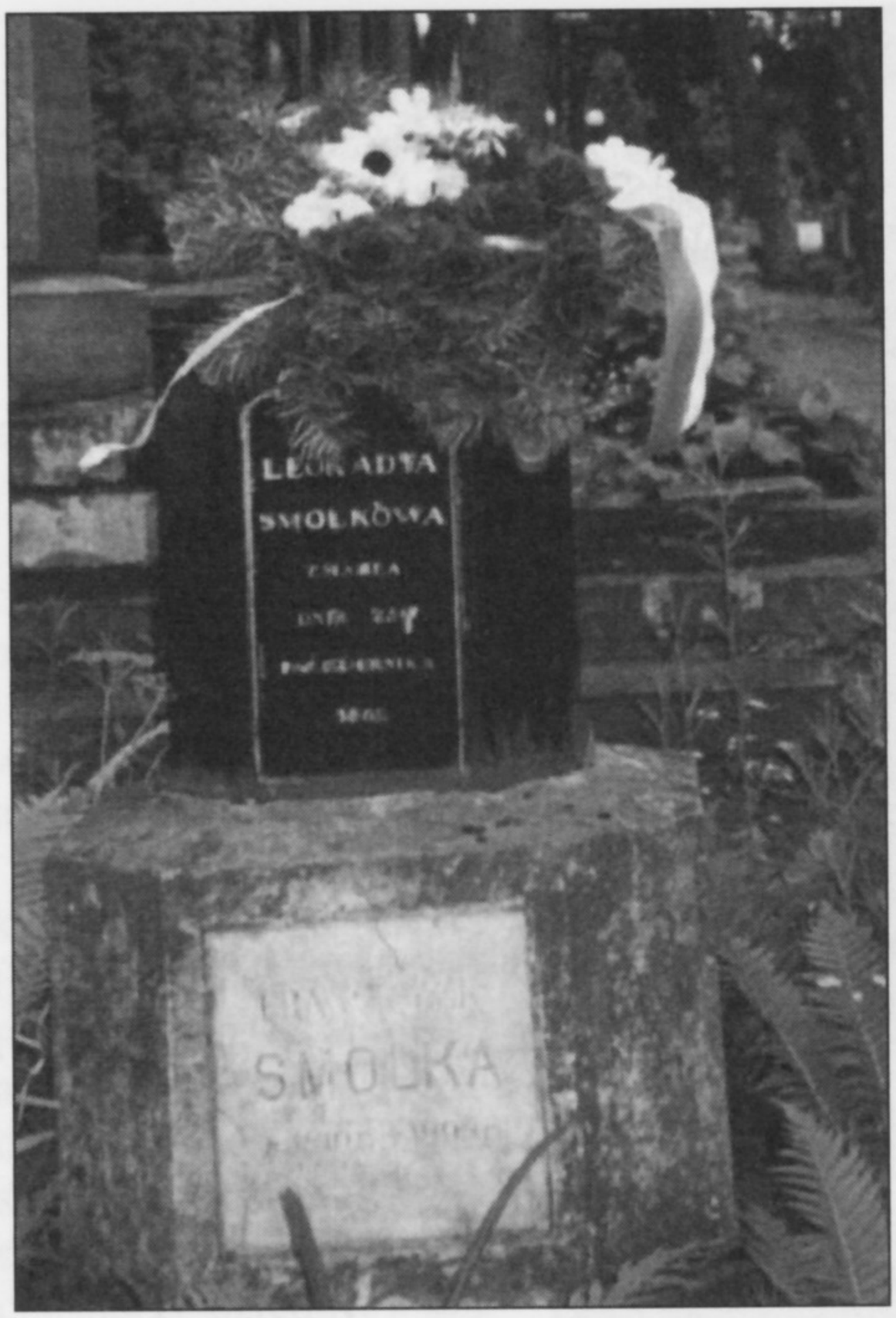

Rys. 506. Kwiaty na grobie łyczakowskim Smolki

profesor UJK, Władysław **Bełza** (1847–1913), poeta, literat i publicysta, autor wierszy dla dzieci, m.in. słynnego *Katechizmu polskiego dziecka (Kto ty jesteś...),* Wacław **Borzemski** (1868–1935), twórca organizacji „Orzeł Biały" i polskiego Sokolstwa, Bolesław **Czerwiński** (1857–1888), poeta, literat, dziennikarz, autor słów pieśni rewolucyjnej proletariatu polskiego *Czerwony sztandar,* Benedykt **Dybowski** (1833–1930), zoolog, lekarz, badacz Syberii, profesor UJK, Mieczysław **Gębarowicz** (1893–1984), profesor UJK i politechniki we Lwowie, historyk sztuki, ostatni polski dyrektor lwowskiego Ossolineum, Seweryn **Goszczyński** (1801–1876), poeta okresu romantyzmu, autor m.in. powieści poetyckiej *Zamek kaniowski* (1828) i powieści *Król zamczyska* (1842), Zygmunt **Gorgolewski** (1845–1903), wybitny architekt lwowski, autor projektu architektonicznego Teatru Wielkiego, Artur **Grottger** (1837–1867), malarz i grafik, jeden z najwybitniejszych przedstawicieli romantyzmu w sztuce polskiej, twórca cykli rysunków poświęconych polskim tragediom narodowym *(Warszawa I, Warszawa II, Polonia, Lithuania* i *Wojna),* Wojciech **Kętrzyński** (1838–1918), historyk, etnograf, publicysta, powstaniec styczniowy, od 1876 r. dyrektor Ossolineum, członek Polskiej Akademii Umiejętności, Maria **Konopnicka** (1842–1910), pisarka i poetka, autorka: *Nie rzucim ziemi...*[117]. Jej oryginalna rzeźba nagrobna dłuta L.M. Drexlerówny zaginęła podczas II wojny światowej i została w 1950 r. zastąpiona nową, wykonaną przez ukraińskiego rzeźbiarza Wołodymyra Skołozdra), Ksawery **Liske** (1838–1891), wybitny historyk, profesor UJK, współzałożyciel i pierwszy prezes Polskiego Towarzystwa Historycznego, Walery **Łoziński** (1837–1861), powieściopisarz i publicysta, Antoni **Małecki** (1821–1913), filolog i literaturoznawca, pierwszy kierownik katedry literatury i języka polskiego na UJK i pierwszy polski jego rektor, Karol **Mikuli** (1819–1897), muzyk, prezes Galicyjskiego Towarzystwa Muzycznego i dyrektor konserwatorium we Lwowie, Julian **Ordon** (1810–1887), uczestnik powstania listopadowego, bohater poematu Adama Mickiewicza *Reduta Ordana* (wbrew treści tego utworu przeżył powstanie), Roman **Piłat** (1846–1906), polonista, profesor Uniwersytetu Lwowskiego, współtwórca i pierwszy prezes Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza, Antoni **Popiel** (1865–1910), wybitny rzeźbiarz, autor m.in. pomników Adama Mickiewicza i Kornela Ujejskiego we Lwowie oraz Tadeusza Kościuszki w Waszyngtonie, a także wielu rzeźb dekoracyjnych, m.in. we lwowskim Teatrze Wielkim, Antoni **Rehman** (1840–1917), geograf profesor *UJK*, badacz południowej Afryki, Edmund **Riedl** (1854–1916), kupiec lwowski, współzałożyciel patriotycznej Konfederacji Narodu Polskiego (powstałej w 1876 r., dwa lata później rozwiązanej przez władze), Franciszek **Smolka** (1810–1899), prawnik i polityk, społecznik, inicjator usypania we Lwo-

[117] Słowa te utrwaliliśmy na sztandarze Zjednoczenia Patriotycznego „Grunwald" prowadzącego nieustanną walkę o jedność Słowian.

Rys. 507. Kwatery Orląt Lwowskich

wie Kopca Unii Lubelskiej, w latach 1881–1893 prezydent parlamentu wiedeńskiego, Karol **Szajnocha** (1818–1868), historyk i pisarz, autor słynnych *Szkiców historycznych,* w latach 1853–1858 kustosz Biblioteki Ossolińskich, Kazimierz **Twardowski** (1866–1938), jeden z najwybitniejszych polskich filozofów, profesor UJK, członek PAU, twórca lwowskiej szkoły filozoficznej, założyciel Polskiego Towarzystwa Filozoficznego (1904), Bolesław **Wysłouch** (1855–1937), działacz społeczny i publicysta, jeden z twórców ruchu ludowego w Polsce, współorganizator Stronnictwa Ludowego, Maria **Wysłouchowa** (1858–1905), żona Bolesława, publicystka, działaczka społeczna i oświatowa, Stanisław **Zakrzewski** (1873–1936), historyk, profesor UJK, członek PAU, Gabriela **Zapolska** (1857–1921), wybitna pisarka, publicystka i aktorka, autorka m.in. głośnej komedii *Moralność pani Dulskiej,* Rudolf **Zuber** (1858-1920), geolog, profesor UJK, badacz Karpat, a także złóż ropy naftowej w wielu krajach świata[118].

Wspomnimy tu jeszcze **kwaterę,** gdzie pochowano żołnierzy **Kościuszki,** Kwaterę Żołnierzy Napoleona, gdzie są groby m.in. gen. Wincentego **Szeptyckiego** (1782–1836), gen. Józefa **Korczak-Szumlańskiego** (zm. 1839) oraz rotmistrza ułanów Józefa **Sas-Czułowskiego** (1776–1863) znanego ze słynnej szarży pod **Samosierrą.** Jest też **Krzyż Ofiar NKWD** a obok niego trzy krzyże upamiętniające ofiary **„Brygidek"** pomordowane w 1941 r. tuż przed opuszczeniem Lwowa przez wojska sowieckie. W więzieniu na Brygidkach, działy się tak makabryczne sceny, że boję się ich wspominać z mojej pamięci. Referowała je kiedyś szczegółowo w kierowanym przeze mnie Instytucie jedna z pracownic (widłami upychano ofiary w przepełnionych celach wypełniając pomieszczenia do sufitu), wykorzystując materiały uzyskane z Instytutu Sikorskiego w Londynie. Te przerażające materiały miały przy tych krzyżach z Brigidek szczególną dla mnie wymowę. Więc opuszczałem to miejsce z wielkim bólem serca, iż podążam w stronę **Cmentarza Orląt Lwowskich.**

---

[118] Por.: Zbigniew Hauser, Ilustrowany przewodnik po zabytkach Galicji Wschodniej, burchard edition Warszawa, 2004, s. 70–72.

Pożegnanie z Orlętami

Dobrze, że na Cmentarzu Orląt Lwowskich trafiłem na miłą wycieczkę z Polski, korzystającą ze znakomitego przewodnika. **Rozładowałem osamotnienie i dowiedziałem się rzeczy, których nie przeczytasz w żadnej znanej mi książce.** W książce Jędrzeja Giertycha[119] (niestety nadal w drugim obiegu) odnajduję opisy sytuacji, w której przypadło walczyć o Lwów i Polskę najmłodszym naszym żołnierzom. **To symbol całej epoki wyzwoleńczej.** Związany z usunięciem zaborców i kiełkowaniem niepodległego państwa. Wynika stąd, że wszyscy rozumieli już, że nadeszła chwila, w której naród polski może ująć władzę w swoje ręce.

Rys. 508. Maria Konopnicka[120]

Tekę jednak ministra spraw wojskowych zarezerwowano dla J. Piłsudskiego, co rzecz oczywista wywołało oburzenie prof. St. Głąbińskiego, przedstawiciela narodowców w tym rządzie. **Nie złożył on zatem przysięgi na ręce rady regencyjnej, przewidując ponure perspektywy rozwoju sytuacji, symbolizowanej wyniszczeniem narodowców i klęską wrześniową 1939 r.** Jest to równie szeroko rozpisywany jak i zakłamany fragment naszych dziejów i tu zajmować się tym nie sposób.

Na terenach Lwowa jak i w całej Galicji, główną siłę wojskową Polaków stanowiły **„Polskie Kadry Wojskowe”,** tj. ściśle tajna organizacja polskich narodowców wewnątrz armii austriackiej. Znalazła ona wspólny język z ochotnikami POW (**Polska Organizacja Wojskowa**) a nawet wieloma zwolennikami Piłsudskiego. Reszty dopełniał energiczny narodowiec dr Aleksander Skarbek swoim mądrym kierowaniem całym nowotworzącym się ruchem. **Przeciwko jemu i siłom za nim stojącym zorganizowano swoisty zamach ruski.**

Było to w ramach polityki osłabiania rozwoju polskiej państwowości poprzez wzmacnianie niepodległości Litwy oraz dążeń politycznych Ukraińców. Dodajmy, że Austriacy w porozumieniu z Niemcami działali już nadspodziewanie aktywnie, formując błyskawicznie pułki złożone z Ukraińców. Tym właśnie pułkom oddał austriacki generał Pfeffer, komendant Lwowa, koszary, broń i wszelkie zapasy wojenne. Pułki te przemianowano teraz na wojsko ukraińskie obsiadłe natychmiast w cytadeli, koszarach i wszystkich najważniejszych budynkach miasta. **Ogłoszono powstanie „Republiki Zachodnio-ukraińskiej”, która przejęła kontrolę nad całą Galicją Wschodnią.**

W takich warunkach przypadło kpt Mączyńskiemu – komendantowi PKW, walczyć o polski Lwów. Zmierzał On na wstępie do opanowania dużej części miasta. Austriacy przed zamachem zdołali

---

[119] Jędrzej Giertych, Tragizm losów Polski. Polska na drodze do niepodległości, Warszawa,1936, s. 426 i nast.

[120] Dzieje Polski, Ilustrowane, Księgarnia Wydawnicza Polska, Poznań, 1910, 858.

ze Lwowa usunąć większość wojskowych polskich, wobec czego materiał ludzki do dyspozycji tkwił w wieku niepoborowym. Znalazło się w wyniku tego bardzo dużo ochotników niedorosłych, w tym nawet dwunasto i trzynastoletnich ochotników obrony Lwowa. **To oni właśnie, słynne „dzieci lwowskie",** nad których mogiłami dzięki niezbadanej woli Boga znalazłem się z całym bagażem tamtych dni, w to niedzielne, sierpniowe popołudnie.

Gdy patrzy się na najskromniejsze groby tych żołnierzy i czyta datę ich urodzenia oraz śmierci na polu walki, serce robi wrażenie jak gdyby chciało wyskoczyć, by przylgnąć na stałe do tego miejsca i wtopić się w tę ziemię. Chyba zdradzałem na twarzy swój nastrój, bo stojąca obok mnie starsza pani jakby na pociechę zapytała: – Sądzicie, że Ukraińcy zezwolą na otwarcie tego cmentarza? Tak – oświadczyłem, wszak to jedyna droga do prawdy i pojednania. Każda inna to gaszenie pożaru częściowe. Byłem rzeczywiście w tym momencie podładowany całym niewyobrażalnym nastrojem tego miejsca. Walka, którą znałem z literatury, zaczęła się w nocy z 31 X na 1 XI 1918 r. i teraz stała się nagle taka żywa w mojej pamięci jakby mnie osobiście wciągała. W tamtą pamiętną noc, oddziały Dmytra Witowskiego podstępnie opanowały strategiczne punkty miasta i zanosiło się na krwawe „rozliczenia" z ludnością polską. **A ludność Lwowa (i nie tylko) doskonale znała te metody terroru.** Spontanicznie więc, przystąpiła do samoobrony trwającej od 1 do 22 października stawiając napastnikom bohaterski opór.

Rys. 509. Pomnik T. Szewczenki w Warszawie k. Belwederu

Rys. 510. Do broni! Matko Najświętsza

Wykazali się w tej walce prawdziwym heroizmem nie tylko nasze lwowskie dzieci, ale przykładnie także studenci i uczniowie gimnazjalni jak też cała zwyczajna młodzież Lwowa, w tym liczna grupa młodzieży rzemieślniczej. **W walce tej, jak na najbardziej zaciętym froncie, lała się nieprzerwanie krew i nieustannie padały ofiary.**

Ofiary te chowano w jednym miejscu, tj. na pochyłym skłonie łyczakowskiego wzgórza. W wakacje 1919 r. biskup Bandurski poświęcił to wzgórze uznane jako teren przyszłego cmentarza. Niedługo po tym rozpisano konkurs na projekt urządzenia nowego cmentarza. Konkurs był całkowicie anonimowy. Zwycięzcą okazał się być student Rudolf Indruch z V r. Politechniki Lwowskiej. **Projekt swój bezinteresownie ofiarował organizatorom cmentarza ku pamięci poległych bohaterów.** To był szokujący projekt. W formie narodowego panteonu chwały. Zarysował się w nim kult wielkiego orła. Wykorzystywał naturalną pochyłość terenu, na którego w punkcie strategicznym stanęła kaplica, a przy niej katakumby i cały Łuk Chwały z rozmieszczonymi przy nim koncentrycznie mogiłami. Inskrypcję **„Nieznanym Bohaterom poległym w obronie Lwowa i ziem południowo-wschodnich"** ulokowano na czerwonej marmurowej płycie a skrzydła katakumb zdobiły pomniki lotników amerykańskich i francuskich żołnierzy, którzy również polegli w walce o Polskę.

Rys. 511. Pożegnanie z Orlętami

Oczywiście projekt Rudka był równie piękny co i trudny. Ostatni jego etap nie został nawet zrealizowany. **Wojna 1939 r. przerwała budowę bramy wejściowej od strony Pohulanki. W projekcie miała to być rzeźba orlicy tulącej pisklęta.** Każdym szczegółem Rudek raz jeszcze okrył chwałą całe swoje pokolenie i nam profesorom udowodnił jak cudowni i niedoceniani są często nasi studenci. Po powrocie do kraju wiele przemyślałem i z narastającym szacunkiem zacząłem ich traktować. Ale projekt Rudka był chyba za wspaniały i może dlatego tak makabrycznie cały cmentarz później niszczono. **Po zakończeniu wojny przeszedł prawdziwą Golgotę.** W rzeczywistości przestał nawet istnieć.

Gdy wysiedlono w 1946 r. ze Lwowa Polaków wszędzie malowano tu obelżywe napisy, niszczono co się da, rozkradano rzeźby i płyty, a mogiły pokrywano śmieciami. **W 1971 r. buldożery połamały kolumnadę i wyrównały z ziemią ocalałe jeszcze groby.** W sprofanowanych katakumbach urządzono po paru latach zakłady kamieniarskie i całą północną część cmentarza odcięto murem przeprowadzając równocześnie przez nią ulicę.

Ratowali (jak mogli) fragmenty niszczonego cmentarza nasi robotnicy z warszawskiego „Energopolu" pracującego na Ukrainie. Pół legalne inicjatywy jego dyr. Józefa Bobrowskiego zaczęły przynosić wielorakie efekty. Przystąpiono nawet do oficjalnych negocjacji oraz ciągle półlegalnych prac nad rekonstrukcją dzieła zainicjowanego przez studenta. **Mimo trudności i niezliczonych prowokacji, fragment rekonstrukcji zdołano do 2004 r. zrealizować.** Dobre i to, bo stwarza nadzieje, że słowa ukraińskiego Prezydenta Juszczenki głoszące koniec kłopotów z odbudową cmentarza Orląt Lwowskich, wypełnione zostaną czynem. Dla zrozumienia i korzyści obu naszych narodów. Muszących żyć wreszcie w prawdzie i pokoju.

Lwów–Warszawa, we wrześniu 2004 r.

Literatura przedmiotu

1. Ks. Anczarski J., Kronikarskie zapisy z lat cierpień i grozy w Małopolsce Wschodniej, Biblioteka Historyczna Archiwum Metropolii Lwowskiej Obrządku Łacińskiego w Krakowie, Seria A, Źródła i Materiały, T. 3, Lwów–Kraków, 1998, s. 566.
2. Brykowski R., Kołomyja, Zabytki kultury polskiej poza granicami kraju, Wspólnota Polska, Ośrodek do spraw polskiego dziedzictwa kulturowego poza granicami kraju w Warszawie, Warszawa, 1998, s. 167.
3. Dębski J., Popek L., Okrutna przestroga, Lublin, 1997, s. 440.
4. Fiłatenko A.W., „Mistectwo", Kijv, 1978, s. 100.
5. Filar W., „Burza" na Wołyniu, Z dziejów 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty Armii Krajowej, Studium historyczno-wojskowe, Oficyna Wydawnicza „Rytm" Rada Ochrony Pamięci Walki i Męczeństwa, Warszawa, 1997, s. 290.
6. Gołod 1921–1923 w Ukraini, Zbirnik dokumentiw i materialiw, Naukowa Dumka, Kijv, 1993, s. 240.
7. Ilustrowany przewodnik po Równem, TPKiZWP, Lublin, 1999, s. 201.
8. Jak trudno być Polakiem, Biblioteka Związku Polaków Ukrainy , Kijv, 1997, s. 336 Józef Drukarnia Narodowa w Krakowie, Kraków, 1918.
9. Ks. Krahel T., Męczennicy z Berezwecza, Białystok, 1998, s. 74.
10. Lasoń J., Legiony na Wołyniu, Nakładem Księgarni J. Czernickiego, Kraków, 1918, s. 86.
11. Luck, Łuck, Kiiv, Mistectwo, s. 40.
12. Lviv, Lwów, 1961, s. 170.
13. Ostrowski J.K., Kresy bliskie i dalekie, TAiWPN, Universitas, Kraków, 1998, s. 153.
14. Piotrowski Cz., Przez Wołyń i Polesie na Podlasie, Warszawa, 1998, s. 264.
15. Polacy na Ukrainie, Zbiór dokumentów, cz. I, Lata I917–1939, Południowo-Wschodni Instytut Naukowy w Przemyślu, Przemyśl, 1998, s. 336.
16. Popek L., Trusiuk T., Wira P., Wira Z., Wołyński Testament, Towarzystwo Przyjaciół Krzemieńca i Ziemi Wołyńsko-Podolskiej, Lublin, 1997, s. 240.
17. Popek L., Osadnictwo wojskowe, Tow. P.K.i Z.W.P., Lublin, 1998, s. 107.
18. Remer J., Wilno, Wydawnictwo Poleskie, (R. Wegner), Cuda Polski, Poznań s. 212.
19. Siedlar-Kołyszko T., Między Dźwiną a Czeremoszem, Reportaże z ziem I i II Rzeczpospolitej, Tom II, Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1998, s. 280.
20. Stroiński H., Represje stalinizmu wobec ludności polskiej na Ukrainie, w latach 1929––1939.Stowarzyszenie Wspólnota Polska, Warszawa, 1998, s. 314.
21. Szkolne schroniska wycieczkowe, Rok 1935, Książnica „ATLAS", Warszawa, 1935, s. 354.
22. Trzeciak M., Bariery rozwoju II Rzeczypospolitej, Politechnika Radomska, Radom, 1999, s. 286.
23. Trzeciak M., Kresy minione i rozmyślania, Mińsk–Warszawa, 2004.
24. Walewander E., Katolicyzm na wschód od Bugu. Fakty i nadzieje, Wydawnictwo „Pagina", Nakło nad Notecią, 1998, s. 98.
25. Wanat B.J., OCD, Sanktuarium Matki Bożej Szkaplerznej w Berdyczowie, Wydawnictwo Karmelitów Bosych, Kraków, 1998, s. 80.
26. W Poleskiej kniei, nr 7, Nakładem Koła Krajoznawczego Uczniów Gimnazjum Państwowego imienia Marszałka Józefa Piłsudskiego w Pińsku, Pińsk, 1938, s. 64.

Inne publikacje autora

1. Materiały do studiowania socjologii pracy (współautorzy: J. Balcerek, L. Gilejko), Skrypt dla studentów SGPS, Warszawa, 1967, s. 190.
2. Workers Participation in Management in Poland, Współautor Z. Rybicki, International Institut for Labour Studies, Geneva, 1968, z. 5.
3. Wypisy do studiowania socjologii, Skrypt dla studentów SGPS, Warszawa, 1970, s. 87.
4. Samorząd Robotniczy a planowanie w przedsiębiorstwie (współautor Tadeusz Jaworski), Warszawa, 1971, s. 119.
5. Stosunki środowiskowe przedsiębiorstwa przemysłowego, PWN, Warszawa, 1973, s. 282.
6. Elementy nauki o pracy (współautor Eugeniusz Krawczyk), Skrypt dla studentów Politechniki Świętokrzyskiej, Kielce, 1976, s. 1–158.
7. Elementy nauki o pracy, PWN, Warszawa, 1977, s. 216.
8. Wybrane zagadnienia socjologii pracy, Skrypt akademicki, Politechnika Świętokrzyska Kielce, 1978, s. 93.
9. Socjologiczno-psychologiczne aspekty kierowania zespołem pracowniczym, Skrypt akademicki, WSI, Radom, 1981, s. 112.
10. Upiory studenckiej jesieni, Wyd. III, Warszawa, 1983.
11. Podstawy nauki o pracy, Skrypt akademicki, WSI, Radom, 1985, s. 354.
12. Śpiewnik grunwaldzki (współautor Maria Krieger-Tkaczyk), ZPG, Warszawa, 1986, s. 40.
13. Gazeta prywatna, Nasze sprawy, wersja polska, angielska, niemiecka, Warszawa, 1990–1991.
14. Kultura i oświata w II Rzeczypospolitej, w: Hominem Quero, Wyd. UMCS, Lublin, 1999, s. 589–600.
15. Bariery rozwoju II Rzeczypospolitej, Politechnika Radomska, Radom, 1999, s. 286.
16. Socjologia w zarysie, Skrypt, wyd. II, Wyższa Szkoła Informatyki i Zarządzania w Rzeszowie, Rzeszów, 2000.
17. Podstawy ergonomii, Politechnika Radomska, Skrypt, wyd. III, Radom, 2000, s. 232.
18. Socjologia pracy, Politechnika Radomska, Skrypt, wyd. VIII, Radom, 2003, s. 331.
19. Ożarów, mała ojczyzna i nasze doświadczenia, w: Saeculum Christianum, UKSW, Warszawa, 2002, s. 277–288.
20. W nalibockich stanicach polskości, UMCS, Rota, Lublin, 2003, nr 1\2,
21. Kresy minione i rozmyślania, Mińsk-Warszawa, Wydawnictwo Stow. Oświat. Sycyna, Radom, 2004, s. 366.

Spis treści

Od autora **5**

Wołyń bez granic i pamięci **7**

Przyjazd małolata 7
Dziewczyna jak malina 10
Pola bez miedzy i gruszy 15
Szlaki okrucieństwa 22
Bazar jakich wiele 27
Głos dziki i postać plugawa 31
Rzeka pełna niepokojów 36
Dom z chimerami 39
Zamek i katedra 43
Łuckie memorandum 49

Na ziemi Jarosława Dąbrowskiego **53**

Ta wołyńska dal i dal 53
Tożsamość pilnie poszukiwana 57
Zabrakło autobusu do Równego 61
Aspiracje przeciętnego miasta 64
Królują dawne ponurości 67
A tu ci raków dostatek 71
I pokrzepienie serc 74
Tylko dla kogo ten koniak 76
Rozmowy niedokończone 80
Echo dawnego Podola 84
Salve Regina berdyczowskich karmelitów 88

W cieniu kijowskich atrakcji **91**

Koziatyń na trasie stołecznych dróg 91
Hotelowe noce i dnie 94
Odpoczynek na plebanii koziatyńskiej 99
Lato na ulicach wielkiego Kijowa 102
Nauczyciel wędrownych ptaków 105
Trwoga dyplomowanego grajka 108
Zabytki przez świat szanowane 110
Śladami Ojca Świętego Jana Pawła II 114
Kłopoty naszych rodaków 117
Kijów to mały punkt na mapie 119
Smakuje tu stakan czerwonego wina 121

Tarnopolskie spotkania **123**

Noc na studenckim wzgórzu 123
Okaleczone centrum miasta 127
Historia kołem się toczy 133
W kręgu narodowej niepamięci 135

Nie bójcie się cmentarzy 140
Stare młyńskie koło 142
Pomnik przed teatrem 146
Kocmouch niby czarnomorski 150
Smak studenckiego chleba 153
Szuler w wagonie kolejowym 158
Sprawy dalekie a bliskie 161
Słoń wśród porcelany 161
Furmanka do piekła 165
Góra królowej Bony 168
Uczniowie Liceum Krzemienieckiego 172
Nad brzegami rzeki Strypy 177
Buczackie lochy i podziemia 180
Pola starej Trembowli 185
Plebania w Skałacie 191
Zbaraż, kochany Zbaraż 196
Czortków na końcu świata 199
Iwanofrankiwsko i Dolina Prutu 205
Miasto wielokrotnego porodu 205
Planty podobne do krakowskich 208
Królestwo Halicza 211
Na rohatyńskim szlaku 214
W krainie Pokucia 217
Osiołek na Podolu 220
Huculska kołomyjka 222
W miejskim jeziorze 226
Tam szum Prutu, Czeremoszu. 228
Hucuły na trasie do Sambora 233
Przystanek w miasteczku Stryj 237
Lwów jak stolica 243
Położenie i rola 243
Wyprawa do Żółkwi 246
Wzloty i upadki Lwowa 252
Ślady minionej kultury 255
Klimaty stare i nowe 260
Zarzewie wielkiej kłótni 264
Zbliżenie rynkowych budowli 268
Śródmieście i Wysoki Zamek 270
Sława kościołów i cerkwi 274
Opowieści studenckiej bandury 277
W dzielnicy Łyczakowskiej 282
Pożegnanie z Orlętami 286
Literatura przedmiotu 289
Inne publikacje autora 290

Prof. dr hab. Mieczysław Trzeciak jest kierownikiem katedry socjologii pracy i organizacji na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie. Jego krótką biografię odnajdujemy w skrypcie Socjologia pracy (2003), gdzie m.in. czytamy: **1**. Urodził się **trzynastego** marca 1934 r. Pech prześladował go już w latach gimnazjalnych, wszak „rozbabrał" tylko szkołę muzyczną i nigdy jej nie ukończył. **2**. W SGH (d. SGPS) wymęczył doktorat dzięki szlachetności prof. Edwarda Strzeleckiego, który uważał, że naukę niepotrzebnie opanował smutek. **3**. Potem, czyli dawno, dawno temu zdobył docenturę bez habilitacji w radomskiej WSI. **4**. Stopień doktora habilitowanego otrzymał w 1975 r. o dziwo, z zakresu Public Relations. **5**. Tytuł profesora nadzwyczajnego nadała mu Rada Państwa w 1989 r. **6**. Z tym tytułem (mimo że już takiego nie ma) żyje i pracuje do dziś. **7**. Ma przezwisko tyranozaura wymagającego od studentów znajomości ulubionych autorów, którym i po śmierci (zmarli często przed wiekami) nie daje spokoju. **8**. Wymaga też dat ich pochówku, pierwszego i drugiego (w literaturze) odrodzenia. **9**. Niepotrzebnie pracuje zarówno w Politechnice Radomskiej, jak i w warszawskim Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego. **10**. Jasne jest, że obie te uczelnie bez niego żyły i żyć z powodzeniem będą.

W życiorys autora wpisały się mocno liczne podróże zagraniczne, w tym długie wędrówki po dawnych ziemiach kresowych II Rzeczypospolitej. Najdłuższe i wielokrotne przypadły na Białoruś. Docierał tam do miejsc ważnych i przedziwnych, pełnych niepokojów. Nie zabrakło i ryzykownych, tych na poleskich błotach czy groźnych, trzymających go w zasięgu warczącego psa z pogranicznikiem, pilnującym, aby nie uciekł ze strażnicy i mógł co najwyżej spać. Nie spał. Nucił nieoczekiwanie kresowe piosenki. Aż do białego rana. Jakby w zamian, otrzymał o świcie „propusk" i mógł przekroczyć ulubioną granicę.

Głęboko odczuł ten gest przyjaźni ze strony służby granicznej i nie tylko, bo napotykany i w dalszych podróżach po kraju. Poznał w nim dobrych i wspaniałych ludzi, choć także i innych, podobnych do przygranicznych nygusów przy Polsce i z Polski żyjących. Dobrze, że granica jest krótka i takich na Białorusi jest mało. Ogólny obraz prześledzonej krainy zaprezentował się w poprzedniej książce znakomicie. Zapewne dorównał do najlepszych, tj. do wyprawy transatlantykiem MS Batory do Kanady, podróży do syberyjskiego Irkucka i Bajkału, czy do Waszyngtonu i Edynburga. Zrealizował też podróże po dawnych ziemiach kresowych włączonych do Ukrainy, co „prezentuje" w niniejszej książce. Ale recenzować jej nie warto. Czytelnik ma ją w ręku i sam bez trudu wyrobi sobie o niej zdanie.

Wspomnieć jednak wypada o jego podróży specjalnej, do Watykanu. Bo tam wreszcie spotkało go szczęście, wszak Jego Świątobliwość Jan Paweł II obdzielił go błogosławieństwem i różańcem, przypominając o celowości wędrówek do innej, nie ziemskiej już krainy. Tej z największych marzeń i snów. Na wielu stronicach tej książki odnajdujemy ścieżki do takiej krainy, przez którą, jak pisze, płynie odwieczna rzeka Styks.

ISBN 83-60132-04-6